

Trzeci tom bestsellerowej serii *Czerwona Królowa*

VICTORIA  
AVEYARD



KRÓLEWSKA  
KLATKA

WKRÓTCE OGIEŃ  
OGARNIE WSZYSTKO

moondrive

VICTORIA  
AVEYARD

KRÓLEWSKA  
KLATKA

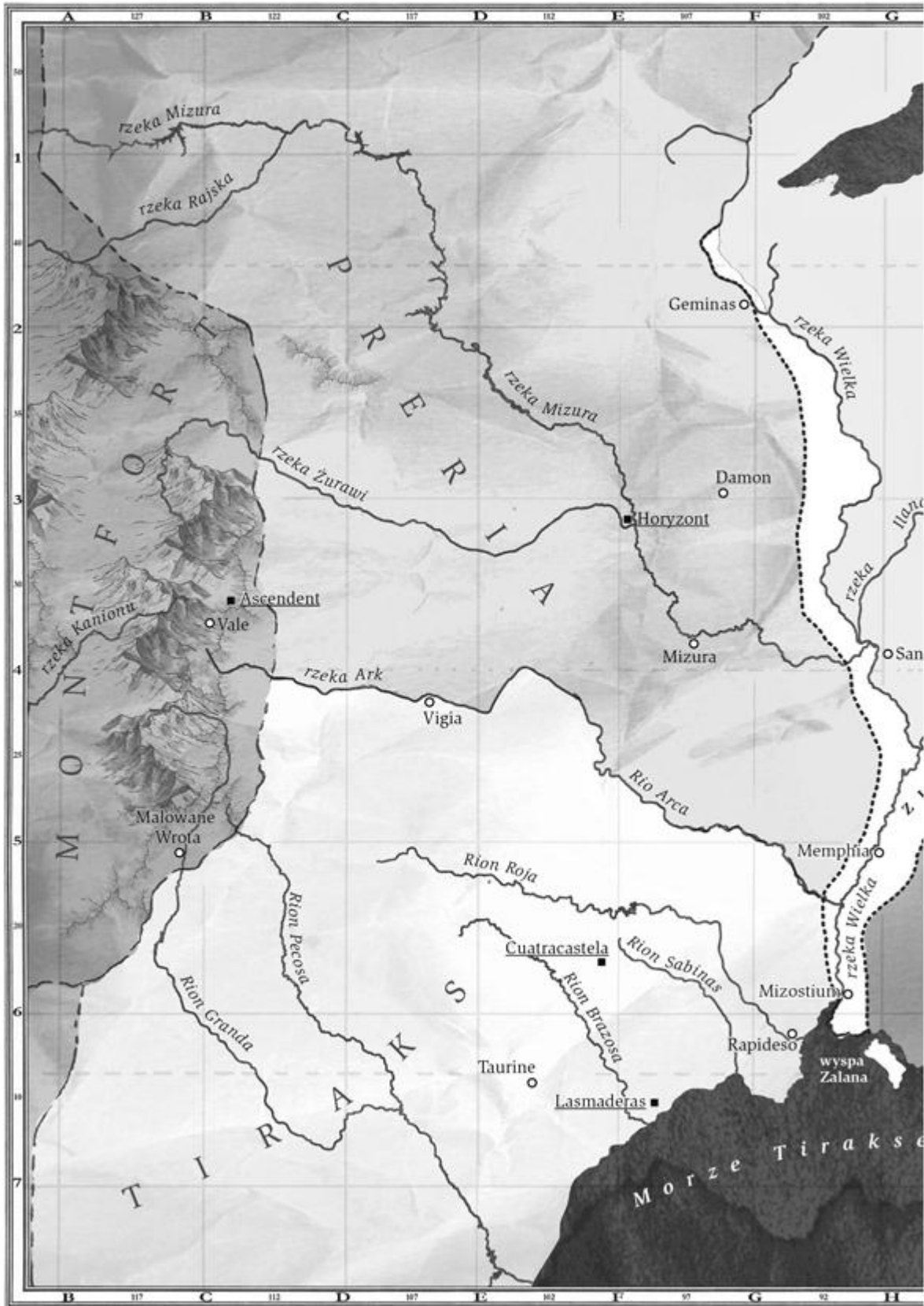
tłumaczenie  
Adriana Sokolowska-Ostapko  
Joanna Dziubińska

moondrive

Kraków 2017

*Jesteście wartościowe, silne i w pełni zasługujecie  
na to, aby wykorzystać każdą nadarzącą  
się szansę i realizować własne marzenia.  
Niech żadna z was nigdy w to nie wątpi.*

H.R.C.





## Rozdział 1

### Mare

Podnoszę się z klęczek, gdy on mi na to pozwala.

W następnej chwili czuję szarpnięcie łańcucha, które zaciska kolczatkę na mojej szyi. Metalowe szpikulce wrzynają się w skórę, ale nie na tyle mocno, żeby skaleczyć mnie do krwi – przynajmniej na razie. Za to nadgarstki mam całe skrwawione. Pokrywają je otarcia od chropowatych, wpijających się w ciało kajdan, które skuwają mnie od wielu dni. Na rękawach białej luźnej sukni ciemniejszą rdzawą smugę zaschniętej krwi i świeże jasnoczerwone plamy, świadectwo mojej męki. Żeby nikt na dworze Mavena nie miał wątpliwości, ile wycierpiałam.

Król stoi nade mną, twarz ma nieprzeniknioną. Ojcowska korona sprawia, że wydaje się wyższy, jak gdyby żelazne kolce wyrastały nie z obręczy, którą nosi na skroniach, ale wprost z głowy. Przeplatane srebrem i brązem czarne metalowe płomienie mienią się ognisćcie. Koncentruję się na znajomych do bólu szczegółach, żeby tylko nie spojrzeć młodemu królowi w oczy. Mimo to Maven przyciąga mnie do siebie, szarpiąc za drugi łańcuch, którego nie widzę, a jedynie czuję.

Błada dłoń łapie mój nadgarstek zaskakująco delikatnie. Wbrew sobie przenoszę wzrok na twarz króla, nie potrafię dłużej unikać jego spojrzenia. Widzę uśmiech, w którym nie ma ani odrobiny życzliwości. Wargi cienkie jak ostrza żyłki, białe zęby gotowe kąsać. Najgorsze jednak są oczy. Maven ma oczy Elary. Kiedyś wydawały mi się zimne, lodowate. Teraz jednak wiem, że jest inaczej. Najgorętszy ogień ma jasnoniebieską barwę, podobnie jak spojrzenie króla.

Cień, który pokonał płomień. Maven płonie, ale okala go ciemność. Wokół nabiegłych srebrną krwią oczu rozlewają się siniaki o metalicznej barwie. Nie sypia. Jest chudszy niż kiedyś, rysy ma ostrzejsze, okrutniejsze. Czarne jak otchłań włosy sięgają mu do uszu, kręcą się na końcach. Policzki nadal są gładkie. Czasami zapominam, jak bardzo jest młody. Jak młodzi jesteśmy oboje. Ukryte pod suknią wypalone na moim obojczyku piętno w kształcie litery „M” zaczyna pulsować bólem.

Maven gwałtownie się odwraca i mocno ściskając łańcuch, zmusza mnie, żebym ruszyła za nim. Niczym księżyc przyciągany siłą planety.

– Oto nasz jeniec, oto świadectwo naszego zwycięstwa – mówi, prostując się przed zgromadzonym tłumem. Na placu tłoczy się co najmniej trzystu Srebrnych: arystokraci i cywile, wojskowi i strażnicy. Kątem oka cały czas widzę wartowników, ich ogniste szaty nie pozwalają mi ani na sekundę zapomnieć o tym,

że jestem więźniem, nawet jeśli nie ma wokół mnie krat. Podobnie pilnujący mnie Uciszacze z rodu Arven nigdy nie znikają z pola widzenia. Ich białe stroje lśnią oślepiająco, ich umiejętność paraliżuje, tłumi moją moc, a mnie samą niemal dławi.

Głos króla niesie się ponad wytwornym placem Cezara, rozchodzi w tłumie, który odpowiada pomrukiem aprobaty. Z pewnością zainstalowano gdzieś mikrofony i głośniki, aby gorzkie słowa Mavena dotarły do najdalszego zakątka nie tylko miasta, ale i królestwa.

– Oto przywódczyni Szkarłatnej Gwardii, Mare Barrow. – Chociaż moja sytuacja jest tragiczna, mam ochotę parsknąć śmiechem. „Przywódczyni”. Może i matka króla umarła, ale kłamstwa, które spłodziła, są nadal żywe. – Morderczyni, terrorystka, zaciekły wróg naszego królestwa. Teraz klęczy przed nami, zdemaskowana.

Znów czuję szarpnięcie. Zataczając się do przodu, rozkładam ramiona, żeby utrzymać równowagę. Ruchy mam ociężałe, oczy spuszczone. Niewiele we mnie godności. Ogarniają mnie wściekłość i wstyd, gdy uzmysławiam sobie, jak bardzo to krótkie przedstawienie może zaszkodzić Szkarłatnej Gwardii. Czerwoni w całej Norcie będą patrzyli, jak tańczę na sznurku, za który pociąga Maven, i pomyślą, że jesteśmy słabi, przegrani, niewarci ich uwagi, wysiłku ani nadziei. Tymczasem prawda wygląda zupełnie inaczej. Ja jednak nie mogę nic na to poradzić, nie teraz, nie tutaj, balansując nad przepaścią, zdana na łaskę Mavena. Zastanawiam się, co dalej z Corvium, zmilitaryzowanym miastem, które stało w ogniu, gdy przelatywaliśmy nad nim w drodze do Duszni. Po transmisji mojego orędzia wybuchły zamieszki. Czy był to początek rewolucji, czy jej ostatnie tchnienie? Nie mam skąd się tego dowiedzieć. Wątpię, żeby komukolwiek wpadło do głowy, by przynieść mi gazetę.

Cał ostrzegał mnie przed groźbą wojny domowej już dawno temu, zanim umarł jego ojciec i zanim stracił wszystko prócz znajomości z porwywczą dziewczyną od błyskawic. Przewidywał bunt po obu stronach barykady. Kiedy jednak stoję uwiązana na smyczy Mavena i patrzę na jego dwór, na królestwo Srebrnych, nie widzę żadnego podziału. Mimo że wszystko im powiedziałam, wyjawiałam prawdę o uprowadzeniach ich bliskich, o więzieniach Mavena, o tym, że król i jego matka zawiedli zaufanie swojego ludu – to ja wciąż jestem wrogiem numer jeden. Chcę im wywrzeszczyć prawdę, ale rozsądek każe mi milczeć. Słowa króla zawsze będą do nich przemawiały bardziej niż moje.

„Czy oglądają mnie mama i tata?” Wspomnienie o nich sprawia, że ogarnia mnie kolejna fala smutku i z całej siły przygryzam wargę, aby powstrzymać łzy. Wiem, że zamontowane wokół kamery są wycelowane we mnie. Wiem to, nawet jeśli nie potrafię już tego wyczuć. Maven za nic w świecie nie darowałby sobie, gdyby nie wykorzystał okazji uwiecznienia mojego upadku.

„Czy za kilka chwil rodzice zobaczą, jak umieram?”

Raczej nie, skoro mam obrożę. Nie wierzę, że Maven urządził całe to widowisko tylko po to, by na końcu mnie zabić. Być może komuś innemu ta myśl przyniosłaby ulgę, ja jednak czuję skurcz strachu w trzewiach. On mnie nie zabije. Nie robi tego. Poznaje to po jego dotyku. Długie, blade palce nadal obejmują mój nadgarstek, chociaż unieruchamia mnie smycz, którą Srebrny władca cały czas ściska w drugiej dłoni. Nawet teraz, gdy ma nade mną absolutną władzę, nie puszcza mojej ręki. Wolałabym umrzeć, niż tkwić w tej klatce, w matni szaleństw i obsesji młodocianego króla.

Pamiętam liściki od niego, które niezmiennie kończyły się tym samym żalonym zaklęciem:

„Do zobaczenia”.

Maven ciągnie przemowę, ale jego słowa zaczynają tracić dla mnie znaczenie, przemieniają się w dźwięki równie puste i doprowadzające do szału jak brzęczenie szerszenia. Oglądam się za siebie, omiatam wzrokiem tłum dworzan. Wszyscy stoją sztywno wyprostowani w ciemnych żałobnych szatach, dumni i nikczemni. Wielmożny Volvo z rodu Samos i jego syn Ptolemeusz wspaniale się prezentują w wypolerowanych, czarnych jak heban zbrojach przepasanych od ramienia po biodro srebrnymi łuskowatymi szarfami. Na widok Ptolemeusza ogarnia mnie furia. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie rzucić się na niego i nie wydłubać mu oczu. Jedyne, czego w tym momencie pragnę, to wbić mu nóż prosto w serce i odpłacić za śmierć mojego brata Shade'a. Najwyraźniej Żeleźca wyczytał to pragnienie z mojej twarzy, ponieważ uśmiecha się do mnie znacząco i bezczelnie. Gdyby nie obroża i Uciszacze, którzy pozbawiają mnie wszystkiego, czym jestem, stopiłabym jego kości, a ciało spaliła na popiół.

Siostra Ptolemeusza, moja rywalka sprzed wielu miesięcy, nie patrzy na mnie. W wysadzonej szpikulcami z czarnego kryształu sukni Evangeline jak zwykle świeci najjaśniejszym blaskiem. Przypuszczam, że wkrótce zostanie królową, wystarczająco długo musi znosić zaręczyny z Mavenem. Wpatruje się intensywnie w plecy króla, wydaje się wręcz wbijać spojrzenie w jego kark. Lekki podmuch wiatru wicherzy jej rozpuszczone srebrne włosy, zwiewa je z ramion, ale ona nawet nie mruga. Mam wrażenie, że dopiero po dłuższej chwili czuje na sobie mój wzrok, jednak zerka na mnie jedynie przelotnie. Jej oczy wydają się puste, beznamienne. Przestałam być warta jej uwagi.

– Mare Barrow jest królewskim więźniem i zostanie osądzona przez króla oraz radę. Odpowie za swe liczne zbrodnie.

„Ciekawe jak”, zastanawiam się.

W odpowiedzi tłum wyje z aprobatą. Przeważają w nim „prości” Srebrni, nieposiadający arystokratycznych korzeni, i to oni upajają się słowami Mavena. Dwór zachowuje stoicki spokój. Tylko niektórzy wielmoże szarzejają na twarzach, ich rysy tężeją, a spojrzenia stają się twarde. Najbardziej widać to po



przedstawicielach domu Merandus ubranych w czarne żałobne szaty ozdobione granatowym kolorem przynależnym zmarłej królowej. Evangeline ledwie raczy na mnie spojrzeć, za to oni wbijają we mnie oczy. Błękitne i roziskrzzone niczym najgorętszy płomień. Spodziewam się usłyszeć w głowie ich szepty, kilkadziesiąt głosów wwiercających się w mózg niczym robaki w zgniłe jabłko. Jednak pod moją czaszką panuje cisza. Być może otaczający mnie Arvenowie są nie tylko strażnikami więziennymi, ale i moimi ochroniarzami – tłumią zarówno moją umiejętność, jak i umiejętności tych, którym zachciałoby się wykorzystać swoje moce przeciwko mnie. Pewnie tak rozkazał im Maven. Nikt nie może mnie skrzywdzić.

Nikt poza nim.

Wszystko mnie boli. Ból nęka mnie, gdy stoję, gdy się ruszam, gdy myślę. Jestem poobijana od czasu rozbicia odrzutowca, wymęczona po torturach nadajnikiem fal dźwiękowych i odrętwiała przez miazdzącą siłę, z jaką Uciszacze dławią moją moc. Jednak są to jedynie obrażenia ciała. Siniaki. Złamania. Te rany z czasem się zagoją. Mam wszakże i takie, które nigdy się nie zabliznią. Mój brat nie żyje. Zostałam jeńcem. I nie wiem, co się dzieje z moimi przyjaciółmi, których porzuciłam wiele dni temu, zawierając pakt z diabłem. Cal, Kilorn, Cameron, moi bracia Bree i Tramy. Zostawiliśmy ich na polanie, ale byli ranni, sparaliżowani, bezbronni. Maven mógł posłać całą armię zabójców, aby dokończyli to, co zaczął. Przehandlowałam siebie za wolność najbliższych i nawet nie mam pewności, czy to cokolwiek dało.

Maven powie mi prawdę, jeśli go zapytam. Wyczytuję to z jego twarzy i zachowania. Zerka na mnie po każdym plugawym kłamstwie, po każdym kolejnym zdaniu, które jego poddani przyjmują z aplauzem. Upewnia się, że na niego patrzę, że interesuję się nim, że go zauważam. Zupełnie jak dziecko.

Nie będę go o nic błagać. Nie tutaj. Nie w ten sposób. Zostało mi zbyt wiele godności.

– Moja matka i mój ojciec zginęli, walcząc z tymi zwierzętami – grzmi Maven. – Oddali życie, aby utrzymać jedność królestwa, aby was ochronić.

Pomimo skrajnego wyczerpania i przygnębienia podnoszę głowę, spoglądam na niego i nasze spojrzenia się krzyżują. Oboje pamiętamy, w jaki sposób zginął jego ojciec. Z czyjej ręki. Królowa Elara szeptami wdarła się do mózgu Cala, zmieniając ukochanego królewskiego syna w kata. Maven i ja przyglądaliśmy się, jak Cal zmuszony jej mocą zabija ojca, ucina mu głowę i tym samym zamyka sobie drogę do tronu. Od tamtej pory widziałam wiele okropieństw, ale wspomnienie tamtego zdarzenia nadal mnie prześladowuje.

Nie pamiętam zaś zbyt wiele z tego, co zaszło między mną a królową przed więzieniem Corros. Wiem tylko, że już po wszystkim jej zmasakrowane zwłoki były świadectwem nieokiełznanej potęgi błyskawicy. Wiem również, że zabiłam

Elarę bez wahania, bez wyrzutów sumienia, bez odrobiny żalu. W bitewny szal wpadłam po nagłej śmierci Shade'a. Ostatnim moim wyraźnym wspomnieniem z Corros jest widok brata, który pada na ziemię z sercem przebitym zimnym metalowym ostrzem Ptolemeusza. Jakimś cudem Żeleźcowi udało się uniknąć mojej furiackiej zemsty, królowej jednak nie. Razem z pułkownikiem dopilnowaliśmy, żeby cały świat dowiedział się o losie, który spotkał Elarę, i podczas transmisji telewizyjnej pokazaliśmy jej ciało.

Szkoda, że Maven nie odziedziczył umiejętności po matce i nie może spenetrować moich myśli. Chciałabym, aby zobaczył moment, w którym z nią skończyłam. Chciałabym, żeby poczuł straszliwy ból po stracie tak samo dotkliwie jak ja.

Kończąc wyuczoną na pamięć przemowę, młody król nie odrywa ode mnie wzroku. Jedną rękę ma wyprostowaną, żeby lepiej zaprezentować łańcuch, na którym mnie trzyma. Każdy jego gest jest starannie zaplanowany, obliczony na efekt propagandowy.

– Przyrzekam, że taki sam los czeka Szkarłatną Gwardię, przyrzekam, że rozprawię się z potworami takimi jak Mare Barrow albo sam zginę.

„No to giń”, chcę wrzasnąć.

Ryk tłumu zagłusza moje myśli. Setki zebranych wiwatują na cześć władcy i jego tyranii. Idąc wcześniej przez most, płakałam na widok niezliczonych twarzy ludzi, którzy obwiniają mnie o śmierć swoich bliskich. Wciąż czuję schnące na policzkach łzy. Teraz znów chce mi się wyć, jednak tym razem nie ze smutku, ale z wściekłości. Jak oni mogą w to wierzyć? Jak mogą przełknąć te kłamstwa?

Jedno szarpnięcie łańcucha i bezwładnie niczym lalka obracam się tyłem do zgromadzonych. Resztką sił wyciągam szyję i spoglądam przez ramię, wypatrując kamer, łączników ze światem. „Ujrzyjcie mnie – zaklinam w duchu. – Rozszyfrujcie jego kłamstwa”. Zaciskam zęby i zwężam oczy, starając się przybrać taki wyraz twarzy, z którego będą wycierały wytrwałość, opór i gniew. „Jestem dziewczyną od błyskawic. Jestem burzą”. Co za stek bzdur. Dziewczyna od błyskawic nie żyje.

Jednak tylko to mi zostało, tyle mogę zrobić dla sprawy, dla ludzi, których kocham i którzy wciąż gdzieś tam są. Nie ugnę karku. Będę trzymała głowę wysoko. I chociaż nie mam pojęcia, w jaki sposób, będę walczyć nawet tutaj, w jaskini lwa.

Kolejne szarpnięcie zmusza mnie, abym obróciła się przodem do dworzan. Wyniośli Srebrni też na nas patrzą. Przyglądam się ich twarzom, ich pozbawionej życia sinopopielatej skórze poprzecinanej srebrnymi żyłkami, w których zamiast krwi krąży ciekła stal i diamenty. Wszyscy oni skupiają się nie na mnie, ale na Mavenie. W tym momencie przychodzi mi do głowy odpowiedź, której szukałam. W oczach Srebrnych arystokratów dostrzegam pożądanie.

Na ułamek sekundy robi mi się żal młodocianego króla osamotnionego na swoim tronie. W następnej chwili gdzieś głęboko w duchu czuję rozbłysk niepokornej nadziei.

„Pięknie, Maven. Wpakowałeś się w niezłe bagno”.

Teraz będę się zastanawiać już tylko nad tym, kto uderzy pierwszy.

Szkarłatna Gwardia czy wielmożowie gotowi poderżnąć gardło młodemu władcy i odebrać mu wszystko, za co zginęła jego matka.

\*

Wspinamy się po schodach do Pałacu Białego Ognia i gdy tylko przekraczamy próg zięjącego pustką holu, Maven podaje smycz jednemu z Uciszaczy. Dziwne. Tak obsesyjnie pragnął mnie odzyskać, zamknąć w swojej klatce, a teraz bez mrugnięcia oddaje mnie strażnikom, odsuwa od siebie. „Tchórz”, myślę. Potrafi na mnie spojrzeć tylko na potrzeby widowiska.

– Dotrzymałeś obietnicy? – pytam, ciężko oddychając. Głos mam zachrypły, odzwyczaiłam się od mówienia. – Ile znaczy twoje słowo?

Nie odpowiada.

Reszta dworu powoli nas dogania i ustawia się w szeregu za nami. Każdy arystokrata dobrze wie, w którym rzędzie ma stanąć, jego pozycja jest wypadkową statusu i rangi. Tylko ja tutaj nie pasuję, idę pierwsza za królem, drepczę kilka kroków za nim, zajmując miejsce, które powinno przyspać królowej, chociaż nigdy w życiu nie byłam dalej od tego tytułu niż teraz.

Zerkam na wyższego z pilnujących mnie strażników w nadziei, że zobaczę w nim coś więcej niż ślepe posłuszeństwo władcy. Mężczyzna ma na sobie biały mundur, gruby, kuloodporny, zapięty na suwak po samą szyję. Na jego dłoniach lśnią rękawiczki, ale nie jedwabne, tylko gumowe. Wzdrygam się. Chociaż Arvenowie posiadają zdolność wyciszania umiejętności, wolą nie ryzykować. Nawet jeśli jakimś cudem udałoby mi się przywołać iskrę, rękawice ich ochronią i pozwolą utrzymać mnie w ryzach, przypiętą do smyczy, skutą łańcuchami, zamkniętą w klatce. Wyższy ze strażników nie zwraca uwagi na moje spojrzenie, w skupieniu wpatruje się w dal i zaciska usta. Drugi nadzorca robi to samo, stojąc po mojej drugiej stronie. Ruchy obydwu braci czy może kuzynów wydają się idealnie zsynchronizowane. Wpatruję się w ich lśniące łysiny i przypominam sobie Lucasa Samosa. Mojego dobrodusznego strażnika, przyjaciela, który został stracony, ponieważ mnie znał i ponieważ go wykorzystałam. Wtedy mi się poszczęściło, Cal przydzielił mi do ochrony przyzwoitego Srebrnego. Chociaż teraz też nie powinnam narzekać, uświadamiam sobie. Strażników, którzy są mi obojętni, łatwiej będzie zabić.

Ponieważ oni muszą umrzeć. Nieważne jak. Jeśli mam uciec, jeśli mam odzyskać błyskawicę, muszę pokonać pierwszą przeszkodę, którą stanowią oni.

Kolejnych przeciwników łatwo przewidzieć: wartownicy Mavena, pozostali strażnicy oraz funkcjonariusze rozstawieni po całym pałacu i oczywiście sam król. Opuść te mury dopiero po jego śmierci – albo po swojej.

Myślę o tym, w jaki sposób go zabiję. Wyobrażam sobie, że owijam łańcuch wokół jego szyi i wyduszam z niego resztki życia. Te fantazje pomagają mi nie zwracać uwagi na to, że z każdym krokiem coraz bardziej zagłębiam się we wnętrza pałacu, stąpając po białym marmurze, mijając inkrustowane złotem ściany, przechodząc pod dziesiątkami żyrandoli z kryształowymi światłkami w kształcie płomieni. Jest tu równie pięknie i chłodno, jak zapamiętałam. Więzienie ze złotymi zamkami i diamentowymi kratami. Przynajmniej nie będę musiała stanąć oko w oko z najbardziej brutalnym i niebezpiecznym dozorcą. Królowa matka nie żyje. Wspomnienie o niej sprawia, że wstrząsa mną dreszcz. Elara Merandus. Jej szept wciąż nawiedza mnie w snach. Kiedyś przedzierała się przez moje wspomnienia. Teraz stała się jednym z nich.

W pewnej chwili zwracam uwagę na postać w zbroi, która wymija strażników, po czym w orszaku zajmuje miejsce między mną a królem. Maszeruje w takim samym tempie jak my, nie ma na sobie stroju ani maski noszonych przez wartowników, ale wyczuwam, że jest tu po to, by chronić króla. Prawdopodobnie wie, że marzę o tym, by udusić Mavena. Przygryzam wargę, szykuję się na piekący ból i atak jadowitego szeptu.

Jednak nie, mężczyzna nie pochodzi z domu Merandus. Ma ciemną zbroję o barwie obsydianu, srebrne włosy i księżycowo bladą cerę. Gdy zerka na mnie przez ramię, widzę jego oczy – czarne i pozbawione wyrazu.

„Ptolemeusz”.

Bez zastanowienia, bez chwili wahania rzucam się na niego z zębami. Jedyne, czego w tym momencie pragnę, to przegryźć mu tętnicę. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy srebrna krew smakuje inaczej niż czerwona.

Nie dane mi jednak było dowiedzieć się tego.

Obroża zaciska się, szarpie mnie do tyłu tak gwałtownie, że wyginam się w łuk i z hukiem zwalam na podłogę. Zderzenie z marmurową posadzką niemal rozsadza mi czaszkę. Świat wiruje mi przed oczami, ale nie na tyle mocno, żeby mnie powstrzymać. Podnoszę się na kolana, widzę nogi Ptolemeusza, które obracają się w moją stronę. Znowu rzucam się do przodu i znowu obroża mnie odciąga.

– Dość tego – syczy Maven.

Stoi nade mną, zatrzymał się, żeby obejrzeć żalosne próby zemsty na Ptolemeuszu. Cały dworski orszak również stanął, wielu Srebrnych podeszło bliżej, chcąc zobaczyć ostatnie nędzne podrygi wynaturzonego Czerwonego szczura.

Obroża cały czas się zaciska, z trudem przełykam ślinę i chwytam się za

gardło.

Maven wpatruje się w metalowe, kurczące się ogniwa.

– Evangeline, dość tego, powiedziałem.

Pomimo bólu oglądam się przez ramię i tuż za sobą widzę Żeleźczynię. Jedną dłoń ma zwiniętą w pięść i podobnie jak król nie odrywa wzroku od obroży. Metalowa obręcz pulsuje, najwyraźniej zaciska się w rytm uderzeń jej serca.

– Uwolnij ją – syczy Evangeline. Przez sekundę myślę, że chyba się przesłyszałam. – Uwolnij ją tu i teraz. Odeślij strażników, a ja ją zabiję, rozprawię się z nią i z jej błyskawicą.

Obnażam zęby i wykrzywiam twarz w zwierzęcym grymasie, upodabniając się do potwora, za jakiego mnie mają.

– Spróbuj – charczę. Z całego serca pragnę, żeby Maven przystał na propozycję Żeleźczyny. Mimo ran, dni spędzonych w ciszy i lat przeżytych w nieświadomości mocy, która we mnie drzemie, chcę tego samego co Srebrna arystokratka. Już raz zdołałam ją pokonać. To wyzwanie to dla mnie szansa. Lepszej nie mogłam sobie wymarzyć.

Maven przenosi spojrzenie z mojej obroży na swoją narzeczoną, jego twarz rozciąga się w jadowym grymasie. Jest przerażająco podobny do matki.

– Kwestionujesz rozkazy króla, wielmożna Evangeline?

Zęby Żeleźczyny połyskują między pomalowanymi na fioletowo wargami. Jeszcze chwila i fasada dworskich manier runie doszczętnie, ale zanim Evangeline zdąży cokolwiek powiedzieć, przysuwa się do niej Volvo Samos i przywierając ramieniem do ramienia córki, wysyła jej jasny sygnał: „Bądź posłuszna”.

– Nie – odwarkuje Srebrna, mimo że jej oczy mówią co innego, po czym zgina kark i pochyla głowę. – Wasza Królewska Mość.

Obroża się rozluźnia, wraca do poprzedniego rozmiaru, a może nawet robi się odrobinę obszerniejsza. Dobrze wiedzieć, że Evangeline nie jest aż tak skrupulatna, za jaką chce uchodzić.

– Mare Barrow jest więźniem korony i sąd koronny zdecyduje, jaki spotka ją los – oznajmia Maven, podnosząc głos tak, aby usłyszeli go Srebrni stojący za jego wybuchową narzeczoną. Omiata twardym spojrzeniem cały dwór, by nie pozostawić wątpliwości co do tego, jaka jest jego wola. – Śmierć to dla niej zbyt mało.

Po sali przechodzi szmer. Słyszę pomruki dezaprobaty, ale i zadowolenia. „Dziwne”. Myślałam, że wszyscy będą chcieli obejrzeć moją egzekucję, napawać się widokiem powolnej śmierci: przywódczyni Szkarłatnej Gwardii spętana i zżerana żywcem przez sępy, wykrwawiająca się na ziemiach, które zapragnęła przejąć. Wygląda jednak na to, że życzą mi czegoś gorszego.

„Gorszego niż śmierć”.

Wiele tygodni temu wspominał o tym Jon. Gdy zobaczył, co niesie mi

przyszłość, dokąd prowadzi droga, którą idę. Wiedział, co się zbliża. Wiedział i przekazał to królowi. Kupił sobie bezpieczne miejsce u boku władcy za cenę życia mojego brata i mojej wolności.

Odnajduję go w tłumie arystokratów. Stoi na uboczu, Srebrni trzymają się od niego z daleka. Oczy ma czerwone, twarz pobladła, włosy przedwcześnie posiwiałe, ściągnięte w starannie spleciony warkocz. Kolejny Nowy w roli maskotki Mavena Calore, ale ten nie ma na sobie łańcucha, przynajmniej żadnego nie dostrzegam. Nie jest więźniem, ponieważ pomógł królowi powstrzymać naszą misję ratunkową, zanim zaczęła się na dobre i zanim zdążyliśmy ocalić dziecięcy legion. Wyjawiał mu naszą przyszłość, pokazał ścieżki, którymi ruszymy. Podał mnie na tacy młodocianemu królowi. Zdradził nas wszystkich.

Jon oczywiście również wlepia we mnie spojrzenie. Nie spodziewam się przeprosin za to, co zrobił, i też ich nie otrzymuję.

– Co z przesłuchaniem? – odzywa się ktoś stojący po mojej lewej stronie. Nie rozpoznaję głosu, ale poznaję twarz.

Samson Merandus. Wojownik z areny, brutalny Szeptacz, kuzyn zmarłej królowej. Przepycha się w moim kierunku, a ja mimowolnie się wzdrygam. W poprzednim życiu widziałam, jak na arenie zmusza swojego przeciwnika do samobójstwa. Kilorn siedział wtedy obok mnie, wiwatował, cieszył się ostatnimi godzinami wolności. Niedługo potem umarł jego mistrz i cały nasz świat przewrócił się do góry nogami. Zmienił się nasz los. Teraz leżę na nieskazitelnej marmurowej posadzce, zmarznięta i zakrwawiona, niczym pies warujący u stóp króla.

– Czy przesłuchanie ma ją ominąć, Wasza Królewska Mość? – dopytuje Samson, wyciągając rękę w moją stronę. Ujmuje mnie pod brodę, siłą podnosi moją twarz. Z trudem się powstrzymuję, by nie ugryźć go w dłoń. Nie zamierzam dawać Evangeline pretekstu do tego, aby znów mnie podduśła. – Proszę pomyśleć o tym, co widziała. Co wie. To ich przywódczyni i klucz do tej nędznej hołoty.

Myli się, ale mimo to serce łomocze mi w piersiach jak szalone. Wiem wystarczająco dużo, żeby zaszkodzić Gwardii. Przed oczami stają mi Klin, pułkownik, bliźniacy z Montfort. Infiltracja legionów i miast. Ludzie pokroju -Willa czy Ellie Pukawki rozsiani po całym kraju, przemycający uchodźców w bezpieczne miejsca. Cenne, pilnie strzeżone sekrety, które wkrótce zostaną ujawnione. Ile osób narażę przez to, co wiem? Ile straci życie, gdy mnie złamią?

Martwię się jednak nie tylko o informacje warte fortunę dla wywiadu wojskowego. Jeszcze bardziej przeraża mnie myśl o tym, co mogą znaleźć w najgłębszych zakamarkach mojego umysłu. W mrocznych zakątkach, w których chowają się wszystkie moje demony. Jednym z nich jest Maven. Księżę, którego zapamiętałam, którego pokochałam i pragnęłam, aby okazał się prawdziwy. Kolejny to Cal i kłamstwa, którymi siebie karmiłam, myśląc o tym, komu i czemu

jest wierny. Wszystko, co robiłam i co lekceważyłam, żeby go zatrzymać. Zzerające mnie od środka wstyd i poczucie winy za popełnione błędy. Nie pozwolę, żeby Samson – albo Maven – dogrzebali się do tego.

„Proszę”, zaklinam w myślach, ale moje usta pozostają nieruchome. Chociaż nienawidzę Mavena i pragnę zobaczyć, jak cierpi, wiem, że w tym momencie jest moją jedyną szansą na ocalenie. Jednak błaganie o litość na oczach jego najsilniejszych sojuszników i najgorszych wrogów osłabiłoby jedynie i tak niezbyt stabilną pozycję króla. Dlatego milczę, usiłując zignorować ściskającego mnie za podbródek Samsona, i wbijam wzrok w twarz Mavena.

Na krótką chwilę nasze spojrzenia krzyżują się.

– Znacie rozkazy – rzuca szorstko w stronę pilnujących mnie Arvenów.

Strażnicy chwytają mnie mocno, ale nie brutalnie, i stawiają na nogi, po czym ujmują pod łokcie, by wyprowadzić z tłumu. Reszta orszaku zostaje z tyłu. Evangeline, Ptolemeusz, Samson i Maven.

Ten ostatni obraca się na pięcie i rusza w przeciwnym kierunku. Idzie tam, gdzie znajduje się jedyna rzecz, która może go jeszcze ogrzać.

Tron z nieruchomych płomieni.

## Rozdział 2

### Mare

Nigdy nie jestem sama.

Arvenowie nie odstępują mnie na krok. Zawsze jest ich dwoje, nie spuszczają ze mnie oczu i cały czas obezwładniają swoją ciszą. Dzięki temu wystarczy zamknąć za mną drzwi na klucz, żebym stała się więźniem. Oczywiście nie mogę nawet podejść do drzwi – jeśli tylko zbyt blisko się do nich zbliżę, zostaję bezceremonialnie odciągnięta na środek komnaty. Moi nadzorcy są silniejsi ode mnie i niezwykle czujni. Jedynym miejscem, w którym mogę się schować przed ich baczny wzrokiem, jest niewielka wyłożona białymi kafelkami łazienka, wyposażona w armaturę ze złota i wykończona złowrogim paskiem z Cichego Kamienia, biegnącym wzdłuż podłogi. Obecność szarych połyskujących brył sprawia, że głowa mi pęka, a gardło zaciska się boleśnie. Nie mogę tu być dłużej niż kilka chwil, jeśli nie chcę paść na posadzkę nieprzytomna. Obezwładniające uczucie przypomina mi o Cameron i jej umiejętności. Ta nastoletnia dziewczyna potrafi zabić swoją ciszą. Chociaż nie znoszę widoku bez przerwy pilnujących mnie strażników i tęsknię za samotnością oraz spokojem, nie ryzykuję i staram się przebywać w łazience najkrócej, jak się da.

Zabawne – kiedyś myślałam, że najbardziej obawiam się tego, iż zostanę sama. Teraz nigdy nie jestem sama, ale przerażenie mnie nie opuszcza.

Nie czuję błyskawicy już czwarty dzień.

Piąty.

Szósty.

Siedemnasty.

Trzydziesty pierwszy.

Każdą kolejną dobę zaznaczam karbem na listwie przypodłogowej obok łóżka, widelec pomaga mi mierzyć upływ czasu. Dobrze się czuję, zostawiając w komnacie swój ślad, wyrządzając choćby najmniejszą szkodę murom Pałacu Białego Ognia. Arvenowie nie zwracają na to uwagi. Przez większość dnia ignorują mnie, skupiając się na roztaczaniu totalnej, absolutnej ciszy. Siedzą na krzesłach przy drzwiach i przypominają posągi o żywych oczach.

Umieszczono mnie w innej komnacie niż podczas pierwszego pobytu w pałacu. Trudno się dziwić, że królewskiego więźnia trzyma się gdzie indziej niż księżącą oblubienicę. Nie trafiłam jednak do celi. Moje więzienie jest wygodne i elegancko umeblowane, śpię na szerokim, wytwornym łożu, mogę korzystać z biblioteczki przeładowanej nudnymi tomami. Do dyspozycji mam również parę



krzesel i stół, całości dopełniają delikatne zasłony w neutralnych odcieniach bieli, szarości i brązu. Wyplukane z barw tak samo jak ja zostałam wyplukana z mocy.

Powoli przyzwyczajam się do spania w pojedynkę, ale wróciły koszmary i nie ma przy mnie Cala, który mógłby je przegonić. Nie ma nikogo, komu by na mnie zależało. Za każdym razem, gdy wybudzam się z kolejnego paskudnego snu, dotykam włożonych w ucho kolczyków i w myślach powtarzam imiona: Bree, Tramy, Shade, Kilorn. Trzech rodzonych braci, jeden przybrany. Trzech żywych, jeden martwy. Żałuję, że nie mam pary do tego kolczyka, który podarowałam Gisie, zostałaaby mi wtedy pamiątka również po niej. Czasami jednak siostra przychodzi do mnie we śnie. Nie dzieje się w nim nic konkretnego, widzę jedynie jej twarz, włosy rude i ciemne jak zaschnięta krew. Za to na jawie prześladują mnie jej słowa. „Pewnego dnia ktoś przyjdzie i odbierze ci wszystko, co masz”. Nie pomyliła się.

W komnacie nie ma luster, nie zamontowano ich nawet w łazience. Domyślam się jednak, co ze mną robi to miejsce. Chociaż dostaję sute posiłki i nie pracuję fizycznie, odnoszę wrażenie, że wychudłam. Kości są widoczne pod skórą, ostrzejsze, jakbym marniała. Nie mam tu zbyt wiele do roboty, mogę jedynie spać albo czytać książki na temat systemu podatkowego Norty, ale mimo to czuję się wycieńczona. Wystarczy lekkie dotknięcie, by na skórze pojawiły się nowe siniaki. Obroża pali mnie nieustannie, nawet gdy całymi dniami dygoczę z zimna. Może mam gorączkę. Może pomału umieram.

Z nikim jednak nie mogę się podzielić swoimi obawami. Przez te wszystkie dni właściwie nie wydobywam z siebie głosu. Drzwi otwierają się jedynie wtedy, gdy nadchodzi pora na wniesienie jedzenia i wody lub na zmianę strażników. To wszystko. Nie widuję żadnych Czerwonych służących, chociaż na pewno nie zniknęli nagle z powierzchni ziemi. To Arwenowie podają mi pozostawiane przed progiem posiłki, pościel i ubrania na zmianę. Również oni po mnie sprzątaj, krzywiąc się ze wstrętem, ponieważ wykonywanie tego typu zajęć z pewnością uwłacza ich godności. Sądzę, że Czerwonym służącym nie wolno się do mnie zbliżać, uznano to za zbyt niebezpieczne. Na myśl o tym uśmiecham się. Szkarłatna Gwardia nadal stanowi zagrożenie, wystarczająco duże, aby zachowano wobec mnie najwyższe środki ostrożności.

Nie dopuszcza się do mnie nikogo. Nikt nie przychodzi, aby się pogapić i napawać upadkiem dziewczyny od błyskawic. Nawet Maven.

Strażnicy nie odzywają się do mnie. Nie przedstawili mi się, dlatego w duchu nadałam im imiona. Kocicą zostaje starsza, niższa ode mnie kobieta o drobnej twarzy i bystrym, czujnym spojrzeniu. Ten z okrągłą, białą głową, ogoloną na łyso – jak zresztą u pozostałych strażników – to Jajo. Trzeciak ma wytatuowane na karku trzy linie biegnące wzdłuż szyi niczym ślady po pazurach. Zielonooka Koniczyna, dziewczyna w moim wieku, wypełnia swoje obowiązki

z niezłomną lojalnością. Tylko ona odważa się patrzeć mi prosto w twarz.

Gdy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że Maven chce mnie odzyskać, spodziewałam się, iż pragnie zadawać mi ból, pograżyć w otchłani cierpienia. Myślałam, że podda mnie wymyślnym torturom, które będę znosić pod jego płomiennym spojrzeniem. Nic takiego jednak się nie dzieje. Przynajmniej nie od dnia, w którym przybyłam do pałacu i zostałam zmuszona, aby paść przed królem na kolana. Powiedział, że zrobi z mojego ciała widowisko, ale nie pojawił się żaden kat. Nie przyszli do mnie Szeptacze, Srebrni pokroju Samsona Merandusa i zmarłej królowej, którzy włamaliby się do mojego umysłu i wygrzebali z niego najskrytsze myśli. Jeśli tak ma wyglądać moja kara, to jest śmiertelnie nudna. Mavenowi brakuje wyobraźni.

W mojej głowie nadal rozbrzmiewają głosy i kołaczą się wspomnienia, całe mnóstwo wspomnień. Przeszywają mnie niczym ostrza. Próbuje uśmierzyć ból, czytając otępiające książki, ale słowa rozmywają mi się przed oczami, litery zmieniają szyk i układają się w imiona ludzi, których zostawiłam. Żywych i umarłych. Do tego Shade, zawsze i wszędzie Shade.

Nawet jeśli mój brat zginął z ręki Ptolemejusza, to przeze mnie ich drogi się skrzyżowały. Zginął przez mój egoizm. Przez to, że miałam się za wybawcę i po raz kolejny zaufałam nieodpowiedniej osobie. Zaryzykowałam ich życia jak hazardzista. „Ale oswobodziłam więźniów. Zwróciłam wolność wielu ludziom... i uratowałam Juliana”.

Jednak w tym momencie marna to dla mnie pociecha. Teraz już wiem, jakim kosztem ocalałam osadzonych w więzieniu -Corros. I codziennie wraca do mnie myśl, że gdybym jeszcze raz miała dokonać wyboru, nie zdecydowałabym się zapłacić tak wysokiej ceny. Nawet Julian, nawet setka ocalonych -Nowych nie jest dla mnie warta tyle co życie Shade'a.

Tak czy inaczej, Maven dopiął swego. Od miesięcy zostawiał kolejne naznaczone krwią wiadomości, w których zaklinał mnie, bym wróciła. Chciał skłonić mnie do powrotu trupami, rosnącą liczbą ciał. Ja jednak myślałam, że nie kupi mnie za nic, nawet za cenę tysiąca niewinnych istnień. Teraz żałuję, że nie przystałam na jego propozycję o wiele wcześniej. Zanim wpadło mu do głowy, aby przyjść po tych, na których naprawdę mi zależy, ponieważ ich nie zawaham się uratować. Ponieważ Cal, -Kilorn i moja rodzina to jedyne osoby, dla których poświęciłabym wszystko. Maven dobrze wie, co robi, rezygnując z tortur. Nie ucieka się nawet do użycia nadajnika fal dźwiękowych, urządzenia, które wykorzystuje błyskawicę przeciwko mnie i rozsadza mnie od środka nerw po nerwie.

Nie potrzebuje moich męczarni. Matka dobrze go wyszkoliła. Jedyne pociechę czerpię z myśli, że za młodym królem nie stoi już nikczemna królowa, która pociąga za sznurki. Podczas gdy ja przeżywam koszmar na jawie

w strzeżonej dzień i noc komnacie, on siedzi samotnie za sterem królestwa. -Elara -Merandus nie podpowiada mu już, jaki kurs obrać, ani nie chroni go przed ciosami w plecy.

Od miesiąca nie wychodzę na świeże powietrze i niemal tak samo długo nie oglądam niczego prócz czterech ścian mojej celi oraz widoku roztaczającego się z wąskiego okna.

Okno wychodzi na ogród, zwiędły i uschnięty o tej porze roku. Drzewka w zagajniku są wymyślnie poskręcane rękami Strażników Zieleni i w pełni rozkwitu na pewno prezentują się przepięknie: zielony baldachim liści wyrastający z fantazyjnie przeplecionych gałęzi. Jednak późną jesienią nagie konary sękatych dębów, wiązów i buków przypominają szpony, a pozbawione soków gałęzie uderzają o siebie z kłopotem przywodzącym na myśl stukot kości. Dziedziniec jest opuszczony, zapomniany. Zupełnie tak jak ja.

„Nie”, powtarzam w myślach.

Ktoś w końcu po mnie przyjdzie.

Karmię się tą nadzieją. Za każdym razem, gdy otwierają się drzwi, serce mi zamiera. Przez ułamek sekundy spodziewam się zobaczyć Cala, Kilorna, Farley, być może Babcie o celowo zmienionej twarzy. Może nawet samego pułkownika. Na widok jego przekrwionego oka chyba rozplakałabym się ze szczęścia. Jednak nikt się nie zjawia. Nikt po mnie nie przychodzi.

Nadzieja w sytuacji, gdy nie ma na nią miejsca, jest okrucieństwem.

Maven doskonale o tym wie.

Gdy trzydziestego pierwszego dnia zachodzi słońce, doznaję nagłego olśnienia i zaczynam rozumieć, jaki przyświeca mu cel.

Chce, żebym zgniła. Zgasła. Odeszła w zapomnienie.

Nad pełnym kościstych gałęzi dziedzińcem wirują tumany pierwszego śniegu, który w końcu zaczął się sypać z ołowianego nieba. Szyba jest lodowata w dotyku, ale uparła się, by nie zamarznąć.

Ja też będę uparta.

\*

W porannym świetle śnieg na dworze wygląda nieskazitelnie, nagie drzewa pokrywa roziskrzona biała skorupka. Do południa się stopi. Z moich obliczeń wynika, że jest 11 grudnia. Zimny, szary, martwy czas przejściowy między jesienią a prawdziwą zimą. Potężne opady śniegu zaczną się dopiero w przyszłym miesiącu.

W Palach lubiłam skakać z werandy w zasy, nic nie potrafiło zniechęcić mnie do tej zabawy, nawet twarde lądowanie, które zaliczył pewnego dnia Bree – spadł prosto na pokryty śniegiem stos drewna na opał i złamał nogę. Na leczenie wydaliśmy całą miesięczną pensję Gisy, a ja musiałam ukraść większość potrzebnych felczerowi materiałów opatrunkowych. Zdarzyło się to ostatniej zimy

przed poborem jego rocznika do wojska, ostatniej zimy, którą cała nasza rodzina spędziła razem. Teraz już nigdy nie będziemy wszyscy razem.

Mama i tata schronili się dzięki Gwardii. Gisa i pozostali przy życiu bracia również. „Są bezpieczni. Są bezpieczni. Są bezpieczni”. Codziennie rano powtarzam w myślach te słowa. Dodają mi otuchy, nawet jeśli nie są zgodne z prawdą.

Powoli odsuwam od siebie talerz ze stałym zestawem śniadaniowym. Nie mam już apetytu na tosty i owsiankę z owocami.

– Dziękuję – mówię z przyzwyczajenia, choć doskonale wiem, że nikt mi nie odpowie.

Kocica podchodzi do mnie i wykrzywia wargi w szyderczym uśmiechu, patrząc na niedojedzony posiłek. Ujmuje talerz, jak gdyby dotykała obrzydliwego robala, sztywno wyciąga przed siebie rękę i odnosi naczynie do drzwi. Podnoszę wzrok w nadziei, że być może tym razem uda mi się pochwycić choć zarys pomieszczenia, które znajduje się za moją komnatą. Jak zwykle jednak nie dostrzegam nic prócz pustej przestrzeni, i znów ogarnia mnie przygnębienie. Strażniczka rzuca talerz na podłogę – upada z brzękiem i może nawet się tłucze, ale kobietę nic to nie obchodzi. Służba posprząta. Drzwi się zamykają, Kocica wraca na swoje krzesło. Na drugim siedzi Trzeciak, ręce ma skrzyżowane, oczy nieruchomo utkwione we mnie. Czuję moc tych dwojga. Krępuje mnie niczym zbyt ciasno owinięty pled, nie pozwala mi się ruszyć z miejsca i dotrzeć tam, gdzie skryła się moja błyskawica. Czasami mam ochotę zedrzeć z siebie ten niewidzialny koc razem ze skórą.

Nienawidzę go. Nienawidzę go.

Nie-na-wi-dzę-go.

*Brzdęk.*

Rzucam szklanką o ścianę, woda ochlapuje szkaradną szarą farbę, szkło rozpryskuje się dookoła. Strażnicy nawet nie drgną. Przyzwyczajaili się do moich wybuchów.

Czuję się lepiej. Przez minutę. Niecałą.

Trzymam się rozkładu dnia, który wypracowałam w ciągu miesiąca niewoli. Budzę się. Natychmiast tego żałuję. Dostaję śniadanie. Tracę apetyt. Talerz zostaje zabrany. Natychmiast tego żałuję. Ciskam szklanką o ścianę. Natychmiast tego żałuję. Zrywam pościel z łóżka. Czasami rozdieram ją na kawałki, czasami krzyczę. Natychmiast tego żałuję. Usiłuję przeczytać książkę. Gapię się w okno. Gapię się w okno. Gapię się w okno. Dostaję lunch. I tak dalej.

Jestem bardzo zapracowaną dziewczyną.

Czy raczej kobietą.

Według prawa w osiemnastym roku życia przestajemy być dziećmi i stajemy się dorośli. A ja parę tygodni temu, 17 listopada, skończyłam osiemnaście lat.

Oczywiście przeszło to bez echa. Wątpię, aby Arvenów interesowało, że ich podopieczna jest o rok starsza. Tylko jednego osobnika w pałacu ten fakt mógłby choć trochę obejść, ale on nie złożył mi wizyty, na szczęście. Akurat ten aspekt mojej niewoli bardzo sobie cenię – chociaż jestem więziona przez najgorszych ludzi na świecie, nie muszę znosić jego obecności.

Przynajmniej tak było do dzisiaj.

Zalegającej wokół mnie śmiertelnej ciszy kres kładzie nie nagła eksplozja, ale ciche szcęknięcie. Znajomy odgłos przekręcanego w zamku klucza. O nietypowej porze, niezgodnej z rozkładem. Podrywam głowę, słysząc ten dźwięk, moi nadzorcy również się wzdrygają, niespodziewane zdarzenie rozprasza ich uwagę. W moich żyłach zaczyna krążyć adrenalina, serce mi wali. W ułamku sekundy powraca do mnie nadzieja. Gorączkowo się zastanawiam, kto może stać za drzwiami.

Moi bracia. Farley. Kilorn.

„Cal”.

Marzę, żeby to był Cal. Marzę, by jego ogień strawił pałac i wszystkich tych ludzi.

Jednak w progu widzę postać, której nie rozpoznaję. Jedynie jej szaty wydają mi się znajome – czarny mundur, srebrne wykończenia. Kolejny strażnik, bezimienny i mało ważny. Wchodzi do mojej komnaty, plecami przytrzymuje otwarte drzwi, za którymi widzę grupkę podobnie ubranych ludzi, ich ciemne mundury wypełniają całą zwykle pustą salę.

Arvenowie zrywają się na nogi, są równie zdumieni jak ja.

– Co tu robicie? – pyta Trzeciak. Słyszę jego głos po raz pierwszy.

Kocica postępuje zgodnie z tym, jak została przeszkolona, i staje między mną a przybyłym funkcjonariuszem. Uderza we mnie kolejna fala ciszy podsyciona strachem i dezorientacją Arvenki. Zalewa mnie z ogromną mocą, wymywa resztki sił. Nie podnoszę się z krzesła, nie zamierzam słać się i przewracać na oczach wszystkich.

Funkcjonariusz milczy, wpatruje się w podłogę. Czeka.

W następnej chwili wchodzi ona, ubrana w suknię z igieł. Srebrne włosy ma starannie splecione w okalający głowę warkocz i przybrane klejnotami tak, aby przypominały upragnioną przez arystokratkę koronę. Drzę na widok idealnej, zimnej i bezwzględnej Żeleźczyni, która nosi się jak królowa. Ale jeszcze nią nie jest. Widzę to po niej.

– Evangeline – mamroczę, usiłując zapanować nad głosem ochryplym ze strachu i od wielodniowego milczenia. Dziewczyna obrzuca mnie spojrzeniem subtelnym niczym smagnięcie batem. Mierzy mnie od stóp do głów, zauważając każdą niedoskonałość, każdą słabość. Wiem, że mam ich wiele. W końcu jej wzrok zatrzymuje się na mojej obroży, wpija się w metalowe szpikulce. Evangeline

wykrzywia wargi z odrazą i pożądaniem. Bez najmniejszego wysiłku mogłaby zacisnąć połyskujące ogniwa kolczatki, wbić ostre końcówki w gardło i sprawić, że zadławie się własną krwią.

– Wielmożna pani Samos, nie jest pani upoważniona do odwiedzin – oznajmia Kocica, wciąż odgradzając mnie własnym ciałem od wejścia. Jej śmiałość mnie zdumiewa.

Evangelina przenosi wzrok na moją nadzorczynię, a na jej twarzy pojawia się szydery uśmiech.

– Sądzie, że mogłabym zlekceważyć rozkazy mojego króla, mojego narzeczonego? – prychna pogardliwie. – Przybywam z jego polecenia. Nakazuje więźniarce stawić się w sądzie. Natychmiast.

Jej ton staje się coraz bardziej kąśliwy. Nagle miesiąc niewoli wydaje mi się zdecydowanie zbyt krótki. Jakiś głos podpowiada mi, żeby nie ruszać się z miejsca i zmusić Żeleźczynię, by wywlekła mnie z celi. Jednak nawet wielodniowe odosobnienie nie zdołało pozbawić mnie dumy i godności. Przynajmniej na razie.

„Nigdy nie zdoła”, napominam się w duchu. Wstaję więc o własnych siłach, chociaż nogi mam miękkie, stawy obolałe, a dłonie drżą mi z wysiłku. Miesiąc temu rzuciłam się na brata Evangeliny, zamierzając zamordować go gołymi rękami. Próbuję wykrzesać z siebie tamto uczucie, odszukać wściekłość i hardość, które pomogą mi chociaż się wyprostować.

Kocica nie cofa się. Zerka na Trzeciaka, wymieniają spojrzenia.

– Nie zostaliśmy poinformowani. To wbrew protokołowi.

Evangelina znów wybuchła śmiechem, ukazując lśniące białe zęby. Uśmiech ma piękny i okrutny jak stalowe ostrze.

– Czy ty mi się sprzeciwiasz, strażniczko Arven? – Przesuwa niewiarygodnie jasną dłoń po sukience wykonanej z tysięcy igieł, a gdy kilkadziesiąt maleńkich ostrzy przywiera do jej ręki jak do magnesu, wysuwa przed siebie pięść i rozkłada palce. W jej garści połyskuje kupka -szpilek. Trzymając metalowe obrzynki na dłoni, unosi jedną brew i cierpliwie czeka. Arvenowie nie odważą się skierować swojej mocy przeciwko córce wielmożnego Samosa, zwłaszcza jeśli jest ona przyszłą królową.

Znów spoglądają po sobie, najwyraźniej rozważając w duchu słowa Evangeliny. Trzeciak marszczy brwi, na jego twarzy maluje się gniew, ale Kocica po chwili głośno wzdycha. Odsuwa się na bok. Ustępuje.

– Słuszna decyzja, będę o tym pamiętać – mówi cicho Żeleźczyni.

Czuję się bezbronna, porzucona na pastwę jej przeszywającego spojrzenia i zupełnie sama, mimo że cały czas przyglądają się nam Arvenowie i przybyli strażnicy. Evangelina mnie zna, wie, kim jestem, pamięta, co potrafię. W Kościńcu niemal ją zabiłam, ale udało jej się uciec, gdy w przerażeniu kryła się przede mną i przed moją błyskawicą. Teraz na pewno nie jest już przerażona.

Celowo robię krok w przód. Ruszam w jej kierunku. W stronę strefy bezpieczeństwa, która ją otacza i pozwala na korzystanie z umiejętności. Kolejny krok. Ku wolności, prosto w objęcia energii elektrycznej. Czy poczuję ją od razu? Czy poczuję, jak we mnie wzbiera? Na pewno. Nie może być inaczej.

Jednak na twarzy Zeleźczyni znów pojawia się zjadliwy uśmiech. Srebrna cofa się zgrabnie o dwa kroki, a ja mam ochotę wyć.

– Nie tak szybko, Barrow.

Pierwszy raz wypowiedziała moje prawdziwe nazwisko.

Pstryka palcami i spogląda na Kocicę.

– Zabrać ją.

\*

Prowadzą mnie tak samo jak pierwszego dnia po przyjeździe do Archeonu. Kocica ściska w dłoni łańcuch przymocowany do mojej obroży. Razem z Trzeciakiem wciąż otaczają mnie ciszą, której dudnienie rozsadza mi czaszkę. Przemierzamy pałacowe korytarze i chociaż idziemy dość powoli, czuję się tak, jakby kazano mi przebiec sprintem kilka kilometrów. Tradycyjnie nie zawiązano mi oczu. Chyba uznano, że nie ma sensu zawracać sobie tym głowy.

Otoczenie staje się coraz bardziej znajome, przecinamy korytarze i krużganki, po których swobodnie spacerowałam nie dalej niż kilka miesięcy temu, chociaż teraz zdaje mi się, że od tamtego czasu minęły całe wieki. Wtedy nie miałam potrzeby zapamiętywać tych wszystkich przejść i połączeń. Teraz staram się jak najdokładniej zakodować w pamięci mapę pałacu. Z pewnością mi się przyda, jeśli kiedykolwiek mam się stąd wydostać żywa. Moja komnata wychodzi na wschód i mieści się na piątym piętrze; ustaliłam to, licząc okna. Pamiętam, że Pałac Białego Ognia został zbudowany na planie przeplatających się kwadratów i każde skrzydło posiada wewnętrzny dziedziniec podobny do tego, który godzinami podziwiam ze swojej celi. Maszerując przez kolejne korytarze, obserwuję widoki zmieniające się za wysokimi łukowatymi oknami. Wewnętrzny dziedziniec z ogrodem, plac Cezara, długi pas terenów treningowych, na których Cal ćwiczył musztrę ze swoimi żołnierzami, majaczące w oddali mury i sylwetka odbudowanego mostu. Na szczęście nie przechodzimy przez apartamenty, w których znalazłam dziennik Juliana i które były świadkiem napadów wściekłości Cala oraz knowań Mavena. To dziwne, że z pałacem wiąże się aż tyle moich wspomnień, mimo iż spędziłam tu tak mało czasu.

Mijamy szereg osadzonych na półpiętrze i wychodzących na zachód okien, z których roztacza się widok na koszary, rzekę Capital oraz dzielnice miasta leżące na drugim brzegu. Między budynkami rozpiera się Kościńiec, z daleka poznaję jego zwalistą bryłę. Poznaję również tę panoramę. Przed tym samym rzędem okien stałam razem z Calem. Okłamałam go, wiedząc, że atak rozpocznie się najbliższej

nocy. Nie miałam jednak pojęcia, czym się skończy dla każdego z nas. Cal wyznał wtedy szeptem, że żałuje, iż rzeczywistość nie wygląda inaczej. Podzielałam jego rozżalenie.

Kamery zapewne śledzą nasz przemarsz, chociaż nie jestem w stanie ich wyczuć. Evangeline, otoczona funkcjonariuszami niczym metalowy łabędź obstępiony przez stado wron, milczy podczas naszej wędrówki w dół pałacu, w stronę reprezentacyjnego piętra. Gdzieś z oddali dolatuje nas muzyka. Pulsuje niczym opuchnięte, ociężałe serce. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego rodzaju dźwięków, nawet na balu, w którym brałam udział, ani podczas lekcji tańca z Calem. Ta melodia wydaje się żyć własnym życiem, jest mroczna, zawiła i dziwnie kusząca. Ramiona kroczącej przede mną Evangeline sztywnieją, gdy rozlegają się pierwsze osobliwe dźwięki.

Reprezentacyjne piętro okazuje się zaskakująco puste, mijamy po drodze jedynie paru strażników. Nigdzie nie widzę wartowników, którzy powinni zapowiadać obecność Mavena. Evangeline wbrew moim oczekiwaniom nie skręca w prawo, w stronę sali tronowej, do której wiodą okazałe, łukowato sklepione wrota. Rusza prosto, kierując się do innej aż nazbyt dobrze mi znanej komnaty.

Sala posiedzeń rady. Idealnie okrągła, marmurowa, wyposażona w wypolerowane do połysku drewniane meble. Wokół ścian ustawione są fotele, a w samym centrum na zdobionej posadzce widnieje godło Norty, Płonąca Korona, wykonana z czerwonych, czarnych i srebrnych elementów, o czubkach zakończonych płomieniami. Kolana uginają się pode mną na ten widok i na chwilę muszę przymknąć powieki. Kocica przeciągnie mnie przez salę, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ja jednak nie zamierzam otworzyć oczu i pozwalam ciągnąć się na łańcuchu, byle tylko nigdy więcej nie oglądać tego miejsca. Tutaj umarła Walsh. Pod zamkniętymi powiekami staje mi jej twarz. Wytropiono ją jak zającą. Do sfory, która ją zaszczuła, należeli Evangeline, Ptolemeusz i Cal. Złapali Walsh w tunelach pod Archeonem, gdy wykonywała rozkazy Szkarłatnej Gwardii. Znaleźli ją, przyciągnęli tutaj i oddali w ręce Elary, aby poddała ją przesłuchaniu. Królowa jednak nie zdążyła się włamać do jej umysłu. Dziewczyna zabiła się. Na naszych oczach połknęła truciznę, żeby ochronić sekrety Szkarłatnej Gwardii. By ochronić mnie.

Gdy muzyka staje się trzy razy głośniejsza, znów otwieram oczy.

Sala posiedzeń zniknęła, ale widok, który ukazał się zamiast niej, jest jeszcze gorszy.



## Rozdział 3

### Mare

Muzyka wiruje w powietrzu, miesza się z przenikającą całą wspaniałą salę tronową słodką i mdlącą wonią alkoholu. Wychodzimy na podest ustawiony parę metrów nad poziomem komnaty, dzięki czemu roztacza się z niego doskonały widok na hałaśliwe przyjęcie, a do tego przez kilka chwil biesiadnicy nie zauważają naszego przybycia.

Moje spojrzenie przeskakuje z miejsca na miejsce, z twarzy na twarz, wypatrując zarówno zagrożeń, jak i sprzyjających okoliczności. Jedwab, szlachetne kamienie i piękne zbroje lśnią w blasku dziesiątek żyrandoli, tworząc ludzki gwiazdozbiór mieniący się i obracający na marmurowej posadzce. Po miesiącu odosobnienia ta scena niemal mnie przytłacza, pochłaniam ją jednak łąpczywie wszystkimi zmysłami niczym wygłodniałe zwierzę. Tyle tu kolorów, tyle głosów. Wiele należy do arystokratów, których znam, ale którzy na razie jeszcze mnie nie dostrzegają. Skupiają się na czymś innym, na kielichach wypełnionych winem i różnobarwnymi alkoholami, na hipnotyzującej muzyce, unoszącym się w powietrzu aromatycznym dymie. Impreza wygląda na fetę urządzoną z -jakiejs okazji, chociaż nie mam pojęcia, co mogliby świętować.

Oczywiście przez głowę zaczynają mi przelatywać gorączkowe myśli. Czyżby kolejne zwycięstwo? Pokonali Cała, Szkarłatną Gwardię? Czy może wciąż celebrują moje pojmanie?

Jeden rzut oka na Evangeline wystarcza mi za odpowiedź. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak nachmurzonej, nie patrzyła w ten sposób nawet na mnie. Przebiegły szyderczy uśmiezek ustępuje miejsca grymasowi oburzenia, gniewu, niewyobrażalnej wściekłości. Żeleźczyni omiata wzrokiem salę, a jej oczy ciemnieją, przypominają czarne leje, które wchłaniają widok jej własnego ludu w stanie dzikiej rozkoszy.

Albo absolutnego otumanienia, uświadamiam sobie.

Na niewidzialną komendę gromada Czerwonych służących rusza w wyćwiczonym szyku spod przeciwległej ściany i rozchodzi się po sali. Na tacach, które niosą, stoją kryształowe kielichy wypełnione płynami mieniącymi się niczym rubiny, złoto i diamenty. Zanim lokaje zdążą dotrzeć na drugi koniec komnaty, tace są puste, służący uwijają się więc, żeby ponownie je napełnić. Kolejne przejście – kolejne puchary zostają opróżnione. Nie mam pojęcia, jakim cudem Srebrni trzymają się jeszcze na nogach. Oddają się hulance z zapamiętaniem, rozmawiają albo tańczą z kielichami w dłoniach. Część

arystokratów pyka ozdobne fajki, wydmuchując w powietrze osobliwy kolorowy dym, który w zapachu nie przypomina tytoniowego. Tytoń jest skarbem, pilnie gromadzonym i zazdrośnie strzeżonym przez starszych mieszkańców Palów, dlatego z tym większym zainteresowaniem przyglądam się punkcikom światła, które raz po raz rozjarzają się na końcach misternych cybuchów.

W znacznie gorszy nastrój wprawia mnie widok Czerwonych służących. Wiele bym dała, żeby znaleźć się na ich miejscu. Być najzwyczajszą posługaczką, a nie więźniarką. „Głupia – ganię się w duchu. – Oni cierpią niewolę tak samo jak ty. Tak samo jak cały nasz lud. Są pod jarzmem Srebrnych, nawet jeśli dla niektórych to jarzmo jest nieco lżejsze”.

A wszystko przez niego.

Evangeline schodzi z podestu, Arvenowie zmuszają mnie, bym ruszyła za nią. Schody prowadzą na kolejne podium, nieco niższe, ale wystarczająco wysokie, aby zaznaczyć obecność i podkreślić znaczenie osób, które na nim stoją. Otacza je dwunastu wartowników, zamaskowanych i uzbrojonych, przerażających w każdym calu.

Spodziewam się zobaczyć znajome sylwetki tronów. Płomienne siedzisko z diamentowego szkła przeznaczone dla króla i szafirowe, wykończone złotem dla królowej. Maven jednak zasiada na tym samym fotelu, z którego miesiąc temu wstał, aby na oczach całego świata założyć mi obrożę i smycz.

Tron młodocianego króla jest prosty, wręcz toporny. Tworzą go bloki szarego kamienia owinięte grubym lśniącym materiałem niemal ostentacyjnie pozbawionym królewskich insygniów. Wygląda na zimny, niewygodny i strasznie ciężki. Oparcie góruje nad Mavenem, sprawiając, że król wydaje się młodszy i drobniejszy niż kiedykolwiek. Potężny jest ten, kto wygląda na potężnego. Nauczyłam się tego od Elary i dziwi mnie, że jej syn akurat tej lekcji nie wziął sobie do serca. Maven wygląda na nastoletniego chłopca, którym jest w rzeczywistości. Czarny mundur uwydatnia błądliwość jego twarzy, a jedynymi kolorami, które ośmieliły się zaistnieć w pobliżu bezbarwnego monarchy, są krwista czerwień podszycia peleryny, roziskrzzone srebro medali i lodowaty błękit jego oczu.

Król Maven z domu Calore kieruje na mnie wzrok, gdy tylko zdaje sobie sprawę z mojej obecności.

Nasze spojrzenia krzyżują się, czas jakby się zatrzymał. Salę tronową wypełnia zgłębienie i chaos wyrafinowanej biesiady, jednak my wpatrujemy się w siebie, jak gdyby świat wokół nas przestał istnieć.

Zastanawiam się, czy dostrzeże we mnie jakiegokolwiek zmiany. Chorobę, ból, męczarnie, które znosiłam w więzieniu wypełnionym ciszą. Nie sposób tego nie zauważyć. Jego wzrok prześlizguje się po moich wychudzonych policzkach, obroży, białej luźnej sukni, w którą mnie tutaj ubierają. Tym razem nie krwawię,

ale żałuję tego. Chciałabym pokazać im wszystkim, kim jestem, kim zawsze byłam. Jestem Czerwona. Ranna. Ale wciąż żywa. Robię to samo, co uczyniłam miesiąc wcześniej, stojąc przed całym dworem, oraz dziś, gdy spotkałam się z Evangeline: prostuję plecy i wpatruję się z mocą w swojego przeciwnika. Przyglądam mu się uważnie, szukając rys, niedoskonałości. Podkrążone oczy, drżące ręce, kręgosłup naprężony jak bliska pęknięcia struna.

„Jesteś mordercą, Mavenie Calore, tchórzem, słabeuszem”.

Moja strategia działa. Król odrywa ode mnie wzrok, zaciska dłonie na poręczach i dźwiga się na nogi. Jego wściekłość uderza niczym młot.

– Żądam wyjaśnień, strażniku Arven! – grzmi, wpatrując się w nadzorcę stojącego najbliżej mnie.

Trzeciak wzdryga się.

Wybuch króla sprawia, że w jednej sekundzie urywa się muzyka, kończą się tańce i picie.

– Wasza Królewska Mość... – duka strażnik, po czym chwytając mnie za ramię, wsacza do ciała taką dawkę ciszy, że tętno natychmiast mi zwalnia. Usiłuje znaleźć wytłumaczenie, które nie obarczałoby winą ani jego, ani przyszłej królowej, ale nic mu nie przychodzi do głowy.

Kocica nadal mocno ściska w dłoni końcówkę smyczy, widzę jednak, że łańcuch zaczyna drżeć.

Jedynie Evangeline nic sobie nie robi z gniewu króla. Spodziewała się takiej reakcji.

Nie wydał rozkazu, aby mnie sprowadzić. Nie było żadnego wezwania.

Maven nie jest głupcem. Niecierpliwym gestem dłoni nakazuje milczenie mamroczącemu coś Trzeciakowi.

– Twoje żalosalne zmieszanie jest najlepszym wyjaśnieniem – oznajmia. – Co masz na swoją obronę, Evangeline?

Ojciec Żeleźczyni stoi sztywno wyprostowany w tłumie biesiadników i szeroko otwartymi oczami bacznie obserwuje tę scenę. Ktoś mógłby pomyśleć, że wielmożnego Volvo Samosa ogarnął strach, ja jednak nie sądzę, aby był zdolny do odczuwania jakichkolwiek emocji. Arystokrata z kamiennym wyrazem twarzy gładzi dłonią siwą, szpiczastą bródkę. Ptolemeusz ukrywa myśli nieco mniej udolnie niż ojciec. Stoi na podium między wartownikami, chociaż nie ma na sobie maski ani płomiennych szat. Nie rusza się, ale jego spojrzenie przeskakuje z króla na siostrę, a pięści pomалу się zaciskają. „Doskonale. Niech boi się o nią tak samo, jak ja bałam się o brata. Niech patrzy, jak ona cierpi, tak samo jak ja patrzyłam na śmierć Shade’a”.

Bo czy może ją teraz czekać coś innego? Evangeline świadomie przeciwstawiła się rozkazom Mavena, wykorzystwała uprzywilejowaną pozycję królewskiej narzeczonej. Jedno wiem od dawna: sprzeciw wobec króla

nieuchronnie wiąże się z karą. A okazanie nieposłuszeństwa na oczach całego dworu może się zakończyć natychmiastową egzekucją.

Jeśli Evangeline jest świadoma, że ryzykuje życiem, nie daje tego po sobie poznać. Jej głos nie załamuje się ani nie drży.

– Kazałeś zamknąć tę terrorystkę, odłożyć na bok jak niepotrzebną butelkę wina. Od miesiąca członkowie rady nie potrafią zdecydować, co z nią zrobić. Dopuściła się niezliczonych zbrodni, za które powinna dostać kilkadziesiąt wyroków śmierci, tysiąc kar dożywotniego więzienia w najgorszych warunkach. Odkąd ją odkryto, zabiła lub okaleczyła setki twoich poddanych, nie oszczędziła nawet twoich rodziców, a teraz odpoczywa sobie spokojnie w wygodnej komnacie, je, oddycha, żyje i jak dotąd nie spotkała jej zasłużona kara.

Maven to nieodrodny syn swojej matki i potrafi na użytek dworu zachować stoicki spokój. Teraz również wydaje się absolutnie nieporuszony słowami Evangeline.

– Zasłużona kara – powtarza, po czym rozgląda się wokół, unosząc kącik ust w półuśmiechu. – Zatem przyprowadziłaś ją tutaj. Czyżby moje przyjęcia były aż tak marne, że można je uznać za karę?

Po sali przetacza się pomruk śmiechu, zarówno szczerego, jak i wymuszonego. Większość obecnych jest pijana, ale niektórzy mają wystarczająco przytomne umysły, aby w pełni rozumieć, co się dzieje. Co zrobiła Evangeline.

Żeleźczyni rozciąga wargi w uprzejmym uśmiechu, który wydaje się uwierać ją tak mocno, że jeszcze chwila, a w kącikach jej ust zgromadzą się kropelki krwi.

– Wiem, Wasza Królewska Mość, że opłakujecie utratę matki – oznajmia bez cienia współczucia. – My wszyscy bolejemy nad tą stratą. Jednak wasz ojciec postępowałby inaczej. Pora otrzeć łzy.

Ostatnie słowa należą nie do niej, ale do Tyberiasza Szóstego. Ojca Mavena, a zarazem upiora, który go nęka. Przez chwilę wydaje się, że maska króla opadnie, w jego oczach zapłonął gniew zmieszany ze strachem. Pamiętam te słowa równie dobrze jak on. Padły przed tym samym tłumem dworzan po zamachu, w którym Szkarłatna Gwardia miała zlikwidować polityczne cele. Cele wybrane przez Mavena, a wskazane mu przez matkę. To my odwaliliśmy brudną robotę, oni zaś zwiększyli bilans ofiar, przeprowadzając własny potworny zamach. Wykorzystali mnie, wykorzystali Gwardię, aby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: wyeliminować jednych wrogów i zdemonizować drugich. Wyrządzili więcej krzywd i pozbawili życia więcej ludzi, niż ktokolwiek z nas pragnął.

Do tej pory pamiętam zapach krwi i dymu. Pamiętam szloch matki tulącej martwe dzieci. Pamiętam rozmowy, w których o wszystko obwiniano buntowników.

– Siła, potęga, śmierć – cedzi Maven przez zaciśnięte zęby. Te słowa przerażały mnie wtedy i teraz również budzą mój lęk. – Co proponujesz,

wielmożna pani? Ścięcie głowy? Pluton egzekucyjny? Utopienie, uduszenie i poćwiartowanie?

Serce wali mi jak młotem. Czy Maven byłby do tego zdolny? Nie wiem. Nie mam pojęcia, co zrobi. Przecież tak naprawdę wcale go nie znam. Człowiek, za którego go brałam, okazał się iluzją. Prawdziwe jednak były wiadomości od niego, zostawiane w okrutny sposób, ale wypełnione błaganiami o to, bym wróciła. Miesiąc ciszy, niewoli w cieplarnianych warunkach. Być może to również był podstęp, kolejna sztuczka obliczona na to, aby mnie usidlić, omotać. Kolejna odmiana tortury.

– Zrobmy to, czego wymaga prawo. To, co zrobiłby wasz ojciec.

Evangeline używa słowa „ojciec” z taką samą celnością i wprawą, z jaką władza metalowymi ostrzami, i w tym momencie nie mam już żadnych wątpliwości. Podobnie jak wiele zebranych na sali osób Żeleźczyni wie, że Tyberiasz Szósty stracił życie nie do końca w takich okolicznościach, w jakich oficjalnie podano.

Mimo to Maven objął po nim tron i kurczowo trzyma się tego szarego, kamiennego okropieństwa. Spogląda na dwór, czując, że wszystkie spojrzenia skierowały się na niego, i dopiero po chwili szyderczym tonem zwraca się do narzeczonej:

– Nie tylko nie należysz do rady, ale i nie znałaś mojego ojca na tyle dobrze, aby przeniknąć jego zamysły. Jestem królem i tak samo jak mój poprzednik wiem, jaka droga poprowadzi nas do zwycięstwa. Prawo to rzecz święta, lecz obecnie prowadzimy dwie wojny.

„Dwie wojny”.

Adrenalina pulsuje mi w żyłach z taką siłą, że przez ułamek sekundy wydaje mi się, iż odzyskałam błyskawicę. Jednak nie, to nie błyskawica wróciła. Wróciła nadzieja. Przygryzam wargę, aby powstrzymać uśmiech, który ciśnie mi się na usta. Przez wszystkie tygodnie mojej niewoli Szkarłatna Gwardia nadal trwała. Nie tylko nie złożyła broni, co Maven otwarcie przyznaje, ale przede wszystkim stała się na tyle potężna, że nie sposób ukrywać ani lekceważyć jej istnienia.

Chociaż umieram z ciekawości i chcę się dowiedzieć choć trochę więcej na ten temat, trzymam język za zębami.

Maven świdruje Evangeline spojrzeniem.

– Egzekucja jeńca wojennego, zwłaszcza tak cennego jak Mare Barrow, byłaby niedopuszczalnym marnotrawstwem.

– To, co z nią robicie, to też marnotrawstwo! – Evangeline odpowiada bez wahania i domyślam się, że musiała wcześniej przećwiczyć przebieg tej rozmowy. Posuwa się parę kroków do przodu, aby podejść do Mavena. Cała ta scena wydaje się widowiskiem, przedstawieniem celowo odegranym na oczach dworu. Kto jednak miałby na tym skorzystać? – Siedzi gdzieś beczynnym, nie mamy z niej żadnego pożytku, podczas gdy Corvium stoi w ogniu!

Kolejna cenna informacja wpada mi prosto w ręce. „Dalej, Evangeline, mów dalej”.

Miesiąc temu na własne oczy widziałam, jak w mieście fortecy wybuchają zamieszki. Bunt wciąż trwa. Wzmianka o Corvium otrzeźwia zebranych. Maven zauważa to i z trudem zachowuje spokój.

– Rada w ciągu najbliższych dni podejmie decyzję, wielmożna pani – mówi głośno i dobitnie.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość, Wasza Królewska Mość. Wiem, że pragniecie szanować autorytet rady, nawet jeśli chwilami zawodzi. Nawet jeśli czyjeś tchórzliwe serce waha się przed podjęciem działań, które muszą zostać podjęte. – Kolejny krok w przód, Evangeline ścisza głos niemal do szeptu. – Ale to ty jesteś królem. Decyzja należy do ciebie.

Rozegrała to po mistrzowsku, przyznaję w duchu. Żeleźczyni nie ustępuje pod tym względem najbardziej wytrawnym dworskim manipulantom. Nie tylko ocaliła autorytet Mavena, ale i zmusiła go, by postąpił zgodnie z jej wolą, jeśli nie chce okazać się słabym władcą. Bezwiednie wstrzymuję oddech. Czy król zgodzi się tańczyć, jak mu zagrają? Czy może sprzeciwi się Evangeline, dolewając oliwy do ognia i podsycając zarzewie buntu tłące się wśród Srebrnych arystokratów?

Maven nie jest taki głupi. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, do czego dąży jego narzeczona, i nie spuszcza z niej oka. Wpatrują się w siebie, wymieniają wymuszone uśmiechy i twarde spojrzenia.

– Królewska Próba z całą pewnością wyłoniła najbardziej utalentowaną potomkinię Szlachetnych Domów – oznajmia, ujmując dłoń Evangeline. Gest wydaje się wzbudzać odrazę w nich obojgu. Maven obraca się w stronę tłumu, odszukuje wzrokiem szczupłego, ubranego na granatowo mężczyznę. – Kuzynie! Twoja prośba o możliwość przesłuchania zostaje rozpatrzona przychylnie.

Samson Merandus staje na baczność i wysuwa się przed pozostałych dworzan, spojrzenie ma jasne, twarz rozpromienioną. Składa ukłon, a niebieskie szaty wydymają się niczym kłęby sinego dymu.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

– Nie.

Słowa same wyrywają mi się z ust.

– Nie, Maven!

Samson szybkim zdecydowanym krokiem wchodzi na podium. Panując nad wściekłością, dopada do mnie w kilka sekund i staje tak blisko, że nie widzę już nic poza jego oczami. Błękitnymi oczami Elary i Mavena.

– Maven! – wydaję stłumiony okrzyk, chociaż na nic mi się on nie zda. Błagam, choć cierpi na tym moja duma. Nie mam jednak innego wyjścia. Samson to Szeptacz. Zniszczy mnie od środka, przejrzy mnie całą, wygrzebie wszystko, co w sobie noszę. Ile osób zginie tylko dlatego, że zbyt wiele widziałam

i słyszałam? – Maven, proszę! Nie pozwól mu na to!

Jestem za słaba, żeby wyrwać się trzymającej mnie na łańcuchu Kocicy czy choćby walczyć z Trzeciakiem, który chwycił mnie mocniej za ramiona. Obydwoje z łatwością mnie unieruchamiają. Przenoszę spojrzenie z Samsona na Mavena. Król jedną ręką opiera się o tron, w drugiej trzyma dłoń Evangeline. „Tęsknię”, pisał do mnie w liścikach. Jego twarz przybrała kamienny wyraz, ale przynajmniej w końcu na mnie patrzy.

Dobrze. Jeśli nie chce mnie uratować przed tym koszmarem, to niech będzie jego naocznym świadkiem.

– Maven – szepczę po raz ostatni. Staram się przemówić własnym głosem. Nie tonem dziewczyny od błyskawic ani zaginionej księżniczki Mareeny, tylko głosem Mare. Dziewczyny, na którą spoglądał przez kraty więziennej celi i którą przyrzekał ocalić. Jednak to wszystko za mało. Król spuszcza wzrok, odwraca oczy.

Zostałam sama.

Samson kładzie mi rękę na gardle, obejmuje moją szyję powyżej obroży, zmusza, żebym spojrzała w jego przekłete, znajome oczy. Błękitne jak lód i równie bezlitosne.

– Źle zrobiłaś, zabijając Elarę – mówi bez ogródek. – Władziała umiejętnością z precyzją chirurga.

Pochyla się pożądliwie niczym przymierający głodem człowiek, któremu podsunęto miskę pełną smakołyków.

– Ja bardziej przypominam rzeźnika.

\*

Gdy paraliżował mnie nadajnik, przez trzy długie dni przechodziłam katusze. Napór fal dźwiękowych kierował moją własną energię przeciwko mnie. Prąd elektryczny pełzał po mojej skórze, szarpał nerwy i tłukł się między kośćmi niczym błyskawica zamknięta w słoiku. Zostawił po sobie blizny. Poszarpane białe linie biegnące wzdłuż karku i kręgosłupa, oszpecające zrosty, do których wciąż jeszcze nie przywykłam. Bolesnie dają o sobie znać, kłując i szarpiąc przy najlżejszym ruchu. Nawet mój uśmiech jest jak porażony, okrojony.

Jednak gdybym tylko mogła teraz wybierać, wybrałabym nadajnik.

Jego wrzynający się w ciało mechaniczny szcęk byłby błogosławieństwem, ulaskawieniem. Wolałabym znosić trzeszczenie kości i mięśni, rozsadzający ból zębów i paznokci, koszmarną ciągnącą się bez końca agonię niż doświadczać szeptów Samsona.

Czuję go. Czuję jego myśli. Rozpełzają się po moim ciele niczym pleśń, gangrena, rak. Brutalnie rozdrapują moją czaszkę od środka. Każda komórka ciała, do której dotarł jad Szeptacza, skręca się z bólu. Samson czerpie z tego

przyjemność. W końcu to jego zemsta. Za to, co zrobiłam Elarze, jego krewnej i królowej.

Była pierwszym wspomnieniem, które ze mnie wyszarpał. Brak skruchy z mojej strony tylko podsycił jego pasję i teraz żałuję, że nie zdobyłam się choćby na odrobinę współczucia. Jednak scena jej śmierci była zbyt przerażająca, abym mogła doznać jakichkolwiek uczuć poza szokiem. Teraz to sobie przypominam. Jestem do tego zmuszona.

Czuję oślepiający ból, Szeptacz wciąga mnie głębiej między wspomnienia i nagle znajduję się w chwili, gdy zabiłam Elarę. Swoją mocą ściągam z nieba błyskawicę, fioletowo-białą pajęczynę. Piorun uderza prosto w królową, wdzierając się w jej oczy i usta, rozbiega po karku, rękach, nogach aż po palce u stóp, po czym znów rusza do góry. Oblewający Elarę pot gotuje się i paruje, jej ciało poczerniało i zaczęło się dymić, a guziki munduru jarzą się na czerwono, wypalając dziury w materiale i skórze. Królowa trzęsie się, szarpie palcami ciało, jak gdyby usiłowała zedrzeć z siebie elektryczną sieć. Koniuszki jej palców odpadają, obnażając białe kości, mięśnie pięknej twarzy wiotczeją, topią się przysmażane prądem. Białe włosy spalają się na czarny popiół. Swąd jest nie do zniesienia. Krzyk również. Elara wrzeszczy, dopóki jej struny głosowe nie popękają. Samson spowalnia tę scenę, manipuluje wydobytym wspomnieniem tak, aby każdy jego szczegół wrył się mi na zawsze w sumienie. Nieźle, jak na rzeźnika.

Rozprawia się za mną z takim zapamiętaniem, że czuję się jak w wirze, nad którym nie potrafię zapanować. Nie mam się czego chwycić, nie mam się jak zatrzymać. Mogę się jedynie modlić, żeby Szeptacz nie dokopał się do tego, czego szuka. Usiłuję nie wymieniać imienia brata w myślach, ale mury obronne, które wznoszę w umyśle, okazują się warte niewiele więcej niż papierowe dekoracje. Samson przebija się przez nie z rozkoszą. Czuję, jak zdziera kolejne zasłony, miażdżąc mój opór. Wie, co próbuję przed nim ukryć, czego nie chcę nigdy więcej przeżyć. Goni moje myśli i okazuje się od nich szybszy, wyprzedza każdą barierę, którą zaczynam wznosić. Chcę krzyczeć, błagać, ale z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Samson trzyma mnie w garści.

– Łatwizna. – Jego głos rozbrzmiewa we mnie i naokoło mnie.

Podobnie jak śmierć Elary, ostatnie chwile Shade'a są odtwarzane w najdrobniejszych szczegółach. Zamknięta we własnym ciele jak w klatce po raz drugi przeżywam każdą potworną sekundę. W powietrzu unosi się ostra woń skażenia. Więzienie Corros znajduje się na skraju Mielizny, napromieniowanego pustkowia rozciągającego się wzdłuż południowej granicy Norty. Po szarym świcie wstaje zimny mglisty poranek. Na chwilę wszystko się zatrzymuje, zastyga w bezruchu. Sparaliżowana, unieruchomiona w pół kroku patrzę przed siebie. Za moimi plecami rozwiera się więzienie nadal wstrząsane buntem, który wszczęliśmy. Z bram wylewa się tłum więźniów i dozorców, którzy ich ścigają.



Więźniowie idą za nami, ponieważ pragną wolności, czy choćby czegoś na jej kształt. Kilkaset metrów przede mną majaczy znajoma sylwetka Cala. Zmusiłam Shade'a, żeby w pierwszej kolejności przeskoczył w kierunku odrzutowca ze Srebrnym wojownikiem, naszym pilotem i jedyną szansą na ucieczkę. Kilorn, który został przy mnie, również zastygł w bezruchu, z karabinem wspartym o bark. Celuje w Srebrnych za nami, w królową Elarę, jej strażników i Ptolemejusza Samosa. Pocisk wypchnięty z lufy iskrą i prochem zawisł w powietrzu i czeka, aż Szeptacz wypuści mój umysł ze szponów. Nad nami kłębią się chmury nabrzmiałe energią elektryczną. Moją energią. Gdybym tylko mogła poczuć jej dotyk, rozplakałabym się ze szczęścia.

Wspomnienie zostaje wprowadzone w ruch, z początku bardzo wolno.

Ptolemeusz uzupełnia swój szeroki arsenał, tworząc długą, lśniącą igłę. Na idealnie gładkim ostrzu mienia się drobinki czerwonej i srebrnej krwi przypominające maleńkie klejnoty. Pomimo posiadanej umiejętności Ara Iral okazuje się zbyt wolna, aby uniknąć śmiertelniegroźnego szpikulca, który w jednej rozwlekłej sekundzie podrzyna jej gardło. Srebrna wojowniczką pada na ziemię parę metrów ode mnie, jej ciało osuwa się ociężale, jak gdyby poruszało się nie w powietrzu, ale w wodzie. Ptolemeusz zamierza zabić mnie tym samym ruchem, siłą rozpędu przekłuć mi serce. Jednak zamiast we mnie, -trafia w mojego brata.

Shade wrócił po nas, teleportował się, żeby przenieść nas w bezpieczne miejsce. Jego ciało materializuje się tuż przede mną, najpierw pojawiają się klatka piersiowa i głowa, następnie ręce i nogi. Brat ma wyciągnięte ramiona i wpatruje się prosto we mnie. Nie widzi ostrza. Nie wie, że umrze.

Chociaż Ptolemeusz nie zamierzał zabić Shade'a, nie zawahał się przed uśmierceniem kolejnego wroga. Dla niego to tylko jeden z wielu przeciwników, których musi pokonać w tej wojnie, kolejne ciało bez imienia i bez twarzy. Ile razy postępowałam tak samo jak on?

Prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy z tego, kim jest Shade.

Kim był.

Wiem, co zdarzy się w następnej sekundzie, ale chociaż ze wszystkich sił staram się zamknąć oczy, Samson nie pozwala mi na to. Ostrze wchodzi w ciało mojego brata gładko i czysto, przebija skórę, przeszywa mięśnie, przekłuwa serce.

Coś we mnie wybucha, a chmury pękają. Ciało Shade'a uderza o ziemię i w tym samym momencie z nieba spada mój gniew, jednak błyskawica trafia nie w zmarznięty grunt, tylko w Elarę. Królowa ginie na miejscu, strażnicy rozsypują się w popłochu. Samson nie zna litości. Przewija scenę do początku i puszcza ją od nowa. Mój brat umiera po raz kolejny.

Jeszcze raz.

I jeszcze raz.

Przy każdej powtórce Szeptacz zmusza mnie, żebym dostrzegła coś jeszcze.

Jakiś błąd. Fałszywy ruch. Decyzję, której podjęcie pozwoliłoby mi ocalić brata. Drobne szczegóły. Krok w tę stronę, obrót w drugą, nieco szybsze tempo. To najgorsza z tortur.

„Zobacz, co zrobiłaś. Zobacz, co zrobiłaś. Zobacz, co zrobiłaś”.

Jego głos rozbrzmiewa wszędzie wokół.

Przez scenę śmierci Shade’a przebijają kolejne wspomnienia, obrazy mieszają się i zlewają ze sobą, a każdy z nich gra na innym uczuciu, lęku lub słabości. Małe zwłoki znalezione w Templyn, Czerwone niemowlę zamordowane przez łowców tropiących Nowych z rozkazu Mavena. W następnej sekundzie na mojej szczęce ląduje pięść Farley. Gwardzistka wykrzykuje straszne rzeczy, obwinia mnie o śmierć Shade’a, odchodzi od zmysłów z rozpacz. Łzy ciurkiem spływają po twarzy Cala, który ściskając w drżącej dłoni miecz, przykłada ostrze do szyi ojca. Klin i skromny samotny grób Shade’a pod jesiennym niebem. Srebrni funkcjonariusze, których śmiertelnie poraziłam prądem w Corros, w zatoce Harbor, mężczyźni i kobiety, którzy jedynie wypełniali rozkazy. Nie mieli wyboru. Żadnego.

Pamiętam każdą śmierć. Każde cierpienie. Twarz mojej siostry, gdy strażnik zmiął jej dłoń. Pokrwawione kłykcie Kilorna, który się dowiedział, że czeka go pobór. Moi bracia ruszający na front. Ojciec po powrocie z wojny złamany na duchu, skazany na rozklekotany wózek inwalidzki i zamykający się we własnym świecie. Smutek w oczach matki, gdy mówiła, że jest ze mnie dumna. Kłamstwo. Teraz to już kłamstwo. I wreszcie przyprawiająca o mdłości świadomość, która przenika każdą chwilę mojego dawnego życia – że tak czy inaczej jestem skazana na śmierć.

W tej kwestii nic się nie zmieniło.

Samson skrupulatnie i z zapalem ryje w moim umyśle. Wywleka bezużyteczne wspomnienia tylko po to, by zadać mi jeszcze więcej bólu. Przed moimi oczami przesuwają się kolejne postacie, przeskakują obrazy nierozzerwalnie związane z cierpieniem. Szeptacz zalewa mnie nimi i choć nie jestem w stanie ani nie pragnę wyłowić z tej powodzi konkretnych zdarzeń, niektóre same się mnie czepiają. Twarz pułkownika, jego szkarłatne oko, usta układające się w słowa, których nie dosłyszę. Samson jednak słyszy je wyraźnie. Właśnie tego szuka. Informacji. Tajemnic, które może wykorzystać, żeby zdławić bunt. Czuję się jak jajko z pękniętą skorupką, z którego powoli wysącza się zawartość. Szeptacz wyciąga ze mnie, co mu się żywnie podoba. Wybebesza mnie, a ja nawet nie potrafię się już wstydić.

Noce, które spędziłam zwinięta w kłębek u boku Cala. Przymuszenie Cameron do tego, aby włączyła się w naszą misję. Czytane ukradkiem odrażające liściki od Mavena. Wspomnienia o lekceważonym przez ojca księciu, którego miałam poślubić. Moje tchórzostwo. Błędy. Egoistyczne decyzje, które

podejmowałam i które zaprowadziły mnie tutaj.

„Zobacz, co zrobiłaś. Zobacz, co zrobiłaś. Zobacz, co zrobiłaś”.

Wkrótce Maven pozna wszystkie moje myśli.

Tego zawsze pragnął.

Spisane odręcznie słowa płoną w moich myślach żywym ogniem.

„Tęsknię.

Do zobaczenia”.

## Rozdział 4

Cameron

Wciąż nie wierzę, że przeżyliśmy. Czasami wraca to do mnie we śnie. Patrzę, jak dwóch olbrzymich Siłaczy chwyta Mare i ją odciąga. Na dłoniach mieli rękawice ochronne, ale ona nawet nie próbowała potraktować ich błyskawicą, gdy już dobiła targu ze Srebrnymi. Jej życie za nasze. Nie spodziewałam się, że król Maven na to pójdzie. W końcu drugi w kolejce do odstrzału był jego brat wygnaniec. A jednak się zgodził. Pragnął jej bardziej niż nas wszystkich razem wziętych.

Mimo to, gdy budzę się z koszmarne snu, dalej się boję, że wróci z bandą swoich tropicieli, żeby nas pozabijać. Dopiero chrapanie reszty załogi z mojej sypialni przegania te myśli.

Upredzali mnie, że nowa kwatery główna to cholerna ruina, ale i tak spodziewałam się czegoś, co bardziej przypominałoby bazę na Klinie. Zapadła dziura odcięta od reszty świata, ale poza tym dość funkcjonalną, potajemnie odnowioną i wyposażoną we wszystkie udogodnienia, jakich może potrzebować przybierający na sile ruch wywrotowy. Klin wcale mi się nie podobał. Szare baraki i żołnierze – nawet jeśli Czerwoni, to umundurowani jak Srebrni – za bardzo przypominali mi to, co było w Corros. Wyspa wydała mi się kolejnym więzieniem. Kolejną celą, do której tym razem wpełznął mnie nie Srebrny oficer, ale Mare Barrow. Jednak przynajmniej miałam niebo nad głową. Oddychałam świeżym morskim powietrzem. W porównaniu z Corros, z Nowym Miastem i tym, gdzie tkwię obecnie, Klin był oazą spokoju i wytchnienia.

Teraz podobnie jak pozostali trzęsę się z zimna w betonowych tunelach Irabelle, twierdzy Szkarłatnej Gwardii położonej na skraju lakelandzkiego miasta Trial. Otaczające nas mury są lodowate w dotyku, z sufitów nieogrzewanych pomieszczeń zwisają sople. Paru oficerów Gwardii łązi bez przerwy za -Calem i podejrzewam, że bardziej niż czegokolwiek innego chcą się przy nim po prostu ogrzać. Ja obrałam zupełnie inną taktykę i na ile mogę, unikam tego mruka. Po co mam się zadawać ze Srebrnym księciem, który nic nie mówi, tylko rzuca mi oskarżycielskie spojrzenia.

Jak gdybym mogła ją ocalić.

Moja umiejętność, w której ledwo zdążyłam się podszkolić, nie wystarczyła. „Twoja umiejętność też nie wystarczyła, Wasza Cholerna Wysokość”, mam ochotę warknąć za każdym razem, gdy przez przypadek na niego się natknę. Jego płomienie nie zdołały pokonać króla i tropicieli. Poza tym Mare poszła ze

Srebrnymi na ugodę i to była jej decyzja. Jeśli więc Cal musi się na kogoś wściekać, niech wścieka się na nią.

Dziewczyna od błyskawic zgodziła się na wymianę, żeby nas ratować, i za to zawsze będę jej wdzięczna. Nawet jeśli była egocentryczną hipokrytką, nie zasłużyła na to, co ją spotkało.

Pułkownik wydał rozkaz ewakuacji Klinu, gdy tylko skontaktowaliśmy się z nim przez radio. Wiedział, że przesłuchanie Mare Barrow doprowadzi Srebrnych prosto na wyspę. Farley udało się przewieźć wszystkich w bezpieczne miejsca, przerzuciła ich statkami i potężnymi samolotami transportowymi skradzionymi z Corros. My byliśmy zmuszeni radzić sobie sami, prysnęliśmy więc z miejsca katastrofy i ruszyliśmy w kierunku granicy, bo tam mieliśmy się spotkać z pułkownikiem. Mówię „zmuszeni”, bo cały czas naginają mnie, żebym robiła, co każą, i szła, gdzie każą. Lecieliśmy do Duszni ratować dziecięcy legion. Wśród małolatów posyłanych na wojnę znalazł się także mój brat. Jednak kazano nam przerwać misję. „Tylko na jakiś czas”, słyszałam za każdym razem, gdy zbierałam się na odwagę i oznajmiałam, że nie ruszę się ani kroku dalej, dopóki idziemy w kierunku przeciwnym do Duszni.

Na samo wspomnienie policzki zaczynają mnie palić. Powinnam była maszerować prosto na front, linia okopów była tak blisko. Nie zatrzymaliby mnie. Nie ośmieliliby się. Powstrzymał mnie mój własny strach. Uświadomiłam sobie, co oznaczałby marsz w pojedynkę – zginęłabym na próżno. Wiem o tym, ale mimo wszystko ciągle wstyd mi za siebie. Odeszłam i znów zostawiłam brata samego.

Ponowne połączenie wszystkich sił zajęło kilka tygodni. Farley i jej oficerowie dotarli na samym końcu. Podejrzewam, że jej ojciec, pułkownik, krążył po lodowatych pokojach i korytarzach naszej nowej bazy jak lew w klatce, dopóki znów nie zobaczył córki.

Prawdę mówiąc, pojmanie Barrow też nam się na coś przydało. Złapanie jeńca wojennego takiej rangi, a do tego zamieszki w Corvium sprawiły, że wstrzymano ruch oddziałów w Duszni. Mój brat jest bezpieczny. Na tyle, na ile może być bezpieczny piętnastolatek w mundurze i z bronią w rękę. Ale na pewno grozi mu mniejsze niebezpieczeństwo niż Mare.

Nie wiem, ile razy oglądałam orędzie króla Mavena. Cal po przyjeździe rozłożył się w kącie dyspozytorni i puszczał wystąpienie brata na okrągło. Gdy widzieliśmy je po raz pierwszy, chyba wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Obawialiśmy się najgorszego. Myśleliśmy, że zaraz zobaczymy, jak Mare zostaje skrócona o głowę. Jej bracia ledwie trzymali się na nogach, z trudem powstrzymywali łzy, Kilorn nie mógł na to patrzeć i ukrył twarz w dłoniach. Gdy jednak Maven powiedział, że egzekucja to dla Mare zbyt łagodna kara, Bree zasłabł, chyba z ulgi. Tylko Cal nie odrywał wzroku od ekranu, przyglądał się wszystkiemu w grobowym milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami. W głębi duszy

wiedział, tak samo jak i my, że Mare Barrow czeka los gorszy niż śmierć.

Uklękała przed Srebrnym królem i czekała, podczas gdy on zakładał jej obrożę. Nic nie powiedziała, nic nie zrobiła. Pozwoliła nazywać się terrorystką i morderczynią na oczach całego kraju. Po cichu miałam nadzieję, że straci panowanie nad sobą i coś mu odwarknie, ale wiem, że nie mogła sobie na to pozwolić. Patrzyła tylko po zebranych, piorunowała spojrzeniem Srebrnych stłoczonych na podium. Wszyscy chcieli znaleźć się jak najbliżej niej. Niczym myśliwi ze swoim trofeum.

Maven nie wyglądał zbyt dostojnie, chociaż na głowie miał koronę. Wydawał się zmęczony, może chory. Na pewno był wściekły. Prawdopodobnie dlatego, że obok niego stała dziewczyna, która zabiła jego matkę. Szarpał za obrożę Mare, zmusił ją, żeby weszła do pałacu. Zdołała obejrzeć się przez ramię, oczy miała szeroko otwarte, wzrok świdrujący. Jednak kolejne szarpnięcie przywołało ją do porządku i od tamtej pory nie widzieliśmy jej twarzy.

Mare gnije gdzieś tam, a ja tutaj, powoli zamarzając i całymi dniami wymieniając instalację elektryczną w sprzęcie starszym ode mnie. Cholerna strata czasu.

Jeszcze przez chwilę leżę, myśląc o bracie, o tym, gdzie może być i co robić. Morrey. Mój bliźniak, chociaż podobni jesteśmy tylko z wyglądu. Trudno wytłumaczyć, jak na bezlitosnych ulicach Nowego Miasta mógł się uchować tak wrażliwy chłopak, którego cały czas mdliło od smrodu fabrycznych kominów. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, co zrobiło z nim szkolenie wojskowe. Niektórzy mówili, że robotnicy techniczni są zbyt cenni, inni, że zbyt słabi, ale efekt zawsze był ten sam – pobór nas omijał. Dopóki Szkarłatna Gwardia nie zaczęła mieszać i zabiwszy kilku Srebrnych, zmusiła starego króla, żeby i on zaczął mącić. Tak więc powołano i mnie, i brata, chociaż oboje mieliśmy pracę. I zaledwie piętnaście lat. Przekłete Środki Bezpieczeństwa, które wprowadził ojciec Cala, wszystko postawiły na głowie. Zgrupowano oddział małolatów i kazano nam wymaszerować z Miasta.

Zostaliśmy rozdzieleni niemal natychmiast. Moje imię było na jakiejś liście, a Morreya – nie. Z początku cieszyłam się, że to ja trafiłam do Corros. Brat nie przetrwałby w tych celach. Teraz jednak żałuję, że nie możemy zamienić się miejscami. Wolałabym, żeby Morrey był wolny, a ja na froncie. Co jakiś czas nękam pułkownika prośbami o wysłanie kolejnej ekipy ratunkowej, która ruszyłaby z odsieczą Małemu Legionowi, ale on nie chce o tym słyszeć.

Dlatego postanawiam prosić go jeszcze bardziej zawzięcie.

Na biodrach czuję znajomy ciężar pasa z narzędziami, które podzwaniają przy każdym kroku. Idę z determinacją i nie zamierzam nikomu dać się zatrzymać. Nikogo jednak nie spotykam, gdy maszeruję przed siebie, dojadając bułkę ze śniadania. Korytarze zieją pustką. Większość kapitanów wraz z oddziałami

wyruszyła pewnie na zwiad, by jak zwykle patrolować Trial i pogranicze. Podejrzewam, że szukają Czerwonych, którym udało się przedrzeć na północ. Część przybyłych angażuje się w działania Gwardii, ale przydatne są tylko osoby w wieku poborowym i wykwalifikowani robotnicy. Nie mam pojęcia, dokąd pułkownik odsyła całą resztę: rodziny z dziećmi, sieroty, wdowy, wdowców. Tych, którzy tylko by nam zawadzali.

Takich jak ja. Jednak celowo płaczę im się pod nogami. Żeby zwrócić na siebie uwagę.

Kanciapa pułkownika – znaczy się jego gabinet – jest piętro nad sypialniami. Nie pukam, od razu łapię za klamkę. Drzwi otwierają się, ukazując ponury, ciasny pokój o betonowych ścianach, kilka zamkniętych szafek i biurko, przy którym ktoś siedzi.

– Jest w dyspozytorni – oznajmia Farley, nie podnosząc głowy znad papierów. Palce ma uwalane tuszem, granatowe plamy ciemnieją nawet na jej nosie i pod przekrwionymi oczami. Ślęczy nad czymś, co wygląda na tajne dokumenty, zaszyfrowane wiadomości i rozkazy. Przysyłane przez Dowództwo, domyślam się, bo nieraz już słyszałam pogłoski o najwyższym szczeblu władzy w Szkarłatnej Gwardii. Niewiele wiadomo na jego temat, zwłaszcza mnie. Nikt mi tutaj nic nie mówi, chyba że dopytuję się o coś dziesiątki razy.

Przyglądam się Farley ze zmarszczonymi brwiami. Chociaż blat biurka zasłania jej brzuch, nie trzeba go widzieć, żeby zauważyć, w jakim jest stanie. Ma opuchnięte palce i twarz, a na stoliku obok niej piętrzą się trzy wymiecione do czysta talerze.

– Pewnie nie zaszkodziłoby, gdybyś od czasu do czasu trochę się przespała, Farley.

– Pewnie nie. – Moja troska wydaje się ją denerwować.

„Nie ma sprawy, rób sobie, co chcesz”. Wzdycham cicho i odwracam się do drzwi.

– Przekaż mu, że Corvium stoi na krawędzi – rzuca za mną wojowniczką. Głos ma ostry i mocny. Pobrzmiewa w nim coś więcej niż rozkaz.

Oglądam się przez ramię, unoszę brew.

– Na krawędzi czego?

– Wciąż dochodzi do zamieszek, co pewien czas pojawiają się doniesienia o zabitych Srebrnych oficerach i zagadkowych wybuchach w składach amunicji. – Mówiąc o tym, niemal się uśmiecha. Niemal. Od chwili, gdy zginął Shade Barrow, nie widziałam jej uśmiechu.

– Brzmi znajomo. Czy działa u nich Szkarłatna Gwardia?

Farley w końcu podnosi wzrok.

– Nic nam o tym nie wiadomo.

– Czyli legiony się buntują. – Czuję w piersiach gorąco, zalewa mnie fala

nadziei. – Czerwoni żołnierze...

– Tysiące Czerwonych stacjonuje w Corvium. I powoli do nich dociera, że mają przewagę liczebną nad swoimi Srebrnymi dowódcami. Czterech do jednego, co najmniej.

Czterech do jednego. W jednej sekundzie świeżo rozbudzona nadzieja przygasa. Na własne oczy widziałam, kim są i co potrafią Srebrni. Byłam ich więźniem i przeciwnikiem w walce, ale mogłam im stawić czoła tylko dlatego, że sama posiadam niezwykłą umiejętność. Czterech Czerwonych na jednego Srebrnego to misja samobójcza. Pewna śmierć. Najwyraźniej jednak Farley ma inne zdanie.

Wyczuwa moją niepewność i łagodnieje na tyle, na ile potrafi. Coś jakby brzytwa zmieniła się w zwykły nóż.

– Twojego brata nie ma w mieście. Legion Sztyletu nadal stacjonuje w Duszni.

Tkwią między polami minowymi a miastem, w którym wrze. Świetnie.

– Nie chodzi o Morreya. – „Akurat w tej chwili”. – Po prostu jakoś nie widzę tego, że uda im się przejąć miasto. Może i mają przewagę liczebną, ale Srebrni są... Srebrnymi. Kilkudziesięciu Żeleźców w mgnieniu oka załatwi setki naszych.

Przywołuję w myślach obrazy z Corvium. Widziałam miasto na krótkich nagraniach, w telewizyjnych transmisjach Srebrnych i na materiałach filmowych przemyconych przez Szkarłatną Gwardię. To bardziej forteca, twierdza otoczona murem ze złowrogiego czarnego kamienia, górująca nad północną granicą i rozciągającymi się poza nią ziemiami spustoszonej przez wojnę. Trochę przypomina miejsce, które niechętnie nazywam domem. Nowe Miasto też opasywały mury i też stacjonowali w nim strażnicy nadzorujący życie Czerwonych. Mieszkało nas tam tysiące, ale potrafiliśmy się zdobyć tylko na takie formy nieposłuszeństwa jak spóźnianie się do fabryki i wymykanie się z domu po godzinie policyjnej. Nic innego nie mogliśmy zrobić. Byliśmy słabi, nasze bezsensowne życia znaczyły tyle, co dym z kominów.

Farley wraca do pracy.

– Po prostu przekaz mu wiadomość. Będzie wiedział, co robić.

Przytakuję i zamykam drzwi, podczas gdy wojownicza bezskutecznie usiłuje stłumić ziewnięcie.

\*

– Mam wyregulować odbiorniki wideo, rozkaz kapitan Farley...

Dwóch gwardzistów strzegących wejścia do dyspozytorni rozstępuje się na boki, zanim zdążam dokończyć to samo kłamstwo co zwykle. Obydwaj odwracają wzrok, żeby nie spojrzeć mi w oczy, a ja czuję, jak oblewa mnie palący rumieniec.

Nowi przerażają ludzi tak samo jak Srebrni, jeśli nie bardziej. Zdaniem



Czerwonych ci z nas, którzy posiadają umiejętności, są równie nieprzewidywalni, potężni i niebezpieczni.

Tuż po naszym przyjeździe plotki o mnie i pozostałych zaczęły się wśród żołnierzy rozprzestrzeniać jak epidemia. „Staruszka potrafi zmieniać twarz. Ten nerwowy może omamić cię iluzjami. Mała techniczka jest w stanie zabić jedną myślą”. Okropnie jest być kimś, kogo inni się boją. A najbardziej wkurza mnie to, że wcale się im nie dziwię. Jesteśmy inni, osobliwi, mamy moce, których nie posiadają nawet Srebrni. Przypominamy przetarte kable albo maszyny z usterkami, cały czas uczymy się panować nad sobą i swoimi umiejętnościami. Kto wie, co może z nas wyleźć?

Powoli przechodzę do porządku dziennego nad zakłopotaniem, które mnie ogarnia w takich momentach, przelękam więc ślinę i przekraczam próg dyspozytorni.

Zwykle pokój wypełnia szum monitorów i buczenie radionadajników, ale dzisiaj panuje w nim zaskakująca cisza. Zakłóca ją jedynie terkot maszyny wypluwającej z siebie długi zwój papieru zadrukowany rozszyfrowaną wiadomością. Pułkownik stoi nad urządzeniem, czyta wydłużający się dokument. Bracia Mare, którzy snują się za nim niczym cienie, siedzą z boku jak na szpilkach. Zerkam na czwartą osobę w dyspozytorni i już wiem, czego dotyczy nadchodzący raport.

Informacje na temat Mare Barrow.

Inaczej Cal nie fatygowałby się tutaj.

Opiera brodę o splecione palce i jak zwykle nad czymś duma. Dni spędzone pod ziemią dały mu się we znaki, zrobił się jeszcze bledszy. Rozumiem, że czasy mamy kryzysowe, ale jako księżę powinien chyba trochę bardziej o siebie zadbać. Przydałyby mu się prysznic, maszynka do golenia i parę celnych sierpowych, które wybiłyby go z otępienia. Bez dwóch zdań zapaścił się, jeśli chodzi o wygląd, ale na pewno nie stracił żołnierskiego instynktu. Odwraca się w moją stronę, zanim pozostali zdążą zareagować.

– Cameron – stara się odezwać w miarę uprzejmie.

– Calore. – Jest wygnanym księciem. Można sobie darować tytuły. Chyba że chce się go wkurzyć.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Pułkownik Farley również nie podnosi głowy znad wiadomości, wita mnie za to teatralnym westchnieniem.

– Daruj sobie, Cameron. Nie mam ludzi ani środków na to, żeby uratować cały legion.

Poruszam ustami bezdźwięcznie, przedrzeźniając go. Powtarza te słowa niemal codziennie.

– Legion niewyszkolonych dzieci, które Maven przy pierwszej lepszej okazji pośle na rzeź – odpowiadam.

– Przypominasz mi o tym bez przerwy.

– Bo trzeba o tym przypominać... panie pułkowniku – dodaję, po czym krzywię się, słysząc własne słowa. „Panie pułkowniku”. Chociaż Gwardia traktuje mnie jak swojego człowieka, nie zostałam zaprzysiężona i nie jestem jej członkiem.

Pułkownik mruży oczy, wczytując się we fragment wiadomości.

– Została przesłuchana.

Cal zrywa się tak gwałtownie, że przewraca krzesło.

– Merandus?

Uderza we mnie fala ciepła i czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła. Nie dlatego, że obawiam się mocy Cala, ale z powodu Mare. Tego, co z nią zrobili. Ze zdenerwowania zakładam ręce za głowę i splatam je na karku, pociągając ciemne rozpuszczone włosy.

– Tak – potwierdza pułkownik. – Mężczyzna o imieniu Samson.

Książę przeklina, dość fachowo jak na koronowaną głowę.

– Co to wszystko oznacza? – ośmiela się zapytać Bree, najstarszy brat Mare.

Tramy, młodszy z braci Barrow, krzywi się.

– Merandus to ród królowej. Szeptacze, którzy czytają w myślach. Rozedrą ją na strzępy, żeby nas dopaść.

– Albo dla rozrywki – mamrocze Cal złowrogo. Obaj bracia czerwienieją na twarzy. Bree mruga, starając się powstrzymać łzy, które napływają mu do oczu. Chcę chwycić go za rękę, ale nie ruszam się z miejsca. Wystarczająco wiele osób cofało się już przed moim dotykiem.

– Dlatego Mare nie ma pojęcia o naszych działaniach poza Klinem i dlatego opuściliśmy wyspę – zapewnia szybko pułkownik. To prawda. Wycofali się z Klinu z zawrotną prędkością, odcięli się od wszystkiego, o czym mogła wiedzieć. Nawet Srebrnych, których porwaliśmy – albo uwolniliśmy, jak tam sobie kto chce – z Corros, zostawiliśmy na wybrzeżu. Przetrzymanywanie ich było zbyt niebezpieczne, nie zapanowalibyśmy nad nimi.

Zadaję się ze Szkarłatną Gwardią dopiero od miesiąca, ale znam już na pamięć ich ulubione powiedzonka. „Powstańcie, Czerwoni niczym świt”, oczywiście, oraz drugie w kolejności: „Wiesz tylko tyle, ile musisz”. Pierwsze hasło to ich motto, drugie to żelazna zasada.

– Cokolwiek im wyjawi, będą to drugorzędne informacje – dodaje pułkownik. – Nic ważnego na temat Dowództwa i niewiele więcej o naszych operacjach poza Nortą.

„Kogo to obchodzi, pułkowniku. – Gryzę się w język, zanim zdążę na niego warknąć. – Mare jest ich więźniem. Co nas obchodzi, że nie piśnie słowa o Lakelandii, Piedmoncie czy Montforcie?”

Montfort. Odległy kraj o tak zwanym ustroju demokratycznym, w którym Czerwoni, Srebrni i Nowi mają równe prawa. Raj? Na pierwszy rzut oka owszem,

ale za długo żyję na tym świecie, żebym wierzyła w takie bajeczki. Teraz pewnie wiem o tym państwie więcej niż Mare, ponieważ bliźniaki Rash i Tahir bez przerwy wychwalają swoją ojczyznę pod niebiosa. Nie jestem pierwszą naiwną i nie wierzę w tę ich paplaninę, którą czasami doprowadzają mnie do szału, zwłaszcza że ciągle dokańczają za siebie nawzajem zdania i myśli. Nierzadko mam ochotę potraktować ich obu swoją ciszą, żeby w końcu przerwać nadnaturalną więź łączącą ich umysły. Byłby to jednak szczyt okrucieństwa i głupoty. I bez takich popisów ludzie wystarczająco się nas boją.

– Czy naprawdę najbardziej obchodzi nas teraz to, co z niej wyciągną? – cedzę przez zaciśnięte zęby. Mam nadzieję, że pułkownik zrozumie, co chcę przez to powiedzieć. „Zlituj się nad jej braćmi, zdobądź się na odrobinę przyzwoitości”.

Dowódca mruga, zdrowym i zniszczonym okiem.

– Jeśli mierzi cię praca wywiadu, nie pokazuj się w dyspozytorni. Musimy wiedzieć, co z niej wyciągnęli podczas przesłuchania.

- - Samson Merandus walczy na arenach, chociaż wcale nie musi – mówi cicho Cal. Sili się na delikatność. – Lubi wykorzystywać swoją umiejętność, by zadawać ból. Jeśli to on przesłuchuje Mare... – urywa, jak gdyby nie chciał kończyć. – To będzie tortura, tak po prostu. Maven wydał ją w ręce kata.

Nawet pułkownik wygląda na poruszonego tymi słowami.

Cal wbija spojrzenie w podłogę i długo milczy.

– Nie wierzyłem, że to robi – mamrocze w końcu. – Ona pewnie też nie wierzyła, że jest do tego zdolny.

„W takim razie oboje jesteście idiotami! – wołam w duchu. – Ile razy ten padalec musi was zdradzić, żebyście wreszcie nabrali rozumu?”

– Jeszcze coś, Cameron? – pyta dowódca. Zwija papier, jak gdyby nawijał materiał na belę. Najwyraźniej pozostałe informacje nie są przeznaczone dla moich uszu.

– Chodzi o Corvium. Kapitan Farley mówi, że miasto stoi na krawędzi.

Pułkownik znów mruga.

– Powtarzasz dokładnie to, co ci kazała?

– Słowo w słowo.

Dowódca nagle przestaje się mną interesować, całą uwagę skupia na Calu.

– Wobec tego czas na ofensywę.

Pułkownik wydaje się podekscytowany, o księciu jednak nie można tego powiedzieć. Srebrny wojownik nawet nie drgnie, wiedząc, że najdrobniejszy gest mógłby zdradzić jego prawdziwe myśli. Chyba nie przyszło mu do głowy, że brak reakcji może być równie wymowny.

– Postaram się coś wymyślić – wykrztusza wreszcie. To wydaje się zadowalać pułkownika, który przytakuje skinieniem głowy, po czym zwraca się do braci Mare.

– Chyba powinniście powiadomić o wszystkim swoją rodzinę – oświadcza z podejrzaną delikatnością. – I Kilorna.

Przestępuję z nogi na nogę, czuję się nieswojo, patrząc, jak młodzi mężczyźni próbują przetrwać informację na temat losu siostry i jak mierzą się z tym, że będą musieli przekazać tę wiadomość najbliższym. Bree zaniemówił, ale Tramy znajduje w sobie siłę, aby odpowiedzieć dowódcy.

– Tak jest, panie pułkowniku. Chociaż nie wiem, gdzie ostatnio podziewa się Warren.

– Poszukaj w koszarach Nowych – podpowiadam. – Często się tam kręci.

To prawda, Kilorn większość czasu spędza z Adą, która po śmierci Kethy wzięła na siebie kolejny uciążliwy obowiązek: uczy go czytać i pisać. Chociaż osobiście podejrzewam, że Kilorn trzyma się nas, bo poza nami nie ma nikogo. Barrowowie byli dla niego jak rodzina, ale teraz wszyscy snują się niczym widma dręczone koszmarowymi wspomnieniami. Rodziców Mare w ogóle nie widuję. Trzymają się z dala od wszystkich, zagrzebali się głęboko w tunelach.

Odmeldowujemy się po kolei i jedno po drugim w ponurym milczeniu wychodzimy z dyspozytorni. Bree i Tramy z tupotem skręcają w korytarz prowadzący do kwater zajmowanych przez ich rodzinę gdzieś na drugim końcu bazy. Nie zazdroszczę im. Pamiętam krzyk mojej mamy, gdy zabierano mnie i brata. Zastanawiam się, co jest bardziej bolesne – brak wiadomości o dziecku, które znalazło się w niebezpieczeństwie, czy spływające powoli informacje o tym, jak strasznie cierpi.

Na szczęście nigdy się tego nie dowiem. Na tym dziwnym, zrujnowanym świecie nie ma miejsca na nowe dzieci, a już z pewnością nie na moje.

Z początku zwalniam, żeby Cal, który ruszył przede mną, mógł zostać sam, ale po chwili zmieniam zdanie. Prawie dorównuję mu wzrostem, dlatego bez trudu go doganiam – wystarczy trochę wydłużyć krok.

– Jeśli nie chcesz się zaangażować całym sercem, to lepiej sobie daruj, inaczej zginie wielu ludzi.

Księżę zatrzymuje się gwałtownie i obraca z takim impetem, że niemal odbijam się od jego torsu. Widziałam siłę płomieni, którymi włada, ale nigdy wcześniej nie dostrzegłam w jego spojrzeniu takiego ognia.

– Cameron, moje serce zaangażowało się samo, nie pytało mnie o zdanie – cedzi przez zaciśnięte zęby.

Górnolotne słowa. Romantyczna deklaracja. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie przewrócić oczami.

– Niezły tekst, możesz jej to wyznać, kiedy wróci – mamrocę pod nosem. Specjalnie mówię „kiedy”, a nie „jeśli”. Prawie podpalił dyspozytornię, gdy jego propozycja, aby znaleźć sposób na przekazywanie wiadomości Mare, nie została zaakceptowana przez pułkownika. Wolę ostrożniej dobierać słowa, niż skończyć

z osmalonymi brwiami i rzęsami.

Srebrny znów rusza przed siebie, dwa razy szybciej niż wcześniej, ale ja nie daję za wygraną i też przyspieszam kroku.

– Chodzi mi o to, że pułkownik ma swoich strategów... ludzi z Dowództwa... oficerów Szkarłatnej Gwardii, którzy nie mają problemu z... – znów szukam odpowiedniego określenia – ... konfliktem interesów.

Cał głośno dyszy, szerokie ramiona unoszą się i opadają ciężko. Najwyraźniej do lekcji etykiety i dystyngowanego zachowania nie przykładał się tak bardzo jak do wojskowej musztry.

– Pokaż mi oficera, który wie tyle co ja na temat taktyki Srebrnych i systemu obronnego Corvium, a z przyjemnością wycofam się z tego bagna.

– Jestem pewna, że ktoś by się znalazł, Calore.

– Ktoś, kto walczył z Nowymi? Zna wasze umiejętności? Wie, jak was wykorzystać w walce?

Jeżę się na te słowa.

– Wykorzystać – syczę. Oczywiście, że tak. Pamiętam tych, którzy nie wrócili żywi z Corros. Mare osobiście ich werbowowała, obiecując ochronę. Zamiast tego razem z Calem rzuciła nas w wir walki, do której nie byliśmy przygotowani, i szybko wyszło na jaw, że panna od błyskawic nie jest w stanie ochronić nawet samej siebie. Nix, Gareth, Ketha i inni, więźniowie, których nie zdążyłam poznać. Dziesiątki zabitych, zmiecionych z powierzchni ziemi niczym pionki z szachownicy.

Właśnie tak zawsze traktowali nas Srebrni i tak uczono Cala walczyć. Zwycięzać za wszelką cenę. Płacić krwią Czerwonych za każdą piędź zdobytej ziemi.

– Wiesz, co mam na myśli.

Prycham.

– Może właśnie dlatego nie do końca ci ufam.

„Za ostro, Cameron”.

– Słuchaj – ciągnę, zmieniając taktykę. – Wiem, że puściłabym z dymem cały ten bajzel, gdybym tylko mogła dzięki temu odzyskać brata. Na szczęście nie muszę podejmować takiej decyzji. Ale ty... ty właśnie przed takim wyborem stoisz. Chcę się upewnić, że wybierzesz dobrze.

To prawda. Oboje tkwimy w tym miejscu z takich samych powodów. Trzyma nas nie ślepe posłuszeństwo wobec Szkarłatnej Gwardii, ale nadzieja, że uda nam się z jej pomocą uratować tych, których kochamy.

Cał posyła mi krzywy uśmiech – ten sam, od którego Mare mięknęła i przez który Srebrny wygląda na jeszcze większego idiotę.

– Daruj sobie piękne słówka, Cameron. Robię wszystko, co mogę, żeby nie wpakować nas w kolejną masakrę. Wszystko. – Pochmurnieje. – Myślisz, że tylko

Srebrnym zależy wyłącznie na zwycięstwie? Widziałem raporty pułkownika. Widziałem korespondencję z Dowództwem. Słyszałem parę rozmów i wierz mi, tutaj też nie brakuje ludzi, którzy myślą dokładnie w ten sam sposób. Po trupach do celu.

„Może i racja, ale ci ludzie przynajmniej chcą sprawiedliwości”, odpowiadam w duchu.

Myślę o Farley, o pułkowniku, zaprzysiężonych żołnierzach Szkarłatnej Gwardii i Czerwonych uchodźcach, których chronią. Na własne oczy widziałam, jak przerzucają uciekinierów przez granicę. Siedziałam w odrzutowcu, który leciał do Duszni, żeby ratować dziecięcy legion. Chociaż cele, które sobie stawiają, wymagają ofiar, gwardziści to nie to samo co Srebrni. Zabijają, ale nie bez powodu.

Szkarłatna Gwardia nie działa pokojowo, jednak na pokój w tym konflikcie nie ma miejsca. Niezależnie od tego, co Cal sądzi o ich metodach i tajemnicach, Dowództwo obrało jedyną drogę, która może prowadzić do zwycięstwa nad Srebrnymi. Pobratymcy Cala sami sprowadzili na siebie ten los.

– Jeśli tak bardzo boisz się tego, co będzie w Corvium, możesz tu zostać – mówi Srebrny, wzruszając ramionami.

– I przegapić okazję na zanurzenie rąk w srebrnej krwi? – odwarkuję. Sama nie wiem, czy miał to być kiepski żart, czy jawna groźba. Zaczynam tracić cierpliwość. Wystarczy, że musiałam znosić humory naelektryzowanej panny. Nie chce mi się teraz cackać z jej burkliwym ogniomistrzem.

Jego oczy znów rozjarzają się gniewem. Zastanawiam się, czy potrafię przywołać swoją umiejętność wystarczająco szybko, żeby go unieszkodliwić. Mogłaby wyjść z tego niezła pokazówka. Ogień kontra cisza. Które z nas pierwsze by padło?

– Zabawne, że akurat ty prawisz morały o wartości ludzkiego życia. W więzieniu dwoiłaś się i troiłaś, żeby uśmiercić, ilu się da.

W więzieniu, w którym sama wcześniej byłam zamknięta. Wygłodzona i zaniedbana patrzyłam, jak ludzie wokół mnie marnieją i umierają tylko dlatego, że urodzili się... nie tacy. Zresztą byłam w niewoli, jeszcze zanim trafiłam do Corros. Pochodzę z Nowego Miasta i od dnia narodzin należę do armii robotników skazanych na harówkę w dymie i pyle, zdanych na łaskę syreny fabrycznej, wyrabiających nieludzkie normy pracy. Oczywiście, że chciałam zabić moich gnębieli. Gdybym mogła cofnąć się w czasie, zrobiłabym to ponownie.

– Nie wstydzę się tego – oznajmiam, wysuwając szczękę na znak zdecydowania.

Twardy ze mnie orzech do zgryzienia. Widzę to po minie Srebrnego. No i dobrze. Choćby nie wiem, ile mówił, nie przekona mnie do swoich argumentów. Wątpię, czy ktokolwiek da mu się przekonać. Cal to książę Norty. Może i skazany

na wygnanie, ale i tak ulepiony z zupełnie innej gliny niż my. Szkarłatna Gwardia wykorzysta w walce jego umiejętność równie chętnie jak moją, jednak ludzie z trudem tolerują jego obecność. Srebrny wojownik nie ma tu posłuchu i nawet jeśli coś mówi, jego słowa trafiają w próżnię. Tak jak teraz.

Cał bez uprzedzenia skręca w wąski boczny korytarz, jeden z wielu tworzących przepastne labirynty Irabelle. Pozwalam mu odejść, chociaż przez chwilę patrzę za nim ze zdumieniem. Przejście, w którym znika, wznosi się łagodnie w kierunku powierzchni i z tego, co wiem, nie prowadzi w żadne szczególne miejsce – dalej rozciąga się płatanina opuszczonych, nieużywanych tuneli.

Coś mi jednak nie daje spokoju. „Słyszałem parę rozmów”, powiedział. Odprowadzając spojrzeniem jego malejącą sylwetkę, czuję, jak ogarnia mnie podejrzliwość.

Przez chwilę się waham. Cał nie jest moim przyjacielem. Czasami mam wątpliwości, czy na pewno walczymy o to samo.

Jednak z drugiej strony to zwykły wkurzający arystokrata. Nie może mi nic zrobić.

Ruszam więc za nim.

Tak jak myślałam, korytarz jest opuszczony, pełen porzuconych śmieci i miejscami zupełnie ciemny, ponieważ oświetlające go żarówki dawno już się przepaliły. Nawet z daleka wyczuwam obecność Cala – zostawia za sobą rozgrzane powietrze. Temperatura robi się dzięki temu całkiem znośna i w myślach nakazuję sobie porozmawiać w najbliższym czasie z innymi technikami, którym udało się uciec. Może wymyślimy sposób, żeby ogrzewać niższe korytarze sprężonym powietrzem.

Przyglądam się przewodom, które ciągną się pod sufitem, liczę kable. Jest ich więcej niż to konieczne do podłączenia paru żarówek.

Zwalniam, widząc, że Cał się zatrzymuje, po czym ramieniem odpycha spod ściany drewniane palety i jakiś złom. Gdy wszystkie graty są już usunięte, dostrzegam drzwi, za którymi znikają biegnące pod sufitem przewody. Książę chowa się w tajemniczym pomieszczeniu, zamyka za sobą drzwi, a ja ośmielam się podejść nieco bliżej.

Przyglądam się bacznie płataninie kabli i nagle doznaję olśnienia: są ułożone w sekwencji typowej dla drutów radiowych. Charakterystyczna wiązka czarnych przewodów oznacza, że pokój za drzwiami jest wyposażony w urządzenia, które umożliwiają komunikowanie się ze światem zewnętrznym z miejscami znajdującymi się poza tunelami Irabelle.

Ale z kim Cał mógłby się kontaktować?

W pierwszym odruchu mam ochotę pobiec z moim odkryciem prosto do Farley albo Kilorna.

Jednak zaraz potem przychodzi mi do głowy kolejna myśl... jeśli Srebrny wojownik uważa, że dzięki swoim knowaniom powstrzyma mnie i tysiące innych od samobójczego ataku na Corvium, to może nie powinnam mu w tym przeszkadzać.

Mam nadzieję, że nie pożałuję swojej decyzji.



## Rozdział 5

### Mare

Dryfuję w morzu ciemności, a ze mną dryfują widma.

Może to wspomnienia. Może sny. Znajome, a jednocześnie obce i w każdym dzieje się coś złego. Oczy Cala nabiegają srebrną krwią, lśniąco żyłki pulsują gorącem, zaczynają dymić. Twarz mojego brata bardziej przypomina czaszkę niż żywe ciało. Tata wstaje z wózka, ale jego nowe nogi są chude jak patyki, guzowate i drżą, jak gdyby lada chwila miały się rozpaść na drzazgi. Gisa trzyma w obu dłoniach metalowe szpilki, usta ma zaszyte. Kilorn tonie w rzece zamotany w swoje idealnie splecione sieci. Z poderżniętego gardła Farley zwisa czerwona szmata. Cameron rozszarpuje sobie palcami szyję, usiłuje coś powiedzieć, ale jej własna cisza czyni z niej niemowę. Na skórze Evangeline wyrastają metalowe łuski i pokrywają ją całą, zamykają jak w puszcze. Maven osuwa się na swój dziwny tron, który go pochłania i przemienia w kamień, w nieruchomy posąg o szafirowych oczach i diamentowych łzach.

Na krańcach pola widzenia majaczy fioletowy kolor. Poznaje go, wiem, co oznacza, i staram się po niego sięgnąć. Błyskawica jest tak blisko. Gdybym tylko mogła przypomnieć sobie jej smak, jej moc, zanim znów zanurzę się w otchłani mroku. Jednak ona również znika, rozplywa się tak samo jak pozostałe obrazy. Spodziewam się, że teraz zostaną już tylko ciemność i chłód, ale zamiast tego czuję przypływ gorąca.

Maven jest tak blisko, że trudno to znieść. Błękitne oczy, czarne włosy, trupioblada twarz. Jego dłoń zatrzymuje się parę centymetrów od mojego policzka. Drży, pragnie mnie dotknąć, a jednocześnie pragnie się odsunąć. Nie wiem, co ja bym wolała.

Wydaje mi się, że śpię. Ciemność i światło pojawiają się na zmianę, ciągną się w nieskończoność. Próbuję się poruszyć, ale ręce i nogi mam zbyt ciężkie. Paraliżują mnie kajdany albo strażnicy, a może i jedno, i drugie. Czuję się przytłoczona jeszcze bardziej niż wcześniej i koszmarne wizje są moją jedyną ucieczką. Staram się przywoływać tych, którzy najwięcej dla mnie znaczą – Shade'a, Gisę, rodziców i braci, Cala, Kilorna, błyskawicę. Czasami są tak blisko, że próbuję ich dotknąć, ale zawsze mi się wymykają i nikną. Maven również się pojawia, jednak do niego nigdy nie podchodzę, a on nie zbliża się do mnie. Siedzi, jedną dłonią masuje sobie skroń i wpatruje się we mnie nieruchomo. Nie mruga.

Mijają lata albo sekundy. Ucisk łagodnieje. Umysł mi się rozjaśnia. Otumaniająca mgła rzednie. Pozwolono mi się obudzić.

Chce mi się pić, odwodniłam się, wylewając gorzkie łzy, których nie pamiętam. Jak zwykle przygniata mnie obezwładniający napór ciszy. Przez chwilę nie mogę złapać oddechu i zastanawiam się, czy taką właśnie śmierć mi zgotowano. Uduśzę się, leżąc w jedwabnej pościeli, spłonę w ogniu pasji Mavena, udławię się powietrzem.

Znajduję się z powrotem w komnacie, która służy mi za celę. Może byłam w niej cały ten czas. Wlewające się przez okno białe światło oznacza, że znów padał śnieg, a na zewnątrz króluje roziskrzona zima. Gdy moje oczy przyzwyczajają się do jasności i zaczynam wyraźniej widzieć pokój, ostrożnie się rozglądam. Poruszam jedynie gałkami ocznymi, nie chcę tak od razu wzbudzić zainteresowania. Oczywiście nie udaje mi się to.

Arvenowie stróżują przy czterech rogach łóżka, każdy wlepia we mnie wzrok. Kocica, Koniczyna, Trzeciak i Jajo. Wymieniają spojrzenia, gdy mrugam i przyglądam im się badawczo.

Nie dostrzegam nigdzie Samsona, chociaż spodziewam się zobaczyć jego sylwetkę i złośliwy uśmiech oraz poczuć brutalne powitanie. Jednak zamiast niego w nogach łóżka widzę drobną kobietę o cerze sinej i lśniącej niczym wypolerowany klejnot. Nie rozpoznaję jej twarzy, chociaż rysy ma znajome. Po chwili dociera do mnie, że obręcze, które obejmują moje kostki, to nie kajdany, ale dłonie. Jej dłonie. Ich uścisk działa kojąco, przynosi ulgę rozpalonej skórze i obolałym kościom.

Poznaję kolory kobiety. Na ramionach prostej sukni widnieją skrzyżowane czerwone i srebrne pasy symbolizujące dwa rodzaje krwi. To Uzdrowicielka Ciała. Z domu Skonos. Jej dotyk leczy – lub przynajmniej pozwala mi utrzymać się przy życiu pomimo ciszy, która atakuje mnie z czterech stron. Gdyby nie Uzdrowicielka napór mocy Arvenów mógłby okazać się dla mnie śmiertelny. Jej obecność gwarantuje delikatną równowagę. Musi być bardzo utalentowana. Ma takie same oczy jak Sara. Świetliste, ciemnoszare, pełne energii.

Kobieta jednak nie patrzy na mnie, kieruje wzrok na prawo od łóżka.

Podążam za jej spojrzeniem i wzdrygam się.

Maven siedzi w takiej samej pozycji, w jakiej mi się śnił. Skoncentrowany, z dłonią przy skroni. Drugą ręką wykonuje władczy gest.

W odpowiedzi pojawiają się prawdziwe kajdany. Strażnicy szybko zakładają na moje nadgarstki i kostki dziwne okowy zrobione z metalu splecionego niczym warkocz, wysadzanego gładko wypolerowanymi kulkami, po czym każdą z nich zamykają obręcze. Staram się przyglądać całej procedurze, ale wciąż jestem otumaniona i nie udaje mi się nadążyć za ruchami klucza. Lśniący przedmiot pojawia się i znika, jedynie kajdany są cały czas obecne. Czuję ich ciężar i zimno. Spodziewam się, że na tym się nie skończy, i czekam, aż założą mi na szyję nową obrozę, jednak na szczęście nic takiego się nie dzieje. Wysadzana klejnotami

kolczatka nie wraca.

Ku mojemu bezgranicznemu zdumieniu Uzdrawicielka i strażnicy zostawiają mnie i wychodzą z komnaty. Przyglądam im się z oszołomieniem, a jednocześnie czuję rosnące podekscytowanie. Serce zaczyna mi bić jak szalone. Naprawdę są aż takimi głupcami? Zostawią mnie sam na sam z Mavenem? Czyżby myślał, że nie będę próbowała go zabić przy pierwszej lepszej sposobności?

Obracam się do niego, próbuję wstać z łóżka, jednak jakikolwiek szybszy ruch okazuje się niemożliwy. Udaje mi się jedynie dźwignąć i usiąść, na więcej nie pozwala mi ciało – mam wrażenie, że zamiast krwi w moich żyłach płynie ołów. Już po chwili rozumiem dlaczego.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co chciałabyś ze mną zrobić – Maven ścisza głos niemal do szeptu.

Zaciskam pięści, palce mi drżą. Sięgam po moc, która wciąż nie przychodzi. Nie może przyjść.

– Znów Cichy Kamień – wypływam tę nazwę niczym przekleństwo. Wypolerowane kule na metalowych bransoletach połyskują złowrogo. – Pewnie powoli kończą się wam jego zapasy.

– Doceniam twoją troskę, ale nasze zapasy są duże.

Podobnie jak w celach pod Kościńcem nie mogę się powstrzymać, żeby nie plunąć mu pod nogi. Maven jednak nic sobie z tego nie robi. Na jego usta wypełza uśmiezek.

– Na twoim miejscu darowałbym sobie takie zagrania. Sąd nie będzie patrzył na nie przychylnie.

– Sąd? – bełkoczę.

Uśmiech króla staje się jeszcze szerszy.

– Słuch cię nie myli.

Widok jego wyszczerzonych zębów napawa mnie obrzydzeniem.

– Świetnie – mówię. – Pewnie znudziło ci się trzymać mnie w niewoli z dala od siebie.

– Prawdę mówiąc, trudniej mi być tak blisko ciebie. – W jego oczach czai się coś, czego wolę nie nazywać.

– Podzielam to uczucie – warczę choćby po to, żeby go sprowokować. Nie mogę znieść tej jego dziwnej łagodności. Wolę stawić czoła płomiennym wybuchom, patrzeć na jego gniew, niż choćby chwilę dłużej słuchać cichego głosu.

Maven nie połyka haczyka.

– Wątpię.

– Gdzie się podziała moja smycz? Dostanę nową?

– Nie będzie smyczy ani obroży. – Ruchem brody wskazuje moje kajdany. – Wystarczą one.

Nie mam pojęcia, do czego zmierza. Jednak już dawno temu przestałam

próbować zrozumieć Mavena Calore i przeniknąć jego pokręcony umysł. Dlatego pozwalałam mu mówić. Przypuszczam, że jak zwykle wygada się z tym, co mnie interesuje.

– Twoje przesłuchanie okazało się bardzo owocne. Wiele się dowiedzieliśmy o was, o terrorystach, którzy nazywają się Szkarłatną Gwardią. – Oddech zamiera mi w piersiach. Co takiego wyszperali? Co przegapiłam? Usiłuję przypomnieć sobie sprawy, o których wiem i które mogłyby najbardziej zaszkodzić moim przyjaciółom. Klin, bliźniaki z Montfortu, umiejętności Nowych? – Okrutni z nich ludzie, prawda? – ciągnie Maven. – Zawzięli się zniszczyć wszystko i wszystkich, którzy różnią się od nich.

– O czym ty mówisz? – Owszem, pułkownik swojego czasu mnie uwięził i do tej pory obawia się mnie, ale teraz jesteśmy sojusznikami. Jakie to ma dla Mavena znaczenie?

– O Nowych, oczywiście.

Nadal nie rozumiem. Czerwoni posiadający umiejętności powinni młodocianego króla obchodzić tyle co dokuczliwe szkodniki, które należy wytępić. Na początku zaprzeczał naszemu istnieniu, nazywał mnie oszustką. Teraz staliśmy się zagrożeniem numer jeden. Wybrykami natury, dziwolągami, których należy się bać i które należy zlikwidować.

– To przykre, że staruszek, który nazywa się pułkownikiem, potraktował cię tak, że musiałaś od niego uciec. – Mavena najwyraźniej bawi ta sytuacja, ujawnia mi swój plan po kawałku, jak gdyby chciał, abym sama ułożyła go w głowie. Ja jednak wciąż nie myślę zbyt jasno, czuję się osłabiona i nie potrafię odgadnąć, do czego zmierza. – Najgorsze, że chciał cię wysłać w góry, pozbyć się ciebie jak śmiecia. – Montfort. Ale to nie było tak, jak mówi Maven. Nie taki cel przyświecał pułkownikowi. – I oczywiście bardzo się zmartwiłem, gdy poznałem prawdziwe intencje Szkarłatnej Gwardii. Nadejście Czerwonego świtu, stworzenie Czerwonego świata, w którym nie będzie miejsca na nic innego. Na nikogo innego.

– Maven. – Mój głos drży ze wściekłości. Gdyby nie kajdany, które wysysają ze mnie całą energię, wybuchłabym gniewem. – Nie możesz...

– Czego nie mogę? Powiedzieć prawdy? Wyjawić mieszkańcom królestwa, że Szkarłatna Gwardia przywabia do siebie Nowych tylko po to, by ich zabić? Dokonać eksterminacji, zmieść z powierzchni ziemi i was, i nas? Że osławiona buntowniczką Mare Barrow wróciła do mnie dobrowolnie i że tego wszystkiego dowiedzieliśmy się w trakcie przesłuchania, podczas którego nie można ukryć prawdy? – Nachyla się do mnie, mam go na wyciągnięcie ręki i z łatwością mogłabym go uderzyć, gdyby tylko starczyło mi sił. Ja jednak ledwie mogę ruszyć palcem. – Że teraz jesteś po naszej stronie, ponieważ przejrzałaś Szkarłatną Gwardię? Ponieważ ciebie i twoich Nowych Czerwoni boją się tak samo jak nas? Bo rzeczywiście jesteście tacy jak my, obdarzeni takim samym błogosławieństwem

mocy, a jedyną różnicę między nami stanowi kolor krwi.

Poruszam szczęką, bezgłośnie otwieram i zamykam usta. Nie potrafię znaleźć słów, żeby wyrazić przerażenie, które mnie ogarnęło. To wszystko uknuł bez podszeptów Elary. Cała intryga powstała bez pomocy królowej, która od dawna gryzie ziemię.

– Jesteś potworem – wykrztuszam w końcu. – Potworem zerwanym z uwięzi. Maven prostuje się, z jego twarzy nie znika uśmiech.

– Nigdy więcej nie mów mi, że nie mogę czegoś zrobić. I nigdy nie lekceważ tego, co jestem w stanie zrobić dla dobra mojego królestwa.

Zbliża rękę do mojego nadgarstka, przesuwając palcem po bransolecie z Cichego Kamienia, która mnie zniewala. Trzęsę się ze strachu, ale on również drży.

Wpatruje się w moją dłoń, ja zaś przyglądam się jemu. Jak zwykle jest ubrany na czarno, tyle że dziś ma na sobie codzienny strój, do tego pomięty. Darował sobie koronę i inne atrybuty władcy. Przede mną siedzi zwykły chłopak – nawet jeśli nikczemny, to wciąż tylko chłopak.

A ja muszę wymyślić, w jaki sposób go pokonać. Jednak żeby kogoś pokonać, trzeba walczyć, a jak ja mam walczyć? Jestem słaba, pozbawiona błyskawicy i cokolwiek powiem, może zostać przeinaczone, obrócone przeciwko mnie. Z trudem trzymam się na nogach, o ucieczce o własnych siłach mogę jedynie pomarzyć. Czekanie na wybawienie to strata czasu, nie ma co dłużej się łudzić, że ktoś przyjdzie mi z odsieczą, ponieważ przeprowadzenie akcji ratunkowej w Pałacu Białego Ognia jest niemożliwe. Utknęłam tutaj na dobre, wpadłam w sidła śmiertelnie groźnego, przewrotnego króla. Tropił mnie od miesiący, prześladował na odległość swoimi orężami i morderczymi liścikami.

„Tęsknię. Do zobaczenia”.

Powiedział, że zawsze dotrzymuje danego słowa. Być może pod tym jednym względem rzeczywiście.

Biorę głęboki wdech i celuję w miejsce, które wydaje mi się jego czułym punktem.

– Byłeś tutaj?

Błękitne oczy wpatrują się we mnie badawczo. Tym razem to on wygląda na zmieszanego.

– Przez cały ten czas. – Zerkam na łóżko, potem nieobecny wzrokiem wyglądam przez okno. Na samo wspomnienie tortur Samsona przeszywa mnie niewysłowny ból i mam nadzieję, że to widać. – Śniło mi się, że tutaj byłeś.

Fala ciepła odpływa, komnatę owiewa chłód nadchodzącej zimy. Patrzę na czarne rzęsy odcinające się od białej skóry, widzę, jak trzepoczą. Przez chwilę przypomina mi się dawny -Maven, ten, który okazał się iluzją. Znowu do mnie wrócił jak sen, widmo przeszłości.

– Nie przegapiłem ani sekundy – odpowiada.

Gdy na jego policzki występuje szary rumieniec, wiem, że mówi prawdę.

I już wiem, w jaki sposób mogę go zranić.

Udawanie snu przychodzi mi z trudem, ponieważ przez otumaniającą moc kajdan naprawdę chce mi się spać. Zaciskam pięści pod kołdrą, wbijam paznokcie w dłonie i liczę sekundy. Liczę oddechy Mavena. W końcu jego krzesło skrzypi. Król wstaje. Waha się. Niemal czuję jego palące spojrzenie na mojej nieruchomej twarzy. W następnej chwili odchodzi, słyszę ciche kocie kroki i delikatne szczęknięcie zamykających się drzwi.

Tak bardzo chce mi się spać.

Mimo to czekam.

Mijają dwie minuty, ale Arvenowie nie wracają.

Najwyraźniej uznali, że kajdany są równie skuteczne jak całodobowa straż.

Bardzo się pomylili.

Nogi mi się trzęsą, gdy spuszczam je na podłogę, bosymi stopami dotykam zimnego drewnianego parkietu. Nie obchodzi mnie, czy obserwują mnie kamery. Nie mogą mi zabronić chodzenia. Lub przynajmniej prób chodzenia.

Nie znoszę działać powoli. Zwłaszcza teraz, gdy liczy się każda minuta. Każda chwila zwłoki może równać się wyrokowi śmierci dla moich bliskich. Dlatego odpycham się od krawędzi łóżka i zmuszam do tego, by stanąć na słabych, drżących nogach. Czuję się dziwnie, Cichy Kamień ciąży mi na kostkach i nadgarstkach, wysysa ze mnie resztkę sił, którą czerpię z gniewu. Przez dłuższą chwilę mierzę się z tym balastem. Wątpię, żebym mogła się do niego przyzwyczaić. Ale mogę robić swoje pomimo niego.

Pierwszy krok jest najłatwiejszy. Gwałtowny wypad do przodu, w stronę stołu, przy którym jem posiłki. Drugi sprawia większą trudność, ponieważ już wiem, ile wysiłku będzie mnie kosztował. Kuśtykam niczym pijak albo kuternoga. Przez ułamek chwili zazdroszczę tacie wózka. Wstyd, że takie myśli przychodzą mi do głowy, jest dobrą motywacją do wykonania kolejnego kroku, prowadzącego na drugi koniec komnaty. Dysząc, docieram do ściany i niemal osuwam się po niej. Nogi palą mnie żywym ogniem, po kręgosłupie ścieka mi stróżka potu. Czuję się tak, jak gdybym przebiegła sprintem półtora kilometra. Tyle że do tego dochodzą jeszcze mdłości. Kolejny skutek uboczny Cichego Kamienia. Jego działanie sprawia, że serce bije mi coraz ciężiej i rozpaczliwiej. Jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi.

Dotykam czołem obitej panelami ściany, jej chłód przynosi ukojenie.

– Dalej – wyduszam z siebie.

Obracam się i niepewnym krokiem ruszam z powrotem.

„Dalej”.

„Dalej”.

„Dalej”.

Gdy Kocica i Trzeciak przynoszą mi lunch, jestem złana potem i muszę jeść, leżąc na podłodze. Kocica wydaje się tym nie przejmować, talerz z posiłkiem złożonym z obfitej porcji mięsa i warzyw podsuwa mi stopą. Cokolwiek dzieje się poza murami miasta, najwyraźniej nie ma wpływu na zapasy żywności. To niezbyt dobra wiadomość. Trzeciak zostawia mi coś jeszcze na łóżku, ale na razie skupiam się na jedzeniu. Wmuszam je w siebie w całości, kawałek po kawałku.

Trochę łatwiej mi wstać. Mięśnie zaczynają reagować, przystosowują się do kajdan, a ja powoli dostrzegam zalety obecnej sytuacji. Arvenowie to żywe istoty, ich umiejętność zależy od natężenia koncentracji, zatem intensywność ich mocy jest zmienna. O wiele trudniej przystosować się do niej niż do jednostajnego ucisku Kamienia.

Rozrywam pakunek zostawiony na łóżku i rzucam na podłogę gruby, elegancki papier pakowy. Delikatny materiał przeslizguje mi się między palcami, spływa na pościel. Cofam się o krok, nieruchomieję i ogarnia mnie znajome pragnienie, aby wyskoczyć przez okno. Przymykam oczy, siłą woli staram się sprawić, żeby suknia zniknęła.

Nie dlatego, że jest brzydka. To wyjątkowo piękna kreacja, uszyta z lśniącego jedwabiu, wysadzana błyszczącymi klejnotami. Jednak jej widok sprawia, iż dociera do mnie potworna prawda. Do tej pory mogłam lekceważyć słowa Mavena, jego plany i zamiary. Teraz wszystko to wróciło do mnie pod postacią arcydzieła sztuki krawieckiej, które wydaje się śmiać mi w żywe oczy. Materiał jest czerwony. „Jak świt”, podpowiada mi coś w duchu. Jednak to nie tak. Barwa sukni nie przypomina odcienia kojarzonego ze Szkarłatną Gwardią. Nasza czerwień jest wściekła, jaskrawa, rozpoznawalna z daleka i wręcz szokująca. Szata, która leży przede mną, wygląda inaczej. Została uszyta z tkaniny w ciemniejszych odcieniach, karminowym i pąsowym, ozdobiona koralikami ze szlachetnych kamieni i misternymi haftami. Mieni się ponuro niczym odbijająca świetlne refleksy kałuża krwi.

Czerwonej krwi.

Ta suknia sprawi, że nie sposób będzie zapomnieć, kim jestem.

Ogarnia mnie pusty śmiech. To rzeczywiście niemal zabawne. Jako narzeczona Mavena byłam zmuszona ukrywać swoją prawdziwą tożsamość, udawać Srebrną. Teraz przynajmniej nie będę musiała pod nikogo się podszywać. Cóż za szczęśliwa odmiana losu.

Pokażę się jego dworzanom i światu w kolorze swojej krwi. Zastanawiam się, czy ludzie odgadną, że jestem zwykłą przynętą, za którą czai się haczyk ostry jak stal.

\*

Maven wraca dopiero następnego ranka. Po wejściu marszczy brwi, gdy dostrzega zwiniętą byle jak i rzuconą w kącie suknię. Nie mogłam na nią patrzeć. Na niego też nie mogę, kontynuuję więc gimnastykę: powolne, niezgrabne brzuszki. Czuję się jak niezdarne dziecko, które dopiero uczy się koordynować pracę ciała. Ramiona ciężą mi niczym ołowiane odważniki, ale zmuszam się do kolejnych ruchów. Gdy Maven podchodzi do mnie, zaciskam pięść i marzę, żeby cisnąć w niego błyskawicą. Oczywiście nie pojawia się najmniejsza nawet iskra, tak samo jak nie pojawiała się kilkadziesiąt razy wcześniej, gdy próbowałam ją przywołać.

– Miło widzieć, że dobrze je wyważyli – oznajmia, moszcząc się w swoim fotelu przy stole. Dzisiaj wygląda wytwornie, na jego piersi lśnią baretki i odznaki. Najwyraźniej wychodził na zewnątrz. Na włosach ma śnieg, na dłoniach skórzane rękawice, które zdejmuję, chwytając zębami za ich palce.

– Och tak, te bransoletki są wprost urocze – odwarkuję, machając w jego stronę jedną ociężałą ręką. Kajdany są na tyle luźne, aby mogły się przesuwają, ale wystarczająco ciasne, bym nie mogła ich zdjąć, nawet jeśli przyszłoby mi do głowy wykręcić sobie kciuk. Przez chwilę rozważałam tę opcję, ale doszłam do wniosku, że nic by to nie dało.

– Przekażę wyrazy uznania Evangeline.

– Oczywiście, to jej dzieło – prychnę. Pewnie pęka z radości, że mogła wykuć dla mnie przenośne więzienie. – Chociaż dziwne, że znalazła na nie czas. Zapewne w każdej wolnej chwili projektuje kolejne modele koron i diademów, które będzie niedługo nosić. Założę się, że za każdym razem, gdy musisz chwycić ją za rękę, o coś się kaleczysz.

Pojedynczy mięsień w jego policzku drga. Maven nie przepada za Evangeline, zawsze o tym wiedziałam. I teraz bez trudu mogę to wykorzystać.

– Ustaliliście datę? – pytam, siadając.

Spojrzenie błękitnych oczu krzyżuje się z moim.

– Co takiego?

– Ślub królewskiej pary raczej nie może się odbyć z dnia na dzień. Na pewno już wiesz, kiedy żenisz się z Samos.

– Ach, o to chodzi. – Wzrusza ramionami i zbywa mnie machnięciem dłoni. – Planowanie ceremonii to jej sprawa.

Nie odwracam wzroku.

– Gdyby to naprawdę od niej zależało, od miesięcy byłaby już królową. – Maven milczy, więc naciskam go mocniej. – Nie chcesz się z nią ożenić.

Myślałam, że mina mu zrzednie, ale jego rysy twardnieją, a z gardła dobywa się zdławiony chichot, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że jest ponad te wszystkie bzdury.

– Dobrze wiesz, z jakich powodów Srebrni łączą się w pary.

Zmieniam taktykę i znów uderzam, starając się trafić w jego niegdyś czułą



strunę. Być może pewne miejsca pozostały wrażliwe.

- Cóż, nie dziwię się, że grasz na zwłokę...
- Odkładanie ślubu w czasie, gdy toczy się wojna, to nie jest gra na zwłokę.
- Nie jest twoją wybranką...
- W tej kwestii nie chodzi o wybór.
- Nie wspominając o tym, że zanim stała się twoja, miał ją Cal.

Wzmianka o bracie ucina niemrawą sprzeczkę. Niemal widzę, jak Maven napręża mięśnie, porusza ręką, na której nosi bransoletę. Cichy szcęk metalowego przedmiotu jest niczym brzęczenie ostrzegawczego dzwonka. Jedna iskra skrzesana przez bransoletę wystarczy, żeby Płomienny spopielił wszystko dookoła.

Jednak ogień mnie już nie przeraża.

– Widząc, jak sobie radzisz, przypuszczam, że za dzień lub dwa nauczysz się z nimi chodzić. – Jego słowa są wyważone, wymuszone, sztuczne. Prawdopodobnie ćwiczył je, zanim tu przyszedł. – A wtedy w końcu na coś mi się przydasz.

Jak co dzień rozglądam się po komnacie, wypatrując kamer. Nadal ich nie widzę, ale muszą być gdzieś tu ukryte.

– Cały dzień szpiegujesz mnie osobiście czy strażnicy zdają ci raport? Może przysyłają meldunki na piśmie?

Maven ignoruje moją uwagę.

– Jutro staniesz przed sądem i powiesz dokładnie to, co ci każę.

– Inaczej co? – Dźwigam się na nogi bez śladu gracji i zwinności, którą kiedyś się chlubiłam. Maven nie spuszcza mnie z oka. – Jestem już twoim więźniem. Możesz zabić mnie, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota. I szczerze mówiąc, wolałabym taki koniec niż patrzeć, jak wabisz Nowych w śmiertelną pułapkę.

– Nie zabiję cię, Mare. – Mimo że wciąż siedzi, czuję się tak, jakby nade mną górował. – I wcale nie chcę zabić twoich ludzi.

Rozumiem słowa, które wypowiada, ale nie pojmuję tego, co mówi. To bez sensu. Zupełnie bez sensu.

– Dlaczego?

– Nigdy nie będziesz dla nas walczyć, wiem o tym. Ale tacy jak ty... są silni, silniejsi od wielu Srebrnych. Wyobraź sobie, czego dokonamy, tworząc z nich armię, która połączy siły z moim wojskiem. Gdy do nich przemówisz, pójdą za tobą. To, w jaki sposób będą traktowani, zależy oczywiście od twojego zachowania. I posłuszeństwa. – W końcu się podnosi. Urósł w ciągu ostatnich miesięcy. Jest wyższy i szczuplejszy, podobny do matki, nie tylko zresztą z wyglądu. – Istnieją zatem dwie drogi i ty wskażesz tę, którą mam obrać. Albo przyprowadzisz mi Nowych i przyłączycie się do nas, albo będę ich znajdował, jednego po drugim, i zabijał.

Policzek, który mu wymierzam, przypomina delikatne klepięcie. Drugą ręką uderzam go w piersi, równie słabo. Moje próżne wysiłki niemal go rozbawiają. Może nawet sprawiają mu przyjemność.

Czuję, że oblewam się jaskrawym rumieńcem gniewu i bezsilności.

– Jak możesz? – wykrztuszam. W tym momencie najbardziej na świecie pragnę rozdrzeć go na strzępy. Gdyby nie kajdany, moja błyskawica uderzyłaby w niego z zabójczą siłą. Zamiast niej wyrzucam z siebie słowa. Nieprzemysłane i niezamierzone. – Jak możesz dalej to wszystko robić? Ona nie żyje. Zabiłam ją. Jesteś wolny. Nie musisz... nie powinieneś być dłużej jej synem.

Na podbródku czuję jego dłoń i zdumienie odbiera mi mowę. Chwył mnie z taką siłą, że wyginam się do tyłu i niemal tracę równowagę. Szkoda, że nie upadłam. Chciałabym wyrwać się z jego rąk, uderzyć o podłogę i roztrzaskać na tysiąc kawałków.

Kiedyś, jeszcze na Polanie, leżąc na ciepłym pościeliu, które dzieliłam z Calem, rozmyślałam nocami o chwilach takich jak ta. Gdy zostawałam sam na sam z Mavenem. Gdy mogłam zobaczyć jego prawdziwe oblicze skrywane pod maską, którą nakładał na życzenie matki. W tej dziwnej przestrzeni między jawa a snem jego oczy wpatrywały się we mnie. Zawsze miały ten sam kolor, a jednocześnie zmieniały się. Były to jego oczy i oczy jego matki, oczy, które znałam i których nie mogłam poznać. Teraz wyglądają tak samo, płoną lodowatym ogniem, jak gdyby chciały mnie pochłonąć.

Wiem, co pragnie ujrzeć, pozwalam więc, aby łzy bezradności wezbrały i spłynęły mi po policzkach. Maven przygląda im się łapczywie.

W następnej chwili odpycha mnie, a ja zataczam się i upadam na kolana.

– Jestem tym, kogo stworzyła – szepcze, po czym odwraca się i odchodzi.

Zanim zdąży zamknąć drzwi, dostrzegam strażników stojących na zewnątrz po obu stronach wejścia. Tym razem to Koniczyna i Jajo. Zatem Arwenowie cały czas mnie pilnują, na wypadek gdybym jakimś cudem zdołała się wyswobodzić z kajdan.

Powoli siadam na piętach, zasłaniam ręką twarz, aby ukryć oczy, z których nagle przestały mi płynąć łzy. Chociaż pragnęłam wierzyć, że śmierć Elary go zmieni, w głębi ducha wiedziałam, że tak się nie stanie. Nie jestem idiotką. Nie mogę ufać Mavenowi w niczym.

Czuję, że coś mnie uwiera w zaciśniętą dłoń. Cichy Kamień nie zagłuszył we mnie złodziejskiego instynktu. Metalowa szpilka odznaki, którą zdjęłam z piersi Mavena, kłuje mnie w skórę. Mam ochotę zewrzeć palce jeszcze mocniej, pozwolić, żeby małe ostrze wbiło się w ciało, a z mojej dłoni pociekła pąsowa krew, co przypominałoby mi i każdemu, kto mnie obserwuje, kim jestem i do czego jestem zdolna.

Wstając, opieram się o łóżko, żeby po kryjomu wsunąć odznakę pod

materac. Tam, gdzie znajdują się pozostałe łupy: wsuwki do włosów, połamane widelce, odłamki szkła i porcelanowej zastawy. Ten skromny arsenał będzie musiał mi wystarczyć.

Gniewnym spojrzeniem obrzucam leżącą w kącie suknię, jak gdyby to wszystko była jej wina.

„Jutro”, powiedział.

Wracam do robienia brzusków.

## Rozdział 6

### Mare

Na kartkach starannie wydrukowano słowa, które mam wypowiedzieć. Nie mogę na nie patrzeć, zostawiam je na nocnym stoliku.

Wątpię, czy będę mogła skorzystać z pomocy pokojówki, żeby ubrać się w strój, w którym z woli Mavena mam się pokazać przed sądem. Włożenie na siebie szkarłatnej sukni wydaje się żmudnym zajęciem. Wszyto w nią mnóstwo guzików, suwaków, wysoki kołnierz, ciągnący się po ziemi rąbek i długie rękawy, które mają za zadanie ukryć nie tylko obojczyk naznaczony znamieniem Mavena, ale i kajdany obejmujące nadgarstki i kostki.

Choćbym nie wiem ile razy starała się uciec od pompy i parady, wydaje się, że jestem na nie skazana. Jeśli nawet wciągnę na siebie tę kreację, na pewno okaże się za duża, luźna w ramionach i talii. Schudłam, chociaż zmuszam się do jedzenia. Przeglądam się w okiennej szybie i z tego, co widzę w niewyraźnym odbiciu, działanie Cichego Kamienia odbiło się również na moich włosach i cerze. Twarz mam pożółkłą, niezdrową, policzki zapadnięte, oczy zaczerwienione. Z kolei ciemnobrązowe włosy o siwych końcówkach wydają się bardziej skołtunione i splątane niż kiedykolwiek wcześniej. Szybko odgarniam zmierzwiłone kosmyki do tyłu i splatam je w warkocz.

Żaden jedwab nie zmieni tego, jak naprawdę wyglądam. Mało mnie to jednak obchodzi. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nigdy nie założę tej koszarnej sukni. Kolejny krok, który mam wykonać, sprawia, że serce zaczyna mi łomotać. Staram się zachować pozory spokoju, choćby na użytek kamer, które mnie obserwują. Nie mogą wiedzieć, co zamierzam zrobić, jeśli chcę, żeby wszystko się udało. Jednak nawet jeżeli uda mi się zwieść strażników, czeka mnie kolejna przeszkoda, którą muszę pokonać.

Śmiertelnie niebezpieczna.

Maven polecił nie montować kamer w łazience. Nie z szacunku dla mojej prywatności, ale kierując się zazdrością. Znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie pozwoliliby nikomu obserwować mnie nagą. Moje przypuszczenia potwierdza zwiększona ilość Cichego Kamienia wprawionego w ściany łazienki. Król kazał go władować tyle, żeby nadzorcy nie musieli za mną tutaj wchodzić. Serce bije mi coraz bardziej ospale, ale mimo to przeprowadzam swój plan. Nie mam innego wyjścia.

Gdy odkręcam kurek, przysnyc syczy, po czym wypływa z niego strumień gorącej, parującej wody. Gdyby nie przytłaczające działanie Kamienia, pewnie

codziennie pławiłabym się w luksusie, jakim jest ciepła kąpiel.

Na Polanie mogliśmy mówić o szczęściu, gdy udało nam się wykąpać w zimnej rzece, z kolei na Klinie o wyznaczonej porze przysługiwał nam szybki natrysk w letniej wodzie. Na myśl o tym, co uchodziło za kąpiel w Palach, ogrania mnie śmiech. Balia wypełniona wodą z kuchennego zlewu, zimą lodowata, latem ciepława, a do tego kawałek skradzionego mydła. Nie mam pojęcia, jak mama dawała sobie radę z myciem taty.

Jeśli szczęście mi dopisze – a raczej jeśli zdarzy się cud – niedługo znów ich zobaczę.

Popycham główkę prysznicową tak, żeby woda lała się nie do brodzika, lecz na podłogę. Gorący strumień uderza o białe kafelki i powoli je zalewa. Ciepło kropel, które spryskują moje bose stopy, przyprawia mnie o ciarki, kusi i wabi niczym miękki koc.

Muszę działać szybko, inaczej Kamień mnie zadusi, pochłonie. Gdy woda zaczyna wyciekać z łazienki przez szparę pod drzwiami, kładę odłamek szkła na półce w zasięgu ręki. Następnie sięgam po prawdziwą broń.

Pałac Białego Ognia to szczyt wyrafinowania pod względem wystroju wewnątrz – moja łazienka również. Oświetla ją skromny, jak na gust Srebrnych, żyrandol: zrobiony ze srebra, z trzema ozdobnie wywiniętymi ramionami przypominającymi gałęzie, z których wyrastają dziesiątki żarówek. Żeby go dosięgnąć, ostrożnie staję na umywalce i łapię chwiejną równowagę. W skupieniu kilkoma mocnymi ruchami szarpię za ramię lampy, wrywając z sufitu kable, którymi jest podłączona. Wyciągnąwszy przewody na odpowiednią długość, schodzę na podłogę z rozświetlonym żyrandolem w dłoni. Kładę go na umywalce i czekam.

Kilka minut później rozlega się łomotanie. Ktoś, kto obserwował moją komnatę, zauważył wodę wyciekającą spod drzwi łazienki. Dziesięć sekund później słyszę tupot dwóch par nóg maszerujących w stronę toalety. Nie wiem, którzy Arvenowie trzymają dzisiaj wartę, ale nie ma to dla mnie większego znaczenia.

– Barrow! – dobiega mnie głos mężczyzny, któremu wtóruje bębnienie pięścią w drzwi.

Gdy nie odpowiadam, nie marnują ani chwili i ja również nie czekam już dłużej.

Jajo pchnięciem otwiera drzwi, jego biała twarz niemal zlewa się z kafelkami, gdy strażnik z chlupotem wchodzi do środka. Koniczyna zatrzymuje się w progu, z jedną nogą postawioną na parkiecie komnaty, a drugą na ceramicznej podłodze łazienki. W sumie żadna różnica. Tak czy inaczej, obydwie stopy ma zamoczone w parującej wodzie.

– Barrow...? – powtarza Jajo.

Nie muszę wkładać zbyt wiele wysiłku w to, by zrzucić żyrandol, ale mimo wszystko ruch przychodzi mi z trudem.

Lampa rozbija się na mokrych kafelkach. Gdy prąd styka się z wodą, następuje gwałtowny skok napięcia, przez który wysiada światło nie tylko w łazience, ale i w komnacie. Prawdopodobnie również w całym pałacowym skrzydle. Arvenowie dygoczą wstrząsani elektrycznym dreszczem, po ich ciałach tańczą iskry. W następnej chwili sztywnieją i padają jak kłody.

Przeskakuję nad rozlaną wodą i ciałami strażników, po czym oddycham z ulgą, czując, jak poza łazienką działanie Cichego Kamienia ustępuje. Kajdany nadal ciąży mi na rękach i nogach, dlatego szybko zaczynam przeszukiwać nadzorców, uważając, żeby nie stanąć w wodzie. Niecierpliwie przetrząsam ich kieszenie w poszukiwaniu klucza, o którym marzę od wielu dni. Drżąc, wyczuwam pod mundurem Koniczyny, na wysokości mostka, podłużny metalowy kształt. Trzęsącymi się dłońmi wygrzebuję klucz i po kolei zaczynam otwierać kajdany. Gdy je zrzucam, ciężar ciszy powoli znika. Robię głęboki wdech, usiłuję przywołać błyskawicę. Wróci. Musi do mnie wrócić.

Wciąż jednak niczego nie czuję.

Ciało Koniczyny pozostaje ciepłe. Strażniczka żyje i jest zdana na moją łaskę. Powinnam poderznąć jej i jej towarzyszowi gardła, przeciąć tętnice szyjne odłamkiem szkła, który odłożyłam na tego typu okazję. „Powinnam”, powtarzam w duchu. Jednak zmarnowałam już wystarczająco dużo czasu. Zostawiam ich przy życiu.

Arvenowie przeszli oczywiście odpowiednie szkolenie i jak można było się spodziewać, wchodząc do komnaty, zamknęli za sobą drzwi. Nie szkodzi. Wsuwka jest tak samo dobra jak klucz. W sekundę otwieram zamek.

Minęło kilka dni, odkąd opuszczałam celę, na dodatek byłam wtedy prowadzona na smyczy przez Evangeline i otoczona kordonem strażników. Teraz korytarz jest pusty. Zawieszona u sufitu zgaszone lampy wpatrują się we mnie oskarżycielsko. W morzu otaczającej mnie energetycznej pustki nie czuję nawet jednej iskry. Musi wrócić. Nie uda mi się, jeśli błyskawica nie wróci. Z trudem powstrzymuję przyływ paniki – a jeśli zniknęła na dobre? Jeśli Maven mi ją odebrał?

Ruszam przed siebie biegiem, wydobywając z pamięci rozkład pałacowych pomieszczeń. Evangeline poprowadziła mnie w lewo, przez salę balową i salę posiedzeń rady do sali tronowej. We wszystkich tych miejscach aż roi się od strażników, nie wspominając o Srebrnych arystokratkach, którzy są równie niebezpieczni. Dlatego skręcam w prawo.

Oczywiście śledzą mnie kamery. Widzę je na każdym rogu. Zastanawiam się, czy one również wysiadły, czy może swoją próbą ucieczki przysparzam strażnikom rozrywki. Mogliby się zakładać, jak daleko dam radę dotrzeć. Żalodne

podrygi żalostnej smarkuli.

Klątką schodową dla służby zbiegam na podest i z rozpędu niemal wpadam na lokaja.

Na jego widok serce bije mi mocniej. To chłopak, mniej więcej w moim wieku, z tacą do podawania herbaty w ręku i rumieńcem na twarzy. Czerwonym rumieńcem.

– To podstęp! – wołam do niego. – To, do czego mnie zmuszą, to podstęp!

Na szczycie i na dole klatki schodowej z hukiem otwierają się drzwi. Znów jestem w potrzasku. Wpadanie w sidła weszło mi chyba w nawyk.

– Mare... – chłopiec drżącymi wargami wypowiada moje imię. Boi się mnie.

– Zrób coś, powiedz Szkarłatnej Gwardii. Powiedz wszystkim. To kolejne kłamstwo!

Ktoś chwyta mnie w pasie, odciąga w tył i do góry. Nie odrywam wzroku od służącego. Zbiegający schodami umundurowani funkcjonariusze odpychają go na bok, wciskają w ścianę, nawet tego nie zauważając. Taca z brzękiem ląduje na podłodze, herbata się rozlewa.

– To wszystko kłamstwo! – zdążam wykrzyknąć, zanim szeroka ręka zasłania mi usta.

Próbuję skrzesać iskrę, przywołać błyskawicę, którą z ledwością wyczuwam. Nic się nie dzieje, wgrzyzam się więc w dłoń strażnika do krwi.

Mężczyzna, mieląc przekleństwa, odrywa rękę od mojej twarzy. Zbliży się do mnie Srebrna kobieta, która zręcznie łapie i przytrzymuje moje wierzgające nogi. Opluwam ją krwią.

W odpowiedzi wojowniczką zgrabnym ruchem uderza mnie na odlew i dopiero wtedy ją poznaję.

– Miło cię widzieć, Sonia – cedzę. Próbuję ją kopnąć w brzuch, ale Srebrna bez większego wysiłku uchyla się przed ciosem.

„Proszę”, zaklinam w duchu, jak gdyby błyskawica mogła mnie słyszeć. Gdy moje błagania pozostają bez odzewu, z trudem tłumię szloch. Jestem zbyt słaba. Za dużo czasu minęło.

Sonia to szybka i zwinna Jedwabista, dla której opór dziewczyny pozbawionej jakiegokolwiek mocy to pestka. Spoglądam na jej mundur. Czarny, oblamowany srebrem, z niebiesko-czerwonymi pagonami typowymi dla potomków domu Iral. Sądząc po odznakach przypiętych do piersi i naszytych na kołnierzu patkach, awansowała na oficera straży.

– Gratuluję promocji – wypluwam z siebie, ponieważ poza ciętymi słowami nic mi nie pozostało. – Tak szybko skończyłaś trening?

Mocniej ściska mi nogi, jej ręce pracują niczym obcegi.

– Szkoda, że ty nie skończyłaś lekcji protokołu. – Nie wypuszczając moich stóp, ociera policzek o ramię, usiłując zetrzeć z twarzy srebrną krew. – Przydałoby

ci się więcej oglądy.

Ostatni raz widziałam ją nie dawniej niż parę miesięcy temu. Stała u boku swojej babki Ary i Evangeline, cała w czerni na znak żałoby po śmierci króla. Podobnie jak reszta dworu zasiadła na trybunach Kościńca, aby obejrzeć moją egzekucję. Jej ród słynie nie tylko ze zręczności, ale i z bystrości umysłu. Prawie wszyscy jego przedstawiciele to szpiedzy, szkoleni do tropienia tajemnic i odkrywania sekretów. Wątpię, by uwierzyła Mavenowi, gdy obwieścił światu, że jestem oszustką, która na polecenie Szkarłatnej Gwardii miała przeniknąć na teren pałacu. I wątpię, czy uwierzy w kolejne widowisko z moim udziałem, które szykuje król.

– Widziałam twoją babkę – mówię. Śmiałe zagranie.

Srebrna arystokratka nie traci opanowania, ale czuję, że odrobinę rozluźnia uścisk. W następnej sekundzie delikatnie pochyła głowę, jak gdyby dawała mi przyzwolenie: „Mów dalej”.

– W więzieniu Corros. Była wygłodzona, osłabiona Cichym Kamieniem. – „Tak samo jak teraz ja”. – Pomogłam ją uwolnić.

Zamiast zarzucić mi kłamstwo, Sonia milczy. Nie patrzy jednak na mnie i nadal zachowuje niewzruszony wyraz twarzy, jak gdyby nic nie obchodziły jej moje słowa.

– Nie wiem, jak długo tam była, ale broniła się najbardziej zaciekle ze wszystkich. – Wracają do mnie sceny z Corros, widzę starszą kobietę walczącą z siłą i zwinnością wielkiego kota, po którym otrzymała przydomek: Pantera. Uratowała mi nawet życie, odepchnęła mnie, gdy wirujące żyłki leciały w moją stronę, by oderznąć mi głowę. – W końcu dopadł ją Ptolemeusz. Tuż przed tym, nim zabił mojego brata.

Sonia wbija spojrzenie w podłogę, prawie niezauważalnie marszczy brwi. Wyczuwam napięcie w każdym mięśniu jej ciała. Przez chwilę myślę, że Srebrna się rozplacze, ale łzy, których się spodziewam, nie płyną.

– Jak? – pyta ledwie słyszalnym szeptem.

– Szybko. Rozcięta szyja.

Policzek, który mi wymierza, jest celny, ale niezbyt silny. Zrobiony na pokaz, jak wszystko inne w tym przeklętym miejscu.

– Zatrzymaj te ohydne kłamstwa dla siebie, Barrow – cedzi Srebrna, kończąc naszą rozmowę.

Parę minut później ląduję z powrotem w swojej komnacie, leżę na podłodze, policzki mnie palą, cisza wytwarzana przez czwórkę strażników przytłacza. Uzdrowiciele zdążyli postawić na nogi dwójkę porażonych prądem Arvenów, chociaż i Jajo, i Koniczyna wciąż wyglądają na zmaltretowanych. Jednak żałuję, że ich nie zabiłam.

– No co się tak gapicie, poraził was mój widok? – pytam zdławionym



głosem, po czym chichoczę z wrednego żartu.

W odpowiedzi Kocica siłą zaczyna mnie przebierać w czerwoną suknię, zmuszając, bym zdjęła z siebie ubranie na oczach całej czwórki. Nie spieszy się, rozkoszuje się tym, że mnie upokarza. Gdy jedwabna tkanina zsuwa się po moim ciele, znamię na obojczyku zaczyna piec. „M” jak Maven, „M” jak monstrum, „M” jak morderczyni.

Nadal czuję w ustach smak srebrnej krwi, gdy strażniczka wciska mi w dłoń kartki z przemówieniem.

\*

Srebrny dwór stawił się w sali tronowej w komplecie. Tłum arystokratów jak zwykle mieni się wszystkimi kolorami, iskrzy brokatem, pyszni biżuterią. Przyłączam się do tego tygła, dodając do niego domieszkę czerwonej krwi. Gdy zamykają się za mną ciężkie podwoje, czuję się jak złapana w potrzask. Domy rozstępują się, żeby zrobić mi przejście, tworzą długi korytarz, który wiedzie od drzwi po sam tron. Odprowadzają mnie spojrzenia, powtarzane szeptem plotki i uwagi na temat każdej niedoskonałości w moim wyglądzie. Dolatują mnie strzępy tych rozmów. Oczywiście wszyscy wiedzą o mojej porannej eskapadzie. Otaczający mnie nadzorcy są potwierdzeniem tego, że mój status się nie zmienił – nadal jestem więźniem.

Czyli najnowsze kłamstwo Mavena nie powstało z myślą o dworzanach. Usiłuję odgadnąć motywy, jakie nim kierują, przeniknąć jego knowania. Zapewne starannie rozważył wszystkie za i przeciw, zanim uznał, że warto zaryzykować dopuszczenie arystokratów do tak rozkosznej tajemnicy. Nie będą mieli nic przeciwko jego kłamstwom, jeśli nie będzie okłamywał ich.

Tak samo jak poprzednio Maven siedzi na tronie z szarych kamiennych płyt, dłoń ma zaciśnięte na podłokietnikach niczym szpony. Mur wartowników stoi za nim, pod ścianą; obok niego po lewej stronie dumnie prostuje się Evangeline. Ubrana w wykonaną ze srebrnych łusek pelerynę i suknię z rozcięciem, lśni niczym śmiercionośna gwiazda. Jej brat Ptolemeusz wygląda równie złowieszczo w swojej zbroi. Nie odstępuje na krok siostry ani króla, jak gdyby był ich ochroniarzem. Na prawo od Mavena stoi kolejna osoba, którą poznaję. Mężczyzna nie ma na sobie pancerza. Nie potrzebuje zbroi. Jego tarczą i bronią są myśli.

Samson Merandus uśmiecha się, a ja drętwieję, widząc najbardziej znienawidzone przeze mnie kolory: granatowy i biały. „Przypominam rzeźnika”, ostrzegął przed przesłuchaniem. Nie kłamał. Nigdy nie zdołam się do końca pozbierać po tym, co mi zrobił swoimi szeptami: czuję się tak, jak gdyby rozplątał mnie, nabił na hak i spuścił całą krew.

Maven przygląda mi się i wydaje się zadowolony z mojego wyglądu. Uzdrowicielka z domu Skonos – ta sama, która była u mnie wcześniej – próbowała

zrobić coś z moją aparycją. Włosy ujarzmiła i związała w schludny koński ogon, makijażem zatuszowała wyostrome rysy twarzy. Uwinęła się z tym dość szybko, chociaż marzyłam w duchu, żeby jej zabiegi trwały jak najdłużej. Jej chłodny, kojący dotyk uspokajał, goił siniaki i skaleczenia, które zarobiłam podczas skazanej na niepowodzenie ucieczki.

Nie czuję strachu, gdy na oczach dziesiątek arystokratów zbliżam się do tronu. Mam na głowie o wiele większe zmartwienia. Na przykład zawieszono u sufitu kamery. Ich obiektywy jeszcze nie zostały we mnie wycelowane, ale niedługo to się zmieni. Nie mogę znieść tej myśli.

Maven za pomocą gestu każe nam się zatrzymać. Unosi dłoń, na co Arvenowie odsuwają się, pozwalając, abym ostatnie kilka metrów przeszła sama. Dopiero wtedy włączają się kamery. Chcą pokazać, że idę dobrowolnie, bez nadzoru, bez smyczy, wolna Czerwona wśród Srebrnych. Obraz zostanie przetransmitowany do najdalszego zakątka kraju, zobaczą go wszyscy, których kocham i których miałam nadzieję ochronić. Ten krótki pokaz może przynieść zgubę dziesiątkom Nowych i zadać ogromny cios Szkarłatnej Gwardii.

– Podejdz, Mare.

Poznaję głos Mavena. Nie króla, ale Mavena. Chłopaka, którego kiedyś znałam. Łagodnego, delikatnego. Trzyma ten głos w odwodzie, w pogotowiu, na wypadek gdyby trzeba było go użyć w walce ze mną niczym oręż. Pewnie się spodziewał, że dotknie mnie do żywego, i tak też się dzieje. Mimo woli ogarnia mnie znajoma tęsknota za chłopcem, który nie istniał.

Moje kroki niosą się echem po marmurowej sali. Na lekcjach protokołu pani Blonos usiłowała nauczyć mnie, w jaki sposób zachować opanowanie podczas wystąpień publicznych. Jej zdaniem na mojej twarzy powinny się wówczas malować chłód i beznamiętność granicząca z bezdusznością. Ja jednak mam w sobie pełno emocji i chociaż kusi mnie, żeby schować się za maską obojętności, powstrzymuję się przed tym. Wiem, że stąпам po cienkiej linii, ale staram się ułożyć swoje rysy tak, aby z jednej strony zadowolić Mavena, a z drugiej w jakiś sposób wysłać swoim ludziom sygnał, że nie robię tego wszystkiego z własnej woli.

Samson, który wciąż się uśmiecha, odsuwa się od tronu i ustępuje mi miejsca. Wzdrygam się na myśl o tym, co to oznacza, ale robię, czego ode mnie oczekują. Staję po prawej stronie Mavena.

Taki obraz idzie w świat. Odziana w srebro Evangeline, ja ubrana na czerwono i czarny król między nami.

## Rozdział 7

Cameron

Na głównym poziomie Irabelle rozbrzmiewa tak zwany alarm błyskawicy, odbija się echem po korytarzach, niesie się między piętrami. Gońcy pędzą przed siebie na złamanie karku w poszukiwaniu tych, którzy zdaniem szefostwa powinni znać najnowsze doniesienia na temat Mare. Ja zwykle nie zaliczam się do tego zaszczytnego grona. Nikt nie ściąga mnie na zebranie klubu miłośników dziewczyny od błyskawic. Dzieciaki znajdują mnie później, przy pracy, i wręczają mi świstek z bezcennymi informacjami, które szpiedzy Gwardii zdołali zebrać na temat tego, co Barrow porabia w więzieniu. Stek bzdur. Co zjadła, jak zmieniają się jej strażnicy, tego typu głupoty. Jednak dzisiaj posłaniec, mała dziewczynka o prostych, czarnych, przylizanych włosach i śniadej cerze, szarpie mnie za ramię.

– Alarm błyskawicy, panienko Cole. Proszę ze mną – stanowczo oznajmia słodziutkim głosem.

Chcę odwarknąć, że dla mnie ważniejsza jest naprawa ogrzewania w koszarach niż wiadomość o tym, ile razy Mare skorzystała dzisiaj z łazienki, jednak widząc niewinną minę dziewczynki, gryzę się w język. Farley pewnie celowo wysłała najbardziej uroczego dzieciaka w bazie. „Niech ją szlag”.

– Dobra, dobra, już idę – burczę pod nosem, wrzucając narzędzia do skrzynki. Dziewczynka łapie mnie za rękę, a ja przypominam sobie Morreya. Jest niższy ode mnie i gdy jeszcze jako dzieciaki pracowaliśmy przy linii montażowej, chwycił mnie za rękę za każdym razem, gdy wystraszył się hałasujących maszyn. Jednak ta mała nie wydaje się przestraszona.

Ciągnie mnie przez labirynt tuneli dumna z tego, że wie, dokąd iść. Marszczę brwi, widząc czerwoną szmatę, którą obwiązała sobie nadgarstek. Jest za młoda na składanie przysięgi buntownikom, a co dopiero na to, żeby mieszkać w kwaterze głównej Gwardii. Chociaż właściwie mnie posłano do pracy, gdy miałam pięć lat, sortować złom na wysypisku. Ta mała jest dwa razy starsza, niż wtedy byłam.

Otwieram usta, żeby spytać, jak tutaj trafiła, ale po chwili się rozmyślam. Oczywiście przez rodziców, którzy albo postanowili się zbuntować, albo zginęli, zanim cokolwiek postanowili. Zastanawiam się, co się stało z jej rodzicami. Co się stało z moimi.

„W korytarzach 4 i 5 oraz w tunelu 7 trzeba wymienić izolację przewodów. W koszarach A trzeba naprawić ogrzewanie”. Powtarzam w głowie listę zadań, żeby opanować ból, który nagle mnie przeszył. Siłą woli odpycham od siebie twarze, wspomnienia. Tata prowadzący ciężarówkę, jego dłonie pewnie ściskające

kierownicę. Mama stojąca obok mnie w fabryce, jej ruchy szybsze i zręczniejsze niż moje. Rozchorowała się, gdy nas zabrano, włosy jej się przerzedziły, cera poszarzała. Myśląc o tym, czuję dławienie w gardle. Nic nie mogę dla nich zrobić. Ale dla Morreya mogę. Jemu mogę pomóc.

„W korytarzach 4 i 5 oraz w tunelu 7 trzeba wymienić izolację przewodów. W koszarach A trzeba naprawić ogrzewanie”. Trzeba ocalić Morreya Cole.

Do korytarza prowadzącego w kierunku dyspozytorni docieramy w tym samym czasie co Kilorn. Jego tyczkowata postać wypada zza rogu, chwilę potem zza zakrętu wybiega posłaniec, który robi, co może, żeby dotrzymać kroku starszemu koledze. Kilorn pewnie wraca z dworu, z mroźnego zimowego powietrza. Policzki ma czerwone z zimna. Idąc, ściąga wełnianą czapkę, a nierówno ścięte płowe włosy stają mu dęba.

– Cam. – Wita mnie skinieniem głowy, gdy się zrównujemy. Jest cały rozedrgany, w jego oczach, jadownicie zielonych w świetle jarzeniówek, czai się strach. – Wiesz, co się dzieje?

Wzruszam ramionami. Jestem ostatnią osobą, która może coś wiedzieć o Mare. Nie mam nawet pojęcia, dlaczego ktoś zadbał, żebym nie wypadła z obiegu w tej sprawie. Pewnie chodzi o to, bym nie poczuła się wykluczona. Wszyscy wiedzą, że nie chcę tu być, ale nie mam dokąd pójść. Nie wrócę do Nowego Miasta, nie wybiorę się sama do Duszni. Utknęłam.

– Niby skąd – odburkuję.

Kilorn ogląda się na swojego posłańca i sili się na uśmiech.

– Dziękuję – rzuca łagodnie i znacząco. Dzieciak w lot pojmuje, o co chodzi, i z ulgą się oddala. Ja też odprawiam swojego gońca, skinieniem głowy i uśmiechem dziękuję dziewczynce, która obraca się i znika za rogiem.

– Młodo zaczynają – mamrocze pod nosem.

– Nie tak młodo jak my – odpowiada Kilorn.

Marszczę brwi.

– Prawda.

W ostatnich tygodniach dowiedziałam się o Kilornie wystarczająco dużo, aby wiedzieć, że mogę mu ufać tak samo jak innym, którzy tu wylądowali. Mieliśmy podobne przeżycia. On też pracował od najmłodszych lat, ale dzięki temu miał go ominąć pobór. Potem jednak nasze życie wywróciło się do góry nogami i porwał nas wir wydarzeń kręcący się wokół Mare. Kilorn pewnie upierałby się, że tkwi na tym wygwizdowie z własnego wyboru, ale ja wiem swoje. Był najlepszym przyjacielem Mare i idąc w jej ślady, wstąpił do Szkarłatnej Gwardii. Teraz trzyma go tutaj chyba już tylko ślepy upór, no i to, że został uznany za zbiega.

– Ale nas nie werbowano, nie przerabiano na swoje kopyto – ciągnę, zwalniając kroku. Kilka metrów dalej przed drzwiami do dyspozytorni stoją strażnicy, w milczeniu pełniąc wartę. Obserwują nas. Nie podoba mi się to.

Kilorn wykrzywia wargi w słabym, smutnym uśmiechu. Przenosi wzrok na moją wytatuowaną szyję, trwale naznaczoną zawodem i miejscem pracy, do którego mnie oddelegowano. Czarny tusz odcina się wyraźnie nawet na tle śniadej skóry.

– Przerabiano nas, Cam – odpowiada cicho. – Chodźmy.

Obejmuje mnie ramieniem i rusza do przodu. Wartownicy rozstępują się, pozwalając nam wejść do środka.

Jeszcze nie widziałam w dyspozytorni takiego tłoku. Technicy siedzą przed monitorami ustawionymi z przodu pomieszczenia i wpatrują się w nie jak urzeczeni. Na każdym ekranie wyświetla się ten sam obraz: Płonąca Korona, godło Norty, o czerwono-czarno-srebrnych płomieniach. Ten symbol zwykle sygnalizuje rozpoczęcie i zakończenie oficjalnych transmisji i podejrzewam, że za chwilę będę musiała oglądać najnowsze wiadomości przygotowane przez króla Mavena i jego bandę. Nie tylko ja mam takie przeczucie.

– Może ją zobaczymy – szepcze Kilorn, a w jego głosie pobrzmiwają tęsknota i strach. Obraz na monitorze lekko podskakuje. Jest zatrzymany, ktoś włączył pauzę. – Na co czekamy?

– Raczej na kogo – odpowiadam, rozglądając się po pokoju. Z tego, co widzę, Cal jest już na miejscu, stoi nieruchomo z rękami skrzyżowanymi na piersiach, trzyma się na dystans. Czuje, że go obserwuję, ale wita mnie jedynie nieznacznym skinieniem głowy.

Ku mojemu przerażeniu Kilorn przywołuje go gwałtownym gestem. Po sekundzie wahania Cal zgadza się i rusza przed siebie, powoli przeciskając się przez zatłoczoną salę. Z jakiegoś powodu podczas dzisiejszego alarmu błyskawicy ściągnięto do dyspozytorni mnóstwo ludzi i wszyscy są tak samo spięci jak Kilorn. Większości nie znam, ale rozpoznałem kilku Nowych. Dostrzegam jak zwykle nierozłącznych Rasha i Tahira siedzących przy sprzęcie radiowym, z kolei Ada i Babcia podobnie jak Cal podpierają ścianę z tyłu pomieszczenia, nie chcą rzucać się w oczy. Gdy księżę rusza w naszą stronę, Czerwoni oficerowie schodzą mu z drogi niemal w podskokach. Srebrny udaje, że niczego nie zauważa.

Witają się z Kilornem bladymi uśmiechami. Nie rywalizują już ze sobą, ale wzajemną niechęć zastąpiła ogromna obawa.

– Pułkownik mógłby trochę zageścić ruchy – rozlega się głos po mojej prawej stronie.

Gdy się obracam, widzę Farley, która idzie w naszą stronę. Stara się nie wzbudzać zainteresowania swoim brzuchem ukrytym pod obszerną kurtką, ale w takim miejscu jak to trudno dochować tajemnicy. Jest w czwartym miesiącu i chyba powoli przestaje ją obchodzić, czy ludzie wiedzą. Nawet teraz w jednej ręce trzyma talerz smażonych ziemniaków, a w drugiej widelec.

– Cameron, chłopaki – wita nas po kolei skinieniem głowy. Ja i Kilorn

odpowiadamy tym samym gestem. Zwracając się do Cala, Farley saltuje widelcem, na co Srebrny wydaje niezrozumiałe burknięcie, po czym zaciska szczęki tak mocno, że jeszcze chwila, a posypią mu się zęby.

– Myślałam, że pułkownik nawet sypia tutaj – mówię, przenosząc wzrok na ekran. – Typowe. Znika akurat wtedy, gdy jest najbardziej potrzebny.

Przechodzi mi przez myśl, czy jego nieobecność to nie jakaś sztuczka. Może chce w ten sposób dać nam do zrozumienia, kto tutaj dowodzi. Ale przecież nikomu nie musi tego udowadniać. Co prawda jest z nami Cal, Srebrny książę i generał, i cała chmara Nowych posiadających przerażające umiejętności, jednak to pułkownik trzyma w ręku wszystkie atuty. Ponieważ tu, w Szkarłatnej Gwardii, w tym świecie, informacja jest najważniejsza i tylko ten stary wyga wie wystarczająco wiele, żeby utrzymać kontrolę nad nami wszystkimi.

Szanuję to. Jeden mały trybik w wielkiej maszynie nie musi wiedzieć, co robią i jak działają pozostałe części. Powoli jednak przestaje mi pasować rola trybiku.

W tym momencie wchodzi pułkownik w towarzystwie braci Barrow. Wciąż nie widzę rodziców Mare, którzy zaszyli się gdzieś razem z jej młodszą, rudowłosą siostrą. Pewnego razu wydawało mi się, że ją widziałam, jej drobna, zwinna postać przemknęła po kantynie, ale nie zdążyłam do niej podejść, żeby wziąć ją trochę na spytki. Oczywiście słyszałam różne plotki od techników i żołnierzy. Ponoć strażnik pogruchotał dziewczynie stopę i Mare poszła do królewskiej letniej rezydencji błagać o litość dla rodziny. Czy jakoś tak. Mogłabym zapytać Kilorna, jak było naprawdę, ale w obecnej sytuacji wydaje mi się to niezbyt taktowne.

Zebrany tłum odwraca się w stronę drzwi, nie mogąc się doczekać wyjaśnień. W następnej chwili na sali rozlega się jednocześnie kilkanaście stłumionych okrzyków zdumienia, gdy za pułkownikiem do przepelnionej dyspozytorni wchodzi kolejny Srebrny.

Za każdym razem, gdy go widzę, chcę go nienawidzić. To przez niego Mare zmusiła mnie, żebym przyłączyła się do niej i wróciła do więzienia, zmusiła mnie do zabijania, a innych do tego, by oddali swoje życie za tego zasuszonego, niewiele wartego staruszka. Jednak to nie była jego decyzja. On był więźniem tak samo jak ja, skazanym na gnicie w Corros i powolną śmierć pod ciężarem Cichego Kamienia. To nie jego wina, że dziewczyna od błyskawic go kocha; jej miłość jest przekleństwem, brzemieniem, które on musi dźwigać.

Julian Jacos nie zatrzymuje się pod ścianą, pod którą sterczą niektórzy Nowi, nie staje również obok swojego siostrzeńca Cala. Cały czas trzyma się blisko pułkownika i tłum rozstępuje się, żeby mógł obejrzeć transmisję na monitorach. Przyglądam mu się uważnie, gdy zajmuje przeznaczone dla niego miejsce. Z każdego jego ruchu bije cholerna wielkopańskość. Plecy ma proste jak struna i nawet w używanym wyblakłym mundurze, pomimo siwizny i ziemistej cery,

której wszyscy się dorobiliśmy w tych tunelach, wygląda na Srebrnego arystokratę. Pozostali odnoszą chyba podobne wrażenie. Żołnierze nie spuszczaają z niego oka i macają się po kaburach. Plotki, które krążą o Jacosie, nie pozostawiają zbyt wiele miejsca na domysły. To wuj Cala, brat zmarłej pierwszej królowej, dawny nauczyciel Mare. Wciągnięty w nasze szeregi niczym stalowa nić w wełnianej tkaninie. Wpleciony w całość, ale niebezpieczny i łatwy do wyłuskania.

Słyszałam, że potrafi zapanować nad drugim człowiekiem siłą swojego głosu i spojrzenia. Tak samo jak potrafiła to zrobić królowa. I wielu innych Srebrnych.

Kolejny typ, któremu nigdy nie zaufam. Lista osób dla mnie niewiarygodnych jest dość długa.

– Obejrzyjmy to – rzuca pułkownik, ucinając pomruki wywołane obecnością Juliana. W odpowiedzi obraz na ekranach podskakuje i zaczyna się ruszać.

Milczymy, widok twarzy króla Mavena poraża nas wszystkich.

Siedzi na masywnym tronie w otoczeniu śmietanki Srebrnych i kiwa na kogoś, oczy ma szeroko otwarte, spojrzenie zachęcające. Wiem, że jest podstępna zmija, więc nie daję się nabrać na tę całą maskaradę. Podejrzewam jednak, że większość ludzi nie potrafi go przejrzeć i zobaczyć, co kryje się pod maską młodego chłopca posłusznie biorącego na siebie ogromny ciężar poprowadzenia królestwa, które balansuje na krawędzi przepaści. Jest atrakcyjny. Nie tak barczysty jak Cal, ale ma zgrabną sylwetkę, wystające kości policzkowe i lśniące czarne włosy. Nie przystojny, lecz śliczny. Słyszę skrobanie, ktoś robi notatki i pewnie zapisuje wszystko, co dzieje się na ekranie. Reszta z nas może skupić się tylko i wyłącznie na przerażającym widowisku, które przygotował dla nas Maven.

Król pochyła się, wyciąga przed siebie rękę, po czym wstaje, żeby kogoś do siebie przywołać.

– Podejdz, Mare.

Kamery obracają się i ułamek sekundy później pokazują Mare, która stoi kilka metrów przed Mavenem. Spodziewałam się zobaczyć ją w łachmanach, jednak zamiast tego widzę wytworną kreację, o jakiej nie śniłabym w najśmielszych marzeniach. Jedwab od stóp do głów ozdobiony haftami i krwistoczerwonymi klejnotami. Suknia mieni się, gdy dziewczyna od błyskawic rusza przejściem, które zrobił dla niej tłum Srebrnych. Nie widzę obroży ani smyczy. Znowu nie daję się nabrać tej maskaradzie i znowu mam nadzieję, że ludzie w królestwie też nie dadzą się ogłupić – ale nie zdziwię się, gdyby w to wszystko uwierzyli. Nie znają przecież Mare tak dobrze jak my. Nie widzą gniewu czającego się w jej ciemnych oczach. Zapadniętych policzków. Zaciętych warg. Drżących palców. Zaciśniętej szczęki. To dostrzegam nawet ja. Kto wie, co jeszcze zauważają Cal, Kilorn albo jej bracia?

Suknia zasłania ją od szyi po dłonie i kostki u nóg. Prawdopodobnie po to, żeby ukryć blizny i wypalone przez Mavena piętno. To nie strój, ale kostium,

przebranie.

Nie tylko ja wstrzymuję ze strachu oddech, gdy Mare staje przed królem. Maven ujmuje jej dłoń, dziewczyna waha się, zanim decyduje się opleść palcami jego rękę. Wahanie trwa zaledwie ułamek chwili, ale to wystarczy, żeby utwierdzić nas w przekonaniu: nie robi tego wszystkiego z własnej woli. A jeśli nawet, to tylko dlatego, że inne opcje, które miała do wyboru, były jeszcze bardziej potworne.

W powietrzu rozchodzi się fala ciepła. Kilorn stara się niepostrzeżenie odsunąć od Cala, ale po drodze wpada na mnie. Ja również się cofam. Nikt nie chce się znajdować zbyt blisko księcia, jeśli sprawy wymkną się spod kontroli.

Maven nie musi wykonywać żadnych gestów. Mare zna króla i jego knowania na tyle dobrze, by rozumieć, czego od niej oczekuje. Kamera odjeżdża w tył, podczas gdy Czerwona wojowniczką zbliża się do tronu i staje po jego prawej stronie. To, co teraz widzimy, jest pokazem nieograniczonej siły. Evangeline Samos, potężna narzeczona króla i przyszła królowa, zasiada po jego lewej stronie, a dziewczyna władająca błyskawicami po prawej. Srebro i Czerwień.

Pozostali arystokraci, najwybitniejsi przedstawiciele Szlachetnych Domów, stoją zebrani na podium. Nie znam ich imion ani twarzy, ale jestem pewna, że wielu ze zgromadzonych w dyspozytorni doskonale ich kojarzy. To generałowie, dyplomaci, wojownicy i doradcy, każdy z nich gotowy zrobić wszystko, żeby zetrzeć nas z powierzchni ziemi.

Król wraca na tron powoli, ze spojrzeniem utkwionym w obiektyw kamery, w nas.

– Zanim cokolwiek powiem, zanim zacznę przemowę – wykonuje szeroki gest ręką, pewny i zgrabny – pragnę podziękować walczącym na froncie mężczyznom i kobietom, Srebrnym i Czerwonym, którzy bronią naszych granic i którzy obecnie strzegą nas przed wrogiem zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz naszego królestwa. Dziękuję żołnierzom z Corvium, wiernym wojownikom, którzy zmagają się z nieustannymi, haniebnymi zamachami przeprowadzanymi przez terrorystów ze Szkarłatnej Gwardii. Pamiętam o waszych zasługach i jestem z wami.

– Kłamca – syczy ktoś w dyspozytorni, ale szybko zostaje uciszony.

Na ekranie Mare wygląda tak, jak gdyby podzielała zdanie wyrywnego komentatora. Robi, co może, żeby zapanować nad ciałem i mięśniami twarzy, nie zdradzić emocji, które w niej buzują. Udaje jej się. Prawie. Na jej szyi występują czerwone plamy i nawet wysoki kołnierz nie zdołał ich wszystkich zasłonić. Maven musiałby jej założyć worek na twarz, żeby ukryć jej uczucia.

– W ostatnich dniach po długich debatach z udziałem rady i sądu Norty Mare Barrow z Palów została skazana za zbrodnie popełnione przeciwko królestwu. Oskarżono ją o zabójstwa i planowanie oraz przeprowadzanie zamachów



terrorystycznych. Uważaliśmy, że jest najgorszą degeneratką, pasożytem żerującym na tkance narodu i ją zatruwającym. – Maven podnosi wzrok, na jego nieruchomej twarzy maluje się skupienie. Nawet nie chce mi się zgadywać, ile razy to wszystko ćwiczył. – Skazano ją na dożywotnie więzienie po wcześniejszym przesłuchaniu przez moich kuzynów z domu Merandus.

Po tych słowach jak na komendę do przodu wysuwa się mężczyzna ubrany na granatowo. Podchodzi do Mare i zatrzymuje się tak blisko, że może bez wysiłku otrzeć się o nią. Dziewczyna od błyskawic zastyga, wydaje się naprężyć każdy mięsień, żeby tylko nie wzdrygnąć się i nie cofnąć.

– Nazywam się Samson z domu Merandus, prowadziłem przesłuchanie skazanej Mare Barrow.

Stojący przede mną Julian podnosi dłoń do ust. Tylko po tym poznaję, jak bardzo jest wstrząśnięty.

– Jestem Szeptaczem, moja umiejętność pozwala mi przejrzeć kłamstwa i kręctwa, do których ucieka się większość więźniów. Gdy Mare Barrow wyznała nam prawdę o Szkarłatnej Gwardii i popełnianych przez tę organizację okropieństwach, nie uwierzyłem jej. Teraz, na oczach wszystkich zebranych, przyznaję, że się myliłem. To, co zobaczyłem w jej wspomnieniach, było bolesne i mroziło krew w żyłach.

W dyspozytorni znów rozlegają się szept i psykanie, które uciszają wszelkie rozmowy. Obok wiszącego w powietrzu od początku napięcia pojawia się konsternacja. Pułkownik prostuje się, krzyżuje ręce. Jestem pewna, że gwardziści robią teraz szybki przegląd wszystkich swoich grzechów i starają się zgadnąć, o czym gada ten cały Samson. Obok mnie Farley postukuje widelcem w wargę i mruży oczy. Po chwili przeklina pod nosem, ale nie mogę zapytać dlaczego.

Mare unosi brodę, minę ma taką, jak gdyby miała zwymiotować na buty króla. Założę się, że właśnie na to ma teraz największą ochotę.

– Przystałam do Szkarłatnej Gwardii dobrowolnie – zaczyna mówić. – Powiedzieli mi, że mój brat, służąc w legionie, został stracony za przestępstwo, którego nie popełnił. – Na wzmiankę o bracie głos jej się łamie. Oddech stojącej koło mnie Farley przyspiesza, jej dłoń wędruje do brzucha. – Spytali, czy chcę pomścić jego śmierć. Chciałam. Przysięgłam więc wierność ich sprawie i zostałam umieszczona jako szpieg w królewskiej rezydencji Palatium Słońca.

Przybyłam tam w roli Czerwonej służącej, ale nawet ja nie miałam wtedy pojęcia, że jestem kimś zupełnie innym. Podczas Królewskiej Próby odkryłam, że posiadam umiejętność kontrolowania energii elektrycznej. Po naradzie nieodżałowanej pamięci król Tyberiasz i królowa Elara postanowili przyjąć mnie na dwór, aby zbadać, kim jestem, i nauczyć mnie, do czego mogę dojść dzięki swojej umiejętności. Przebrali mnie za Srebrną, by móc mnie chronić. Słusznie uznali, że Czerwona posiadająca moc będzie uznana w najlepszym wypadku za

dziwołaga, w najgorszym zaś za odrażający wybryk natury. Ukryli mnie, żebym nie stała się ofiarą uprzedzeń zarówno ze strony Czerwonych, jak i Srebrnych. O tym, jaka krew we mnie płynie, wiedzieli nieliczni, między innymi Maven i Ca... księżę Tyberiasz.

Jednak Szkarłatna Gwardia dowiedziała się, kim jestem. Zagrozili, że wyjawia prawdę o mnie, przez co zniszczyliby wiarygodność króla i narazili mnie na niebezpieczeństwo. Zostałam zmuszona do współpracy jako szpieg, do wykonywania ich rozkazów i organizowania siatki terrorystycznej na królewskim dworze.

Kolejny okrzyk protestu, który rozlega się w dyspozytorni, jest głośniejszy niż poprzednie i nie tak łatwo go uciszyć.

– To stek kompletnych bzdur – warczy Kilorn.

– Moim podstawowym zadaniem było pozyskanie Srebrnych sojuszników dla Szkarłatnej Gwardii. Polecono mi obrać za cel księcia Tyberiasza, zmyślnego wojownika i następcę tronu Norty. Udało się... – Mare urywa, świdruje nas spojrzeniem, wpatruje się badawczo w obiektyw, jak gdyby czegoś szukała. Kątem oka widzę, że Cal pochyla głowę. – Udało się go namówić bez większego wysiłku. Gdy już nakłoniłam go do współpracy, pomogłam Gwardii zorganizować Szkarłatną Masakrę, w której zginęło jednaście osób, oraz zamach bombowy na most w Archeonie.

Po tym, jak księżę Tyberiasz zabił własnego ojca, król Maven działał błyskawicznie, podejmując jedyną decyzję, jaką wtedy uznał za słuszną. – Głos Mare drży. Siedzący obok niej Maven na wzmiankę o ojcu przybiera zaszępiłą minę. – Był pogrążony w żałobie i skazał nas na publiczną egzekucję na arenie. Uszliśmy z życiem tylko dzięki Szkarłatnej Gwardii. Przewieźli nas oboje do bazy na wyspie u wybrzeży Norty.

Zostałam tam uwięziona, podobnie jak księżę Tyberiasz i mój brat, którego wcześniej uznałam za zmarłego. Brat również posiadał umiejętność i zdaniem Szkarłatnej Gwardii stanowił zagrożenie. Nazwali nas Nowymi i zamierzali zabić. Gdy dowiedzieliśmy się, że istnieją inni tacy jak ja i że Szkarłatna Gwardia ściga ich, by dokonać eksterminacji, zdołaliśmy zbiec razem z moim bratem i paroma innymi osobami. Księżę Tyberiasz uciekł z nami. Wiem, że planował stworzyć armię i rzucić wyzwanie bratu. Po paru miesiącach Szkarłatna Gwardia dogoniła nas, a następnie zabiła garstkę Czerwonych, którzy posiadali umiejętności i których udało nam się znaleźć. Mój brat także zginął, ja zdołałam uciec.

Choć raz temperatura w pokoju podnosi się nie przez Cala. Teraz już wszyscy kipią ze złości. To nie jest Mare. To nie są jej słowa. Mimo to we mnie też gotuje się krew. Jak mogło jej to przejść przez gardło? Wołałabym płuć krwią, niż wypowiadać kłamstwa pod dyktando Mavena. Ale jaki ona miała wybór?

– Nie mając dokąd pójść, zwróciłam się do króla Mavena, aby wymierzył

sprawiedliwość, również mnie. – W tym momencie jej determinacja kruszeje, rysy twarzy łagodnieją, a po policzkach zaczynają spływać łzy. Niestety cała ta przemowa staje się przez to bardziej autentyczna. – Stoję tu jako więzień z własnej woli. Żałuję za moje czyny w przeszłości, ale jestem gotowa zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby powstrzymać Szkarłatną Gwardię i ich przerażające plany na przyszłość. Nie bronią nikogo prócz samych siebie i ludzi, nad którymi mają kontrolę. Zabijają wszystkich pozostałych, każdego, kto im wejdzie w drogę. Każdego, kto jest inny.

Ostatnie słowa więzną jej w gardle. Maven siedzi nieruchomo na tronie, ale widać, że porusza mu się grdyka. Wydając odgłos, którego kamera nie może pochwycić, przynagla dobrowolną więźniarkę, żeby dokończyła mowę zgodnie z wytycznymi.

Mare Barrow unosi brodę i rzuca przed siebie gniewne spojrzenie. Jej oczy rozjarzają się jak węgle.

– My, Nowi, nie pasujemy do ich świtu.

W dyspozytorni rozlegają się okrzyki protestu, wybuchy złości i niewybredne obelgi kierowane pod adresem Mavena, Szeptacza Merandusa, a nawet dziewczyny od błyskawic za to, co powiedziała.

– ... tchórzliwy skunks, a nie król...

– ... wolałbym zdechnąć, niż powiedzieć...

– ... cholerna marionetka...

– ... zdrajczyń, najzwyczajniej w świecie...

– ... nie pierwszy raz tańczy, jak jej zagrają...

Kilorn pierwszy nie wytrzymuje.

– Myślicie, że ona chciała to zrobić? – pyta wystarczająco głośno, żeby wszyscy go usłyszeli. Chociaż jego ton nie jest ostry, on sam zaciska pięści i czerwienieje ze złości. Cal przysuwa się do niego, kładzie mu dłoń na ramieniu. Wiele osób milknie, zwłaszcza młodzi oficerowie. Wydają się speszeni, skrzeszeni, niektórzy nawet zawstydzeni naganą z ust osiemnastoletniego chłopaka.

– Zamknijcie się, wszyscy! – grzmi pułkownik, uciszając pozostałych. Spojrzeniem oczu, które wyglądają jak nie do pary, omiata całą salę. – Bachor jeszcze coś mamrocze.

– Pułkowniku... – warczy Cal, a w jego głosie pobrzmiwa jawna groźba.

W odpowiedzi oficer wskazuje na ekran. Nie na Mare, ale na Mavena.

– ... oferujemy schronienie każdemu, kto ucieka przed terrorem Szkarłatnej Gwardii. Dla Nowych, którzy pragną uniknąć czegoś, co nie sposób nazwać inaczej niż ludobójstwem, moje drzwi zawsze stoją otworem. Dowódcom wszystkich nortańskich fortów wojskowych oraz zarządcom królewskich rezydencji w Archeonie, zatoce Harbor, Delphie i Summerton wydałem rozkaz, aby chronili was przed rzezią. Dostaniecie wikt i opierunek oraz, jeśli tego sobie zażycycie,

będziecie mogli trenować swoje umiejętności. Jesteście moimi poddanymi, mam obowiązek was bronić i zrobię to, wykorzystując wszelkie dostępne środki. Mare Barrow nie jest pierwszą, która do nas dołączyła, i nie będzie ostatnią. – Młodociany król beczelnie kładzie dłoń na jej ręce.

Zatem w taki sposób nastoletni chłopak zostaje władcą. Jest nie tylko bezwzględny i pozbawiony skrupułów, ale i genialny. Gdybym nie kipiała gniewem, pewnie byłabym pod wrażeniem. Jego zagranie oczywiście przysporzy problemów Szkarłatnej Gwardii. Jednak mnie osobiście bardziej obchodzi los Nowych rozsianych po całej Norcie. Mare zwerbowała mnie i innych, nie dając nam zbyt wielkiego wyboru. Teraz pole manewru zawęża się jeszcze bardziej. Albo Gwardia, albo król. Dla obydwu stron jesteśmy narzędziem walki. Obydwie poprowadzą nas na śmierć. Ale tylko jedna zakuje nas w kajdany.

Zerkam przez ramię, szukam wzrokiem Ady. Dziewczyna nie odrywa oczu od ekranu, nawykowo i z łatwością zapamiętuje każde drgnienie mięśni i każdą zmianę tonu, żeby później poddać je analizie. Tak samo jak ja pochmurniej, myśląc o tym, czym na razie nie zaprzęta sobie głowy żaden członek Szkarłatnej Gwardii. Co się stanie z ludźmi takimi jak my?

– Szkarłatnej Gwardii mam do powiedzenia tylko tyle – dodaje Maven, podnosząc się z tronu. – Wasz świt to w rzeczywistości mrok i nigdy nie pochłonie tego kraju. Będziemy walczyć do końca. Siła i potęga.

Na podium i w całej sali tronowej rozbrzmiewa okrzyk dobywający się z dziesiątek gardeł. Również z gardła Mare.

– Siła i potęga.

Przez sekundę obraz zastyga, jak gdyby celowo miał wryć się w pamięć oglądającym. Czerwień i Srebro, dziewczyna od błyskawic i król Maven, zjednoczeni przeciwko pladze, którą staliśmy się my. Chociaż Mare nie wymyśliła tego przewrotnego planu, to jednak przyłożyła rękę do jego realizacji. Naprawdę nie zorientowała się, że skoro król jej nie zabił, to będzie chciał ją wykorzystać?

„Nie wierzyła, że jest do tego zdolny”, powiedział Cal wcześniej o przesłuchaniu. Maven jest ich słabym punktem i przez tę słabość wpadamy w coraz większe bagno.

Na Polanie Mare wychodziła z siebie, żeby wyszkolić mnie w mojej umiejętności. Tutaj ćwiczę, kiedy tylko mogę, razem z innymi Nowymi poznaję granice swojej mocy. Cal i Julian chcieli bawić się w instruktorów, ale ani ja, ani pozostali nie ufamy ich naukom. Poza tym znalazłam kogoś innego, kto potrafi mi pomóc.

Wiem, że nawet jeśli nie nauczyłam się znacznie lepiej władać swoją umiejętnością, to na pewno urosła ona w siłę. Teraz znów wyczuwam jej mrowienie tuż pod skórą, przechodzą mnie rozkoszne dreszcze zwiastujące nadejście pustki, która mogłaby uciszyć chaos panujący wokół. Próżnia błaga,

bym wypuściła ją na zewnątrz, ale zaciskam pięści i nie pozwalam jej się wydostać. Nie chcę wyładować gniewu na ludziach zebranych w dyspozytorni. To nie oni są moimi wrogami.

Gdy ekran zalewa czerń sygnalizująca koniec transmisji, w pokoju rozlega się naraz kilkadziesiąt głosów. Cal uderza dłonią w stojące przed nim biurko i odwraca się, mamrocząc coś do siebie.

– Dość już widziałem – szepcze, przepychając się do wyjścia. „Idiota”. Dobrze zna swojego brata. Potrafi rozszyfrować jego słowa lepiej niż ktokolwiek z nas.

Pułkownik też zdaje sobie z tego sprawę.

– Sprowadź go tu z powrotem – rzuca ściszym głosem, nachylając się do Juliana. Srebrny przytakuje skinieniem głowy i zwinnie rusza w kierunku siostrzeńca. Wielu zebranych na chwilę milknie, by odprowadzić go spojrzeniem.

– Kapitan Farley, co pani o tym sądzi? – pyta pułkownik, a jego ostry ton przywołuje rozproszonych gwardzistów do porządku. Oficer krzyżuje ramiona i spogląda na córkę.

Wszystkie oczy kierują się na Farley, która wydaje się niezbyt poruszona królewskim orędziem. Spokojnie przełyka kolejny kęs ziemniaka.

– Naturalną odpowiedzią byłoby wyemitowanie transmisji, w której przedstawiłibyśmy nasze stanowisko. Odparlibyśmy zarzuty Mavena, pokazalibyśmy królestwu, kogo ratujemy.

Czyli wykorzystaliby nas w swojej propagandzie. Zrobiliby dokładnie to samo, co Maven robi z Mare. Przewraca mi się w żołądku na myśl, że miałabym stanąć przed kamerą i pisać z zachwytu nad ludźmi, których ledwie toleruję i którym do końca nie ufam.

Pułkownik przytakuje skinieniem głowy.

– Zgadza się...

– Ale nie sądzę, żeby to było właściwe posunięcie.

Pułkownik unosi brew, pod którą czerwienieje uszkodzone oko.

Farley uznaje ten gest za zachętę.

– To byłyby tylko słowa. Nic konkretnego, nic, co przyczyniałoby się do rozwoju wydarzeń. – Postukuje palcem w usta i niemal widzę zębatki i przekładnie pracujące na najwyższych obrotach w jej głowie. – Moim zdaniem niech Maven dalej mówi swoje, a my będziemy robić swoje. Nasze działania w Corvium dają mu się już nieźle we znaki. Zauważyliście, że wymienił tylko to miasto w przemowie? Zwrócił się do tamtejszego wojska. Chce podnieść ich morale. Po co miałyby to robić, gdyby nie było takiej konieczności?

Od tyłu sali zbliża się Julian, prowadząc za ramię Cala. Są jednakowo wysocy, chociaż książę wydaje się dwa razy cięższy od wuja. Pobyt w więzieniu Corros na pewno odbił się na zdrowiu Juliana, tak jak zresztą i na naszym.

– Mamy sporo informacji na temat Corvium – dodaje Farley. – To miasto ma ogromne znaczenie dla nortańskiego wojska, nie wspominając o tym, jak ważne jest z propagandowego punktu widzenia. Właśnie dlatego jest idealnym miejscem.

– Idealnym miejscem na co? – pytam, zanim zdążę ugryźć się w język. Zebrani zerkają na mnie ze zdumieniem, sama również jestem zaskoczona swoją śmiałością.

Farley okazuje się na tyle łaskawa, żeby mi odpowiedzieć.

– Na pierwszy otwarty atak Szkarłatnej Gwardii. Oficjalne wypowiedzenie wojny królowi Norty.

Cal wydaje z siebie odgłos, który przypomina stłumiony skowyt. Bardzo niestosowny jak na księcia i żołnierza. Jego twarz blednie, oczy się rozszerzają – chyba ze strachu.

– Corvium to forteca. Miasto zbudowane specjalnie po to, by przetrwać wojnę. Stacjonuje w nim tysiąc Srebrnych oficerów, żołnierzy wyszkolonych do...

– Do tego, żeby planować. Zwalczać Lakelandczyków. Siedzieć za linią okopów i zaznaczać kolejne punkty na mapie – odparowuje Farley. – Może się myłę, Cal? Powiedz, czy Srebrni są przygotowani do walki w obrębie murów własnego miasta?

Spojrzenie, które rzuca jej książę, niejednego by sparaliżowało, ale kapitan stoi nieugięta. Jeśli piorunujący wzrok Cala ma na nią jakikolwiek wpływ, to jedynie taki, że jeszcze bardziej wzmacnia jej opór.

– To samobójstwo, dla ciebie i dla tych, których weźmiesz ze sobą – cedzi Srebrny, unikając odpowiedzi na pytanie Farley, która wybucha śmiechem, przez co jeszcze bardziej podgrzewa emocje. Książę potrafi jednak nad sobą zapanować, nie zamierza spłonąć we własnym ogniu. – Nie wezmę w tym udziału – rzuca. – Życzę wam powodzenia w zdobywaniu Corvium, ale nie liczcie, że się do tego przyczynię i podam jakiegokolwiek informacje, które moglibyście wykorzystać.

Farley w przeciwieństwie do Srebrnego nie musi panować nad emocjami. Pokój nie stanie w ogniu, nawet jeśli wojownicza zapłonie z oburzenia.

– Dzięki Shade’owi Barrow mam wszystko, czego mi trzeba!

Imię, które wypowiedziała, zwykle działa otrzeźwiająco. Gdy wspomina się Shade’a, automatycznie wracają myśli o tym, w jaki sposób zginął i co jego śmierć zrobiła z ludźmi, których kochał. Mare stała się odrętwiałą żalobnicą, gotową oddać się w ręce wroga, byle tylko najbliżsi nie podzielili losu jej ukochanego brata. Z kolei Farley przeistoczyła się w samotną wilczycę, zaciętą w swojej walce, skupioną tylko i wyłącznie na misji Szkarłatnej Gwardii. Żadnej z nich nie znałam zbyt długo przed śmiercią Shade’a, ale nawet mnie czasami żal patrzeć na to, co się z nimi porobiło. Bolesna strata zmieniła je obie, i to wcale nie na lepsze.

Farley przywołuje wspomnienie pełne cierpienia choćby tylko po to, żeby rzucić je Calowi w twarz niczym obelgę.

– Zanim sfingowaliśmy jego egzekucję, był naszym kluczowym agentem w Corvium. Wykorzystywał swoją umiejętność, żeby dostarczyć nam jak najwięcej informacji. Niech ci się nie wydaje, że jesteś naszym jedynym atutem – oznajmia dobitnie, po czym obraca się do pułkownika. – Doradzam przypuszczenie pełnego ataku z wykorzystaniem Nowych, w połączeniu z oddziałami Czerwonych żołnierzy i siatką naszych agentów działających na terenie miasta.

„Z wykorzystaniem Nowych”. Te słowa dotyczą do żywego i zostawiają posmak goryczy.

Zdaje się, że tym razem ja powinnam wypaść z pokoju jak burza.

Cal odprowadza mnie spojrzeniem, minę ma ponurą, szczęki zaciśnięte.

„Nie tylko ty masz prawo do dramatyzowania”, myślę, zostawiając go za sobą.

## Rozdział 8

### Mare

Nie przeszkadzam Arvenom, gdy chcą mnie sprowadzić z podium. Jajo i Trzeciak chwytają mnie pod ręce, Kocica i Koniczyna zostają z tyłu. Moje ciało wpada w odrętwienie, eskortowana przez strażników maszeruję przed siebie jak automat. W głowie kotłują mi się w kółko te same myśli: „Co zrobiłam?”, „Co teraz?”.

Na pewno wszyscy to oglądali. Cal, Kilorn, Farley, moja rodzina. Wszyscy mnie widzieli. Robi mi się niedobrze ze wstydu, mam ochotę zwymiotować na tę przeklętą wytworną suknię. Czuję się gorzej niż po odczytaniu Środków Bezpieczeństwa, które wprowadził ojciec Mavena, skazując wielu Czerwonych na pobór w odwecie za akcję Szkarłatnej Gwardii. Wtedy jednak wszyscy wiedzieli, że Środki nie są moim pomysłem. Byłam jedynie posłańcem.

Arvenowie popychają mnie naprzód. Nie tam, skąd przyszedłam, ale naokoło podium, za tron, przez drzwi, a następnie do pomieszczeń, których nigdy nie widziałam.

Pierwsze z nich wygląda na kolejną salę posiedzeń z długim stołem o marmurowym blacie. Zwalisty mebel otacza kilkanaście obitych pluszem foteli i tylko jedno siedzenie jest wykonane z zimnego szarego kamienia. Miejsce dla Mavena. Sala jest bardzo widna, zalana promieniami popołudniowego słońca. Okna wychodzą na zachód, rozciąga się z nich widok nie na rzekę, ale na pałacowe mury i łagodne wzgórza porośnięte ośnieżonym lasem.

W zeszłym roku razem z Kilornem cięliśmy lód z rzeki, żeby zarobić parę groszy. Uczciwa praca trwała około tygodnia, dopóki nie przekonałam się, że jedyne, czego się dorobię w ten sposób, to odmrożenia, i dałam sobie z tym spokój. Chociaż od tego czasu minął zaledwie rok, mam dziwne wrażenie, jak gdyby to wszystko działo się w innym życiu.

– Przepraszam – rozlega się cichy głos dobiegający z jedyne fotela stojącego w cieniu. Obracam się i widzę Jona, który rozsiadł się wygodnie z książką w ręku.

Jasnowidz. Jego czerwone oczy lśnią wewnętrznym światłem, którego nie potrafię opisać. Miałam tego mężczyznę za naszego sojusznika. To Nowy posiadający umiejętność równie unikatową jak moja. Jest potężniejszy niż Dalekowzroczni, widzi w przyszłości więcej niż jakikolwiek Srebrny. Teraz stał się moim wrogiem, ponieważ wydał nas Mavenowi. Wbija we mnie spojrzenie, a ja czuję się tak, jak gdyby wbijał we mnie setki gorących igieł.



To przez niego poprowadziłam przyjaciół na więzienie Corros, to przez niego zginął mój brat. Czuję, że odrętwienie, które mnie ogarnęło w sali tronowej, mija, a jego miejsce zajmuje fala wściekłego gorąca. Nie pragnę niczego więcej, niż skoczyć mu do gardła. Na razie jednak zadowolam się warknięciem.

– Dobrze wiedzieć, że Maven nie wszystkie swoje ogary trzyma na smyczy.

Jon patrzy na mnie nieruchomo.

– Dobrze wiedzieć, że nie jesteś tak zaślepiona jak wcześniej – odpowiada, gdy go mijam.

Podczas pierwszego spotkania Cal ostrzegwał nas, że ludzie wpadają w obłąd, usiłując rozwiązać zagadkę przyszłości. Miał absolutną rację i nie zamierzam znów dać się złapać w te same sidła. Odwracam się i siłą woli powstrzymuję od analizy jego starannie dobranych słów.

– Ignoruj mnie, jeśli chcesz, panno Barrow. Nie ja jestem twoim problemem – dodaje Jon. – Twoim problemem tutaj jest tylko jedna osoba.

Zerkam przez ramię, mięśnie reagują szybciej niż umysł. Oczywiście Jon okazuje się jeszcze szybszy i uprzedza moje słowa.

– Nie, Mare, nie mam na myśli ciebie.

Zostawiamy jasnowidza w sali posiedzeń i dalej maszerujemy nie wiadomo dokąd. Cisza, która panuje wokół, jest taką samą torturą jak obecność Jona, ponieważ nie mam się na czym skupić i myślami cały czas wracam do jego słów. Chodziło mu o Mavena, uzmysławiam sobie. Nietrudno też odgadnąć, czym była jego uwaga. Ostrzeżeniem.

Jakaś częśćka mnie, bardzo niewielka, wciąż jest zakochana w iluzji. W zjawie zamkniętej w ciele chłopaka, którego nie jestem w stanie zrozumieć. W fantomie, który siedział przy moim łóżku, gdy pogrążona we śnie przechodziłam katusze, i który – wiem o tym – powstrzymywał, najdłużej jak mógł, tortury, gdyż prędzej czy później Samson musiał mi je zadać.

W widmie, które kocha mnie na tyle, na ile potrafi jego skażona dusza.

Czuję, że to skażenie dotyka i mnie.

Jak podejrzewałam, Arwenowie nie prowadzą mnie z powrotem do komnaty, w której mnie więziono. Próbuję zapamiętać drogę, odnotowuję w pamięci drzwi i korytarze łączące sale posiedzeń i niezwykle liczne w tym skrzydle salony. To królewskie apartamenty, luksusowe i zbytkownie urządzone. Mnie jednak bardziej niż wyposażenie interesują barwy dominujące w tych wnętrzach. Czerwony, czarny i srebrny – łatwe do rozpoznania kolory domu Calore. Przewijają się również granatowy. Odcień, od którego ścisza mnie w żołądku. Symbol Elary, zmarłej królowej, której duch wciąż jeszcze jest tu obecny.

Zatrzymujemy się w końcu w małej, lecz dobrze zaopatrzonej bibliotece. Przez szpary w zaciągniętych kotarach przenikają promienie zachodzącego słońca. W snopach czerwonego światła wirują drobinki kurzu. Przypominają popiół

unoszący się nad gasnącym ogniem. Czuję się jak we wnętrzu serca, ze wszystkich stron otacza mnie krwistoczerwony kolor. To gabinet Mavena, uzmysławiam sobie. Mam ochotę usiąść za polakierowanym biurkiem, na obitym skórą fotelu, jednak powstrzymuję się. To miejsce nie należy do mnie. Może i roszcząc sobie do niego prawo, poczułabym się lepiej, ale tylko na chwilę.

Zadawałam się dokładnym zlustrowaniem komnaty. Na ścianach między portretami i fotografiami przodków z rodu Calore wiszą szkarłatne gobeliny przetykane czarnymi i lśniącymi srebrnymi niemi. Dom Merandus jest tutaj mniej obecny, reprezentuje go jedynie niebiesko-biała flaga zawieszona u sklepionego sufitu. Pokój zdobią również barwy innych królowych, niektóre żywe, inne wyblakłe, jeszcze inne zapomniane. Są tu wszystkie prócz złocistożółtego koloru domu Jacosów. Jego nie ma tu wcale.

Coriane, matka Cala, została stąd usunięta.

Szybko przenoszę spojrzenie z jednego obrazu na drugi, chociaż właściwie nie wiem, czego na nich szukam. Żadna z twarzy nie wygląda znajomo, prócz tej należącej do ojca Mavena. Trudno przeoczyć jego podobiznę, jest większa niż pozostałe i zawieszona nad kominkiem, skąd były król omiata gabinet gniewnym spojrzeniem. Na znak żałoby obraz został przepasany kirem. Od śmierci Tyberiasza Szóstego minęło zaledwie kilka miesięcy.

W jego twarzy dostrzegam rysy Cala, ale i Mavena. Ten sam prosty nos, wydatne kości policzkowe i gęste, lśniące, czarne włosy. To rodzinne cechy, uświadamiam sobie, patrząc na portrety innych władców z rodu Calore. Mężczyzna oznaczony jako Tyberiasz Piąty jest wyjątkowo, niemal zabójczo przystojny. Chociaż właściwie królewskim malarzom nie płaci się za to, żeby oszpecali swoich modeli.

Nie widzę podobizny Cala, ale nie jestem tym zaskoczona. Usunięto go tak samo jak jego matkę. W paru miejscach na ścianie wydaje się czegoś brakować i pewnie właśnie tam wisiał portret wygnanego księcia. W końcu dlaczego miałyby być inaczej? Cal był pierworodnym i ukochanym synem króla. Nic dziwnego, że Maven zdjął obrazy przedstawiające brata. Bez wątpienia spalił je na popiół.

– Jak twoja głowa? – rzucam strażnikowi zjadliwy uśmiech.

Jajo wbija we mnie gniewne spojrzenie, a ja uśmiecham się jeszcze szerzej. Widok nieprzytomnych Arvenów leżących na wznak i porażonych prądem to jedno z moich najcenniejszych wspomnień.

– Drgawki minęły? – brnę dalej i wymachuję dłonią, naśladując sposób, w jaki trzęsło się jego ciało. Znów nie uzyskuję odpowiedzi, ale na szyję nadzorcy występuje niebieskoszary rumieniec gniewu. Chwila rozrywki nikomu jeszcze nie zaszkodziła. – Cholera, ci wasi Uzdrownicy są naprawdę niezli.

– Dobrze się bawisz?

Maven wchodzi sam. Jego postać wydaje się dziwnie niepozorna

w porównaniu z tym, jak prezentuje się na tronie. Wartownicy pewnie cały czas pozostają w zasięgu głosu, warują pod gabinetem. Nie jest na tyle głupi, żeby gdziekolwiek ruszać się bez nich. Gestem dłoni nakazuje Arvenom wyjść z pokoju. Wymykają się na korytarz, zwinnie i cicho niczym myszki.

– Lepsza taka rozrywka niż żadna – oznajmiam, gdy znikają za drzwiami. Po raz tysięczny tego dnia przeklinam w duchu obezwładniające mnie kajdany. Gdyby nie one, Maven byłby już trupem tak samo jak jego matka. Jednak w obecnej sytuacji jestem skazana na to, żeby znosić młodocianego króla w ohydnej otoczce chwały.

Maven rozciąga wargi w uśmiechu, spodobał mu się mój ponury dowcip.

– Dobrze wiedzieć, że nawet ja nie jestem w stanie cię -zmienić.

Nie mam na to odpowiedzi. Nie potrafię zliczyć, na ile sposobów zmienił mnie Maven, niszcząc dziewczynę, którą kiedyś byłam.

Jak przypuszczałam, rusza w stronę biurka i siada na fotelu z chłodnym, wycwiczonym wdziękiem.

– Wybacz mi brak manier, Mare. – Chyba za bardzo wybałuszam oczy, ponieważ król wybucha śmiechem. – Od twoich urodzin minął już ponad miesiąc, a ja niczego ci jeszcze nie podarowałam. – Znowu wykonuje władczy gest, nakazując mi usiąść na krześle przed biurkiem.

Zaskoczona, oszołomiona i nieco speszona tym, że przyłapał mnie na małym przedstawieniu, wykonuję jego polecenie.

– Wierz mi – mamroczę – obędę się bez twoich makabrycznych podarunków.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Ten ci się spodoba, obiecuję.

– Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Szeroki uśmiech nie znika z jego twarzy, gdy sięga do szuflady biurka, po czym bezceremonialnie rzuca mi skrawek jedwabiu. Czarnego, do połowy wyszytego w czerwone i złociste kwiaty. Rzucam się na niego zachłannie. To dzieło Gisy. Przesuwam palcami po jedwabiu. Mimo że spodziewałam się czegoś oślizgłego, zniekształconego, skażonego przynależnością do Mavena, materiał okazuje się gładki i chłodny w dotyku. W każdym szwie, w każdym splocie wyczuwam rękę siostry. Haft jest przepiękny, nieskazitelny, przypomina mi o Gisie i o najbliższych.

Maven przygląda się, jak obracam w palcach kawałek tkaniny.

– Zabraliśmy ci to podczas pojmania. Gdy byłaś nieprzytomna.

„Nieprzytomna”. Uwięziona we własnym ciele, torturowana nadajnikiem.

– Dziękuję – wyduszam z siebie oschle. Jak gdybym miała mu za co dziękować.

– I...

– I?

– Daję ci jedno pytanie.

Przyglądam mu się ze zdumieniem, mrugam oczami.

– Możesz mi zadać jedno pytanie, a ja odpowiem na nie zgodnie z prawdą.

Przez chwilę mu nie wierzę.

„Potrafię dotrzymać słowa, gdy tego chcę”. Tak mi kiedyś powiedział i tego cały czas się trzyma. Jeśli rzeczywiście spełni swoją obietnicę, będzie to prawdziwy dar.

Błyskawicznie przychodzi mi do głowy pierwsze pytanie. „Czy oni żyją? Czy naprawdę zostawiłeś ich i pozwoliłeś im uciec?” Te słowa mam na końcu języka, gdy pojawia się druga myśl: „zastanów się, nie zmarnuj pytania”. Oczywiście, że dał im uciec. Gdyby Cal zginął, wiedziałabym o tym. Maven chętnieby się przede mną śmiertelnością brata, a jeśli nie on, to ktoś inny choć wspomniałby mi o niej. Poza tym za dużo uwagi poświęca Szkarłatnej Gwardii. Gdyby złapał pozostałych po tym, jak uwięził mnie, więcej by wiedział i mniej by się bał.

Maven przekrzywia głowę, obserwuje mnie jak kot, który przygląda się myszy. Czerpie satysfakcję z kolejnej wymyślonej przez siebie gierki. Ta myśl przyprawia mnie o dreszcze.

„Dlaczego dajesz mi materiał? Dlaczego pozwalasz pytać?” Znow marnotrawstwo, ponieważ na to również znam odpowiedź. Maven nie jest tym, za kogo wcześniej go brałam, ale to nie oznacza, że nie zdążyłam go choć trochę poznać. Domyślam się, po co urządził tę zgadywanke, chociaż wolałabym się mylić w tej kwestii. Chce się w ten sposób wytłumaczyć przede mną. Chce, żebym zrozumiała, dlaczego dopuścił się tego wszystkiego w przeszłości i dlaczego wciąż postępuje w ten sam sposób. Wie, jakie pytanie w końcu ośmielę się zadać. Jest królem, ale nie przestał być również chłopcem, samotnym w świecie, który sam sobie stworzył.

– Ile z tego wszystkiego było jej sprawką?

Nie wzdyga się. Zbyt dobrze mnie zna, żeby się zdziwić. Gdybym była naiwną dziewczynką, może miałabym jeszcze nadzieję, może uwierzyłabym mu, że stał się marionetką w rękach złej kobiety, teraz zaś opuszczony i zagubiony utrzymuje wyznaczony przez nią kurs, którego nie potrafi zmienić. Na szczęście nie jestem aż tak głupia.

– Wiesz, że późno zacząłem chodzić. – Patrzy już nie na mnie, ale na niebieską flagę wiszącą nad nami. Kosztowny sztandar ozdobiony białymi perłami i matowymi kamieniami szlachetnymi, zbierający kurz dla uczczenia pamięci Elary. – Lekarze, nawet ojciec, zapewniali mamę, że stanę na nogi w swoim czasie. Że któregoś dnia w końcu to nastąpi. Ale jej to nie zadowalało. Jaka byłaby z niej królowa, gdyby miała opóźnionego w rozwoju syna? Zwłaszcza że Coriane wydała

na świat księcia pokroju Cala, zawsze uśmiechniętego, rozmownego, radosnego, wręcz idealnego. Odprawiła nianię, którą obwiniała za moje porażki, i naukę chodzenia wzięła na siebie. Ja sam tego nie pamiętam, ale mama opowiadała mi tę historię wiele razy. Uważała ją za przykład na to, jak bardzo mnie kocha.

Czuję, że strach ściska mi wnętrzności, chociaż nie rozumiem dlaczego. Coś we mnie krzyczy, by wstać, jak najszybciej stąd wyjść i oddać się w ręce strażników czekających przed gabinetem. „Kolejne kłamstwo, kolejne kłamstwo – powtarzam sobie w duchu. – Misternie utkane, jak zwykle”. Maven patrzy wszędzie, tylko nie na mnie. Powietrze gęstnieje od wstydu.

Lodowate oczy Srebrnego chłopaka wilgotnieją, ale już dawno uodporniłam się na jego łzy. Pierwsza zawisa na ciemnych rzęsach niczym kryształowa kropla.

– Byłem małym dzieckiem, ale ona wdarła się do mojej głowy. Nakazała mojemu ciału stać, chodzić, upadać. Robiła tak codziennie, dopóki nie zacząłem płakać na sam jej widok. Dopóki nie nauczyłem się chodzić samodzielnie. Ze strachu. To jednak również nie wystarczyło. Przecież dziecko nie może płakać, gdy przytula je mama. Dlatego ten strach również mi zabrała. – Oczy mu pochmurnieją. – Tak samo jak wiele innych rzeczy... Pytasz, ile z tego wszystkiego było moją sprawką – szepcze. – Trochę. Wystarczająco dużo.

„Ale nie wszystko”.

Nie potrafię tego dłużej znieść. Przytłoczona ciężarem kajdan i wyznań młodocianego króla niezdarnie dźwigam się z krzesła.

– Nie możesz wciąż winić jej za to, co robisz, Maven – cedzę, cofając się o krok. – Nie kłam i nie mów, że wszystko to przez kobietę, która dawno już nie żyje.

Jego łzy wysychają równie szybko, jak się pojawiły. Ociera je i spogląda na mnie, jak gdyby nigdy ich nie było. Pęknięcie na masce znika. „Dobrze”. Nie chcę widzieć chłopca, który się pod nią skrywa.

– Nie winię jej – mówi ostro i dobitnie. – Odeszła. Teraz sam decyduję o tym, co robię. Tego jestem absolutnie pewien.

Tron. Fotel w izbie posiedzeń rady. Niezbyt wyszukane meble w porównaniu z kunsztownymi siedzeniami wykonanymi z diamentowego szkła i aksamitu, w których gustował jego ojciec. Wyciosane z kamienia, pozbawione drogocennych szlachetnych ozdób. Teraz wreszcie rozumiem dlaczego.

– Cichy Kamień. Podejmujesz decyzje, siedząc na nim.

– A ty robiłabyś inaczej? Wiedząc, że wszędzie wokoło czają się Merandusowie? – Sadowi się wygodniej, opiera brodę na dłoni. – Mam dość szeptów, które oni nazywają poradami. Dość na całe życie.

– I dobrze – cedzę. – Nie będziesz miał na kogo zrzucić odpowiedzialności za swoje draństwo.

Kącik jego ust unosi się w uśmiechu pełnym wyższości.

– Niech ci będzie.

Z trudem się powstrzymuję, żeby nie chwycić pierwszego lepszego przedmiotu z biurka i nie walnąć go w głowę, raz na zawsze uwalniając świat od jego uśmiešku.

– Marzę o tym, żeby cię zabić i skończyć z tym wszystkim.

– Czuję się dotknięty. – Cmoka z rozbawieniem. – I co zrobiłabyś potem? Pobiegnęła w te pędy do swojej Szkarłatnej Gwardii? Do mojego brata? Samson widział go wiele razy w twoich myślach. Snach. Wspomnieniach.

– Wciąż masz obsesję na jego punkcie, nawet teraz, gdy zwyciężyłeś? – To zagranie zawsze jest skuteczne. Uśmiech Mavena działa mi na nerwy, ale moje grymasy jego również wyprowadzają z równowagi. Wiemy, jak sobie dokuczyć. – Mimo wszystko to dziwne, że cały czas ze wszystkich sił starasz się mu dorównać.

Teraz to Maven wstaje, opiera się o blat biurka i podnosi głowę, by spojrzeć mi prosto w oczy. Kącik jego ust drga, wargi rozciągają się w szyderczym uśmiechu.

– Robię coś, czego mój brat nigdy nie zdołałby zrobić. Cal doskonale wypełnia rozkazy, ale nie potrafi podejmować decyzji. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. – Jego spojrzenie wędruje po ścianie i pada na puste miejsce między obrazami. Tam, gdzie powinna widnieć podobizna Cala. – Możesz sobie o nim myśleć, że jest mężny, waleczny, idealny. To nie zmienia faktu, że byłby gorszym królem niż ja.

Niemal się z nim zgadzam. Przez wiele miesięcy patrzyłam, jak Cal balansuje między Szkarłatną Gwardią a swoim pochodzeniem. Odmawiał zabijania, ale nie robił nic, żeby nas powstrzymać. Nigdy nie opowiedział się w pełni ani po jednej, ani po drugiej stronie. Chociaż był świadkiem niesprawiedliwości i okrucieństwa, nie zajął stanowiska w tej sprawie. Ale nie jest Mavenem. Nie ma w sobie ani grama nikczemności, która drzemie w młodocianym królu.

– Tylko jedna osoba widzi w nim ideał. Ty – odpowiadam ze spokojem, co rozjusza go jeszcze bardziej. – Myślę, że masz fiksację na jego punkcie. To oczywiście również wina twojej matki.

Ironizuję, ale Maven wydaje się odczytywać moje słowa zupełnie poważnie. Wahanie, które dostrzegam w jego oczach, jest dla mnie wstrząsem. Czuję, że mimowolnie rozdziawiam usta. On nie wie. On naprawdę nie ma pojęcia, które części jego umysłu należą do niego, a które ulepiła matka.

– Maven – szepczę przerażona tym, co przez przypadek odkryłam.

Chłopak przeczesuje palcami ciemne włosy, pociąga ich końce tak, by podniosły się na sztorc. Przedłuża się dziwne milczenie, które wiele mówi o każdym z nas. Czuję się tak, jak gdybym zawędrowała gdzieś, gdzie nie powinnam się znaleźć; naruszyła granicę, której nie powinnam przekraczać.

– Wyjdź – odzywa się w końcu drżącym głosem.

Nie ruszam się, chłonę tę chwilę. „Później może mi się przydać”, powtarzam w duchu. Stoję jak wryta nie dlatego, że jestem zbyt odrętwiła, by się poruszyć. Nie dlatego, że czuję kolejny gigantyczny przypływ litości dla nieistniejącego księcia z moich wspomnień.

– Powiedziałem, wyjdź.

Przyzwyczaiłam się, że rozwścieczony Cal potrafi niebezpiecznie podnieść temperaturę otoczenia. Jednak gniew Mavena zamiast parzyć mrozi, po moich plecach przebiega lodowaty dreszcz.

– Im dłużej każesz im czekać, tym będzie z nimi trudniej. – Evangeline Samos ma doprawdy niezwykle wyczucie czasu.

Wpada do pokoju wystrojona jak zwykle w suknię z wypolerowanych do połysku kawałków metalu i lśniących lusterek oraz pelerynę, której ogon ciągnie się po podłodze. Jej kreacja nasycy się czerwonym kolorem wnętrza, mieni się, połyskuje krwistcie z każdym krokiem arystokratki. Serce wali mi jak młotem, gdy spoglądam na nią i na moich oczach peleryna rozdwaja się, by zmienić kształt i owinać się wokół umięśnionych nóg Srebrnej. Evangeline uśmiecha się z wyższością, pozwala mi patrzeć, jak jej balowa suknia przemienia się w imponującą zbroję. Równie piękną i śmiertelnie niebezpieczną, godną królowej.

Żeleźczyni najwyraźniej jednak przestała uważać mnie za swój główny problem, ponieważ znów skupia uwagę na kimś innym niż ja. Wyczuwając napiętą atmosferę i dostrzegając dziwne zachowanie Mavena, zatrzymuje się. Podobnie jak ja chłonie zaskakujący widok. Jej także ta sytuacja może się przydać w przyszłości.

– Maven, słyszałeś mnie? – Śmiało rusza do przodu, obchodzi biurko i staje tuż obok króla. Maven skręca ciało tak, by uprzedzić jej ruch i uniknąć dotyku ręki, którą do niego wyciąga. – Gubernatorzy czekają, mój ojciec we własnej osobie...

Młodociany władca gwałtownie podnosi z biurka kartkę. Zdaje się, że to jakiegoś rodzaju petycja, ponieważ na samym jej dole widnieją zamaszyste podpisy. Wpatrując się gniewnie w Evangeline, odsuwa od siebie papier na długość ramienia i porusza nadgarstkiem tak, aby zdobiąca go bransoleta skrzesła iskry. W następnej chwili dwa bliźniacze płomienie buchają z jego dłoni, wrzynają się w dokument niczym gorące noże i pochłaniają go w mgnieniu oka. Zostaje z niego dymiąca na lśniącej posadzce kupka popiołu.

– Powiedz ojcu i jego marionetkom, że taka jest moja odpowiedź na jego propozycję.

Jeśli Evangeline jest zdumiona reakcją Mavena, nie daje tego po sobie poznać. Unosi brew i zaczyna badawczo oglądać swoje paznokcie. Obserwuję ją w milczeniu, ponieważ zdaję sobie sprawę z tego, że jeśli tylko odważę się głośniej sapnąć, zwróci się przeciwko mnie. Dlatego wstrzymuję oddech i parzę na tę scenę szeroko otwartymi oczami. W głębi ducha żałuję, że wcześniej nie zauważyłam tej

petycji. Wiele bym dała, żeby wiedzieć, co było w niej napisane.

– Ostrożnie, mój drogi – odzywa się Evangeline tonem pozbawionym krztyny czułości. – Król bez zwolenników to żaden król.

Maven odwraca się do niej tak szybko, że arystokratka wzdryga się, zaskoczona. Są mniej więcej tego samego wzrostu, dlatego teraz stoją twarzą w twarz. Ogień i żelazo. Nie spodziewam się, że Evangeline cofnie się ze strachu przed Mavenem, chłopcem, księciem, z którym biegła dla rozgrzewki podczas treningu. Maven to nie Cal. Mimo to Srebrna nerwowo trzepocze czarnymi rękami, zdradzając się z niepokojem, który pragnie ukryć.

– Niech ci się nie wydaje, że wiesz, z jakim królem masz do czynienia, Evangeline.

Jakbym słyszała jego matkę – uzmysławiam sobie – i mnie również ogarnia przerażenie.

W następnej chwili Maven przenosi wzrok na mnie. Po zagubionym chłopcu, którego widziałam jeszcze przed momentem, nie zostało ani śladu. Jego miejsce zajął władca o kamiennej twarzy i lodowatym spojrzeniu. „To samo dotyczy ciebie”, czytam w jego oczach.

Chociaż najbardziej na świecie pragnę stąd zniknąć, cały czas stoję, jakby nogi wrosły mi w ziemię. Maven odebrał mi prawie wszystko, ale nie zdołał pozbawić mnie odwagi i godności. Nie ucieknę, nie okażę lęku. Zwłaszcza w obecności Evangeline.

Żeleźczyni znów obraca się w moją stronę, mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów. Zapamiętuje to, jak wyglądam. Być może dostrzega szczegóły, które Uzdrowicielka Ciała pominęła, siniaki pozostałe po próbie ucieczki, nieustannie podkrążone oczy. Zatrzymuje wzrok na moim obojczyku i nieznacznie rozchyła wargi w wyrazie zdumienia. Dopiero po chwili dociera do mnie dlaczego.

Ze złością i wstydem podnoszę kołnierz sukni tak, aby zakrył znamię. Nie odwracam jednak oczu od arystokratki. Ona również nie jest w stanie odebrać mi dumy.

– Straże! – woła w końcu Maven. Gdy drzwi się otwierają i w progu stają Arwenowie gotowi chwycić mnie w zabezpieczone rękawicami dłonie, król ruchem brody wskazuje Evangeline. – Ty również.

Oczywiście Żeleźczyni nie przyjmuje tego polecenia zbyt dobrze.

– Nie jestem więźniem, nie masz prawa mi tak rozkazywać...

Uśmiecham się, gdy strażnicy wyprowadzają mnie z gabinetu na korytarz. Chociaż zamykają się za nami drzwi, nadal słyszę podniesiony głos Evangeline. „Powodzenia – życzę jej w duchu. – Obchodzisz Mavena jeszcze mniej niż ja”.

Arwenowie ruszają przed siebie szybkim krokiem, a ja muszę się dostosować do ich tempa. Nie jest to łatwe, jeśli ma się na sobie suknię, która krępuje ruchy, ale udaje mi się za nimi nadążyć. W zamkniętej dłoni ściskam miękki skrawek



wyhaftowanego przez Gisę materiału. Mam ogromną ochotę powąchać tkaninę, sprawdzić, czy może uda mi się wyczuć zapach siostry, ale się powstrzymuję. Zerkam za siebie w nadziei, że zobaczę, kto tak niecierpliwie oczekiwał audiencji u podłego króla, jednak dostrzegam jedynie wartowników w czarnych maskach i płomiennych szatach, strzegących wejścia do gabinetu.

W następnej chwili drzwi otwierają się tak gwałtownie, że aż podskakują w zawiasach, po czym zatrząskują się z hukiem. Trudno uwierzyć, że Evangeline, arystokratka z krwi i kości, może mieć kłopoty z panowaniem nad własnymi emocjami. Zastanawiam się, czy moja dawna nauczycielka etykiety pani Blonos przypadkiem nie uczyła swoich podopiecznych również tego, jak demonstracyjnie okazywać złość. Gdy próbuję sobie wyobrazić tego typu lekcje, zaczynam się uśmiechać. Niezwykła rzadkość ostatnimi czasy. Usta mnie boją, ale nie zwracam na to uwagi.

– Daruj sobie te miny, dziewczyno od błyskawic – warczy Evangeline, ruszając za nami.

Jej słowa prowokują mnie i chociaż doskonale zdaję sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znajduję, wybucham głośnym śmiechem. Żaden z moich strażników nie odzywa się słowem, ale wszyscy przyspieszają kroku. Nawet oni nie chcą nadużywać cierpliwości Żeleźczyni, która szuka zwady.

Evangeline udaje się jednak nas dogonić. Srebrna zrównuje się z Arvenami, po czym omijając Jajo, staje tuż przede mną. Nadzorcy również się zatrzymują, a ja razem z nimi.

– Może tego nie zauważyłaś, ale jestem dość zajęta – ruchem głowy wskazuję strażników trzymających mnie pod rękę. – W moim grafiku nie ma miejsca na przekomarzanki. Idź podrażnić się z kimś, kto może właściwie odpowiedzieć na zaczepki.

Na jej twarz wypływa uśmiech, ostry i niebezpieczny jak łuski metalowej zbroi.

– Nie zaniżaj swojej wartości. Zostało w tobie wystarczająco dużo hartu. – Robi krok do przodu, przysuwając się do mnie tak jak do Mavena. Chce pokazać, że się mnie nie boi. Nie ruszam się z miejsca, nie pozwalam sobie nawet drgnąć, gdy odrywa od pancerza łuskę o ostrzu niczym żyletka. – Przynajmniej taką mam nadzieję – dodaje szeptem.

Precyzyjnym ruchem dłoni odcina kołnierz mojej sukni, ozdobny szkarłatny materiał zsuwa się, odsłaniając obojczyk. Czuję, że rumieniec występuje mi na szyję, mam ochotę zakryć wypalone na skórze piętno w kształcie litery „M”.

Evangeline nie odrywa oczu od blizny, którą nazaczył mnie Maven, przygląda się uważnie każdej poszarpanej linii. Znów wydaje się zdumiona.

– To nie wygląda na wypadek.

– Masz w zanadrzu jeszcze jakieś cenne spostrzeżenia, którymi chcesz się

podzielić? – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Uśmiechając się coraz szerzej, Żeleźczyni wpina łuskę z powrotem w pancerz.

– Owszem, ale nie z tobą. – Oddycham z ulgą, gdy cofa się o krok, dzięki czemu zyskuję kilka bezcennych centymetrów przestrzeni osobistej. – Elane?

– Tak, Eve – kobiecy głos dobiega z miejsca, w którym nikt nie stoi.

Nieomal wyskakuję ze skóry, gdy w następnej sekundzie za Evangeline pojawia się Elane Haven, dosłownie znikąd. Jest Cienistą, potrafi zaginać promienie świetlne i dzięki temu stać się niewidzialna. Zastanawiam się, od jak dawna dotrzymuje nam towarzystwa. Czy była w gabinecie, czy weszła do niego razem z Evangeline, czy może pojawiła się tam jeszcze wcześniej. Równie dobrze mogła mnie obserwować cały czas. Odkąd przekroczyłam próg pałacu.

– Nikt jeszcze nie wpadł na to, żeby przywiązać ci do szyi dzwonek? – warczę choćby po to, żeby ukryć zakłopotanie.

Elane wykrzywia wargi w nikłym uśmiechu, ale w jej oczach nie widać wesołości.

– Może i wpadł.

Znam Elane tak samo jak Sonię. Przez wiele dni ćwiczyłyśmy razem na sesjach treningowych i nigdy się nie dogadywałyśmy. To kolejna przyjaciółka Evangeline, arystokratka wystarczająco bystra i sprytna, by sprzymierzyć się z przyszłą królową. Ma na sobie suknię i klejnoty w kolorze smoły, nie jest to jednak strój żałobny, lecz symbol przynależności do domu Haven. Doskonale pamiętam zarówno kolor jej rodu, jak i miedziane włosy, ciemne skośne oczy oraz nieskazitelną cerę i nieziemską poświatę, która otacza jej postać. Zawsze lubiła zaginać światło tak, aby dodawało jej blasku.

– Tutaj już skończyłyśmy – oznajmia Evangeline, zwracając się do Elane. – Na razie. – Demonstracyjnie rzuca mi ostatnie przeszywające spojrzenie.

## Rozdział 9

### Mare

Los marionetki jest dziwny. Więcej czasu spędzam na zapleczu niż na scenie. Kiedy jednak nadchodzi czas, muszę tańczyć tak, jak zagra Maven – umowa nadal nas obowiązuje. W końcu mam do czynienia z człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa.

Pierwszy Nowy szuka schronienia w Morskim Wzgórzu, pałacu znajdującym się w zatoce Harbor, i zgodnie z obietnicą otrzymuje pełną ochronę przed tak zwanym terrorem Szkarłatnej Gwardii. Kilka dni później ten biedny człowiek, Morritan, zostaje przewieziony pod eskortą do Archeonu i przedstawiony samemu królowi. Całe wydarzenie jest odpowiednio nagłośnione. Wszyscy na dworze wiedzą, jak wygląda Nowy, kim jest i jaką posiada umiejętność. Ku zaskoczeniu wielu Srebrnych Morritan okazuje się Płomiennym, tak samo jak potomkowie rodu Calore. Jednak w przeciwieństwie do Cala i Mavena nie potrzebuje bransoletki krzeszącej ogień ani żadnej iskry. Sam jest w stanie wywołać ogień, tak samo jak ja potrafię przywołać błyskawicę ze swojego wnętrza.

Usadzona na pozłacanym fotelu muszę oglądać to widowisko razem z resztą świty Mavena. Jon, jasnowidz, siedzi obok mnie w milczeniu i zaczerwienionymi oczami śledzi rozwój wydarzeń. Ponieważ jesteśmy pierwszymi Nowymi, którzy przyłączyli się do Srebrnego króla, przysługuje nam honorowe miejsce u jego boku, zaraz za Evangeline i Samsonem Merandusem. Jednak tylko Morritan zwraca na nas uwagę. Gdy zbliża się do podium na oczach dworzan i transmitujących to zdarzenie kamer, nie odrywa ode mnie wzroku. Drży ze strachu, ale moja obecność sprawia, że nie ucieka, idzie naprzód. Najwyraźniej wierzy w to, co kazał mi powiedzieć Maven. Wierzy, że Szkarłatna Gwardia poluje na takich jak my. Dlatego decyduje się uklęknąć przed władcą, deklaruje chęć wstąpienia do jego armii i poddania się szkoleniu, które przeprowadzą Srebrni oficerowie. Chce walczyć za króla i królestwo.

Najtrudniej przychodzi mi zachowanie milczenia i kamiennej twarzy. Morritan, były służący o tyczkowatych nogach, opalonej cerze i dłoniach zgrubiałych od ciężkiej pracy, przypomina spłoszone zwierzę uciekające przed nagonką i pędzące prosto w pułapkę. Jedno moje nierozważne słowo, a pułapka się zatrzaśnie.

Po nim pojawiają się następni.

Dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Czasami przychodzi jeden, czasami kilkunastu. Przybywają z każdego zakątka królestwa, uciekają do Srebrnego

władcy, który przyrzekł roztoczyć nad nimi opiekuńcze skrzydła. Większość robi to ze strachu, jednak niektórzy w swojej naiwności upatrują w tym nadzieję na lepsze jutro. Chcą zostawić za sobą życie w nędzy i niewoli i osiągnąć coś, co wydawało się niemożliwe. Nie mam im tego za złe. W końcu przez całe lata wmawiano nam, że Srebrni są naszymi panami, władcami, bogami. A teraz okazują się na tyle litościwi, by uchylić nam bram do niebios. Kto nie chciałby znaleźć się tam razem z nimi?

Maven świetnie się odnajduje w nowej roli. Obejmuje Nowych, jak gdyby witał swoich braci i siostry, uśmiecha się szeroko i nie okazuje wstydu ani lęku, odgrywając sceny, które większości Srebrnych wydają się odrażające. Dworzanie starają się iść za jego przykładem, jednak dostrzegam szydercze uśmiechy i chmurne grymasy ukryte za ozdobionymi roziskrzonymi pierścieniami dłońmi. Chociaż wiedzą, że to zwykła farsa, zręczny i bolesny cios wymierzony Szkarłatnej Gwardii, nie podoba im się to zagranie. Na dodatek zaczynają się bać. Wielu Nowych posiada niewyszkolone umiejętności, które są potężniejsze niż dotychczas znane moce i których Srebrni nie potrafią pojąć. Dlatego arystokraci przypatrują się temu wszystkiemu w napięciu i coraz bardziej przypominają gotową do ataku watahę wilków.

Przynajmniej raz to nie ja jestem w centrum uwagi. Dzięki temu mam chwilę wytchnienia, a jednocześnie odrobinę większą swobodę działania. Nikogo nie obchodzi dziewczyna od błyskawic, której odebrano błyskawicę. Robię więc to, co mogę, i chociaż mój udział w wydarzeniach jest znacznie ograniczony, nie jest pozbawiony znaczenia. Przysłuchuję się.

Evangeline traci cierpliwość. Jej twarz pozostaje nieruchoma, ale palce nerwowo bębnią o poręcz fotela i uspokajają się tylko wtedy, gdy do Żeleźczyni zbliża się Elane, by szepnąć jej coś na ucho lub choćby jej dotknąć. Jednak przez większość czasu pozostaje napięta jak metalowa struna. Nietrudno się domyślić dlaczego. Nawet jak na więźnia słyszę zaskakująco mało plotek o królewskim ślubie. I chociaż z całą pewnością Żeleźczyni nadal jest narzeczoną króla, wciąż jeszcze nie została królową. I to nie daje jej spokoju. Poznają to po jej twarzy i zachowaniu, po tym, że paraduje w coraz to bardziej wymyślnych i wytwornych strojach. Nosi się jak królowa i brakuje jej tylko oficjalnego tytułu, ale to właśnie tytuł jest tym, czego pragnie najbardziej. Ona i jej ojciec. Wielmożny Volvo nie odstępował córki na krok. W przeciwieństwie do niej nie obwiesza się bronią. Jego wykwintne szaty z czarnego aksamitu i srebrnego brokatu są pozbawione metalowych wstawek, nie dostrzegam choćby jednego łańcucha czy pierścienia. Głowa rodu Samosów nie musi się obnosić ze swoim arsenałem, żeby budzić strach. Milcząca, ciemna postać snująca się niczym cień za Evangeline bardziej niż arystokratę przypomina skrytobójcę. Nie mam pojęcia, jak Mavenowi udaje się znosić obecność Srebrnego wielmoży i pożądanie, które nieustannie płonie w jego

natrętnym spojrzeniu. Przypomina mi Elarę. Zawsze wpatrzoną w tron i tylko czekającą na okazję, żeby go przejąć.

Maven widzi to wszystko, ale się tym nie przejmuje. Okazuje Volvo Samosowi należny szacunek i na tym się kończą ich kontakty. Zostawia Evangeline w towarzystwie olśniewającej Elany i najwyraźniej jest zadowolony z tego, że przyszła żona zbytnio się nim nie interesuje. Ponieważ on skupia się na czymś innym. O dziwo nie na mnie, ale na swoim kuzynie Samsonie. Ja również przeżywam ciężkie chwile, ucząc się ignorować Szeptacza, który wdarł się w najgłębsze zakamarki mojej duszy i zadźczył mnie niemal na śmierć. Doskonale zdaję sobie sprawę z jego obecności i wyczulam się na jego szepty, chociaż gdyby znów mnie zaatakował, i tak nie miałabym siły stawić mu czoła. Maven nie musi się obawiać napaści ze strony kuzyna, chroni go tron z Cichego Kamienia. Tron go osłania. I pozbawia mocy.

Gdy szkolono mnie na księżniczkę – co od początku było śmiesznym pomysłem – rzadko brałam udział w formalnych spotkaniach. Chodziłam na bale, uczyły, ale nie na oficjalne uroczystości. Na nich zaczęłam bywać dopiero jako więźniarka. Teraz niemal straciłam rachubę, ile razy byłam już zmuszona siedzieć niczym tresowane zwierzątko Mavena i wysłuchiwać arystokratów wnoszących różne petycje, polityków oraz Nowych składających przysięgę wierności.

Dzisiaj zanoszą się na kolejną równie nużącą audiencję. Gubernator regionu Rowy, przedstawiciel rodu Laris, kończy wygłaszać dobrze przygotowaną prośbę o przyznanie środków z królewskiego skarbcza na remont kopalni należących do Samosów. Kolejna marionetka w rękach wielmożnego Volvo. Maven z łatwością go zbywa, obiecując rozpatrzyć jego wniosek, i odprawia go skinieniem. Chociaż w stosunku do mnie młody król wykazuje się słownością, wobec członków dworu nie jest aż tak wspaniałomyślny. Przygnębiony gubernator garbi się, wiedząc, że władca nawet nie rzuci okiem na petycję.

Plecy mnie bolą od twardego oparcia i sztywnej pozy, którą muszę utrzymywać ubrana w najnowszą oficjalną kreację obfitującą w kryształki i koronki. Oczywiście czerwone. Maven uwielbia widzieć mnie w czerwieni. Jego zdaniem ten kolor mnie ożywia, chociaż z każdym dniem ucieka ze mnie coraz więcej życia.

Podczas zwykłych roboczych audiencji obecność całego dworu nie jest wymagana, dlatego dzisiaj sala tronowa świeci pustkami. Mimo to na podium jednak jest tłoczno. Otaczająca władcę świta wybranych arystokratów lubi podkreślać swoją uprzywilejowaną pozycję, zwłaszcza gdy transmisja spotkania jest przekazywana na całe królestwo. Gdy włączają się kamery, domyślam się, że czeka nas przyjęcie kolejnych Nowych. Wzdycham, godząc się na tradycyjną dawkę poczucia winy i wstydu.

Czuję nieznośny ucisk w brzuchu, gdy otwierają się drzwi. Spuszczam

wzrok, nie chcę pamiętać ich twarzy. Większość Nowych pójdzie za przykładem Morritana i przyłączy się do walki po stronie Mavena, chcąc zrozumieć i wytrenować swoje umiejętności.

Obok mnie Jon wierci się po swojemu. Jego dłonie spoczywają na udach, a długie chude palce kreślą na spodniach poziome linie. Gesty jasnowidza przypominają ruchy osoby, która przerzuca kartki książki, i prawdopodobnie Jon właśnie to robi – czyta w przyszłości, usiłuje rozwikłać wątki, które w każdej chwili splatają się w nowy wzór. Zastanawiam się, co widzi, ale za żadne skarby nie zamierzam go o to pytać. Nigdy mu nie wybaczę tego, że nas zdradził. Na szczęście dał mi już spokój i nie zaczepia mnie od naszej krótkiej rozmowy w sali narad.

– Witam was wszystkich – Mavem zwraca się do Nowych. Wyćwiczony, opanowany głos niesie się po sali tronowej. – Nie obawiajcie się. Jesteście już bezpieczni. Zapewniam was, że łapy Szkarłatnej Gwardii tutaj nie sięgają. Nic wam nie grozi.

Akurat.

Głowę mam cały czas schyloną, chowam twarz przed kamerami. Czuję nagłe uderzenie krwi, w uszach słyszę jej szum. Robi mi się niedobrze i ogarniają mnie mdłości. „Uciekajcie!”, wołam w duchu, chociaż żadnemu z Nowych nie udało się już teraz wymknąć z sali tronowej. Robię, co mogę, żeby omijać wzrokiem Mavena i jego ofiary, wokół których zamyka się niewidzialna klatka. Gdy moje rozbiegane spojrzenie pada na Evangeline, okazuje się, że ona wpatruje się we mnie. Tym razem nie uśmiecha się z wyższością, twarz ma pustą, pozbawioną wyrazu. Lepiej się wyszkoliła w dworskich manierach niż ja.

Moje paznokcie są nierówne, skórki wokół nich obskubane do krwi – efekt długich nieprzespanych ze zmartwienia nocy i jeszcze dłuższych dni wypełnionych udręką. Uzdrowicielka z rodu Skonos, która dba o to, żebym wyglądała zdrowo, zawsze zapomina sprawdzić mi dłonie. Mam nadzieję, że ludzie oglądający transmisję będą bardziej spostrzegawczy niż ona.

Młodociany król dalej odgrywa ohydne przedstawienie.

– Zatem?

Czterech Nowych, jeden bardziej zdenerwowany od drugiego, przedstawia się władcy. Na widok ich umiejętności wśród Srebrnych rozlegają się stłumione okrzyki zdumienia i gwałtowne szepty. Przypomina to ponurą karykaturę Królewskiej Próby. Zamiast dziewcząt, które prezentując swoje moce, liczą na zdobycie prawa do ręki następcy tronu, Nowi pokazują swoje umiejętności w nadziei, że dzięki nim zasłużą na spokojne życie u boku Mavena. Próbuję nie przyglądać się temu widowisku, ale litość i strach zwyciężają. Przenoszę spojrzenie na nowo przybyłych.

Pierwsza z nich, mocno zbudowana kobieta, której bicepsy mogłyby

konkurować z mięśniami Cala, przechodzi przez ścianę niepewnie, ale z taką łatwością, jak gdyby połączone drewno i ozdobne listwy boazerii były powietrzem. Gdy zafascynowany Maven zachęca ją do kolejnego wyczynu, kobieta w równie płynny sposób przenika przez ciało królewskiego ochroniarza. Wartownik wzdryga się i po raz pierwszy widzę w zamaskowanym funkcjonariuszu jakiś człowieczy odruch. Nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie działa jej umiejętność, i moje myśli natychmiast biegną do Juliana. Trafił do Szkarłatnej Gwardii i przy odrobinie szczęścia również ogląda te wszystkie transmisje. Oczywiście jeśli pozwolił mu na to pułkownik, który raczej nie przepada za moimi Srebrnymi przyjaciółmi.

Po kobiecie przychodzi pora na dwóch starszych mężczyzn, białowłosych weteranów o nieobecnych spojrzeniu i szerokich ramionach. Ich umiejętności są mi znajome. Niższy, bezzębny staruszek potrafi to samo, co Ketha, jedna z Nowych, których zwerbowałam parę miesięcy temu. Chociaż była w stanie dzięki jednej myśli wysadzać w powietrze ludzi i budynki, nie przetrwała ataku na więzienie Corros. Nienawidziła swojej umiejętności. To brutalna, okrutna moc. Mimo że stojący przed nami Nowy niszczy jedynie krzesło, rozłupując je na drzazgi, on również nie wygląda na uszczęśliwionego posiadana umiejętnością. Jego przyjaciel okazuje się dość wygadany i przedstawia się jako Terrance, po czym oznajmia, że potrafi manipulować dźwiękami. Tak samo jak Farrah, inna moja rekrutka. Nie pojechała z nami do Corros. Mam nadzieję, że nadal żyje.

Ostatnia jest kobieta, mniej więcej w wieku mojej matki, o ciemnych, przetykanych siwizną, splecionych w warkocz włosach. Zbliża się do króla, a jej pełne wdzięku ruchy i eleganckie kroki zdradzają dobrze wyszkoloną służącą. Jest tym samym, kim wcześniej były Ada i Walsh, a także kim byłam ja. Tym samym, kim wielu z nas było i wciąż jest. Kobieta zatrzymuje się i nisko kłania.

– Wasza Królewska Mość – oznajmia głosem cichym i skromnym, delikatnym niczym powiew letniego wiatru. – Jestem Halley, służąca domu Eagrie.

Maven gestem nakazuje jej wstać, na jego twarz wypływa sztuczny uśmiech. Kobieta zgodnie z poleceniem podnosi się.

– Służyłaś domowi Eagrie – powtarza król łagodnie. Zerka przez ramię, w niewielkim tłumie odnajduje głowę rodu Eagrie, po czym uprzejmie się kłania. – Dziękuję, wielmożna Mellino, że pomogłaś tej kobiecie dostać się w bezpieczne miejsce.

Wysoka arystokratka o ptasim profilu dyga, zanim Maven zaczyna swą krótką przemowę. Jako Dalekowzrocza potrafi przewidzieć zdarzenia w najbliższej przyszłości i pewnie widziała umiejętności swojej służącej, jeszcze zanim ta zorientowała się, kim jest.

– Zatem, Halley?

Spojrzenie kobiety na chwilę krzyżuje się z moim. Mam nadzieję, że wytrzymam jej badawczy wzrok, ale służąca nie szuka we mnie strachu ani nie

usiłuje przejrzeć maski, za którą się skrywam. Odwraca błędne oczy, które wydają się widzieć wszystko, a jednocześnie nic.

– Ona potrafi panować nad energią elektryczną i wytwarzać ją, w małym i dużym natężeniu – oświadcza Halley. – Jej umiejętność nie ma nazwy.

Potem spogląda na Jona, który mierzy ją równie nieobecny spojrzeniem.

– On widzi przeznaczenie. Od początku do końca drogi, którą kroczy dana osoba. Jego umiejętność nie ma nazwy.

Maven mruży oczy, zastanawia się, a ja ze wstrętem stwierdzam, że prawdopodobnie myślę to samo, co on.

Kobieta nie przerywa, przygląda się kolejnym osobom i wygłasza kolejne osady.

– Ona potrafi zapanować nad przedmiotami z metalu, manipulując polem magnetycznym. Żeleźca.

– Szeptacz.

– Cienisty.

– Żeleźca.

– Żeleźca.

Robi przegląd doradców króla, bez trudu opisując i nazywając ich umiejętności. Maven pochyla się do przodu i lekko przekrzywia głowę niczym zaintrygowane zwierzątko. Przygląda się Nowej uważnie, niemal nie mrugając oczami. Wielu uważa, że bez matki jest jedynie zagubionym, głupiutkim żółtodziobem pozbawionym wojskowego geniuszu, którym szczycił się jego brat. Jednak ci, którzy tak myślą, zapominają, że strategia to nie tylko taktyka na polu bitwy.

– Dalekowzroczy. Dalekowzroczy. Dalekowzroczy. – Kobieta wskazuje swoich byłych panów, nazywając ich moc, po czym opuszcza rękę wzdłuż boku. Zaciska i rozwiera pięść, czekając na niedowierzanie, z którym zapewne się spotka.

– Zatem twoja umiejętność polega na wyczuwaniu mocy u innych? – odzywa się w końcu Maven, unosząc jedną brew.

– Tak, Wasza Królewska Mość.

– Dość łatwa do udawania.

– Tak, Wasza Królewska Mość – przyznaje kobieta jeszcze ciszej.

Tego samego może dokonać prawie każdy, zwłaszcza gdy tak jak ona służy w Szlachetnym Domu, który w obecnych niespokojnych czasach częściej niż w rodowej siedzibie przebywa na królewskim dworze. Łatwo zapamiętać, co potrafią robić Srebrni – ale jak wytłumaczyć wiedzę o umiejętności Jona? Wszyscy go znają jako pierwszego Nowego, który przyłączył się do Mavena, ale nie sądzę, aby wielu wiedziało o jego mocy. Młody król nie życzyłby sobie, by dwór obiegnęła plotka, że decyzje monarchy są oparte na radach człowieka, w którego żyłach płynie czerwona krew.



– Mów dalej. – Maven unosi ciemne brwi, krótkim ruchem głowy potwierdza wydany rozkaz.

Nowa zgodnie z poleceniem nazywa kolejne rody: Wodniaki Osanos, Strażnicy Zieleni Welle, Siłacz Rhambos. Mówi pewnie, bez zawahania, ale przecież arystokraci występują w barwach swoich domów, a ona jest świetnie wyszkoloną służącą. Taka wiedza jest od niej wymagana. Rzekoma umiejętność, którą prezentuje, to w najlepszym razie tania sztuczka, a w najgorszym – wyrok śmierci. Kobieta zapewne wyczuwa, że nad jej głową wisi miecz, a im częściej Maven porusza szczęką, tym niżej opada ostrze.

Siedzący z tyłu sali Iral, Jedwabisty, podnosi się z krzesła, poprawia czerwono-niebieskie szaty i rusza przed siebie. Zwracam na niego uwagę, ponieważ jego kroki są dziwne, nie tak płynne i zwinne, jak powinny być. Bardzo dziwne.

Halley również to zauważa. Przez ułamek chwili drży.

Wiem, że czyjeś życie wisi na włosku.

– Ona potrafi zmieniać postać – szepcze kobieta, wyciągając przed siebie drżący palec. – Jej umiejętność nie ma nazwy.

Szepty, które zwykle rozlegały się po kolejnej rewelacji, milkną jak nożem uciął. Zapada cisza, zakłócana jedynie łomotem mojego serca. „Ona potrafi zmieniać postać”.

W moich żyłach wzbiera adrenalina. „Uciekaj! – chcę wrzasnąć. – Uciekaj!”

Gdy wartownicy ujmują Irala pod ręce i prowadzą go przed tron, modłę się w duchu: „Proszę, niech ona się myli. Proszę, niech ona się myli”.

– Jestem potomkiem rodu Iral – grzmi mężczyzna, usiłując oswobodzić się z uchwytu wartowników. Prawdziwy Jedwabisty byłby w stanie to zrobić w mgnieniu oka i z uśmiechem na twarzy. Jednak osoba, na którą patrzę, nie potrafi się uwolnić. Serce podchodzi mi do gardła. – Słowo kłamliwej Czerwonej jest dla was ważniejsze niż moje?

Samson reaguje, zanim Maven zdąży o to poprosić, jest szybki niczym Zwinny. Schodzi z podium, w błękitnych oczach płonie pożądanie. Przypuszczam, że od czasu mojego przesłuchania nie pożerał niczyich myśli. Iral ze skowytym pada na kolana, pochyla głowę. Samson wdziera się w jego umysł.

W następnym momencie włosy mężczyzny skracają się i siwieją, głowa zmienia kształt, a twarz rysy.

– Babcia – słyszę swój stłumiony okrzyk. Staruszka ośmiela się podnieść wzrok, dostrzegam szeroko otwarte, przerażone oczy o znajomym spojrzeniu. Pamiętam, jak ją zwerbowałam i przywiozłam na Polanę, pamiętam, jak zajmowała się najmłodszymi Nowymi i opowiadała im historie o swoich wnukach. Pomarszczona niczym łupina orzecha, starsza od nas wszystkich i zawsze gotowa do kolejnej misji. Mam ochotę podbiec do niej i z całej siły ją przytulić.

Zamiast tego osuwam się na kolana i wczepiam się w nadgarstek Mavena. Błagam go tak, jak robiłam to tylko raz w życiu – gdy płuca wypełniały mi pył i lodowate powietrze, a w głowie wirowało po kontrolowanym rozbiciu odrzutowca.

Suknia pęka na szwie. Projektant nie przewidział, że osoba, która ją włoży, będzie padać na klęczki. Ja również tego nie przewidziałam.

– Maven, proszę. Nie zabijaj jej – wykrztuszam urywanym głosem, łapiąc się wszystkiego, co może ocalić jej życie. – Można ją wykorzystać, jest bardzo cenna. Zobacz, co potrafi zrobić...

Odpycha mnie, kładąc dłoń na moim piętnie.

– To szpieg. Szpieg na moim dworze. Ty też jesteś szpiegiem?

Nie przestaję błagać, nie chcę dopuścić, żeby Babcia odezwała się i nieopatrzonym słowem sprowadziła na siebie śmierć. Choć raz mam nadzieję, że kamery wszystko rejestrują.

– Ona również została zdradzona, oszukana, zwiedziona przez Szkarłatną Gwardię. To nie jej wina!

Król nie raczy wstać, nie zamierza ruszyć się z miejsca, nawet jeśli na jego oczach ma dojść do zabójstwa. Boi się wyjść z objęć Cichego Kamienia, podjąć decyzję poza jedynym miejscem, w którym czuje się bezpiecznie.

– Prawo w czasie wojny jest proste i jasne. Ze szpiegami należy się rozprawiać natychmiast.

– Gdy jesteś chory, kogo winisz? – dopytuję. – Ciało czy chorobę?

Rzuca mi gniewne spojrzenie i już wiem, że wszystko na nic.

– Winię lekarstwo, które nie zadziałało.

– Maven, błagam cię... – Nie wiem, kiedy się rozplakałam, ale czuję, że po moich policzkach spływają łzy. Haniebne, ponieważ płaczę nie tylko nad Babcią, ale i nad sobą. To była próba odsieczy. Babcia była moją szansą na ratunek.

Oczy zachodzą mi mgłą, obraz, który widzę, jest zamazany i rozedrgany. Samson podnosi rękę, nie może się doczekać, kiedy będzie się mógł wryć w umysł Babci i wykopać z niego wszystko. Zastanawiam się, jak druzgocącym ciosem to przesłuchanie będzie dla Szkarłatnej Gwardii – i kto wpadł na tak idiotyczny pomysł. Tak ogromne ryzyko, tak potworna strata.

– Powstańcie. Czerwoni niczym świt – mamrocze Babcia, spluwając.

W następnym momencie jej twarz zmienia się po raz ostatni. Układa się w rysy, które wszyscy poznamy.

Zaskoczony Samson wzdryga się i cofa o krok, Maven wydaje zdławiony okrzyk.

Z podłogi spogląda na nas Elara, a raczej jej żywy trup. Twarz ma pogruchotaną, zniszczoną przez błyskawicę. Jeden oczodół ziejże pustką, z drugiego wygląda oko nabiegłe srebrną krwią. Usta wykrzywają się w nieludzkim grymasie.

Przerażenie skręca mi wnętrzności, chociaż wiem, że Elara nie żyje. I że ja ją zabiłam.

To sprytny wybieg, sztuczka obliczona na to, by zyskać na czasie. Szybkim ruchem Babcia podnosi rękę do ust, przełyka ślinę.

Widziałam już działanie pigułki z trucizną. Chociaż zamykam oczy, wiem, co będzie się działo dalej.

To lepsze niż tortury Samsona. A tajemnice pozostaną nieodkryte. Na zawsze.

## Rozdział 10

### Mare

Drę wszystkie książki, które leżą na mojej półce, rozszarpuję je na strzępy. Okładki pękają, kartki się rozrywają i żałuję, że nie leci z nich krew. Żałuję, że ja nie jestem cała pokrwawiona. Babcia nie żyje, ponieważ ja żyję. Ponieważ wciąż tu jestem, tkwię jak przynęta na haczyku, wabik przyciągający Szkarłatną Gwardię, wywabiający ją z bezpiecznej kryjówki.

Po kilku godzinach bezsensownego niszcycielskiego szału przytomnieję i dociera do mnie, że się mylę. Szkarłatna Gwardia nie zrobiłaby tego. Takiego zadania nie podjąłby się ani pułkownik, ani Farley, na pewno nie dla mnie.

„Cał, ty cholerny idioto”, mówię w duchu.

Ponieważ to oczywiście musiał być jego pomysł. Tego został nauczony. Odnosić zwycięstwa za wszelką cenę. Pozostaje mi mieć nadzieję, że stawka za moje życie nawet dla niego okazała się za wysoka.

Na dworze znów pada śnieg. Lodowate wichry nie przenikają przez pałacowe mury. Jedyne chłód, jaki czuję, to ten, który mrozi mnie od wewnątrz.

\*

Rano po przebudzeniu stwierdzam, że wciąż mam na sobie wczorajszą suknię i leżę w łóżku, chociaż nie pamiętam, żebym wstawała z podłogi. Zniknęły również poniszczone książki, starannie usunięto je z mojego życia. Wymieciono do ostatniego strzępka papieru. Jednak półki nie są puste. Stoi na nich kilkanaście oprawnych w skórę starych i nowych tomów. Znów ogarnia mnie pragnienie, by podrzeć je na kawałeczki, dzwignam się więc na nogi i rzucam do przodu.

Pierwsza książka, którą łapię, jest mocno sfatygowana, okładkę ma starą i podartą. Kiedyś pewnie była żółta, może pozłacana, ale co mnie to obchodzi. Otwieram ją i chwytam za plik kartek, żeby zrobić z nimi porządek tak samo jak z poprzednimi.

Zastygam w bezruchu, gdy dostrzegam znajomy charakter pisma. Serce mi podskakuje.

„Własność Juliana Jacosa”.

Kolana uginają się pode mną, nogi odmawiają posłuszeństwa. Z głuchym tąpnięciem siadam na podłodze, pochylam się nad przedmiotem, który przynosi mi więcej pociechy niż jakiegokolwiek zdarzenie w ciągu ostatnich tygodni. Palcami przesuwam po literach tworzących imię mojego przyjaciela i mentora, jak gdybym chciała wywołać go w ten sposób niczym ducha, sprawić, że usłyszę jego głos nie

tylko w głowie, ale i w rzeczywistości. Przerzucam strony w poszukiwaniu następnych śladów Juliana. Słowa przeskakują mi przed oczami, z każdego bije jego ciepło. To dzieje Norty, historia powstania królestwa i trzy wieki rządów Srebrnych monarchów. Niektóre fragmenty są podkreślone lub opatrzone przypisami. Każdy przejaw obecności przyjaciela sprawia, że w piersiach czuję ucisk wzruszenia i radości. Pomimo bolesnych blizn i okoliczności uśmiecham się.

W pozostałych książkach znajduję to samo. Wszystkie należały do Juliana, stanowią część jego nieprzebranych zbiorów. Przeglądam je łączywie. Najbardziej ukochał historię, ale nauki ściśle również miały swoje miejsce w jego kolekcji. Trafia się nawet jedna powieść. Na jej stronie tytułowej widnieją dwa imiona. „Od Juliana dla Coriane”. Wpatruję się w litery, jedyny ślad, jaki pozostał w pałacu po matce Cala. Tę książkę odkładam na półkę ostrożnie i jeszcze przez chwilę nie zdejmuję palców z jej nienaruszonego grzbietu. Coriane nigdy nie przeczytała tej powieści. Może nie zdążyła.

W głębi ducha mam do siebie pretensje o to, ile radości odczuwam. Myśl, że Maven zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, jaki podarunek mnie ucieszy, jest dla mnie nieznośna. Ponieważ książki na pewno są prezentem do niego. Jedyłą formą przeprosin, jaką może wystosować i jaką mogłabym przyjąć. Ale nie zrobię tego. Nie ma mowy. Uśmiech znika z mojej twarzy równie szybko, jak na nią wypłynął. Nie pozwolę sobie na żadne inne uczucia wobec króla oprócz nienawiści. Jego gierki nie są tak idealnie zaplanowane jak knowania jego matki, ale wiem, że je prowadzi, i nie dam się w nie wciągnąć.

Przez chwilę się zastanawiam, czy nie rozprawić się z tą biblioteczką tak samo jak z poprzednią. Pokazać Mavenowi, co myślę o jego wspaniałomyślnym darze. Nie potrafię jednak tego zrobić. Jeszcze przez moment gładzę palcami krusze, bezbronne kartki, po czym starannie odkładam książki na półki.

Nie zniszczę ich, postanawiam więc zadowolić się podarciem sukni. Zrywam z siebie bogato zdobiony rubinami materiał.

Prawdopodobnie moją kreację uszył ktoś taki jak Gisa. Czerwona służąca o zręcznych dłoniach, posiadająca zmysł artystyczny i cierpliwość, by stworzyć coś tak pięknego i straszego. Coś, co tylko Srebrny mógłby na siebie włożyć. Na myśl o tym ogarnia mnie smutek, który jednak szybko przemienia się w gniew. Nie zostało mi więcej łez. Wszystkie wypłakałam wczoraj.

Gdy Koniczyna i Kocica, milczące strażniczki o kamiennych twarzach, przynoszą mi kolejny strój, naciągam go na siebie bez wahania i słowa skargi. Bluzka jest upstrzona cennymi odłamkami rubinów, granatów i onyksu, a jej długie rękawy są przetykane pasmami czarnego jedwabiu. Do kompletu dostają spodnie, na tyle luźne, by mogły uchodzić za wygodne.

Chwilę później zjawia się Uzdrowicielka Skonos. Zajmuje się moimi podpuchniętymi oczami, usuwa nie tylko obrzmienie i zaczerwienienie, ale i ból

głowy, który został po wczorajszym wybuchu złości i żalu. Srebrna medyczka podobnie jak Sara jest cicha i utalentowana, jej zręczne palce muskają obolałe miejsca delikatnie niczym skrzydła motyla. Za każdym razem, gdy przychodzi, pracuje zwinnie i szybko. Tego dnia ja również nie tracę czasu.

– Możesz mówić czy tobie królowa Elara też obcięła język?

Srebrna doskonale wie, o czym mówię. Zatrzymuje na mnie spojrzenie, jej czarne rzęsy szybko trzepoczą, zdradzając zaskoczenie. Mimo to nadal się nie odzywa. Dobrze ją wyszkolono.

– Słuszna decyzja. Ostatni raz widziałam się z Sarą, gdy ratowałam ją z więzienia. Wygląda na to, że obcięcie języka nie było dla niej wystarczającą karą. – Zerkam ponad ramieniem Uzdrowicielki na Koniczynę i Kocicę, które nam się przypatrują. Czuję zimną falę ich umiejętności, bijąca od nich cisza pulsuje i dołącza do stałego ciężaru uciszających kajdan. – Razem z nią uwięziono setki Srebrnych. Wielu pochodziło ze Szlachetnych Domów. Nie zaginał ostatnio któryś z twoich znajomych?

Pozbawiona wszelkiej broni muszę walczyć czym popadnie. A celne słowa to też oręż.

– Zamknij buzię, Barrow – warczy Koniczyna.

Samo to, że udało mi się sprowokować ją do przerwania milczenia, jest moim małym zwycięstwem. Ciągnę więc dalej.

– Wiecie, co mnie dziwi? Nikomu nie przeszkadza to, że mały król jest krwiożerczym tyranem. Ale ja jestem zwykłą Czerwoną. Nie rozumiem ludzi waszego pokroju.

Wybucham śmiechem, gdy Koniczyna, gotując się ze złości, odciąga mnie od Uzdrowicielki.

– Dość tego leczenia – syczy, po czym wyprowadza mnie z komnaty. W jej zielonych oczach połyskuje gniew, ale i konsternacja. Zwątpienie. Pęknięcia, które zamierzam pogłębiać i poszerzać, by wydrążyć tunel, a następnie nim uciec.

Nikt więcej nie powinien ryzykować życia, żeby mnie ocalić. Sama muszę się ratować.

– Nie zwracaj na nią uwagi – poleca Kocica towarzysze chrapliwym, jadowitym głosem.

– To musi być dla was ogromny zaszczyt. – Maszeruję długim, znajomym korytarzem i nie przestaję mówić. – Niańczyć Czerwoną smarkulę. Podawać jej jedzenie, sprzątać po niej. Tylko po to, żeby Maven miał w pobliżu swoją lalkę i mógł się pobawić, kiedy przyjdzie mu na to ochota.

Przez moją paplaninę strażniczki robią się coraz bardziej wściekłe i opryskliwe. Przyspieszają kroku, zmuszając mnie, żebym utrzymała ich tempo. W pewnym momencie skręcamy nie w prawo, ale w lewo, do innej części pałacu, którą pamiętam jak przez mgłę. To królewskie apartamenty, pomieszczenia

zajmowane przez rodzinę monarchy. Kiedyś, przez krótką chwilę, ja również tu mieszkałam.

Serce zaczyna mi bić gwałtownie, gdy mijamy ustawiony w niszy posąg. Poznają to miejsce. Moja dawna komnata znajduje się parę drzwi dalej. Podobnie jak apartamenty Mavena i Cala.

– Nagle stała się mało rozmowna – oznajmia Koniczyna, ale jej głos wydaje się dobiegać z oddali.

Przez okna wlewa się jaskrawe światło słońca, którego promienie odbijają się od roziskrzonego śniegu, ja jednak nie potrafię w tym momencie cieszyć się pięknym widokiem. Nauczyłam się znosić obecność Mavena w sali tronowej, w jego gabinecie, pod czujnym okiem straży i kamer. Ale co będzie, gdy zostaniemy sami – naprawdę sami? Ukryte pod ubraniem znamię zaczyna piec i szczytać.

Gdy zatrzymujemy się pod drzwiami, a następnie wchodzimy do salonu, uzmysławiam sobie, że byłam w błędzie, i ogarnia mnie ulga. Maven jest teraz królem. Przeniósł się do innych komnat.

Te apartamenty przejęła Evangeline.

Żeleźczyni siedzi na środku dziwnie pustego salonu, otoczona kawałkami poskręcane metalu, które różnią się między sobą kolorami – żelazo, brąz, miedź. Jest pochłonięta pracą, wyczarowuje kwiaty z chromu, po czym wkłada je w obręcz splecioną ze srebrnych i złotych warkoczy. Kolejna korona do kolekcji. Atrybut, którego nie może jeszcze założyć.

Towarzystwa dotrzymują jej dwie osoby, mężczyzna i kobieta, ubrani w proste szaty o barwach domu Samos. Ze zdumieniem uświadamiam sobie, że to Czerwoni.

– Proszę doprowadzić ją do porządku – rozkazuje Evangeline, nie podnosząc wzroku znad robótki.

Czerwoni podchodzą do jedyne lustro, które znajduje się w komnacie, i przywołują mnie ruchem ręki. Spoglądam w zwierciadło i zauważam, że w pokoju jest również Elane, leży rozciągnięta na kanapie i wygrzewa się w plamie słońca niczym zadowolony z życia kot. Gdy nasze spojrzenia się krzyżują, nie dostrzegam w jej oczach pytania ani lęku, jedynie obojętność.

– Możecie poczekać na zewnątrz – oznajmia Elane, przenosząc wzrok na strażniczki. Jej rude włosy mienia się w promieniach słonecznych i wydają płonąć żywym ogniem. Mimo że mam dobre powody do tego, żeby nie prezentować się zbyt wytwornie, w jej obecności zaczynam się trochę wstydzić swojego wyglądu.

Gdy Evangeline przytakuje skinieniem głowy, Arvenki jedna za drugą wymaszerowują z komnaty, obrzucając mnie spojrzeniem pełnym niezadowolenia. Napawam się tą chwilą i ich wzrokiem, będzie to dla mnie cenna pamiątka.

– Ktoś mi wyjaśni, o co chodzi? – rzucam w przestrzeń, właściwie nie

oczekując odpowiedzi.

Srebrne arystokratki wybuchają śmiechem i wymieniają znaczące spojrzenia. Postanawiam skorzystać z okazji, by przyjrzeć się wnętrzą i przyzwyczaić do nowej sytuacji. Zauważam drugie drzwi, które prawdopodobnie prowadzą do sypialni Evangeline, oraz kilka okien, szczelnie pozamykanych przed zimowym wiatrem. Rozciąga się z nich widok na znajomy dziedziniec i nagle dociera do mnie, że komnata, która służy mi za celę, mieści się naprzeciwko apartamentów Żeleźczyni. Na myśl o tym przeszywa mnie lodowaty dreszcz.

Z chwilowej zadumy wybija mnie metaliczny brzęk. Evangeline rzuca kawałki żelastwa, nad którymi pracuje, a wtedy korona rozpada się, nie jest w stanie zachować nadanego jej kształtu bez pomocy Żeleźczyni.

– Królowa ma obowiązek podejmować gości.

– Cóż, ja nie jestem gościem, a ty nie jesteś królową, więc...

– Wielka szkoda, że nie myślisz tak szybko, jak gadasz – odwarkuje Evangeline.

Czerwona służąca mruga gwałtownie i cofa się, jak gdyby w powietrzu fruwały nie ostre słowa, lecz noże. Prawdę mówiąc, jeszcze chwila i może do tego dojść, postanawiam więc zachowywać się bardziej rozważnie. Przygryzam wargę, żeby powstrzymać potok nieprzemyślanych uwag, i pozwalam Czerwonym wykonać pracę. Mężczyzna zajmuje się moimi włosami, szcztokuje i splata je w kok, podczas gdy kobieta upiększa mi twarz. Zamiast srebrnego mazidła, którym smarowano mnie wcześniej, nakłada mi na policzki róż, po czym czarną kredką podkreśla oczy, a czerwoną – usta. Przypominam jaskrawo pomalowaną lalkę.

– Wystarczy – mówi Elane zza pleców służącej. Czerwoni natychmiast się wycofują, opuszczają ręce wzdłuż boków i pochylają głowy. – Nie może wyglądać, jakby była zbyt dobrze traktowana. Książęta tego nie rozumieją.

Wybałuszam oczy. „Książęta. Goście”. Przed kim znów każą mi paradować?

Evangeline zauważa moją reakcję, mruczy coś pod nosem i ciska brązowym kwiatkiem w stronę Elane. Ostra łodyga wbija się w ścianę nad głową Cienistej, ale ona wydaje się tym nie przejmować i jedynie wzdycha marzycielsko.

– Uważaj na słowa, Elane.

– Cóż wielkiego się stało? I tak za chwilę o wszystkim się dowie, kochana. – Podnosi się z poduszek, przeciąga ręce i nogi otoczone nienaturalną poświatą. Evangeline nie spuszcza oczu z towarzyski, a jej wzrok twardnieje, gdy Elane przemierza komnatę, by zbliżyć się do mnie.

Cienista staje przed lustrem i patrzy mi w twarz.

– Będiesz dzisiaj grzeczna, prawda?

Zastanawiam się, jak szybko Evangeline obdarłaby mnie ze skóry, gdybym grzmotnęła łokciem prosto w idealnie białe zęby Elane.

– Będę.



– To dobrze.

W następnej chwili znika, przestaję ją widzieć, ale nie przestaję jej czuć. Nadal trzyma rękę na moim ramieniu. Ku przestrodze.

Spoglądam w miejsce, gdzie przed sekundą stała Elane, i moje spojrzenie pada na siedzącą Evangeline. Żeleźczyni podnosi się z podłogi, jej suknia faluje niczym ciekła rtęć. Być może jest z rtęci.

Podchodzi do mnie, a ja odruchowo chcę się cofnąć, ale przytrzymuje mnie ręka Elane. Muszę stać prosto i pozwolić, by Evangeline nachyliła się do mnie. Unosi kącik ust. Delektuje się moim strachem. Gdy podnosi rękę, a ja się wzdrygam, uśmiecha się szeroko. Jednak zamiast mnie uderzyć, zakłada mi za ucho niesforny kosmyk włosów.

– Na twoim miejscu nie popełniłabym żadnego błędu. Dla mojego dobra – dodaje. – Nie twojego.

Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale i tak przytakuję.

\*

Evangeline prowadzi nas nie do sali tronowej, lecz do prywatnych sal posiedzeń Mavena. Strzegący drzwi wartownicy wyglądają bardziej imponująco niż zwykle. Po wejściu do komnaty zauważam, że obstawili nawet okna. Dodatkowe środki ostrożności po tym, jak Babcia zdołała przedostać się do pałacu.

Ostatnio, gdy przechodziłam przez tę salę, nie było tu nikogo prócz Jona. Teraz znów go widzę, stoi w kącie cichy i niepozorny w porównaniu z pozostałymi osobami. Drzę na widok Volvo Samosa, czarnego pajaka, z synem Ptolemeuszem u boku. Oczywiście jest i Samson Merandus. Wlepia we mnie pożądlive spojrzenie, a ja spuszczaam oczy, żeby uniknąć jego wzroku, jak gdybym mogła w ten sposób ochronić się przed wspomnieniem penetracji, którą przeprowadził w moim umyśle.

Spodziewam się zobaczyć Mavena siedzącego samotnie na końcu marmurowego stołu, towarzyszy mu jednak dwóch mężczyzn, którzy usadowili się po obu jego stronach. Przybysze mają na sobie grube futra i ciepłe zamszowe stroje, jak gdyby zamierzali stawić czoła ostrej zimie, choć znajdujemy się w dobrze ogrzanych pomieszczeniach. Ich granatowosina cera przypomina wypolerowany do połysku kamień. Ten po prawej stronie Mavena przyciąga wzrok kunsztowną fryzurą wykonaną z dziesiątek warkoczyków, w które wpleciono koraliki ze złota i turkus. Ten po lewej zadowolili się rozpuszczeniem długich, lśniących loków, za to skronie przyozdobił koroną z białego kwarcu, rzeźbioną w kwiaty. Bez wątplenia obaj należą do rodziny królewskiej. Ale nie naszej. Nie pochodzą z Norty.

Maven unosi dłoń i wyciąga ją do Evangeline, która idzie w jego kierunku. Cała lśni w promieniach zimowego słońca.

– Moja narzeczona, wielmożna Evangeline z domu Samos – oznajmia młody król. – Przyczyniła się do schwytania Mare Barrow, dziewczyny od błyskawic i przywódczyni Szkarłatnej Gwardii.

Evangeline doskonale odgrywa swoją rolę, wita mężczyzn dwornym ukłonem. Przybysze odwzajemniają uprzejmość i również pochylają głowy, niespiesznie i z wdziękiem.

– Proszę przyjąć nasze gratulacje, wielmożna Evangeline – odzywa się ten z koroną. Wyciąga nawet rękę, a gdy Evangeline podaje mu swoją, całuje jej palce, okazując niespotykane względy. Żeleźczyni cała promienieje.

Gdy w następnej chwili piorunuje mnie spojrzeniem, uświadamiam sobie, że chce, abym do niej dołączyła. Robię to z niechęcią. Przybysze wydają się mną zaintrygowani, przyglądają mi się z fascynacją. Witam ich zwykłym skinieniem głowy.

– To jest dziewczyna od błyskawic? – pyta księżę. Jego białe zęby lśnią na tle ciemnej skóry niczym księżyc na nocnym niebie. – To ona sprawia wam tyle kłopotu? I trzymacie ją przy życiu?

– Oczywiście, że tak – chrypi jego rodak. Dopiero gdy wstaje z fotela i prostuje się, widzę, że ma dobrze ponad dwa metry wzrostu. – To doskonała przynęta. Chociaż dziwię się, że terroryści nie próbowali jej odbić, skoro jest tak ważna, jak mówisz.

Maven wzrusza ramionami. Wydaje się niezwykle pewny siebie.

– Mój dwór jest bardzo dobrze chroniony. Niemożliwe, aby ktokolwiek tu przeniknął.

Patrzę na niego, nasze spojrzenia krzyżują się. „Kłamca”. Po jego wargach przewija się cień szelmowskiego uśmiechu, jak gdyby rzucił żart zrozumiały tylko dla nas obojga. Znów ogarnia mnie znajome pragnienie, aby splunąć mu prosto w twarz.

– W Piedmoncie przegonilibyśmy ją ulicami miast – oświadcza księżę w koronie z kwarcu. – Pokazalibyśmy ludziom, co czeka takich jak ona.

„Piedmont”. Oczywiście nazwa jest mi znajoma. Zatem to są piedmonccy księżęta. Łamię sobie głowę, usiłując wydobyć z pamięci wszystko, co wiem na temat ich kraju. Sojusznicy Norty, graniczą z nami od południa. Rządzeni przez rody książęce. Tego nauczyłam się podczas lekcji z Julianem. Później jednak dowiedziałam się jeszcze paru innych rzeczy. Na Klinie widziałam przesyłki, zapasy skradzione z Piedmontu. Farley wspomniała, że Szkarłatna Gwardia rośnie tam w siłę i zamierza wznieść bunt również na podwórku najbliższego sprzymierzeńca Norty.

– Czy ona mówi? – ciągnie księżę, spoglądając to na Mavena, to na Evangeline.

– Niestety – odpowiada Żeleźczyni, uśmiechając się znacząco.

Książęta wybuchają śmiechem, Maven im wtóruje. Reszta zebranych również rehocze, aby przypodobać się władcy.

– Książę Darejuszu, książę Aleksandrecie. – Maven obrzuca spojrzeniem obydwu przybyszy. Doskonale odnajduje się w roli dumnego monarchy, chociaż odgrywa ją przed władcami dwa razy starszymi i większymi od siebie. Elara dobrze go wyszkoliła, potrafi im dorównać dostojenstwem. – Chcieliście zobaczyć więźniarkę i ją zobaczyliście.

Aleksandret, który stoi bliżej, miękko ujmuje mnie pod brodę. Zastanawiam się, jaką ma umiejętność. I jak bardzo powinnam się go obawiać.

– Rzeczywiście, Wasza Królewska Mość. Mamy kilka pytań, które chcielibyśmy zadać, jeśli w swej łaskawości na to pozwolisz.

Starannie dobrane słowa tylko z pozoru są prośbą i tak naprawdę brzmią jak żądanie.

– Wasza Królewska Mość, ujawniłem już wszystko, co wie Mare Barrow. – Samson odzywa się, nie wstając z krzesła, pochyla się nad stołem i wskazuje na mnie ręką. – Nic, co kryje się w jej umyśle, nie umknęło mojej uwadze.

Skinęłabym potakująco, gdyby Aleksandret nie trzymał mnie wciąż pod brodę. Wpatruję się w jego twarz i usiłuję odgadnąć, czego tak naprawdę ode mnie chce. Jego oczy przypominają otchłań, nie potrafię z nich nic wyczytać. Nie znam tego człowieka i nie wydaje mi się do niczego przydatny. Gdy od przedłużającego się dotyku dostaję gęsiej skórki, znów zaczynam żałować, że nie mam do dyspozycji swojej błyskawicy. Ona z pewnością wprowadziłaby odpowiedni dystans między nami. Darejusz przesuwają się i wygląda zza ramienia rodaka, żeby lepiej mi się przyjrzeć. Złote koraliki w jego włosach mienią się w zimowym świetle niczym oślepiająco jasne pasemka.

– Królu Mavenie, chcielibyśmy usłyszeć to od niej. – Darejusz nachyla się do Mavena, a na jego twarz wypływa swobodny, ujmujący uśmiech. Piedmoncki książę jest pięknym mężczyzną i doskonale wie, jak wykorzystać swój urok osobisty. – Mamy nadzieję, że ta wyraźna prośba księcia Brackena spotka się ze zrozumieniem. Wystarczy nam tylko parę minut.

„Aleksandret, Darejusz, Bracken”. Powtarzam imiona, żeby zapadły mi w pamięć.

– Pytajcie, o co chcecie. – Maven zaciska dłonie na oparciach fotela. Ani on, ani książę nie przestają się uśmiechać i obydwaj wyglądają równie sztucznie. – Tu i teraz.

Po dłuższej chwili Darejusz ustępuje. Pochyla głowę w pełnym szacunku ukłonie.

– Doskonale, Wasza Królewska Mość.

Zaraz potem jego postać rozmazuje się i przemieszcza tak szybko, że prawie nie jestem w stanie dostrzec jego ruchów. To Zwinny. Nie tak szybki jak mój brat,

ale wystarczająco, żeby wywołać u mnie nagły skok adrenaliny. Nadal nie wiem, co potrafi robić Aleksandret, i mogę się jedynie modlić, by nie okazał się Szeptaczem, który po raz kolejny podda mnie torturom.

– Czy Szkarłatna Gwardia działa na terenie Piedmontu? – pyta księżę, spoglądając na mnie z góry i przeszywając wzrokiem. W przeciwieństwie do Darejusza nie uśmiecha się w ogóle.

Czekam na charakterystyczne sygnały zapowiadające wdarcie się cudzych myśli do mojej głowy, ale nic takiego się nie dzieje. Kajdany – to one owijają mnie kokonem ciszy, przez którą nie przebije się żadna umiejętność.

– Proszę? – głos mi się łamie.

– Chcę usłyszeć, co wiesz na temat działań Szkarłatnej Gwardii w Piedmoncie.

Każde przesłuchanie, któremu byłam poddana, przeprowadzali Szeptacze. Dlatego dziwnie się czuję, gdy ktoś zamiast rozłupać mi czaszkę i w niej grzebać, najzwyczajniej w świecie zadaje pytania i czeka na odpowiedzi. Przypuszczam, że Samson powiedział już księżętom wszystko, czego dowiedział się ode mnie, ale oni nie ufają jego słowom. Postanowili więc, spryciarze, porównać moje zeznania z jego wersją.

– Szkarłatna Gwardia potrafi strzec swoich sekretów – zaczynam, chociaż w głowie mam jeden wielki mętlik. Czy skłamałam? Czy dolewam oliwy do ognia i podsyłam atmosferę nieufności panującą między Mavenem a księżętami Piedmontu? – Nie miałam dostępu do zbyt wielu informacji dotyczących ich działań.

– Waszych działań. – Aleksandret marszczy brwi, jego czoło przecina głęboka bruzda. – Byłaś ich przywódczynią. Nie wierzę, że posiadasz tak małą wiedzę i jesteś aż tak beзуżyteczna.

„Beзуżyteczna”. Jeszcze dwa miesiące temu nazywano mnie dziewczyną od błyskawic, energią elektryczną w ludzkiej postaci. Jednak wcześniej było tak, jak mówi. Nikt nie miał ze mnie żadnego pożytku, nawet moi wrogowie. Mieszkając w Palach, nienawidziłam swojej nieprzydatności. Teraz się z niej cieszę. Marna ze mnie broń, nawet w rękach Srebrnych.

– Nie jestem ich przywódczynią – odpowiadam Aleksandretowi. Słyszę, jak siedzący za moimi plecami Maven poprawia się w fotelu. Mam nadzieję, że nagle przestało mu być wygodnie. – Nigdy nie poznałam przywódców Gwardii.

Księżę nie wierzy mi. Nie wierzy jednak i w to, co do tej pory mu wmawiano.

– Ilu agentów macie w Piedmoncie?

– Nie wiem.

– Kto finansuje wasze działania?

– Nie wiem.

W palcach rąk i nóg czuję mrowienie. Bardzo delikatne. Nie jest to ani przyjemne, ani szczególnie przykre doznanie. Przypomina drętwienie. Aleksandret nie puszcza mojego podbródka. „Kajdany”, uspokajam się w duchu. One mnie przed nim ochronią. Muszą.

– Gdzie są książę Michael i księżniczka Charlotta?

– Nie znam tych osób.

„Michael, Charlotta”. Kolejne imiona do zapamiętania. Mrowienie rozchodzi się po rękach i nogach. Ze świstem wciągam powietrze przez zaciśnięte zęby.

Aleksandret mruży oczy w skupieniu. Przygotowuję się na ostry atak bólu wywołanego przez umiejętność księcia, chociaż jeszcze nie znam jej nazwy.

– Czy kiedykolwiek kontaktowałaś się z Wolną Republiką Montfortu?

Mrowienie wciąż jeszcze jest znośne. Boli mnie jedynie szczeka, którą Aleksandret ściska coraz mocniej.

– Tak – cedzę.

Książę cofa się i z szyderczym uśmiechem puszcza moją brodę, po czym spogląda na nadgarstki. Szybkim ruchem podnosi rękaw bluzki, spod której wysuwają się kajdany. Jego twarz wykrzywia grymas niezadowolenia, a ja czuję, że drętwienie rąk i nóg nagle przechodzi.

– Wasza Królewska Mość, zastanawiam się, czy mógłbym poddać ją przesłuchaniu po usunięciu bransoletek z Cichego Kamienia? – Kolejne żądanie ukryte pod płaszczykiem prośby.

Tym razem Maven odmawia. Pozbawiona kajdan stałabym się bezbronna wobec umiejętności księcia. Musi posiadać ogromną moc, skoro potrafił choć częściowo przeniknąć przez otaczający mnie mur ciszy. Czekająby mnie tortury. Kolejne.

– Niestety, Wasza Wysokość. Jest zbyt niebezpieczna, abym mógł się przychylić do waszej prośby. – Oschłym słowem towarzyszy krótki przeczący gest. Pomimo nienawiści, jaką darzę młodocianego władcę, pojawia się we mnie isierka wdzięczności. – I zgodnie z tym, co powiedzieliście, to cenny jeniec. Nie pozwolę wam jej złamać.

Samson nawet się nie sili, żeby ukryć oburzenie.

– Ktoś powinien to uczynić.

– Czy mogę zrobić coś jeszcze dla Waszych Wysokości lub dla księcia Brackena? – ciągnie Maven, nie zwracając uwagi na komentarz swojego przekłętego kuzyna. Wstaje z fotela, jedną ręką poprawia mundur galowy ozdobiony medalami i odznakami honorowymi. Drugiej nie odrywa jednak od oparcia, palce ma cały czas zaciśnięte wokół Cichego Kamienia. To jego tarcza.

Darejusz kłania się bardzo nisko, jak gdyby składał ukłon również w imieniu towarzysza, i znów rozplywa się w uśmiechach.

– Słyszałem pogłoski, jakoby szykowała się wspaniała biesiada.

Maven również się uśmiecha, ale w spojrzeniu, którym mnie przeszywa, nie widać wesołości.

– Choć raz pogłoski okazują się prawdziwe.

\*

Pani Blonos nie zdążyła mnie nauczyć, jak podejmuje się koronowane głowy pochodzące z sojusznicznych krajów. Uczestniczyłam już w biesiadach i balach, przyglądałam się Królewskiej Próbie, którą niechcący zepsułam, ale nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego. Być może dlatego, że ojciec Mavena nie przywiązywał tak wielkiej wagi do pozorów. Jednak młody król okazuje się po raz kolejny nieodrodnym synem matki. „Potężni są ci, którzy wyglądają na potężnych”, powiedziała kiedyś. Najwyraźniej Maven wziął to sobie do serca. Królewscy doradcy, goście z Piedmontu i ja siedzimy przy długim stole na podwyższeniu, skąd roztacza się widok na całą salę.

Aula, w której znajduję się po raz pierwszy, przyćmiewa swoją okazałością zarówno salę tronową, jak i pozostałe sale biesiadne w Pałacu Białego Ognia. Z łatwością mieści się w niej cały obecny dwór, wszyscy wielmożowie i wielmożne panie wraz z rodzinami. W ściany wysokiego na trzy piętra pomieszczenia wprawiono strzeliste okna o szybach z kryształu i szkła w barwach Szlachetnych Domów. W efekcie nad marmurową posadzką ozdobioną czarnymi żyłkami granitu unoszą się miriady tęczy utworzonych przez światło słoneczne. Jego promienie rozszczepiają się, padając na diamentowe żyrandole w kształcie drzew, ptaków, gwiazdozbiorów, nawałnic, szalejących płomieni, tajfunów i kilkunastu innych symboli potęgi Srebrnych. Mogłabym przez całą ucztę wpatrywać się w roziskrzony sufit, gdyby sytuacja, w której się znajduję, nie była tak bardzo niepewna. Na szczęście tym razem nie usadzono mnie obok Mavena. Tego wieczoru jego bliską obecność muszą znosić książęta. Ja jednak wylądowałam w towarzystwie Jona i Evangeline, którzy siedzą po mojej lewej i prawej stronie. Łokcie trzymam przy sobie i prawie nimi nie poruszam z obawy, żeby nie dotknąć żadnego z nich. Nie mam ochoty ani prowokować Żeleźczyni do zabójczego kiksańca, ani zachęcać jasnowidza do dzielenia się kolejnym objawieniem przyprawiającym o mdłości.

Przynajmniej jedzenie jest smaczne, zmuszam się więc do przełknięcia kilku kęsów. Od alkoholu trzymam się z daleka, chociaż Czerwoni słudzy krążą między nami bez przerwy i żaden kielich nie stoi pusty dłużej niż sekundę. Z początku próbuję nawiązać kontakt wzrokowy z którymś z Czerwonych, ale po dłuższej chwili daję sobie z tym spokój. Służący są sprytni i nie zamierzają narażać życia tylko po to, by na mnie zerknąć.

Spoglądam więc przed siebie i zaczynam liczyć stoły, przy których zasiadają poszczególne rody. Stawiły się wszystkie, łącznie z domem Calore

reprezentowanym tylko przez Mavena. Nigdy nie słyszałam, żeby młody król miał kuzynów albo jakąkolwiek bliższą rodzinę ze strony ojca, chociaż przypuszczam, że krewni o nazwisku Calore muszą istnieć. Prawdopodobnie jednak są równie rozsądni jak służący i nie zamierzają swoją obecnością kłuć w oczy monarchy zazdrośnie strzegącego swojego prawa do tronu.

Dom Iral wydaje się mniej liczny i lekko przygaszony pomimo strojów w jaskrawych, niebiesko-czerwonych barwach. Jeszcze niedawno było ich zdecydowanie więcej, dlatego zaczynam się zastanawiać, ilu Irali zostało zamkniętych w więzieniu Corros. Mogło się również zdarzyć, że część uciekła z dworu. Tak czy inaczej, Sonia została, jak zwykle wytworna i przebiegła, choć dzisiaj dziwnie spięta. Zamieniła mundur oficera na mieniącą się suknię i usiadła obok starszego mężczyzny, który wygląda olśniewająco w kryzie wysadzanej rubinami i szafirami. Prawdopodobnie to on pełni teraz funkcję głowy rodu, ponieważ jego poprzedniczka Pantera została zamordowana przez człowieka uczującego parę metrów dalej. Zastanawiam się, czy Sonia powiedziała krewnym to, co usłyszała ode mnie na temat swojej babci i Ptolemeusza. Zastanawiam się, czy ich to w ogóle obchodzi.

Wzdrygam się, gdy Srebrna podnosi wzrok i krzyżuje ze mną spojrzenie.

Obok mnie Jon wydaje długie, ciche westchnienie. Podnosi kielich napełniony czerwonym winem, drugą ręką odsuwa na bok nóż do mięsa.

– Mare, czy mogę cię prosić o niewielką przysługę? – pyta spokojnie.

Nawet jego głos wzbudza we mnie obrzydzenie. Obracam się do niego z szyderczym uśmiechem i wlewam w swój głos tyle jadu, ile potrafię z siebie wydobyć.

– Słucham?

W tej samej sekundzie rozlega się trzask i nagle czuję piekący ból, który przecina mi policzek, rozrywa skórę, przypala ciało. Gwałtownie szarpnię głową, odsuwam się na bok, kulę się niczym wystraszone zwierzę. Wpadam ramieniem na Jona, który rzuca się do przodu, rozlewając wino i wodę na wykwintny obrus. Leje się również krew. Dużo krwi. Czuję ją, jest ciepła i mokra, ale nie patrzę w dół, żeby sprawdzić, jaki ma kolor. Nie odrywam spojrzenia od Evangeline, która wstaje od stołu i wyciąga przed siebie rękę.

Tuż przed nią drży zatrzymana w powietrzu kula. Przypuszczam, że taka sama jak ta, która rozcięła mi policzek – tyle że mogła wyrządzić o wiele więcej szkody.

Żeleźczyńni zaciska pięść, a wtedy pocisk się cofa i wraca tam, skąd przyleciał. W ślad za nim sunie chmura zimnych stalowych odłamków, które oderwały się od sukni arystokratki. Zastygła z przerażenia patrzę, jak niebiesko-czerwone postacie lawirują między metalowymi obrzynkami, pochylają się, odskakują, skręcają to w prawo, to w lewo, aby uniknąć stalowej burzy.

Niektórzy łapią ostrza w locie i odrzucają je w stronę Evangeline, rozpętując prawdziwą metaliczną zawieruchę.

Nie tylko Żeleźczyni wkracza do akcji. Wartownicy rzucają się do przodu, wybiegają zza stołu i ustawiają przed nami jeden obok drugiego, tworząc żywy mur obronny. Ruchy mają idealnie zgrane, wyćwiczone przez lata wytrwałego treningu. Jednak w ich szyku pojawiają się luki. Chwilę później niektórzy zrzucają maski i zrywają z siebie płomienne szaty. Po czym zwracają się przeciwko sobie.

Tak jak i Szlachetne Domy.

Nigdy wcześniej nie czułam się tak odsłonięta i bezbronna, chociaż niejedno już przeszłam. Przede mną toczy się pojedynek bogów. Wybałuszam oczy, żeby niczego nie przegapić i coś z tego wszystkiego zrozumieć. Ta scena przechodzi moje najśmielsze wyobrażenia. Sala balowa zamieniona w pole -bitwy. Piękne suknie i klejnoty zamiast zbroi i pancerzy.

Iralowie, Havenowie i Larisowie w swoich papuzich żółtych szatach wydają się stać po jednej stronie niewidzialnej barykady. Pomagają sobie, osłaniają się nawzajem. Wietrzyce z rodu Laris porywami wichru przerzucają Jedwabistych Irali z jednego kąta sali w drugi, posługując się nimi jak żywymi pociskami, ponieważ Irale ciskają noże i strzelają z pistoletów z zabójczą precyzją. Havenowie zupełnie zniknęli, ale tuż przed nami na podłogę pada kilku wartowników powalonych niewidzialnymi ciosami.

Pozostali nie wiedzą, co robić. Część – z domów Samos i Merandus, większość strażników i wartowników – gromadzi się wokół naszego stołu, żeby stanąć w obronie Mavena, którego nie widzę. Jednak większość odsuwa się na boki, zaskoczona, zdradzona i niezbyt chętna do tego, by rzucać się w wir walki i nadstawiać karku. Bronią się, ale nie robią nic poza tym. Obserwują i czekają, w jakim kierunku potoczą się zdarzenia.

Serce podchodzi mi do gardła. To jest moja szansa. W całym tym chaosie nikt mnie nie zauważy. Kajdany nie odebrały mi złodziejskiego instynktu ani zdolności.

Powoli cofam się od stołu, ostrożnie stawiam krok za krokiem, nie przejmując się Mavem ani nikim innym. Skupiam się na tym, co przede mną. Wypatruję najbliższych drzwi. Nie wiem, dokąd prowadzą, ale wystarczy, żeby pozwoliły mi stąd wyjść. Mijając stół, zdejmuję z niego byle jaki nóż, po czym zaczynam majstrować nim przy zamku kajdan.

Ktoś przecina mi drogę, ucieka, zostawiając za sobą smugę czerwonej krwi. Kuśtyka, ale posuwa się szybko do przodu, po czym znika za drzwiami. To Jon, uzmysławiam sobie. Też chce się stąd wydostać. Widzi przyszłość, zatem będzie znał najlepszą drogę ucieczki.

Zastanawiam się, czy zdołam go dogonić.

Odpowiedź przychodzi niedługo, gdy po wykonaniu trzech kolejnych



kroków wpadam w ręce wartownika. Chwyta mnie od tyłu, przygniata ręce do boków i trzyma mocno. Gdy zmusza mnie, żebym wypuściła z dłoni nóż, warczę niczym zezłoszczone, doprowadzone do rozpaczy dziecko.

– Nie, nie, nie. – Samson zachodzi mi drogę. Wartownik nie pozwala mi nawet drgnąć. – Nie będziemy tego tolerować.

Zaczynam wszystko rozumieć. To nie jest operacja ratunkowa. A już na pewno nie ma na celu uratowania mojej osoby. To zamach stanu, próba zabójstwa. Przyszli po Mavena.

Iralowie, Havenowie i Larisowie nie mogą wygrać tej bitwy. Chociaż mają przewagę liczebną, zdają sobie z tego sprawę. Są na to przygotowani. Dom Iral to ród intrygantów i szpiegów. Trzymają się wcześniej przygotowanego planu, dlatego teraz stają w rozbitych oknach i zaczynają z nich skakać. W osłupieniu patrzę, jak rzucają się prosto w objęcia wiatru, którego podmuchy unoszą ich w dal. Nie wszystkim jednak udaje się zbiec. Kilku z nich zostaje zatrzymanych przez Zwinnych Nornusów, również księżę Darejusz łapie paru jeńców, chociaż z ramienia wystaje mu nóż. Przypuszczam, że większość Havenów też zdążyła umknąć, ale dostrzegam jednego czy dwóch, którzy migocząc, ukazują się naszym oczom. Każdy z nich krwawi i prawdopodobnie umiera przez działania Szeptaczy z domu Merandus. W pewnym momencie Darejusz wyciąga rękę, chwyta niewyraźnie rysujące się w powietrzu ramię, a następnie łapie za ledwie widoczny kark. Gdy zaciska palce, Haven pojawia się w mgnieniu oka.

Wartownicy, którzy zrzucili szaty – potomkowie rodów Laris i Iral – również nie opuszczają sali. Klęczą, wściekli, ale nieustraszeni, w ich oczach płonie determinacja. Pozbawieni masek nie wyglądają już tak strasznie.

Naszą uwagę przyciąga bulgoczący odgłos. Wartownik, który mnie trzyma, obraca się i mogę spojrzeć na środek biesiadnego stołu, a właściwie tego, co z niego zostało. Wokół krzesła Mavena zebrała się grupka ludzi, niektórzy stoją na straży, inni klęczą. Między ich nogami dostrzegam króla.

Z jego szyi tryska srebrna krew, wypływa spomiędzy palców wartownika, który usiłuje zatamować krwotok, naciskając dłonią na ranę od kuli. Maven przewraca oczami, bezgłośnie zamyka i otwiera usta. Nie może mówić. Nie może nawet krzyczeć. Jedyne dźwięki, jaki jest w stanie z siebie wydobyć, przypomina sapnięcia i chlupot.

Cieszę się, że wartownik trzyma mnie jak w imadle. Gdyby nie to, być może podbiegłabym do Mavena. Jakaś część mnie pragnie rzucić się w jego stronę. Sama nie wiem po co – żeby go dobić czy żeby przynieść mu ulgę w ostatnich chwilach życia. I jednego, i drugiego pragnę jednakowo mocno. Chcę patrzeć mu w oczy, gdy będzie odchodził ode mnie na zawsze.

Nie mogę się jednak poruszyć, a on nie chce umrzeć.

Uzdrowicielka z domu Skonos, ta sama, która doprowadza mnie do

porządku, przypada do niego i klęka. Chyba zwracają się do niej: „Jaskółko”. Stosowne imię. Jest mała i śmigła jak ptak, od którego ją nazwano. Pstryka palcami.

– Wyjąć to! Trzymam go! – woła. – Wyjąć, natychmiast!

Ptolemeusz Samos, który do tej pory stał, rozglądając się bacznie na boki, kuca obok kobiety. Porusza dłonią, wyszarpuje coś i sekundę później obraca w palcach kulę. Z szyi Mavena tryska kolejna fontanna srebrnej posoki. Chłopak chce krzyknąć, ale dławi się własną krwią.

Uzdrowicielka, marszcząc brwi, przystępuje do pracy, kładzie obydwie dłonie na ranie. Z miejsca, w którym stoję, nie widzę, co się dzieje z ciałem Mavena, ale zauważam, że krew przestaje płynąć. Rana, od której powinien umrzeć, goi się. Nie zostaje po niej nawet blizna, jedynie wspomnienie. Mięśnie, tętnice i skóra zrastają się, są jak nowe.

Po długiej, pełnej napięcia chwili Maven dźwiga się na nogi, a z jego dłoni bucha ogień. Otaczający go Srebrni odskakują do tyłu. Stół biesiadny przewraca się i koziołkuje uderzony wściekłym płomieniem, rozsypuje naokoło niebieskie ogniki płonącego alkoholu, po czym z hukiem ląduje pod ścianą, potrzaskany i trawiony ogniem zrodzonym z gniewu młodego króla. I z jego przerażenia, jak sędzę.

Tylko Volvo zdobywa się na odwagę, by podejść do ogarniętego szalem Mavena.

– Wasza Królewska Mość, powinniśmy ewakuować was...

Młody władca obraca się z okrutnym błyskiem w oku. W zawieszonych nad nim żyrandolach wybuchają żarówki, ale zamiast wyrzucać snopy iskier, strzelają płomieniami.

– Nie mam powodu do ucieczki.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu kilku chwil. Sala balowa zmieniła się w pobojuisko pełne potłuczonego szkła, powywracanych stołów i powyginanych ciał.

Wśród ofiar znalazł się książę Aleksandret. Usadzony na honorowym miejscu władca osunął się na oparcie fotela, między jego oczami widnieje dziura od kuli.

Nie oplakuję go. Jego umiejętności sprawiła mi ból.

\*

Oczywiście zostaję przesłuchana jako pierwsza. Powinnam już do tego przywyknąć.

Wycieńczona, zmaltretowana od wewnątrz opadam na zimną kamienną posadzkę, gdy Samson ze mną kończy. Oddycham ciężko, jak gdybym właśnie dobiegła do mety morderczego wyścigu. Staram się uspokoić oddech i bicie serca, żeby zachować resztki godności i pozostać przy zdrowych zmysłach. Kulę się, gdy

Arvenowie z powrotem nakładają mi kajdany, po czym chowają klucz. Bransolety z Cichego Kamienia przytłaczają mnie, ale i przynoszą ulgę. Są moim więzieniem i schronieniem.

Wycofaliśmy się do wielkiej sali narad, okrągłego pomieszczenia, w którym kiedyś patrzyłam, jak Walsh umiera, żeby ochronić Szkarłatną Gwardię. Jest tutaj więcej miejsca, więcej przestrzeni na to, by rozprawić się z dwunastoma pojmanymi zamachowcami. Wartownicy nauczeni doświadczeniem nie wypuszczają więźniów z rąk, nie pozwalają im nawet drgnąć. Maven omiata ich spojrzeniem, siedząc przy stole obrad w towarzystwie Volvo i Darejusza. Piedmoncki -książę cały kipi, -trzęsie się z gniewu i żalu. Jego rodak, drugi książę, nie żyje, zginął w próbie zamachu na Mavena. W próbie, niestety, nieudanej.

– Nie miała o niczym pojęcia. Ani o buncie domów, ani o zdradzie Jona – oznajmia Samson zebrany. Nie ma ich wielu, większość krzeseł jest pusta, drzwi prowadzące na zewnątrz zostały pozamykane. Pozostali jedynie najbliżsi doradcy króla, którzy spoglądają po sobie niewidzącymi oczami, ich umysły pracują na najwyższych obrotach.

Maven prychnął szyderczo. Wydaje się nieporuszony tym, że ledwie uszedł z życiem.

– Nie, to nie była sprawka Szkarłatnej Gwardii. Oni działają inaczej.

– Nie możesz tego wiedzieć na pewno – odwarkuje Darejusz, zapominając o manierach i uśmiechach. – Nic o nich nie wiesz, chociaż twierdzisz co innego. Jeśli Szkarłatna Gwardia sprzymierzyła się z...

– Raczej skaziła – rzuca Evangeline zza pleców Mavena. Nie zasiada w radzie ani nie ma tytułu królowej, musi więc stać, mimo że wiele miejsc jest wolnych. – Bogowie nie sprzymierzają się z robactwem, ale mogą zostać przez nie zakażeni.

– Gładkie słówka od gładkiej dziewczyny. – Darejusz burczy lekceważąco. – Co z pozostałymi?

Na skinienie Mavena rozpoczyna się kolejne przesłuchanie. Jego ofiarą pada Cienista z rodu Haven, której z niedźwiedziego uścisku nie wypuszcza Trzeciak. Pozbawiona umiejętności Srebrna wydaje się wyblakłą wersją samej siebie. Jej rude włosy stały się ciemniejsze, bardziej matowe, nie mają charakterystycznych czerwonych refleksów. Gdy Samson przykładła dłoń do jej skroni, powietrze przeszywa przeraźliwy krzyk.

– Myśli o swojej siostrze – relacjonuje Samson beznamiętnie. Jedyne uczucie, jakie pobrzmiwa w jego głosie, to znudzenie. – Elane.

Widziałam Elane zaledwie parę godzin temu, jak przemykała po salonie Evangeline. Jeśli wiedziała cokolwiek na temat zbliżającego się zamachu, nie dała tego po sobie poznać. Żaden dobry intrygant nie zdradziłby się jednak z taką wiedzą.

Maven również zdaje sobie z tego sprawę. Piorunuje Evangeline spojrzeaniem.

– Słyszałem, że wielmożna Elane uciekła, razem z większością swoich krewnych opuściła stolicę – mówi. – Czy domyślasz się, najdroższa, dokąd mogła się udać?

Żeleźczyni patrzy prosto przed siebie, stąpa po coraz kruchszym lodzie. Nie pomogą jej ani brat, ani ojciec, jeśli Maven wyzwoli agresję, która w nim narasta.

– Nie, skądże miałabym to wiedzieć? – odpowiada spokojnie, po czym zaczyna oglądać paznokcie, które przypominają szpony.

– Ponieważ była narzeczoną twojego brata i twoją dziwką – odpowiada król obojętnym tonem.

Jeśli Evangeline ogarnął wstyd czy może nawet skrucha, nie okazuje tego.

- - Ach, o to chodzi – próbuje drwić, jak gdyby w ogóle nie przejęła się oskarżeniem. – Myślisz, że mogłaby się dowiedzieć czegokolwiek ode mnie? Niby jak, skoro nie dopuszczasz mnie do spraw rady ani do polityki, wszystko trzymasz w tajemnicy. Być może oddała ci nawet przysługę, zajmując i umilając mi czas.

Ich sprzeczka przypomina mi kłótnię innej królewskiej pary: rodziców Mavena awanturujących się po zamachu Szkarłatnej Gwardii w Palatium Słońca. Skoczyli sobie do gardeł i kęsali bez litości, zostawiając rany, które nigdy do końca nie mogły się zagoić.

– W takim razie poddaj się przesłuchaniu, Evangeline, i sami się o tym przekonamy – król odpowiada bez namysłu i wyciąga ozdobioną pierścieniami rękę.

– Moja córka pod żadnym pozorem nie będzie brała udziału w tej procedurze – grzmi Volvo, chociaż w jego tonie wyczuwam nie tyle groźbę, ile niezachwianą pewność. – Nie była w to zamieszana, broniła cię, narażając własne życie. Gdyby nie błyskawiczna reakcja Evangeline i mojego syna... nawet mówienie o tym zakrawa na zdradę. – Patriarcha rodu Samosów marszczy brwi i krzywi się, jak gdyby sama myśl napawała go odrazą. Jak gdyby nie był pierwszym, który zatańczyłby na grobie Mavena. – Niech żyje król.

Na środku sali Cienista ciężko dyszy, usiłując wyswobodzić się z uścisku Trzeciaka. Strażnik trzyma ją jednak mocno, nie pozwala wstać z kolan.

– Tak, niech żyje król! – warczy kobieta. – Tyberiasz Siódmy! Niech żyje król!

„Ca!”

Maven wstaje, uderza pięścią w oparcie fotela. Spodziewam się, że komnata stanie w ogniu, jednak płomienie się nie pojawiają. Nie mogą, dopóki król dotyka fotela z Cichego Kamienia. Płoną jedynie jego oczy. W następnej chwili jego twarz powoli rozciąga się w szaleńczym grymasie i Maven wybucha śmiechem.

– To wszystko... dla niego? – Uśmiecha się pogardliwie. – Mój brat

zamordował króla, naszego ojca, pomógł zabić moją matkę, a teraz próbuje zabić mnie. Samsonie, kontynuuj, proszę. – Skinieniem głowy wydaje kuzynowi polecenie. – Nie mam litości dla zdrajców ani mi ich nie żal. Zwłaszcza tych głupich.

Pozostali zwracają się w stronę Cienistej, patrzą i przysłuchują się, jak kobieta wyrzuca z siebie tajemnice stronnictwa, do którego należy, jego cele i plany. Chcą zastąpić Mavena -Calem. Zwrócić mu koronę, która należy mu się z tytułu urodzenia. Przywrócić właściwy porządek rzeczy.

Przez cały ten czas spoglądam na chłopca zasiadającego na tronie. Utrzymuje kamienną twarz. Szczęki ma zaciśnięte, usta ściągnięte w cienką, bezwzględną linię. Nieruchome palce, proste plecy. Jednak w jego spojrzeniu dostrzegam zawahanie. Czai się w nich coś, czego wcześniej nie było. Przy kołnierzyku zaś zauważam delikatny szary rumieniec, który rozlewa się coraz bardziej po szyi i sięga koniuszków uszu.

Maven jest przerażony.

Przez krótką chwilę cieszę się z tego. Zaraz jednak coś sobie przypominam – potwory są najbardziej niebezpieczne, gdy się boją.

## Rozdział 11

Cameron

Nawet jeśli miałabym się zamienić w sopel lodu, chciałam zostać w Trialu. Nie ze strachu, ale żeby postawić na swoim. Nie jestem bronią, by się mną posługiwano, nie zamierzam pozwolić się wykorzystywać, tak jak zrobiła to Barrow. Nikt nie będzie mi mówił, gdzie mam iść i co mam robić. Koniec z tym. Przez całe życie słuchałam rozkazów. Teraz słucham siebie, a instynkt podpowiada mi, że mam się trzymać z daleka od działań Gwardii w Corvium, mieście fortecy, które połyka żołnierzy i wypluwa ich kości.

Tyle że mój brat Morrey tkwi w okopach ledwie kilka kilometrów stąd. Pomimo umiejętności, którą władam, będę potrzebowała pomocy, żeby się do niego przedrzeć. A jeśli chcę coś dostać od tej cholernej Gwardii, muszę dać jej coś w zamian. Farley wyraziła się w tej sprawie bardzo jasno.

Lubię ją, tym bardziej że przeprosiła za swój komentarz na temat „wykorzystania” Nowych w walce. Mówi, co myśli. Nie rozczuła się nad sobą, chociaż miałyby do tego pełne prawo. Inaczej niż Cal, który włości się z kąta w kąt z ponurą miną, najpierw odmawia pomocy, a potem zmienia zdanie, kiedy mu przyjdzie na to ochota. Wygnany książę jest bardzo męczący. Nie mam pojęcia, jak Mare mogła z nim wytrzymać, jak znosiła to, że nie potrafił opowiedzieć się po żadnej stronie – zwłaszcza że tak naprawdę wybór miał dość ograniczony. Nawet teraz cały czas się waha, raz chce ochronić Srebrnych w Corvium, raz pragnie zetrzeć miasto na proch.

– Musicie przejąć kontrolę nad murami – mamrocze, stojąc przed Farley i pułkownikiem. Jesteśmy w bazie w Rokaście, słabiej ufortyfikowanym mieście zajmującym się głównie zaopatrzeniem i leżącym kilka kilometrów od naszego celu. – Jeśli przejmiecie mury, będziecie mogli przewrócić miasto do góry nogami albo w ogóle rozebrać umocnienia. Sprawić, że -Corvium stanie się bezużyteczne. Dla wszystkich.

Siedzę beczynnym w dużym, prawie ogołoconym z mebli pokoju i przysłuchuję się pogaduszkom ze swojego miejsca obok Ady. To był pomysł Farley. Obie nie chowamy się przed ludźmi, dlatego jesteśmy jednymi z najbardziej znanych Nowych. Kojarzą nas wszyscy Czerwoni. To, że dopuszczono nas do narad, jest wymownym sygnałem dla całej jednostki. Ada przygląda się dyskusji szeroko otwartymi oczami, zapamiętuje każdy gest i słowo. Zwykle siedziałyby z nami Babcia, ale jej już nie ma. Była niedużą kobietą, jednak zostawiła po sobie ogromną pustkę. I wiem, czyja to wina.

Wwiercam spojrzenie w kark księcia. Czuję mrowienie związane z przyływem mocy i po raz kolejny muszę powstrzymać nagłą chęć powalenia Cala na kolana. Pozabijałby nas wszystkich dla Mare, a nie potrafi podnieść ręki na swoich ludzi dla dobra reszty świata. Babcia sama zdecydowała, że przeniknie do Archeonu, ale wszyscy wiemy, że pomysł nie wyszedł od niej.

Farley jest równie wściekła jak ja. Choć mówi do księcia, to na niego nie patrzy.

– Pozostaje pytanie, jak najlepiej rozlokować ludzi. Nie możemy umieścić wszystkich na murach, nawet jeśli to kluczowy punkt.

– Jeżeli się nie mylę, w Corvium stacjonuje dziesięć tysięcy Czerwonych żołnierzy. – Niemal parskam śmiechem, skromność Ady bywa rozbijająca. „Jeżeli się nie mylę”. Jej obliczenia są niezawodne i wszyscy doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. – Regulamin wojskowy nakazuje, żeby na każdego oficera przypadało dziesięciu szeregowców, a to oznacza, że w mieście jest przynajmniej tysiąc Srebrnych, nie licząc personelu jednostek dowodzenia i administracji. Naszym celem powinno być zneutralizowanie ich.

Cal krzyżuje ręce, nie przekonuje go nawet perfekcyjna, niepodważalna logika Ady.

– Nie jestem tego pewien. Naszym celem jest zniszczenie Corvium, wymierzenie paraliżującego ciosu w samo serce armii Mavena. Tego można dokonać, unikając... – urywa na chwilę – ...unikając masakry po obu stronach.

Jak gdyby obchodziło go to, co stanie się z naszymi ludźmi, ilu zginie po naszej stronie.

– Niby jak zamierzasz zniszczyć miasto pod nosem tysiąca Srebrnych? – zastanawiam się głośno, chociaż nie spodziewam się odpowiedzi. – Jako księżę poprosisz ich, żeby siedzieli z założonymi rękami i wszystkiemu się spokojnie przyglądali?

– Oczywiście będziemy walczyli z tymi, którzy stawiają opór – wtrąca się pułkownik. Patrzy prosto na Cala, prowokując go do reakcji. – A będą stawiali. To jedno wiemy na pewno.

– Czyżby? – W głosie księcia pobrzmiwa zadowolenie. – W zeszłym tygodniu Mavena próbowali zabić jego własni dworzanie. Skoro w Szlachetnych Domach nastąpił rozłam, w szeregach wojska również doszło do podziału. Przypuszczenie otwartego ataku scali podzielonych Srebrnych, przynajmniej tych w Corvium.

Od nagich ścian pokoju odbija się pełne drwiny prychnięcie.

– Co więc proponujesz? Zaczekać? – szydę. – Pozwolić Mavenowi wylizać się i przegrupować? Dać mu chwilę, żeby złapał oddech?

– Dać mu chwilę, żeby ukręcił dla siebie stryczek – odburkuje Cal i również wykrzywia twarz w paskudnym grymasie. – Dać mu czas na popełnienie kolejnych

błędów. Jego dobre stosunki z Piemontem, jedynym sojusznikiem, wiszą na włosku, a trzy Szlachetne Domy otwarcie wypowiedziały posłuszeństwo. -Jeden z tych rodów kontroluje flotę powietrzną, drugi ogromną sieć wywiadowczą. Nie wspominając o tym, że Maven wciąż ma na głowie nas i Lakelandczyków. Boi się, zaczyna się gubić w tym wszystkim. Nie chciałbym być teraz w jego skórze.

– Naprawdę? – rzuca Farley od niechcienia, ale jej słowa przecinają powietrze niczym noże i dotykają księcia do żywego. Każdy to widzi. Chociaż dzięki dworskiemu wychowaniu potrafi zachować kamienną twarz, zdradzają go oczy. Płoną w jaskrawym świetle jarzeniówki. – Nie kłam i nie mów, że nie obchodzą cię pozostałe wieści z Archeonu. Informacje na temat tego, z jakiego powodu Larisowie, Iralowie i Havenowie chcieli zabić twojego brata.

Cal wlepia w gwardzistkę nieruchome spojrzenie.

– Próbowali przeprowadzić zamach stanu, ponieważ Maven jest tyranem, który nadużywa władzy i morduje własnych -ludzi.

Uderzam pięścią w poręcz krzesła. Nie wymiga się tak łatwo.

– Zbuntowali się, bo chcieli obrać cię na króla! – wołam. Ku mojemu zdumieniu Cal wzdryga się. Być może spodziewał się, że cisnę w niego czymś więcej niż tylko słowami. Ja jednak panuję nad umiejętnością, nawet jeśli przychodzi mi to z trudem. – „Niech żyje Tyberiasz Siódmy”. To zamachowcy wykrzykiwali Mavenowi prosto w twarz. Nasi pałacowi agenci nie mieli żadnych wątpliwości.

Książę wydaje długie, zmęczone westchnienie. Wygląda tak, jak gdyby postarzał się przez naszą rozmowę. Brwi ma zmarszczone, szczękę zaciśniętą. Mięśnie grają mu na karku, dłonie zwijają się w pięści. Przypomina maszynę, która lada chwila się rozsypie – albo wybuchnie.

– To było do przewidzenia – mamrocze, jak gdyby jego tłumaczenia mogły coś zmienić. – Prędzej czy później musiało dojść do kryzysu sukcesyjnego. Ale nie ma żadnej realnej możliwości, żeby zwrócono mi pozycję następcy tronu.

Farley przekrzywia głowę.

– A gdyby taka możliwość istniała? – Zacieram ręce z zadowolenia. Wojowniczką nie odpuści mu tak łatwo, jak robiła to Mare. – Gdyby zaoferowano ci koronę, prawo do tronu przysługujące z racji urodzenia, w zamian za zakończenie tego wszystkiego, przyjąłbyś ją?

Wygnyany książę z rodu Calore prostuje się, żeby spojrzeć Farley prosto w oczy.

– Nie.

Nie kłamie tak dobrze jak Mare.

\*

– Cholernie trudno mi to przyznać, ale ma rację z tym czekaniem.



Prawie krztuszę się herbatą, którą naląła mi Farley. Szybko odstawiam wyszczerbioną filiżankę na ledwo trzymający się kupy stolik.

– Chyba nie mówisz poważnie. Jak możesz mu zaufać?

Wojownicza chodzi tam i z powrotem po ciasnym pokoiku, wystarczy parę długich kroków, żeby go przemierzyć. Jedną ręką masuje sobie krzyż, próbując przynieść ulgę obolałym plecóm. Włosy ma coraz dłuższe i od pewnego czasu zaczęła zaplatać je w warkocz. Ustąpiłabym jej miejsca na krzesło, ale ostatnio nie lubi siedzieć. Musi być cały czas w ruchu, tak jej wygodniej i dzięki temu może spożytkować nerwową energię, która ją rozsadza.

– Oczywiście, że mu nie ufam – odpowiada, kopiąc w oblażącą z farby ścianę. Buzuje w niej wiele emocji, łącznie z frustracją. – Ale jestem pewna niektórych spraw z nim związanych. Jestem pewna, że postąpi tak, a nie inaczej, gdy w grę będą wchodziły losy niektórych osób.

– Masz na myśli Mare. – „To oczywiste”.

– Mare i Mavena. Jego uczucie do Mare jest tak samo mocne jak nienawiść do brata. Na dodatek jedno napędza drugie. Jeśli będziemy o tym pamiętać, uda nam się zatrzymać go przy nas.

– A po co chcecie go zatrzymać? Niech sobie idzie, niech przygarnie paru wkurzonych Srebrnych i będzie kolejnym wrzodem na tyłku Mavena. Nie potrzebujemy go tutaj.

Farley niemal parska śmiechem, jak zwykle ostatnio gorzkim.

– Jasne, świetny pomysł, już biegnę powiadomić Dowództwo, że właśnie wykopaliśmy naszego najbardziej znanego i poważanego agenta. Na pewno dobrze to przyjmą.

– Ale przecież on tak naprawdę nawet nie jest z nami...

– Mare tak naprawdę nie jest z Mavem, ale czy ludzie o tym wiedzą? – Mimo że ma rację, i tak się krzywię. – Dopóki mamy Cala, będą się z nami liczyć. Bo chociaż sknociliśmy pierwszy zamach w Archeonie, udało nam się przeciągnąć na swoją stronę Srebrnego księcia.

– Cholernie bezużytecznego księcia.

– Wkurzającego i upierdliwego, zgadzam się, ale nie bezużytecznego.

– Naprawdę? Ciekawe co takiego dla nas zrobił, poza wysłaniem Babci na śmierć?

– Nikt nie posłał tam Babci na siłę, Cameron. Podjęła decyzję i zginęła. Tak to czasami jest.

Mówi do mnie jak starsza siostra, chociaż ma niewiele więcej lat ode mnie. Góra dwadzieścia dwa. Chyba zaczyna jej się już włączać instynkt macierzyński.

– Oprócz tego, że dzięki niemu punktujemy u mniej wrogo nastawionych Srebrnych, zainteresował się nim Montfort.

„Montfort”. Tajemnicza Wolna Republika. Bliźniacy Rash i Tahir

przedstawiają swoją ojczyznę jako oazę spokoju, wolności i równości, w której Czerwoni, Srebrni i Ardentowie – tak nazywają Nowych – żyją w pokoju obok siebie. Trudno uwierzyć, że takie miejsce istnieje naprawdę. Coś tam jednak musi być, skoro przysyłają nam pieniądze, zaopatrzenie i dają wsparcie. Większość naszych środków pochodzi właśnie od nich.

– Czego chcą? – Podnoszę filiżankę z herbatą i zbliżam ją do twarzy, żeby owiało mnie parujące z niej ciepło. Nie jest tu aż tak lodowato jak w Irabelle, ale tak czy inaczej mroźne zimowe powietrze przenika przez ściany naszej kryjówki w Rokaście. – Chłopaka na plakat?

– Coś w tym stylu. Prowadzili wiele rozmów z Dowódcztwem. Nie mam dostępu do większości z nich. Wiem, że interesowali się Mare, ale...

– Ostatnio jest mocno zapracowana.

Wzmianka o Mare Barrow nie wywołuje u Farley tak silnych emocji jak wspomnienia o jej bracie, ale i tak po twarzy wojowniczkii przewija się grymas bólu. Oczywiście gwardzistka próbuje to ukryć. Stara się jak może, żeby wyglądać na niewzruszoną, i zazwyczaj jej to wychodzi.

– Czyli naprawdę nie ma żadnej szansy na to, żeby ją uratować – szepczę. Gdy Farley kręci głową, czuję niespodziewane ukłucie smutku. Chociaż Mare potrafi mnie doprowadzić do szału, chciałabym, żeby wróciła. Potrzebujemy jej. I w ciągu ostatnich długich miesięcy dotarło do mnie, że również ja jej potrzebuję. Ona wie, jak to jest być innym i szukać kogoś, kto choć trochę będzie do Ciebie podobny. Wie, jak to jest bać się i budzić strach innych. Tęsknię za nią, nawet jeśli trochę za często zachowywała się, jakby pozjadała wszystkie rozumy.

Farley przestaje kręcić się po pokoju i dolewa sobie herbaty. Gorący napój paruje, wypełniając pokój zapachem ziół. Wojowniczką podnosi filiżankę, ale zamiast się napić, podchodzi do okna osadzonego wysoko w ścianie. Przez zamglone szyby wlewa się zimowe światło.

– Nie widzę na to sposobu. O wiele łatwiej przeniknąć do Corvium niż do Archeonu. Musielibyśmy przypuścić zmasowany atak, na jaki nie możemy sobie pozwolić. Zwłaszcza teraz, po akcji Babci i próbie zamachu. Środki Bezpieczeństwa zostaną zaostrzone, dwór Mavena będzie lepiej strzeżony niż więzienie. Chyba że...

– Chyba że...?

– Cal mówi, żebyśmy czekali. Pozwolili, żeby Srebrni w Corvium zwrócili się przeciwko sobie. By Mavem popełnił jeszcze kilka błędów, zanim przystąpimy do działania.

– To pomoże także Mare.

Farley przytakuje.

– Łatwiej uciec ze słabego, podzielonego dworu, którym rządzi król ogarnięty paranoją. – Wzdycha, wpatrując się w nietkniętą herbatę. – Tylko ona

sama może się teraz uratować.

Rozmowa niezauważalnie wchodzi na nowe tory. Pragnę powrotu Mare, ale jeszcze bardziej chcę uratować kogoś innego.

– Ile kilometrów mamy stąd do Duszni?

– Ty jak zwykle swoje. – Odsuwam się od stolika, żeby wstać. Czuję, że muszę się wyprostować. Dorównuję Farley wzrostem, ale ona zawsze wydaje się patrzeć na mnie z góry. Jestem młoda, niewykształcona. Nie widziałam zbyt wiele świata poza slumsami, w których mieszkałam. To jednak nie oznacza, że będę beczynną siedzieć i czekać na kolejny rozkaz do wykonania.

– Nie chcę pomocy od ciebie ani od Gwardii. Potrzebna mi tylko mapa, może jeszcze broń. Resztę załatwię sama.

Farley nawet nie mruga.

– Cameron, twój brat został wcielony do legionu. Wyciągnąć go stamtąd to coś więcej niż pójść na polowanie.

Zaciskam pięści.

– Myślisz, że przywlekłam się tutaj tylko po to, żeby przyglądać się z założonymi rękami, jak Cal prowadzi swoje machinacje? – Nie pierwszy raz toczymy taką rozmowę. Wojowniczką z łatwością mnie gasi.

– Na pewno nie przywlekłaś się tutaj tylko po to, żeby dać się zabić – odpowiada spokojnie. Unosi szerokie ramiona, jak gdyby szykowałą się do starcia. – A właśnie tak się skończy twoja misja, niezależnie od tego, jak potężną i niebezpieczną umiejętność posiadasz. Nawet jeśli wysadziłabyś po drodze kilkunastu Srebrnych, zginiesz, a ja nie dam ci zginąć po nic. Czy wyrażam się jasno?

– Mój brat to nie jest żadne „nic” – odburkuję. Farley ma rację, ale nie chcę tego przyznać. Unikam jej spojrzenia i obracam się do ściany. Skubię palcami kawałek odchodzącej farby, ze złością odrywam kolejne wyblakłe płyty emalii. Zachowuję się dziecinnie, ale dzięki temu czuję się choć trochę lepiej. – Nie jesteś moim kapitanem. Nie będziesz mi mówić, co mam robić ze swoim życiem.

– To prawda. Jestem tylko przyjacielem, który chce ci coś uświadomić. – Słyszę, że wojowniczka przestępuje z nogi na nogę, podłoga skrzypi pod jej ciężkimi krokami. Jednak dłoń, którą sztywno kładzie na moim ramieniu, wydaje się lekka. Ruchy ma kanciaste, nie jest mistrzynią pocieszania. Przez chwilę się zastanawiam, jak ona i ciepły, uśmiechnięty Shade Barrow mogli znaleźć wspólny język w rozmowie i w łóżku. – Pamiętam, co powiedziałaś Mare. Gdy cię znaleźliśmy. W odrzutowcu zarzuciłaś jej, że poszukiwanie Nowych po to, by ich ratować, jest czymś złym. Kolejnym podziałem na lepszych i gorszych w zależności od krwi. Przedkładaniem jednych Czerwonych nad drugich. I miałaś rację.

– To nie to samo. Ja po prostu chcę uratować brata.

– Jak myślisz, po co przymaszerowała tu cała reszta? – prycha Farley. – Żeby ratować przyjaciela, siostrę, rodziców. Ratować siebie. Wszyscy tu przyszliśmy z tych samych egoistycznych powodów, Cameron. Ale nie możemy pozwolić, żeby samolubne myślenie przeszkodziło nam w osiągnięciu celu. Musimy myśleć o sprawie. O dobru ogółu. A ty możesz tak wiele zdziałać tutaj, z nami. Nie możemy stracić... ciebie.

„Kolejnej Nowej. Nie możemy stracić kolejnej Nowej”. Poprawiła się, zanim zdążyła to powiedzieć, ale ja i tak wiem, co miała na myśli.

– Mylisz się. Nie trafiłam tu z własnej woli. Zostałam tu przywieziona. Mare Barrow zmusiła mnie, żebym się do niej przyłączyła, a wam to pasowało.

– Cameron, za każdym razem wyciągasz ten sam argument. A przecież wiesz, jak było. Zdecydowałam się z nami zostać dawno temu. Zdecydowałam się pomóc.

– A ty Farley? Co wybrałabyś dzisiaj, gdybyś miała wybór? – Wpatruję się w nią gniewnie. Może i jest moją przyjaciółką, ale to nie oznacza, że mam siedzieć jak pies z podkulonym ogonem.

– Słucham?

– Wybrałabyś dobro ogółu czy Shade'a?

Gdy nie odpowiada, a jej oczy nagle zachodzą mgłą, wiem, jaką podjęłaby decyzję. Uzmysławiam sobie, że nie chcę widzieć, jak płacze, odwracam się więc i ruszam do drzwi.

– Muszę trochę potrenować – oznajmiam, chociaż nie sędzę, żeby ktokolwiek mnie słyszał.

\*

Trudno trenować w naszej kryjówce w Rokaście. Nie mamy tu dużo miejsca, a do tego większość agentów, których znam, została w Irabelle. Na przykład Kilorn. Chociaż mało kto pali się do walki tak bardzo jak on, nie został włączony do naszego oddziału, bo nie posiada umiejętności, a głównie na nich będziemy się opierać podczas ataku. Na szczęście moja osobista trenerka wyruszyła z nami. W końcu jest Srebrną, a poza tym pułkownik woli nie spuszczać jej z oka.

Sara Skonos czeka w piwnicy wzmocnionego magazynu, który służy nam za schronienie. Podziemie przeznaczono na salę ćwiczeń dla Nowych. Zbliża się pora obiadu, więc pozostali poszli coś zjeść. Całą piwnicę mamy dla siebie, chociaż wcale nie potrzeba nam aż tyle przestrzeni.

Sara siedzi ze skrzyżowanymi nogami, dłonie położyła płasko na betonowej podłodze. Obok leży jej notatnik, z którego czasem korzysta. Gdy wchodzę, patrzy na mnie i nie odrywa ode mnie spojrzenia – to jedynie powitanie, jakiego się doczekam. Do tej pory nie dołączył do nas żaden inny Uzdrowiciel Ciała, dlatego moja trenerka pozostaje niemową. Chociaż do tego przywykłam, widok

zapadniętych policzków i myśl, że jest pozbawiona języka, wywołują u mnie obrzydzenie. Jak zwykle Sara udaje, że niczego nie zauważa, i gestem nakazuje mi usiąść naprzeciwko siebie.

Zgodnie z poleceniem zajmuję wskazane miejsce i tłumię znajomy impuls, aby natychmiast rzucić się do ataku albo do ucieczki.

Jest Srebrną. Kimś, kogo przez całe życie uczyłam się bać, nienawidzić i słuchać. Jednak nie potrafię gardzić nią tak, jak pogardzam Julianem czy Calem. Nie chodzi o to, że lituję się nad nią. Chyba po prostu... ją rozumiem. Rozumiem, jakie to uczucie wiedzieć, że coś jest słuszne, i spotkać się z lekceważeniem, a nawet karą za swoje poglądy. Nie pamiętam już, ile razy dostawałam żywnościowe racje okrojone o połowę tylko dlatego, że krzywo popatrzyłam na Srebrnego nadzorcę. Że odezwałam się niepytana. Sara zrobiła to samo, tyle że zwróciła się przeciwko panującej królowej. Dlatego odebrano jej mowę na zawsze.

Jednak mimo że nie może mówić, potrafi się porozumieć ze światem. Klepie mnie w kolano, chcąc, żebym spojrzała w jej zamglone szare oczy. Potem pochyła twarz i kładzie rękę na sercu.

Ja powtarzam jej ruchy, wiem, czego ode mnie oczekuje. Zaczynam oddychać tak samo jak ona: spokojnie, miarowo, głęboko. To pomaga zapanować nad myślami kłębiącymi się w głowie. Rozjaśnia umysł, dzięki czemu wyczulam się na doznania, które zwykle lekceważę. Umiejętność wzbiera pod moją skórą i chociaż zawsze tam jest, teraz pozwalam sobie ją zauważyć. Nie korzystam z niej, ale dostrzegam jej istnienie. -Cisza, którą władam, ciągle jeszcze jest czymś nowym i muszę ją opanować podobnie jak każdą inną sprawność.

Po długiej chwili poświęconej tylko oddychaniu Sara znów mnie klepie, chcąc, żebym na nią spojrzała. Tym razem wskazuje siebie.

– Saro, naprawdę nie jestem w odpowiednim nastroju – zaczynam, ale Srebrna wykonuje krótki, ostry ruch dłonią. Nie trzeba geniusza, żeby go rozszyfrować: „Zamknij się”. – Mówię poważnie. Mogę ci zrobić krzywdę.

Z jej gardła wydobywa się drwiący charkot, jeden z niewielu dźwięków, które potrafi wydać. Brzmi niemal jak śmiech. W następnej chwili moja trenerka postukuje palcem o wargi i uśmiecha się ponuro. Nie takie krzywdy ją spotykały.

– No dobra, ostrzegałam cię – wzdygam. Poprawiam się, przybieram nieco wygodniejszą pozycję, po czym marszczę brwi i pozwalam, żeby umiejętność ze mnie wypłynęła, otoczyła mnie i zaczęła się rozszerzać. Aż dosięga Sarę. I ogarnia ją cisza.

Oczy Srebrnej rozszerzają się, gdy dotyka jej moja moc. Z początku to jedynie uklucie. Przynajmniej taką mam nadzieję. Dzisiaj tylko ćwiczę, nie zamierzam rozłożyć jej na łopatki. Myślę o Mare, która potrafi przywołać burzę, o Calu, który jest w stanie rozpętać ogniste piekło, i o tym, jak nie potrafią rozmawiać ze sobą, nie wybuchając. Opanowanie wymaga o wiele więcej ćwiczeń

i wysiłku niż stosowanie siły.

Siła mojej umiejętności wzmagą się i Sara podnosi palec, żeby zasignalizować lekki ból. Próbuję trzymać ciszę na wodzy, wysyłać stały, kontrolowany strumień mocy. Chyba podobnie wygląda powstrzymywanie przyływu. Nie wiem, co czują ci, którzy są uciszani. Cichy Kamień nie działał na mnie w więzieniu Corros, za to dusił, wysysał siły i powoli zabijał pozostałych więźniów. Ja potrafię dokonać tego samego. Po mniej więcej minucie trenerka wystawia drugi palec.

– Sara...?

Gestem drugiej ręki Srebrna każe mi kontynuować.

Pamiętam naszą wczorajszą sesję. Leżała na podłodze przy pięciu wyciągniętych palcach, a ja wiedziałam, że mogę nacisnąć jeszcze mocniej. Nie zależy mi jednak na odebraniu sprawności naszej jedynej Uzdrowicielce.

Na policzkach Sary rozlewa się rumieniec i być może wystawiłaby kolejny palec, gdyby nie otwarły się drzwi do piwnicy.

Tracę skupienie, fala ciszy załamuje się, z piersi trenerki wyrывa się westchnienie ulgi. Obydwie obracamy się, żeby sprawdzić, kto nam przeszkodził, ale podczas gdy na twarzy Srebrnej pojawia się nieczęsto widywany uśmiech, ja pochmurnieję.

– Jacos – rzucam do przybysza. – Może nie zauważyłeś, ale jesteśmy w trakcie treningu.

Kącik ust zaczyna mu drgać, jak gdyby Julian zamierzał mi odpowiedzieć drwiącym uśmiechem, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Wszystkim nam lepiej się powodzi w Rokaście. Łatwiej tu o zaopatrzenie, dostajemy więc ubrania dopasowane do zimowej pory: pikowane, z podszewką, z grubszego materiału. Posiłki są pożywniejsze, pokoje cieplejsze. Widać to po nas wszystkich, również po nim. Na policzki wrócił mu rumieniec, a jego przetykane siwizną włosy nabrały połysku. Jest Srebrnym. Urodził się do tego, by dobrze wyglądać.

– Och, ależ ze mnie ignorant. Myślałem, że siedzicie na zimnym betonie dla zabawy – oznajmia. To żadna tajemnica, że odwzajemnia mój brak sympatii. Sara piorunuje go pełnym wyrzutu spojrzeniem, przez co Srebrny trochę spuszcza z tonu. – Wybacz, Cameron – dodaje szybko. – Chciałem tylko przekazać coś Sarze.

Kobieta unosi pytająco brew. Podnoszę się, zamierzam zostawić ich samych, ale ona mnie zatrzymuje i skinieniem głowy prosi Juliana, żeby mówił dalej. Sara jest jedyną osobą, której Jacos słucha bez słowa sprzeciwu.

– Na dworze doszło do exodusu. Maven usunął dziesiątki arystokratów, głównie dawnych doradców ojca i tych, którzy mogliby w skrytości darzyć lojalnością Cala. To... Z początku nie wierzyłem w doniesienia wywiadu. Nigdy wcześniej nic podobnego się nie wydarzyło.

Julian i Sara patrzą sobie w oczy, zastanawiając się, co mogą oznaczać te zdarzenia. Mnie osobiście mało obchodzą losy garstki Srebrnych wielmożów, dawnych przyjaciół mojej trenerki i Jacosa. Bardziej interesuje mnie co innego.

– Co z Mare?

– Nadal jest na dworze, nadal w charakterze więźnia. Jeśli dojdzie do kolejnych rozłamów i buntu ze strony Szlachetnych Domów... – Wzdycha, kręcąc głową. – Maven toczy już wojnę, ale teraz musi się przygotować na prawdziwą nawałnicę.

Poruszam się na podłodze, zmieniam pozycję na wygodniejszą. Ma rację. Zimny beton to niezbyt przyjemne siedzisko. Na szczęście zdążyłam do niego przywyknąć.

– Wiedzieliśmy, że nie można jej uratować. Czy to, co się stało, cokolwiek zmienia?

– Cóż, na pewno. Z jednej strony Maven będzie miał więcej wrogów, dlatego będzie nam poświęcał mniej uwagi, a my zyskamy większą swobodę ruchu. Z drugiej strony zapewne zewrze szeregi i wycofa się w lepiej strzeżone miejsca. Nie dotrzemy w jego najbliższe otoczenie.

Obok mnie Sara wydaje cichy gardłowy dźwięk. Nie może powiedzieć tego, o czym wszyscy myślimy, więc robię to za nią.

– Nie dotrzemy do Mare.

Julian przytakuje, wzrok ma poważny.

– Jak ci idzie trening?

Zmienia temat z taką prędkością, że zaskoczona zaczynam się jąkać.

– O... o tyle, o ile. Nie mamy tu zbyt wielu nauczycieli.

– Miałabyś większy wybór, gdybyś chciała trenować z moim siostrzeńcem.

– Niech inni z nim ćwiczą – odpowiadam, nie kryjąc przekąsu. – Nie mogę obiecać, że dam radę się powstrzymać, aby go nie udusić, wolę więc nie kusić losu.

Sara cmoka z niezadowoleniem, ale Julian uspokaja ją machnięciem ręki.

– W porządku, nic się nie dzieje. Może myślisz, że nie rozumiem, że nie jestem w stanie zrozumieć twojego punktu widzenia, i masz rację. Ale na pewno robię, co w mojej mocy, aby zrozumieć, Cameron. – Postępuje krok w naszą stronę. Nie podoba mi się to, zrywam się więc na nogi, idąc za głosem instynktu obronnego. Jeśli mam się znaleźć tak blisko Juliana Jacosa, wolę być gotowa na wszystko. – Nie musisz się mnie obawiać, zapewniam cię.

– Obietnice Srebrnych nic dla mnie nie znaczą. – Nie muszę warczeć. Słowa są wystarczająco ostre.

Ku mojemu zdumieniu Julian uśmiecha się. Spojrzenie ma jednak pozbawione wyrazu.

– Och, myślisz, że o tym nie wiem – mamrocze bardziej do siebie i Sary niż do mnie. – Trzymaj się swojego gniewu. Być może Sara się ze mną nie zgodzi, ale

ja uważam, że on ci pomoże bardziej niż cokolwiek innego, jeśli nauczysz się go poskramiać.

Chociaż za nic w świecie nie chcę otrzymywać rad od tego człowieka, tę wskazówkę zapisuję w pamięci. To on wyszkolił Mare. Byłabym idiotką, gdybym twierdziła, że pod jego okiem moja umiejętność by się nie rozwinęła. A gniewu mam zawsze dużo.

– Przynosisz jeszcze jakieś wiadomości? – pytam. – Mam wrażenie, że Farley i pułkownik opóźniają wymarsz, a może to twój siostrzeniec ich hamuje.

– Tak, wydaje się, że to jego zasługa.

– Dziwne. Zawsze myślałam, że jest pierwszy do bitki.

Julian znów posyła mi ten swój dziwny uśmiech.

– Cal został wychowany na wojownika, tak samo jak ty byłaś wychowana do obsługi maszyn. Ale nie chcesz wracać do fabryki, prawda?

Do głowy przychodzi mi wiele odpowiedzi, ale każda z nich więźnie mi w gardle. „Byłam niewolnikiem. Nie miałam wyboru. Zmuszano mnie”. Zamiast tego cedzę przez zaciśnięte zęby:

– Nie myśl, że mnie przegadasz, Julianie.

Srebrny tylko wzrusza ramionami.

– Ja staram się zrozumieć twój punkt widzenia. Wysił się trochę, żeby zrozumieć jego.

Innym razem pewnie wypadłabym z sali jak burza, wściekła i urażona. Szukałabym pocieszenia przy wymianie bezpieczników albo izolowaniu kabli. Dzisiaj jednak siadam spokojnie obok Sary. Nie zamierzam uciekać przed Julianem Jacosem jak skarcona małolata. Dawałam sobie radę z nadzorcami gorszymi niż on.

– Widziałam dzieci, które umierały, nie wiedząc, czym jest słońce ani jak to jest oddychać świeżym powietrzem. Były waszymi niewolnikami. Też to widziałeś? Dopiero gdy zobaczysz, będziesz miał prawo pouczać mnie o punktach widzenia, wielmożny Jacosie. – Odwracam się od niego. – Daj mi znać, gdy księżę w końcu się zdecyduje, po czyjej stronie stoi. I czy wybrał właściwą.

Patrzę na Sarę i kiwam głową.

– Gotowa do kolejnej rundy?



## Rozdział 12

### Mare

Kilka miesięcy temu, gdy Srebrni uciekli z Palatium Słońca wystraszeni zamachem Szkarłatnej Gwardii dokonany podczas ich wspaniałego balu, była to wspólna decyzja. Wyjeżdżaliśmy wszyscy razem, zjednoczeni, płynęliśmy w dół rzeki do stolicy, żeby przegrupować siły. Teraz dzieje się coś innego.

Maven odprawia wielmożów grupami. Nie jestem wtajemniczona w jego działania, ale widzę, że dwór z dnia na dzień się kurczy. Brakuje kilku starszych doradców. Królewskiego skarbnika, paru generałów, członków różnych rad. „Zwolnieni ze swoich stanowisk”, jak głosi plotka. Ja jednak wiem swoje. Były to osoby z najbliższego otoczenia Cala i jego ojca. Maven jest na tyle bystry, żeby im nie ufać, i rozprawia się z nimi bezwzględnie. Oczywiście nie zabija ich ani nie zamyka. Nie zamierza rozniecać kolejnych ognisk buntu wśród arystokracji. Jednak usunięcie ich z dworu to zdecydowany ruch. Coś jak zmiecenie pionków z szachownicy. Efektem tych działań są przyjęcia, podczas których stoły przypominają działą starca – z każdym dniem przybywa pustych miejsc. Większość ludzi, których odprawiono, to wiekowi mężczyźni i kobiety, od lat wierni koronie. Oni więcej pamiętają i mniej ufają nowemu królowi.

Niektórzy zaczynają nazywać pałac Mavena „dziecięcym dworem”.

Monarcha odesłał wielu starszych wielmożów, ale zostawił przy sobie ich synów i córki. To coś w rodzaju prośby. Przestrogi. Groźby.

W razie czego ma zakładników.

Paranoja władcy dotknęła nawet dom Merandusów. Tylko Samosowie pozostali w całości, nikt z rodu nie padł ofiarą błyskawicznych dymisji.

Cały czas są gorąco oddani młodemu królowi. Lub przynajmniej doskonale udają lojalność.

Pewnie dlatego Maven częściej mnie teraz wzywa i co chwilę muszę go oglądać. Tylko przy mnie wie, na czym stoi. Ja jedna go nie zwodzę w kwestii tego, komu i czemu jestem wierna.

Przy wspólnym śniadaniu czyta raporty, z oszałamiającą prędkością przebiega wzrokiem po kolejnych kartkach. Nie ma sensu kombinować i starać się na nie ukradkiem zerknąć. Przejrzane doniesienia Maven kładzie obok talerza, zapisaną stroną do dołu, z dala ode mnie. Skoro więc nie mogę poznać treści raportów, usiłuję ją wyczytać z twarzy i zachowania króla. W prywatnej jadalni, w której jesteśmy, nie otacza się tak desperacko Cichym Kamieniem. Nawet wartownikom każe czekać na zewnątrz, przy każdych drzwiach i wysokich oknach.

Cały czas ich widzę, ale oni nas nie słyszą, zgodnie z zamysłem Mavena. Siadając do śniadania, król nie zapina marynarki od munduru, nie zakłada korony ani nawet nie czesze się. Myślę, że ta jadalnia to jego azyl, miejsce, w którym może sam przed sobą udawać, że czuje się bezpiecznie.

Niemal przypomina chłopca, którego kiedyś stworzyłam w swojej wyobraźni. Księcia drugiego w kolejce do tronu, zadowolonego ze swojej pozycji, nieobciążonego koroną, która nigdy do niego nie należała.

Znad krawędzi szklanki obserwuję każde drgnienie mięśni i każdy cień przewijający się po jego twarzy. Przymknięte powieki, usta, które zaciskają się coraz mocniej. Złe wiadomości. Znów ma podkrążone oczy i chociaż je za dwóch, zmiatając niemal wszystko z ustawionych przed nami talerzy, z dnia na dzień wydaje się chudszy. Zastanawiam się, czy śni mu się po nocach próba zamachu. Czy dręczą go koszmary o matce, która zginęła z mojej ręki. O ojcu, który zginął z jego ręki. O bracie, który został wygnany, ale cały czas jest dla niego zagrożeniem. Zabawne, Maven nazywał siebie cieniem Cala, ale teraz to Cal stał się cieniem, upiorem wyglądającym z każdego zakątka królestwa, które balansuje na krawędzi.

Doniesienia o wygnanym księciu są tak szeroko rozpowszechnione, że docierają nawet do mnie. Ponoć widziano go w zatoce Harbor, w Delphie, w Rokaście. Dochodzą nas nawet ostrożne meldunki o rzekomej ucieczce Cala za granicę, do Lakelandii. Nie mam pojęcia, która z tych pogłosek jest prawdziwa. Być może żadna. Równie dobrze mógłby skryć się w Montforcie, w krainie odległej, a przez to bezpieczniejszej.

Mimo że mieszkam w pałacu należącym do Mavena i żyję w jego rzeczywistości, wszędzie wokoło dostrzegam Cala. Nieskazitelne mundury, żołnierze ćwiczący musztrę, płonące świece, złocone ściany obwieszane portretami i sztandarami w rodowych barwach. Pusty salon przywodzi mi na myśl lekcje tańca. Gdy widzę Mavena jedynie kątem oka, przez chwilę potrafię udawać. W końcu są przyrodni braćmi. Mają podobne rysy. Ciemne włosy, elegancka sylwetka godna członka rodziny królewskiej. Maven jest jednak bledszy, bardziej kanciasty, przypomina szkielet człowieka i nie chodzi tylko o wygląd. Jego dusza również jest zasuszona.

– Wpatrujesz się we mnie tak intensywnie, że zastanawiam się, czy zobaczyłaś już odbicia liter w moich oczach – odzywa się nagle Maven. Składa kartki, zakrywając ich treść, i podnosi wzrok.

Nie udaje mu się mnie zaskoczyć. Zamiast się wzdrygnąć, dalej nakładam na tost żenująco grubą warstwę masła.

– Niestety w twoich oczach nic nie da się zobaczyć – odpowiadam spokojnie. – Jesteś pustym człowiekiem.

Nawet nie drgnie.

– A ty jesteś bezużyteczna.

Przewracam oczami i leniwie postukuję kajdanami w stół. Metalowe bransolety uderzają o drewniany blat, wydając dźwięk, który przypomina pukanie do drzwi.

– Nasze rozmowy to czysta frajda.

– Jeśli wolisz jeść w swojej komnacie... – ostrzega. Kolejna z gróźb bez pokrycia, które ostatnio składa codziennie. Obydwoje wiemy, że ten układ to dla nas najlepsze rozwiązanie. Ja mogę udawać, że robię coś przydatnego, a on, że nie jest całkiem sam w złotej klatce, którą osobiście stworzył. Dla siebie i dla mnie.

Źle sypiam, nawet mimo otumaniającego działania kajdan, a to oznacza, że mam mnóstwo czasu na myślenie.

I planowanie.

Książki Juliana stanowią źródło nie tylko pocieszenia, ale i wiedzy. Choć dzieli nas nie wiadomo ile kilometrów, mój nauczyciel udziela mi kolejnych lekcji. W jego tekstach – całkiem niezłe zachowanych – znajduję nowe wskazówki i mądrości, które biorę sobie do serca i zamierzam wykorzystać. Pierwsza i najważniejsza rada brzmi: dziel i zwyciężaj. Maven wykonał już ten ruch w stosunku do mnie. Teraz muszę mu się odwzajemnić.

– Próbujesz w ogóle polować na Jona?

Zaskakuję go tym pytaniem, pierwszy raz wspominam o Nowym, który wykorzystał próbę zamachu, żeby uciec. O ile wiem, jasnowidz nie został jeszcze złapany. Gdy myślę o tym, ogarnia mnie rozgoryczenie – jemu udało się wymknąć, mnie nie. Jednak poniekąd cieszę się z takiego obrotu spraw. Jon jest niebezpiecznym narzędziem i to dobrze, że znalazł się daleko od Mavena Calore.

Maven szybko odzyskuje rezon i kontynuuje posiłek. Wpycha do ust duży plaster bekonu, nie zważając na etykietę.

– Doskonale wiesz, że takiego człowieka niełatwo odnaleźć.

– Ale czy w ogóle go szukasz?

– Wiedział o zbliżającym się zamachu na króla i nic nie zrobił – stwierdza rzeczowo Maven. – To czyn równoznaczny ze zdradą. Z tego, co udało mi się ustalić, spiskował z rodami Iral, Haven i Laris.

– Wątpię. Gdyby im pomógł, osiągnęliby swój cel. Szkoda, że było inaczej.

Ignoruje przytyk, wraca do jedzenia i lektury.

Przekrzywiam głowę, ciemne włosy zsuwają mi się na jedno ramię. Ich końcówki robią się coraz bardziej siwe pomimo wszelkich starań mojej Uzdrowicielki. Nawet dom Skonos nie może uleczyć czegoś, co jest martwe.

– Jon uratował mi życie.

Spojrzenie błękitnych oczu krzyżuje się z moim.

– Kilka sekund przed zamachem zagadnął mnie. Dzięki niemu odwróciłam głowę. Gdyby nie to... – Przeciągam palcem po kości policzkowej, w miejscu,

gdzie pocisk, który miał mi roztrzaskać czaszkę, tylko mnie zadrasnął. Rana się zagoiła, ale nie zapomniałam o niej. – Prawdopodobnie odgrywam jakąś rolę w przyszłości, którą widzi.

Maven skupia się na mojej twarzy. Wpatruje się nie w oczy, ale w bok głowy, która cudem pozostała w jednym kawałku.

– Z jakiegoś powodu jesteś osobą, którą trudno uśmiercić.

Trochę na pokaz parskam gorzkim śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło?

– Ile razy próbowałeś mnie uśmiercić?

– Tylko raz.

– Wobec tego po co ci był nadajnik fal dźwiękowych? – Na wzmiankę o piekielnym urządzeniu zaczynają mi drżeć palce. Wspomnienie bólu, który mi zadawał, jest wciąż świeże w mojej pamięci. – Do zabawy?

Następny raport ląduje wierzchem do dołu w plamie słonecznego światła na stole. Maven liże koniuszki palców, po czym podnosi kolejny plik kartek. Jest bardzo zajęty. A przynajmniej na takiego chce wyglądać.

– Nadajnik nie powstał po to, żeby cię zabić, Mare. Miał tylko w razie potrzeby obezwładnić cię. – Po jego twarzy przemyka coś dziwnego. Coś jakby zadowolenie, ale nie do końca. – I prawdę mówiąc, nie ja go wymyśliłem.

– No pewnie. Od myślenia masz innych. Znów sprawka Elary?

– Właściwie to Cala.

„Och”. Mimowolnie spuszcza wzrok. Potrzebuję chwili, żeby się pozbierać. Przez ułamek sekundy żal chwyta mnie za gardło, czuję się zdradzona. Jednak w tym momencie rozgoryczenie na nic mi się nie przyda.

– Nie wierzę, że ci o tym nie powiedział. – Maven nie odpuszcza. – Zwykle bardzo się szyci swoimi wynalazkami. Ten również był genialny. Ale mało mnie to obchodzi. Kazałem zniszczyć ustrojstwo. – Nie odrywa oczu od mojej twarzy. Niecierpliwie czeka na reakcję. Staram się zachować obojętność, chociaż serce zaczyna mi bić szybciej. Nadajnik zniszczony. Kolejny podarek, kolejna wiadomość od nieistniejącego księcia z przeszłości. – Jednak z łatwością można go zrekonstruować, jeśli zmienisz zdanie i przestaniesz współpracować. Cal był łaskaw zostawić schematy swoich maszyn, gdy zwiął razem z bandą Czerwonych szurów.

– Uciekł – mamrocę. „Weź się w garść. Nie daj się wyprowadzić z równowagi”. Udając znużenie, przesuwam po talerzu resztki jedzenia. Staram się wyglądać na zranioną, ale nie pozwalam, żeby uczucie rozżalenia rzeczywiście wzięło nade mną górę. Muszę trzymać się planu. Przekierować rozmowę na odpowiednie tory. – Zmusiłeś go do ucieczki. Tylko dlatego, że pragnąłeś zająć jego miejsce i stać się taki jak on.

Teraz to Maven wymusza śmiech, aby ukryć zdenerwowanie.

– Nie masz pojęcia, jaki by się stał, gdyby założył koronę.

Krzyżuję ręce, rozsiadam się wygodniej na krześle. Scena rozgrywa się dokładnie tak, jak chciałam.

– Wiem, że ożeniłby się z Evangeline Samos, dalej prowadziłby bezsensowną wojnę i ignorował rosnące niezadowolenie tysięcy gnębionych ludzi. Czy to brzmi znajomo?

Nawet tak podstępna zmija jak on nie znajduje riposty na moje słowa. Z trzaskiem rzuca na stół trzymane w ręku papiery. Zbyt szybko i nieostrożnie. Przez chwilę leżą wierzchem do góry i zanim Maven zdąży je odwrócić, dostrzegam parę słów. „Corvium. Ofiary”. Najwyraźniej Srebrny władca pochwycił mój wzrok, ponieważ wzdycha z rozdrażnieniem.

– Jak gdyby mogło ci to pomóc – mówi cicho. – Nigdzie się nie wybierasz, więc po co zawracasz sobie głowę?

– Chyba masz rację. Tak czy inaczej, moje dni są policzone.

Przekrzywia głowę, z niepokojem marszczy brwi. Na to właśnie liczyłam.

– Dlaczego tak mówisz?

Przenoszę wzrok na sufit, przyglądam się ozdobnym gzymsom i żyrandolowi. Wytworna lampa połyskuje blaskiem miniaturowych żarówek elektrycznych. Gdybym tylko znów mogła poczuć ich energię.

– Wiesz, że Evangeline nie pozwoli mi pożyć zbyt długo. Gdy tylko zostanie królową... skończy ze mną. – Głos mi drży, staram się wlać w niego cały mój lęk. Mam nadzieję, że to zadziała. Maven musi mi uwierzyć. – Tego przecież chciała od dnia, w którym zjawiłam się w jej życiu.

Chłopak mruga powiekami.

– Myślisz, że nie obronię cię przed nią?

– Nie wydaje mi się, żebyś mógł to zrobić. – Skubię rąbek sukni. Nie tak pięknej jak kreacje szyte na oficjalne wystąpienia, ale równie strojnej. Przesadnie. – Oboje wiemy, jak łatwo królowym przychodzi zabijanie.

Powietrze faluje od ciepła, gdy Maven przeszywa mnie wzrokiem. W zwykłych okolicznościach odwzajemniłabym jego uporczywe spojrzenie, teraz jednak pochylam głowę, odwracam oczy. Rozwścieczam go tym jeszcze bardziej, ponieważ uwielbia mieć widownię. Milczenie przedłuża się, czuję się zupełnie obnażona, bezbronna jak ofiara w szponach drapieżnika. Tym właśnie jestem. Uwięziona, pozbawiona mocy, trzymana na smyczy. Pozostają mi jedynie słowa i nadzieja, że zdążyłam poznać niektóre cechy Mavena.

– Nie waży się ciebie dotknąć.

– A Lakelandzycy? – Gwałtownie podnoszę głowę. Do oczu napływają mi łzy; nie strachu, lecz złości. – Gdy rozerwą na strzępy twoje i tak rozpadające się królestwo? Co się stanie, gdy wygrają tę niekończącą się wojnę i z całego twojego świata zostaną tylko zgliszczka? – Wzdycham głęboko, zaczynam drżeć, łzy płyną

mi ciurkiem po policzkach. Wczuвам się w przedstawienie całą sobą. Muszę, inaczej nic z tego nie wyjdzie. – Przypuszczam, że oboje wylądujemy wtedy w Kościńcu i razem zostaniemy straceni.

Jego blada twarz zbieleła jeszcze bardziej i wiem, że te myśli nie są mu obce. Nęka ją go bez przerwy, są jak krwawiąca rana. Dlatego postanawiam posypać ją solą.

– Stoisz na krawędzi wojny domowej. Nawet ja o tym wiem. Jaki sens udawać, że istnieje możliwość, abym wyszła z tego cała? Zabije mnie albo Evangeline, albo wojna.

– Powiedziałem ci już, że nie dopuszczę do tego.

Grymas, w jakim wykrzywiam twarz, nie musi być udawany.

– Jakim cudem miałabym zaufać jakimkolwiek twoim zapewnieniom?

Gdy wstaje, zimny strach, który skręca mi wnętrzności, również jest prawdziwy. Patrzę, jak okrąża stół zwinnym, eleganckim krokiem, i naprężam wszystkie mięśnie, aby nie dygotać. Mimo to drzę. Niepokojąco delikatnym ruchem ujmuję moją twarz, obydwa kciuki kładzie pod brodą, zaledwie parę centymetrów od tętnicy szyjnej, a ja szykuję się na najgorsze.

Pocałunek Mavena pali mnie bardziej niż piętno, którym mnie naznaczył.

Dotyk jego ust jest najgorszym aktem przemocy. Jednak ze względu na niego, ze względu na cel, który chcę osiągnąć, nie podnoszę pięści z kolan i zamiast wbić mu paznokcie w oczy, wbijam je w swoje dłonie. Musi mi uwierzyć tak samo, jak wcześniej uwierzył jego brat. Muszę go przekonać, żeby wybrał mnie, tak samo jak wcześniej próbowałam przekonać Cala. Mimo to nie potrafię się zdobyć na to, żeby rozchylić usta, i moje wargi pozostają zaciśnięte.

Gdy po chwili się odsuwa, mam nadzieję, że nie wyczuwa pod palcami dreszczy obrzydzenia, które we mnie wzbudził. On jednak skupia się na oczach, próbuje z nich wyłowić głęboko ukryte kłamstwo.

– Straciłem wszystkich pozostałych, których kochałem.

– Z czyjej winy?

Zaczyna się trząść jeszcze bardziej niż ja. Cofa się o krok, puszcza moje ramiona i podważa paznokciem swój paznokieć. Ten widok wprawia mnie w osłupienie, ponieważ poznaję ten ruch. Ja również tak robię. Gdy ból wewnątrz mnie staje się nie do wytrzymania, żeby go zagłuszyć, wywołuję inny rodzaj bólu, fizyczny. Maven zauważa moje zdumione spojrzenie i natychmiast się opanowuje. Opuszcza ręce, mocno przyciska je do boków.

– Wykorzeniła wiele moich nawyków – przyznaje. – Tego jej się nie udało. Niektóre rzeczy zawsze wracają.

– Znowu ona. – Elara. Przede mną stoi dzieło jej życia. Chłopiec, z którego zrobiła króla za sprawą tortur nazywanych przez siebie miłością.

Maven powoli wraca na swoje miejsce i siada. Nie spuszczam z niego

wzroku, wiedząc, że to wywołuje jego niepokój. Wytrącam go z równowagi, chociaż nadal nie rozumiem dlaczego.

„Wszystkich pozostałych, których kochałem”.

Chociaż nie wiem, dlaczego ta deklaracja dotyczyła również mnie, zdaję sobie sprawę, że tylko z tego powodu wciąż jeszcze oddycham. Ostrożnie naprowadzam rozmowę na temat Cala.

– Twój brat żyje.

– Niestety.

– Ale jego nie kochasz?

Nie podnosi oczu znad kolejnego raportu, zauważam jednak, że przestaje go czytać, jego spojrzenie zatrzymuje się i nieruchomieje. Nie jest zaskoczony ani nawet smutny. Wydaje się przede wszystkim zagubiony, przypomina chłopczyka, który usiłuje ułożyć układankę, ale nie potrafi, ponieważ brakuje zbyt wielu fragmentów.

– Nie – odzywa się w końcu, a ja poznaję, że kłamie.

– Nie wierzę ci. – Kręcę głową.

Pamiętam, kim byli dla siebie. Braćmi, wychowywanymi wspólnie przyjaciółmi, którzy razem stawiliby czoła całemu światu. Nawet Maven nie jest w stanie całkiem się od tego odciąć. Nawet Elara nie zdołała doprowadzić do zerwania takiej więzi. Niezależnie od tego, ile razy Maven próbował zabić Cala, nie może wyprzeć się tego, jak wiele kiedyś dla siebie znaczyli.

– Wierz sobie, w co chcesz, Mare – odpowiada. Tak samo jak wcześniej udaje obojętność, usilnie starając się mnie przekonać, że Cal nic go nie obchodzi. – Wiem na pewno, że nie kocham brata.

– Nie kłam. Ja też mam rodzeństwo. I nie zawsze mnie to cieszyło. Zwłaszcza to, że mam siostrę. Odkąd pamiętam, była bardziej utalentowana i życzliwa ode mnie, lepsza we wszystkim, bystrzejsza. Wszyscy lubili ją bardziej niż mnie. – Przyznaję się do dawnych lęków, splatam z nich sieć, w którą chcę złapać Mavena. – Przekonałam się o czymś na własnej skórze. Utrata jednego z nich, brata... – Głos więźnie mi w gardle, w głowie kotłują się myśli: „Nie zatrzymuj się. Wykorzystaj cierpienie”. – Boli najbardziej na świecie.

– Miał na imię Shade, prawda?

– Nie waz się wymawiać jego imienia – warczę, wypadając na chwilę z roli. Rana jest zbyt świeża, zbyt dotkliwa. Maven jednak nie przejmuje się moim wybuchem.

– Matka mówiła, że nawiedzał cię w snach – oznajmia. Wzdrygam się na wspomnienie tego, co Elara robiła z moim mózgiem. Wciąż pamiętam jej szepty, które rozsadały mi czaszkę. – Przypuszczam jednak, że to nie były sny. On naprawdę do ciebie przychodził.

– Robiła to każdemu? – pytam. – Nic się przed nią nie uchowało? Nawet

twoje sny?

Nie odpowiada, a ja naciskam mocniej.

– Czy kiedykolwiek ci się przyśniłam?

Znów go ranię, zupełnie nieświadomie. Opuszcza oczy, wpatruje się w pusty talerz przed sobą. Wyciąga rękę, żeby chwycić szklankę z wodą, ale zaraz potem się rozmyśla. Przez sekundę, zanim zdąży cofnąć dłoń, widzę jego drżące palce.

– Nie wiem – oznajmia w końcu. – Nie mam snów.

– To niemożliwe – prychnam. – Nawet komuś takiemu jak ty musi się czasem coś śnić.

Coś ciemnego przemyka po jego twarzy. Chłopak zaciska szczęki, porusza grdyką, jak gdyby próbował połknąć słowa, których nie powinien wypowiedzieć. One jednak i tak wyrwywają się na wolność. Ręce, które wcześniej schował, dotykają teraz blatu stołu i delikatnie w niego stukają.

– Kiedyś śniły mi się koszmary. Odebrała mi je, gdy byłem mały. Samson dobrze powiedział, matka działała jak chirurg. Wycinała z mojej głowy wszystko, co jej nie pasowało.

W ostatnich tygodniach uczucia pustki i odrętwienia, które mną owładnęły, zastąpiła dzika wściekłość. Jednak gdy teraz słucham Mavena, znów ogarnia mnie lodowate zubożenie. Emanuje ze mnie niczym promieniowanie radioaktywne. Nie interesuje mnie, co on ma do powiedzenia. Jego usprawiedliwienia i tłumaczenia nic dla mnie nie znaczą. Jest potworem, zawsze nim był i będzie. A jednak nie potrafię przestać go słuchać. Ponieważ ja również mogłam stać się potworem. Gdyby coś poszło nie tak. Gdyby w przeszłości ktoś mnie złamał tak, jak złamał jego.

– Mój brat. Ojciec. Wiem, że kiedyś ich kochałem. Pamiętam to. – Zaciska palce na stołowym nożu, wpatruje się w jego ostrze. Zastanawiam się, czy chciałby zwrócić je przeciwko sobie, czy przeciwko matce. – Ale teraz już tego nie czuję. To nie jest już miłość. Nie kocham żadnego z nich. Prawie w ogóle nie ma we mnie miłości.

– To dlaczego mnie tu trzymasz? Skoro nic nie czujesz. Dlaczego mnie po prostu nie zabijesz i nie skończysz tej całej historii?

– Najtrudniej było matce wymazać... jedno specyficzne uczucie – przyznaje, patrząc mi prosto w oczy. – Próbowwała to zrobić z ojcem, chciała, żeby zapomniał o swojej miłości do Coriane. Ale tylko pogorszyła sprawę. Poza tym zawsze mówiła, że lepiej żyć ze złamanym sercem. Cierpienie hartuje. Miłość rozmiękcza. I miała rację. Przekonałem się o tym, jeszcze zanim poznałem ciebie.

Kolejne imię, tym razem niewypowiedziane, zawisło w powietrzu.

– Thomas.

W pierwszym odruchu biegnę myślami do chłopaka, którego Maven nazwał kiedyś swoim „pierwszym prawdziwym przyjacielem”. Poznał go na froncie i był



to kolejny Czerwony, który stracił życie w bezsensownej wojnie. Dopiero w następnej chwili dociera do mnie to, co przed momentem zostało powiedziane między słowami. Maven kochał tego chłopaka – tak samo jak teraz kocha mnie.

– Thomas – młody król powtarza za mną, mocniej ściska trzymaną w ręce nóż. – Czułem... – Marszczy brwi, jego czoło przecinają głębokie bruzdy. Drugą dłoń przykładą do skroni, rozmasowuje ból, którego nie rozumiem. – Nie było jej tam. Nigdy go nie poznała. Nic nie wiedziała. On nawet nie służył jako żołnierz. To był wypadek.

– Mówiłeś, że próbowałeś go uratować. Powstrzymali cię strażnicy.

– W kwaterze głównej doszło do eksplozji. W raporcie napisano później, że była to akcja dywersyjna Lakelandczyków. – Słyszę ciche tykanie zegara, gdy kolejne sekundy upływają w milczeniu. Cisza przedłuża się, jak gdyby Maven mocował się sam ze sobą, nie wiedząc, na ile opuścić maskę. Ona jednak całkiem już opadła. Nie pierwszy raz otworzył się przede mną jak przed nikim innym. – Zostaliśmy sami. Straciłem panowanie.

Wyobrażam sobie tę scenę, domalowuję w myślach szczegóły, których on nie potrafi wypowiedzieć na głos. Skład amunicji. Może gazociąg. W obydwu miejscach wystarczy mały płomień, by spowodować pożar.

– Ja nie spłonąłem. On tak.

– Mawenie...

– Nawet matka nie zdołała wyciąć tego wspomnienia. Nawet ona nie potrafiła sprawić, żebym zapomniał, chociaż błagałem ją o to na kolanach. Chciałem, by zabrała ten ból, a ona wiele razy próbowała. Tyle że po każdej próbie ból robił się jeszcze większy.

Wiem, jak odpowie na moje pytanie, ale mimo wszystko postanawiam je zadać.

– Proszę, wypuścisz mnie?

– Nie.

– W takim razie pozwolisz, żebym umarła. Tak jak pozwoliłeś umrzeć jemu.

Uderza mnie fala gorącego powietrza, po moich plecach spływa strużka potu. Maven gwałtownie wstaje, krzesło odbija się od jego nóg i przewraca na podłogę. Gdy młody król wali pięścią w stół, po czym przesuwając ręką po blacie, talerze, szklanki i sztucce również lądują na posadzce. Tylko zrzucone raporty przez chwilę unoszą się w powietrzu, by po chwili łagodnie opaść na stos potłuczonego kryształu i porcelany.

– Nie pozwolę. – Maven dyszy tak cicho, że z trudem udaje mi się pochwycić jego słowa. W następnej sekundzie odwraca się i wymaszerowuje z pokoju.

Zanim zdołam się otrząsnąć, wchodzi Arwenowie, chwytają mnie pod ramiona i odciągają od stołu oraz rozsypanych papierów, na które znów nie

zdążyłam zerknąć.

\*

Ze zdumieniem przyjmuję wiadomość, że Maven, który zwykle bardzo skrupulatnie trzyma się harmonogramu posiedzeń i audiencji, odwołał tego dnia wszelkie spotkania. Chyba nasza rozmowa zrobiła na nim większe wrażenie, niż się spodziewałam. Jego niedyspozycja oznacza, że zostaję w swojej komnacie w towarzystwie ksiązek Juliana. Zmuszam się do czytania, choćby tylko po to, aby nie rozmyślać za dużo o porannych wydarzeniach. Maven to wytrawny kłamca i nie ufam ani jednemu słowu, które pada z jego ust. Nawet jeśli przez przypadek mówił prawdę. Nawet jeśli jest wytworem skrzywionego umysłu matki, kwiatem, który naginano, żeby rósł i rozwijał się w taki, a nie inny sposób. To niczego nie zmienia. Nie zapomnę tego, co zrobił mnie i wielu innym. Gdy go poznałam, dałam się uwieść jego cierpieniu. Był chłopakiem, który zawsze stał w cieniu, zapomnianym synem. Widziałam w nim siebie. Zawsze gorszą od Gisy, oczka w głowie rodziców. Teraz wiem, że Maven, będąc księciem, celowo odgrywał przede mną to przedstawienie. Nabrał mnie, zwabił w pułapkę. Za to będąc królem, zamknął mnie w złotej klatce. Siebie zresztą też. Moje pęta to kajdany z Cichego Kamienia. Jego pęta to korona.

„Królestwo Norty powstało w wyniku zjednoczenia pomniejszych królestw, księstw i państw, różniących się od siebie pod względem wielkości i znaczenia: od królestwa Samosów w Rowach po miasto-państwo Delphie. Cezar Calore, Srebrny wielmoża z Archeonu i wybitny strateg, scalił rozczłonkowaną Nortę w obliczu zagrożenia ze strony sprzymierzonych sił Piedmontu i Lakelandii. Koronował się na jej króla, po czym swoją córkę Julianę wydał za męża za Gariona Savannę, wielkiego księcia Piedmontu. Ten akt zapoczątkował trwałe przymierze między domem Calore a książętami z Piedmontu. W następnych wiekach wielu potomków rodu Calore oraz piedmonckich rodów książęcych podtrzymywało tradycję pieczętowania sojuszu poprzez zawieranie małżeństw. Rządy króla Cezara zainicjowały erę dobrobytu w Norcie, dlatego też nortańskie kalendarze oznaczają początek jego panowania symbolem »n.e.« – »Nowa Era«”.

Dopiero za trzecim podejściem udaje mi się przebrnąć przez cały ten akapit. Historyczne teksty Juliana są napisane trudniejszym językiem niż te, z których uczyłam się w szkole. Co chwilę odpływam gdzieś myślami. Czarne włosy, błękitne oczy. Łzy, które Maven powstrzymuje nawet przy mnie. Czy to kolejne przedstawienie? Jeśli tak, to co mam zrobić? I co zrobić, jeśli nie? Na myśl o nim serce mi na zmianę albo pęka, albo twardnieje. Żeby odsunąć od siebie te rozważania, wracam do lektury.

„Natomiast stosunki nowo powstałej Norty z rozległą Lakelandią uległy pogorszeniu. Po serii wojen granicznych z Prerią w II wieku n.e. Lakelandczycy

utracili ważne tereny rolnicze w regionie Minnowan oraz kontrolę nad Wielką Rzeką (nazywaną również Miss). Malejące z powodu wojny wpływy z podatków, a także widmo głodu oraz buntu ze strony Czerwonych wymusiły ekspansję wzdłuż granicy z Nortą. Na pograniczu zaczęło dochodzić do incydentów zbrojnych. Aby powstrzymać dalszy rozlew krwi, Tyberiasz Trzeci, władca Norty, oraz panujący w Lakelandii król Onekad z rodu Łabędzi spotkali się na historycznym szczycie przy Wodospadach Dziewiczych. Negocjacje trwały krótko, zakończyły się fiaskiem i w 200 roku n.e. obydwa królestwa wypowiedziały wojnę, obwiniając się nawzajem o zerwanie stosunków dyplomatycznych”.

Nie potrafię się powstrzymać i parskam śmiechem. Nic nigdy się nie zmienia.

„Konflikt – znany w Norcie jako Wojna Lakelandzka, a w Lakelandii nazywany Agresją – nadal trwa w momencie pisania niniejszych słów. Dotychczas straciło w nim życie około pół miliona Srebrnych, większość w pierwszych dziesięciu latach walk. Nie prowadzi się dokładnego rejestru zgonów Czerwonych żołnierzy, ale dane szacunkowe mówią o pięćdziesięciu milionach zabitych oraz stu milionach rannych po obu stronach konfliktu”.

Nad obliczeniami, do których natchnął mnie przeczytany fragment, głowię się dłużej, niż chciałabym przyznać. Czerwonych zginęło sto razy więcej niż Srebrnych. Gdyby ta książka nie należała do Juliana, podarłabym ją z wściekłości.

Sto lat wojny i bezsensownego rozlewu krwi.

Czy ktokolwiek może to zmienić?

Po raz pierwszy łapię się na tym, że zaczynam liczyć na przebiegłość i podstępność Mavena. Być może on widzi wyjście z tej sytuacji i będzie w stanie utworować drogę, której nikt wcześniej nie potrafił sobie wyobrazić.

Rozdział 13

Mare

Dopiero po tygodniu mogę znów wyjść ze swojej komnaty. Chociaż książki Juliana są podarunkiem od Mavena i przypominają o dziwnej obsesji młodego króla na moim punkcie, cieszę się, że je mam. Tylko one dotrzymują mi towarzystwa. Zastępują przyjaciół, których brakuje mi tutaj najbardziej. Trzymam je zawsze pod ręką, podobnie jak skrawek jedwabiu ozdobiony haftem Gisy.

Mijają kolejne dni, przewracam kolejne strony. Poznaję historię, wczytuję się w słowa, które stają się coraz bardziej niewiarygodne. Trzysta lat panowania królów z rodu Calore, wcześniej kilka wieków dominacji Srebrnych władcyków – ten świat poznaję. Jednak im bardziej zagłębiam się w przeszłość, tym

mroczniejsza się ona wydaje.

„Zachowało się bardzo niewiele dokumentów z tak zwanego Okresu Reformacji, niemniej większość badaczy zgodnie utrzymuje, że epoka ta rozpoczęła się około 1500 roku s.e. (czyli Starej Ery) według współczesnego kalendarza nortańskiego. Prawie wszystkie zapisy pochodzące sprzed Reformacji oraz z czasów tuż po niej, a także z okresu zwanego Klęskami, które spadły na nasz kontynent jeszcze wcześniej, zostały zniszczone, zagubione lub są nie do odczytania dla współczesnych. Teksty, które przetrwały, są poddawane wnikliwej analizie i przechowywane w Królewskich Archiwach w Delphie oraz podobnych przybytkach nauki w sąsiednich królestwach. Sam okres Klęski również został obszernie zbadany poprzez analizę mitów kosmogenicznych z epoki przedsrebrnej oraz prowadzenie wykopalisk. Na chwilę obecną wielu uczonych uważa, że wywoływane przez człowieka wojny, procesy geologiczne, zmiany klimatyczne oraz inne klęski żywiołowe doprowadziły do niemal całkowitego wymarcia gatunku ludzkiego.

Najstarszy znaleziony, przetłumaczalny tekst datuje się na mniej więcej 950 rok s.e. Dokument zatytułowany »Proces Barra Wędrownika« jest niekompletnym zapisem rozprawy sądowej, podczas której sędzono mężczyznę oskarżonego o kradzież na terenie odbudowanego miasta Delphie. Mężczyźnie zarzucano kradzież wozu sąsiada. Podczas rozprawy Barr miał rozerwać kajdany, »jak gdyby zrobiono je z gałązek«, i uciec ze strzeżonej sali sądowej. Po dzień dzisiejszy Siłacze z domu Rhambos twierdzą, że ich ród wywodzi się w prostej linii od owego mężczyzny. Jednakże to twierdzenie obala inna starożytna relacja: »Proces Hillmana, Tryenta i Davidsa«. Wymienieni mężczyźni byli sądzeni za morderstwo zbiegłego Barra Wędrownika, który według historycznego dokumentu miał być bezdzietny. Oskarżeni nie tylko zostali uniewinnieni, ale i spotkali się z uznaniem ze strony mieszkańców Delphie. Dziękowano im, że przyczynili się do zniszczenia »wybryku natury«, za jaki uważano Wędrownika (*Kroniki i pisma Delphie*, tom 1).

Przypadek Barra Wędrownika nie był odosobniony. W wielu starożytnych dokumentach i kronikach opisano strach, jaki budziła nowo powstała rasa ludzi posiadających srebrną krew i szczególne umiejętności, oraz prześladowania, jakim ich poddawano. Większość represjonowanych dla własnego bezpieczeństwa łączyła się w grupy i tworzyła zamknięte enklawy poza miastami zdominowanymi przez Czerwonych. Okres Reformacji zakończył się powstaniem zorganizowanych Srebrnych społeczności. Część współżyła pokojowo z miastami Czerwonych, jednak większość ostatecznie przejęła panowanie nad pobratymcami, w których żyłach płynęła czerwona krew”.

Srebrni prześladowani przez Czerwonych. Na myśl o tym ogarnia mnie pusty śmiech. Jakie to idiotyczne. Jak bardzo niewiarygodne. Wszystkie swoje dni przeżyłam w przeświadczeniu, że oni są bogami, a my marnymi robakami. Nie

potrafię nawet wyobrazić sobie świata, w którym porządek rzeczy byłby odwrócony.

Te książki należały do Juliana. Uważał je za wartościowe, skoro zgłębiał wiedzę w nich zawartą. Mimo to czuję się zbyt wytrącona z równowagi, żeby czytać dalej, i odkładam lekturę na bliżej nieokreśloną przyszłość. Nowa Era, królowie z rodu Calore. Nazwiska i miejsca, które znam, w cywilizacji, której nie pojmuję.

Pewnego dnia Arvenowie przynoszą mi strój o wiele mniej wyszukany niż zwykle. To pierwszy znak, że coś jest nie w porządku. Wyglądam niemal jak strażniczka, gdy nakładam na siebie rozciągliwe spodnie i czarną marynarkę skąpo ozdobioną rubinowymi oczkami wielkości główki szpilki. Całości dopełniają zaskakująco praktyczne skórzane buty: ciężkie, pozbawione obcasów i choć rozchodzone, to obcisłe, ale nie na tyle, żeby nie zmieściły się w nich kajdany obejmujące moje kostki. Kajdany na nadgarstkach jak zwykle chowam, tym razem pod rękawicami. Podbitymi futrem. Jak na mróz. Serce skacze mi z radości. Pierwszy raz w życiu tak bardzo cieszę się z rękawiczek.

– Wychodzę na dwór? – pytam Kocicę, zapominając, że nadzorczyńni do perfekcji opanowała sztukę ignorowania moich zaczepek. Tym razem również staje na wysokości zadania i patrzy prosto przed siebie, wyprowadzając mnie z luksusowej celi. Koniczynę jak zwykle łatwiej rozszyfrować. Delikatnie skrzywione wargi i zwężone, zielone oczy potwierdzają, że się nie mylę. Poza tym obie strażniczki również mają na sobie grube płaszcze i rękawice, chociaż nie futrzane, tylko gumowe, chroniące przed prądem, którym już nie władam.

„Na dwór”. Od czasu, gdy stałam na schodach pałacu, czułam świeże powietrze jedynie wtedy, gdy jego podmuch wpadł przez otwarte okno. Tamtego dnia zastanawiałam się głównie nad tym, w którym momencie Maven każe ściąć mi głowę, nie skupiałam się więc na pogodzie. Potem nieraz żałowałam, że nie zapamiętałam smaku zimnego listopadowego powietrza, ostrych porywów wiatru zwiastujących nadchodzącą zimę. Teraz tak bardzo się spieszę, aby w końcu wyjść poza mury, że niemal prześcigam Arvenki. One jednak szybko poskramiają moje zapędy i szarpnięciem zmuszają, żebym zrównała z nimi krok. Powolny przemarsz korytarzami i schodami, które znam już na pamięć, doprowadza mnie do szału.

W pewnym momencie przygniata mnie znajomy ciężar, zerkam więc przez ramię. Dołączają do nas Jajo i Trzeciak, zamykając niewielki orszak. Gdy dostosowują się do tempa Kocicy i Koniczyny, miarowy tupot pięciu par ciężkich butów niesie się po korytarzach, które wiodą w stronę wejścia do pałacu i placu Cezara.

Radosne podniecenie znika jednak równie szybko, jak się pojawiło.

Moje wnętrza zaczyna skręcać strach. Próbowalam manipulować Mavenem, zasiać w nim wątpliwości i nakłonić go do popełnienia kosztownych

błędów. Być może jednak nie udało mi się to. Może zamiast spalić za sobą ostatnie mosty, które mu zostały, postanowi spalić mnie.

Koncentruję się na stukocie kroków po marmurze. Na czymś, co zajmie moje myśli i powstrzyma narastający lęk. Zaciskam dłonie, błagając iskrę, żeby do mnie wróciła. Nie odpowiada.

Pałac wydaje się dziwnie opustoszały, jeszcze bardziej wyludniony niż zwykle. Drzwi do większości sal są pozamykane, a między komnatami, które pozostały otwarte, przemykają służący, cicho i zwinnie jak myszy. Na meble i dzieła sztuki narzucają białe płachty przypominające całuny. Mijamy zaledwie kilku strażników, jeszcze mniej arystokratów. Ci, których napotykamy, są młodzi i rozglądają się wokół szeroko otwartymi oczami. Na ich twarzach maluje się autentyczny strach. Poznaję, z jakich pochodzą rodów, po kolorach szat, które tak samo jak moje są przystosowane nie do dworskich ceremoniałów, ale do podróży. Na mrozie.

– Dokąd wszyscy się wybierają? – pytam, chociaż wiem, że nikt mi nie odpowie.

Koniczyna mocno szarpie mnie za związane w koński ogon włosy, zmuszając, abym patrzyła prosto przed siebie. Bardziej niż ból, czuję zaskoczenie. Strażniczka nigdy nie traktowała mnie w ten sposób bez wyraźnego powodu.

W myślach roztrząsam wszystkie możliwości. Czy to ewakuacja? Może Szkarłatna Gwardia przypuściła kolejny atak na Archeon? A może zbuntowane domy wróciły dokończyć to, co zaczęły? Nie, żaden z tych scenariuszy nie wchodzi w grę. Jest zbyt spokojnie. Przed niczym nie uciekamy.

Przechodząc przez hol, biorę głęboki wdech i rozglądam się. Pode mną lśni marmurowa posadzka, nade mną błyszczą drogocenne żyrandole, po bokach biegną długie rzędy malowideł w pozłacanych ramach, przedstawiających potomków rodu Calore. Między portretami wiszą czerwone i czarne chorągwie. Srebro, złoto i kryształ mienią się i mam wrażenie, że lada chwila to wszystko runie, zwali się prosto na mnie i przygniecie mnie do ziemi. Gdy osadzone na gigantycznych zawiasach wrota z metalu i szkła otwierają się przede mną, po plecach przebiega mi dreszcz strachu. Pierwszy podmuch mroźnego wiatru uderza mnie prosto w twarz, oczy zaczynają mi łzawić.

Promienie zimowego słońca zalewają plac jaskrawym światłem, które na chwilę mnie oślepia. Gwałtownie mrugam powiekami, próbując przyzwyczaić się do jasności dnia. Nie chcę przegapić ani sekundy z mojego spaceru. Pomału obraz nabiera ostrości. Widzę grubą warstwę śniegu zalegającą na dachach budynków otaczających plac Cezara.

Po obu stronach wysokich pałacowych schodów stoją ustawieni w dwuszeregu żołnierze, ich mundury, broń i nieruchome spojrzenia tworzą nieprzenikniony mur. Gdy Arvenowie zaczynają sprowadzać mnie w dół, oglądam

się przez ramię i omiatam wzrokiem masywną sylwetkę Pałacu Białego Ognia. Na jego dachach zauważam ciemne postacie: ubrani na czarno oficerowie, szeregowi żołnierze w szarych mundurach. Nawet z takiej odległości dostrzegam metalowe lufy karabinów, które odcinają się na tle zimnego błękitnego nieba. Domyślam się, że to nie wszyscy strażnicy obstawiający pałac. Pewnie o wiele więcej oddziałów patroluje mury i obsadza bramy, aby w razie potrzeby stanąć w obronie tego przekłętą miejsca. Setki wiernych żołnierzy posiadających zabójcze umiejętności. Przemierzamy pusty plac, zmierzamy na jego drugą stronę, gdzie nikt na nas nie czeka. Co się tu dzieje?

Przyglądam się mijanym budynkom. Poznaje Królewski Sąd, okrągły gmach o marmurowych ścianach, spiralnych kolumnach i kryształowej kopule, niewykorzystywany od czasu koronacji Mavena. To symbol potęgi Srebrnych, znajduje się w nim olbrzymia aula główna, która jest w stanie pomieścić wszystkich członków Szlachetnych Domów oraz ich służbę, a także najważniejszych przedstawicieli nortańskiego społeczeństwa. Nigdy nie widziałam auli na własne oczy i mam nadzieję, że nigdy jej nie zobaczę. Od okrągłego budynku odchodzą przejścia prowadzące do sal sądowych, w których ustanawia się i egzekwuje z brutalną skutecznością prawa Srebrnych. W porównaniu z łukami i kryształowymi rozetami Sądu, budynek, w którym mieści się Królewska Skarbnica, wygląda nijako. Przysadzisty, klockowaty, pozbawiony okien, zbudowany z prostych marmurowych płyt (przez chwilę zastanawiam się nawet, ile kamieniołomów wyeksploatowano do cna, żeby powstały wszystkie te gmaszyska), przypomina zwykłą kamienną bryłę wciśniętą między wyrafinowane dzieła sztuki rzeźbiarskiej. Niemniej właśnie tam kryje się bogactwo Norty, strzeżone pilniej niż sam król, pozamykane w podziemnych komorach wywierconych w litej skale.

– Tędy. – Koniczyna ciągnie mnie w stronę Skarbnicy.

– Po co? – pytam. Jak zwykle na próżno.

Serce bije mi coraz szybciej, łomocze między żebrami jak szalone i ze wszystkich sił staram się uspokoić oddech. Każdy haust zimnego powietrza jest niczym tykanie zegara, odlicza sekundy, które pozostały mi na powierzchni ziemi.

Wrota Skarbnicy, strzeżone przez ubranych na fioletowo strażników, są grube, grubsze niż te, które widziałam w więzieniu Corros. Otwierają się szeroko jak usta wygłodniałego olbrzyma. W budynku nie ma wytwornego holu wejściowego, co również jest nietypowe dla architektury Srebrnych. Zaraz za drzwiami zaczyna się długi, biały korytarz opadający spiralnie w dół. Co dziesięć metrów mijamy strażników, którzy stoją na baczność pod lśniącymi ścianami. Nie mam pojęcia, gdzie znajdują się podziemne skarbcie ani dokąd idę.

Po przejściu dokładnie sześciuset kroków zatrzymujemy się przed strażnikiem.

Mężczyzna bez słowa odsuwa się na bok i przykładą palce do ściany za

swoimi plecami. Gdy ją naciska, część ściany cofa się o jakieś trzydzieści centymetrów, a z muru wyłania się obrys drzwi. Kolejny dotyk strażnika sprawia, że drzwi przesuwają się, tworząc przejście o szerokości niecałego metra. Przesuwanie kamiennych bloków wydaje się żołnierza w ogóle nie męczyć. „Siłacz”, zapamiętuję.

Kamienne ściany są grube i ciężkie. Boję się jeszcze bardziej, przełykam ślinę, czuję, że ukryte w rękawiczkach dłonie zaczynają mi się pocić. Maven w końcu przenosi mnie do prawdziwego więzienia.

Kocica i Koniczyna zniechęca mnie popychają. Chcą mnie zaskoczyć, ale ja się nie daję, zapieram się nogami i ze wszystkich sił napinam mięśnie.

– Nie! – wołam, po czym uderzam łokciem jedną z Arvenek. Kocica stęka, ale nie przestaje mnie popychać, za to Koniczyna obejmuje mnie w pól i odrywa od podłogi. – Nie możecie mnie tu zamknąć! – Nie wiem, po jakie argumenty sięgnąć, jaką maskę nałożyć. Rozpłakać się? Błagać? Zachowywać jak królowa buntowników, za którą mnie uważają? Co może zadziałać i uratować mnie przed zamknięciem? Strach szybko odbiera mi resztki rozsądku i zaczynam gwałtownie łapać powietrze niczym topielica. – Proszę, nie mogę... nie mogę...

Wiergam, usiłuję przewrócić Koniczynę, ale strażniczka jest silniejsza, niż myślałam. Jajo chwyta mnie za nogi, nie zwracając uwagi na obcas, którym zdzieliłam go w szczękę. Wnoszą mnie do środka bez większych ceregieli, jak mebel.

Obracam się, próbuję jeszcze zerknąć na Siłacza, który zamyka za nami kamienne drzwi. Mężczyzna beztrudno nuci coś pod nosem. Dla niego to zapewne dzień jak co dzień. Zmuszam się, żeby spojrzeć przed siebie i stawić czoła losowi, który czeka mnie w czeluściach Skarbnicy.

Ten skarbiec okazuje się pusty. Przejście, które się w nim znajduje, również opada spiralnie, chociaż jest bardziej kręte niż korytarz prowadzący od głównego wejścia. Na ścianach nie dostrzegam żadnych znaków, ani jednej rysy czy łączenia. Nie ma tu również strażników, mijamy jedynie kamień i zamontowane pod sufitem lampy.

– Proszę. – Mój głos niesie się i odbija od ścian, oprócz niego w zalegającej wokół ciszy słyszę tylko bicie swojego serca.

Spoglądam na sufit, modląc się w duchu, aby to wszystko okazało się jedynie snem.

Gdy rzucają mnie na podłogę, wydaję stłumiony okrzyk, całe powietrze uchodzi mi z płuc. Mimo to – najszybciej, jak potrafię – przewracam się na bok i wstaję. Gdy się prostuję, zaciskam pięści i obnażam zęby. Będę walczyć, nawet jeśli jestem skazana na przegraną. Nie pozwolę, żeby porzucili mnie tutaj -bezkarnie.

Arvenowie odsuwają się ode mnie i stają jeden obok drugiego. Nie wydają



się ani rozbawieni, ani zainteresowani moją postawą. Wpatrują się w jakiś punkt za mną.

Obracam się na pięcie, ale zamiast kolejnej ściany widzę wielopoziomowy peron. Wygląda na nowo wybudowany, łączy się z innymi korytarzami albo skarbcami czy też tajemnymi przejściami. Tuż obok niego bieżą tory.

Zanim zdążam połączyć fakty i poddać się fali podniecenia, odzywa się Maven, gasząc iskierkę nadziei, która we mnie rozbłysła.

– Nie zapędzaj się tak. – Jego głos dobiega z lewej strony, z niższego poziomu peronu. Młody król stoi w otoczeniu wartowników, Evangeline i Ptolemeusza. Wszyscy mają na sobie równie grube i ciepłe okrycia. Rodzeństwo Samosów wygląda olśniewająco w czarnych sobolowych futrach.

Maven rusza w moim kierunku, uśmiechając się przebiegle.

– Nie tylko Szkarłatna Gwardia potrafi budować pociągi.

\*

Chociaż porzewiały pociąg Gwardii trząśł niemiłosiernie, a spod jego kół tryskały iskry, wolałam tamtą kupę złomu niż stojący przede mną obły, reprezentacyjny pojazd.

– Oczywiście zainspirowali mnie twoi przyjaciele – oznajmia Maven, moszcząc się naprzeciwko mnie w fotelu obitym pluszem. Jest wyraźnie z siebie zadowolony. Dzisiaj nie dostrzegam w nim ani śladu skrzywdzonego chłopca. Albo starannie ukrył swoje rany, albo odepchnął od siebie wspomnienie o nich.

Mam ogromną ochotę zwinąć się w kłębek na swoim siedzeniu, ale powstrzymuję się i obydwie stopy opieram mocno o podłogę. Jeśli coś pójdzie nie tak, muszę być gotowa do ucieczki. Podobnie jak w pałacu tutaj również uważnie się rozglądam, szukając słabego punktu, czegoś, co mogłabym wykorzystać. Niestety nic nie znajduję. Pociąg jest pozbawiony okien, a na obu końcach długiego przedziału stoją wartownicy i Arvenowie. Sam wagon umeblowaniem przypomina luksusowy salon – zdobią go obrazy, tapicerowane krzesła i kanapy, a nawet kryształowe lampy brzęczące w takt monotonnego ruchu pojazdu. Dostrzegam jednak pewne niedociągnięcia. Farba niedawno wyschła, w powietrzu unosi się jej zapach. Pojazd jest fabrycznie nowy, ale nie sprawdzony. Na drugim końcu przedziału siedzi Evangeline. Po jej rozbieranym spojrzeniu poznaję, że tylko udaje spokój i opanowanie. Podróż dziwną maszyną wyprowadza ją z równowagi. Założę się, że wyczuwa drgania najdrobniejszej śrubki w tym metalowym potworze pędzącym z zawrotną prędkością. Trudno przywyknąć do tego typu doznań. Ja nie potrafiłam się przyzwycząć do energii tętniącej w pojazdach takich jak pociąg czy odrzutowiec. Czulałam pulsowanie elektrycznej krwi – Evangeline zapewne wyczuwa drgania metalowych żył.

Obok Żeleźcyni siedzi jej brat i patrzy na mnie spode łba. Parę razy

poprawia się w fotelu, trącając siostrę ramieniem, a wtedy jej zboliała mina na chwilę znika, jak gdyby obecność Ptolemeusza działała na nią kojąco. Podejrzewam, że gdyby nowy pociąg wybuchł, rodzeństwo Samosów okazałoby się na tyle silne, by przetrwać stalowe piekło.

– Dzięki starożytnym liniom kolejowym udało im się uciec z Kościńca i dotrzeć do Naercey przede mną. Pomyślałem wtedy, że taka droga ewakuacyjna mnie również mogłaby się przydać – ciągnie Maven, bębniąc palcami po kolanie. – Mój brat cały czas czyha na koronę i nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. Lepiej być gotowym na wszystko.

– A przed czym teraz uciekasz? – mamrocze cicho.

Młody król wzrusza ramionami i parska śmiechem.

– Rozchmurz się, Mare. Wyświadczam nam obojgu przysługę. – Szczerząc zęby, rozsiada się w fotelu, wyciąga nogi i kładzie je na siedzeniu obok mnie, na co ja marszczę nos, po czym odchylam się w bok. – Ileż można siedzieć w tym pałacu jak w więzieniu?

„Więzienie. – Nie chcę się z nim sprzeczać, dlatego gryzę się w język, żeby mu nie odburknąć. – Nie masz pojęcia, co to znaczy więzienie, Maven”.

Ponieważ w wagonie nie ma okien ani żadnego urządzenia wskazującego kierunek czy pokonywaną trasę, nie mam pojęcia, dokąd zmierzamy ani jak daleko może dojechać ta piekielna maszyna. Wydaje mi się, że jest równie szybka jak pociąg Gwardii, jeśli nie szybsza. Wątpię, byśmy kierowali się na południe, do Naercey, zrujnowanego miasta opuszczonego przez wszystkich, teraz już nawet przez Szkarłatną Gwardię. Po zamachu w Archeonie Maven zrobił prawdziwe widowisko ze zniszczenia starożytnych tuneli.

Teraz daje mi czas na zastanowienie i przygląda się, jak próbuję nadać sens tej sytuacji. Wie, że mam zbyt mało fragmentów, aby ułożyć całą układankę. Mimo to chce, abym trochę nad tym wszystkim pogłótkowała, dlatego nie mówi już nic więcej.

Kolejne minuty mijają w ciszy, przenoszę więc swoją uwagę na Ptolemeusza. Nienawiść, jaką do niego czuję, przez ostatnie miesiące wzmogła się jeszcze bardziej. Zabił mojego brata. Odebrał Shade’owi życie i gdyby mógł, zrobiłby to samo ze wszystkimi ludźmi, których kocham. Dawno nie widziałam go w ubraniu innym niż zbroja. Bez metalowego pancerza wydaje się mniejszy, słabszy i o wiele bardziej bezbronny. Puszczam wodze fantazji i wyobrażam sobie, że podrzynam mu gardło, plamiąc świeżo malowane ściany pociągu srebrną krwią.

– Widzisz coś interesującego? – warczy Ptolemeusz, gdy pochwytuje moje spojrzenie.

– Niech patrzy – mówi Evangeline. Opiera się wygodniej i przechyla głowę, również nie odrywając ode mnie oczu. – Tylko tyle jej zostało.

– To się jeszcze okaże – odszczekuję. Palce zaczynają mi drgać.

Maven cmoka niczym niania besztająca dzieci.

– Drogie panie.

Zanim Evangeline zdąży odpowiedzieć, coś przyciąga jej uwagę. Odwraca ode mnie wzrok, by omieść nim ściany, podłogę i sufit. Ptolemeusz robi to samo. Oboje wyczuli coś, czego ja nie jestem w stanie zarejestrować. W następnej sekundzie pociąg zaczyna zwalniać, hamulce i koła zgrzytają na żelaznych szynach.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmia Maven. Dźwiga się z fotela i podaje mi dłoń.

Przez chwilę rozważam, czy nie odgryźć mu palców, postanawiam jednak podać mu rękę i zlekceważyć dreszcz obrzydzenia, który przebiega mi po całym ciele. Gdy wstaję, młody król pociera kciukiem o krawędź schowanych pod rękawiczką kajdan. Przypomina mi, kto tu rządzi. Tego już nie potrafię znieść, cofam się więc i krzyżuję ręce na piersiach, żeby choć trochę się od niego odgrodzić. Jego jasne oczy momentalnie ciemnieją i on również chowa się w swojej skorupie.

Pociąg zatrzymuje się tak łagodnie, że niemal tego nie zauważam. Nie umyka to jednak Arvenom, którzy natychmiast podchodzą i ustawiają się przy mnie w znajomym do znudzenia szyku. Przynajmniej nie wiążą mnie ani nie przypinają do smyczy.

Mavena otaczają wartownicy w tradycyjnych płomiennych szatach i złowrogich maskach. Czekają, aż król nada tempo, po czym ruszają za nim do wyjścia z przedziału. Evangeline i Ptolemeusz idą ich śladem, w związku z czym ja i moi strażnicy jesteśmy zmuszeni, aby dołączyć do tego dziwnego orszaku. Za drzwiami znajduje się przedsionek wiodący do kolejnego przedziału, długiego, umeblowanego z takim samym przepychem i pełniącego funkcję jadalni. Nadal nie dostrzegam okien ani żadnej wskazówki co do tego, gdzie dojechaliśmy.

W następnym przedsionku otwierają się drzwi, ale nie naprzeciwko wyjścia z przedziału, lecz po prawej stronie. Wartownicy wysiadają pierwsi, za nimi znika Maven, potem cała reszta. Wychodzimy na peron oświetlony jaskrawym blaskiem zawieszonych nad nami lamp. Podest jest niewiarygodnie wręcz czysty – czyli również nowo wybudowany – ale w powietrzu unosi się wilgoć. Chociaż nigdzie wokoło nie dostrzegam śladu wody, słyszę jej powolne, zwielokrotnione echem kapanie. Rozglądam się na boki i widzę, że po obu stronach tory giną w mroku. Nie wysiedliśmy więc na końcu linii. Drzę na myśl o tym, ile Maven zdążył zbudować w zaledwie kilka miesięcy.

Ruszamy w górę po schodach. Pamiętając, jak głęboko znajdowało się wejście do skarbcza, szykuję się na długą wspinaczkę. Dlatego jestem zaskoczona, gdy stopnie szybko się kończą i stajemy przed kolejnymi drzwiami. Wykonano je ze wzmocnionej stali, a to budzi we mnie złe przeczucia. Wartownik chwyta za

wmontowane w drzwi masywne koło i wyteża się, żeby je przekręcić. Mechanizm ustępuje pomалу i ze zgrzytem. Evangeline i Ptolemeusz nie palą się do pomocy. Tak samo jak ja przyglądają się wszystkiemu z ledwie skrywaną fascynacją. Nie sądzę, żeby wiedzieli o tym miejscu więcej ode mnie, chociaż ich ród jest najbardziej związany z panującym królem.

Stalowe skrzydło otwiera się, oblewa nas światło dzienne, a przed nami rozciąga się szaroniebieski krajobraz. Bezlistne drzewa wyciągają do czystego zimowego nieba gałęzie rozcapierzone niczym żyły. Gdy wychodzimy z bunkra, biorę głęboki wdech. Moje płuca wypełnia ostre powietrze pachnące sośniną. Stoimy na przesiece otoczonej choinkami i nagimi dębami. Ziemia jest zamarznęta na kość pod kilkucentymetrową warstwą śniegu i palce od nóg od razu mi lodowacieją.

Wbijam pięty w ziemię, chcę jeszcze przez chwilę nacieszyć się otwartą przestrzenią, Arvenowie jednak poganiają mnie, przez co zaczynam się ślizgać. Nie opieram się zbyt, staram się jedynie spowolnić ich najbardziej, jak to możliwe, i cały czas rozglądam się na boki. Usiłuję się zorientować, gdzie jesteśmy. Patrząc na słońce, które zaczyna powoli opadać ku zachodowi, ustaliam, że północ leży na wprost mnie.

Na drodze przed nami stoją cztery wojskowe transportery, wypolerowane na wysoki połysk i pracujące na biegu jałowym. Ich silniki buczą, grzeją się, wysyłając w niebo obłoki dymu i pary. Łatwo się domyślić, który pojazd należy do Mavena. Na boku najbardziej okazałego transportera o masywnych kołach i wzmocnionej karoserii, zawieszanej ponad pół metra nad ziemią, widnieje znajomy symbol, czerwono-czarno-srebrna Płonąca Korona. Pewnie jest kuloodporny, ognioodporny, śmiercioodporny. Wszystko po to, żeby ochronić młodocianego króla.

Maven bez namysłu wspina się do pojazdu, peleryna ciągnie się za nim po ziemi. Odczuwam ulgę, gdy Arvenowie nie każą mi iść jego śladem. Kierują się do drugiego, nieoznakowanego transportera, po czym wpychają mnie do wnętrza. Pochylam głowę i oglądam się za siebie, żeby jeszcze chwilę nacieszyć się widokiem otwartej przestrzeni. Dostrzegam Evangeline i Ptolemeusza, którzy wsiadają do własnego transportera, czarno-srebrnego, nabijanego kolcami. Założę się, że Evangeline sama go wykańczała.

Gdy cała czwórka moich osobistych strażników znajduje się już w pojeździe, Jajo zatraskuje drzwi. Za kółkiem siedzi żołnierz, obok niego usadowił się wartownik. Staram się pogodzić w duchu z myślą, że czeka mnie kolejna podróż w nieznaną w metalowej puszcze, w której tłoczemy się z Arvenami jak sardynki.

Pocieszam się jednak tym, że w transporterze będę mogła wyglądać przez niewielkie okna. Wpatruję się nieruchomo w szybę, chłonąc widok lasu, który wydaje się dojmująco znajomy. Gdy po pewnym czasie dojeżdżamy do rzeki

i biegnącej wzdłuż niej szerokiej, wybetonowanej drogi, tęsknota ściska mi serce.

To rzeka Capital. Moja rzeka. Zmierzamy na północ Traktem Królewskim. Gdyby w tej chwili transporter zatrzymał się, a strażnicy wyrzuciliby mnie na pobocze i tak zostawili, bez trudu odnalazłabym drogę do domu. Na myśl o tym łzy napływają mi do oczu. Ile byłabym w stanie zrobić – sobie lub innym – żeby tylko móc wrócić do domu?

Jednak tam nie ma już nikogo, na kim mi zależy. Wszyscy bliscy wyjechali daleko stąd, żeby ratować życie. Wiem, w której się urodziłam, nie jest już moim domem. Dom przeniósł się razem z moją rodziną w miejsce, gdzie są bezpieczni. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wzdrygam się, gdy do naszego konwoju dołączają inne transportery. Są to wozy bojowe oznaczone czarnymi mieczami, symbolem nortańskiej armii. Doliczam się dwunastu pojazdów, jednak za nimi ciągną kolejne. W wielu z nich dostrzegam Srebrnych żołnierzy, którzy wyglądają przez okna albo siedzą na dachach przypięci pasami do specjalnie zaprojektowanych siedzeń. Wszyscy są w stanie pogotowia. Arvenowie nie wyglądają na zaskoczonych tym, że nasza kolumna się powiększa. Najwyraźniej wiedzieli, że będziemy mieli towarzystwo.

Trakt Królewski wije się między położonymi na brzegu rzeki miasteczkami zamieszkanymi przez Czerwonych. Wciąż jeszcze jesteśmy na południe od Palów, ale to nie studzi moich emocji. Na horyzoncie pojawiają się kominy cegielni zbudowanej na płyciźnie, która wrzyna się w rzekę. Pędzimy prosto w ich kierunku i wkrótce wjeżdżamy na przedmieścia dobrze prosperującego przemysłowego miasteczka. Chociaż bardzo chciałabym się tutaj rozejrzeć, mam nadzieję, że się nie zatrzymamy. Mam nadzieję, że Maven przejedzie przez tę okolice bez zakłóceń.

Moje życzenie właściwie się spełnia. Konwój zwalnia, ale nie staje, lśniący i groźny przetacza się przez centrum miasteczka. Wzdłuż ulic ustawiają się tłumy ludzi, którzy machają, witają nas. Wiwatują na cześć króla, wykrzykują jego imię, wyciągają szyje, żeby jak najwięcej zobaczyć i żeby zostać zauważonymi. Setki kupców i robotników, starych i młodych, cisną się do przodu, walcząc o jak najlepsze miejsca. Przypuszczam, że za tym wylewnym powitaniem stoją strażnicy, którzy przymusili Czerwonych do okazywania entuzjazmu. Odsuwam się od okna, nie chcę, aby mnie zobaczono. Wystarczy, że całe królestwo ogląda mnie podczas transmisji, jak siedzę u boku Mavena. Nie zamierzam dobrowolnie szerzyć jego propagandy. Na szczęście nikomu nie zależy, aby afiszować się z moją obecnością. Siedzę, wpatruję się w splecione na kolanach dłonie i czekam, kiedy w końcu wyjedziemy poza miasteczko. W pałacu, gdzie widzę różne oblicza Mavena i opracowałam plan, jak z nim postępować, łatwo mi zapomnieć, że młodociany władca ma większość królestwa w kieszeni. Ogromny wysiłek, jaki włożył w nastawienie społeczeństwa przeciwko Szkarłatnej Gwardii, zaczyna przynosić

efekty. Ci ludzie wierzą w to, co mówi monarcha, a być może nie mają okazji przeciwstawić się jego wersji rzeczywistości. Nie wiem, która z tych opcji jest gorsza.

Gdy miasteczko pomału niknie w oddali, w głowie wciąż słyszę radosne okrzyki. Wszystko to na cześć Mavena i z jego inicjatywy – kolejny krok na drodze do celu, który sobie wyznaczył i zaczął realizować.

\*

Nowe Miasto zostawiliśmy za sobą, tego jestem pewna. Nie widzę śladu zanieczyszczenia, nie dostrzegam również rezydencji Srebrnych. Pamiętam, jak przepływaliśmy wzdłuż Zielonego Nabrzeża podczas mojej pierwszej wyprawy na południe, gdy wciąż jeszcze wcielałam się w rolę Mareeny. Wracaliśmy z Palatium Słońca do Archeonu, mijając po drodze wioski, miasteczka i reprezentacyjny odcinek nabrzeża usiany posiadłościami Szlachetnych Domów. Usiłuję przypomnieć sobie mapy, które pokazywał mi Julian, ale jedynym skutkiem moich starań jest ból głowy.

Gdy słońce zaczyna się zniżać i wyjeżdżamy z trzeciego rozentuzjasmowanego naszym przybyciem miasteczka, konwój, zachowując zwarty szyk, skręca na drogę, która przecina trakt. Zmierzamy na zachód. Próbuję stłumić falę smutku, który wezbrał w moich piersiach. Północ cały czas mnie przyciąga, ale nie mogę odpowiedzieć na jej zew. Coraz bardziej oddalamy się od miejsc, które znam.

Usiłuję nie pogubić się w naszym położeniu. Na zachód leży Trakt Żelazny – droga prowadząca na Pojezierze Zachodnie i dalej, w stronę Lakelandii, do Duszni. Zachód to wojna i zniszczenie.

Jajo i Trzeciak nie pozwalają mi się za bardzo poruszać, dlatego muszę wyciągać szyję, żeby wyjrzeć przez okno. Gdy przejeżdżamy przez szereg bram, przygryzam wargę i próbuję dojrzeć widniejące na nich znaki albo symbole. Nie widzę jednak niczego poza żelaznymi prętami obrośniętymi wściekle zielonym kwitnącym bluszczem. Mimo że mamy zimę.

Na końcu drogi obsadzonej nienagannie wypielęgnowanym żywopłotem stoi okazała rezydencja. Wjeżdżamy na obszerny, kwadratowy kamienny plac, do którego przylega front budynku, okrążamy go i zatrzymujemy się, formując zgrabny łuk. Tym razem witają nas nie tłumy, ale niewielka grupa strażników. Arvenowie szybko wysiadają, po czym wyprowadzają mnie z transportera.

Podnoszę głowę i omiatam spojrzeniem przepiękne mury z czerwonej cegły, rzędy lśniących okien w białych obramieniach obwieszonych skrzynkami z kwiatami, żłobkowane kolumny, ozdobne balkony i największe drzewo, jakie w życiu widziałam, wyrastające z samego środka pałacyku. Jego gałęzie rozkładają się niczym parasol ponad spiczastym dachem, dokładnie odwzorowując jego

kształt. Każda gałązka, każdy listek jest idealnie wymodelowany i na odpowiednim miejscu, dzięki czemu roślina przypomina żywe dzieło sztuki. Po białych kwiatach i słodkim zapachu poznaję, że to magnolia, i przez chwilę wydaje mi się, iż nadeszła już wiosna.

– Witamy, Wasza Królewska Mość.

Nie poznaję za to głosu, który się rozlega.

Z jednego z transporterów, które dołączyły po drodze do naszego konwoju, wysiada dziewczyna w moim wieku, lecz wysoka, szczupła i biała jak śnieg, który powinien leżeć wokoło. Wpatruje się w wyskakującego ze swojego pojazdu Mavena i przemyka obok mnie, żeby złożyć mu ukłon. Dopiero teraz ją poznaję.

Heron Welle. Dopingowana wiwatami krewnych brała udział w Królewskiej Próbie i na jej skinienie z nagiej ziemi wyrastały olbrzymie drzewa. Jak wiele innych dziewcząt miała nadzieję, że zostanie wybrana na oblubienicę następcy tronu i poślubi Cala. Teraz stoi ze spuszczoneym wzrokiem i czekając na rozkazy Mavena, szczelniej otula się zielono-złotym płaszczem, który chroni ją przed zimnem i przeszywającym wzrokiem króla.

Jej ród był jednym z niewielu, które znałam, zanim zostałam wepchnięta w świat Srebrnych. Ojciec dziewczyny piastuje funkcję gubernatora regionu, w którym się urodziłam. Nieraz przybiegałam na brzeg rzeki, żeby popatrzeć na przepływający statek z zieloną banderą i razem z innymi głupimi dzieciakami machałam Srebrnej elicie.

Maven nie spieszy się i zupełnie bez sensu nakłada rękawiczki – od rezydencji dzieli nas zaledwie parę kroków. Gdy wreszcie rusza przed siebie, prosta korona osadzona na czarnych włosach mieni się złociście i czerwono w ostatnich promieniach słońca.

– Czarujące miejsce, Heron – oznajmia, ale w jego ustach nawet zwykły grzecznościowy komplement brzmi złowrogo. Niczym groźba.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. Wszystko przygotowane na wasze przybycie.

Gdy podchodzę bliżej, Heron zerka na mnie przelotnie, po czym znów odwraca wzrok i wiem, że nie zamierza mi poświęcić więcej uwagi. Jej twarz ma delikatne, drobne rysy, ale pasują one do wysmukłej sylwetki i przydają dziewczynie elegancji, wyrafinowania i urody. Porcelanowa cera oraz kasztanowe włosy doskonale podkreślają ciemnoniebieską barwę jej oczu, chociaż spodziewałam się, że będą ulubionego koloru jej rodu – zielonego.

Również z pozostałych transporterów wysypują się pasażerowie. Kolejni wielmożowie w różnobarwnych strojach, strażnicy i żołnierze. Dostrzegam między nimi Samsona, który wygląda idiotycznie w ufarbowanych na niebiesko skórach i futrze. Kolor ubrania i mróz sprawiają, że jest bledszy niż zwykle, przypomina sopel lodu, jedynie jego oczy cały czas płoną żądzą krwi. Pozostali arystokraci

omijają go szerokim łukiem, gdy podchodzi do Mavena. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że przyjechało z nami kilkudziesięciu wielmożów. Wystarczająco wielu, abym zaczęła się zastanawiać, czy pałac gubernatora Welle'a zdoła wszystkich pomieścić.

Maven wita Samsona skinieniem głowy, po czym szybkim krokiem kieruje się w stronę bogato zdobionych schodów, prowadzących z placu do rezydencji. W ślad za nim idzie Heron oraz tradycyjnie wartownicy. Zaraz potem, jak za pociągnięciem niewidzialnego sznurka, jeden za drugim ruszają do przodu wszyscy pozostali.

W dębowych, pozłaczanych drzwiach pałacu staje mężczyzna – najprawdopodobniej gubernator we własnej osobie – i raz po raz zgina się w ukłonie. Wydaje się niepozorny w porównaniu z własnym domem, ma słabo zarysowaną szczękę, ciemne blond włosy i średnią budowę ciała. Pospolity wygląd nadrabia szykownym ubraniem. Przywdział wysokie buty, jasne, miękkie skórzane spodnie oraz kurtkę zdobioną złotym haftem, a na kołnierzu i mankietach obszytą lśniącymi szmaragdami. Jednak ten wytworny strój to nic w porównaniu z zawieszonym na jego szyi starożytnym medalionem, przedstawiającym drzewo strzegące jego posiadłości. Gdy Srebrny wielmoża wychodzi na spotkanie królowi, drogocenny łańcuch podskakuje na jego piersiach.

– Wasza Królewska Mość, nie potrafię wyrazić, jaka to dla nas przyjemność móc was gościć w naszych skromnych progach – oznajmia gubernator, ciągle się kłaniając. Rozbawiony pokazowym przyjęciem Maven rozciąga usta w słabym uśmiechu. – To ogromny zaszczyt, że nasz dom raczyliście odwiedzić jako pierwszy podczas podróży pokoronacyjnej.

Na te słowa przewraca mi się w żołądku. To znaczy, że czeka mnie cała seria takich wizyt, podczas których będę paradować w orszaku Mavena gotowa na każde jego wezwanie i skinienie. Udawanie potulnej poddanej na oczach kamer jest poniżające, ale odgrywanie tej roli na oczach żywych ludzi? Przed tłumem takim jak te mijane w nadrzecznych miasteczkach? To może być ponad moje siły. Przelatuje mi przez myśl, że wolałabym siedzieć zamknięta w pałacu.

Maven podaje rękę gubernatorowi, uśmiecha się szeroko i niemal szczerze. Jest doskonałym aktorem, trzeba mu to przyznać.

– Ależ Cyrusie, wybór był oczywisty, to najlepsze miejsce na sam początek. Heron wyraża się o tobie z wielkim uznaniem – dodaje, gestem przywołując Strażniczkę Zieleni.

Dziewczyna szybko podchodzi do króla, po czym zerka na ojca i wymieniają spojrzenia pełne ulgi. Jej obecność u boku władcy to jasny sygnał, starannie przemyślany i zaplanowany przez Mavena.

– Idziemy? – Młodociany król wskazuje na rezydencję, po czym rusza do środka, a my podążamy za nim. Gubernator przebiera nogami, aby nadążyć za



Mavenem, i cały czas próbuje stworzyć wrażenie, że panuje chociażby częściowo nad tą sytuacją.

Wewnątrz witają nas długie rzędy Czerwonych służących, którzy stoją wzdłuż ścian wystrojeni w reprezentacyjne uniformy. Wszyscy utkwili spojrzenia w wyglansowanych butach, żaden nie waży się na mnie spojrzeć, więc ja również nie próbuję ich zaczepiać i zajmuję się podziwianiem wystroju. Spodziewałam się arcydzieł, które potrafią wyczarować tylko Strażnicy Zieleni, i nie zawiodłam się. Hol tonie w kwiatkach, które kwitną w kryształowych wazach, mienią się na ściennych malowidłach, spoglądają na nas z sufitu, szklanych żyrandoli i kamiennej mozaiki na podłodze. Ich zapach powinien odurzać, tymczasem okazuje się delikatny i kojący. Oddycham głęboko, pozwalając sobie na odrobinę zmysłowej przyjemności.

W głębi holu czekają kolejni przedstawiciele rodu Welle prześcigający się w składaniu ukłonów i komplementowaniu króla, od jego praw począwszy, na butach skończywszy. Podczas gdy Maven wytrwale to wszystko znosi, dołącza do nas Evangeline, która zdążyła już rzucić na ręce służącego swoje futra.

Naprężam się, gdy Żeleźczyni staje obok mnie. Wszechobecna zieleń odbija się w jej szatach, nadając im niezdrowy odcień. Z zaskoczeniem zauważam, że brakuje ojca Evangeline. Wielmożny Volvo zwykle przy tego typu okazjach kręcił się w pobliżu córki i Mavena, gotowy wkroczyć do akcji, gdyby między narzeczonymi robiło się zbyt gorąco. Jednak dzisiaj go nie ma.

Evangeline milczy, zadowala się wpatrywaniem w plecy Mavena. Patrzę na nią przez chwilę i dostrzegam, że zaciska pięść, gdy gubernator nachyla się, aby szepnąć coś królowi na ucho. Następnie wielmożny Welle gestem przywołuje jedną ze Srebrnych, wysoką, chudą kobietę o kruczoczarnych włosach, ostrych kościach policzkowych i gładkiej, żółtawej cerze. Jeśli kobieta pochodzi z jego domu, w ogóle tego po niej nie widać. Na szaro-niebieskich szatach nie dostrzegam choćby plamki zieleni. Srebrna kłania się sztywno, nie odrywając oczu od twarzy Mavena, który nagle się ożywia i uśmiecha jeszcze szerzej, po czym mówi coś niezbyt głośno, a do tego z przejściem rusza głową. Udaje mi się pochwycić tylko jedno słowo:

– Teraz.

Kobieta i gubernator przyjmują polecenie. Odchodzą razem, prowadząc za sobą wartowników. Zerkam na Arvenów, ciekawa, czy oni również odmaszerują, ale moi nadzorcy nie zamierzają się ruszyć z miejsca.

Evangeline również. Z jakiegoś powodu opuszcza ramiona i rozluźnia ciało. Jak gdyby zrzuciła z barków spory ciężar.

– Przestań się na mnie gapić – warczy, wyrywając mnie z zamyślenia.

Opuszczam głowę, pozwalam jej wygrać tę jedną, nic nieznaczącą rundę. Wracam do rozważań. „O czym ona wie? Co takiego widzi, czego ja nie

dostrzegam?”

Gdy Arvenowie odprowadzają mnie do celi, w której zapewne spędzę wieczór, nagle upadam na duchu. Zostawiłam w pałacu książki Juliana. Nie mam nic, co przyniosłoby mi pociechę.

## Rozdział 14

### Mare

Zanim mnie pojmano, przez wiele miesięcy podróżowałam wzdłuż i wszerz kraju, uciekając przed tropicielami Mavena i werbując Nowych. Sypiałam na brudnej podłodze, jadłam to, co udało mi się ukraść, spędzałam całe dnie na tym, aby tłumić emocje lub wzniecać je w sobie, a przede wszystkim robiłam, co mogłam, żeby nie dać się pożreć demonom, które mnie dręczyły. Niezbyt dobrze radziłam sobie z presją i napięciem. Odcięłam się od przyjaciół i rodziny, nie dopuszczałam do siebie nikogo, kto próbował mi pomóc albo chociaż mnie zrozumieć. Oczywiście teraz tego żałuję. Chciałabym cofnąć się w czasie, wrócić na Polanę do Cala, Kilorna, Farley i Shade’a. Postępowałabym teraz inaczej. Byłabym inna.

Niestety żaden Srebrny ani Nowy nie potrafi zmienić przeszłości. Błędów nie da się wymazać, zapomnieć czy zignorować. Ale można nanieść poprawki w teraźniejszości. Mogę zmienić coś teraz.

Gdy włóczyłam się po Norcie, byłam wyjęta spod prawa. Oglądałam królestwo z mrocznych zakamarków. Widok, który roztacza się przede mną, gdy stoję u boku Mavena jako część jego okazałej świty, jest tak różny od tego, co wcześniej widziałam, jak różna jest noc od dnia. Chociaż mam na sobie płaszcz, drzę i obejmuję się ramionami, żeby się ogrzać. Przygnieciona ciszą Arvenów

i kajdan jestem bardziej wrażliwa na niską temperaturę. Mimo że nie cierpię znajdować się w pobliżu Mavena, mimowolnie przysuwam się do niego, aby trochę się ogrzać. Stojąca po jego drugiej stronie Evangeline postępuje wręcz przeciwnie, trzyma się na dystans. Bardziej niż na królu koncentruje się na gubernatorze Welle'u i od czasu do czasu coś do niego szepcze na tyle cicho, żeby nie zakłócić przemowy narzeczonego.

– Czuję się zaszczycony powitaniem i wsparciem, jakie od was otrzymałem, mimo że jestem młodym i nieznanym królem.

Wzmocniony mikrofonem i głośnikami głos władcy niesie się daleko. Maven nie czyta przemówienia z kartki i wydaje się, że potrafi nawiązać kontakt wzrokowy z ludźmi tłoczącymi się pod balkonem na placu miejskim. Jak zwykle wszystko przemyślał i nawet miejsce, w którym się znajdujemy, jest wynikiem starannej kalkulacji. Stoimy ponad setkami obywateli, patrzymy na nich z góry, jesteście wywyższeni i poza zasięgiem szarego człowieka. Zgromadzeni na placu mieszkańcy Arborus, stolicy regionu, którym zarządza gubernator Welle, wyciągają szyje i zadzierają głowy. Gdy patrzę na Czerwonych, przepychających się, żeby lepiej nas widzieć, przechodzą mnie ciarki. Łatwo ich odróżnić, stoją zbici w grupki, ubrani byle jak i rumiani od zimna, podczas gdy Srebrni mieszczenie siedzą opatuleni futrami. W zwartej, kolorowej cizbie nietrudno też dostrzec czarne mundury strażników, równomiernie rozstawionych i równie czujnych jak wartownicy, którzy strzegą balkonu i obsadzają dachy sąsiednich budynków.

– Mam nadzieję, że pokoronacyjna podróż pozwoli mi lepiej poznać nie tylko moje królestwo, ale i was. Wasze trudności. Dążenia. Obawy. Ponieważ ja również mam obawy. – Przez tłum przebiega pomruk, królewska świta stojąca na balkonie porusza się niespokojnie. Nawet Evangeline mruży oczy i znad kołnierza nieskazitelnie białego futra rzuca Mavenowi podejrzliwe spojrzenie. – Nasze królestwo stoi na krawędzi i lada chwila może się ugiąć pod ciężarem wojny i terroryzmu. Moim solennym obowiązkiem jest temu zapobiec i uratować nas przed anarchią, której okrutne rządy chce wprowadzić Szkarłatna Gwardia. Tylu już zginęło, w Archeonie, w Corvium i w Summerton. Moja matka i mój ojciec zostali pozbawieni życia. Brat został zdeprawowany przez ruch powstańczy. Mimo to nie jestem sam. Mam was. Mam Nortę. – Wzdycha przeciągle, pojedynczy mięsień w jego policzku delikatnie drga. – I razem stawimy czoła wrogom, którzy pragną zniszczyć nasz świat, świat Czerwonych i Srebrnych. Ślubuję poświęcić swoje życie walce ze Szkarłatną Gwardią, ślubuję uciec się do wszelkich możliwych środków, aby zetrzeć ją z powierzchni ziemi.

Okrzyki i wiwaty, które dobiegają nas z dołu, w moich uszach brzmią niczym zgrzyt metalu o metal. Staram się zachować obojętny wyraz twarzy, za którym chowam się jak za tarczą.

Z każdym dniem Maven przemawia coraz pewniej, starannie dobiera słowa i sprawia, że stają się one coraz groźniejszą bronią. Nie używa już określeń „bunt” ani „rewolucja”. Szkarłatna Gwardia to w jego przekazie zwykli terroryści. Mordercy. Wrogowie naszego świata, cokolwiek to oznacza. I w przeciwieństwie do rodziców, młody król konsekwentnie unika obrażania Czerwonych. Składa wizyty zarówno w posiadłościach Srebrnych wielmożów, jak i w miastach Czerwonych poddanych. O dziwo we wszystkich tych miejscach zachowuje się tak samo swobodnie i nie wzdryga się przed tym, aby zobaczyć najgorsze oblicze swojego królestwa. Udajemy się nawet do fabrycznego slumsu. Staram się nie krzywić z odrazą, gdy mijamy rozpadające się budynki sypialne, po czym wysiadamy prosto w chmurę śmierdzących spalin. Maven wydaje się niczym nie przejmować, uśmiecha się do robotników o wytatuowanych szyjach. Nie zakrywa ust, tak jak robi to Evangeline, ani nie ma odruchu wymiotnego, który wstrząsa wieloma osobami ze świty, również mną. Radzi sobie lepiej, niż mogłam się spodziewać. Jego rodzice nie potrafili albo nie chcieli zrozumieć tego, co on dość szybko pojął: największą, a może i jedyną szansą na zwycięstwo jest przekonanie Czerwonych, aby wsparli Srebrnych w ich walce.

W następnym Czerwonym miasteczku, stojąc na schodach prowadzących do Srebrnej rezydencji, robi kolejny krok, który zbliża go do celu. Przygląda się temu tysiąc biednych wieśniaków oniemiałych ze zdumienia i niedowierzania. Nawet ja nie wiem, co właściwie jest grane.

– Mój ojciec wprowadził Środki Bezpieczeństwa po haniebnym zamachu, w którym zginęło wielu urzędników państwowych najwyższego szczebla. Nowe prawo było próbą ukarania Szkarłatnej Gwardii za jej nikczemny czyn, niestety jednak okazało się ogromną karą dla was. – Na oczach tłumu pochyla głowę. Widok jest niezwykle poruszający. Srebrny król kłania się Czerwonym masom. Sama sobie muszę przypominać, że to tylko Maven i jego kolejna sztuczka. – Zarządzam, aby z dniem dzisiejszym Środki Bezpieczeństwa zostały zniesione. Ustanowienie tego prawa było błędem. Wynikało z dobrych intencji panującego króla, ale było błędem.

Zerka na mnie przelotnie, jednak tyle mi wystarczy, abym wiedziała, że zależy mu na mojej reakcji.

Środki Bezpieczeństwa. Obniżenie wieku poborowego do lat piętnastu. Wprowadzenie godziny policyjnej. Karanie śmiercią za wszelkie przestępstwa i wykroczenia. Wszystko po to, żeby Czerwoni obywatele Norty zwrócili się przeciwko Szkarłatnej Gwardii. I wszystko to zniknęło w jednej chwili, z odruchu czarnego serca władcy. Powinam być szczęśliwa. Dumna. Zrobił to ze względu na mnie. Gdzieś w głębi ducha uważa, że mnie tym ucieszy i że dzięki temu będę bezpieczna. Kiedy jednak widzę, jak Czerwoni, mój własny lud, wiwatują na cześć króla, który ich uciska i wykorzystuje, ogarnia mnie przerażenie. Spoglądam w dół,

na drżące ręce.

„Co on robi? Co planuje?”

Żeby się tego dowiedzieć, muszę podlecieć tak blisko płomienia, jak tylko się odważę.

Swoje wystąpienie Maven kończy wyjściem do tłumu, żeby uścisnąć dłonie przedstawicielom zarówno Srebrnych, jak i Czerwonych. Bez trudu wchodzi między ludzi, otaczają go wartownicy ustawieni w szyku diamentu. Samson Merandus zawsze jest o krok za nim i zastanawiam się, ile osób czuje, jak swoimi myślami ociera się o ich umysły. Jego obecność to najlepsza ochrona przed ewentualnym zabójcą. Evangeline i ja wlecemy się z tyłu w obstawie strażników. Jak zwykle nie uśmiecham się, nie patrzę ludziom w oczy, nikomu nie podaję ręki. Tak jest dla nich bezpieczniej.

Transportery czekają na nas z cichym warkotem silników pracujących na biegu jałowym. Zachmurzone niebo ciemnieje i wtedy uderza mnie pewna myśl. Podczas gdy strażnicy zwierają szyk i ustawiają się tak, żeby umożliwić królowi wejście do pojazdu, przyspieszam kroku. Serce bije mi gwałtownie, wydychane na mrozie powietrze tworzy białe obłoczki.

– Maven – mówię głośno.

Słyszysz mnie, pomimo dobiegających z tłumu za nami radosnych okrzyków, i staje przy schodkach do pojazdu. Obraca się płynnym, pełnym gracji ruchem, długa peleryna wiruje, odsłaniając krwistoczerwoną podszewkę. W przeciwieństwie do pozostałych nie musi nosić futer, żeby się ogrzać.

Szczelniej otulam się płaszczem, choćby po to, by znaleźć zajęcie dla drżących ze zdenerwowania rąk.

– Naprawdę zamierzasz to zrobić?

Samson zatrzymał się przy swoim transporterze i wwierca się we mnie wzrokiem. Nie może czytać mi w myślach, ponieważ mam na sobie kajdany, ale to nie znaczy, że przestaje bacznie mnie obserwować. Korzystam więc z mętliku, który mam w głowie, i dość przekonująco udaję zmieszanie.

Nie mam złudzeń, jeśli chodzi o Mavena. Wiem, że ma wynaturzony umysł i że coś do mnie czuje. Coś, czego chce się pozbyć, ale nie potrafi się z tym rozstać. Gdy gestem przyzywa mnie do siebie i zaprasza do swojego transportera, spodziewam się, że Evangeline zacznie drwić lub protestować. Ona jednak nic takiego nie robi, bez słowa znika w swoim pojeździe. Na mrozie nie lśni tak jasnym blaskiem. Wydaje się niemal ludzka.

Arvenowie chcą ruszyć za mną, ale król powstrzymuje ich spojrzeniem.

Jego transporter różni się od tych, w których podróżowałam. Kierowca i siedzący obok niego strażnik są oddzieleni od pasażerów szybą, która zapewnia prywatność. Ściany i okna są grube, kuloodporne. Wartownicy, zamiast wsiąść do środka, wdrapują się na dach i sadowią na obronnych stanowiskach w narożnikach.

Trochę nieswojo się czuję na myśl, że siedzi nade mną uzbrojony Srebrny. Jednak jeszcze mniej przyjemna jest dla mnie obecność Mavena, który umościł się naprzeciwko, wpatruje się we mnie i czeka.

Spogląda na moje dłonie, widzi, że rozcieram zgrabiałe palce.

– Zimno ci? – pyta cicho.

Szybko wciskam dłonie pod nogi, żeby je rozgrzać. Transporter lekko szarpie i rusza do przodu.

– Naprawdę chcesz to zrobić? Znieść Środki Bezpieczeństwa?

– Myślisz, że mógłbym ich wszystkich okłamać?

Nie potrafię powstrzymać ponurego śmiechu. W tym momencie zaczynam żałować, że nie mam przy sobie noża. Zastanawiam się, czy zdążyłby mnie spalić, zanim poderżnęłabym mu gardło.

– Ty? Nigdy.

Uśmiecha się znacząco i wzrusza ramionami, a następnie poprawia na obitych pluszem siedzeniach.

– Powiedziałem to, co myślę. Środki były błędem. Wprowadzenie ich przyniosło więcej szkody niż pożytku.

– Czerwonym? Czy wam?

– Obydwu stronom, oczywiście. Chociaż gdybym mógł, podziękowałbym ojcu. Przypuszczam, że naprawianie jego błędów przysporzy mi zwolenników wśród twoich ludzi. – Teraz już wiem, że oschły, pełen obojętności ton, który pobrzmiwa w jego głosie, gdy mówi o ojcu, bierze się z jego wspomnień. Skażonych, wypranych ze szczęścia i miłości. – Obawiam się, że gdy skończę, Szkarłatnej Gwardii nie zostanie zbyt wielu wielbicieli. Rozprawię się z nimi, nie wszczynając kolejnej bezsensownej wojny.

– Myślisz, że wystarczy ten ochłap litości, żeby ugłaskać ludzi? – odwarkuję, po czym skinieniem głowy wskazuję okno. Farmy, opustoszałe na zimę pola, ciągnące się po wzgórza na horyzoncie. – Och, jak cudownie, król darował dwa lata życia mojemu dziecku. Nie szkodzi, że w końcu i tak mi je odbierze.

Pełen wyższości uśmiech, który maluje się na jego wargach, rozszerza się jeszcze bardziej.

– Myślisz, że tak właśnie będzie?

– Owszem. Odkąd pamiętam, tak się działo w tym królestwie i tak się dzieje do tej pory.

– Zobaczmy. – Rozsiada się jeszcze wygodniej i kładzie stopę na siedzeniu obok mnie. Zdejmuje nawet koronę i obraca ją w rękach. Płomienie z brązu i żelaza połyskują w przyćmionym świetle, odbijając moją i jego twarz. Powoli odsuwam się i wciskam bardziej w kąt. – Przypuszczam, że wiele się ostatnio nauczyłaś – ciągnie. – Poprzednim razem sporo cię ominęło, a teraz niczemu już nie ufasz. Cały czas obserwujesz, gromadzisz informacje, których nigdy nie wykorzystasz.

Domyśliłaś się już, dokąd jeszcze jedziemy? I dlaczego?

Biorę głęboki wdech. Czuję, jakbym znów była w klasie Juliana, przepytywana przy mapie. Tyle że podczas tej lekcji stawka jest o wiele wyższa.

– Jesteśmy na Trakcie Żelaznym, zmierzamy do Corvium.

Bezczelnie puszcza mi oczko.

– Blisko.

– Chyba nie do... – Gwałtownie mrugam, usiłując zebrać myśli. Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach, by ułożyć w całość fragmenty, które pilnie zbierałam przez ostatnie dni. Strzępy informacji, zasłyszane plotki. – Do Rokasty? Ścigasz Calą?

Maven opada na poduszki i przygląda mi się z rozbawieniem.

– Nie bądź małostkowa. Po co miałbym tracić czas na uganianie się za bratem wygnańcem? Mam na głowie wojnę, którą trzeba zakończyć, i bunt, któremu trzeba zapobiec.

– Zakończyć... wojnę?

– Sama powiedziałaś, że władcy Lakelandii obalą nas, gdy tylko nadarzy się sposobność. Nie zamierzam do tego dopuścić. Zwłaszcza że Piedmont zajął się rozwiązywaniem własnych problemów, których ma całe mnóstwo. Sam muszę się tym zająć. – Chociaż w transporterze jest ciepło, głównie z powodu siedzącego przede mną Płomiennego władcy, czuję, że po plecach przebiega mi lodowaty dreszcz strachu.

Kiedyś Dusznia często mi się śniła. To tam mój ojciec stracił nogę, a moi bracia niemal stracili życie. Tam zginęły miliony Czerwonych. Na pustkowiu pełnym krwi i popiołu.

– Nie jesteś wojownikiem, Maven. Nie jesteś generałem ani żołnierzem. Jak możesz liczyć na to, że ich pokonasz, skoro...

– Skoro inni tego nie potrafili? Skoro mój ojciec nie zdołał tego zrobić? Ani Cal? – odwarkuje, a każde słowo przypomina smagnięcie batem. – Masz rację. Nie jestem taki jak oni. Nie zostałem zaprogramowany do tego, żeby prowadzić wojny.

„Zaprogramowany”. Wypowiada to z taką lekkością. Maven Calore nie jest sobą. Tyle zdążyłam się już od niego dowiedzieć. Jest produktem, wytworem celowych zabiegów i operacji swojej matki. Zaprogramowaną maszyną, bezduszną i zagubioną. Świadomość, że ktoś taki trzyma nasze losy w swoich drżących dłoniach, jest przerażająca.

– Nie przyniesie nam to większych strat – ciągnie, chyba tylko dla rozrywki. – Nasza gospodarka wojenna przekieruje po prostu uwagę na Szkarłatną Gwardię. A potem na kolejną organizację albo państwo, którego postanowimy się bać. W końcu musi istnieć jakiś sposób na kontrolę przyrostu naturalnego...

Gdyby nie kajdany, wściekłość, która mnie ogarnia, bez wątpienia zmieniłaby transporter w kupę naelektryzowanego złomu. Nie mam jednak

błyskawicy, rzucam się więc na Mavena i chwytam go za kołnierz. Zaciskam palce na klapach marynarki, gniotę materiał w pięściach, po czym bez zastanowienia popycham chłopaka do tyłu, wciskając go w oparcie siedzenia. Wzdryga się, oddycha ciężko, na jego twarzy oddalonej od mojej zaledwie o parę centymetrów maluje się zdumienie, chociaż niełatwo go zaskoczyć. Ja również wpadam w osłupienie. Nieruchomieję, paraliżuje mnie strach.

Maven patrzy mi prosto w oczy spod długich, ciemnych rzęs. Jestem tak blisko niego, że widzę, jak rozszerzają mu się źrenice. Chciałabym rozpląnąć się w powietrzu. Znaleźć się na drugim końcu świata. Pomału, spokojnie jego dłonie odnajdują moje. Obejmują moje nadgarstki, zaciskają się na kajdanach i kościach. Następnie podważają moje palce, co sprawia, że puszczam jego marynarkę. Jestem zbyt przerażona, aby stawiać opór. Jego dotyk przyprawia mnie o dreszcz, mimo że mam na sobie rękawice. Rzuciłam się na niego. Na Mavena. Na króla. Wystarczy jedno słowo, jedno puknięcie w okno, a wartownicy rozerwą mnie na strzępy. Równie dobrze on sam może mnie zabić. Spalić żywcem.

– Siadaj. – Powietrze przecina świszczący szept. Daje mi jeszcze jedną szansę.

Wykonuję jego polecenie i cofam się w kąt niczym przestraszone zwierzę.

Maven dochodzi do siebie szybciej niż ja, kręci głową, a po jego wargach przewija się cień uśmiechu. Poprawia marynarkę i przygląda rozczochrane włosy.

– Bystra z ciebie dziewczyna, Mare. Nie wmawiaj mi, że jeszcze nie domyśliłaś się wszystkiego.

Oddycham z trudem, jak gdyby ktoś położył mi kamień na piersiach. Na moje policzki występuje pałący rumieniec gniewu i wstydu.

– Chcą naszego wybrzeża i dostępu do morza. Naszej energii elektrycznej. My chcemy ich ziemi uprawnej i bogactw naturalnych... – wyduszam z siebie słowa, których uczono mnie w rozpadającej się szopie nazywanej budynkiem szkolnym. Na twarzy Mavena maluje się coraz większe rozbawienie. – W ksiązkach Juliana... królowie nie potrafili się ze sobą dogadać. Klócili się nad szachownicą jak rozpuszczone bachory. Przez nich do tego doszło. Przez nich od stu lat toczy się wojna.

– Myślałem, że Julian nauczył cię czytać między wierszami. Słyszeć to, co zostało niedopowiedziane. – Kręci głową, jak gdyby był mną rozczarowany. – Przypuszczam, że nawet on nie potrafił nadrobić z tobą wszystkich zaległości. Cóż, jak widać słabe wykształcenie to kolejna taktyka, która doskonale się sprawdza.

O tym akurat wiem. Zawsze o tym wiedziałam i ubolewałam nad tym. Czerwonych wychowuje się na głupków, robi się z nas nieuków i prostaków. Przez to stajemy się jeszcze słabsi. Moi rodzice nie potrafią nawet czytać.

Powstrzymuję napływające do oczu łzy bezradności i gniewu. „Wiedziałaś o tym – tłumaczę sobie w duchu, żeby się uspokoić. – Ta wojna to podstęp, teatr,



który pozwala utrzymać kontrolę nad Czerwonymi. Nawet jeśli skończy się jeden konflikt, zaraz zacznie się drugi”.

Wnętrznosci mi się przewracają, gdy dociera do mnie, że od lat Srebrni prowadzą nie wojnę, ale grę pozorów.

– Nad ciemnymi masami łatwiej zapanować. Jak myślisz, dlaczego moja matka tak długo tolerowała mojego ojca? Był zapijaczonym, zropanym krety, ślepym na wiele spraw i zadowolonym z obowiązującego stanu rzeczy. Bez trudu można go było kontrolować i wykorzystywać. Taką osobą doskonale się manipuluje, a na koniec można jeszcze zwalić na nią winę.

Podnoszę ramię i kulę się, żeby schować twarz i ukryć wściekłość, która mną targa. Maven jednak i tak ją dostrzega. Jego rysy łagodnieją, chociaż dla mnie nie ma to żadnego znaczenia.

– Co wobec tego zamierzają zrobić Srebrni królowie, gdy przestaną rzucać w siebie Czerwonymi pionkami? – syczę. – Kazań nam rzucać się z urwiska do morza? Będą losować nasze nazwiska w loterii?

Opiera brodę na ręce.

– Nie mogę uwierzyć, że Cal ci o tym nie wspominał. Chociaż prawdę mówiąc, wcale aż tak bardzo się nie kwapił, aby zmienić porządek rzeczy, nawet dla ciebie. Pewnie uznał, że nie zniesiesz prawdy... albo jej nie zrozumiesz...

Moja pięść zderza się z kuloodporną szybą okna. Natychmiast zaczyna mnie piec, a ja skupiam się na bólu, żeby tylko nie myśleć o Calu. Nie mogę sobie pozwolić na to, by zacząć się staczać po równi pochyłej, nawet jeśli to wszystko, co mówi Maven, jest prawdą. Nawet jeśli Cal chciał kiedyś stanąć na straży tak potwornie urządzonego świata.

– Przestań – warczę. – Przestań.

– Nie jestem idiotą, dziewczynko od błyskawic. – Wykrzywia twarz w grymasie równie paskudnym jak mój. – Jeśli będziesz igrać ze mną, ja będę igrał z tobą. Jesteśmy w tym naprawdę niezli.

Jeszcze przed chwilą było mi zimno, ale teraz gniew Mavena rozpala wszystko dokoła. Robi mi się niedobrze, przyciskam policzek do chłodnej szyby i zamykam oczy.

– Nie porównuj mnie do siebie. Nie jesteśmy tacy sami.

– Ludzie tacy jak my wszystkich okłamują – drwi. – Szczególnie samych siebie.

Mam ochotę znów uderzyć w szybę. Zamiast tego chowam pięści pod pachy i jeszcze bardziej się kulę. Może uda mi się zapaść w siebie i zniknąć. Z każdym oddechem coraz bardziej żałuję, że wsiadłam do jego transportera.

– Nigdy nie uda ci się namówić Lakelandczyków na pokój – dyszę.

Dobiega mnie gardłowy śmiech Mavena.

– A wiesz, oni już się zgodzili.

Otwieram oczy i spoglądam na niego w oszołomieniu.

Kiwa głową, wydaje się z siebie bardzo zadowolony.

– Gubernator Welle zorganizował spotkanie z jednym z najważniejszych lakelandzkich ministrów. Ma dobre kontakty na Północy i... jest bardzo skłonny do współpracy.

– Prawdopodobnie dlatego, że trzymasz jego córkę jako zakładniczkę.

– Prawdopodobnie – przytakuje.

Czyli po to cała ta podróż. Żeby umocnić władzę, zawrzeć nowe sojusze. Wszelkimi możliwymi środkami nagiąć do swojej wizji i woli kogo trzeba. Przeczuałam, że nasz objazd to coś więcej niż kolejne przedstawienie, ale tego... tego nie potrafiłam przewidzieć. Biegnę myślami do Farley, pułkownika, lakelandzkich żołnierzy zaprzysiężonych Szkarłatnej Gwardii. Co z nimi będzie, gdy zostanie ogłoszony rozejm?

– Rozchmurz się. Kończę wojnę, która pochłonęła miliony ofiar, i zaprowadzam pokój w państwie, które zdążyło zapomnieć, co oznacza to słowo. Powinnaś być ze mnie dumna. Powinnaś mi dziękować. Nie... – Podnosi rękę, żeby się zasłonić, gdy spluwam w jego kierunku. – Naprawdę musisz pomyśleć nad nowymi sposobami wyrażania złości – burczy, wycierając mundur.

– Zdejmij mi kajdany, a pokażę ci, co wymyśliłam.

Wybuchają śmiechem.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, panno Barrow.

Na zewnątrz niebo robi się coraz ciemniejsze, a świat wokół szarzeje. Przykładam dłoń do szyby, wyobrażam sobie, że przez nią przenikam i wydostaję się stąd. Oczywiście nic takiego się nie dzieje. Wciąż siedzę w transporterze Mavena.

– Muszę przyznać, że jestem zdumiony – dodaje po chwili młodociany król. – Mamy z Lakelandczykami więcej wspólnego, niż ci się zdaje.

Zaciskam zęby i cedzę:

– Oni również wykorzystują Czerwonych jako niewolników i mięso armatnie.

Wstaje tak gwałtownie, że mimowolnie się wzdrygam.

– Oni również chcą się rozprawić ze Szkarłatną Gwardią.

\*

To niemal śmieszne. Każdy krok, na który się decyduję, odbija się na kimś rykoszetem. Gdy próbowałam uratować Kilorna przed poborem, doprowadziłam do okaleczenia siostry. Żeby utrzymać rodzinę, przyjąłam posadę pokojówki, ale już kilka godzin później zostałam więźniem. Uwierzyłam w słowa i uczucie Mavena, które okazały się udawane. Uwierzyłam, że Cal wybrał mnie. Zaatakowałam więzienie, żeby uwolnić ludzi, a skończyłam, tuląc do siebie trupa Shade'a.

Poświęciłam się, chcąc ocalić życie tych, których kocham, i tym sposobem wręczyłam Mavenowi śmiertelnie niebezpieczną broń. Teraz zaś, chociaż próbowałam pokrzyżować mu plany i osłabić jego rządy od środka, chyba doprowadziłam do czegoś znacznie gorszego. Jak będzie wyglądać unia Lakelandii i Norty?

Mimo tego, co powiedział Maven, zmierzamy do Rokasty, prujemy przez Pojezierze Zachodnie, zatrzymując się po drodze w jeszcze kilku miejscowościach, ale tylko na chwilę. Nigdzie się nie rozgaszczamy. Albo nie ma tu rezydencji, które byłyby godne odwiedzin dworu Mavena, albo młody król po prostu nie chce być w tym regionie dłużej niż to konieczne. Nie mam pojęcia dlaczego. Rokasta jest miastem wojskowym, nie reprezentacyjną fortecą taką jak Corvium, ale czymś w rodzaju zaplecza – brzydkim składowiskiem potrzebnych rzeczy. Wybudowano ją kilkanaście kilometrów od jeziora Tarion, po obu stronach Traktu Żelaznego, który niczym ostrze przecina skupisko na pół, oddzielając zamożniejszą dzielnicę Srebrnych od sektora zamieszkanego przez Czerwonych. Pozbawione murów obronnych miasto wyrasta przed nami niepostrzeżenie. Ciemne sylwetki domów i budynków wylaniają się z oślepiającej białej zawieruchy. Srebrni Burzowcy robią, co mogą, żeby oczyścić drogę i umożliwić królowi przybycie o wyznaczonym czasie. Stoją na dachach transporterów, spokojnymi ruchami odpychają na boki lód i śnieg. Bez ich pomocy brutalny atak zimy byłby dla nas o wiele bardziej uciążliwy.

Mimo to śnieg smaga szyby mojego transportowca, niemal całkowicie przesłaniając widok. Brakuje nam utalentowanych Wietrzyców z rodu Laris. Część z nich nie żyje, reszta uciekła razem z innymi zbuntowanymi domami, a pozostali Srebrni nie potrafią ich zastąpić.

Z tego, co udaje mi się dostrzec, w Rokaście pomimo śnieżnej burzy praca wre. Czerwoni robotnicy chodzą tam i z powrotem, kierując się światłem latarni, które przebłyskuje przez zamieć niczym srebrne grzbiety ryb w mętnej wodzie. Mieszkańcy Pojezierza są przyzwyczajeni do takiej pogody.

Siedzę owinięta długim ciepłym płaszczem, który w tej chwili błogosławię, chociaż zwykle nie mogę patrzeć na to krwistoczerwone okropieństwo. Spoglądam na Arvenów tradycyjnie ubranych na białą.

– Boicie się? – pytam. Oczywiście nie oczekuję odpowiedzi od milczących nadzorców skupionych na tym, aby ignorować mój głos. – Możemy się pogubić w tej śnieżycy. – Wzdycham do siebie i krzyżuję ręce. – Pobożne życzenie.

Transporter Mavena toczy się przed nami, na jego dachu siedzą wartownicy, których płomienne szaty służą nam za drogowskaz. Zastanawiam się, dlaczego nie zdejmują masek z twarzy, skoro widoczność jest tak kiepska. Pewnie się lubują w swoim koszmarnym wyglądzie – potwory strzegące nieludzkiego władcy.

Gdzieś w centrum miasta konwój zjeżdża z Traktu Żelaznego i skręca

w szeroką aleję rześście oświetloną migoczącymi światłami. Po obu stronach ulicy wznoszą się okazałe kamienice i otoczone murami wille, z ich okien pada ciepły i zachęcający blask. Przed nami majaczy zwalista sylwetka wieży zegarowej, raz po raz przysłaniana tumanami śniegu. Gdy podjeżdżamy bliżej, zegar wybija trzecią godzinę, a od kurantów, które zaczyna wygrywać, wibrują powietrze i moja klatka piersiowa.

Mroczne cienie kładą się na ulicę i gęstnieją z każdą sekundą, ponieważ zawierucha robi się coraz gwałtowniejsza. Jesteśmy w dzielnicy Srebrnych, opustoszałe ulice są czyste i nie wążają się po nich przemoczeni do suchej nitki Czerwoni. Znów terytorium wroga. Chociaż, prawdę mówiąc, już dawno znalazłam się daleko poza liniami nieprzyjaciela.

Na dworze krążyły różne pogłoski o Rokaście, zwłaszcza w związku z Calem. Kilku żołnierzy pozyskało od informatorów wiadomość, że właśnie tu przebywa wygnany książę, innym razem jakiś starzec twierdził, iż widział Cala i w zamian za bliższe szczegóły domagał się dodatkowych racji żywnościowych. Jednak mniej więcej taką samą informację przekazywano o paru innych miastach. Były następcą tronu raczej nie okazałby się na tyle głupi, żeby pchać się tutaj, do miasta, nad którym Maven w pełni panuje i które leży w sąsiedztwie Corvium. Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, wyjechał gdzieś daleko i stamtąd najlepiej jak może pomaga Szkarłatnej Gwardii. Swoją drogą dziwne, że domy Laris, Iral i Haven wypowiedziały posłuszeństwo królowi, opowiadając się po stronie wygnanego księcia, który nigdy nie zgłosił pretensji do tronu. Cóż za marnotrawstwo.

Budynek administracyjny, z którego wyrasta wieża zegarowa, jest bogato zdobiony w porównaniu z resztą Rokasty. Kolumny i kryształowe rozety przywodzą na myśl Pałac Białego Ognia. Gdy konwój transporterów zatrzymuje się przed prowadzącymi do gmachu wysokimi schodami, z pojazdów zaczynają wysypywać się podróżni.

Stawiam wściekle czerwony kołnierz, aby się ochronić przed lodowatymi podmuchami, i wbiegam po stopniach najszybciej, jak potrafię. Spodziewam się, że wewnątrz budynku powitają mnie powiew ciepłego powietrza i publiczka gotowa spijać z ust Mavena każde wymyślone pod nią słowo. Jednak zamiast tego wpadamy w sam środek zamieszania.

Okazałe pomieszczenie, w którym stoimy, to zapewne sala konferencyjna: wyobrażam sobie, że jeszcze niedawno wypełniały ją obite pluszem krzesła i fotele, które teraz odsunięto pod ściany i narzucono jedno na drugie, aby w centrum zrobić jak najwięcej miejsca. Uderza mnie mdlący zapach krwi. Woń, jakiej nie powinno się czuć w budynku pełnym Srebrnych.

Nagle wszystko pojmuję: to nie sala konferencyjna, ale szpital polowy.

Pacjentami są oficerowie, którzy leżą na ustawionych w równych rzędach

pryczach. Doliczam się około trzydziestu paru rannych. Sądząc po oznaczeniach i barwach mundurów, należą oni do różnych rodów i mają rozmaite stopnie. Między łózkami uwijają się Uzdrowiciele Ciała noszący pagony z czerwono-srebrnymi krzyżami, ale jest ich zaledwie dwóch. Biegają tam i z powrotem, po kolei opatrują rany, zaczynając od najpoważniejszych. Jeden z nich odsuwa się od jęczącego z bólu mężczyzny, by klęknąć przy kobiecie, która kaszle srebrną krwią – na jej brodzie połyskują metaliczne smużki.

– Wartowniku Skonos – rzuca krótko Maven. – Pomóście, komu możecie.

Jeden z zamaskowanych ochroniarzy króla kłania się sztywno, po czym wyłamuje się z szyku i rusza w stronę łóżek.

Do zatłoczonej sali wchodzi kolejni podróżni. Kilku dworzan, nie zważając na protokół, odłącza się od orszaku i spieszy do łóżek, aby sprawdzić, czy wśród rannych nie znajdują się ich krewni. Inni nieruchomieją z przerażenia. Tacy jak oni nie powinni krwawić. Nie powinni wykrwawiać się na śmierć.

Stojący przede mną Maven wsparł ręce o biodra i rozgląda się wokoło. Gdybym nie znała go lepiej, pomyślałabym, że jest wstrząśnięty, wściekły lub smutny. Jednak jego postawa to kolejna sztuczka, dobrze odegrana rola. Mimo że ludzie, którzy zwijają się z bólu, są Srebrnymi oficerami, na widok ich cierpienia budzi się we mnie odrobina współczucia.

Dopiero tutaj, w szpitalu polowym, przekonuję się, że moi nadzorcy nie są jednak z kamienia. Ku mojemu zdumieniu pierwsza pęka Kocica. Gdy omiata spojrzeniem salę, po jej policzkach zaczynają spływać łzy. Chwilę później zatrzymuje wzrok na końcu pomieszczenia. Na białych całunach okrywających ciała. Zwłoki. Dziesiątki ofiar śmiertelnych.

Leżący blisko moich nóg mężczyzna oddycha ze świstem. Przyciska rękę do piersi, najwyraźniej ugniata miejsce, w którym doznał obrażeń wewnętrznych. Nasze spojrzenia krzyżują się, patrzę na jego twarz, zerkam na mundur. Mężczyzna jest starszy ode mnie, klasycznie przystojny, pomazany srebrną krwią. Nosi kolory czarny i złoty. Dom Provos, Psychik. Szybko mnie rozpoznaje. Z trudem łapie powietrze i unosi brwi ze zdziwienia, a jego ciałem wstrząsa dreszcz. Boi się mnie.

– Co się stało? – pytam. Mój głos niemal ginie w zgiełku, który panuje na sali.

Nie wiem, dlaczego mi odpowiada. Może myśli, że go zabiję, jeśli nie będzie mi posłuszny. Może chce, aby ktoś wiedział, co się tu naprawdę dzieje.

– Corvium – rzezi. Jego oddech jest coraz bardziej chrapliwy, Psychik z trudem wykrztusza kolejne słowa: – Szkarłatna Gwardia. To była rzeź.

Mój głos drży ze strachu.

– Dla kogo?

Mężczyzna się waha, a ja czekam.

W końcu chrapliwie wciąga kolejny płytki oddech.

– Dla obu stron.

## Rozdział 15

Cameron

Nie miałam pojęcia, co może pobudzić wygnanego księcia do działania, dopóki król Maven nie wyruszył w ten cholerny objazd pokoronacyjny. Oczywiście, to był kolejny podstęp, jeszcze jedna intryga. Jechał ze swoją świtą prosto na nas. Wszyscy spodziewaliśmy się ataku. Musieliśmy więc uderzyć pierwsi.

Cal nie mylił się co do jednego. Opanowanie murów Corvium było najlepszą strategią.

Dlatego dwa dni temu przejął nad nimi kontrolę.

W porozumieniu z pułkownikiem i rebeliantami wewnątrz miasta Cal poprowadził oddział uderzeniowy złożony z żołnierzy Szkarłatnej Gwardii i Nowych. Zaatakowali pod osłoną śnieżycy i element zaskoczenia okazał się bardzo przydatny. Księżę zna mnie na tyle, że nawet nie prosił o to, abym do nich dołączyła. Zostałam w Rokaście z Farley i obie krążyłyśmy niecierpliwie przy radiu, czekając na jakąkolwiek wiadomość. Ja w końcu zasnęłam, ale Farley obudziła mnie przed świtem, szczerząc zęby w uśmiechu. Zdobyliśmy mury. Corvium niczego się nie spodziewało. Miasto pograżyło się w chaosie.

W takiej sytuacji nie mogliśmy dłużej zostawać w tyle. Nawet ja. Prawdę mówiąc, zaczęłam się nawet palić do opuszczenia kryjówki w Rokaście. Nie żeby walczyć, ale by zobaczyć zwycięstwo na własne oczy. I oczywiście znaleźć się o krok bliżej Duszni, brata oraz poczucia, że mam jeszcze jakiś cel.

Wylądowałam więc tutaj, na skraju lasu razem z resztą oddziału Farley, gdzie schowana między drzewami wpatruję się w czarne mury i jeszcze czarniejsze słupy dymu. Corvium płonie od wewnątrz. Nie widzę stąd zbyt wiele, ale znam raporty. Tysiące Czerwonych żołnierzy – niektórzy zachęceni przez Gwardię – zwróciło się przeciwko oficerom, gdy tylko Cal i pułkownik przypuścili szturm na mury. Tak czy inaczej, to miasto było już jak beczka prochu i tylko czekało, aż Płomienny księżę podpali lont i wysadzi wszystko w powietrze. Teraz, dzień później, na ulicach wciąż jeszcze toczą się walki o kolejne dzielnice. Ciszę co chwila przerywa huk strzelaniny, przez co raz po raz się wzdrygam.

Odwracam wzrok od miasta i staram się dostrzec coś, czego ludzkie oko nie jest w stanie zobaczyć na taką odległość. Im dalej, tym ciemniejsze staje się niebo, słońce zasłania ołowiana mgła. Na północnym zachodzie, nad samą Dusznią, wiszą czarne chmury, ciężkie od popiołów i śmierci. Gdzieś tam jest Morrey. Nawet jeśli Maven zniósł przepisy dopuszczające pobór młodocianych żołnierzy, z doniesień

naszego wywiadu wynika, że oddział mojego brata nie zmienił pozycji. Są na samej linii frontu, siedzą w okopach. A Szkarłatna Gwardia właśnie zajęła fortecę, do której legion Morreya mógłby się wycofać. Staram się odpychać od siebie wizje, w których mój brat o pochmurnych, zapadniętych oczach kuli się z zimna w przydużym mundurze. Jednak ten obraz cały czas powraca. Znów przenoszę wzrok na Corvium, muszę się skoncentrować na zadaniu, które czeka mnie tu i teraz. Im szybciej zajmiemy miasto, tym szybciej oddział Morreya będzie mógł się przenieść na tyły. „I co potem? – pytam się w duchu. – Odeślę go do domu? Do kolejnego kieratu?”

Nie znajduję na to odpowiedzi. Nie mogę znieść myśli o tym, że miałabym wyprowadzić brata z powrotem do fabryk Nowego Miasta, nawet jeśli dzięki temu mógłby zobaczyć się z rodzicami. Wydostanie mamy i taty z niewoli to mój kolejny cel po tym, jak już odzyskam Morreya. Czasami jedno i drugie marzenie wydaje mi się marzeniem ściętej głowy.

– Dwóch Srebrnych zrzuciło z wieży Czerwonego żołnierza. – Ada mruży oczy, do których przyłożyła lornetkę. Stojąca obok niej Farley ani drgnie, skrzyżowane ręce spoczywają spokojnie na piersiach.

Ada dalej lustruje mury miasta, interpretując sygnały i ruchy po obu stronach. W szarym świetle jej złocista cera przybrała ziemisty odcień. Mam nadzieję, że to nie jest pierwsza oznaka choroby.

– Umacniają pozycje, wycofują się do sektora centralnego, żeby się przegrupować za drugim pierścieniem murów. Będzie ich z pięćdziesięciu – mamrocze.

„Pięćdziesięciu”. Usiłuję opanować strach. Powtarzam sobie, że nie mam czego się bać. Między mną a nimi stoi cała armia. I nikt nie jest na tyle głupi, żeby zmuszać mnie, abym szła tam, dokąd nie chcę iść. Na pewno nie teraz, gdy mam za sobą kilka miesięcy treningów.

– Ofiary?

– Stu Srebrnych oficerów nie żyje. Większość rannych zbiegła razem z pozostałymi do lasu. Prawdopodobnie przedzierają się do Rokasty. W mieście stacjonował ich niecały tysiąc. Wielu uciekło i przyłączyło się do zbuntowanych domów jeszcze przed szturmem Cala.

– Co z najnowszym raportem Cala? – Chce wiedzieć Farley. – Dane o dezercjach wśród Srebrnych?

– Włączyłam je w moje obliczenia – melduje Ada niemal z rozdrażnieniem. Niemal. To chyba najbardziej opanowana osoba, jaką znam. – Siedemdziesięciu ośmiu znajduje się teraz pod ochroną Cala.

Chwytam się pod boki, żeby dodać sobie pewności.

– Jest różnica między przejściem na drugą stronę a poddaniem się. Oni nie chcą się do nas przyłączyć, po prostu nie chcą marnie zginąć. Wiedzą, że Cal się



nad nimi zlituje.

– A ty wolałabyś ich pozabijać? Nastawić wszystkich przeciwko nam? – odburkuje Farley, obracając się do mnie. Jednak zaraz potem lekceważąco macha ręką. – Ciągłe jest ich tam gdzieś ponad pięciuset, gotowych wrócić i wyróżnić nas w pień.

Ada nie zwraca uwagi na naszą paplaninę i dalej obserwuje miasto. Zanim przystała do Szkarłatnej Gwardii, była służącą w domu Srebrnego gubernatora. Przyzwyczała się do gorszych pyskówek.

– Widzę Juliana i Sarę nad Bramą Modlitwy – oznajmia.

Ogarnia mnie ulga. Gdy Cal połączył się z nami przez radio, nie wspominał o ofiarach w swoim oddziale, ale nigdy nic nie wiadomo. Cieszę się, że Sarze nic nie jest. Mrużę oczy i spoglądam w stronę złowrogiej Bramy Modlitwy, czarno-złotego wjazdu do Corvium po wschodniej stronie murów. Na szczycie gzymsu powiewają czerwone flagi, które na tle zachmurzonego nieba przypominają migoczące iskry. Ada objaśnia:

– To sygnał dla nas. Przejście wolne.

Spogląda na Farley, czekając na rozkaz. Odkąd pułkownik wyruszył do miasta, dowodzi nami jego córka w randze kapitana i jej słowo jest jak święte prawo. Choć Farley nie daje niczego po sobie poznać, domyślam się, że zastanawia się, co robić. Aby dotrzeć do bramy, musimy przejść przez otwarty teren. Równie dobrze to może być pułapka.

– Widzisz pułkownika?

„Dobrze”. Nie ufa Srebrnym. Nie na tyle, żeby powierzyć im nasze życie.

– Nie – szepcze Ada. Znów lustruje mury, byстрыm spojrzeniem omiata każdą kamienną bryłę. Przyglądam się jej, podczas gdy Farley czeka, nieruchoma i posępna. – Widzę z nimi Cala.

– W porządku – rzuca pani kapitan i omiata nas twardym spojrzeniem niebieskich oczu. – Ruszamy.

Idę za nią bardzo niechętnie. Może i nie przepadam za Calem, ale wiem, że nie wystawiłby nas do wiatru. A już na pewno nie naraziłby nas na pewną śmierć. Inaczej niż jego brat. Patrzę na Adę, która zerka ponad ramieniem Farley, a gdy nasze spojrzenia krzyżują się na chwilę, Nowa dodaje mi otuchy skinieniem głowy.

Wciskam pięści do kieszeni. Mam gdzieś, że wyglądam jak nadąsana małolata. Bo tak się akurat składa, że nią jestem: przerażoną, naburmuszoną dziewczyną, która gdyby mogła, zabijałaby wzrokiem. Zżera mnie strach. Strach przed tym miastem – i przed samą sobą.

Nie wykorzystywałam swojej umiejętności poza salą treningową od miesięcy, odkąd ten cholerny Żeleźca ściągnął nasz odrzutowiec z nieba. Ale pamiętam, jakie to uczucie używać ciszy jako broni. W więzieniu Corros zabijałam. Zabijałam ludzi, paskudnych Srebrnych, którzy więzili takich jak ja

i skazywali moich pobratymców na powolną śmierć. Jednak myśl o tym, co robiłam, wciąż przyprawia mnie o mdłości. Czułam, jak zatrzymują się ich serca. Przeżywałam ich śmierć jak własną. Ta moc mnie przeraża. Sprawia, że zaczynam się zastanawiać, kim mogłabym się stać. Myślę o Mare, o tym, jak się miotła i na zmianę wpadała to we wściekłość, to w otępienie. Czy właśnie taka jest cena za nasze umiejętności? Czy zostaliśmy skazani na wybór: albo będziemy kukłami pozbawionymi uczuć, albo staniemy się potworami?

Wyruszamy w milczeniu, wszyscy doskonale zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie nam grozi. Wyraźnie odcinamy się na tle świeżego śniegu, drepczemy jeden za drugim i uważnie stawiamy buty tam, gdzie idąca przed nami osoba odcisnęła swój ślad. Wszyscy mamy nerwy napięte jak postronki, a zwłaszcza Nowi, którzy należą do oddziału Farley. Lory, zwerbowana jeszcze przez Mare, prowadzi nas czujnie jak pies gończy, kręci głową i rozgląda się na wszystkie strony. Ma niewiarygodnie wyostrzone zmysły, dlatego jeśli czeka nas atak, ona go wyczuje: wypatrzy, usłyszy albo wywęszy. Po akcji w więzieniu Corros i pojmaniu Mare zaczęła farbować włosy na krwistoczerwony kolor. Jej czupryna wygląda jak otwarta rana na tle ołowianego nieba. Wbijam spojrzenie w jej plecy i wiem, że gdy tylko dostrzegę u niej choćby sekundę zawahania, biorę nogi za pas.

Nawet w ciąży Farley budzi respekt swoim wyglądem. Zdejmuje karabin z pleców, chwytą go w obie ręce. Nie jest jednak tak czujna jak pozostali. Jej oczy co pewien czas zachodzą mgłą wspomnień. Znowu czuję, jak smutek i współczucie ściskają mi serce.

– Przychodziłaś tu z Shade'em? – zagaduję cicho.

Pani kapitan gwałtownie obraca się w moją stronę.

– Co znowu strzeliło ci do głowy?

– Na przeszpiegi. Czasami łatwo cię przejrzeć.

Wojowniczką bębni palcami po lufie.

– Mówiłam już, Shade jest nadal naszym głównym źródłem informacji o Corvium. Dowodziłam operacją, którą tu prowadził. To wszystko.

– W porządku, Farley.

Idziemy dalej w milczeniu. Nasze oddechy zmieniają się w obłoczki pary, zimno zaczyna dokuczać, palce u nóg pomалу mi lodowacieją. W Nowym Mieście mieliśmy zimę, ale nigdy taką jak ta. Chyba przez zanieczyszczenie. Poza tym nawet w środku zimy ociekaliśmy potem, uwijając się przy fabrycznych piecach.

Farley urodziła się w Lakelandii i pewnie dlatego lepiej znosi taką pogodę. Wydaje się, że nie przeszkadza jej śnieg ani dotkliwy chłód. Poza tym myślami cały czas jest gdzieś indziej. Z kimś innym.

– Chyba dobrze zrobiłam, że nie wyprawiłam się po brata – mamroczę do siebie i do niej. Może choć na chwilę oderwie się od swoich spraw. – Cieszę się, że

nie ma go tutaj.

Farley zerka na mnie z ukosa, podejrzliwie mruży oczy.

– Czyżby Cameron Cole właśnie przyznała, że w pewnej sprawie nie miała racji?

– Na tyle mnie jeszcze stać. Nie jestem Mare.

Ktoś inny może by uznał takie plotkowanie za niegrzeczne. Ale Farley tylko się uśmiecha.

– Shade też był uparty. To u nich rodzinne.

Spodziewam się, że jego imię podziała jak kula u nogi i pociągnie ją w dół. Tymczasem wojowniczką nie zwalnia tempa. Ani nie milknie.

– Poznaliśmy się parę kilometrów stąd. Miałam werbować agentów wśród Pukawek, ludzi zajmujących się czarnym rynkiem. Chcieliśmy wykorzystać istniejącą już organizację, żeby usprawnić działania Szkarłatnej Gwardii. Pukawka z Palów dał mi namiary na paru żołnierzy na froncie, którzy mogliby być chętni do współpracy.

– Jednym z nich był Shade.

Farley przytakuje w zamyśleniu.

– Wysłano go do Corvium z posiłkami. Został adiutantem. Dobra funkcja dla niego, jeszcze lepsza dla nas. Przekazywał Szkarłatnej Gwardii mnóstwo informacji, ja byłam pośrednikiem. Dopóki nie stało się jasne, że nie może tu dłużej zostać. Przyszedł rozkaz, miał zostać przeniesiony do innego legionu. Ktoś się dowiedział o jego umiejętności i wydano na niego wyrok śmierci.

Nigdy nie słyszałam tej historii. Wątpię, czy ktokolwiek ją słyszał. Farley niechętnie rozmawia o swoim życiu osobistym. Nie wiem, dlaczego teraz o wszystkim mi opowiada. Ale widzę, że tego potrzebuje, dlatego pozwalam jej się wygadać.

– A potem jego siostra... Nigdy wcześniej nie widziałam go tak przerażonego. Razem oglądaliśmy Królewską Próbę. Patrzyliśmy, jak spada, jak wylatuje z niej błyskawica. Myślał, że Srebrni ją zabiją. Resztę historii pewnie już znasz. – Przygryza wargę, mierzy spojrzeniem lufę karabinu. – To był jego pomysł. Musieliśmy wyciągnąć go z wojska, żeby go ochronić. Dlatego sfalszowaliśmy raport o egzekucji. Sam nam przy tym pomagał. Potem zniknął. Srebrnych nie obchodziło, w jaki sposób zginął, dla nich to był tylko jeszcze jeden martwy Czerwony. Ale jego rodzinę obchodziło. Wiedział, że tak będzie, dlatego przez chwilę się wahał.

– Mimo to zdecydował się. – Chociaż silę się na wyrozumiałość, nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym narazić własnych bliskich na coś takiego. Za nic w świecie.

– Nie miał wyjścia. Poza tym okazało się to doskonałą motywacją. Mare wstąpiła do Gwardii, gdy dowiedziała się o śmierci brata. Oko za oko, Barrow za

Barrowa.

– Czyli ta część przemowy nie była kłamstwem. – Myślę o oświadczeniu, które Mare recytowała przed kamerami, wpatrując się w nie jak w pluton egzekucyjny. „Spytali, czy chcę pomścić jego śmierć”. – Nic dziwnego, że dziewczyna ma ze sobą problemy. Wszyscy ją okłamują na każdym kroku.

– Czekają ją długa droga, zanim do nas wróci – szepcze Farley.

– Nas wszystkich czeka długa droga.

– Na szczęście wybrała się na ten piekielny objazd z królem – ciągnie wojowniczką. Wyraźnie się rozkręca, mówi coraz szybciej i głośniej. Duch Shade’a znika. – Trochę nam to ułatwi. Oczywiście wciąż mamy przed sobą cholernie trudne zadanie, ale popuszczają jej cugli.

– Mamy jakiś plan? Są już coraz bliżej: Arborus, Trakt Żelazny...

– Wczoraj dotarli do Rokasty.

Wokół nas panuje kompletna cisza. Jeśli reszta oddziału do tej pory nas nie słuchała, teraz z pewnością zaczęli zwracać uwagę na to, co mówimy. Zerkam przez ramię na Adę, krzyżujemy spojrzenia. Jej bursztynowe oczy rozszerzają się i niemal dostrzegam trybiki obracające się w doskonałym umyśle Nowej.

Farley ciągnie dalej.

– Król odwiedził rannych żołnierzy ewakuowanych po pierwszym natarciu. Dowiedziałam się o tym, gdy byliśmy już w połowie drogi. Może gdyby wcześniej mnie poinformowano... – Oddycha ciężko. – Teraz już na to za późno.

– Obstawa, z którą podróżuje Maven, to właściwie przyboczna armia – mówię. – Strzegą Mare dzień i noc. Nic byśmy nie zdziałali.

Mimo to na twarz Farley wypływa gorący rumieniec. Pani kapitan nie przestaje postukiwać palcami w kolbę karabinu.

– Pewnie nie – mamrocze cicho, jak gdyby chciała przekonać samą siebie. – Pewnie nie.

Wchodzimy w cień monstrualnej twierdzy, robi się jeszcze chłodniej. Poprawiam postawiony kołnierz i wtulam się w niego najmocniej, jak się da. Czarne mury Corvium wydają się ziać grozą.

– Tam. Brama Modlitwy. – Farley pokazuje bramę rozdziawioną niczym usta o żelaznych kłach i złoconych zębach. Łukowate wejście okalają bloki Cichego Kamienia, ale ja ich nie czuję. Nie mają na mnie żadnego wpływu. Oddycham z ulgą, gdy zauważam, że bramę obsadzają Czerwoni żołnierze, z daleka dostrzegam ich rdzawe mundury i znoszone buty. Brniemy przed siebie ośnieżonym polem, skręcamy w stronę drogi i leziemy prosto w paszczę lwa. Gdy przechodzimy przez Bramę Modlitwy, Farley podnosi głowę, wybałusza niebieskie oczy i obrzuca budowlę niepewnym spojrzeniem. Dolatuje mnie jej szept.

– Gdy wchodzisz, modlisz się, żeby wyjść. Gdy wychodzisz, modlisz się, żeby nigdy nie wrócić.

Chociaż nikt mnie nie słucha, ja również zaczynam się modlić.

\*

Cal pochyla się nad biurkiem, płasko przyciska pięść do drewnianego blatu. Jego zbroja leży w kącie, gdzie zrzucił ją niedbale, uwalniając swoją zwałistą postać spod czarnych skórzanych płatów. Pot skleja mu ciemne, przylepione do czoła włosy i lśniącymi strużkami spływa po karku. Nie poci się dlatego, że mu gorąco, chociaż swoją umiejętnością ogrzewa pokój lepiej niż piec kaflowy. Nie, te drżące krople to oznaka strachu. I wstydu. Zastanawiam się, ilu Srebrnych musiał zabić. „Zbyt mało”, podpowiada mi jakiś głos w głowie. Mimo to widok jego twarzy, na której ma wypisane wszystkie okropieństwa, jakich się dopuścił podczas ataku, sprawia, że przez chwilę brakuje mi słów. Wiem, że to nie jest łatwe. Nie może być łatwe.

Wpatruje się przed siebie niewidzącym wzrokiem, jego oczy przypominają leje bez dna. Nie porusza się, gdy wsuwamy się za Farley do pokoju. Pani kapitan podchodzi do pułkownika, który siedzi naprzeciwko Cala, i jedną ręką podpira głowę, drugą zaś wygląda mapę albo jakiś schemat. Prawdopodobnie plan Corvium – poznaję po ośmiokątnych konturach szkicu i okalających go pierścieniach, które zapewne symbolizują mury.

Czuję, że Ada, która stoi za mną, waha się, dlatego daję jej kuksańca na zachętę. Ma najtęższą głowę z nas wszystkich i jej mózg to istne błogosławieństwo dla Szkarłatnej Gwardii.

– Idź do nich – mruczę, chwytając ją za rękę. Skórę ma jaśniejszą ode mnie, ale w półmroku wszyscy wyglądamy tak samo.

Odpowiada mi nieznacznym skinieniem głowy i jeszcze lżejszym uśmiechem.

– W którym są pierścieniu? W środkowym?

– W centralnej wieży – odpowiada pułkownik. Palcem stuka w odpowiedni punkt na mapie. – Mocno ufortyfikowana nawet na poziomie podziemi. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze.

Ada wzdycha.

– Tak, właśnie po to buduje się centralne wieże. To ostatnie miejsce oporu, dobrze uzbrojone i zaopatrzone. Hermetycznie zamknięte. I obsadzone przez pięćdziesięciu doskonale wyszkolonych Srebrnych. Jak się porządnie ścięsnia, wejdzie ich tam pięć razy tyle.

– Jak pająki w dziurze – mamrocę.

Pułkownik prychnął.

– Może zaczną pożerać się nawzajem.

Cal krzywi się.

– Na pewno nie w chwili, gdy do bram wali wspólny wróg. Nic nie jednoczy

Srebrnych tak skutecznie jak nienawiść. – Spojrzenie ma cały czas utkwione w drewnianym blacie, jego twarz pochmurnieje niczym burzowe niebo. – Zwłaszcza teraz, gdy wszyscy wiedzą, że król nadjeżdża. Oni mogą sobie poczekać.

Farley kończy myśl za niego, jej głos brzmi jak warkot.

– Ale my nie.

– Na rozkaz legiony z Duszni mogą tu przymaszerować w jeden dzień. Nawet szybciej, jeśli... będą miały motywację. – Ada waha się, wypowiadając ostatnie słowa. Nie musi nic dodawać. Oczyma wyobraźni widzę mojego brata, którego Maven swoim nowym dekretem teoretycznie zwolnił ze służby wojskowej, ale tylko po to, żeby Srebrni oficerowie zmusili go do morderczego marszu przez zasy śniegu i rozkazali zaatakować swoich.

– Czerwoni na pewno do nas dołączą – odzywam się, myśląc na głos. – Niech Maven przyśle swoje wojsko, proszę bardzo, to tylko nas wzmocni. Żołnierze staną po naszej stronie tak samo, jak było tutaj.

– Dziewczyna może mieć rację... – zaczyna pułkownik. Pierwszy raz zgadza się ze mną i dziwnie się z tym czuję. Jednak Farley mu przerywa.

– Może. Ale nie musi. W Corvium od miesiący dochodziło do zamieszek, w garnizonie wrzało i wiadomo było, że prędzej czy później dojdzie do wybuchu. W legionach jest inaczej. Nie możemy też liczyć na to, że Cal przekona do siebie tylu Srebrnych, ilu tutaj.

Ada zgadza się z panią kapitan i kiwa głową potakująco.

– Król Maven ostrożnie dobiera słowa, mówiąc o Corvium. Tutejsze wydarzenia nazywa nie buntem, ale aktami terroru. Anarchią. Machinacjami krwiożerczej Szkarłatnej Gwardii o ludobójczych zapędach. Czerwoni w legionach i na terenie całego królestwa nie mają pojęcia, co się tu naprawdę dzieje.

Farley, wrząc z oburzenia, kładzie dłoń na brzuchu.

– Dość już straciłam, opierając się na przypuszczeniach i założeniach.

– Wszyscy straciliśmy – odpowiada Cal w zamyśleniu, po czym odsuwa się od biurka i odwraca do nas plecami. Paroma długimi krokami przemierza pokój, podchodzi do okna, z którego rozciąga się widok na płonące miasto.

Dym unosi się w lodowatym powietrzu, czarne słupy ciągną się do samego nieba. Przypominają mi się fabryki i przechodzi mnie dreszcz. Tatuaz na szyi zaczyna piec, ale nie drapię go zakrzywionymi palcami, źle pozrastanymi po wielokrotnych złamaniach. Chociaż Sara chciała mi je kiedyś nastawić, nie pozwoliłam jej. Tak samo jak tatuaz i jak dym przypominają mi, kim jestem, skąd pochodzę i czego już nikt nigdy nie powinien doświadczać.

– Masz na to jakiś pomysł? – Farley wyjmując ojcu z rąk mapę i zerkając z ukosa na wygnanego księcia.

Cal wzrusza szerokimi ramionami.

– Nawet kilka, ale wszystkie do niczego. Chyba że...

– Nie pozwolę im stąd wyjść – warczy pułkownik. Wydaje się podirytowany, pewnie już omawiali tę opcję nieraz. – Maven jest zbyt blisko. Przyłączą się do niego i wrócą z posiłkami, żeby się zemścić.

Połykująca na nadgarstku księcia bransoletka krzesze jasne iskry, które wędrując po jego ramieniu, przemieniają się w czerwony pełgający płomień.

– Maven, tak czy inaczej, nadciąga. Znasz doniesienia. Jest już w Rokaście i rusza na zachód. Ta cała parada to tylko przykrywka, machają i uśmiechają się do wszystkich, żeby ukryć prawdziwy cel podróży: odbicie Corvium. I uda mu się to, jeśli będziemy się bronić w rozbitym mieście, opierając się plecami o klatkę pełną wygłodniałych wilków! – Obraca się, żeby stanąć twarzą w twarz z pułkownikiem, z jego barków unosi się dym. Zwykle potrafi opanować się na tyle, aby nie zwęglić swojego ubrania. Dzisiaj poszło mu trochę gorzej. Na osmolonej koszulce widnieją wypalone dziury. – Walka na dwóch frontach to samobójstwo.

– A co z zakładnikami? Chcesz mi powiedzieć, że w wieży nie ma nikogo znaczącego? – odparowuje pułkownik.

– Nikogo, kto znaczyłby cokolwiek dla Mavena. On już ma jedyną osobę, za którą byłby skłonny coś wymienić.

– Nie możemy więc ich zagłodzić, nie możemy wypuścić, nie możemy przehandlować – Farley wylicza po kolei.

– I nie możecie ich wyzabijać. – Postukuję palcem o wargę. Cal spogląda na mnie ze zdumieniem, ale ja tylko wzruszam ramionami. – Gdyby pułkownik znalazł sposób na to, żeby ich uśmiercić, już by to zrobił.

– Ada? – Pani kapitan pyta łagodnie. – Widzisz coś, co nam umyka?

Oczy Nowej biegają po planie tam i z powrotem, Ada lustruje mapę, a jednocześnie przetrząsa przepastne archiwa swojej pamięci. Statystyki, strategie, wszystko to, co zdołała tam zgromadzić. Jej milczenie nie jest zbyt pocieszające.

– Potrzebujemy tego cholernego jasnovidza – mruczę. Nigdy nie spotkałam Jona, człowieka, przez którego Mare zdołała mnie znaleźć i schwytać. Ale widziałam go wiele razy w transmisjach Mavena. – Niechby się trochę dla nas wysilił.

– Gdyby chciał nam pomóc, zjawiłby się tutaj. Ale ten przeklęty bajarz rozplął się w powietrzu – złorzeczy Cal. – Nie miał nawet dość przyzwoitości, żeby zabrać Mare ze sobą, gdy uciekał z dworu.

– Nie ma sensu rozmyślać o tym, czego nie możemy zmienić. – Farley szura butem po podłodze. – Zostało nam więc rozwiązanie czysto siłowe? Rozwalić wieżę, tak żeby nie został z niej kamień na kamieniu? I zapłacić za to hektolitrami krwi?

Zanim Cal zdąży znów wybuchnąć, drzwi otwierają się z nagłym szarpnięciem. Do środka wpadają Julian i Sara, obydwójce z wybałuszonymi oczami

i rumiani po swojemu. Zaskoczony pułkownik zrywa się na nogi, gotowy na wszystko. Żaden z nas nie jest naiwny, jeśli chodzi o Srebrnych. Strach przed nimi wyssaliśmy z mlekiem matki.

– Co się stało? – pyta, jego czerwone oko lśni. – Tak szybko skończyliście przesłuchanie?

Julian jeży się na wzmiankę o przesłuchaniu i uśmiecha się szyderczo.

– Moje pytania to akt miłosierdzia w porównaniu z tym, co wy byście urządzili.

– Pff – prycha Farley. Spogląda na Cala, który wydaje się zmieszany jej spojrzeniem. – Daruj sobie gadki o miłosierdziu Srebrnych.

Julian mało mnie obchodzi i cały czas mu nie ufam, jednak widząc minę Sary, z niepokojem marszczę brwi.

– Co się stało? – zwracam się do mojej trenerki, chociaż wiem, że i tak odpowie za nią Jacos. Nawet w Corvium nie znalazła jeszcze Uzdrowiciela Ciała, który zechciałby jej przywrócić mowę. Wszyscy pochowali się w wieży albo zginęli.

– Generał Macanthos nadzoruje ośrodek szkoleniowy – oznajmia Julian. Podobnie jak Sara patrzy na mnie niepewnie. Krew zaczyna mi pulsować w uszach. Cokolwiek Srebrny powie, nie będzie to dobra wiadomość. – Przed szturmem część legionu została odesłana na dalsze treningi. Byli zbyt mało przeszkoleni do walki w okopach. Nawet jak na Czerwonych.

Pulsowanie przeradza się w dudnienie, w łomot, który prawie zagłusza Jacosa. Czuję, że Ada przysuwa się do mnie, ociera ramieniem o moją rękę. Wie, do czego Srebrny zmierza. Ja również.

– Dotarliśmy do list. Kilkaset dzieci z Legionu Sztyletu wezwano z powrotem do Corvium. Nie zwolniono ich ze służby pomimo dekretu Mavena. Większość odnaleźliśmy, ale kilkoro... – Julian zacina się, jednak brnie dalej. – Są zakładnikami. W wieży, z pozostałymi przy życiu Srebrnymi oficerami.

Opieram się ręką o chłodną ścianę, żeby się opanować. -Cisza napiera, pęcznieje pod skórą, błaga, żebym ją uwolniła, pozwoliła wystąpić z brzegów i zalać cały pokój. Sama wypowiadam słowa, które Jacosowi chyba nie przechodzą przez gardło:

– Mój brat jest z nimi.

Srebrny drań waha się, przedłuża to wszystko, aż w końcu mówi:

– Tak sądzimy.

Ryk dudniącego serca tłumi wszystkie głosy. Nic nie słyszę, gdy wypadam z pokoju, unikając wyciąganych do mnie rąk, i biegnę przez korytarz ciągnący się w budynku kwatery głównej. Nie wiem, czy ktoś rusza za mną, i nic mnie to nie obchodzi.

Jedyną osobą, o której teraz myślę, jest Morrey. On i pięćdziesiąt jeszcze



żywych trupów, które oddzielają mnie od brata.

Nie jestem Mare Barrow. Nie oddam brata bez walki.

Cisza owija się wokół mnie gęsta jak dym, miękka jak pierze, wycieka ze wszystkich porów niczym pot. Nie jest czymś materialnym. Nie rozłupie wieży na moje zawołanie. Ta umiejętność ma wpływ tylko i wyłącznie na żywe istoty. Dużo trenowałam, lecz chociaż jej moc dalej mnie przeraża, to potrzebuję jej. Wiruje wokół mnie jak trąba powietrzna, która z sekundy na sekundę przybiera na sile.

Nie mam pojęcia, dokąd idę, ale w Corvium łatwo się odnaleźć. Miasto przypomina regularne, dobrze rozplanowane, gigantyczne koło zębate. Potrafię je rozgryźć. A nazwa wieży mówi sama za siebie. Stopy uderzają o chodnik, odbijają się od niego i niosą mnie przez zewnętrzny sektor. Po lewej stronie ciągną się niebotyczne mury obronne. Po prawej o kolejny pierścień granitowych ścian opierają się koszary, biura i sale treningowe. Muszę znaleźć następną bramę, przez którą dostanę się bliżej centrum. Szkarłatna chustka jest doskonałym kamuflażem. Wyglądam jak gwardzistka. Czerwoni żołnierze przepuszczają mnie, są zbyt rozkojarzeni, podnieceni albo zajęci, żeby się przejmować zbłąkaną buntowniczką, która przedziera się między nimi. Pokonali swoich panów. Tylko to się teraz liczy, ja dla nich nie istnieję.

Jednak nie dla Jego Cholernej Wysokości, Tyberiasza Calore.

Łapie mnie za ramię, zmusza, żebym obróciła się do niego. Gdyby nie cisza, która pulsuje wokół nas, wiem, że płonąłby żywym ogniem. Książę jest sprytny, wykorzystuje nasz rozpęd, aby odepchnąć mnie na bok i pozostać z dala od moich rąk.

– Cameron! – woła, wyciągając przed siebie dłoń. Płomyki na czubkach jego palców migoczą, ledwie zipią. Gdy cofa się jeszcze o krok i zastępuje mi drogę, ogień rozpala się śmieiej, płomienie liżą mu łokcie. Srebrny znów ma na sobie zbroję ze skóry i stalowych płyt, przez co wydaje się jeszcze bardziej barczysty. – Cameron, zginiesz, jeśli wejdiesz sama do tej wieży. Rozerwą cię na strzępy.

– A co cię to obchodzi? – warczę. Usztyniam kości, zwieram mięśnie i naciskam trochę mocniej. Cisza go dosięga. Płomienie znów migocą i gasną, grdyka podskakuje mu niespokojnie. Czuje to. Sprawiam mu ból. „Tak trzymaj. Pamiętaj o stałości. Nie za silnie, nie za słabo”. Napieram jeszcze intensywniej, a wtedy książę cofa się, idzie tyłem w kierunku, w którym zmierzam. Zza jego pleców przyzywa mnie druga brama. – Jestem tu tylko z jednego powodu. – Nie chcę z nim walczyć. Chcę tylko, żeby się usunął. – Nie pozwolę, żeby twoi ludzie go zabili.

– Wiem! – charczy. Zastanawiam się, czy wszyscy Płomienni mają takie same oczy. Rozjarzone, płonące. – Wiem, że tam idziesz. Ja też bym tak zrobił, gdyby... też bym tak zrobił.

– Więc mnie przepuść.

Zaciska szczęki, na jego twarzy maluje się nieugiętość. Jest niewzruszony jak skała. Nawet teraz, w przypalonych ubraniach, posiniaczony, zaniedbany i zdruzgotany, wygląda na króla. Tacy jak Cal nigdy przed nikim nie uklękną. Nie potrafiłby tego zrobić. Nie do tego został stworzony.

Ja jednak byłam łamana zbyt wiele razy, żeby znów dać się nagiąć.

– Cal, przepuść mnie. Daj mi po niego pójść. – Moje słowa brzmią jak błaganie.

Tym razem postępuje krok w przód. Płomienie na jego palcach zmieniają kolor na niebieski, są tak gorące, że przypalają powietrze. Mimo to drżą pod naporem mojej umiejętności, walczą o tlen, walczą o przetrwanie. Mogłabym je zdmuchnąć, gdybym chciała. Mogłabym wniknąć do wnętrza Srebrnego, uchwycić istotę jego mocy i rozedrzeć go, zabić, poczuć, jak każda komórka jego ciała umiera. Jakaś część mnie właśnie tego pragnie. Jest to głupia część, kierująca się gniewem, żalem i żądzą zemsty. Pozwalam, aby podsycala moją moc, zasilała ją, ale nie żeby mnie opanowała. Tego uczyła mnie Sara. Balansowania na krawędzi.

Cal mruży oczy, jak gdyby wiedział, o czym myślę. Dlatego gdy się odzywa, otwieram usta ze zdumienia, a łomot serca prawie zagłusza jego słowa:

– Chcę ci pomóc.

\*

Zanim trafiłam do Szkarłatnej Gwardii, myślałam, że sojusznicy zawsze nadają na tych samych falach. Są jak połączone maszyny, które zgodnie pracują, aby osiągnąć ten sam cel. Ależ byłam naiwna. Cal i ja pozornie jesteśmy po tej samej stronie, ale pragniemy zupełnie innych rzeczy.

Księżę otwarcie przedstawia mi swój plan. Objasnia go wystarczająco szczegółowo, abym się zorientowała, że chce wykorzystać moją wściekłość i mojego brata do spełnienia własnych zamierzeń. „Odwróć uwagę strażników, przedostań się do wieży centralnej, posłuż się ciszą jak tarczą i namów Srebrnych, żeby oddali zakładników w zamian za wolność. Julian otworzy bramy, ja osobiście będę ich eskortował. Bez rozlewu krwi. Bez kolejnych szturmów. Corvium będzie w pełni nasze”.

Dobry plan. Poza tym, że oddział Srebrnych wyjdzie na wolność i będzie mógł swobodnie dołączyć do armii Mavena.

Wychowałam się w slumsach, ale nie jestem idiotką. I na pewno nie robię maślanych oczu na widok kwadratowej szczęki Cala i jego krzywego uśmiechu. Jego urok na mnie nie działa. Łapała się na niego Barrow, nie ja.

Srebrnemu księciu brakuje trochę ikry. Ma za miękkie serce i to może się dla niego źle skończyć. Nie chce zostawić Srebrnych żołnierzy na łasce – czy raczej niełasce – pułkownika, nawet jeśli druga opcja to darowanie im wolności i stworzenie szansy, żeby dalej walczyli przeciwko nam.

– Ile czasu potrzebujesz? – pytam. Bez zawahania kłamię mu w żywe oczy. W końcu on też próbuje mnie oszukać.

Cal uśmiecha się szeroko. Myśli, że przeciągnął mnie na swoją stronę. „Świetnie”.

– Kilka godzin, żeby wszystko zorganizować. Porozmawiać z Julianem, Sarą...

– W porządku. Będę się kręcić po zewnętrznych koszarach, daj znać, jak będziesz gotowy. – Odwracam się, teatralnie rzucam w dal zamyślane spojrzenie. Wiatr, który się zrywa, porusza moimi warkoczykami. Wydaje się cieplejszy, ogrzewa go jednak nie ciepło Cala, lecz słońce. Wiosna musi w końcu nadejść. – Potrzebuję trochę przewietrzyć głowę.

Księżę przytakuje ze zrozumieniem. Kładzie gorącą dłoń na moim ramieniu, zaciska palce. W odpowiedzi rozciągam wargi w wymuszonym uśmiechu, który bardziej przypomina grymas. Gdy tylko się odwracam, uśmiech znika z mojej twarzy. Cal zostaje z tyłu, odprowadza mnie płomiennym spojrzeniem, dopóki nie znikam za łagodnie zakręcającym pierścieniem murów. Mimo że zrobiło się trochę cieplej, po plecach przechodzi mi dreszcz. Nie mogę pozwolić Calowi na to, co chce zrobić. Nie zamierzam jednak siedzieć bezczynnie, gdy Morrey tkwi w wieży.

Z naprzeciwka maszeruje w moją stronę Farley, która przebiera nogami tak szybko, jak może w swoim stanie. Pochmurnieje, gdy mnie zauważy, i marszczy brwi, a na jej twarz wypływa buraczkowy rumieniec, przez co biała blizna biegnąca wzdłuż policzka wyróżnia się jeszcze bardziej niż zwykle. Ogólnie rzecz biorąc, nie wygląda zbyt przyjaźnie.

– Cole – warczy. Głos ma równie srogi jak ojciec. – Bałam się, że chcesz zrobić coś naprawdę głupiego.

– Ja nie – odpowiadam cicho. Wojowniczką przekrzywia głowę, a ja gestem każę jej iść za sobą.

Gdy chowamy się i zamykamy w magazynie, najszybciej jak umiem, opowiadam jej wszystko. Farley przez cały czas posapuje, jak gdyby plan Cala był dla nas nie śmiertelnym zagrożeniem, ale kolejnym utrapieniem.

– Naraża całe miasto – kończę z przejęciem. – I jeśli uda mu się to, co zamierza...

– Wiem. Ale już raz ci mówiłam: Montfort i Dowództwo chcą, żebyśmy przytrzymali Cala niemal za wszelką cenę. Jest niezatapialny. Każdego innego już dawno by rozstrzelano za niesubordynację. – Farley drapie się obiema rękami po głowie, przeczesuje palcami jasne włosy. – Nie chcę tego robić, ale żołnierzowi, który nie ma ochoty wykonywać rozkazów i działa na własną rękę, nie można zaufać.

– Dowództwo. – Nienawidzę tej nazwy i tych, którzy się za nią kryją. – Zaczynam się zastanawiać, czy ci ludzie aby na pewno kierują się naszym

interesem.

Farley nie protestuje.

– Trudno bezgranicznie wierzyć w ich decyzje. Ale oni widzą to, czego my nie możemy dostrzec. A teraz... – Wzdycha głęboko i wbija spojrzenie w podłogę. – Słyszałam, że Montfort chce się bardziej zaangażować.

– Co to znaczy?

– Nie jestem pewna.

Prycham.

– Naprawdę nie wiesz wszystkiego? To dla mnie wstrząs.

Wojownicza sztyletuje mnie wzrokiem.

– System nie jest idealny, ale nas chroni. Jeśli będziesz stroić fochy, nie pomogę ci.

– Och, czyli jednak masz jakieś pomysły?

Farley uśmiecha się złowieszczo.

– Kilka.

\*

Harrick nie pozbył się nerwowych tików.

Głowa podskakuje mu w górę i opada w dół, podczas gdy Farley omawia nasz plan szeptem, szybko poruszając wargami. Nie pójdzie z nami do wieży, ale dopilnuje, żebyśmy na pewno się do niej dostali.

Harrick wydaje się zmartwiony. Nie jest wojownikiem. Nie był w Corros ani nie uczestniczył w przejściu Corvium, chociaż jego iluzje ogromnie by nam pomogły. Przywłókł się razem z nami, prowadzony przez ciężarną kapitan. Coś się z nim stało podczas nieudanego werbunku Nowych, kiedy wciąż jeszcze mieliśmy Mare. Od tamtej pory trzyma się z dala od kłopotów, zamiast walczyć na pierwszej linii, chowa się na tyłach. -Zazdroszczę mu. Nie wie, jak to jest kogoś zabić.

– Ilu zakładników? – pyta głosem rozedrganym tak samo jak jego palce. Na policzki występuje mu czerwony rumieniec, który rozlewa się pod zmarzniętą skórą.

– Przynajmniej dwudziestu – odpowiadam najszybciej, jak potrafię. – Prawdopodobnie jest wśród nich mój brat.

– I przynajmniej pięćdziesięciu Srebrnych na straży – dodaje Farley. Nie stara się ukrywać związanego z tym niebezpieczeństwa. Nie skłoni go do tego podstępem.

– Aha – mruczy Harrick. – O rany.

Farley kiwa głową.

– Wszystko oczywiście zależy od ciebie. Możemy znaleźć inny sposób.

– Ale żaden nie będzie się wiązał z mniejszym rozlewem krwi.

– Właśnie. Twoje iluzje... – naciskam, ale Harrick podnosi trzęsącą się rękę.

Zastanawiam się, czy jego umiejętność jest tak samo niepewna.

Otwiera usta, jednak nie wydostają się z nich żadne słowa. Czekam w zawieszeniu, w duchu błagając go, żeby się zgodził. Musi zrozumieć, jakie to ważne. Musi.

– W porządku.

Prawie zaczynam skakać z radości. To dobry krok, ale nie zwycięstwo i nie wolno mi o tym zapomnieć, dopóki Morrey nie będzie bezpieczny.

– Dziękuję. – Obejmuję jego dłonie i pozwalam, żebyśmy drżeli razem. – Bardzo ci dziękuję.

Harrick szybko mruga powiekami, jego brązowe oczy spotykają się z moimi.

– Nie dziękuj mi, dopóki nie będzie po wszystkim.

– Co prawda, to prawda – Farley burczy pod nosem. Ze względu na nas stara się nie robić ponurej miny. Jej plan powstał naprędce, ale Cal nie daje nam wyboru. – Dobra, wszyscy za mną. To będzie szybka i cicha akcja, a przy odrobinie szczęścia, także czysta.

Idziemy za nią, omijając żołnierzy Szkarłatnej Gwardii oraz Czerwonych, którzy schodzą nam z drogi. Wielu jej salutuje. Jest dobrze znaną postacią w organizacji i udziela się nam szacunek, który wzbudza. Po drodze zaciskam swoje warkocze tak mocno jak się da. To dobry ból. Dzięki niemu zachowuję czujność. I mam czym zająć dłonie. Inaczej trzęsłyby mi się tak samo jak Harrickowi.

Ponieważ prowadzi nas Farley, nikt nie zatrzymuje nas przy bramie i wkraczamy do centrum Corvium, w którym wznosi się górująca nad miastem wieża centralna. Budowla z czarnego granitu, pełna okien i balkonów, pnie się do nieba. Wszystkie okna są szczelnie zamknięte, a dziesiątki żołnierzy stoją na straży dwóch obwarowanych wejść. Założę się, że to rozkazy pułkownika. Nie wahał się ani chwili, żeby podwoić straże, gdy tylko zdał sobie sprawę, że chce się dostać do środka, a Cal chce wydobyć stamtąd Srebrnych. Pani kapitan nie prowadzi nas do wieży, lecz dalej, do jednej z budowli po wewnętrznej stronie okalającego muru. Jak reszta miasta jest ze złota, żelaza i czarnego kamienia, zacieniona nawet w środku dnia.

Serce mi łomocze, tym szybciej, im głębiej wkraczamy w ciemność jednego z licznych więzień rozsianych po Corvium. Zgodnie z planem Farley prowadzi nas schodami w dół, na poziom cel. Na widok krat i kamiennych ścian połyskujących w ponurym świetle nielicznych żarówek przeszywają mnie dreszcze. Cele są przynajmniej puste. Srebrni Cala znajdują się przy Bramie Modlitwy, zamknięci dokładnie nad łukami Cichego Kamienia, gdzie ich umiejętności nie istnieją.

– Odwróć uwagę strażników na niższym poziomie, a Harrick pomoże wam dwojgu przemknąć się dalej – Farley mówi cicho, starając się, by jej głos nie poniósł się echem. – Najpierw żelazny. – Wskazuje na szorstki klucz z czarnego

metal, wielki jak moja pięść, po czym na połyskujący, niewielkich gabarytów, o ostrych zębach. – Potem srebrny.

Wkładam je do oddzielnych kieszeni, gdzie mam je tuż pod ręką.

– Jasne.

– Nie potrafię jeszcze tak dobrze tłumić dźwięku jak obrazu, więc musimy być bardzo cicho – mówi Harrick półszepem. Bierze mnie pod rękę i zrównuje krok z moim. – Trzymaj się blisko. Najlepiej, żebyś tak długo, jak się da, tworzył jak najmniej iluzji.

Kiwam głową na znak, że rozumiem. Harrick musi oszczędzać siły dla zakładników.

Cele prowadzą coraz głębiej w podziemia Corvium. Z każdą minutą robi się zimniej i bardziej wilgotno, aż z ust zaczyna mi się wydostawać para. Kiedy zauważamy światło jaśniejące zza rogu, nie czuję się ani trochę pewniej. Farley wkrótce nas zostawi.

Cicho macha na nas, żebyśmy zostali z tyłu. Wtulam się bardziej w Harricka. To ten moment. Szaleją we mnie podekscytowanie i strach. „Idę po ciebie, Morrey”.

Mój brat jest w pobliżu, otoczony ludźmi, którzy mogą go zabić. Nie mam czasu martwić się, czy zabiją i mnie.

Coś zaczyna mi drgać przed oczami i opada jak kurtyna. Iluzja. Harrick przyciska swoją pierś do moich pleców i idziemy razem, krok w krok. Widzimy wszystko dość wyraźnie, ale kiedy Farley ogląda się za siebie, szuka nas wzrokiem. Nie dostrzega ani mnie, ani Harricka. Podobnie jak gwardziści za rogiem.

– Wszystko w porządku?! – woła Farley, krocąc po kamiennej podłodze dużo głośniejsze niż potrzeba. Harrick i ja idziemy w bezpiecznej odległości i gdy skręcamy na korytarz, spostrzegamy sześciu dobrze uzbrojonych żołnierzy z czerwonymi chustami i w rynsztunku bojowym. Zastawiają wąskie przejście zwartym szykiem.

Na widok Farley natychmiast się prostują. Jeden z nich, napakowany mężczyzna o karku szerszym niż moje udo, odpowiada jej w imieniu pozostałych.

– Tak jest, pani kapitan. Niczego nie zauważyliśmy. Jeśli Srebrni mają zamiar uciec, to nie przez tunele. Nawet oni nie są tacy głupi.

Farley zaciska usta.

– Dobrze. Miejcie na oku... auu!

Krzywi się i zgina w pół, wspierając dłońią o jedną z czarnych jak węgiel ścian. Drugą chwytając się za brzuch. Wykrzywia twarz z bólu.

Gwardziści natychmiast rzucają się jej na pomoc, trzech z nich w ułamku chwili staje u jej boku. Tym samym tworzy się dość spora przerwa w szyku. Harrick i ja nie tracimy czasu i przemykamy wzdłuż przeciwległej ściany, aby dotrzeć do zamkniętych drzwi, którymi zakończony jest korytarz. Farley obserwuje

drzwi, osuwając się na kolana i nadal udając skurcz, a może nawet coś gorszego. Iluzja wokół mnie zaczyna nieco bardziej drżeć, wskazując na koncentrację Harricka. Teraz ukrywa nie tylko mnie, ale i drzwi, które otwierają się za plecami sześciu strażników wyznaczonych do ich pilnowania.

Wsuwam do zamka żelazny klucz i przekręcam go, Farley rozpaczliwie jęczy i syczy z bólu na zmianę, żeby odwrócić uwagę gwardzistów od skrzywienia zawiasów. Na szczęście drzwi są dobrze naoliwione. Gdy się otwierają, nikt nic nie zauważa i nic nie słyszy.

Zamykam je powoli, uważając, by żelazo nie uderzyło o granit. Światło znika cał po calu, aż w końcu pogrąża nas czarna jak smoła ciemność. Nie słyszymy już ani Farley, ani obskakujących ją żołnierzy, których odgłosy tłumią zamknięte drzwi.

– Chodźmy – mówię do Harricka, biorąc go za rękę i mocno ją ściskając.

„Jeden, dwa, trzy, cztery...”, liczę swoje kroki w ciemności, jednocześnie przejeżdżając dłonią po lodowato zimnej ścianie.

Czuję dopływ adrenaliny, kiedy docieramy do drugich drzwi, bezpośrednio pod wieżą centralną. Nie miałam zbyt wiele czasu, by zapamiętać jej rozkład, ale znam podstawy. To wystarczy, aby wydobyć zakładników i wyprowadzić ich do bezpiecznego oddziału centralnego. Bez zakładników Srebrni nie będą mieli czym negocjować. Będą musieli się poddać.

Po omacku szukam kluczem dziurki. Jest mały i muszę się nieźle nameńczyć, zanim trafię do środka.

– No to do dzieła – mruczę. Ostrzeżenie dla Harricka i dla mnie.

Kiedy otwieram wejście do wieży, zdaję sobie sprawę, że może to być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię. Nawet przy naszych umiejętnościach, Harrick i ja nie jesteśmy żadną konkurencją dla pięćdziesięciu Srebrnych. Jeśli to się nie uda, zginiemy, a wraz z nami pewnie i zakładnicy, którzy niejedno już przeszli.

Nie pozwolę, aby do tego doszło. Nie mogę.

W lochu za drzwiami jest równie ciemno jak w tunelu, ale cieplej. Wieża jest szczelnie zabezpieczona przed żywiołami, tak jak mówiła Farley. Harrick wchodzi tuż za mną i zamykamy drzwi. Jego dłoń ociera się o moją. Już nie drży. To dobrze.

Tu powinny być jakieś schody... tak. Stukam czubkami butów w dolny stopień. Nie puszczam nadgarstka Harricka i prowadzę nas w górę, w stronę przytłumionego, ale coraz wyraźniejszego światła. Dwa piętra do góry, tak jak dwa piętra w dół, które pokonaliśmy do cel aresztu.

Od ścian odbijają się pomruki, wystarczająco niskie, by je usłyszeć, ale zbyt stłumione, by je rozszyfrować. Udręczone głosy, toczone szeptem kłótnie. Szybko mrugam powiekami, gdy docieramy do dużo jaśniejszego parteru wieży i wychylamy głowy znad stopni. Otacza nas ciepłe światło rozjaśniające krętą

klatkę schodową, która wije się w górę wysokiej, centralnej komnaty. To kręgosłup wieży. Na kilku półpiętrach znajdują się zamknięte na zasuwy drzwi. Moje serce łomocze z taką siłą, że zaczynam się bać, czy nie usłyszą nas Srebrni.

Dwóch z nich, czujnych i gotowych do ataku, patroluje schody. Tylko że my nie jesteśmy żołnierzami ani nie należymy do Szkarłatnej Gwardii. Ich postaci lekko falują niczym tafla delikatnie wzburzonej wody. Harrick znów wykonuje swoje iluzje i chroni nas oboje przed nieprzyjaznymi spojrzeniami.

Poruszamy się niczym jedno ciało, podążając za głosami. Ledwie jestem w stanie oddychać, kiedy wchodzimy po schodach do centralnej komnaty trzy piętra wyżej. Na schemacie Farley rozciągała się na całą szerokość wieży i zajmowała całe piętro. Tam mieli się znajdować zakładnicy oraz oddziały Srebrnych czekających na ratunek Mavena albo łaskę Cala.

Srebrni patrolujący są bardzo umięśnieni. Siłacze. Obaj mają kamienne, nieruchome twarze i ramiona wielkie jak pnie drzew. Nie złamię mnie wpół, o ile użyję swojej ciszy. Ale moja zdolność nie ma wpływu na broń. A obaj mają niezłe wyposażenie. Pistolety i strzelby przewieszane przez ramię. Wieża jest zaopatrzona jak na oblężenie, a to pewnie oznacza, że mają wystarczająco dużo amunicji, żeby długo tu wytrzymać.

Jeden z Siłaczy zaczyna schodzić ze schodów, gdy zmierzamy w jego stronę. Kroki dudnią na stopniach. Dziękuję Srebrnemu idiotcie, który postawił go na warcie. Jego umiejętnością jest siła fizyczna, nic zmysłowego. Ale z pewnością by nas poczuł, gdybyśmy na niego wpadli.

Powoli prześlizgujemy się obok niego, przyklejając plecy do zewnętrznej ściany wieży. Mija nas bez krztyny podejrzeń, jest skupiony na czymś innym.

Drugiego Siłacza jest nam dużo trudniej minąć. Opiera się o drzwi, wystawiając przed siebie długie nogi. Niemal całkowicie blokują stopnie, przez co Harrick i ja musimy się przenieść pod przeciwną ścianę. Jestem wdzięczna za swój wzrost. Dzięki niemu mogę bez problemu przejść nad strażnikiem. Harrick nie wykazuje podobnej gracji. Jego drzenie nasila się, kiedy wchodzi po schodach, starając się nie zrobić przy tym hałasu.

Zaciskając zęby, pozwalam, żeby cisza wzbierała mi pod skórą. Zastanawiam się, czy jestem w stanie zabić obu tych mężczyzn, zanim podniosą alarm. Na samą myśl o mordowaniu przewracają mi się wnętrzności.

Nagle Harrick potyka się o stopień i leci do przodu. Nie robi przy tym zbyt wiele hałasu, ale zwraca uwagę Srebrnego. Wartownik rozgląda się w obie strony, a ja zamieram, trzymając Harricka za jego wyciągnięty nadgarstek. W gardle wzbiera mi przerażenie, które aż prosi się o krzyk.

Kiedy Srebrny odwraca się do swojego kolegi, popycham Harricka.

– Słyszałeś coś, Lykos?! – woła Siłacz w dół schodów.

– Nic a nic – odpowiada drugi.



Każde ze słów zagłusza nasze pospieszne kroki, pozwalając nam dobiec do szczytu schodów i lekko uchylonych drzwi. Wypuszczam z płuc najcichsze westchnienie ulgi, jakie można sobie tylko wyobrazić. Teraz i moje ręce się trzęsą.

Ze środka dobiegają nas odgłosy sprzeczki.

– Musimy się poddać – mówi ktoś.

W odpowiedzi rozlegają się odgłosy sprzeciwu, zagłuszając nasze wejście. Zakradamy się do środka jak myszy i znajdujemy w pokoju pełnym głodnych kotów. Srebrni oficerowie stoją zebrani wzdłuż ścian, większość jest ranna. Zapach krwi zwala z nóg. Odgłosy jęków mieszają się z kłótniami. Oficerowie próbują się wzajemnie uciszyć krzykami, ich twarze są blade ze strachu, żalu i bólu. Kilko rannych zdaje się umierać. Smród posoki i widok pokiereszowanych mężczyzn oraz kobiet przyprawia mnie o mdłości. Dociera do mnie, że nie mają tu Uzdrowicieli. Rany tych Srebrnych nie znikną na machnięcie ręki.

Nie jestem z lodu ani z kamienia. Z trudem przełykam ślinę, patrząc na najbardziej poharatanych, którzy leżą pod zakrzywioną w łuk ścianą jedynie kilka metrów ode mnie. Przyglądam się kobiecie o pociętej twarzy, zerkam na jej przyciśniętą do brzucha rękę, spod której wypływają srebrna krew i wnętrzości. Wojowniczką otwiera i zamyka usta niczym wyjęta z wody ryba. Za bardzo cierpi, żeby narzekać albo krzyczeć. W tym momencie przychodzi mi do głowy dziwny pomysł: „Gdybym chciała, mogłabym skrócić jej cierpienie”. Mogłabym otulić ją ciszą i łagodnie przenieść na tamten świat.

Jednak sama myśl o tym sprawia, że chce mi się wymiotować, i muszę się odwrócić.

– Nie możemy się poddać. Szkarłatna Gwardia nas zabije albo gorzej.

– „Gorzej”? – prychnął jeden z leżących na podłodze oficerów, posiniaczony i obandażowany. – Rozejrzyj się, Chyronie!

Omiatam spojrzeniem celę i po raz pierwszy pozwalam sobie na odrobinę nadziei. Jeśli Srebrni nadal będą na siebie krzyczeć, ułatwią nam sprawę. Zauważam zakładników po przeciwnej stronie pomieszczenia. Przynajmniej dwudziestu stłoczonych razem piętnastolatków, ich ciała różowe i brązowe, ich krew czerwona. Tylko strach trzyma mnie w miejscu, oddzieloną od wszystkiego, czego pragnę, długością sali pełnej śmiertelnych, wściekłych maszyn do zabijania.

„Morrey”. Sekundy, centymetry ode mnie.

Przechodzimy przez komnatę tak samo ostrożnie, jak wchodziliśmy po schodach, i dwa razy wolniej. Srebrni, którzy są w lepszym stanie, kręcą się to tu, to tam, chcąc pomóc cięższym rannym albo po prostu dać ujście nerwom. Nigdy nie widziałam Srebrnych z tak bliska i w takiej sytuacji – gdy nie spodziewają się, że ktoś ich obserwuje. Wydają się tacy ludzcy. Starsza kobieta obwieszona odznaczeniami trzyma za rękę mniej więcej osiemnastoletniego chłopaka. Młody

Srebrny twarz ma białą jak ściana, odpłynęła z niej cała krew, i spokojnie mruga, patrząc w sufit i czekając na śmierć. Obok niego leży trup. Duszę w sobie jęk i zmuszam się, by oddychać regularnie i cicho. Nawet przy tak wielu rzeczach, które mogą mnie rozproszyć, nie mam zamiaru ryzykować.

– Powiedźcie mojej matce, że ją kocham – mamrocze jeden z umierających.

Inny na wpół żywy woła kogoś, kogo tu nie ma, skamłając jego imię.

Śmierć wisi nad nami jak chmura. Na mnie też rzuca cień. Mogę tu umrzeć, tak samo jak reszta. „Jeśli Harrick się zmęczy, jeśli zrobię fałszywy ruch”. Próbuję nie zwracać uwagi na nic innego prócz stawianych przez siebie kroków. Ale im głębiej wchodzę do komnaty, tym trudniejsze to się staje. Podłoga rozmazuje mi się przed oczami i to nie z powodu iluzji Harricka. Czy ja... czy ja płaczę? Z litości nad nimi?

Ze złością ocieram łzy, zanim zaczną skapywać mi z policzków i zostawiać ślady. Choć wiem, że nienawidzę tych ludzi, trudno mi teraz doszukać się w sobie tej nienawiści. Wściekłość, którą czułam jeszcze godzinę temu, przeminęła i zastąpiło ją dziwne współczucie.

Zakładnicy są teraz tak blisko, że prawie mogę ich dotknąć, a jedna z sylwetek jest mi tak znajoma jak moja własna twarz. Kręcone, czarne włosy, ciemna skóra, długie kończyny, wielkie dłonie z krzywymi palcami. Największy, najjaśniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałam, choć jest mu teraz do niego bardzo, bardzo daleko. Gdybym mogła, rzuciłabym się na Morreya i więcej go już nie puściła. Zamiast tego jednak staję mu za plecami i powoli, lecz bez zawahania, przykucam, aż znajduję się tuż przy jego uchu. Modłę się, żeby się nie przestraszył.

– Morrey, to ja, Cameron.

Wzdryga się, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku.

– Jestem tu z Nowym. Uczynił nas niewidzialnymi. Wyciągnę was stąd, ale musisz zrobić dokładnie to, co ci powiem.

Morrey nieznacznie odwraca twarz. Jego oczy są wielkie z przerażenia. Ma oczy naszej matki, czarne jak węgle, oprawione gęstymi rzęsami. Pragnę go przytulić, ale się powstrzymuję. Brat pomału kręci głową, przecząco.

– Właśnie, że tak. Dam radę – szepczę. – Przekaż innym, co ci powiedziałam. Ostrożnie. Srebrni nie mogą zauważyć. Dalej, Morrey.

Po kolejnej długiej chwili mój brat zaciska zęby i daje za wygraną.

Wkrótce wszyscy zakładnicy wiedzą już, że po nich przyszliśmy. Nikt nie protestuje. Nie mogą sobie pozwolić na sprzeciw, nie tu, w jaskini lwa.

– To, co zobaczycie, nie jest prawdziwe.

Kiwam ręką do Harricka, który potakuje. Jest gotowy. Powoli osuwamy się na klęczki i staramy wmieszać w grupę jeńców. Kiedy iluzja pryśnie, Srebrni nie zauważą nas od razu. Są zbyt rozkojarzeni. Miejmy nadzieję.

Moja wiadomość szybko się rozchodzi. Zakładnicy zaczynają się

denerwować. Choć są w tym samym wieku co ja, wydają się starsi, sterani miesiącami treningów i kolejnymi spędzonymi w okopach. Nawet Morrey, choć wygląda, jakby karmiono go lepiej niż kiedykolwiek w domu. Wciąż jestem niewidzialna, ale mimo to wyciągam dłoń i ostrożnie biorę go za rękę. Jego palce mocno zaciskają się na moich. W następnej chwili iluzja, która nas skrywała, pryska. W grupie jeńców pojawiają się dwie nowe osoby. Pozostali Czerwoni patrzą na nas, mrugając powiekami i starając się nie okazywać swojego zaskoczenia.

– No to zaczynamy – mamrocze Harrick.

Za naszymi plecami Srebrni wciąż kłócą się o martwych i umierających. Zakładnicy zupełnie ich nie obchodzą.

Harrick mruży oczy, koncentrując się na zakrzywionej ścianie wieży po naszej prawej stronie. Oddycha ciężko, ze świstem wciąga powietrze przez nos i wypuszcza je ustami. Zbiera siły. Przygotowuję się na eksplozję, choć wiem, że tak naprawdę nic nie wyleci w powietrze.

Nagle ściana wybucha, do środka wdzierają się ogień i gruz, odsłaniając niebo. Przestraszeni Srebrni cofają się przed pozorowanym atakiem. Przez otwór w murze widać przelatujące z warkotem samoloty odrzutowe, które przebijają się przez sztuczne chmury. Mrugam powiekami, nie wierząc w to, co widzę. Nic z tego nie jest prawdziwe. Ale wygląda niewiarygodnie prawdziwie.

Nie żebym miała czas się gapić.

Harrick i ja zrywamy się na nogi i podrywamy pozostałych. Biegniemy przez ogień, płomienie szaleją tak blisko nas, że prawie nas parzą. Odruchowo odskakuję, choć wiem, że to iluzja. Ogień wystarczająco odwraca uwagę zaskoczonych Srebrnych, możemy więc wybiec przez drzwi na schody.

Pędzę na przodzie, prowadząc watahę, a Harrick pilnuje tyłów. Macha rękami jak tancerz, ni stąd, ni zowąd rzucając nowe iluzje. Ogień, dym, kolejna salwa pocisków. Wszystko po to, by Srebrni próbowali się ratować, zamiast rzucić za nami w pogoń. Otaczam się ciszą jak bańką śmiercionośnej mocy, by pokonać Srebrnych strażników. Morrey depcze mi po piętach, przez co prawie się przewracam, ale brat chwyta mnie za ramię, żebym nie wypadła za balustradę.

– Stać! – Pierwszy z Siłaczy szarżuje na mnie z głową pochyloną niczym byk. Uciszam go pulsującą energią, wpycham mu swoją umiejętność do gardła. Srebrny zatacza się, ugina pod ciężarem mojej mocy. Ja też czuję jej ciężar, czuję, że przetacza się po wnętrzu wojownika jak walec. Muszę go zabić, i to szybko. Siła mojego pragnienia sprawia, że z ust i oczu tryska mu krew, a organy poddają się jeden po drugim. Duszę w nim życie szybciej niż w kimkolwiek wcześniej.

Drugi Siłacz umiera jeszcze gwałtowniej. Kiedy trafiam go kolejną, wyniszczającą falą ciszy, potyka się i upada na głowę. Jego czaszka pęka, gdy uderza o twardą posadzkę, wylewają się z niej krew i mózg. W gardle więźnie mi

płacz i czuję nagle obrzydzenie do samej siebie. „Dla Morreya. Dla Morreya”.

Brat wygląda na tak udręczonego, jakby czuł to samo co ja. Wpatruje się w Siłacza, którego krew rozlewa się po podłodze. Wmawiam sobie, że w znanych oczach widzę szok, a nie paniczny strach.

– Biegnij! – ryczę pełnym wstydu głosem. Na szczęście Morrey robi, co mu każe, i w te pędy zbiega wraz z resztą na niższe poziomy.

Mimo że wyjście na parterze jest zablokowane, zakładnicy szybko rozprawiają się z zabezpieczeniami Srebrnych, aż w końcu od wolności dzieli nas tylko jeden zamek.

Przeskakuję nad rozbitą czaszką Siłacza i rzucam im mały, srebrny klucz. Morrey go łapie. Jego pobór i moje uwięzienie nie zniweczyły naszej bliźniaczej więzi. Kiedy otwiera drzwi, do środka wdziera się światło słońca i mój brat wypada na świeże powietrze, a za nim reszta zakładników. Za nami po schodach zbiega Harrick, za którym roztaczają się sztuczne płomienie. Macha ręką, żebym uciekała, ale ja ani drgnę. Nie wyjdę stąd bez iluzjonisty.

Wychodzimy razem na spotkanie z placem pełnym skonsternowanych, uzbrojonych po zęby strażników. Na rozkaz Farley pozwalają nam przejść. Kapitan krzyczy do nich, by uważali na wejście do wieży, na wypadek gdyby Srebrni chcieli podjąć walkę.

Nie słyszę jej słów, tylko idę przed siebie, aż mój brat znajdzie się w moich objęciach. Serce gwałtownie bije mu w piersi. Nie mogę się nacieszyć tym cudownym dźwiękiem. On tu jest. Żyje.

W przeciwieństwie do Siłaczy.

Nadal czuję to, co im zrobiłam.

Co zrobiłam każdej zabitej przez siebie osobie.

Na te wspomnienia zaczyna mi się kręcić w głowie ze wstydu. Wszystko dla Morreya, wszystko, żeby przeżyć. Ale już nigdy więcej.

Mam dość za uszami i nie potrzebuję jeszcze na dodatek stać się morderczynią.

Morrey trzyma się mnie kurczowo i rozgląda się przerażony.

– Szkarłatna Gwardia – syczy, przyciągając mnie jeszcze bliżej. – Cam, musimy uciekać.

– Nic ci nie będzie. Teraz jesteś z nami. Oni cię nie skrzywdzą, Morrey!

Ale on, zamiast się uspokoić, wpada w panikę. Mocniej zaciska dłoń, kręci głową na prawo i lewo, przeliczając żołnierzy Farley.

– Czy oni wiedzą, kim ty jesteś? Wiedzą, Cam?

Wstyd zamienia się w zmieszanie. Delikatnie się odsuwam od Morreya, żeby lepiej przyjrzeć się jego twarzy. Brat ciężko dyszy.

– Kim jestem?

– Zabijają cię za to. Szkarłatna Gwardia zabije cię za to, co robisz.

Każde słowo uderza mnie jak młot. I wtedy zdaję sobie sprawę, że mój brat nie jest jedynym, który nadal się boi. Reszta jego jednostki, pozostałe dzieciaki dla bezpieczeństwa trzymają się w zwartej grupie i żadne z nich nie spuszcza oczu z gwardzistów. Farley pochwytuje moje spojrzenie z odległości kilku metrów i wydaje się, że też ma mętlik w głowie.

Staram się wejść w skórę brata i dostrzegam to, czego nauczono go widzieć, gdy patrzy na Gwardię.

Terrorystów. Morderców. Przyczynę wszelkich nieszczęść, z przyspieszonym poborem do wojska włącznie.

Próbuję przytulić Morreya, próbuję wyszeptać mu do ucha jakieś wytłumaczenie.

Brat stoi sztywno w moich objęciach.

– Jesteś jedną z nich – syczy, patrząc na mnie z taką złością i wyrzutem, że nogi się pode mną uginają. – Należysz do Szkarłatnej Gwardii.

Ogarnia mnie przerażenie.

Maven odebrał Mare brata.

Czy udało mu się zabrać też mojego?

## Rozdział 16

### Mare

Nisko wiszące chmury zasłaniają mi widok na Corvium. Ale i tak wlepiam wzrok we wschodni horyzont, który rozciąga się za nami. Szkarłatna Gwardia przejęła kontrolę nad miastem. -Teraz to oni sprawują w nim władzę. Z tego powodu musieliśmy objechać je szerokim łukiem. Maven stara się jak może, żeby wieść się nie rozniosła. Ale nawet on nie jest w stanie ukryć tak ogromnej klęski. Zastanawiam się, jak te wieści zostaną przyjęte w królestwie. Czy Czerwoni będą świętować? Czy Srebrni ruszą z odwetem? Pamiętam zamieszki, jakie nastąpiły po innych atakach Szkarłatnej Gwardii. Oczywiście, że będą reperkusje. Corvium to wypowiedzenie wojny. W końcu Szkarłatna Gwardia wbiła flagę, której nie da się tak łatwo wyjąć.

Moi przyjaciele są tak blisko, że mogłabym do nich pobiec. Zerwać kajdany, zabić pilnujących mnie Arvenów, wyskoczyć z transportera i zniknąć w ponurej szarości, rzucając się biegiem przez ogołocony zimą las. W moich marzeniach przyjaciele czekają na mnie przed murami zdobytej fortecy. Pułkownik ze szkarłatnym okiem i o umęczonym obliczu, który nie rozstaje się z pistoletem. Z nim Farley, dumna, wysoka i stanowcza, taka, jaką pamiętam. Cameron i jej cisza, która zamiast więzi, broni. Kilorn, którego znam jak własną kieszeń. Cal, zły i nieszczęśliwy jak ja. Żar jego gniewu jest gotów wypalić z mojej głowy wszelkie myśli o Mavenu. Wyobrażam sobie, jak rzucam się im w ramiona i błagam, żeby mnie zabrali, nieważne gdzie. Do mojej rodziny, do domu. Żebym zapomniała.

Nie, nie zapomniała. To byłby grzech zapomnieć o mojej niedoli. Marnotrawstwo. Znam Mavena jak nikt inny. Znam jego słabe punkty, wiem, co się w nim popsuło i już nigdy nie będzie działało jak należy. I na własne oczy widziałam, jak rozpada się jego dwór. Jeśli dam radę uciec, jeśli zostanę uratowana, będę mogła zrobić coś dobrego. Sprawię, że idiotyczny układ, na który poszłam, będzie wart swojej strasznej ceny – i będę mogła naprawić wyrządzone zło.

Mimo że okna pojazdu są uszczelnione, czuję dym. Popiół. Proch. Metaliczny, kwaśny posmak krwi przelewanej od stu lat. Znajdujemy się nieopodal Duszni, z każdą mijającą sekundą kierujący się na zachód konwój jest coraz bliżej tego przeklętego miejsca. Mam nadzieję, że rzeczywistość nie okaże się gorsza niż sceny z wojennych koszmarów, które mnie nawiedzały.

Kocica i Koniczyna nadal są przy mnie. Trzymają odziane w rękawiczki

dłonie płasko na kolanach. Pozostali strażnicy, Trzeciak i Jajo, przycupnęli na dachu transportera. To dla bezpieczeństwa, znajdujemy się przecież bardzo blisko strefy ogarniętej wojną i zaledwie kilka kilometrów od miasta okupowanego przez rewolucjonistów. Cała czwórka jest czujna jak nigdy. Pilnują, żebym im nie uciekła i żeby nic mi się nie stało.

Las, który ciągnął się na ostatnich kilometrach Traktu Żelaznego, niemal całkowicie się przerzedził. Nagie gałęzie rozstępują się i odsłaniają twardą ziemię pokrytą osłatkami śniegu. Dusznia to okropne miejsce. Szara ziemia i ołowiane niebo stapiają się ze sobą i trudno powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Niemal spodziewam się, że usłyszę z oddali jakiś wybuch. Tata mówił, że zawsze słychać tu bomby, nawet z odległości wielu kilometrów. Podejrzewam, że to już nieprawda – o ile powiódł się manewr Mavena. „Kończę wojnę, za którą umarły miliony”. Jednak rzeź będzie trwała dalej, tyle że pod inną nazwą.

Konwój brnie w stronę frontowych obozów, grupki budynków, która przypomina bazę Szkarłatnej Gwardii na Klinie. Mającą w oddali po obu stronach drogi. To głównie koszary. Trumny dla żyjących. Kiedyś mieszkali w nich moi bracia. Ojciec również. Być może przyszła moja kolej na podtrzymanie tradycji.

Podobnie jak w miastach na trasie podróży pokoronacyjnej, ludzie wychodzą popatrzeć na króla Mavena i jego orszak. Żołnierze w czerwieni, czerni i popielatości stoją wzdłuż głównej ulicy z wojskową precyzją dzielącej na pół obozowisko Duszni i każdy pochyla głowę w wyrazie szacunku. Nie liczę nawet, ile to setek. To zbyt przygnębiające. Zaciskam jedynie dłonie na tyle mocno, aby wywołać inny ból, na którym będę mogła się skupić. Ranny Srebrny oficer w Rokaście powiedział, że w Corvium doszło do rzezi. „Nie – mówię sobie. – Nie myśl o tym”. Ale oczywiście mój umysł nie słucha. Nie da się uniknąć najczarniejszych myśli. „Rzeź”. Po obu stronach. Czerwoni i Srebrni. Szkarłatna Gwardia i armia Mavena. Cał przeżył, przynajmniej tyle wywnioskowałam z zachowania jego brata. A co z Farley, Kilornem, Cameron, moimi braćmi i resztą? Tyle imion i twarzy osób, które pewnie szturmowały mury Corvium. Co się z nimi stało?

Przyciskam oczy palcami, próbując powstrzymać łzy. Jestem wyczerpana, ale nie będę płakać przed Kocicą i Koniczyną.

Ku mojemu zaskoczeniu konwój nie zatrzymuje się w centrum obozu Duszni, mimo że jest tam plac, który zdaje się idealnie nadawać na kolejną lukrowaną przemowę Mavena. Kilka transporterów, w których podróżują potomkowie Szlachetnych Domów, odłącza się, ale my jedziemy dalej, w głąb obozowiska. Mimo że próbują to ukryć, Kocica i Koniczyna robią się coraz bardziej nerwowe i ukradkowo zerkają to przez okna, to na siebie. Sytuacja im się nie podoba. „I bardzo dobrze. Niech je poskręca z nerwów”.

Choć nie brakuje mi odwagi, na mnie też pada cień strachu. Czy Maven

postradał rozum? Gdzie on nas zabiera – nas wszystkich? Z pewnością nie zawióźlby całego swojego dworu do okopu, na pole minowe albo jeszcze gorzej. Transporter nabiera prędkości i pędzi coraz szybciej po ubitej ziemi. W oddali artyleryjskie armaty i ciężkie działa wyglądają jak masywne, żelazne wraki, powykrzywiane czarne szkielety. Półtora kilometra dalej przekraczamy pierwsze okopy, a nasze pojazdy warczą na naprędcie wybudowanych mostach. Później okopów jest tylko więcej. Dla rezerwy, wsparcia, komunikacji. Wiją się jak korytarze Polany, wryte w zamarzniętym błocie. Po dwunastu tracę rachubę. Albo okopy są porzucone, albo żołnierze dobrze się ukrywają. Przed oczami nie mignie mi ani jeden czerwony mundur.

To równie dobrze może być pułapka. Intrygi starego szczwanego króla, które mają na celu przechytrzyć młodocianego monarchę. Część mnie pragnie, aby to była prawda. Jeśli nie mogę zabić Mavena, może zrobi to za mnie władca Lakelandii. Dom Cygnetów, Wodniacy. Panujący od setek lat. Tylko tyle wiem o wrogim monarsze. Jego królestwo jest jak nasze, podzielone przez krew, rządzone przez Szlachetne Domy Srebrnych. I najwyraźniej nękanie przez Szkarłatną Gwardię. Podobnie jak Maven, ma pewnie obsesję na punkcie utrzymania władzy za wszelką cenę, wszystkimi możliwymi środkami. Nawet poprzez konszachty z dawnym wrogiem.

Na wschodzie chmury nieco się rozstępują i kilka snopów światła rozjaśnia otaczający nas surowy krajobraz. W okolicy nie widać ani jednego drzewa. Gdy przejeżdżamy przez okop na pierwszej linii frontu, wydaję z siebie jęk zaskoczenia. Czerwoni żołnierze tłoczą się w długich szeregach w rowach głębokich na sześć ciał. Ich mundury mają różne odcienie rdzy i szkarłatu. Wyglądają razem jak krew wypełniająca ranę. Dłonie na drabinach drżą od zimna. Są gotowi wybiec z okopu do morderczej strefy walk Duszni, jeśli tego właśnie zażąda ich król. Zauważam wśród nich Srebrnych oficerów, których odróżniają szaro--czarne mundury. Maven jest młody, ale nie głupi. Jeśli to sztuczka -Lakelandczyków, to jest gotów wywalczyć sobie wolność. Zakładam, że król Lakelandii ma w pogotowiu równie liczną armię w swoich okopach. Kolejnych Czerwonych żołnierzy, których można poświecić bez mrugnięcia okiem.

Gdy koła naszego transportera znajdują się po drugiej stronie, siedząca przy mnie Koniczyna robi się spięta. Wpatruje się przed siebie jaskrawozielonymi oczami, próbując zachować spokój. Na czoło występuje jej błyszczący pot, po czym poznaję, że się boi.

Prawdziwe pustkowie Duszni podziurawione jest kraterami po artyleryjskich pociskach. Niektóre z tych dziur istnieją tu pewnie od dziesięcioleci. Trójkąty z drutu kolczastego w zamarzniętym błocie. Przed nami w pierwszym wozie Psychik i Żeleźca działają w duecie. Machają rękami w przód i w tył i usuwają szczątki z trasy konwoju. Kawałki pozwijanego żelastwa fruują we wszystkie



strony. I widzę też chyba kości. Czerwoni umierają tu od pokoleń. Ta ziemia jest pełna ich prochów.

W moich koszmarach to miejsce ciągnie się bez końca jak okiem sięgnąć. Ale zamiast jechać tak w nieskończoność, konwój nieco zwalnia niespełna kilometr za przednimi okopami. Nasze transportery ustawiają się w półkole, a ja wydaję z siebie niemal nerwowy chichot. Choć jesteśmy na środku pustkowia, zatrzymujemy się przy pawilonie. Kontrast jest rażący. Budynek jest zupełnie nowy, ma białe kolumny i jedwabiste zasłony, które powiewają na cuchnącym wietrze. Został zbudowany wyłącznie w jednym celu: by odbył się w nim szczyt, spotkanie, jak to sprzed wielu lat. Kiedy dwaj królowie postanowili rozpocząć stuletnią wojnę.

Jeden z wartowników otwiera drzwi mojego transportera i gestem nakazuje wszystkim wysiąść. Koniczyna waha się pół sekundy, zanim Kocica odchrząknie, dając jej znak, że ma robić, co każą. Prowadzą mnie na spustoszoną ziemię. Kamienie i pył sprawiają, że grunt pod moimi stopami jest nierówny. Modłę się, żeby nic nie trzasnęło mi pod stopą. Czaszka, zebro, kość udowa czy kręgosłup. Nie potrzebuję kolejnych dowodów na to, że idę przez niekończące się cmentarzysko.

Nie tylko Koniczyna się boi. Nawet wartownicy poruszają się powoli, pozostając w najwyższej gotowości, i obracają zamaskowane twarze to w prawo, to w lewo. Przynajmniej raz oprócz bezpieczeństwa Mavena martwią się także o swoje. Reszta członków dworu – Evangeline, Ptolemeusz i Samson – stoi bezczynnie przy swoich pojazdach. Mają rozbiegane spojrzenia, marszczą nosy. Czują zapach śmierci i niebezpieczeństwa tak samo jak ja. Jeden niewłaściwy ruch, choćby cień zagrożenia i wezmą nogi za pas. Evangeline zamieniła swoje futra na zbroję. Stal pokrywa ją od szyi po nadgarstki i palce stóp. Szybko uwalnia palce z rękawiczek, wystawiając skórę na zimne powietrze. Tak będzie lepiej walczyć. Czuję, że powinnam zrobić to samo, choć niewiele by mi to dało. Kajdany obezwładniają mnie równie skutecznie jak zwykle.

Jedyną osobą, która zdaje się wszystkim kompletnie nie przejmować, jest Maven. Schyłek zimy mu służy, a jego blada skóra wygląda w dziwny sposób elegancko. Nawet cienie pod oczami, jak zawsze wyraźne i sine, dodają mu dramatycznej urody. Ma na sobie tyle królewskich insygniów, ile tylko zdołał udźwignąć. To jeszcze chłopiec, ale mimo wszystko król, który ma stanąć twarzą w twarz z kimś, kto jest jego największym przeciwnikiem. Korona na jego głowie wygląda teraz naturalnie, została dopasowana tak, by siedziała mu nisko na linii brwi. Żelazne i brązowe płomienie połyskują między lśniącymi, czarnymi włosami. Nawet w szarym świetle Duszni medale i odznaki Mavena mieniają się srebrem, rubinami i onyksiem. Peleryna, uszyta z ozdobnej, czerwonej jak ogień tkaniny, uzupełnia strój i wizerunek nieugiętego króla. Ale Dusznia zostawia ślad na

wszystkich. Ziemia oblepia wypolerowane, czarne buty króla, gdy idzie przed siebie, walcząc z głęboko zakorzenionym instynktem, by bać się tego miejsca. Ze zniecierpliwieniem rzuca przez ramię jedno spojrzenie i mierzy wzrokiem kilkadziesiąt osób, które tu ze sobą przyciągnął. Płomień migoczący w jego niebieskich oczach to wystarczające ostrzeżenie. Musimy iść razem z nim. Nie boję się śmierci, jestem więc pierwszą, która rusza za Mavenem w stronę czegoś, co może przynieść nam śmierć.

Król Lakelandii już na nas czeka.

Siedzi wygodnie na prostym krześle, mały człowieczek na tle ogromnej flagi, przedstawiającej kwiat o czterech srebrno--białych płatkach na ciemnoniebieskim tle. Kolumna jego transporterów w kolorze przybrudzonego błękitu stoi w półkolu po drugiej stronie pawilonu niczym lustrzane odbicie naszej. Na pierwszy rzut oka wozów jest kilkanaście, wszystkie wypełnione lakelandzkimi wartownikami. Kolejni otaczają króla i jego świtę. Nie mają masek ani peleryn, tylko zbroje szтурmowe w głębokim szmaragdowym kolorze. Stoją w milczeniu i w bezruchu, jakby ich twarze zostały wyciosane z kamienia. Każdy niemal od urodzenia szkolony był na wojownika. Ich umiejętności – podobnie jak królewskiej świty – nie są mi znane. Na lekcjach u pani Blonos nie uczyłam się o lakelandzkim dworze.

Gdy podchodzimy bliżej, widzę króla wyraźniej. Wpatruję się w niego, próbując dostrzec człowieka pod koroną z białego złota, topazu, turkusy i ciemnego lazurytu. Tak jak Maven kocha swoje czerwienie, ten król kocha błękity. Jest w końcu Wodniakiem, potrafi manipulować wodą. Te kolory mu pasują. Spodziewam się, że jego oczy także są niebieskie – okazuje się jednak, że mają kolor burzowej szarości i współgrają ze stalową barwą jego długich, prostych włosów. Porównuję go do ojca Mavena, jedyne go króla, jakiego kiedykolwiek znałam. Jest jego zupełnym przeciwieństwem. Tyberiasz Szósty był zwalisty, brodaty i miał spuchniętą od alkoholu twarz, Lakelandczyk zaś to drobny, gładko ogolony mężczyzna o przytomnym spojrzeniu i śniadej cerze. Jak w przypadku wszystkich Srebrnych, szaroniebieskie tony nadają chłodny odcień jego cerze. Kiedy wstaje, porusza się z gracją tancerza. Nie ma na sobie zbroi ani galowego munduru, jedynie pelerynę połyskującą srebrem i kobaltem, jaskrawą i zwiastującą nieszczęście jak jego flaga.

– Witaj, królu Mavenie z domu Calore – mówi, delikatnie pochylając głowę, gdy Maven wkracza do pawilonu. Czarny jedwab ślizga się po białym marmurze.

– Witaj, królu Orrecu z domu Cygnet – Maven odpowiada grzecznie. Uważa, aby skłonić się niżej niż jego przeciwnik, ze sztywnym uśmiechem na ustach. – Żałuję, że mój ojciec tego nie widzi.

– Podobnie jak twoja matka – mówi Orrec. Nie są to kąśliwe słowa, ale Maven szybko się prostuje, jakby wyczuł nagłe zagrożenie. – Moje kondolencje.

Jesteś zbyt młody, by doświadczać takiej straty. – Lakelandzki król mówi z akcentem i jego słowa nabierają dziwnej melodii. Spogląda ponad ramieniem Mavena i nade mną, na Samsona, który idzie za nami odziany w granatowy kolor Merandusów. – Poinformowano cię o mojej... prośbie?

– Oczywiście – odpowiada Maven, kiwając głową. Zerka do tyłu, rzuca mi przelotne spojrzenie, ale już po chwili, podobnie jak Orrec, przenosi wzrok na Samsona. – Kuzynie, czy możesz poczekać w swoim transporterze?

– Kuzynie... – próbuje protestować Merandus, ale i tak zatrzymuje się kilka metrów przed podestem pawilonu. To nie czas ani miejsce na kłótnie. Strażnicy króla Orecca zwierają szyk i kładą dłonie na swojej różnorodnej broni. Pistolety, miecze, powietrze wokół nas. Tym wszystkim mogą się posłużyć, by utrzymać szeptę z dala od umysłu króla. Szkoda, że dwór Norty nie działa podobnie.

W końcu Samson odpuszcza. Szerokim, wyćwiczonym gestem rozkłada ręce na boki i kłania się nisko.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość.

Dopiero kiedy się obraca, rusza w stronę pojazdów i znika z pola widzenia, lakelandzka gwardia nieco się rozluźnia. Król Orrec uśmiecha się nieznacznie i skinieniem dłoni zachęca Mavena, aby podszedł bliżej. Jakby zachęcał dziecko, by przyszło przed nim błagać.

Jednak Maven wybiera krzesło po przeciwnej stronie. Nie jest z Cichego Kamienia, nie jest bezpieczne, ale siada na nim bez wahania. Opiera się wygodnie i krzyżuje nogi, pozwalając swojej pelerynie opaść swobodnie przez jedno ramię, odsłaniając drugie. Jego dłoń zwisa luźno – krzesząca iskry bransoletka jest wyraźnie widoczna.

Reszta z nas zbiera się wokół niego i siada na wzór dworu Lakelandii, który teraz zwrócony jest do nas twarzami. Evangeline i Ptolemeusz wraz ze swoim ojcem po prawej stronie Mavena. Nie wiem, kiedy Volvo dołączył do konwoju. Jest tu także gubernator Welle, którego zielone szaty wyglądają niezdrowo na tle szarości Duszni. Nieobecność domów Iral, Laris i Haven wydaje mi się rażąco widoczna, a ich stanowiska zastąpili inni doradcy. Gdy siadam, moi czterej strażnicy otaczają mnie z każdej strony i stoją tak blisko, że słyszę ich oddechy. Staram się jednak koncentrować na zebranych Lakelandczykach. Najbliższych współpracownikach, powiernikach, dyplomatach i generałach króla. Ludziach, których należy się bać niemal tak samo jak jego samego. Nikt nie zostaje nam przedstawiony, ale szybko zdaję sobie sprawę, kto jest wśród nich najważniejszą osobą. Siedzi ona po prawej stronie króla, na miejscu, które u nas zajmuje Evangeline.

Może to bardzo młoda królowa? Nie, rodzinne podobieństwo jest zbyt silne. To musi być księżniczka Lakelandii, ma oczy po ojcu oraz koronę z krystalicznych, niebieskich klejnotów. Jej proste, czarne włosy lśnią od pereł i szafirów, którymi są

ozdobione. Po chwili wyczuwa, że się jej przyglądam, i zaczyna robić dokładnie to samo.

Maven odzywa się pierwszy, przerywając moje obserwacje.

– Po raz pierwszy od stu lat osiągniemy porozumienie.

– Zgadza się. – Orrec potakuje. Jego przyozdobiona klejnotami skroń migocze w słabnącym świetle dnia. – Musimy się pozbyć Szkarłatnej Gwardii i wszelkich jej pochodnych. I to szybko, zanim ta zaraza jeszcze dalej się rozprzestrzeni. Zanim Czerwoni w innych regionach dadzą się omamić ich fałszywym obietnicom. Dobięły mnie plotki o problemach w Piedmoncie.

– To plotki, nic więcej. – Mój król o czarnym sercu nie wyjawia nic ponad to, co dla niego wygodne. – Wiesz, jacy potrafią być książęta. Zawsze się między sobą kłócą.

Orrec niemal pozwala sobie na znaczący uśmiech.

– Rzeczywiście. Władcy Prerii są do siebie podobni.

– Co się zaś tyczy warunków...

– Nie tak prędko, mój młody przyjacielu. Chciałbym znać stan twojego domu, zanim przekroczę jego próg.

Nawet z mojego miejsca czuję, jak Maven się spina.

– Pytaj, o co zechcesz.

– Dom Iral? Dom Laris? Dom Haven? – Orrec mierzy wzrokiem naszą stronę i nic nie umyka jego uwadze. Jego wzrok ląduje także na mnie i na ułamek sekundy smutnieje. – Nie widzę tu nikogo z nich.

– I co z tego?

– To, że najwyraźniej doniesienia są prawdziwe. Zbuntowali się przeciw swojemu królowi.

– Tak.

– I wspierają wygnańca.

– Tak.

– A co z twoją armią Nowych?

– Rośnie z każdym dniem – odpowiada Maven. – Kolejna broń, którą władania wszyscy musimy się nauczyć.

– Tak jak nią. – Król Lakelandii wskazuje na mnie skinieniem głowy. – Dziewczyna od błyskawic to wspaniałe trofeum.

Dłonie zaciskają mi się w pięści. Oczywiście ma rację. Jestem dla Mavena czymś niewiele więcej niż trofeum, które może za sobą targać i wykorzystywać, aby przeciągnąć na swoją stronę kolejnych ludzi. Nie rumienię się jednak. Miałam wiele czasu, by przywyknąć do wstydu.

Nie wiem, czy Maven spogląda w moją stronę. Ja na niego nie spojrzę.

– Owszem, to trofeum, ale też i symbol – mówi. – Szkarłatna Gwardia jest z krwi i kości, to żaden duch. Krew i kości można kontrolować, pokonać

i zniszczyć.

Król cmoka jak gdyby w wyrazie politowania. Wstaje szybko, a jego peleryna faluje niczym wzburzona rzeka. Maven również zrywa się na nogi i staje z nim twarzą w twarz na środku pawilonu. Mierzą się wzrokiem, jeden wpija się oczami w drugiego. Żaden nie chce być pierwszym, który odwróci spojrzenie. Czuję, jak otaczające ich powietrze gęstnieje, robi się gorące, a po chwili zimne, suche i znów lepkie. Wokół wszystkich nas szaleją siły dwóch Srebrnych władców.

Nie wiem, co Orrec widzi w Mawenie, ale nagle ustępuje i wyciąga śniadą dłoń. Na każdym palcu migocą królewskie insygnia.

– Prędzej czy później poradzimy sobie z nimi. Z twoimi Srebrnymi rebeliantami również. Trzy domy wobec dwóch królestw zupełnie nic nie znaczą.

Maven odwzajemnia gest i skłania głowę. Ścisną dłoń Orreca w swojej.

Zastanawiam się, jak to się, do cholery, stało, że Mare Barrow z Palów znalazła się tu i teraz. O kilka kroków od dwóch monarchów, przyglądając się, jak kolejny kawałek naszej krwawej historii ląduje na wyznaczonym miejscu. Julian zwariuje, kiedy mu o tym opowiem. Kiedy. Bo jeszcze go zobaczę. Zobaczę ich wszystkich.

– A teraz przejdźmy do warunków – naciska Orrec. I zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie puścił palców Mawena. Nie umyka to też wartownikom. Jak jeden mąż wykonują groźny krok do przodu i kto wie, ile broni skrywają ich ogniste peleryny. Po drugiej stronie podestu strażnicy Lakelandczyka wykonują ten sam ruch. Obie strony rzucają sobie wyzwanie, czekając, aż przeciwnik zrobi krok, który zakończy się rozlewem krwi.

Maven nie próbuje się wyrwać ani przysunąć. Stoi sztywno i nieruchomo, nie okazując strachu.

– Warunki są rozsądne – odpowiada spokojnym głosem. Nie widzę jego twarzy. – Dusznia zostanie podzielona po równo, a dawna granica utrzymana, ze swobodnym dostępem dla podróżujących. Będziesz miał równy udział w użytkowaniu rzeki Capital i kanału Eris...

– Póki twój brat żyje, potrzebuję gwarancji.

– Mój brat jest zdrajcą i wygnańcem. Wkrótce będzie martwy.

– O to mi właśnie chodzi, chłopcze. Gdy tylko przestanie być zagrożeniem i gdy rozszarpiemy na kawałki Szkarłatną Gwardię, czy wrócisz do starych zwyczajów? Do dawnych wrogów? Czy znów zaleje cię fala Czerwonych ciał i będziesz potrzebował miejsca, w którym można się ich pozbyć? – Twarz Orreca pochmurnieje, oblewa ją szarofioletowy rumieniec. Jego chłód i obojętność zamieniają się we wściekłość. – Kontrola zaludnienia to jedno, ale wojna, nieustanna szarpanina, to czyste szaleństwo. Nie przeleję już ani jednej kropli Srebrnej krwi tylko dlatego, że nie potrafisz kontrolować swoich Czerwonych szczurów.

Maven nachyla się do przodu, nie ustępując Orrecowi pola.

– Podpiszemy tu traktat i nagramy to, co zostanie przetransmitowane do wszystkich miast w kraju. Dowie się o tym każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w moim królestwie. Wszyscy będą wiedzieć, że ta wojna się zakończyła. A przynajmniej wszyscy w Norcie. Wiem, że nie masz w Lakelandii tych samych możliwości, staruszku. Ale ufam, że zrobisz, co w twojej mocy, aby po tym twoim zacofanym królestwie rozniosły się wieści.

Wszystkich nas przeszywa dreszcz. Srebrnych dreszcz strachu, ale mnie ekscytacji. „Zniszczcie siebie nawzajem – szepczę w swojej głowie. – Zwróćcie się przeciw sobie”. Nie wątpię, że król Wodniak nie miałby większych problemów z utopieniem Mavena, nie ruszając się nawet z miejsca.

Orrec wyszczerza zęby.

– Nie masz pojęcia o moim kraju.

– Wiem, że Szkarłatna Gwardia wyrosła w twoim domu, nie moim – cedzi Maven. Wolną dłonią nakazuje wartownikom się wycofać. Naiwna gra pozorów. Mam nadzieję, że ściągnie tym na siebie śmierć. – Nie zachowuj się tak, jak gdybyś wyświadczał mi przysługę. Potrzebujesz tego tak samo jak my.

– W takim razie chcę mieć twoje słowo, Mavenie Calore.

– Masz je...

– Twoje słowo i twoją rękę. Nie można zawrzeć silniejszej umowy.

„Och”.

Patrzę to na Mavena uwięzionego w uścisku króla Lakelandii, to na Evangeline. Siedzi nieruchoma, jak gdyby zamarła, jej wzrok spoczywa na marmurowej podłodze. Spodziewam się, że wstanie, zrobi awanturę i zrówna to miejsce z ziemią. Ale ona ani drgnie. Nawet Ptolemeusz, jej potulny jak piesek brat, siedzi nieruchomo na swoim miejscu. A ich ojciec w czerniach domu Samos siedzi spokojnie jak gdyby nic się nie działo. W jego obliczu nie zachodzi żadna widoczna zmiana. Nic nie wskazuje, że Evangeline ma za chwilę stracić pozycję, o którą tak ciężko walczyła.

Lakelandzka księżniczka, siedząca po drugiej stronie pawilonu, sprawia wrażenie wykutej z kamienia. Nie mrugnie nawet okiem. Wiedziała, co się święci.

Dawno temu, kiedy ojciec powiedział Mavenowi, że ma się ze mną ożenić, chłopak zaczął się dławić z zaskoczenia. Odstawił niezłe przedstawienie, awanturując się i wyklócając. Udawał, że nie rozumie, na czym polega jego rola i z czym się wiąże. Tak jak ja nosił tysiące masek i grał miliony różnych ról. Dziś odgrywa króla, a królowie nigdy nie są zaskoczeni. Jeśli jest zaszokowany, to tego nie okazuje. Jego głos jest twardy jak stal.

– To będzie zaszczyt, móc nazywać cię ojcem – odpowiada.

W końcu Orrec puszcza jego dłoń.

– A dla mnie móc nazywać cię synem.

Co za kłamstwa.

Słyszę po mojej prawej stronie krzesło przesuwające się z piskiem po marmurze. A za nim kolejne dwa. W nagłej wichurze metalu i czerni dom Samos pospiesznie opuszcza pawilon. Evangeline wyprowadza swojego brata i ojca, nie odwracając się za siebie, z otwartymi dłońmi spuszczoneymi wzdłuż ciała. Opuszcza ramiona, a jej nienagannie wyprostowana sylwetka wydaje się teraz dziwnie mała.

Może odetchnąć z ulgą.

Maven nie odwraca się, gdy Evangeline wychodzi. Jest całkowicie skupiony na zadaniu, które przed nim stoi. Na lakelandzkiej księżniczce.

– Wasza Wysokość – mówi, skłaniając się w jej stronę.

W odpowiedzi dziewczyna ledwie porusza głową.

– W obecności szlachetnego dworu proszę cię, byś została moją żoną. – Słyszałam już podobne słowa. Od tego samego chłopaka. Wypowiadane przed tłumem zebranych. Każde brzmiało wtedy dla mnie jak szcęk przekręcanego klucza. – Chcę związać swój los z twoim, Iris Cygnet, księżniczko Lakelandii. Czy przyjmiesz moje oświadczyny?

Iris jest piękna, ma w sobie więcej gracji niż ojciec. Nie jest to jednak gracia tancerza, lecz myśliwego. Staje na długich nogach, uwalnia kaskadę miękkiego, szafirowego aksamitu i prezentuje swoje pełne kobiece kształty. Pomiedzy warstwami sukni zauważam skórzane legginsy. Są znoszone i popękane na kolanach. Nie przyszła tu nieprzygotowana. I jak wiele innych osób mimo mrozu nie włożyła rękawiczek. Podaje Mavenowi dłoń o bursztynowej skórze, długich palcach, pozbawioną ozdób. Jej oczy wciąż są skupione, nawet kiedy w powietrzu pojawia się mgła i wije się wokół jej wyciągniętej ręki. Migocze mi przed oczami: drobne kropelki wilgoci gęstnieją i budzą się do życia. Przeistaczają się w maleńkie, kryształowe kropelki wody, drobinki, które załamują światło w ruchu.

Jej pierwsze słowa padają w języku, którego nie znam. Lakelandzki. Jest poruszająco piękny, jedno słowo zlewa się z następnym niczym recytowana pieśń. A potem w starożytnym nortańskim dodaje:

– Oddaję ci dłoń i wiązę z tobą swój los – odpowiada zgodnie z tradycją i zwyczajami swojego królestwa. – Przyjmuję twoje oświadczyny, Wasza Królewska Mość.

Maven ujmuje jej dłoń. Jego bransoleta połyskuje przy każdym ruchu. Powietrze uderza strumień ognia, wijący się jak wąż wokół ich splecionych palców. Płomień nie parzy księżniczki, choć przemyka wystarczająco blisko. Iris ani drgnie. Nawet nie mrugnie.

Tak się kończy jedna wojna.

## Rozdział 17

### Mare

Powrót do Archeonu zajmuje wiele dni. Nie ze względu na odległość. Nie dlatego że król Lakelandii zabrał ze sobą prawie tysiąc osób: dworzan, żołnierzy, a nawet Czerwonych służących. Trwa to tyle, gdyż całe królestwo Norty ma powody do świętowania. Koniec wojny i nadchodzący ślub. Niekończący się teraz konwój Mavena snuje się niczym wąż po Trakcie Żelaznym i dalej Traktem Królewskim. Srebrni i Czerwoni zbierają się po drodze, by wiwatować i choćby przez moment zobaczyć swojego przywódcę. Maven zawsze chętnie się zatrzymuje, aby z Iris przy boku spotkać się z tłumem. Mimo głębokiej niechęci wobec Lakelandczyków, jaką nam wpojono, Nortanie kłaniają się jej z szacunkiem. Jest ciekawostką i błogosławieństwem. Mostem. Nawet król Orrec spotyka się ze spokojnym przyjęciem. Grzeczne oklaski, ukłony szacunku. Dawny wróg stał się sprzymierzeńcem na długą, wspólną drogę.

To właśnie na każdym kroku powtarza Maven.

– Norty i Lakelandia są teraz zjednoczone, wspólnie ruszają w długą, wspólną drogę. Stawią czoła niebezpieczeństwom zagrażającym naszym królestwom. – Chodzi mu o Szkarłatną Gwardię. O Corvium. O Cala, o zbuntowane domy, o wszystko i wszystkich, którzy mogą sprawić, że władza wyślizgnie mu się z rąk.

Nie żyje już nikt, kto pamiętałby czasy sprzed wojny. Mój kraj nie wie, jak wygląda pokój. Nic dziwnego, że myślą z pokojem to, co dzieje się teraz. Mam ochotę krzyczeć do każdej Czerwonej twarzy, jaką mijamy po drodze. Chcę wyrzeźbić sobie te słowa na ciele, tak by każdy je zobaczył. „Pułapka. Kłamstwo. Spisek”. Nie żeby moje słowa miały jeszcze jakąś wartość. Za długo byłam marionetką w cudzych rękach. Mój głos nie należy już do mnie. Zostały mi tylko czyny, a w tych okolicznościach są one poważnie ograniczone. Rozpaczałabym nad swoim losem, gdybym mogła, ale okres rozpaczy jest już za mną. Musi być. Bo inaczej zwyczajnie się utopię jak lalka, którą wlecze za sobą dziecko, pusta w każdym calu.

„Ucieknę. Ucieknę. Ucieknę”. Nie ośmielam się wypowiedzieć tych słów na głos. Ale krążą mi po głowie, słyszę ich rytm zrównany z biciem mojego serca.

Nikt nic do mnie nie mówi podczas naszej podróży. Nawet Maven. Jest zbyt zajęty obserwowaniem swojej nowej narzeczonej. Odnoszę wrażenie, że Iris wie, jaki to człowiek, i jest na niego przygotowana. Podobnie jak w przypadku jej ojca, mam nadzieję, że się wzajemnie pozabijają.



Wysokie wieże Archeonu są mi znajome, ale nie czuję ulgi na ich widok. Konwój wjeżdża wprost w paszczę klatki, która jest mi aż nazbyt dobrze znana. Przez miasto, po stromych uliczkach wprost do pałacowego kompleksu, na który składają się plac Cezara i Pałac Białego Ognia. Słońce jest oślepiająco jasne na tle bezchmurnego nieba. Jest prawie wiosna. To dziwne. Część mnie myślała, że zima będzie trwać wiecznie, odzwierciedlając moją niedolę. Nie wiem, czy zdołam znieść przyglądanie się kolejnym porom roku z wnętrza mojej królewskiej celi.

„Ucieknę. Ucieknę. Ucieknę”.

Jajo i Trzeciak przekazują mi siebie z rąk do rąk, gdy wysadzają mnie z pojazdu i prowadzą po pałacowych stopniach. Powietrze jest ciepłe, wilgotne, pachnie świeżością i czystością. Jeszcze kilka minut na słońcu i zacznę się pocić pod swoją szkarłatno--srebrną kurtkę. Ale po chwili znów jestem w pałacu, pod drogocennymi żyrandolami. Nie przeszkadzają mi aż tak bardzo, nie po mojej pierwszej i jedynej próbie ucieczki. Właściwie to nawet uśmiecham się na ich widok.

– Cieszysz się z powrotu do domu?

Jestem równie zaskoczona tym, że ktoś się do mnie odzywa, jak tym, kto to jest.

W pierwszym odruchu chcę się skłonić, ale zachowuję kontrolę i trzymam plecy prosto, gdy przystaję, by stanąć z nią twarzą w twarz. Arvenowie także się zatrzymują, na tyle blisko, aby mnie chwycić, gdyby zaszła taka potrzeba. Czuję, jak ich drgająca w powietrzu umiejętność pozbawia mnie resztek energii. Strażnicy Iris są równie podenerwowani i bacznie obserwują hol, w którym się znajdujemy. Podejrzewam, że wciąż uważają Archeon i Nortę za terytorium wroga.

– Księżniczko – odpowiadam. Ten tytuł kwaśno smakuje mi w ustach, ale nie widzę zbyt wielkiego pożytku we wkraczaniu na wojenną ścieżkę z kolejną narzeczoną Mavena.

Jej strój podróżny jest zwodniczo wręcz prosty. Jedyne legginsy i ciemnoniebieska marynarka dopasowana w talii, aby uwydatnić figurę klepsydry. Bez biżuterii i korony. Ma prostą fryzurę – pojedynczy, czarny warkocz. Nie byłoby trudno pomylić ją ze zwykłą Srebrną. Bogatą, ale nie z rodziny królewskiej. Nawet jej twarz jest neutralna. Żadnego uśmiechu – ani szczerego, ani ironicznego. Żadnego wyrazu krytyki wobec dziewczyny od błyskawic zakutej w łańcuchy. W porównaniu z arystokracją, z jaką miałam do czynienia, to uderzający kontrast, na dodatek niewygodny. Niczego o niej nie wiem. Równie dobrze może być gorsza od Evangeline. A nawet od Elary. Nie mam pojęcia, kim jest ta dziewczyna i co o mnie myśli. Przez to czuję się niezręcznie.

Nic z tego nie umyka uwadze Iris.

– Domyśliłam się, że nie – odpowiada sobie sama. – Przejdziemy się?

Wyciąga dłoń w zachęcającym geście. Wytrzeszczam oczy tak, że cudem nie

wypadają mi z orbit. Robię jednak, o co prosisz. - Iris idzie szybkim krokiem, choć nie tak szybkim, bym nie mogła za nią nadążyć, czym zmusza naszych strażników, by poszli za nami przez główny hol.

- Mimo nazwy Pałac Białego Ognia zdaje się zimnym miejscem. - Księżniczka spogląda na sufit. W jej szarych oczach odbijają się żyrandole, które dodają im gwieździstego blasku. - Nie chciałabym być tutaj więźniem.

Po cichu prychem pod nosem. Biedactwo nie wie, że będzie królową Mavena. Nie istnieje chyba gorsze więzienie.

- Coś cię śmieszy, Mare Barrow? - mruczy.

- Nic, Wasza Wysokość.

Przebiega po mnie wzrokiem. Jej oczy zatrzymują się na moich nadgarstkach i długich rękawach zasłaniających kajdany. Powoli dotyka jednego przegubu i szybko wciąga powietrze. Mimo Cichego Kamienia i instynktownego strachu, jaki on wzbudza, nie wzdryga się.

- Mój ojciec również ma swoje maskotki. Może to jakiś królewski nawyk.

Kilka miesięcy temu nie dałabym tak do siebie mówić. „Nie jestem niczyją maskotką”. Ale dziewczyna nie jest bez racji, wzruszam więc tylko ramionami.

- Nie znam aż tylu królów, żeby to potwierdzić.

- Znasz trzech, a jesteś Czerwoną urodzoną wśród nic nieznaczących biedaków. Można się zastanawiać, czy bogowie cię kochają, czy nienawidzą.

Nie wiem, czy mam się na to roześmiać czy zakpić.

- Bogowie nie istnieją.

- Nie w Norcie. Nie dla ciebie.

Jej twarz przybiera łagodniejszy wyraz. Ogląda się przez ramię na dworzan i szlachtę, która zbiera się wokół nas. Większość z nich nie kryje tego, jak się na nas gapi. Jeśli to drażni Iris, to nie daje tego po sobie poznać.

- Zastanawiam się, czy mnie słyszą w takim bezbożnym miejscu jak to. Nie ma tu nawet świątyni. Muszę poprosić Mavena, aby mi jedną wybudował.

Wielu dziwnych ludzi przewinęło się przez moje życie. Ale wszyscy mieli w sobie coś, co potrafiłam zrozumieć. Emocje, które znam, marzenia, obawy. Mrugam, patrząc na księżniczkę Iris, i zdaję sobie sprawę, że im więcej mówi, tym większy zamęt powoduje w mojej głowie. Wydaje się inteligentna, silna, pewna siebie. Tylko dlaczego taka osoba zgodziłaby się poślubić takiego potwora? Na pewno widzi, jaki jest naprawdę. I z pewnością nie doprowadziła jej tu ślepa ambicja. Już jest przecież księżniczką, córką króla. Czego ona chce? I czy w ogóle miała wybór? To, co mówi o bogach, jest dla mnie jeszcze bardziej mylące. Nie mamy takich wierzeń. Jak byśmy mogli?

- Próbujesz zapamiętać moją twarz? - pyta po cichu, gdy staram się ją rozgryźć. Odnoszę wrażenie, że próbuje zrobić to samo i przygląda mi się, jakbym była złożonym dziełem sztuki. - Czy może chcesz skraść choćby tylko kilka

dodatkowych chwil poza swoją celą? Jeśli to to drugie, to ci się nie dziwię. Jeśli to pierwsze, to mam przeczucie, że będziemy się często widywać.

W ustach kogo innego mogłoby to brzmieć jak groźba, nie sędzę jednak, żeby Iris aż na tyle się mną przejmowała. A przynajmniej nie sprawia wrażenia zazdrosnej. Musiałaby żywić do Mavena jakiegokolwiek uczucia, w co szczerze wątpię.

– Zaprowadź mnie do sali tronowej.

Drgają mi wargi, które chcą się unieść w uśmiechu. Zwykle prośby tutejszych ludzi to żelazne rozkazy. Iris jest ich przeciwieństwem. Jej rozkazy brzmią jak pytania.

– Jak sobie życzysz – mamroczę pod nosem, kierując kroki w odpowiednią stronę. Arvenowie nie ośmielają się mnie od niej odciągnąć. Iris Cygnet to nie Evangeline Samos. Sprzeciw wobec niej można by uznać za wypowiedzenie wojny. Nie mogę się powstrzymać i puszczam przez ramię złośliwy uśmieszek w stronę Trzeciaka i Jaja. Obaj patrzą na mnie wilkiem. Ich irytacja wywołuje u mnie szeroki uśmiech, mimo że boleśnie napinam nim blizny.

– Dziwna z ciebie więźniarka, panno Barrow. Nie zdawałam sobie sprawy, że gdy Maven robi z ciebie wielmożną panią w swoich programach, wymaga, żebyś cały czas nią była.

„Wielmożna pani”. Ten tytuł nigdy do mnie nie pasował i nigdy nie będzie. Jestem jedynie psem na krótkiej smyczy w ładnych sukniach.

– Musi być wyjątkowym królem, skoro trzyma cię w takich warunkach. Jesteś wrogiem kraju, masz ogromną propagandową wartość, a mimo to traktowana jesteś niemal jak rodzina królewska. Nigdy nie rozumiałam chłopców i ich zabawek. Zwłaszcza tych, którzy kiedyś którąś stracili, bo oni trzymają się swoich własności dużo bardziej kurczowo.

– A co ty byś ze mną zrobiła? – pytam. Jako królowa Iris będzie panią mojego życia. Będzie mogła je zakończyć albo dokręcić mi śruby. – Gdybyś była na jego miejscu?

Iris z wprawą unika odpowiedzi na pytanie.

– Nigdy nie popełnię tego błędu i nie będę próbowała wchodzić mu do głowy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien tego robić. – Potem śmieje się do siebie. – Podejrzewam, że jego matka spędzała w ten sposób mnóstwo czasu.

Choć Elara nienawidziła mnie do bólu, myślę, że Iris nienawidziłaby bardziej. Młoda księżniczka jest co najmniej niezwykła.

– Masz szczęście, że nigdy jej nie poznałaś.

– I jestem ci za to bardzo wdzięczna – odpowiada. – Choć mam nadzieję, że zabijanie królowych nie wejdzie ci w nawyk. Nawet piesek na smyczy potrafi ugryźć. – Puszczą do mnie oko, przeszywając mnie szarym spojrzeniem. – Masz taki -zamiar?

Nie jestem na tyle głupia, by odpowiedzieć na to pytanie. „Nie” byłoby oczywistym kłamstwem. „Tak” przysporzy mi kolejnego wroga w rodzinie królewskiej. Iris uśmiecha się znacząco na moje milczenie.

Nie mamy daleko do sali audiencyjnej, w której Maven przyjmuje poddanych. Po tylu dniach spędzonych na oczach kamer, zmuszona znosić widok kolejnych Nowych, którzy poprzysięgają mu lojalność, znam jej każdy zakamarek. Zwykle na podeście pełno jest krzeseł, ale podczas naszej nieobecności zostały usunięte. Pozostał jedynie szary, budzący postrach tron. Iris mierzy go wzrokiem, gdy podchodzimy bliżej.

– Ciekawa taktyka – mruczy, gdy stajemy tuż obok. Tak samo jak w przypadku moich kajdan, przejeżdża palcem po bryłach Cichego Kamienia. – W dodatku konieczna. Skoro na dworze pozwala się na tylu Szeptaczy.

– Pozwala?

– Na dworze w Lakelandii nie są oni mile widziani. Nie przejdą za mury naszej stolicy, Detraonu, ani nie wejdą do zamku bez odpowiedniej obstawy. I żadnemu Szeptaczowi nie wolno podejść do monarchy na bliżej niż sześć metrów – tłumaczy Iris. – Szczerze mówiąc, nie znam ani jednej rodziny w moim kraju, która twierdziłaby, że posiada podobną umiejętność.

– Nie istnieją?

– Nie tam, skąd pochodzę. Już nie.

Sugestia wisi w powietrzu jak dym.

Iris odsuwa się od tronu, przechylając głowę to w prawo, to w lewo. Nie podoba jej się to, co widzi. Zaciska usta w cienką linię.

– Ile razy czułaś w głowie dotyk Merandusa?

Przez ułamek sekundy próbuję sobie przypomnieć. „Głupia”.

– Tyle, że nie jestem w stanie zliczyć – odpowiadam jej ze wzruszeniem ramion. – Najpierw Elara, potem Samson. Trudno stwierdzić, kto był gorszy. Wiem, że królowa potrafiła zajrzeć mi do umysłu bez mojej wiedzy. Ale on... – Głos mi słabnie. To wspomnienie jest bolesne, wywołuje u mnie świdrujący ból w skroniach. Próbuję rozmasować napięcie. – Przy Samsonie masz świadomość każdej chwili, kiedy jest w środku.

Jej twarz szarzeje.

– W tym miejscu żaden ruch nie pozostaje niezauważony – mówi, najpierw spoglądając na moich strażników, a potem na ściany. Na kamery monitoringu kontrolujące każdy skrawek przepastnej komnaty, a wraz z nią i nas. – Niech sobie patrzą.

Powoli ściąga marynarkę i przekłada ją sobie przez ramię. Bluzka pod spodem jest biała, zapięta wysoko pod szyję, ale za to z obszernym dekoltem na plecach. Odwraca się, udając niby, że podziwia salę tronową, ale tak naprawdę się popisuje. Jej plecy są umięśnione, silne, rzeźbione długimi liniami. Od nasady

karku, przez szyję, łopatki aż po kość krzyżową jej ciało pokrywają czarne tatuaże. Korzenie, myślę na początku, ale się mylę. To nie korzenie, tylko wiry wody, kłębiącej się i rozlewającej po jej skórze idealnymi łukami. Drgają z każdym jej ruchem, jakby żyły swoim życiem. W końcu Iris odwraca się przodem. Na jej ustach pojawia się niezauważalny niemal uśmieszek.

Znika tak szybko, jak się pojawił, gdy jej wzrok przenosi się za moje plecy. Nie muszę się odwracać, by wiedzieć, kto do nas idzie, do kogo należą kroki, które dudnią po posadzce i odbijają się echem w mojej czaszce.

– Chętnie cię oprowadzę, Iris – mówi Maven. – Twój ojciec właśnie rozgascza się w swoich komnatach, ale sądzę, że nie będzie miał nic przeciw, jeśli w tym czasie poznamy się bliżej.

Arwenowie i gwardia lakelandzka wycofują się, dając królowi i jego wartownikom więcej przestrzeni. Niebieskie mundury, białe, czerwono--pomarańczowe. Mam tak wpojone ich sylwetki i barwy, że poznaję ich nawet kątem oka. Jednak żadnego z nich nie znam tak dobrze jak bladego, młodego króla. Czuję go równie wyraźnie, jak widzę, jego obrzydliwe ciepło prawie mnie pochłania. Zatrzymuje się kilkanaście centymetrów ode mnie, na tyle blisko, by chwycić mnie za rękę, gdyby tylko zechciał. Wzdrygam się na tę myśl.

– Z miłą chęcią – odpowiada Iris. Przechyliła głowę w dziwnie nienaturalny sposób. Ukłony nie przychodzą jej łatwo. – Właśnie podziwiałam wraz z panną Barrow tutejsze... – Szuka odpowiedniego słowa, powracając wzrokiem do nagiego tronu. – Dekoracje.

Maven reaguje na to powściągliwym uśmiechem.

– To środek ostrożności. Mój ojciec został zamordowany. Mnie również próbowano zabić.

– Czy tron z Cichego Kamienia byłby w stanie uratować twego ojca? – pyta niewinnie.

W powietrzu pulsuje strumień żaru. Podobnie jak Iris czuję potrzebę, by ściągnąć marynarkę, żeby nie wykurzyła mnie z niej złość Mavena.

– Nie, mój brat uznał, że najlepiej będzie odciąć mu głowę – odpowiada beznamytnym tonem. – Nie da się przed tym zabezpieczyć.

To się zdarzyło w tym pałacu. Kilka korytarzy i pokoi dalej, kilka schodów w górę do pomieszczenia bez okien, z dźwiękoszczelnymi ścianami. Kiedy strażnicy mnie tam zaciągnęli, byłam oszołomiona, przerażona, że Maven i ja zostaniemy zabici za zdradę. Ale zamiast tego król skończył w dwóch kawałkach. Jego głowa i reszta jego ciała, a pomiędzy nimi kałuża srebrnej krwi. Maven przejął wtedy koronę. Na to wspomnienie zaciskają mi się pięści.

– Co za potworność – mruczy Iris. Czuję na sobie jej spojrzenie.

– Zgadza się. Prawda, Mare?

Jego nagły dotyk na moim ramieniu parzy jak wypalone przez niego piętno.

Czuję, że za chwilę mogę przestać nad sobą panować, i rzucam mu spojrzenie z ukosa.

– Tak – wyduszam z siebie przez zaciśnięte zęby. – Potworność.

Maven potakuje, zaciskając szczękę, przez co wyraźnie widać kości jego twarzy. Nie wierzę, że ma czelność zgrywać zasmuconego. Udawać żal. To wszystko kłamstwo. On niczego nie czuje. Matka odebrała mu te części umysłu, w których żyła miłość do brata i ojca. Żałuję, że nie odebrała i tej, która kocha mnie. Z tej części toczy się ropa, trująca dla nas obojga. Gangrena zjada mu mózg i każdą pozostałą, ludzką część jego istnienia. On też o tym wie. Wie, że coś jest nie tak – coś, czego nie da się naprawić umiejętnościami czy siłą. Jest z nim źle i nie ma na ziemi takiego Uzdrowiciela, który mógłby go wyleczyć.

– Zanim oprowadzę cię po swoim domu, jest ktoś, kto chciałby poznać moją przyszłą żonę. Nornus, działaj proszę. – Maven przywołuje gestem jednego ze swoich wartowników. Na to wezwanie mężczyzna staje w czerwonych i pomarańczowych płomieniach i biegnie do drzwi, by w ułamku sekundy do nas powrócić. To Zwinny. W swoich szatach wygląda jak kula ognia.

Idzie za nim kilka osób. Kolory ich domu są mi znajome.

– Księżniczko Iris, oto głowa rodu Samos, wielmożny Volvo Samos, i jego rodzina – mówi Maven, najpierw wskazując dłonią swoją nową narzeczoną, a potem dawną.

Evangeline wyraźnie się różni od skromnie ubranej Iris. Zastanawiam się, ile zeszło jej, by stworzyć stopiony, metalowy płyn, który otula każdą krągłość jej ciała niczym połyskująca smoła. Nie dla niej korony i diademy, ale jej biżuteria z nawiązką nadrabia braki królewskich insygniów. Na szyi, nadgarstkach i uszach ma srebrne łańcuchy, cienkie jak nitki i wysadzane diamentami. Jej brat bez swoich futer również wygląda inaczej niż zwykle. Jego falująca sylwetka nadal wydaje się groźna, ale Ptolemeusz w nienagannym czarnym aksamicie z połyskującym srebrnym łańcuchem bardziej przypomina teraz ojca. Volvo idzie przed dziećmi w towarzystwie kogoś, kogo nie poznaję. Domyślam się jednak, kto to.

W tym ułamku chwili zaczynam nieco lepiej rozumieć Evangeline. Jej matka robi przerażające wrażenie. Nie dlatego, że jest brzydka. Wręcz przeciwnie, ta starsza kobieta ma surową urodę. Evangeline dostała po niej swoje kształtne, czarne oczy i nieskazitelną porcelanową cerę, ale nie proste, kruczoczarne włosy i filigranową figurę. Jej matka sprawia takie wrażenie, że mogłabym ją złamać wpół nawet w kajdanach. To pewnie część jej fasady. Ubrana jest w kolory własnego domu, czerń i szmaragdową zieleń, przeplatane srebrem Samosów – to symbol rodu, z którym się związała. „Viper”. W mojej głowie rozlega się pogardliwy głos pani Blonos. Czerń i zieleń to kolory domu Viper. Matka Evangeline jest Żywiaczką. Kiedy podchodzi bliżej, wyraźniej widzę detale jej połyskującej sukienki. I zdaję sobie sprawę, dlaczego Evangeline tak się upiera, by

strojem wyrażać swoją zdolność. To rodzinna tradycja.

Jej matka nie ma na sobie biżuterii. Jest ubrana w węże.

Na nadgarstkach, wokół szyi. Cienkie, czarne, powolne. Ich łuski lśnią jak rozlany olej. Przeszywają mnie strach i obrzydzenie. Nagle mam ochotę pobiec do swojego pokoju, zamknąć drzwi i ukryć się jak najdalej od wijących stworzeń. Ale one zbliżają się do mnie z każdym krokiem. Naiwnie sądziłam, że to Evangeline jest straszna.

– Wielmożny Volvo, jego żona Larentia z domu Viper, ich syn Ptolemeusz i córka Evangeline. Szanowani i cenieni członkowie mojego dworu – tłumaczy Maven, wskazując na każdego gestem. Uśmiecha się szeroko, pokazując zęby.

– Przepraszamy, że nie mogliśmy wcześniej stosownie cię powitać. – Volvo robi krok do przodu i ujmuje wyciągniętą dłoń Iris. Jego srebrna broda jest świeżo przystrzyżona, łatwo więc zauważyć podobieństwo pomiędzy nim a jego dziećmi. Wydatne kości, eleganckie rysy, długie nosy i usta permanentnie wykrzywione w złośliwym uśmiechu. Jego skóra wygląda na bledszą od Iris, kiedy składa delikatny pocałunek na jej nagich knykciach. – Musieliśmy się zająć kwestiami związanymi z naszymi własnymi ziemiami.

Iris opuszcza brew. Jest teraz uosobieniem wdzięku.

– Proszę nie przepraszać.

Maven podnosi wzrok znad ich złączonych dłoni i pochwytuje moje spojrzenie. Unosi brew w wyrazie rozbawienia. Gdybym mogła, zapytałabym go, co obiecał domowi Samos – a raczej, czym ich postraszył. Tyle intryg i knowań na darmo. Wiem, że Evangeline nie kochała Mavena, a nawet go nie lubiła, ale wychowano ją na królową. Już dwukrotnie ukradziono jej koronę. Zawiodła siebie, a co gorsza swój ród. Przynajmniej teraz może za to winić kogoś innego niż mnie.

Evangeline zerka w moją stronę spod ciemnych, długich rzęs. Przez chwilę trzepocze nimi, kiedy przenosi wzrok, jak gdyby jej oczy były rozkołysanym wahadłem starego zegara. Celowo oddalam się od Iris o krok. Teraz, skoro córka Samosów ma nową rywalkę, którą może nienawidzić, nie chcę, by odniosła mylne wrażenie.

– Byłaś zaręczona z królem, prawda? – Iris cofa dłoń i splata razem palce. Evangeline odwraca ode mnie wzrok i przenosi go na księżniczkę. W końcu widzę ją naprzeciw równej sobie przeciwniczki. Może będę miała szczęście i Evangeline zrobi fałszywy krok, zacznie grozić Iris tak jak mnie. Mam przecucie, że Lakelandka nie pozwoliłaby się tak traktować.

– Owszem, przez pewien czas – odpowiada Evangeline. – A wcześniej z jego bratem.

Księżniczka nie jest zaskoczona. Podejrzewam, że Lakelandczycy są dobrze poinformowani co do nortańskiej rodziny królewskiej.

– Cóż, cieszę się, że wróciłaś na dwór. Będziemy potrzebować wiele pomocy

przy organizacji ślubu.

Przygryzam wargę prawie do krwi. To lepsze niż roześmiać się na głos na to, jak Iris posypuje solą liczne rany Samosów. Po przeciwnej stronie Maven odwraca głowę, aby ukryć szyderczy uśmiech.

Jeden z węży wydaje z siebie niski, brzęczący syk, którego wydźwięk jest jasny. Ale Larentia szybko dyga, odgarniając tkaninę swojej połyskującej sukni.

– Jesteśmy do twojej dyspozycji, Wasza Wysokość – mówi. Jej głos jest niski i przejmujący. W tym samym czasie najgrubszy z węży, który dotąd wił się jej przy szyi, zaczyna pełznąć przy jej uchu i zagłębia się we włosach. „Obrzydliwe”. – To będzie dla nas zaszczyt, jeśli tylko będziemy mogli się na coś przydać. – Niemal spodziewam się, że matka szturchnie Evangeline łokciem, żeby jej przytaknęła. Ale pani Viper zwraca się w moją stronę tak szybko, że nie zdążam spuścić wzroku. – Czy istnieje jakiś powód, dla którego gapi się na mnie ta więźniarka?

– Żadnego – odpowiadam, stukając zębami.

Larentia traktuje moje spojrzenie jako wyzwanie. Niczym zwierzę. Robi krok w moją stronę, zmniejszając dystans między nami. Jesteśmy tego samego wzrostu. Wąż w jej włosach nie przestaje syczeć, wijąc się i pełzając po jej obojczyku. Jego błyszczące jak klejnoty oczy spotykają się z moimi, a czarny, rozdwojony język wysuwa się pomiędzy długich kłów. Mimo że mocno stoję na nogach, nagle czuję suchość w ustach i nie mogę się powstrzymać, by nie przełknąć śliny. Wąż dalej mnie obserwuje.

– Mówią, że jesteś inna – półszepem oznajmia Larentia. – Ale twój strach cuchnie tak samo jak każdego wstrętnego Czerwonego szczura, jakiego miałam nieszczęście poznać.

„Czerwony szczur. Czerwony szczur”.

Słyszałam to tyle razy. Sama się nad tym zastanawiałam. Te słowa wypowiedziane przez nią coś we mnie łamią. Kontrola, którą tak bardzo starałam się zachować i którą muszę utrzymać, jeśli chcę nadal żyć, zostaje poddana testowi wytrzymałości. Wciągam w płuca długi wdech, próbując zachować spokój. Jej węże nadal syczą i wiją się jeden na drugim niczym pokryte łuską liny. Niektóre z nich są na tyle długie, że mogłyby mnie dosięgnąć, gdyby ona tego zechciała.

Maven wydaje z siebie gardłowy stęk.

– Straż! Pora odprowadzić pannę Barrow do jej pokoju.

Odwracam się na pięcie, zanim Arvenowie doskoczą do mojego boku, i powracam do stanu tak zwanego bezpieczeństwa, jaki gwarantuje ich obecność. „W tych węzach jest coś okropnego – tłumaczę sobie. – Nie mogłam ich znieść. Nic dziwnego, że Evangeline jest tak okropna, skoro wychowywała ją taka matka”.

Gdy znajduję się w swoich komnatach, dopadają mnie niemiłe widziane uczucia. Ulga. Wdzięczność. Wobec Mavena.



Duszę w sobie ten wstrętny wybuch emocji z całą wściekłością, jaką mam w sobie. Maven to potwór. Nie czuję do niego nic prócz nienawiści. Nie mogę pozwolić, by zatliły się we mnie jakiegokolwiek związane z nim emocje, nawet litość.

„MUSZĘ UCIEC”.

\*

Mijają dwa długie miesiące.

Ślub Mavena będzie dziesięć razy większym widowiskiem niż Pożegnalny Bal czy nawet Królewska Próba. Srebrna arystokracja zjeżdża do stolicy wraz ze swoją świtą ze wszystkich stron Norty. Także ci, których król wygnał. Maven czuje się wystarczająco pewny w tej nowej koalicji, by wpuścić do siebie nawet uśmiechniętych wrogów. Mimo że większość z nich ma w mieście rezydencje, wielu zatrzymuje się w Pałacu Białego Ognia, aż gmach zdaje się pękać w szwach. Nie przeszkadza mi to. Tak jest lepiej, ale nawet z mojej celi czuję nadciągającą ślubną wichurę. Symbol przymierza pomiędzy Nortą i Lakelandią.

Dziedziniec pod moim oknem, pusty przez całą zimę, kwitnie obudzony ciepłym i zielonym tchnieniem wiosny. Arystokracja przechadza się po nim leniwym krokiem, niektórzy pod ramię. Nie przestają szeptać, knuć i plotkować. Żałuję, że nie umiem czytać z ruchu warg. Mogłabym się wtedy dowiedzieć czegoś więcej niż tego, które domy ze sobą sympatyzują, co widać po jaskrawych kolorach. Maven byłby głupcem, gdyby uważał, że nie zmawiają się przeciw niemu i jego panie młodej. Można o nim powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to.

Dawna rutyna, na której upłynął mi pierwszy miesiąc izolacji – pobudka, jedzenie, siedzenie, krzyki i od nowa – już mi nie służy. Znalazłam lepsze sposoby spędzania czasu. Nie mam papieru ani niczego do pisania, ale nawet nie proszę o nie. Nie ma co zostawiać dowodów. W zamian wpatruję się w książki Juliana, bez celu przerzucam kartki. Czasem uczepię się uwag zanotowanych jego ręką na marginesie. „Intrygujące, ciekawe, porównać z tomem czwartym”. Zwykle niewiele znaczące słowa. Mimo to przejeżdżam palcami po literach, śledząc wyschnięty atrament i wykonane dawno temu wyżłobienia po piórze. Te zostawione przez Juliana ślady wystarczają mi, bym czytała między wierszami.

Najwięcej jego rozważań znajduję w tomie cieńszym niż podręczniki do historii, ale gęsto naładowanym tekstem. Grzbiet książki jest mocno sfatygowany, strony wypełnione pismem Juliana. Prawie czuję ciepło jego dłoni, które wygładzają pomięte strony.

Tom nosi tytuł *O początkach*, który jest wytłoczony na okładce czarnymi literami, a dalej nazwiska kilkunastu Srebrnych uczonych, którzy napisali teksty i polemiki zawarte w tej niewielkiej książce. Większość jest zbyt skomplikowana, bym mogła je zrozumieć, ale i tak je przeglądam. Nawet jeśli tylko ze względu na Juliana.

Zaznaczył wyraźnie jeden fragment, zaginając nawet róg na stronie i podkreślając kilka zdań. Coś o mutacjach, zmianach. Wpływie starożytnej broni, której już nie posiadamy i której nie potrafimy już odtworzyć. Jeden z uczonych uważa, że dzięki niej stworzono Srebrnych. Inni się nie zgadzają. Kilku kolejnych dla odmiany wspomina o bogach, być może tych, których czci Iris.

Julian jasno wyraża w notatkach swoje stanowisko.

„Dziwne, że tak wielu uważało siebie za bogów lub wybranych przez bogów – napisał. – Błogosławionych przez większą siłę. Wyniesionych na obecny poziom. Kiedy wszystkie dowody wskazują na coś przeciwnego. Nasze umiejętności pochodzą z zepsucia, z plagi, która zabiła większość z nas. Nie zostaliśmy wybrani przez boga, tylko przez niego przeklęci”.

Wpatruję się w te słowa, mrugając powiekami. „Jeśli Srebrni są przeklęci, to jacy są Nowi? Gorszi? A może Julian się myli? Może też jesteśmy wybrani? Tylko do czego?”

Dużo mądrzejsi ludzie ode mnie nie mają na to odpowiedzi, co dopiero ja. Nie wspominając, że mam ważniejsze rzeczy na głowie.

Podczas śniadania snuję plany i nie spiesząc się z jedzeniem, analizuję w głowie to, co wiem. Królewski ślub przybierze postać kontrolowanego chaosu. Mimo dodatkowej ochrony i strażników wciąż mam szansę. Wszędzie będzie służba, pijana arystokracja, zagraniczni książęta, którzy odwrócą uwagę zwykle skupionych na mnie ludzi. Byłabym głupia, gdybym nie wykorzystała okazji. Cał też byłby głupi, - gdyby nie spróbował.

Wpatruję się w kartki, które trzymam w dłoni, w biały papier i czarny atrament. Babcia starała się mnie ocalić i przypłaciła to życiem. To była bezsensowna ofiara. A mimo to chcę, aby spróbowali raz jeszcze. Bo jeśli zostanę tu dłużej, jeśli będę musiała spędzić życie kilka kroków od Mavena, pod jego niepokojącym spojrzeniem, przy jego szaleństwie i nienawiści do wszystkich na tym świecie...

Nienawiści do wszystkich z wyjątkiem....

– Przestań – upominam samą siebie, walcząc z potrzebą, by wpuścić do środka potwora, który puka do ścian mojego umysłu. – Natychmiast przestań.

Zapamiętywanie planu Pałacu Białego Ognia skutecznie zajmuje mi myśli i często się tym ratuję. Dwa skręty w lewo od moich drzwi, poprzez galerię rzeźb, znów w lewo, dalej po kręconych schodach... Odtwarzam trasę do sali tronowej, holu wejściowego, sali bankietowej, różnych bibliotek i izb różnych rad, komnat Evangeline, dawnej sypialni Mavena. Zapamiętuję każdy krok, jaki tu postawiłam. Im lepiej znam pałac, tym większe są moje szanse na ucieczkę, kiedy nadarzy się okazja. Mavenu na pewno ożeni się z Iris w Królewskim Sądzie, jeśli nie na placu Cezara. Żadne inne miejsce nie pomieści tylu gości i strażników. Nie widzę sali sądu z mojego okna i nigdy nie byłam w środku, ale gdy zajdzie potrzeba, to się do

niego dostanę.

Odkąd wróciliśmy, Maven jeszcze ani razu nie wezwał mnie do siebie. Powtarzam sobie, że to dobrze. Pusty pokój i dni wypełnione ciszą są lepsze niż jego trujące słowa. Mimo to co wieczór, gdy zamykam oczy, czuję ukłucie rozczarowania. Jestem samotna. Przestraszona. Samolubna. Przez Cichy Kamień i miesiące, które spędziłam tutaj, balansując na krawędzi, czuje się pusta w środku. To byłoby takie proste pozwolić, aby popękane kawałeczki mojego istnienia kompletnie się rozsypały. Takie proste pozwolić Mavenowi poskładać mnie tak, jak mu się podoba. Może za kilka lat nie będę nawet uważać tego miejsca za więzienie.

„Nie”.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu z krzykiem rzucam talerzem o ścianę. Następna jest szklanka z wodą. Rozpada się na setki kawałków. Niszczenie przedmiotów sprawia, że czuję się lepiej.

Ułamek sekundy później moje drzwi otwierają się z impetem i do środka wpadają Arvenowie. Jajo staje przy mnie pierwszy i przytrzymuje mnie na krześle. Jego uścisk jest stanowczy: nie pozwoli mi się podnieść. Strażnicy dobrze wiedzą, że jeśli pozwolą mi choć zbliżyć się do szkła, gorzko tego pożałują.

– Może powinniście zacząć dawać mi plastik – prychem do jednego z nich. – To chyba lepszy pomysł.

Jajo chce mnie uderzyć. Jego palce zagłębiają się w moje ramiona. Pewnie pozostaną po nich sińce. Przez Cichy Kamień ból zdaje się przesywać mnie do kości. Skręca mi się żołądek, gdy zdaję sobie sprawę, że ledwie pamiętam, jak to jest nie doświadczać stale tego tłamszącego bólu i udręki.

Pozostali strażnicy zmiatają odłamki i nie wzdrygają się, kiedy szkło przejeżdża po ich odzianych w rękawiczki dłoniach. Dopiero kiedy wychodzą, a ich pulsująca obecność przemija, odzyskuję siłę, żeby wstać. Poirytowana zamykam z impetem książkę, której nie czytałam. Ma tytuł *Genealogia nortańskiej szlachty, tom IX*. Bezużyteczna.

Nie mając nic lepszego do roboty, odstawiam ją na półkę. Oprawiony w skórę tom gładko wsuwa się pomiędzy swoich braci, tomy VIII i X. Może zdejmę z półek pozostałe książki i inaczej je poukładam. Poświęcę kilka sekund z godzin, które wloką się jak wieczność.

Kończę jednak na podłodze, próbując rozciągnąć się odrobinę bardziej niż poprzedniego dnia. Moja niegdyś gibkość, obecnie mocno ograniczona, to już niestety wspomnienie. I tak próbuję, i wyciągam dłonie w stronę palców stóp. Mięśnie nóg zaczynają piec, a to lepsze uczucie niż cierpienie. Pragnę takiego zdrowego bólu. To jedna z niewielu rzeczy, które jeszcze przypominają mi, że w środku nadal żyję.

Minuty zlewają się jedna z drugą, a czas rozciąga wraz ze mną. Światło dnia

zmienia się wraz z wiosennymi chmurami, które gnają przed obliczem słońca.

Pukanie do moich drzwi jest delikatne, niepewne. Nikt nigdy nie zadał sobie tyle trudu, aby w ogóle zapukać, i serce aż mi podskakuje. Ale przyływ adrenaliny szybko opada. Gdyby ktoś przybył mi na ratunek, wcale by nie pukał.

Nie czekając na moje pozwolenie, Evangeline otwiera drzwi.

Nie ruszam się z miejsca, przygwożdżona strachem. Podciągam pod siebie nogi, jak gdybym szykowała się do tego, by w każdej chwili móc się rzucić do ucieczki.

Żeleźczyni spuszcza na mnie wzrok. Jak zwykle roztacza wokół siebie aurę wyniosłości. Ubrana jest w połyskujący płaszcz i obcisłe skórzane legginsy. Przez moment stoi w bezruchu i obie w milczeniu mierzymy się wzrokiem.

– Jesteś taka niebezpieczna, że nie wolno ci nawet otworzyć okna? – Pociąga nosem. – Strasznie tu śmierdzi.

Moje napięte mięśnie nieco się rozluźniają.

– Widzę, że się nudzisz – mamrocze. – Idź drażnić kogoś innego.

– Może później. Ale na razie jesteś mi do czegoś potrzebna.

– Nie mam ochoty być twoim ruchomym celem.

Evangeline cmoka.

– Nie martw się. Nie moim.

Wsusza mi rękę pod pachę i podciąga do pionu. Kiedy jej ramię znajduje się w zasięgu Cichego Kamienia, jej rękaw luzuje się i odpada, rozsypując się na migotliwy, metalowy proch. Szybko powraca na swoje miejsce i znów odpada, poruszając się w równym, dziwnym rytmie, kiedy Evangeline wyprowadza mnie z mojej komnaty.

Nie stawiam oporu. Nie ma po co. W końcu Evangeline rozluźnia swój żelazny uścisk i pozwala mi iść samej.

– Jeśli chciałaś wyprowadzić pieska na spacer, to wystarczyło powiedzieć – pomrukuje, rozmasowując najnowsze siniaka. – Nie masz nowej rywalki, którą możesz nienawidzić? Czy może łatwiej jest ci się uwziąć na więźniarkę niż księżniczkę?

– Iris jest jak na mój gust zdecydowanie za spokojna – odpala. – Ty przynajmniej masz nieco ikry.

– Dobrze wiedzieć, że dostarczam ci rozrywek. – Korytarz przed nami jest kręty. Lewo, prawo, prawo. Plan pałacu w mojej głowie jest coraz wyraźniejszy. Mijamy gobeliny z feniksami, których krawędzie ozdabiają prawdziwe klejnoty. Następna jest galeria posągów i obrazów poświęconych Cezarowi -Calore, pierwszemu królowi Norty. Dalej, na półpiętrze, do którego prowadzą marmurowe schodki, znajduje się pomieszczenie, które nazywam Salą Bitewną. To długi korytarz wypełniony światłem z okien dachowych, wzdłuż którego po obu stronach ciągną się monstrualnej wielkości obrazy inspirowane wojną z Lakelandią,

sięgające od podłogi do sufitu. Ale Evangeline nie prowadzi mnie wzdłuż malowideł przedstawiających agonię Czerwonych. Nie kierujemy się na poziom pałacu, na którym mieszka dwór. Komnaty stają się coraz bardziej zdobne, po czym poznaję, że prowadzi mnie do skrzydła królewskiego. Świadcami mojej drogi są coraz liczniejsze połączane obrazy królów, polityków i wojowników, z których większość ma charakterystyczne dla rodu Calore czarne włosy.

– Czy król Maven pozwolił ci przynajmniej zachować swoje komnaty? Mimo że odebrał ci koronę?

Wykrzywia usta. W złośliwym uśmiechu, nie przykrym grymasie.

– Widzisz? Nigdy nie zawodziś. Mare Barrow ma w sobie ikrę.

Nigdy wcześniej nie znalazłam się za tymi drzwiami. Domyślam się jednak, gdzie prowadzą. Są zbyt okazałe, by mogły należeć do kogokolwiek innego niż samego króla. Białe lakierowane drewno, zdobienia ze złota i srebra, wyłożone macią perłową i rubinami. Evangeline tym razem nie puka i śmiało otwiera drzwi, za którymi znajduje się pełna przepychu poczekalnia. Pod ścianą stoi sześciu wartowników. Na nasz widok prostują się i kierują dłonie ku broni. Ich oczom widocznym zza połyskujących masek nie umknie żaden szczegół.

Evangeline zupełnie na to nie zważa.

– Powiedźcie królowi, że Mare Barrow przysłała się z nim zobaczyć.

– Król jest zajęty – odpowiada jeden z nich. Jego głos drga od mocy. To Zawodzielel. Gdyby zaszła taka potrzeba, zagłuszyłby nas swoim krzykiem. – Odejdź, wielmożna pani.

Evangeline nie okazuje strachu i przejeżdża dłonią po swoim długim, srebrnym warkoczu.

– Powiedz mu – powtarza. Nie musi obniżać głosu ani nadawać mu warkliwego tonu, aby brzmiał groźnie. – To go zainteresuje.

Serce wali mi jak młotem. „Co ona wyprawia? I dlaczego?” Ostatnim razem, kiedy postanowiła przeprowadzić ze mną przez Pałac Białego Ognia, skończyłam zdana na łaskę Samsona Merandusa, który mógł sobie do woli grzebać w mojej głowie. Ona ma plan. Ma swoje motywy. Gdybym tylko je znała, może mogłabym coś zrobić.

Jeden z wartowników wyłamuje się z szeregu, zanim Evangeline straci cierpliwość. To barczysty mężczyzna, którego mięśnie widoczne są nawet pod tkaniną jaskrawego munduru. Kiedy nachyla głowę, czarne klejnoty jego maski połyskują w świetle.

– Chwileczkę, wielmożna pani. – Nie mogę znieść komnat Mavena. Już przez samą moją obecność tutaj czuję się, jakbym wchodziła na ruchome piaski. Rzuciła się w ocean, skakała z klifu. „Odeślij nas. Odeślij nas”.

Wartownik szybko powraca. Kiedy odprawia gestem swoich towarzyszy, czuję ucisk w żołądku.

– Tędy, Barrow. – Kiwa na mnie ręką.

Evangeline kładzie dłoń na moim krzyżu i lekko mnie popycha. Ruszam do przodu.

– Tylko Barrow – dodaje wartownik. Mierzy wzrokiem Arvenów, którzy stoją za mną.

Pozwalają mi pójść i nie ruszają się dalej. Podobnie jak Evangeline. Jej oczy pochmurnieją i już po chwili są czarniejsze niż kiedykolwiek. Ogarnia mnie nagła chęć, aby chwycić ją za ramię i pociągnąć za sobą. Spotkanie z Mavenem twarzą w twarz, i to tutaj, nagle wydaje mi się przerażające.

Wartownik, prawdopodobnie Siłacz z domu Rhambos, nie musi mnie dotykać, bym skierowała się we właściwą stronę. Przechodzimy przez skąpaną w słońcu bawialnię, dziwnie pustą i skromnie urządzoną. Żadnych kolorów domu, żadnych obrazów, żadnych rzeźb, a nawet książek. Dawny pokój Cala był pełen przedmiotów, pękał w szwach od różnego rodzaju zbroi, jego cennych podręczników, gier planszowych. Wszędzie znajdowały się jakieś cząstki niego. Maven jest inny niż brat. Nie ma żadnego celu, a przynajmniej nie taki, którym mógłby się tu zająć. Ten pokój odzwierciedla pustego chłopca, jakim jest w środku.

Jego łóżko jest dziwnie małe. Jak dla dziecka, mimo że pokój wyraźnie urządzono tak, by zmieściło się tu coś znacznie większego. Ściany sypialni są białe i nagie. Jediną ozdobę stanowią okna wyglądające na róg placu Cezara, rzekę Capital i most, który kiedyś pomogłam zniszczyć. Ciągnie się nad wodą, łącząc Pałac Białego Ognia ze wschodnią częścią miasta. Jak okiem sięgnąć, wszędzie do życia budzi się kwitnąca, bujna zieleń.

Wartownik powoli odchrząkuje. Spoglądam na niego i przeszywa mnie dreszcz strachu, że mnie tu porzuci.

– Tędy – mówi, pokazując na kolejne podwójne drzwi.

Byłoby łatwiej, gdyby ktoś mnie tam za sobą zaciągnął. Gdyby wartownik przyłożył mi do głowy pistolet i kazał mi iść. Gdybym mogła obwinić kogoś innego za to, że poruszam nogami. Ale mogę winić tylko siebie. Nudę. Chorobliwą ciekawość. Nieustający ból i samotność. Żyję w kurczącym się świecie, w którym jedyną pewną rzeczą jest obsesja Mavena. Przypomina ona kajdany, tak samo jak one chroni mnie, a zarazem tłamsi i skazuje na powolną śmierć.

Drzwi otwierają się do środka, sunąc po białych, marmurowych płytkach. W powietrzu kłębi się para. Nie od samego króla ognia, ale gorącej wody, która powoli wrze wokół niego, mleczna od mydła i zapachowych olejków. W przeciwieństwie do jego łóżka, wanna Mavena jest wielka i stoi na srebrnych łapach z pazurami. Sam król wspiera się łokciami o idealną porcelanę, leniwie maczając palce w wirującej wodzie.

Gdy wchodzę do środka, Maven taksuje mnie swoim elektryzującym, morderczym spojrzeniem. Nigdy nie widziałam go tak zaskoczonych i wściekłego.

Gdybym miała więcej oleju w głowie, odwróciłabym się i uciekła, ale ja tylko zamykam za sobą drzwi.

Nie ma tu gdzie usiąść, więc stoję. Nie jestem pewna, gdzie spojrzeć, więc koncentruję się na jego twarzy. Włosy ma zmierzwiłone, ociekające wodą. Ciemne loki lepią się mu do skóry.

– Jestem zajęty – szepcze.

– Nie musiałeś mnie wpuszczać. – Wypowiadam te słowa i niemal natychmiast ich żałuję.

– Musiałem – odpowiada, prawdopodobnie mając na myśli nie tylko to. Po chwili mruga, przerywając przeciągłe spojrzenie. Odchyła się i opiera głowę o krawędź wanny, tak aby mógł patrzeć w sufit. – Czego ci potrzeba?

„Planu ucieczki, przebaczenia, jednej porządnie przespanej nocy, mojej rodziny”. Lista jest długa, ciągnie się w nieskończoność.

– Evangeline mnie tu zaciągnęła. Niczego od ciebie nie chcę.

Wydaje z siebie niski, gardłowy odgłos przypominający śmiech.

– Evangeline. Moi wartownicy to tchórze.

Gdyby Maven był moim przyjacielem, powiedziałabym mu, aby nie lekceważył córki domu Samos. Ale trzymam język za zębami. Para lgnie do mojej skóry, gorąca niczym rozpalone ciało.

– Przeprowadziła cię tu, żebyś mnie przekonała – mówi.

– Do czego?

– Żebym ożenił się z Iris, a może żebym nie zenił się z Iris. Na pewno nie przysłała cię tu na herbatę.

– Raczej nie. – Evangeline będzie knuć, jak przejąć koronę, aż do ostatniej sekundy, nim Maven włoży ją na głowę innej dziewczynie. To jej życiowe powołanie. Tak jak powołaniem Mavena są inne, okropne rzeczy.

– Sądzi, że moje uczucia do ciebie zmacą mi w głowie. Idiotka.

Wzdrygam się. Blizna na obojczyku pali mnie pod bluzką.

– Podobno znów rozbijasz naczynia – ciągnie.

– Masz kiepski gust co do porcelany.

Uśmiecha się w stronę sufitu. Krzywo, jak jego brat. Przez chwilę rysy Mavena się zmieniają i jego twarz staje się twarzą Cala. Nagle dociera do mnie, że jestem w pałacu dłużej, niż w ogóle znam Cala. Znam twarz Mavena lepiej niż jego.

Maven przekręca się w wannie, czym wzburza wodę, i spuszcza jedno ramię do podłogi. Odrywam wzrok od jego twarzy i spoglądam na płytki. Mam trzech braci i ojca, który nie może chodzić. Spędziłam wiele miesięcy, dzieląc nędzne lokum z tuzinem cuchnących chłopców i mężczyzn. Męska sylwetka nie jest mi obca. Nie znaczy to, że chcę oglądać więcej Mavena niż to konieczne. Znów czuję się, jakbym stała o krok od ruchomych piasków.

– Ślub jest jutro – mówi w końcu. Jego głos odbija się od marmuru.

– Co?

– Nie wiedziałaś?

– Skąd miałabym wiedzieć? Nikt mnie przecież o niczym nie informuje.

Maven wzrusza ramionami. Woda znów się porusza, ujawniając więcej jego białej skóry.

– Nie sądziłem, że znów zaczniesz rozbijać rzeczy z mojego powodu, ale... – milknie i spogląda w moją stronę. Na całym ciele czuję dreszcze. – Miło było sobie pofantazjować.

Gdyby nie miało to dla mnie konsekwencji, wydrapałabym mu oczy, rycząc przy tym jak zwierzę. Powiedziałabym Mavenowi, że mimo iż z jego bratem spędziłam niewiele czasu, wciąż pamiętam dokładnie każdą wspólną chwilę. Jego ciało wtulone we mnie, gdy spaliśmy samotni we dwoje i dzieliliśmy się koszarami. Jego dłoń na moim karku, skóra do skóry, przez co patrzyłam na niego kompletnie oniemiała. To, jak pachnie. Jak smakuje. „Kocham twojego brata, Mavencie. Miałaś rację. Jesteś jedynie cieniem, a kto patrzy na cień, kiedy ma przed sobą płomień? Kto wybrałby potwora zamiast boga”? Nie mogę wyrzucić Mavenowi krzywdy, uderzając go piorunem, ale mogę go zniszczyć słowami. Ugodzić go w czułe miejsca, rozdrapać jego rany. Pozwolić mu krwawić, a potem dać mu wylizać rany i przepoczwaczyć się w dużo gorszą niż wcześniej wersję samego siebie.

Słowa, które jestem w stanie wydusić, brzmią nieco inaczej.

– Lubisz Iris?

Maven drapie się po głowie i prycha w dziecinny sposób.

– Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– To twój pierwszy nowy związek od śmierci matki. Ciekawie będzie obserwować, jak to się rozegra, kiedy nie toczy cię już jej jad. – Stukam palcami o swój bok. Słowa powoli do niego docierają i Maven nieznacznie kiwa głową. Potakuje. Czuję nagłą falę litości do niego. Walczę z nią, ile tylko mam sił. – I zaręczyliście się dopiero dwa miesiące temu. Szybko. A przynajmniej szybciej niż przy twoich zaręczynach z Evangeline.

– Tak się zwykle dzieje, kiedy na szali znajduje się cała armia – mówi ostro. – Lakelandczycy nie słyną z cierpliwości.

Prycham.

– A dom Samos tak łatwo na wszystko przystaje?

Kącik jego ust wędruje w górę, tworząc cień tego zakrzywionego uśmiechu. Bawi się jedną ze swoich krzeszących iskry bransolet, powoli obracając srebrną obręcz na szczupłym nadgarstku.

– Mają swoje korzyści.

– Sądziłam, że do tego czasu Evangeline zrobi z ciebie poduszkę na szpilki.



Jego uśmiech się rozszerza.

– Jeśli mnie zabije, straci wszelkie szanse, które jak jej się wydaje, posiada, by dopiąć swego. Nie żeby jej ojciec kiedykolwiek na to pozwolił. Dom Samosów zachowa ogromną władzę, nawet jeśli Evangeline nie zostanie królową. Choć byłaby z niej doskonała królowa.

– Jasne, już to sobie wyobrażam. – Na samą myśl przeszywa mnie dreszcz. Korony z igieł, sztyletów i brzytw, jej matka w ozdabianych klejnotami wężach i ojciec pociągający za sznurki Mavena marionetki.

– A ja nie, prawdę mówiąc – przyznaje. – Nawet teraz widzę ją tylko jako królową Cala.

– Nie musiałeś jej wybierać po tym, jak go wrobiłeś...

– Ale nie mogłem też wybrać osoby, którą chciałem, prawda? – rzuca warkliwie. Zamiast ciepła czuję, jak powietrze wokół nas robi się coraz chłodniejsze. Wystarczająco, żeby pod jego spojrzeniem, wściekłym i sinym, na ciele wyskoczyła mi gęsia skórka. Para w powietrzu znika pod powiewem chłodu, usuwając dzielący nas subtelny woal.

Cała drżąc, podchodzę do najbliższego okna i odwracam się do Mavena plecami. Na zewnątrz białe, kremowe i różowe kwiaty magnolii podrygują na lekkim wietrze. Nie ma tu miejsca dla prostego piękna. Zawsze podszyte jest spiskiem, chorą ambicją lub zdradą.

– Rzuciłeś mnie na arenę, żebym zginęła – cedzę przez zęby. Jakby którekolwiek z nas potrafiło o tym zapomnieć. – Trzymasz mnie w swoim pałacu zakutą w łańcuchy, pilnowaną dzień i noc. Pozwalasz, żebym powoli gasła, schorowana...

– Myślisz, że się cieszę, widząc cię w takim stanie – mruczy. – Sądzisz, że chcę cię tu trzymać jak więźniarkę? – Coś w jego głosie się łamie. – To jedyny sposób, żebyś tu nadal ze mną była. – Woda ochlapuje mu dłonie, gdy nimi gestykułuje.

Koncentruję się na dźwięku zamiast na jego głosie. Mimo że wiem, co robi, mimo że czuję, jak jego uścisk na mnie się zacieśnia, nie potrafię nic zrobić, by nie wciągnął mnie pod wodę. To byłoby zbyt proste, tak po prostu pozwolić sobie utonąć. Część mnie tego właśnie pragnie.

Dalej patrzę przez okno. Przynajmniej raz jestem zadowolona z dobrze mi znanego przewlekłego bólu, jaki powoduje -Cichy Kamień. To niezaprzeczalny dowód na to, kim jest Maven i co oznacza dla mnie jego miłość.

– Próbowaleś zabić wszystkich, na których mi zależy. Zabijałeś dzieci. – Dziecko, całe we krwi, z karteczką w malutkiej piąstce. Pamiętam to tak wyraźnie, jak koszmary sen. Nie próbuję pozbyć się z głowy tego obrazu. Muszę go zachować. Muszę pamiętać, kim on jest. – Przez ciebie nie żyje mój brat.

Odwracam się na pięcie, twarzą do niego i wydaję z siebie szorstki, mściwy

śmiech. Złość przywraca mi jasność myślenia.

Nagle Maven siada w wannie wyprostowany, jego nagi tors jest niemal tak biały jak woda w wannie.

– A ty zabiłaś moją matkę. Odebrałaś mi brata. Odebrałaś mi ojca. Od chwili, kiedy znalazłaś się na tym świecie, maszyna poszła w ruch. Moja matka zajrzała do twojego umysłu i zauważyła w nim możliwość. Szansę, której szukała od dawna. Gdybyś... gdybyś nie... – urywa, bo słowa wypadają mu z ust szybciej, niż potrafi nad nimi zapanować. Zaciska zęby, żeby nie wyrzucić z siebie kolejnych, gorszych oskarżeń. Nastaje chwila ciszy. – Nie chcę wiedzieć, co by się wtedy stało.

– Wiem – odpowiadam warkliwie. – Skończyłabym w okopie, została zrównana z ziemią, rozerwana na strzępy lub przetrwałabym jako żywy trup. Wiem, co by się ze mną stało, bo doświadczają tego miliony innych ludzi. Mój ojciec, moi bracia, zbyt wielu Czerwonych.

– Wiedząc to, co wiesz... wróciłaś? Wybrałaś tamto życie? Pobór, swoje ubłocone miasteczko, rodzinę, tego rybaka?

Tyle osób umarło przeze mnie i przez to, jaka jestem. Gdybym była zwykłą Czerwoną, zwykłą Mare Barrow, nadal by żyli. Shade by żył. Przez chwilę się nad nim zamyślam. Tyle rzeczy bym oddała, żeby go odzyskać. Po tysiącokroć wołałabym zginąć zamiast niego. Ale są też Nowi, których znalazłam i ocalałam. Pomagałam wzniecić bunt. Zakończyła się wojna. Srebrni walczą ze sobą nawzajem. Czerwoni się jednoczą. Miałam w tym wszystkim swój udział, choć niewielki. Nie obyło się bez błędów. Moich błędów. Tylu, że trudno mi je zliczyć. Nie jestem ideałem, nie jestem nawet dobra. Prawdziwe pytanie mąci mi w głowie. To, o co tak naprawdę pyta Maven. „Czy zrezygnowałabyś ze swojej umiejętności, ze swojej mocy, aby wrócić?” Nie potrzebuję długo się zastanawiać, by wiedzieć, jak brzmi odpowiedź.

– Nie – szepczę. Nie pamiętam, kiedy podeszłam do niego spod okna, ale teraz jedna z moich dłoni spoczywa na porcelanowej wannie. – Nie wróciłam.

To wyznanie pali gorzej niż ogień i zżera mnie od środka. Nienawidzę go za to, jaka się przez niego czuję, co mi uświadamia. Zastanawiam się, czy jestem w stanie go obezwładnić. Zacisnąć pięść, rozwalić szczękę twardymi kajdanami. Zostałabym zabita, zanim zdołałabym się o tym przekonać.

Maven gapi się na mnie.

– Ci, którzy wiedzą, jak jest w ciemnościach, zrobią wszystko, by pozostać w świetle.

– Nie zachowuj się tak, jak byśmy byli tacy sami.

– Tacy sami? Nie. – Kręci głową. – Ale być może... równi -sobie.

– Równi? – Znów mam ochotę go rozszarpać. Użyć swoich paznokci i zębów, aby rozedrzeć mu gardło. Ta insynuacja mnie rani. Prawie tak samo jak

fakt, że może mieć rację.

– Pytałem kiedyś Jona, czy potrafi przewidzieć przyszłość, która już nie istnieje. Powiedział, że ścieżki cały czas się zmieniają. Proste kłamstwo. Pozwoliło mu to mną manipulować w stopniu, jakiego nie potrafił osiągnąć nawet Samson. A kiedy doprowadził mnie do ciebie, cóż, nie sprzeciwiałem się. Skąd miałem wiedzieć, jaką okażesz się dla mnie trucizną?

– Skoro jestem trucizną, to się mnie pozbądź. Przestań nas oboje torturować!

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić, bez względu na to, jak bardzo chcę. – Trzepocze rękami, a jego oczy odpływają gdzieś daleko. Gdzieś, gdzie nawet ja nie mogę go dosięgnąć. – Jesteś taka jak Thomas. Jesteś jedyną osobą, na której mi zależy, jedyną, która przypomina mi, że żyję. Że nie jestem pusty. I nie jestem samotny.

„Żyję. Nie jestem pusty. Nie jestem samotny”.

Każde z tych wyznań jest jak pocisk porażający moje nerwy, czuję, że zaczyna mnie trawić zimny ogień. Nie znoszę tego, że Maven potrafi mówić takie rzeczy. Nie znoszę tego, że czuje to, co ja, że boi się tego, co ja. Nienawidzę tego. Nienawidzę. I gdybym mogła zmienić to, kim jestem, jak myślę, to bym to zrobiła. Ale nie potrafię. Jeśli bogowie Iris są prawdziwi, to na pewno wiedzą, że próbowałam.

– Jon nie mówił mi o martwych wersjach przyszłości, tych, które nie są już dłużej możliwe. Ale myślę o nich – mamrocze Maven. – Srebrny król, Czerwona królowa. Jak by się wszystko pozmieniało? Ilu ludzi nadal by żyło?

– Nie twój ojciec. Nie Cal. I z pewnością nie ja.

– Wiem, że to tylko marzenie, Mare – odpowiada ze zniecierpliwieniem. Jak dziecko, któremu ktoś zwrócił uwagę przy całej klasie. – Jeśli ty i ja mieliśmy choć cień szansy, to ona już zniknęła.

– Z twojego powodu.

– Tak – wyznaje delikatniejszym tonem. – Tak.

Nie odrywając ode mnie oczu, ściąga z nadgarstka bransoletę do krzesania iskier. Robi to powoli, celowo, ostrożnie. Słyszę, jak bransoletka uderza o podłogę i turla się po marmurowej posadzce. Tuż za nią rusza druga. Nadal mnie obserwując, Maven kładzie się w wannie, odchyła głowę i odsłania szyję. Świerzbią mnie dłonie. To byłoby takie proste. Owinać swoje ciemne palce wokół jego bladego karku. Włożyć w to całą swoją siłę. Przyprzeć go do wanny. Cal boi się wody. A Maven? Mogłabym go utopić. Zabić. Pozwolić, abyśmy oboje ugotowali się w kąpeli. On rzuca mi wyzwanie. Część niego może chcieć, abym to zrobiła. Ale może to też być jedna z tysięcy pułapek, na jakie wiele razy dałam się nabrać. Kolejna sztuczka Mavena Calore.

Mruga i wypuszcza z płuc powietrze, jakby dawał upust czemuś tkwiącemu w nim głęboko. Czar pryska i moja szansa przemija.

– Będziesz jutro jedną z druhen Iris. Miłej zabawy.

Kolejny pocisk trafia prosto w brzuch.

Chciałabym mieć pod ręką szklanę, którą mogłabym roztrzaskać o ścianę. Mam być druhną na ślubie stulecia. Nie mam szans się z tego wywinąć. Będę musiała stać przed całym dworem. Wszędzie strażnicy. Tyle spojrzeń. Chce mi się krzyczeć.

„Wykorzystaj ten gniew. Wykorzystaj tę wściekłość”, powtarzam sobie w duchu. Ale to uczucie mnie pochłania i zamienia się w rozpacz.

Staram się nie odwrócić w drodze do drzwi, ale nie mogę się powstrzymać. Maven wpatruje się w sufit pustym wzrokiem. Słyszę w swojej głowie Juliana, który szepcze mi napisane przez siebie słowa:

„Nie wybrani przez boga, tylko przez boga przekłęci”.

## Rozdział 18

### Mare

Przynajmniej raz to nie ja jestem obiektem tortur. Chętnie podziękowałabym Iris za to, że mogę siedzieć z boku, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Moje miejsce zajmuje Evangeline. Stara się robić wrażenie spokojnej, niewzruszonej tym, co się wokół nas dzieje. Reszta ślubnej świty zerka na nią co chwilę – na dziewczynę, której tak naprawdę powinna służyć. Spodziewam się, że Żeleźczyni w każdej chwili może się zwinąć niczym wąż swojej matki i zacząć syczeć na każdego, kto ośmieli się zbliżyć do jej połączanego fotela. Kiedyś przecież te komnaty należały do niej.

Salon przeszedł niedawno metamorfozę na potrzeby nowej lokatorki. Jaskrawoniebieskie draperie, świeże kwiaty w przejrzystej wodzie oraz kilka cichych fontann nie pozostawiają wątpliwości. Panuje tu lakelandzka księżniczka.

Na środku komnaty siedzi Iris w otoczeniu pokojówek – Czerwonych służek, które doskonale znają się na sztuce upiększania. Dziewczyna nie potrzebuje wiele pomocy. Jej ostre jak klify kości policzkowe i ciemne oczy są zniewalające nawet bez makijażu. Jedna z pokojówek misternie zaplata jej włosy w koronę, po czym upina szafirowymi i perłowymi wsuwkami. Inna nakłada połyskujący róż, by uwydatnić już i tak wystarczająco piękne rysy twarzy, nadając im nieziemski wygląd. Precyzyjnie umalowane usta mają kolor głębokiego fioletu. Sama suknia, przechodząca od bieli w migoczący u dołu błękit, podkreśla jej ciemną skórę blaskiem podobnym do nieba tuż po zachodzie słońca. Choć wygląd jest ostatnią rzeczą, jaką powinnam się teraz przejmować, czuję się przy Iris niczym rzucona w kąć lalka. Znow mam na sobie czerwoną suknię, prostą w porównaniu z klejnotami i zdobnymi tkaninami, które zwykle noszę. Gdybym była nieco zdrowsza, być może też wyglądałabym pięknie. Nie, żeby mi to przeszkadzało. Nie powinnam błyszczeć, nie chcę błyszczeć – a przy niej z pewnością nie będę.

Evangeline nie mogłaby bardziej różnić się od Iris, nawet gdyby próbowała – a z pewnością próbowała. Podczas gdy księżniczka z chęcią gra rolę skromnej panny młodej, ona dobrowolnie przyjęła rolę dziewczyny lekceważonej i odsuniętej na bok. Jej sukienka zrobiona jest z tak opalizującego metalu, że wygląda jak wykonana z pereł. Ozdobiona jest przyszytymi, białymi piórami i srebrem na całej długości. Pokojówki Evangeline kręcą się wokół niej i dokonują ostatnich poprawek. Żeleźczyni przez cały czas wpatruje się w Iris, ani na moment nie odrywając od niej swoich czarnych oczu. Dopiero gdy przy jej boku staje matka, Evangeline traci skupienie, i to tylko po to, aby odsunąć się od

szmaragdowozielonych motyli zdobiących spódnicę Larentii. Ich skrzydła trzepoczą leniwie, jak gdyby poruszał nimi wiatr. Subtelne przypomnienie, że to żyjące stworzenia, które spoczęły na kreacji damy z domu Viper. Mam nadzieję, że Larentia nie ma zamiaru siadać.

Gdy mieszkałam w Palach, widziałam kilka ślubów. Proste ceremonie. Parę słów przysięgi i naprędce przygotowane przyjęcie. Rodziny kombinują, by zgromadzić wystarczająco dużo jedzenia dla zaproszonych gości, a ci, którzy znajdują się tam przypadkiem, mają całkiem niezłe widowisko. Kilorn i ja często podkradaliśmy resztki z wesela, jeśli cokolwiek zostało. Wypełnialiśmy kieszenie bułkami, po czym wymykaliśmy się, żeby pochłonąć nasze łupy. Nie sądzę, żeby dziś czekały mnie podobne atrakcje.

Dzisiaj będę się trzymać tylko długiego trenu Iris i resztek mojego rozumu.

– Szkoda, że rodzina Waszej Wysokości nie może być liczniej obecna.

Starsza kobieta o całkowicie siwych włosach staje na przodzie grona Srebrnych dam czekających na Iris. Krzyżuje ręce na nienagannym, czarnym mundurze galowym. W przeciwieństwie do większości funkcjonariuszek ma nieliczne odznaczenia, ale wciąż robią one wrażenie. Nigdy wcześniej jej nie widziałam, choć w jej twarzy jest coś znajomego. Ale patrząc na jej rysy pod światło, nie potrafię powiedzieć co.

Iris wita kobietę skinieniem głowy. Stojące za nią dwie pokojówki przypinają jej welon.

– Moja matka jest panującą królową Lakelandii. Nie może opuścić tronu. A starsza siostra, jej następczyni, nie cierpi wyjeżdżać z naszego królestwa.

– Całkiem zrozumiałe. To niespokojne czasy. – Starsza kobieta odwzajemnia skinienie głowy, choć nie tak głęboko, jak można by oczekiwać. – Moje gratulacje, księżniczko.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. Cieszę się z twojej obecności.

„Królewska Mość?”

Starsza kobieta odwraca się do mnie, stając plecami do Iris, podczas gdy pokojówki kończą pracę. Jej wzrok spoczywa na mnie, powieki lekko się zwięzają. Wykonuje gest dłonią. Na jej serdecznym palcu połyskuje ogromny klejnot. Kocica i Koniczyna popychają mnie ku kobiecie, która skądś posiada królewski tytuł.

– Witam, panno Barrow – mówi. Jest mocnej budowy, ma pełną talię i przewyższa mnie o dobre kilka centymetrów. Przyglądam się jej mundurowi w poszukiwaniu kolorów domu, próbując poznać, kim może być.

– Wasza Królewska Mość? – odpowiadam, posługując się jej tytułem. Moje słowa brzmią jak pytanie i prawdę mówiąc, rzeczywiście nim są.

Odpowiada mi rozbawionym uśmiechem.

– Żałuję, że nie poznałam cię wcześniej. Kiedy udawałaś -Mareenę Tytaniusz i nie byłaś ograniczona do tej... – Dotyka delikatnie mojego policzka, na

co się wzdrygam. – Tej mizernej postaci. Może wtedy byłabym w stanie zrozumieć, dlaczego mój wnuk porzucił dla ciebie swoje królestwo.

Jej oczy mają kolor brązu. Rdzy. Wszędzie bym je poznała.

Mimo trwających wokół nas przygotowań ślubnych, chmur jedwabiu i perfum, czuję, że wracam myślami do tej okropnej chwili, kiedy król stracił głowę, a syn ojca. A ta kobieta straciła ich obu.

Z odmętów pamięci, chwil zmarnowanych nad uczeniem się historii, przypominam sobie jej pełne imię. Anabel z domu Lerolan. Królowa Anabel. Matka Tyberiasza Szósteego. Babcia Cala. Teraz widzę koronę z różowego złota i czarnych diamentów spoczywającą na gustownie upiętych włosach. Drobiazg w porównaniu z tym, w czym zazwyczaj paradują przedstawiciele królewskiego rodu.

Cofa dłoń. Tym lepiej. Anabel jest Niwecznikiem. Nie chcę mieć kontaktu z jej palcami. Mogą mnie zniszczyć jednym dotknięciem.

– Moje kondolencje z powodu syna. – Król Tyberiasz nie był łaskawy ani dla mnie, ani dla Mavena, ani dla ponad połowy swoich poddanych, którzy żyli i umarli jako niewolnicy. Ale kochał matkę Cala. Kochał swoje dzieci. Nie był zły. Był tylko słaby.

Ani na moment nie odrywa ode mnie swojego spojrzenia.

– Dziwne stwierdzenie, skoro pomogłaś go zabić.

W jej głosie nie ma oskarżenia. Nie ma złości. Nie ma wściekłości.

Ona kłamie.

\*

Sąd Królewski jest pozbawiony kolorów. To tylko białe ściany i czarne kolumny, marmur, granit i kryształ. Pochłania kolorowy tłum. Do środka wlewa się arystokracja w sukniach, garniturach i mundurach w każdym możliwym mieniącym się odcieniu. Ostatnie pary spieszą do środka, zanim pojawi się panna młoda i jej własny orszak ruszy przez plac Cezara. Kolejne setki Srebrnych, zbyt pospolitych, by otrzymać zaproszenie na królewski ślub, gromadzą się na płycie placu. Tłoczą się w grupkach wzdłuż wydzielonego przejścia obstawionego po równo przez strażników z Norty i Lakelandii. A królestwo obserwuje wszystko razem z nimi.

Z mojego miejsca, ściśnięta między swoimi strażniczkami w wejściu do Pałacu Białego Ognia, ledwie jestem w stanie wyjrzeć Iris za ramię, by zobaczyć, co się dzieje.

Jest milcząca i wygląda jak uosobienie ideału. Spokojna jak nieruchoma woda. Nie wiem, jak ona może to znieść. Ojciec trzyma ją pod rękę, jego kobaltowoniebieskie szaty wyglądają elektryzująco przy białym rękawie ślubnej sukni. Dziś król ma na sobie srebrno--szafirową koronę, która pasuje do korony

Iris. Nie rozmawiają ze sobą i koncentrują się na rozciągającym się przed nimi trakcie.

Jej tren w moich dłoniach wygląda jak ciecz. Jedwab jest tak delikatny, że z łatwością mógłby wyslizgnąć mi się z palców. Trzymam go mocno, nawet jeśli tylko po to, by nie zwrócić na siebie więcej uwagi niż potrzeba. Chyba po raz pierwszy cieszę się, że mam przy swoim boku Evangeline. Trzyma drugi róg trenu Iris. Sądząc po szeptach innych drухen, to prawie skandal. Skupiają się na niej zamiast na mnie. Nikt nie zawraca sobie głowy dziewczyną od błyskawic, kiedy brak jej iskier. Evangeline zaciska zęby i dzielnie znosi sytuację. I na dodatek ani razu się do mnie nie odzywa. Kolejny mały sukces.

Gdzieś w oddali rozlega się dźwięk rogu. Tłum reaguje na to, odwracając się w stronę pałacu całym morzem oczu. Czuję na sobie każde spojrzenie, gdy ruszamy w dół schodów, prosto w paszczę Srebrnego widowiska. Ostatnim razem, kiedy widziałam tu tłum, byłam na kolanach i w obroży, zakrwawiona, posiniaczona i załamana. Właściwie nic się nie zmieniło. Drżą mi palce. Otaczają nas strażnicy, a za moimi plecami idą Kocica i Koniczyna ubrane w skromne, ale stosowne suknie. Tłum posuwa się naprzód i Evangeline jest tak blisko, że mogłaby bez zmrużenia okiem wbić mi nóż między żebra. Z trudem mogę zaczerpnąć oddechu. „Uspokój się”. Koncentruję uwagę na tkaninie w swoich palcach i stawianych krokach.

Wydaje mi się, że czuję coś mokrego na policzku. Modłę się, żeby to był deszcz, a nie nerwowe łzy.

– Weź się w garść, Barrow – ktoś upomina mnie sykiem. Może to Evangeline. Tak samo jak przy Mawenie, czuję chory napływ wdzięczności za ten nędzny wyraz wsparcia. Staram się go odepchnąć. Staram się go sobie wytłumaczyć. Ale niczym wygłodniały pies chwytam się wszystkich ochłapów. Wszystkiego, co można by uznać za życzliwość w tej samotnej -klatce.

Kręci mi się przed oczami. Gdyby nie moje stopy, moje kochane, szybkie, stabilne stopy, pewnie już bym upadła. Każdy kolejny krok jest trudniejszy od poprzedniego. Czuję na plecach mrowienie paniki. Pograżam się w bieli sukni Iris. Liczę nawet uderzenia serca. Wszystko byleby iść dalej. Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, jakbym przez ten ślub zamykała za sobą tysiąc drzwi. Maven podwoił swoją siłę i wzmocnił uścisk. Nigdy mu nie ucieknę. Nie po dzisiejszym dniu.

Kamień pod moimi stopami się zmienia. Gładkie, kwadratowe kafle stają się schodami. Potykam się o pierwszy, ale łapię równowagę i nie upuszczam trenu. Robię jedyną rzecz, jaką wciąż jestem w stanie zrobić. Stoję na uboczu, klęczę, kurczę się w sobie, gorzknieję głodna, gdzieś w cieniu. Czy taka będzie reszta mojego życia?

Zanim wkroczę do paszczy Sądu Królewskiego, podnoszę oczy. Nie patrzę



na rzeźby przedstawiające ogień i gwiazdy, miecze i starożytnych królów, tylko jeszcze wyżej, poza obszar kryształowej, migoczącej kopuły. Na niebo. W oddali gromadzą się chmury. Kilka z nich dotarło już nad plac i miarowo przesuwają się z wiatrem. Jednak po jakimś czasie rozwarstwiają się, rozplywają w smugi nicości. Deszcz pragnie lunąć, ale ktoś, pewnie Srebrni Burzowcy kontrolujący pogodę, na to nie pozwoli. Nic nie może zepsuć tego dnia.

I wtedy niebo znika, zastąpione łukowym sklepieniem. Gładkie łuki z piaskowca, po których pną się srebrne spirale wykutych z żelaza płomieni. Czerwono--czarne proporce Norty i niebieskie proporce Lakelandii przyozdabiają obie strony przedsiionka, jak gdyby ktokolwiek mógł zapomnieć, jakie królestwa zawrą dziś nierozzerwalne przymierze. Szeptu tysięcy gości brzmią jak brzęczenie pszczoł i wzmagają się z każdym moim krokiem. Przejście rozszerza się przede mną w główną aulę Sądu Królewskiego, nadzwyczajną okrągłą salę pod kryształową kopułą. Słońce wspina się po przejrzystych szybach, oświetlając spektakl poniżej. Każde miejsce jest zajęte i wygląda od środka jak aureola jaskrawych kolorów. Tłum czeka, wstrzymując oddech. Nie widzę Mavena, ale domyślam się, gdzie go znaleźć.

Każda inna dziewczyna choćby odrobinę by się zawahała. Ale nie Iris. Nie zwalnia kroku ani na moment, kiedy idziemy w stronę światła. Dźwięk podnoszących się tysięcy osób jest niemal ogłuszający i hałas niesie się po całej sali. Szelest ubrań, ruch, szeptu. Skupiam się na swoim oddechu, ale serce i tak bije mi jak oszalałe. Chcę podnieść wzrok, zobaczyć, gdzie są wyjścia, odgałęziające się korytarze, szczegóły tego miejsca, które mogą mi się przydać.

Mam wrażenie, że upływają lata, zanim docieramy do środka. Maven czeka, jego peleryna jest równie okazała jak tren Iris i dorównuje mu długością. Król wygląda imponująco w jaskrawej czerwieni i bieli zamiast zwyczajowej czerni. Korona jest nowa, wykonana na zamówienie ze srebra i rubinów ułożonych w kształt płomieni. Lśni, kiedy Maven odwraca głowę, aby stanąć twarzą w twarz ze swoją zbliżającą się panną młodą i jej orszakami. Jednak jego oczy najpierw odnajdują mnie. Znam go na tyle dobrze, by rozpoznać w nim żal. Tli się przez chwilę, żywy, tańczący niczym płomień świecy. I z równą łatwością gaśnie, pozostawiając po sobie wspomnienie jak smużkę dymu. Nikt nie rodzi się potworem, potworami się stajemy. Tak było w przypadku Mavena. Kto wie, kim tak naprawdę miał być?

Ceremonia trwa niemal godzinę i przez cały ten czas muszę stać obok Evangeline, wraz z resztą ślubnego orszaku. Maven i Iris wymieniają formułki, przyrzeczenia i obietnice podszeptywane przez sędziego z Norty. Kobieta w zwykłych szatach w kolorze indygo również się odzywa. Jak zakładam, jest z Lakelandii – może to pośredniczka ich bogów? Puszczam wszystko mimo uszu. Mogę myśleć jedynie o armii w czerwieniach i błękitach, która maszeruje przez

świat. Chmury nadal przetaczają się nad kopułą w górze, każda ciemniejsza od poprzedniej. I każda się rozprasza. Burza nie odpuszcza, ale nie może też wygrać.

Znam to uczucie.

– Od tego dnia aż do końca życia wiązę swój los z twoim, Iris z domu Cygnet, Księżniczko Lakelandii.

Maven wyciąga dłoń. Koniuszki jego palców oplata ogień, łagodny i słaby jak płomień świecy. Gdybym zechciała, mogłabym go zdmuchnąć.

– Od tego dnia aż do końca życia wiązę swój los z twoim, Mavlenie z domu Calore, Królu Norty.

Iris wykonuje ten sam ruch i wyciąga swoją dłoń. Białe rękaw obrębiony jaskrawym błękitem osuwa się z gracją, odsłaniając gładką skórę jej ręki, która pochłania wilgoć z powietrza. Jej dłoń wypełnia kula czystej, drżącej wody. Gdy bierze Mavena za rękę, jedna umiejętność dusi drugą bez najmniejszego syku pary czy dymu. Zawarto pokojowy związek, przypieczętowany delikatnym pocałunkiem.

Maven nie całuje jej tak, jak całował mnie. Ogień, który w sobie miał, jest teraz gdzieś bardzo daleko.

Ja też chciałabym być jak najdalej stąd.

Wzdrygam się w środku, gdy zrywa się burza oklasków. Większość ludzi wiwatuje i wcale się im nie dziwię. To ostateczny kres wojny z Lakelandią. Mimo że zginęły całe tysiące, miliony Czerwonych, Srebrni także umierali. Nie odmówię im prawa do świętowania zawarcia pokoju.

W Królewskim Sądzie znów rozlega się hałas, gdy wszyscy zaczynają odsuwać krzesła. Wzdrygam się, zastanawiając, czy zaraz nie zmiażdży nas fala osób pragnących złożyć życzenia młodej parze. Ale napierają na nas tylko wartownicy. Trzymam się trenu Iris jak ostatniej deski ratunku, pozwalając jej zwinnym ruchom przeprowadzić mnie przez tłum, z powrotem na plac Cezara.

Na zewnątrz wrzawa wzmaga się dziesięciokrotnie. Powiewają flagi, trwają gromkie owacje, z nieba spada na nas konfetti. Pochylam głowę, starając się od tego wszystkiego odciąć. Ale zaczyna mi dzwonić w uszach. Dźwięk nie znika, nieważne, ile kręcę głową. Jedna ze strażniczek chwyta mnie za łokieć, jej palce tym mocniej wrzynają się w moje ciało, im większy tłum na nas napiera. Wartownicy coś krzyczą, instruując zgromadzonych, by nie podchodzili bliżej. Maven odwraca się przez ramię, jego twarz jest szara z podekscytowania, nerwów albo jednego i drugiego. Dzwonienie się wzmaga i muszę puścić tren Iris, żeby zakryć uszy. Nic to nie pomaga, jedynie mnie spowalnia i wyklucza z bezpiecznego orszaku. Iris idzie dalej, pod rękę ze swoim nowym mężem i przed Evangeline, która śledzi ich oboje. Rozdziela nas fala tłumy.

Maven widzi, że się zatrzymuję, więc podnosi brew, a jego usta rozchylają się, jakby chciał zadać pytanie. Zwalnia kroku.

Wtedy niebo robi się czarne.

Nadciągają ciemne, ciężkie burzowe chmury i sklepiają niebo nad nami niczym piekielny dym. Spadają z nich błyskawice połyskujące bielą, błękitem i zielenią. Każda z nich jest ostra, gwałtowna, niszczycielska. Nienaturalna.

Serce bije mi tak głośno, że mogłoby zagłuszyć tłum. Ale nie grzmot.

Dźwięk niesie się w mojej piersi, tak blisko i gromko, że wzdryga powietrzem. Czuję na języku jego smak.

Nie mogę zobaczyć kolejnego pioruna, bo Kocica i Koniczyna powalają mnie na ziemię, nie zważając na nasze sukienki. Przytrzymują mnie za ramiona i wbijają się w moje obolałe mięśnie siłą swoich zdolności. Moje ciało zalewa cisza, szybka i na tyle silna, by pozbawić mnie powietrza w płucach. Wydaję z siebie stłumiony jęk i próbuję złapać oddech, błędzę dłońmi po kamiennej posadzce placu, szukając czegoś, czego mogłabym się chwycić. Gdybym mogła oddychać, zaczęłabym się śmiać. Nie pierwszy raz ktoś przygniata mnie do ziemi na placu Cezara.

Znów rozlega się grzmot i znów rozbłyskuje niebieski piorun. Następujący po nim nacisk ciszy Arvenek sprawia, że prawie wymiotuję swoimi wnętrznościami.

– Nie zabij jej, Janny. Nie! – warczy Koniczyna. „Janny”. Prawdziwe imię Kocicy. – Jeśli umrze, będzie na nas.

– To nie ja – próbuję z siebie wykrztusić. – To nie ja.

Jeśli Kocica i Koniczyna mnie słyszą, to tego nie okazują. Ich uścisk nie słabnie. To nowy stały ból.

Nie mogąc krzyczeć, zmuszam się, by unieść głowę i poszukać wzrokiem kogoś, kto mógłby mi pomóc. Szukam Mavena. On to powstrzyma. Nienawidzę siebie za to, że tak myślę.

Pole widzenia zasłaniają mi nogi, czarne mundury, kolory cywilów i odległe, umykające czerwono--pomarańczowe szaty. Wartownicy się nie zatrzymują, zwarcie trzymając szyk. Jak na niedawnym bankiecie, który niemal zakończył się morderstwem, stosują przeciwzoną taktykę, skoncentrowani na swoim jedynym celu: chronić króla. Szybko zmieniają kierunek i prowadzą monarchę nie w stronę pałacu, tylko do gmachu Skarbnicy. Do jego pociągu umożliwiającego ucieczkę.

Ucieczki przed czym?

Ta dziwna burza to nie moja sprawka. Błyskawica nie jest moja.

– Za królem – warczy Janny--Kocica. Podrywa mnie na niepewne nogi i prawie znów upadam. Arvenki mi na to nie pozwalają. Podobnie jak nagła ściana żołnierzy w mundurach. Otaczają mnie formacją w kształcie diamentu, idealną, by przedrzeć się przez otaczający tłum. Arvenki odpuszczają nieco swojej pulsującej mocy, ale tylko na tyle, bym dała radę iść.

Gdy biegniemy przed siebie, pioruny nad nami się wzmagają. Deszcz jeszcze

nie lunął i nie jest na tyle gorąco czy sucho, by mógł strzelić suchy piorun. Dziwne. Gdybym tylko mogła to poczuć. Wykorzystać. Ściągnąć z nieba wyszczerbione zygzyki i obrócić w proch każdą znajdującą się tu osobę.

Tłum jest zdezorientowany. Większość osób spogląda w górę, kilka pokazuje na niebo palcami. Niektórzy próbują się wycofać, ale ludzie stojący za nimi wtłaczają ich z powrotem na miejsce. Rozglądam się po twarzach, szukając wyjaśnienia. Widzę jedynie zamęt i strach. Jeśli tłum wpadnie w panikę, to czy straż będzie w stanie go powstrzymać przed stratowaniem nas?

Wartownicy przed nami zwiększają dystans. Niektórzy zaczęli spychać ludzi z drogi. Jeden z Siłaczy odrzuca jakiegoś mężczyznę o kilka metrów do tyłu, a Psychiczka zmiata trzech czy czterech naraz jednym machnięciem dłoni. To wystarczy, by tłum sam zaczął się przed nimi rozstępować, robiąc miejsce dla uciekającej pary królewskiej. W całym tym zamęcie pochwytyuję spojrzenie Mavena, gdy się na mnie ogląda. Jego oczy są teraz szerokie i dzikie, intensywnie niebieskie, nawet z tak dużej odległości. Jego usta się poruszają i wykrzykują coś, co nie przebija się przez odgłosy grzmotów i narastającej paniki.

– Szybciej! – warczy Koniczyna i pcha mnie do przodu, żebyśmy dogoniły wartowników.

Nasi strażnicy robią się agresywni i używają swoich zdolności. Zwinny rzuca się to w przód, to w tył, torując nam drogę pośród ludzi. Jego sylwetka rozmazuje się niczym tornado. Jednak w następnej chwili staje jak wryty.

Kula trafia go prosto między oczy. Srebrny jest za blisko, by zrobić unik, a pocisk okazuje się zbyt szybki. Głowa Zwinnego odskakuje do tyłu, tryskająca z rany krew kreśli w powietrzu łuk.

Nie znam kobiety, która trzyma broń. Ma niebieskie włosy i niewyraźne niebieskie tatuaże – oraz szkarłatną jak krew chustę zawiązaną wokół nadgarstka. Tłum obok nas zamiera na moment w całkowitym szoku. Sekundę później wybucha panika.

Kobieta z niebieskimi włosami nie wypuszcza z dłoni pistoletu, drugą rękę wyciąga do nieba.

Powietrze rozdziera błyskawica.

Piorun z hukiem leci prosto w grupę wartowników. Precyzyjnie zmierza do celu.

Spodziewam się potężnego wybuchu, tymczasem niebieskawa błyskawica zderza się z kopułą migoczącej wody, która pojawia się nie wiadomo skąd. Iskry rozbiegają się po wodnej tarczy, ale nie są w stanie przez nią przeniknąć. Tworzą pajęczą sieć cienkich ognistych żyłek, rozbłyskują niemal oślepiającym blaskiem, po czym natychmiast znikają. Chronieni wodnym kloszem Maven, Evangeline, a nawet wartownicy przykucają, zasłaniając głowy. Tylko Iris wciąż stoi.

Woda wzbiera wokół niej i wije się jak jeden z węzów Larentii. Rośnie

z każdą sekundą i wysysa wilgoć z powietrza z taką siłą, że w ustach nagle czuję suchość. Iris nie marnuje czasu i zrywa z głowy welon. Mam nikłą nadzieję, że nie spadnie deszcz. Nie chcę wiedzieć, co ona potrafi zrobić z deszczem.

Lakelandzcy strażnicy próbują się przebić przez uciekający tłum. Wartownicy napotykają na tę samą przeszkodę i grzęzną w wybuchłej panice. Srebrni biegną w każdym możliwym kierunku. Niektórzy w stronę zamieszania, inni jak najdalej od niego. Nie wiem, co robić, z jednej strony chcę tak samo jak większość ratować się ucieczką, z drugiej pragnę podbiec do niebieskowłosej kobiety. Czuję dopływ adrenaliny, zaczyna mi szumieć w głowie i całą sobą stawiam opór ciszy, która mnie obezwładnia i tłumi moją moc. „Błyskawica. Ona włada błyskawicą. To Nowa. Taka sama jak ja”. Ta myśl sprawia, że niemal zaczynam płakać ze szczęścia. Jeśli kobieta szybko się stąd nie wydobędzie, zetrą ją w pył.

– Biegnij! – próbuję krzyknąć, ale potrafię wydobyć z siebie tylko szept.

– Zabierzcie króla w bezpieczne miejsce! – niesie się głos Evangeline, która zrywa się na nogi. Suknia Żeleźczyni szybko przemienia się w zbroję i pokrywa jej ciało lśniącymi płytami metalu. – Ewakuacja!

Kilku wartowników wykonuje rozkaz niedoszłej królowej i wciąga Mavena w swój sztyk ochronny. Wokół dłoni władcy pojawia się ogień, płonie jednak słabo i nierówno. Drży tak samo jak Maven. Reszta jego świty wyciąga broń lub mobilizuje swoje umiejętności. Wartownik będący Zawodzielem otwiera usta do krzyku, ale upada na kolano, dysząc. Chwyta się za gardło. Nie może oddychać. Ale dlaczego? Przez kogo? Towarzysze odciągają go na bok, podczas gdy on nie przestaje się dusić.

Na niebie rozbłyska kolejny piorun, tym razem zbyt jasny, by można było na niego spojrzeć. Kiedy znów otwieram oczy, niebieskowłosej kobiety już nie ma, zniknęła w tłumie. W powietrzu znów niesie się odgłos wystrzałów.

Ku własnemu zaskoczeniu zauważam, że nie wszyscy w tłumie uciekają. Nie wszyscy się boją i nie wszyscy są zdezorientowani tym nagłym wybuchem przemocy. Poruszają się inaczej, z determinacją, celem, misją. Widzę czarne pistolety, z których – gdy zostaną przytknięte do pleców lub brzucha strażnika – wydostają się błyski. W narastającej ciemności migoczą ostrza noży. Krzyki strachu przeradzają się w okrzyki bólu. Ciała padają ciężko na kamienne płyty placu.

Pamiętam zamieszki w Summertown. Jak ścigano i torturowano Czerwonych. Tłum, który zwrócił się przeciw najslabszym. Działo się to w zupełnym chaosie, bez żadnego porządku. Tu jest inaczej. To, co wygląda jak wybuch paniki, jest tak naprawdę dziełem kilkudziesięciu zamachowców znajdujących się w tłumie setek ludzi. Z uśmiechem zdaję sobie sprawę, że wszyscy mają ze sobą coś wspólnego. Wraz z narastającą histerią, każdy przywdziewa czerwoną chustę.

Przybyła Szkarłatna Gwardia.

Cal, Kilorn, Farley, Cameron, Bree, Tramy, pułkownik.

Są tutaj.

Z całą siłą, jaka mi pozostała, odchylam głowę do tyłu i uderzam czaszką w nos Koniczyny. Nadzorczyńni wyje z bólu, a po jej twarzy spływa srebrna krew. Natychmiast mnie puszcza, zostawiając Kocicę samą. Bez wahania wbijam tej drugiej łokieć w brzuch, mając nadzieję, że to wystarczy, by się jej pozbyć. Kocica puszcza mnie, ale w zamian szybko obejmuje mnie za szyję ramieniem i przydusza.

Szarpię się, próbując zrobić dla siebie tyle miejsca, by schylić głowę i ugryźć Arvenkę. Nie mam szans. Nadzorczyńni poprawia uścisk, prawie miażdżąc mi tchawicę. Przed oczami latają mi plamy. Czuję, że Kocica szarpie mnie do tyłu, odciąga od Skarbnicy, Mavena, jego wartowników. Wlecze mnie przez tłum ogarnięty bitewnym szałem. Potykam się i upadam do tyłu, kiedy docieramy do schodów. Kopię niemrawo, próbując kogokolwiek zranić. Strażnicy robią uniki przed moimi żalonymi wysiłkami. Niektórzy padają na kolana z uniesionymi pistoletami, żeby osłaniać uciekających. Koniczyna pochyla się nade mną, dolna połowa jej twarzy jest umazana połyskującą srebrzystą krwią.

– Zawracamy przed pałac. Musimy trzymać się rozkazów – syczy do Kocicy.

Próbuję wołać o pomoc, ale nie jestem w stanie zebrać w płucach wystarczająco dużo powietrza, aby wydać z siebie jakiś dźwięk. I tak na nic by się nie zdał. Po niebie sunie coś głośniejszego niż grom. Dwie ciemne plamy. Trzy. Sześć. Metalowe ptaki ze skrzydłami ostrymi jak brzytwy. Lwie paszcze? Pantery? Ale te odrzutowce wyglądają inaczej niż te, które znam. Są smukłe, szybsze. Może to nowa flota Mavena. W oddali widać eksplozję, która wybucha czerwonym ogniem i czarnym dymem. Bombardują plac czy Szkarłatną Gwardię?

Kiedy Arvenki zaciągają mnie do pałacu, prawie wpada na nas inny Srebrny. Łapię go za rękę. Może ten ktoś mi pomoże?

Samson Merandus uśmiecha się do mnie szyderczo, wykręcając dłoń z mojego uścisku. Cofam rękę, jakbym oparzyła się jego dotykiem. Już sam jego widok powoduje u mnie obezwładniającą migrenę. Nie wolno mu było uczestniczyć w ślubie, ale mimo to ubrany jest w galowy, granatowy garnitur i ma gładko zaczesane, jasnopopielate włosy.

– Jeśli ją zgubicie, osobiście was wypatroszę! – warczy przez ramię.

Arvenki wyglądają tak, jakby nikogo na świecie nie bały się bardziej. Energicznie kiwają głowami, podobnie jak trzej pozostali funkcjonariusze. Wszyscy wiedzą, co potrafi szept Merandusa. Jeśli potrzebowałam zachęty, by sprawiać im kłopoty, świadomość, że Samson zrobi im z mózgow sieczkę, jest idealną motywacją.

Kiedy po raz ostatni zerkam na plac, spośród chmur wyłaniają się czarne cienie. Kolejne sterowce. Tylko że te są ciężkie, napuchnięte, niestworzone do

dużych prędkości ani nawet walki. Może podchodzą do lądowania. Nie widzę, jak dotykają ziemi.

Walczę ile sił, co oznacza jedynie, że mamroczę coś i skręcam się pod naporem ciszy. To spowalnia strażników, ale tylko odrobinę. Zaciekle walczę o każdy centymetr, ale na darmo. Idę dalej. Przed nami wiją się korytarze Pałacu Białego Ognia. Doskonale wszystko pamiętam, więc wiem dokładnie, gdzie się udajemy. Do wschodniego skrzydła, części pałacu znajdującej się najbliżej Skarbnicy. Musi stamtąd prowadzić jakieś przejście do przekłętego pociągu Mavena. Kiedy tylko zaciągną mnie pod ziemię, wszelkie nadzieje na ucieczkę prysną.

Dobiegają mnie odgłosy trzech strzałów, tak blisko, że niemal czuję je w piersi. Cokolwiek dzieje się na zewnątrz, powoli zaczyna się wdzierać do pałacu. Przez okno widzę buchające w powietrze czerwone płomienie. Pochodzące z eksplozji lub wzniecane przez jakąś osobę, trudno powiedzieć. Mogę mieć tylko nadzieję. „Cal. Jestem tutaj, Cal”. Wyobrażam go sobie na zewnątrz, w rozszalałym pożarze wściekłości i zniszczenia. W jednej dłoni trzyma pistolet, drugą rzuca ogień, umieszczając w nim cały swój ból i swą wściekłość. Jeśli nie może mnie ocalić, to mam przynajmniej nadzieję, że rozedrze na kawałki potwora, który kiedyś był jego bratem.

– Buntownicy szturmują pałac!

Na dźwięk głosu Evangeline Samos przeszywa mnie prąd. Jej buty brzęczą na marmurowej posadzce, a każdy krok przypomina uderzenie wściekłego młota. Lewa strona jej twarzy jest brudna od srebrnej krwi, a misterna fryzura zupełnie potargana, splątana i zburzona przez wiatr. Śmierdzi dymem.

Jej brata nie ma nigdzie w pobliżu, ale nie jest sama. Wren z domu Skonos, Uzdrowicielka Ciała, która spędziła wiele dni, próbując przywrócić mnie do zdrowia, idzie w krok za nią. Prawdopodobnie została do tego zmuszona po to, by Evangeline była pewna, że nie będzie cierpieć nawet przez sekundę.

Tak jak Cal i Maven, Evangeline zna wojskowe protokoły. Nie traci głowy i jest gotowa do działania.

– Dolna część biblioteki i stara galeria są opanowane. Musimy poprowadzić ją tędy. – Pokazuje skinieniem głowy na odgałęziający się korytarz prostopadły do naszego. Na zewnątrz uderza błyskawica. Jej światło odbija się w zbroi Żeleźczyń. – Wy trzej. – Pstryka palcami na strażników. – Osłaniajcie tyły.

Tracę wszelką nadzieję. Evangeline osobiście dopilnuje, żebym wsiadła do pociągu.

– Pewnego dnia cię zabiję – przeklinam ją znad uścisku Kocicy.

Puszcza tę groźbę mimo uszu, zbyt zajęta wykrzykiwaniem rozkazów. Strażnicy wypełniają je bez zastrzeżeń i przesuwiają się na tyły, aby nas osłaniać. Są zadowoleni, że ktoś przejmuje dowodzenie w tym piekielnym chaosie.

– Co tam się dzieje? – powarkuje Koniczyna, gdy spieszymy dalej. W jej głosie pobrzmiwa lęk. – Ej, ty, nastaw mi nos – dodaje, łapiąc Wren za ramię. Uzdrowicielka Ciała w lot nastawia jej złamany nos ze słyszalnym trzaskiem.

Evangeline spogląda przez ramię, nie na Koniczynę, ale na korytarz za naszymi plecami. Ciemnieje wraz z nasilającą się burzą, która zamienia dzień w noc. Po jej twarzy przelatuje strach – uczucie, którego wcześniej u niej nie widziałam.

– W tłumie byli agenci przebrani za Srebrną arystokrację. Chyba Nowi. Wystarczająco silni, żeby mogli poradzić sobie sami, dopóki nie przyjdą posiłki... – Sprawdza, co jest za rogiem, zanim zacznie przywoływać nas ręką. – Szkarłatna Gwardia przejęła Corvium, nie sądziłam jednak, że mają tylu ludzi. Prawdziwych żołnierzy, dobrze wyszkolonych i uzbrojonych. Spadli z nieba jak cholerna szarańcza.

– Jak oni się tu dostali? Podczas ślubu obowiązywały protokoły najwyższego bezpieczeństwa. Oddziały Srebrnych liczą ponad tysiąc funkcjonariuszy, do tego Nowi, którymi zabawia się Maven... – wybucha Kocica, ale milknie, kiedy zza drzwi wylaniają się dwie postacie ubrane na biało. Ciężar ich ciszy uderza mnie z takim impetem, że miękną mi kolana. – Caz, Brecker, do nas!

Jajo i Trzeciak to, moim zdaniem, bardziej trafione imiona. Nadzorcy ślizgają się po marmurowej posadzce, gdy biegną, by dołączyć do mojego ruchomego więzienia. Gdybym miała dość siły, zaczęłabym płakać. Czterech Arvenów i Evangeline. Znikają ostatnie podszepty nadziei. Nie pomogą już nawet błagania.

– Nie wygrają. Nie mają szans – upiera się Koniczyna.

– Oni nie przyszli tu zdobyć stolicy. Przyszli po nią – rzuca wściekle Evangeline.

Jajo pcha mnie naprzód.

– Że też nie szkoda im czasu na to chuchro.

Znów skręcamy za rogiem do długiej, rozciąglej Sali Bitewnej. W porównaniu z chaosem panującym na placu wydaje się niebywale spokojna, a malowane sceny walk dalekie od całego zamieszania. Górują nad nami, czyniąc z nas karłów w obliczu swojego ogromu. Gdyby nie odległe wycie odrzutowców i wstrząsające łomoty, mogłabym sobie wmówić, że to wszystko było tylko snem.

– Rzeczywiście – mówi Evangeline. Jej kroki cichną tak nieznacznie, że inni nie zauważają. Ale ja tak. – Szkoda czasu.

Poruszając się z kocią gracją, wyciąga przed siebie obie dłonie. Widzę wszystko jakby w zwolnionym tempie. Płyty zbroi wystrzeliwiają z nadgarstków Evangeline, szybkie i mordercze jak kule. Ich krawędzie połyskują, ostre niczym brzytwy. Syczą, przecinając powietrze. I ciała.

Nagły brak ciszy odczuwam tak, jak gdyby ktoś ściągnął mi z barków



ogromny ciężar. Ręka Koniczyny zwalnia zacisk na mojej szyi. Ona także upada.

Po podłodze toczą się cztery głowy, z których leje się krew. Za nimi padają cztery ciała, całe w bieli, z dłońmi w gumowych rękawicach. Ich oczy są otwarte. Nie mieli żadnych szans. Krew – jej zapach i widok – atakuje moje zmysły i czuję, jak w gardle wzrasta mi smak żółci. Nie wymiotuję jedynie dlatego, że przeszywają mnie ostry szpikulec strachu i nagłe olśnienie.

Evangelina nie zaprowadzi mnie do pociągu. Ona mnie zabije. Wszystko zakończy.

Jest zaskakująco opanowana jak na osobę, która przed chwilą uśmierciła czworo swoich ludzi. Płyty metalu powracają do jej zbroi i układają się na miejscu. Wren, Uzdrowicielka Ciała, nie rusza się i wpatruje w sufit. Nie będzie patrzeć na to, co zdarzy się dalej.

Nie ma po co uciekać. Równie dobrze mogę się z tym zmierzyć.

– Wejź mi w drogę, a powoli cię zabiję – szepcze Evangelina, przestępując nad ciałem, żeby złapać mnie za szyję. Czuję jej oddech. Ciepły, z domieszką mięty. – Dziewuszeko od błyskawic.

– Miejmy to już za sobą – cedzę przez zęby.

Z tak bliska jej oczy nie są czarne, lecz szarograwitowe. Jak burzowe chmury. Zwążają się, gdy próbuje zdecydować, jak mnie zabić. Będzie musiała to zrobić własnymi rękoma. Moje kajdany zduszą jej umiejętności. Ale wystarczy nóż. Mam nadzieję, że zrobi to szybko, choć wątpię, by zdobyła się na taką litość.

– Wren, mogłabyś? – mówi Evangelina, wyciągając dłoń.

Zamiast sztyletu Uzdrowicielka Ciała wyciąga klucz z kieszeni pozbawionego głowy Trzeciaka. Podaje go Evangelina.

Nieruchomieję.

– Wiesz, co to jest. – Jak miałabym nie wiedzieć. Marzyłam o tym kluczu. – Złożę ci pewną ofertę.

– Śmiało – szepczę, ani na moment nie odwracając wzroku od szpiczaste zakończonego kawałka żelaza. – Dam ci, co zechcesz.

Evangelina chwyta mnie za podbródek i zmusza, bym na nią spojrzała. Nigdy nie widziałam jej w takiej desperacji, nawet na arenie. Jej wzrok jest niepewny, drży jej dolna warga.

– Straciłaś brata. Nie odbieraj mi mojego.

W brzuchu rozpała mi się gniew. Wszystko, tylko nie to. Bo o Ptolemejuszu także marzyłam. W swoich fantazjach widziałam, jak podrzynam mu gardło, rozczłonkuję jego ciało, rażę go prądem. Zabił Shade'a. Życie za życie. Brat za brata.

Jej palce wbijają się w moją skórę, paznokcie niemal ją przekłuwają.

– Skłamiesz, a zabiję cię na miejscu. A potem wymorduję resztę twojej rodziny. – Gdzieś w krętych korytarzach pałacu wzmagają się echa walki. –

Decyduj, Mare Barrow. Daruj Ptolemeuszowi życie.

– Daruję – chrypię.

– Przysięgnij.

– Przysięgam.

Czuję napływające łzy, kiedy Evangeline szybko ściąga kajdany i odrzuca je najdalej jak może. Gdy kończy, nie umiem już powstrzymać płaczu.

Bez kajdan, bez Cichego Kamienia, świat wydaje się pusty. Powietrze robi się dziwnie lekkie. Boję się, że mogę odfrunąć. Wciąż jednak jestem słaba, jeszcze bardziej niż podczas ostatniej próby ucieczki. Sześć miesięcy w kajdanach nie zniknie w mgnieniu oka. Próbuję pobudzić moją umiejętność, poczuć żarówki, które świecą nade mną. Ledwie wyczuwam ich delikatny szum. Wątpię, czy jestem w stanie choćby je wyłączyć, co kiedyś nie sprawiało mi problemu.

– Dziękuję – szepczę. Słowo, którego jak mi się zdawało, nigdy do niej nie wypowiem. Obie czujemy się przez nie niezręcznie.

– Chcesz mi podziękować, Mare Barrow? – mruczy pod nosem Evangeline, odsuwając kopniakiem ostatnie z moich łańcuchów. – To dotrzyмай słowa. I spraw, by to zasrane miejsce spłonęło na popiół.

Zanim zacznę jej wyjaśniać, że do niczego się nie przydam, że będę potrzebować dni, tygodni, a nawet miesięcy, by dojść do siebie, Wren kładzie mi dłonie na szyi. I już wiem, dlaczego Evangeline przyciągnęła za sobą Uzdrowicielkę Ciała. Nie dla siebie. Dla mnie.

Czuję ciepło, które spływa mi po plecach i przenika żyły, kości i szpik. Pulsuje we mnie z taką mocą, że prawie spodziewam się, iż proces uzdrawiania będzie bolał. Przyklękam zaskoczona. Długotrwały ból znika. Drzenie palców, słabość w nogach, powolny puls – wszelkie pozostałości po działaniu Cichego Kamienia ulatują pod wpływem dotyku Uzdrowicielki. Moja głowa nigdy nie zapomni tego, co się ze mną stało, ale ciało szybko daje sobie z tym radę.

Powraca do mnie energia, wytryskuje gdzieś z głębi mnie i zalewa moje ciało niczym rycząca fala wezbranej rzeki. Każdy nerw budzi się do życia. W żyrandolach na całym korytarzu pękają żarówki. Z ukrytych kamer tryskają iskry i wystrzeliwiają kable. Wren odskakuje na bok, skamłając ze strachu.

Gdy spoglądam w dół, widzę fiolet i biel cienkich żyłek energii elektrycznej, które z sykiem przeskakują między moimi palcami. To uczucie jest boleśnie znajome. Wróciła moja umiejętność, moja siła i potęga.

Evangeline robi ostrożny krok w tył. W jej oczach odbijają się moje iskry.

– Dotrzyмай słowa, dziewczyno od błyskawic.

\*

Ciemność idzie krok w krok za mną.

Lampy syczą i gasną, gdy przechodzę obok. Szkło pęka, sypią się snopy

iskier. Naelektryzowane powietrze buczy jak przewód pod napięciem. Pieści moje dłonie, a ja drzę, znów czując swoją moc. Wydawało mi się, że nie pamiętam, jakie to uczucie. Ale to niemożliwe. Mogę zapomnieć niemal wszystko na tym świecie, ale nie swoją błyskawicę. Nie to, kim i czym jestem.

W kajdanach ledwie zdołałam chodzić. Bez ich ciężaru niemal frunę. W stronę dymu, niebezpieczeństwa, ku temu, co może się okazać moim wybawieniem lub końcem. Nie obchodzi mnie, co mnie wyzwoli, bylebym już ani sekundy dłużej nie spędziła w tym piekielnym więzieniu. Strzępy mojej rubinowej sukienki powiewają na wietrze, ale przynajmniej mogę w niej teraz bez skrępowania biec. Rękawy tłą się od tryskających iskier. Teraz już nic mnie nie ogranicza. Błyskawica uderza tam, gdzie zechcę. Wyskakuje ze mnie z każdym uderzeniem serca. Fioletowo--białe pioruny i iskry tańczą po moich palcach, wystrzelają mi z dłoni. Przechodzi mnie dreszcz rozkoszy. Nie ma drugiej takiej rzeczy, dzięki której czułabym się równie wspaniale. Patrzę na strumienie elektryczności, zachwycona każdą ich żyłką. „Minęło tyle czasu. Minęło tyle czasu”.

Tak musi czuć się myśliwy. Gdziekolwiek pójdę, mam nadzieję trafić na ofiarę. Wybieram najkrótszą ścieżkę, jaką znam, i przedzieram się przez salę posiedzeń. Jej puste krzesła obserwują mnie, kiedy przebiegam po nortańskim godle. Gdybym miała czas, starłabym z powierzchni ziemi symbol pod swoimi stopami. Zniszczyła każdy cal Płonącej Korony. Ale najpierw muszę się pozbyć koronowanej głowy. Bo to właśnie mam zamiar zrobić. Jeśli Maven nadal tu jest, jeśli ten przeklęty chłopak jeszcze nie uciekł, to stanę się świadkiem jego ostatniego oddechu, by mieć całkowitą pewność, że już nigdy nie znajdę się na jego smyczy.

W moją stronę, plecami do mnie, wycofuje się trzech strażników. Wciąż robią to, co rozkazała Evangeline. Ze strzelbami zatkniętymi pod pachami i palcami na spustach osłaniają korytarz. Nie znam ich imion, tylko ich kolory. Dom Greco, sami Siłacze. Nie potrzebują naboju, żeby mnie zabić. Jeden z nich mógłby złamać mi kark, zmiażdżyć klatkę piersiową i zgnieść czaszkę jakby to było winogrono. Albo ja, albo oni.

Pierwszy z nich słyszy moje kroki i spogląda przez ramię. Moja błyskawica ze świstem przesywa mu kręgosłup i dociera do mózgu. Przez moment czuję jego rozgałęziające się nerwy. Dalej ciemność. Pozostali dwaj odwracają się do mnie twarzami. Błyskawica jest od nich szybsza i rozsadza ich na pół.

Nie zatrzymuję się ani na moment i przeskakuję nad dymiącymi ciałami.

Kolejny korytarz biegnie wzdłuż placu, jego jeszcze niedawno lśniące okna pokrywają smugi popiołu. Na podłodze leży kilka roztrzaskanych żyrandoli w żaloznych stertach złota i kryształu. Są też ciała. Strażnicy w czarnych mundurach, Szkarłatna Gwardia z czerwonymi chustami. Pokłósie starcia, jedna

z wielu bitew w tej wojnie. Sprawdzam puls u najbliższej gwardzistki. Nic. Ma zamknięte oczy. Cieszę się, że jej nie rozpoznaję.

Na zewnątrz chmury rozdziera kolejna błyskawica. Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu, a uniesione kąciki ust boleśnie napinają mi blizny. Następna Nowa, która potrafi panować nad piorunami. Nie jestem sama.

Działam szybko i zbieram z martwych ciał wszystko, co może mi się przydać. Pistolet i amunicję funkcjonariusza. Czerwoną chustkę kobiety. Umarła za mnie. „Kiedy indziej, Mare”, upominam samą siebie, odpychając myśli, które potrafią mnie wciągnąć jak ruchome piaski. Z pomocą zębów zaciskam sobie chustę na nadgarstku.

Od okien odbijają się salwy kul. Złęczniona padam na podłogę, ale szyby nie pękają. Diamentowe szkło. Kuloodporne. Jestem za nim bezpieczna, ale także uwięziona.

Nigdy więcej.

Idę wzdłuż ściany, starając się pozostać niezauważoną i jednocześnie obserwując sytuację. Wydaję z siebie jęk.

To, co jeszcze niedawno było ceremonią ślubną, teraz jest zarzewiem wojny. Byłam zachwycona buntem domów Iral, Haven i Laris, ale to, co się dzieje, znacznie przewyższa ich wyczyn. Po jednej stronie setki nortańskich oficerów, lakelandzcy strażnicy, śmiertelnie niebezpieczni dworzanie, po drugiej Szkarłatna Gwardia. Między nimi muszą być gdzieś Nowi. Wszędzie widzę Czerwonych żołnierzy, niemożliwe, że aż tylu. Przeważają liczebnie nad Srebrnymi przynajmniej pięciu na jednego i bez cienia wątpliwości są żołnierzami, na dodatek precyzyjnie przygotowanymi: od bojowego rynsztunku po sposób poruszania. Zaczynam się zastanawiać, jak się tu w ogóle dostali, ale wtedy widzę odrzutowce. Sześć maszyn w samym środku placu. Z każdego wylewają się dziesiątki żołnierzy. Wrą we mnie nadzieja i podekscytowanie.

– Niezła akcja ratunkowa – szepczę pod nosem.

I dopilnuję, żeby się powiodła.

Nie jestem Srebrna, nie potrzebuję zasilać swojej umiejętności z otoczenia. Ale nie zaszkodzi, jeśli pobiorę więcej prądu, więcej siły. Zamykam oczy tylko na sekundę i sięgam do każdego kabla, wysysam każdy impuls elektryczny z najbliższej okolicy, pochłaniam każdy ładunek łącznie z tymi, które trzymają się naelektryzowanych zasłon. Energia przybywa na moje wezwanie. Wzmacnia mnie, uzdrawia tak samo jak dotyk Wren.

Po sześciu miesiącach ciemności w końcu czuję światło.

Cały świat znów otacza biało--fioletowa obwódka. W moim ciele buzuje energia, dotyk błyskawicy przyprawia mnie o gęsią skórę. Biegnę dalej. Adrenalina i elektryczność. Czuję się, jakbym mogła przebić ścianę.

Wejścia do pałacu pilnuje kilkunastu strażników. Jeden to -Żeleźca, który

zajmuje się zabijaniem okien powykręcanyymi żyrandolami i złotymi sztukateriami. Podłoga zasłana jest ciałami i krwią w obu kolorach. Zapach prochu jest tak dominujący, że przyćmiewa wszystko oprócz wybuchów na zewnątrz. Strażnicy zabezpieczają pałac, utrzymując swoje pozycje. Koncentrują się na walce toczącej się na zewnątrz, na placu. Nie patrzą na to, co mają za plecami.

Przykucam i przykładam dłoń do marmuru pod stopami. Czuję jego chłód na palcach. Kieruję piorun w kamień i posyłam go po podłodze poszarpanym elektrycznym strumieniem. Prąd pulsuje niczym fala i bierze ich wszystkich z zaskoczenia. Niektórzy upadają, inni zataczają się do tyłu. Siła wybuchu dudni mi w piersi, nie wiem, czy to wystarczy, by ich zabić.

Myślę jedynie o placu. Kiedy świeże powietrze uderza moje płuca, prawie zaczynam się śmiać. Jest zatrute popiołem, krwią, elektrycznymi ładunkami burzy, ale smakuje najwspanialej na świecie. Nade mną gruchoczą czarne chmury. Ten dźwięk żyje w moich kościach.

Po niebie niesie się fioletowo--biały piorun. To znak. Dziewczyna od błyskawic jest wolna.

Nie stoję tam za długo. Sterczenie na schodach i przyglądanie się zamieszaniu to dobry sposób, by zarobić kulę. Rzucam się w bój i rozglądam za choćby jedną znajomą twarzą. Choćby przelotnie znajomą. Wokół mnie ludzie zderzają się ze sobą bez ładu i składu. Srebrni zostali wzięci z zaskoczenia i nie mogli stworzyć swojej wyćwiczonej formacji. Jedynie żołnierze Szkarłatnej Gwardii zachowali jakikolwiek szyk, ale szybko się rozpraszają. Przemykam pomiędzy walczącymi, kierując się do Skarbnicy, ostatniego miejsca, w którym mogą przebywać Maven i jego wartownicy. Byli tam zaledwie kilka minut temu. I wciąż mogą tam być, otoczeni, próbując odeprzeć atak. Zabiję go. Muszę.

Tuż przy mojej głowie świszczą kule. Jestem niska, ale i tak biegnę skulona.

Pierwszy Srebrny, który staje ze mną do walki, ma na sobie złoto--czarne szaty domu Provos. Chudy mężczyzna o przeredzonych włosach. Wyciąga rękę w moją stronę i odrzuca mnie do tyłu, przez co uderzam głową o kamienne płyty. Prawie zaczynam się śmiać. Po chwili jednak nie mogę zaczerpnąć powietrza. Czuję, jak zaciska mi się pierś. Moje żebra. Podnoszę głowę i widzę, jak przeciwnik stoi nade mną, zaciskając dłoń w pięść. Psychik chce mi zmiażdżyć klatkę piersiową.

Uderza w niego błyskawica, wściekle skrząca iskrami. Provos robi unik szybciej, niż się tego spodziewałam. Przed oczami pojawiają mi się plamki, mój mózg łaknie tlenu. Kolejny piorun, kolejny unik.

Provos jest tak na mnie skoncentrowany, że nie zauważa Czerwonego żołnierza o beczkowatym torsie kilka metrów za nim. Czerwony przestrzela mu głowę na wylot. To nie jest ładny widok. Na mojej zniszczonej sukni rozbryzguje się srebrna krew.

– Mare! – krzyczy Czerwony, biegnąc do mego boku. Rozpoznaję jego głos, jego ciemnobrązową twarz i jaskrawoniebieskie oczy. Razem z nim biegnie czterech gwardzistów. Otaczają mnie dla ochrony. Silnymi dłońmi podciągają mnie na nogi.

Z wysiłkiem biorę wdech i drżę z poczucia ulgi. Nie wiem, kiedy przemytnik zaprzyjaźniony z moim bratem stał się prawdziwym żołnierzem, i to nie jest odpowiednia pora, by o to pytać.

– Crance.

Nie chowając pistoletu, mężczyzna sięga po krótkofalówkę.

– Tu Crance. Mam Barrow na placu. – Pusty syk, który następuje w odpowiedzi, nie wróży niczego dobrego. – Powtarzam. Mam Barrow. – Przeklinając, przypina krótkofalówkę z powrotem do paska. – Kanały się mieszają. Za dużo zakłóceń.

– Przez burzę? – Znow podnoszę wzrok na niebo. Niebieskie, białe, zielone. Przymrużam powieki i zrzucam kolejny fioletowy piorun, który rozbija się o ziemię oślepiającą feerią kolorów.

– Pewnie tak. Cał nas ostrzegał...

Wciążam powietrze ze świstem. Łapię Crance'a tak mocno, że aż się wzdryga.

– Cał? Gdzie on jest?

– Muszę cię stąd wydostać...

– Gdzie?

Wzdycha, wiedząc, że nie będę pytać po raz trzeci.

– Gdzieś tu. Nie wiem dokładnie! Macie się spotkać przy bramie głównej! – krzyczy mi do ucha, upewniając się, że na pewno go usłyszę. – Za pięć minut. Złap kobietę w zielonym. Trzymaj – dodaje, ściągając z siebie swoją ciepłą kurtkę. Wkładam ją na moją poszarpaną suknię bez słowa sprzeciwu. Wydaje się ciężka. – Częściowo kuloodporna. Trochę cię osłoni.

Zrywam się do biegu, zanim zdołam mu podziękować. Cał gdzieś tu jest. Na pewno ściga Mavena tak jak ja. Tłum napiera niczym zwinnie zmieniająca się fala. Gdyby nie gwardziści w zarzewiu walki, utworowałabym sobie drogę. Poraziłabym wszystkich prądem i przeszła na drugą stronę placu. Muszę jednak polegać na dawnych instynktach. Taneczne kroki, zwinność, przewidywanie ruchów nieustannie pulsującej fali chaotycznego tłumu. W krok za mną podąża błyskawica, dzięki której pozbywam się przeciwników. Z boku atakuje mnie Siłacz i pcha przez płataninę rąk i nóg, ale nie wracam, aby z nim walczyć. Idę naprzód, przedzieram się, biegnę. W mojej głowie rozbrzmiewa jedno imię. „Cał. Cał. Cał. Jeśli się do niego dostanę, będę bezpieczna”. Może to kłamstwo, ale przynajmniej dobre kłamstwo.

Z każdym moim krokiem zapach dymu robi się coraz silniejszy. Tli się we

mnie nadzieja. Nie ma dymu bez księcia ognia.

Po ścianach Skarbnicy spływają popiół i sadza. Jeden z pocisków wystrzelonych z odrzutowca rozwalil kawał muru, przecinając marmur jak masło. Gruz leży przy wejściu, tworząc dobrą osłonę. Wartownicy wykorzystują go, jak mogą, ich szeregi wspierają Lakelandczycy oraz kilku strażników budynku w fioletowych mundurach. Niektórzy z nich strzelają do nadciągających gwardzistów, starając się osłaniać swojego króla, inni korzystają ze swoich zdolności. Przemykam pomiędzy kilkoma ciałami zamrożonymi na stojąco przez Mroźnego z domu Gliacon. Parę innych osób żyje, ale klęczy i krwawi z uszu. Zawodzielec z domu Marinos. Wszędzie widać ślady morderczych Srebrnych. Ciała przeszyte metalem, złamane karki, wklęsnięte czaszki, usta, z których wypływa woda, szczególnie zmasakrowane ciało człowieka uduszonego roślinami, które wyrosły z jego własnych ust. Gdy mu się przyglądam, Zieleniec rzuca garść ziaren na szarżujący oddział Szkarłatnej Gwardii. Na moich oczach nasiona wybuchają jak granaty i wydobywają się z nich pnącza i kolce.

Nie widzę tu Cala ani innych znajomych twarzy. Maven jest już w Skarbnicy i zmierza do pociągu.

Zaciskając pięść, rzucam w wartowników wszystkim, co mam. Mój piorun trzaska o kamień, na co oni wycofują się w popłochu. Jak przez mgłę słyszę, że ktoś krzyczy, by napierać do przodu. Gwardziści robią, co się im każe, i wystrzeliliwią magazynek za magazynkiem. Nie odpuszczam ani na moment i posyłam kolejną serię piorunów.

– Kryć się! – krzyczy jakiś głos.

Podnoszę głowę, spodziewając się ataku z powietrza. Odrzutowce tańczą w burzowych chmurach i gonią się nawzajem. Żadne z nas zdaje się nimi szczególnie nie przejmować.

Wtedy ktoś odpycha mnie na stronę. Odwracam się w porę, by zobaczyć, jak znajoma mi osoba szarżuje pustą ścieżką, z opuszczoną głową, w zbroi na głowie, karku i ramionach. Nabiera prędkości, ciężko pracując nogami.

– Darmian!

Nie słyszy mnie, jest zbyt zajęty rozbijaniem marmurowej blokady. Od jego zbroi i skóry odbijają się kule. Mroźny posyła salwę lodowych szpikulców wprost w jego pierś, ale wszystkie rozpadają się na kawałki. Jeśli Darmian się boi, to tego nie okazuje. Nigdy się nie waha. Cal go tego nauczył. Jeszcze na Polanie. Kiedy wszyscy byliśmy razem. Pamiętam z tamtego czasu innego Darmiana. Był cichym chłopakiem w porównaniu z Nixem, drugim Nowym, który tak jak on posiadał niemożliwą do przebicia skórę. Nix już nie żyje, ale Damian tak. I to na całego! Rycząc, wdrapuje się na marmurową blokadę i trątuje dwóch wartowników.

Atakują go, czym mogą. „Głupcy”. Równie dobrze mogliby ostrzeliwać kuloodporną szybę. Darmian odwdzięcza się im granatami. Wybuchają ogniem

i dymem. Wartownicy padają na plecy. Niewielu z nich jest w stanie przetrzymać bezpośrednią eksplozję.

Gwardziści przeskakują przez gruzy za Darmianem. Wielu go wyprzedza. Wartownicy nie są ich prawdziwym celem. Jest nim Maven. Wlewają się do Skarbnicy, deptając królowi po piętach.

Gdy biegnę przed siebie, pozwalam swojej umiejętności ruszyć przodem. Czuję światła głównego holu Skarbnicy, które luźną spiralą zagłębiają się w skałę. Mój zmysł wędruje w dół po przewodach, coraz niżej i niżej. Pod nami znajduje się coś wielkiego, słyszę wzmagające się pomrukiwanie silnika. On nadal tu jest.

Przedostanie się na drugą stronę marmurowej barykady nie jest trudne. Wdrapuję się na nią na czworakach, ale skupiam na tym, co znajduje się trzydzieści metrów pod spodem. Kolejny wybuch granatu bierze mnie z zaskoczenia. Jego siła wyrzuca mnie do tyłu falą żaru. Padam płasko na plecy kompletnie bez tchu i w duchu dziękuję Crance'owi za kurtkę. Płomień eksplozji przemyka ledwie centymetry nad moją skórą.

Wybuch był zbyt duży jak na granat. Zbyt kontrolowany jak na naturalny płomień.

Wstaję na nogi, zmuszając je, by mnie słuchały, i jednocześnie próbuję zaczerpnąć powietrza. „Maven”. Powinam się była domyślić. Nie zostawiłby mnie tu. Nie uciekłyby bez swojej ulubionej tresowanej małpki. Przyszedł po to, by samodzielnie założyć kajdany.

„Powodzenia”.

Za wijącym się ogniem podąża dym, przez który i tak ciemny już plac robi się mglisty. Dym otacza mnie, z każdą sekundą robi się coraz gęstszy i gorętszy. Napinam całe ciało i posyłam piorun przez swoje nerwy, pozwalając mu strzelać na każdym centymetrze. Robię krok w stronę jego sylwetki, mrocznej i obcej w migoczącym świetle ognia. Płomienie wiją się, a ogień strzela wściekłymi, gorącymi, niebieskimi płomieniami. Po karku spływa mi pot. Zaciskam pięści, szykując się na to, jak przeszyję go każdą kroplą wściekłości, jaka wezbrała we mnie w jego więzieniu. Czekałam na ten moment. Maven to przebiegły król, ale żaden z niego wojownik. Rozedrę go na strzępy.

Nad naszymi głowami strzela piorun jaśniejszy niż ogień. Oświetla go, a wzmagający się wiatr rozgania dym i odsłania...

Miedzianozłote oczy. Szerokie ramiona. Twarde dłonie, znajome wargi, nieokielznane, czarne włosy i twarz, za którą tak tęskniłam.

To nie Maven. Wszystkie myśli o młodocianym królu natychmiast znikają.

– Cal!

W moją stronę leci z sykiem kula ognia, która niemal trafia mnie w głowę. W ostatniej chwili robię instynktowny unik. Nic nie rozumiem. Nie myślę się. To Cal, w zbroi szturmowej, z czerwoną szarfą przewiazaną w talii. Zwalczam w sobie



zwierzęcą wręcz potrzebę, by do niego pobiec. Aby się cofnąć, muszę zebrać w sobie wszelkie rezerwy samokontroli.

– Cal, to ja! Mare!

Nie odzywa się, jedynie obraca tak, by stać dokładnie naprzeciw mnie. Ogień wokół nas kotłuje się i zacieśnia z zawrotną prędkością. Żar wypycha mi tlen z płuc i krztuszę się dymem. Jestem bezpieczna tylko dzięki błyskawicy, która tworzy wokół mnie elektryczną tarczę, bym nie spłonęła żywcem.

Kulę się i przebijam przez ten pożar. Sukienka zajmuje się ogniem, z jej strzępów snują się smużki dymu. Nie marnuję czasu ani siły, próbując ustalić, co się dzieje. Już wiem.

Oczy Cala są zasnutę mgłą, nieskupione. Nie widzę w nich, by mnie poznawał. Nic w nich nie wskazuje na to, że przez ostatnie pół roku staraliśmy się do siebie wrócić. Jego ruchy są automatyczne, nawet jak na wojskowego.

Kontroluje go Szeptacz. Nie muszę się nawet domyślać który.

– Tak mi przykro – mamroczę, choć wiem, że Cal mnie nie słyszy.

Odrzuca go uderzenie pioruna, iskry tańczą po płytach jego zbroi. Dostaje ataku drgawek, podczas gdy prąd przeszywa jego nerwy. Zagryzam wargi, bardziej niż kiedykolwiek starając się delikatnie stąpać po cienkiej granicy pomiędzy obezwładnieniem a zabiciem przeciwnika. Źle szacuję jego słabość. Popelniam błąd.

Cal jest silniejszy, niż kiedykolwiek sądziłam. I ma ogromną przewagę. Ja próbuję go ocalić. On chce mnie zabić.

Mimo swojego bólu Cal atakuje. Robię unik, na moment koncentrując się nie na trzymaniu go na dystans, tylko ratowaniu się z potrzasku. Nad moją głową przelatuje ognisty cios. Czuję zapach spalonych włosów. Kolejny trafia mnie w brzuch i upadam na ziemię. Koziółkuję do tyłu, ale wstaję na nogi, czując, jak powracają moje dawne umiejętności. Ruchem dłoni posyłam następny grom, który iskrząc, tańczy po jego nodze i pnie się do kręgosłupa. Cal wyje. Ten dźwięk skręca mi wnętrzności. Ale dzięki temu zyskuję przewagę.

Skupiam się tylko na jednym, na upiornej twarzy jednej osoby. Samsona Merandusa.

Musi być gdzieś w pobliżu, skoro manipuluje Calem i posłał go za mną w pościg. Biegając, rozglądam się po polu bitwy za jego granatowym mundurem. Jeśli tu jest, to dobrze się ukrywa. A może przycupnął gdzieś na górze i obserwuje mnie z dachu Skarbnicy lub z któregoś okna przyległych budynków? Zaczynam się gubić w domysłach, przez co moje zdecydowanie słabnie. Cal jest tuż obok. Znów jesteśmy razem. Tyle że on próbuje mnie zabić.

Żar jego gniewu depcze mi po piętach. Po mojej lewej przelatuje kolejna kula ognia, która posyła mi po ręce rozpalone do białości ukłucia agonii. Adrenalina szybko ją tłumi. Teraz nie pora na ból.

Przynajmniej jestem szybsza niż on. Po zdjęciu kajdan każdy krok wydaje się lżejszy niż poprzedni. Pozwalam toczącej się nade mną burzy nasycić mnie energią innej panującej nad błyskawicami Nowej, która musi tu gdzieś być. Nie dostrzegam nigdzie jej niebieskich włosów. Szkoda. Przydałaby mi się teraz.

Jeśli Samson ukrywa się gdzieś w pobliżu Skarbnicy, muszę jedynie wydostać Cala z pola jego zasięgu. Odwracam się przez ramię. Cal wciąż za mną idzie, jak cień błękitnego płomienia.

– Złap mnie, Calore! – krzyczę do niego, śląc mu piorun prosto w pierś. Silniejszy niż ostatni, wystarczająco mocny.

Cal robi uniki, ani na chwilę nie przystając. Depcze mi po piętach.

„Mam nadzieję, że to poskutkuje”.

Nikt nie ośmiela się wejść nam w drogę.

Czerwień, indygo i fiolet, płomienie i gromy podążają za nami krok w krok, przecinając pole bitwy jak nóż. Cal idzie za mną, mając w głowie tylko jedną myśl, jak pies myśliwski. A ja zdecydowanie czuję się tak, jakby ktoś na mnie polował.

Skrećam w stronę głównej bramy i tego spotkania, o którym wspomniał Crance. Mojej ucieczki. Nie żebym miała zamiar się do niej rzucić. Nie bez Cala.

Po niespełna stu metrach jest dla mnie jasne, że Samson biegnie za nami, tylko trzyma się poza zasięgiem wzroku. Moc żadnego Szeptacza, nawet Elary, nie ma takiego zasięgu. Rozglądam się na boki i przyglądam trwającej wokół rzezi. Im dłużej toczy się walka, tym więcej czasu zyskują Srebrni, aby się zorganizować. Żołnierze wojsk w szarych mundurach zalewają plac, systematycznie zdobywając kontrolę nad jego kolejnymi częściami. Większość arystokratów kryje się za wojskiem, choć kilku – najsilniejszych, najodważniejszych, najbardziej spragnionych krwi – walczy dalej. Spodziewałabym się, że dom Samos będzie w samym środku walk, ale nigdzie nie widzę znajomych Żeleźców. I wciąż żadnych innych znanych mi twarzy ze Szkarłatnej Gwardii. Ani Farley, ani pułkownika, Kilorna czy Cameron, a nawet nikogo z Nowych, których pomogłam zwerbować. Tylko Darmian, który pewnie przedziera się teraz przez Skarbnicę, i Cal, który robi, co może, żeby spalić mnie żywcem.

Przeklinam pod nosem i żałuję, że nie ma Cameron. Uciszyłaby Cala i powstrzymała na tyle długo, bym znalazła i zabiła Samsona. Ale muszę to zrobić sama. Muszę utrzymać go na dystans, siebie utrzymać przy życiu i jakimś cudem załatwić Szeptacza, który prześladowuje nas oboje.

Nagle kątem oka widzę przemykającą smugę granatu. Długie miesiące spędzone w niewoli u Srebrnych bardzo wyculiły mnie na kolory domów. Pani Blonos wbiła mi do głowy swoją wiedzę i teraz, bardziej niż kiedykolwiek, jestem jej za to wdzięczna.

Obracam się natychmiast i zmieniam kierunek, czując, że nadchodzi chwila zemsty. Pomiędzy Srebrnymi żołnierzami przemyka jasnopopielata głowa, która

próbuję wmieszać się w ich szeregi. Ale się wyróżnia, jego elegancki garnitur stanowi zdecydowany kontrast z wojskowymi mundurami. Wszystko się na nim skupia: cała moja koncentracja, cała moja energia. Kieruję w jego stronę wszystko, co mam w sobie, celując piorunem w Samsona i Srebrną tarczę między nami.

Jego spojrzenie spotyka się z moim i błyskawica wygina się w łuk niczym bicz. Samson ma te same oczy co Elara i Maven. Niebieskie jak lód, niebieskie jak płomień. Zimne i nieczułe.

W dziwny sposób mój strumień prądu wygina się wokół niego i wystrzela w innym kierunku. Moja dłoń porusza się razem z nim, moje ciało działa według własnej woli i błyskawica kieruje się na Cala. Próbuję do niego krzyczeć, choć ostrzeganie człowieka kontrolowanego przez innego na nic się nie zda. Ale moje usta się nie ruszają. Przerazenie spływa mi po plecach jak krew – to jedyne, co czuję. Ani ziemia pod moimi stopami, ani ból moich nowych oparzeń, ani nawet cuchnące dymem powietrze, które zatyka mi nos. Wszystko znika. Zostaje usunięte. Zabrane.

Krzyczę w środku, bo wiem, że teraz Samson panuje nade mną. Nie mogę wydobyć z siebie głosu. Doskonale znam to uczucie, gdy jego myśli wpijają się w mój umysł.

Cal mruga, jakby wybudził się właśnie z długiego snu. Ledwie ma czas zareagować i unosi ręce, żeby ochronić głowę przed elektrycznym ciosem. Część iskier zamienia dzięki swojej umiejętności w ogień. Większość jednak trafia prosto w niego, przez co Cal pada na kolana, wydając z siebie jęk bólu.

– Samson! – krzyczy przez zaciśnięte zęby.

Spostrzegam, że moja dłoń przesuwana się w stronę biodra. Wyciąga pistolet, który zabrałam strażniczce, i przystawia lufę do mojej skroni.

Szepty Samsona w mojej głowie wzmagają się, prawie zagłuszając wszystko inne.

„Zrób to. Zrób to. Zrób to”.

Nie czuję spustu. Nie poczuje kuli.

Cal wykręca mi rękę i odwraca mnie do siebie. Wrywa mi pistolet i rzuca nim przez plac. Nigdy nie widziałam, żeby tak się bał.

„Zabij go. Zabij go. Zabij go”.

Moje ciało słucha.

Jestem jedynie widzem w swojej własnej głowie. Na moich oczach toczy się zaciekle walka, a ja mogę tylko obserwować. Płyty na placu zlewają się w jedno, kiedy Samson każe mi biec i zderzyć się z Calem. Zachowuję się jak ludzki piorunochron i wczepiam się w jego zbroję, po czym ściągamy z nieba wszelkie ładunki i wtłaczam je w niego.

Jego spojrzenie spowija mgła bólu i strachu. Nie zdoła się obronić samymi płomieniami. Rzucam się na niego i próbuję chwycić za nadgarstki. Ale bransoleta

do krzesania iskier mocno się trzyma.

„Zabij go. Zabij go. Zabij go”.

Odpycha mnie ogień. Koziółkuję w tył, głowa i ramiona podskakują. Świat wiruje, a moje oszołomione kończyny próbują podźwignąć mnie do pionu.

„Wstawaj. Wstawaj. Wstawaj”.

– Nie wstawaj, Mare! – woła do mnie Cal. Jego postać tańczy przede mną i rozdziela na trzy. Być może mam wstrząśnienie mózgu. Po białych płytach placu rozlewa się czerwona krew.

„Wstawaj. Wstawaj. Wstawaj”.

Stopy poruszają się pode mną z determinacją. Wstaję za szybko i niemal znów się przewracam, kiedy Samson wymusza na mnie chwiejne kroki. Zmniejsza odległość między moim ciałem a Calem. Widziałam to już tysiąc lat temu. Samson Merandus na arenie zmusza innego Srebrnego, by pociął sobie wnętrzności. To samo zrobi ze mną, kiedy już wykorzysta mnie, by zabić Cala.

Staram się walczyć, choć właściwie nie wiem, od czego zacząć. Staram się poruszyć choć palcem u dłoni lub stopy. Żadnej reakcji.

„Zabij go. Zabij go. Zabij go”.

Z mojej dłoni wyrывa się błyskawica i gna w stronę Cala. Nie trafia go, jest tak samo rozchwiana jak moje ciało. Cal posyła w odpowiedzi łuk ognia, na co wykonuję unik, ale się potykam.

„Wstawaj. Zabij go. Wstawaj”.

Jego szepty są w mojej głowie jak ostre rany. Mój mózg pewnie krwawi.

„ZABIJ GO. WSTAWAJ. ZABIJ GO”.

Pośród płomieni znów widzę granat. Cal śledzi Samsona i przykłęka, mierząc do niego z własnej broni.

„WSTAWAJ...”

Ból uderza mnie jak fala i padam na plecy tuż przed tym, gdy nad głową przelecą mi kule. Po nich następują kolejne, jeszcze bliżej. Zupełnie instynktownie, próbując zwalczyć dzwonięcie w poobijanej głowie, zbieram się na nogi. Poruszam się z własnej woli.

Krzycząc, zamieniam ogień Cala w piorun, rude loki płomieni stają się filetoowo--białymi żyłkami elektryczności. Ochraniają mnie, podczas gdy Cal wypuszcza w moją stronę kulę za kulą. Za jego plecami widzę uśmiech Samsona.

„Drań. Będzie się tak nami bawił, dopóki się nie pozabijamy”.

Najszybciej, jak potrafię, rzucam kolejny piorun w stronę Samsona i pozwalam się mu rozszczepić. Jeśli choć na chwilę uda mi się zburzyć jego koncentrację, może będziemy mieć jakąś szansę.

Cal, marionetka w jego rękach, natychmiast reaguje. Osłania Samsona swoim szerokim ciałem i przyjmuje na siebie siłę mojego ataku.

– Niech ktoś nam pomoże! – krzyczę, ale nikt nas nie słyszy. Jest nas tylko

troje w walce toczonej przez setki. Walce, która robi się jednostronna. Srebrne oddziały rosną, karmione zastępami z koszar i resztą garnizonu Archeonu. Moje pięć minut dawno minęło. Możliwość ucieczki, o której mówił Crance, pewnie już przepadła.

Muszę złamać Samsona. Muszę.

Kolejna błyskawica, tym razem puszczona po płycie placu. Od niej nie da się uciec.

„ZABIJ GO. ZABIJ GO. ZABIJ GO”.

Powracają szepty, przez co moje dłonie cofają strumień prądu, który wygina się do tyłu, tworząc miażdżącą falę.

Cał przykuca, odwraca się i wymierza cios z półobrotu. Trafia Samsona, który bezwładnie upada na ziemię.

Jego kontrola nade mną załamuje się, więc wykorzystuję szansę. Kolejna elektryczna fala. Ta omywa ich obu. Cał przeklina, dusząc w sobie jęk. Samson zwija się, a jego wrzask mrozi krew w żyłach. Nie przywykł do takiego uczucia.

„Zabij go...”

Szept jest odległy, słabnący. Potrafię go zwalczyć.

Cał chwyta Samsona za szyję i podciąga do góry, by po chwili roztluc jego głowę o ziemię.

„Zabij go...”

Podnoszę dłoń i ściągam do niej błyskawicę. Rozcina ona Samsona od biodra po ramię. Z rany tryska Srebrna krew.

„Pomóż mi...”

Do jego gardła wlewa się ogień i pali mu wnętrzności. Po jego strunach głosowych nie zostaje ślad. Jedyne krzyk, jaki teraz słyszę, rozlega się w mojej głowie.

Kieruję piorun do jego mózgu. Prąd smaży tkanki w jego czaszce jak jajko na patelni. Wywraca oczy białkami do góry. Chcę, żeby to trwało dłużej, chcę, żeby zapłacił za tortury, jakie sprawił mnie i wielu innym. Ale umiera zbyt szybko.

Szepty znikają.

– To koniec – wzdycham głośno.

Cał podnosi wzrok, nadal klęcząc nad ciałem. Jego oczy rozszerzają się, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy. Czuję to samo. Marzyłam o tej chwili, pragnęłam jej od miesięcy. Gdyby nie bitwa, gdyby nie grożące nam wciąż niebezpieczeństwo, objęłabym go i wtuliła się w księcia płomieni.

Zdobywam się tylko na to, żeby pomóc mu wstać i wesprzeć go swoim ramieniem. Też jestem ranna, a z mojego boku powoli sączy się krew. Uciskam ranę wolną dłonią. Ból robi się ostrzejszy.

– Maven jest pod Skarbnicą. Ma tam pociąg – mówię, podczas gdy oboje wycofujemy się na bok.

Cal zaciska wokół mnie swoje ramiona. Kieruje nas ku głównej bramie, z każdym krokiem przyspieszając.

– Nie przyszedłem tu po Mavena.

Brama, którą widzimy przed sobą w oddali, jest tak szeroka, że zmieściłaby trzy jadące obok siebie transportery. Most Archeonu łączy naszą część miasta ze wschodnim brzegiem rzeki Capital. Czuję przemożną chęć, aby się odwrócić i pobiec do Skarbnicy. Ale Maven na pewno już odjechał. Jest poza moim zasięgiem.

W naszą stronę ciągną kolejne pojazdy, a z nieba nadlatują następne samoloty. Nie damy rady przy tylu posiłkach.

– Jaki jest teraz plan? – mamroczę. Za chwilę będziemy osaczeni. Ta otrzeźwiająca myśl przedziera się do mnie przez szok i adrenalinę. To wszystko z mojego powodu. Wszędzie ciała, Czerwone i Srebrne. Co za strata.

Dłonie Cala odnajdują moją twarz i zmuszają mnie, bym na niego spojrzała. Mimo otaczającej nas destrukcji uśmiecha się.

– Przynajmniej raz jakiś mamy.

Kątem oka widzę coś zielonego. Czuję, jak ktoś chwyta mnie za ramię.

I nagle świat się nade mną zaciska.

## Rozdział 19

### Evangeline

Spóźnia się, przez co serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Próbuję powstrzymać nagły napływ strachu i zamieniam go w paliwo. Korzystając z nowej energii, rozrywam na kawałki połączone ramy z portretami w całym pałacowym korytarzu. Złoto to słaby metal. Miękki. Plastyczny. Bezużyteczny w prawdziwej walce. Daję mu upaść na podłogę. Nie będę marnować czasu ani energii na takie słabostki.

Płyty z rodu połyskujące na moich ramionach i nogach wibrują od adrenaliny, ich lustrzane krawędzie falują jak płynna rtęć. Są gotowe przyjąć dowolną formę, abym tylko mogła przeżyć. Mogą się stać mieczem, tarczą, kulą. Nie jestem w bezpośrednim niebezpieczeństwie, a przynajmniej nie teraz. Ale jeśli Toli zaraz tu nie przybiegnie, to idę go szukać, a wtedy na pewno będę.

„Obiecała mi”, powtarzam sobie.

Brzmi to idiotycznie. Jak życzenie wyjątkowo naiwnego dziecka. Powinnam była wykazać się większym rozumem. Jedyłą więź w moim świecie stanowi krew, jedyną obietnicę rodzina. Srebrny uśmiechnąłby się i zgodził na coś wobec innego domu, po czym w ułamku sekundy złamał to przyrzeczenie. Mare Barrow nie jest Srebrna – ma pewnie jeszcze mniej honoru niż którekolwiek z nas. A mnie i mojemu bratu zawdzięcza mniej niż nic. Miałyby pełne prawo zaszlachtować nas wszystkich. Dom Samos nie traktował dobrze dziewczyny od błyskawic.

– Mamy się trzymać planu, Evangeline – mruczy przy mnie Wren. Jedną dłonią osłania pierś i stara się, jak może, nie pogarszać paskudnego oparzenia. Uzdrowicielka Ciała nie była wystarczająco szybka, by uchronić się przed powracającymi do Mare umiejętnościami. Ale zrobiła co trzeba. I to jedynie się liczy. Teraz dziewczyna od błyskawic może siać zniszczenie, ile tylko starczy jej sił.

– Daję mu jeszcze minutę.

Z każdą sekundą korytarz, który rozciąga się przede mną, wydaje się coraz dłuższy. Po tej stronie pałacu ledwie słyszymy toczącą się na placu walkę. Okna wyglądają na spokojny dziedziniec, nad którym wiszą burzowe chmury. Gdybym tylko chciała, mogłabym udawać, że to kolejny dzień mojej zwykłej udręki. Wszyscy szczerzą kły w uśmiechu, okrążając coraz bardziej śmiertcionośny tron. Sądziłam, że koniec królowej będzie oznaczał koniec zagrożenia. Zwykle potrafię słusznie ocenić czyjaś nikczemną naturę, ale zdecydowanie nie doceniłam Mavena. Ma w sobie więcej z matki, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać, a do tego sam w sobie jest potworem.

Potworem, którego nie muszę już dłużej znosić, moim kolorom niech będą dzięki. Kiedy wrócimy do domu, wyślę lakelandzkiej księżniczce prezent w podziękę za to, że zajęła moje miejsce przy jego boku.

Pewnie jest już teraz daleko, wieszony w bezpieczne miejsce na pokładzie swojego pociągu. Zostawiłam nowożeńców w Skarbnicy. Chyba że u Mavena zwyciężyła jego obrzydliwa obsesja na punkcie Mare. Trudno przewidzieć działania tego chłopaka, jeśli w grę wchodzi ona. Nie zdziwiłabym się, gdyby zawrócił i pobiegł jej szukać. Może już nie żyć. Zdecydowanie mam taką nadzieję. Mój kolejny krok stałby się wtedy bez porównania łatwiejszy.

Znam matkę i ojca zbyt dobrze, żeby się o nich martwić. Biada temu, nieważne czy będzie to Srebrny czy Czerwony, kto spróbuje zmierzyć się z moim ojcem w otwartej walce. Matka też ma swoje możliwości. Atak na pałac w dniu ślubu nie był niespodzianką dla żadnego z nas. Dom Samos jest przygotowany. Tak długo, jak Toli trzyma się planu. Mojemu bratu trudno wycofać się z walki i jest impulsywny. Kolejny człowiek, którego działania ciężko przewidzieć. Mieliśmy nie robić krzywdy rebeliantom ani w jakikolwiek sposób hamować ich postępów. Rozkazy ojca. Mam nadzieję, że mój brat od nich nie odstąpił.

„Nic nam nie będzie”. Robię powolny wydech i trzymam się tych czterech słów. Nie bardzo mnie jednak uspokajają. Chcę się wydostać z tego miejsca. Chcę iść do domu. Chcę znów zobaczyć Elane. Chcę, żeby Toli wyszedł zza rogu pewnym krokiem, cały i zdrowy.

Ale on ledwie trzyma się na nogach.

– Ptolemejuszu! – wykrzykuje, zapominając o wszystkich lękach z wyjątkiem jednego, kiedy widzę go na korytarzu.

Krew wyraźnie odznacza się na tle czarnej, stalowej zbroi, srebrna posoka jest rozchlapana po jego piersi niczym farba. Wyczuwam w niej żelazo, ostry zapach metalu. Bez zastanowienia chwytam brata za zbroję i podrywam go razem z nią. Podpieram Toliego własnym ciałem, by nie upadł na ziemię, i utrzymuję go na nogach. Jest tak słaby, że ledwie może stać, co dopiero biec. Czuję na plecach lodowaty dreszcz strachu.

– Spóźniłeś się – szepczę mu do ucha, za co on odwzajemnia się zbolalym uśmiechem. Ma w sobie jeszcze tyle życia, by zareagować na żart.

Wren zwinnymi ruchami ściąga z niego płyty zbroi, nie jest jednak szybsza ode mnie. Z kolejnym szarpnięciem ręki napierśnik z brzękiem spada na podłogę. Od razu spoglądam na nagi tors brata, spodziewając się, że zobaczę tam paskudną ranę. Na szczęście nie, jedynie kilka płytkich ran, żadna z nich na tyle poważna, by zagrozić komuś takiemu jak Ptolemejusz.

– Stracił dużo krwi – tłumaczy Wren. Uzdrowicielka Ciała pomaga mojemu bratu uklęknąć, trzymając jego lewą rękę w górze, na co on jęczy z bólu. Podtrzymuję go za ramię i kucam razem z nim. – Nie mam czasu, żeby to uleczyć.



„To”. Omiotam wzrokiem białą skórę jego ramienia, pokrytą szarymi świeżymi sińcami. Kończy się zakrwawionym, tępym kikutem. Nie ma dłoni. Ktoś odciął ją w nadgarstku. Srebrna krew pulsuje, leniwie wypływając z przeciętych żył, które Toli nieudolnie próbował podwiązać.

– Musisz – cedzi przez zęby Ptolemeusz głosem ochryplym z agonii.

Zawzięcie kiwam głową.

– Wren, to zajmie tylko kilka minut. – Nie ma Żeleźcy, któremu nie zdarzyłoby się stracić palca. Bawimy się nożami, odkąd tylko nauczymy się chodzić. Wiemy, jak szybko można zregenerować jeden z nich.

– Jeśli Ptolemeusz chce jeszcze kiedykolwiek korzystać z tej ręki, musimy zrobić, jak mówię – odpowiada. – To zbyt skomplikowany zabieg, by wykonywać go w takim tempie. Teraz tylko zabezpieczę ranę. – Ptolemeusz wydaje z siebie zduszony odgłos, krztusząc się tą świadomością i bólem.

– Wren! – wołam błagalnie.

Uzdrowicielka nie ustępuje.

– To tylko tymczasowo! – Jej piękne oczy, szare oczy Skonosów, nagląco przeszywają moje. Spostrzegam w nich strach i wcale się nie dziwię. Parę minut temu widziała, jak morduję czterech strażników i uwalniam królewskiego więźnia. Ona również jest zamieszana w zdradę, której dopuścił się dom Samos.

– W porządku. – Ściskam brata za ramię, błagając go, by posłuchał. – To tylko tymczasowo. Kiedy będziemy bezpieczni, Wren wszystkim się zajmie.

Toli nie odpowiada, jedynie kiwa głową, a wtedy Uzdrowicielka zabiera się do pracy. Mój brat odwraca twarz, nie mogąc patrzeć na to, jak jego nadgarstek zarasta skórą zamykającą żyły i kości. Wszystko dzieje się szybko. Sinoczarne palce tańczą po jego bladym ciele, podczas gdy Wren spaja je w całość. Regeneracja skóry nie jest ponoć skomplikowana. Nerwy i kości są bardziej złożone.

Robię, co w mojej mocy, aby odwrócić uwagę Toliego od tępego kikuta kończącego jego rękę.

– Kto to zrobił?

– Inny Żeleźca. Lakelandczyk. – Z trudem wymawia każde słowo. – Zobaczył, że zbieram się do odwrotu. Zadał cios, zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje.

Lakelandzcy. Oziębli głupcy. Tacy poważni w tym swoim ohydnyim niebieskim. I pomyśleć, że Maven wołał ich od domu Samos.

– Mam nadzieję, że się mu odwzajemniłeś.

– Nie ma już głowy.

– Dostał za swoje.

– Skończyłam – mówi Wren, uporawszy się z nadgarstkiem. Przejeżdża dłońmi po ramionach Ptolemeusza i w dół pleców aż do krzyża. – Pobudzę twój

szpik i nerki i podniosę produkcję krwinek, na ile się tylko da. Ale nadal będziesz czuł się słabo.

– W porządku. Bylebym tylko mógł iść. – Jego głos brzmi już mocniej. – Pomóż mi wstać, Evi.

Robię, o co prosi, i zakładam sobie na szyję jego zdrową rękę. Jest ciężki, prawie jakby był kompletnie bezwładny.

– Musisz chyba przyhamować z deserami – burczę. – No dalej, rusz się trochę.

Toli stara się stawiać jedną nogę za drugą, ale nie porusza się tak szybko, jak bym chciała.

– No cóż – mamroczę, sięgając po jego zbroję. Robi się płaska i przyjmuje kształt płachty pofalowanego metalu. – Wybacz, Toli.

Popycham go na nią i używając swoich umiejętności, używam płachty jak noszy.

– Jestem w stanie iść – słabo protestuje brat. – Potrzebujesz swojej koncentracji.

– No to skup się za nas dwoje – odpalam. – Ranni mężczyźni do niczego się nie nadają.

Utrzymanie go w górze pochłania sporą część mojej mocy, ale nie całą. Biegnę tak szybko, jak tylko mogę, z jedną ręką na płachcie. Ciągnę ją za sobą niczym na niewidzialnej uwięzi, z Wren po drugiej stronie.

Kątem oka zauważam pobrzękujący metal i instynktownie każdy zapamiętuję. Miedziane kable – garota, którą mogłabym kogoś udusić. Zamki i zawiasy w drzwiach – strzały i kule. Ramy okien – rękojeści szklanych sztyletów. Ojciec przepytывał mnie kiedyś z takich rzeczy, aż stało się to moją drugą naturą. Weszło mi w nawyk, by w każdym pomieszczeniu, w jakim się znajdę, szukać rzeczy, z których mogłabym zrobić broń. Dom Samos nigdy nie daje się zaskoczyć.

To ojciec opracował plan naszej ucieczki z Archeonu. Poprzez koszary i po północnych klifach, gdzie na rzece czekają łodzie. Wykonane na zamówienie łodzie ze stali, skonstruowane tak, by były szybkie i ciche. Będą przecinać wodę jak igły ciała.

Mamy pewne opóźnienie, ale jedynie o kilka minut. W tym chaosie miną godziny, zanim ktokolwiek z dworu Mavena zda sobie sprawę, że dom Samos zniknął. Nie wątpię, że inne domy także skorzystają z okazji i jak szczury uciekną z tonącego okrętu. Maven nie jest jedyną osobą, która ma plan ucieczki. Właściwie to nie byłabym zaskoczona, gdyby każdy dom go miał.

Dwór jest jak beczka prochu z coraz krótszym lontem i królem, który uwielbia bawić się zapalnikami. Tylko idiota nie spodziewałby się eksplozji.

Ojciec poczuł, że wiatr zmienia kierunek, w chwili kiedy Maven przestał go słuchać, kiedy tylko stało się jasne, że bycie po stronie króla z rodu Calore

przyczyni się do naszej klęski. Bez Elary nikt nie był w stanie utrzymać Mavena na smyczy. Nawet mój ojciec. A potem Szkarłatna Gwardia zaczęła przybierać coraz bardziej zorganizowaną formę i z niewygodnego problemu przeistoczyła się w prawdziwe zagrożenie. Zdawali się rozrastać z każdym mijającym dniem. Działali w Piedmoncie i Lakelandii, pojawiły się nawet pogłoski o przymierzu z Montfortem na zachodzie. Stali się dużo więksi, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać, i są lepiej zorganizowani i bardziej zdeterminowani niż wszelcy inni buntownicy w historii. A w tym samym czasie mój przeklęty narzeczony powoli tracił panowanie. Nad tronem, nad własnym umysłem, nad wszystkim z wyjątkiem Mare Barrow.

Próbował pozwolić jej odejść, a przynajmniej tak powiedziała mi Elane. Maven wiedział równie dobrze jak my, jakie niebezpieczeństwo niesie z sobą jego obsesja. „Zabij ją. Skończ z tym. Pozbądź się jej trucizny”, zwykł mamrotać. Elane słuchała niezauważona, cicho siedząc w kącie jego prywatnych komnat. Ale to były tylko słowa. Maven nigdy nie umiałby się rozstać z Mare. Łatwo więc było pchnąć ją na jego ścieżkę, a jego zepchnąć z właściwego toru. To jakby powiewać przed bykiem czerwoną płachtą. Mare była jego huraganem, a on coraz bardziej zbliżał się do oka cyklonu. Moim zdaniem była przydatnym narzędziem. Przy słabym królu królowa posiada dużo władzy.

Ale Maven wyrzucił mnie z pałacu, który mi się należał. Nie wiedział, że powinien uważać na Elane. Moją uroczą, niewidzialną Cienistą. Słuchałam jej sprawozdań pod osłoną nocy. Były bardzo szczegółowe. Nadal czuję ich szept na swojej skórze, kiedy usłyszeć mógł je tylko księżyc. Elane Haven to przepiękna dziewczyna, której najbardziej do twarzy jest w świetle księżyca.

Po Królewskiej Próbie obiecałam jej koronę królowej małżonki. Jednak ten sen rozwiął się wraz ze zniknięciem księcia Tyberiasza, jak dzieje się z większością snów w ostrym świetle dnia. „Dziwka”. Tak Maven nazwał Elane po zamachu na swoje życie. Prawie zabiłam go na miejscu.

Kręcę głową, koncentrując się ponownie na jedynym zadaniu, jakim powinnam się teraz zajmować. Elane może poczekać. Bo przecież czeka, tak jak obiecali moi rodzice. Bezpieczna w naszym domu, ukryta w Rowach.

Dziedziniec znajdujący się na tyłach Archeonu jest otwarty na kwitnące ogrody okolone pałacowymi murami. Rabat i krzewów strzegą płotki o prętach z kutego żelaza. Nadadzą się na włócznie. Patrole pilnujące muru i ogrodu składały się kiedyś ze strażników z różnych domów – Wietrzyców z domu Laris, Jedwabistów z domu Iral, bacznych Dalekowzrocznych z domu Eagrie – ale w ostatnich miesiącach wszystko się pozmieniało. Larisowie i Iralowie wraz z domem Haven zbuntowali się przeciw władzy Mavena. A przy toczącej się bitwie, kiedy król jest w niebezpieczeństwie, inni pałacowi strażnicy się rozpierchli. Spoglądam na zielone gałęzie. Kwiaty magnolii i wiśni wydają się

jaskrawe na tle ciemnego nieba. Po obwarowaniach z diamentowego szkła przechadzają się postaci w czarnych strojach.

Tylko dom Samos pilnuje muru.

– Krewni z żelaza!

Odwracają się na dźwięk mojego głosu, odpowiadając wspólnie:

– Krewni ze stali!

Gdy zbliżam się do muru, czuję spływający mi po plecach pot. Ze strachu, z wysiłku. Jeszcze tylko kilka metrów. Przygotowując się do działania, zagęszczam perłowy metal swoich butów, umacniając swoje ostatnie kroki.

– Jesteś w stanie dostać się na górę? – pytam Ptolemeusza, jednocześnie obejmując Wren.

Stękając, Toli zwleka się z noszy i staje na niepewnych nogach.

– Nie jestem dzieckiem, Evi. Przesadzę dziesięć metrów.

Aby udowodnić, że mówi prawdę, przekształca czarną stal w gładkie łuski, które pokrywają jego ciało.

Gdybyśmy mieli więcej czasu, wytknęłabym mu słabe punkty jego zwykle idealnej zbroi. Dziury po bokach, przerzedzenia na plecach. Ale tylko kiwam głową.

– Ty pierwszy.

Unosi koniuszek ust, próbując ironicznie się uśmiechnąć i trochę mnie uspokoić. Oddycham z ulgą, kiedy unosi się w powietrze i ląduje na szczycie obronnego muru. Nasi krewni z góry szybko go pochwytyją i przyciągają swoją mocą.

– Nasza kolej.

Wren trzyma się mnie kurczowo, bezpieczna pod moim ramieniem. Biorę głęboki wdech, skupiając się na uczuciu, jakie daje rod okrywający moje stopy i pnący się po nogach aż do ramion. „W górę”, mówię mojej zbroi.

Trach.

Pierwszym przedmiotem, z jakim ojciec kazał mi się oswoić, była kula. Przez dwa lata spałam z nabojem zawieszonym wokół szyi. Aż stał się dla mnie tak znajomy jak kolory mojego domu. Potrafię rozpoznać magazynek z odległości stu metrów. Znam wagę, kształt i skład wszystkich kul. Ten mały kawałek metalu czyni różnicę pomiędzy czymś życiem a moją śmiercią. Może być moim mordercą lub zbawcą.

Trach, trach, trach. Naboje eksplodują w swoich łuskach. Są jak igły, ostre, nie do przeoczenia. Nadciągają od tyłu. Moje stopy uderzają o ziemię, a ja skupiam uwagę, jednocześnie podnosząc ręce, aby ochronić się przed nagłym atakiem.

Przeszywający zbroję ostrzał – grube, miedziane łuski z wnętrzem z bezlitosnego wolframu i zaostrzonym końcem – na moich oczach zmienia kurs i leci wstecz, po czym bezpiecznie ląduje w trawie. Znow rozpoczyna się ostrzał

z przynajmniej kilkunastu pistoletów i podnoszę dłoń, żeby się osłonić. Huk broni maszynowej zagłusza krzyki Tolego nad moją głową.

Każda kula marszczy się w zderzeniu z moją umiejętnością, pochłaniając jej – mój – kolejny kawałek. Niektóre naboje zatrzymują się w powietrzu, inne zgniatają. Wyteżam moc, by stworzyć wokół siebie kokon bezpieczeństwa. Stojący na murze Toli i moi krewni robią to samo. Pomagają mi na tyle, że mogę spojrzeć na to, kto do mnie celuje.

Czerwone łachmany, zacięte spojrzenia. Szkarłatna Gwardia.

Zaciskam zęby. Łatwo byłoby teraz wymierzyć pociskami leżącymi w trawie prosto w ich czaszki. W zamian wyrywam z nich wolframowe rdzenie i najszybciej jak potrafię, zwijam je jak wełnę w motek połyskującej przędzy. Wolfram jest bardzo ciężki i wymaga więcej energii. Po moich plecach spływa kolejna kropelka potu.

Nici spletają się w sieć, która uderza dwunastu rebeliantów. Tym samym ruchem wytrącam im broń z dłoni i rozrywam ją na strzępy. Wren trzyma się mnie mocno, a ja czuję, jak coś ciągnie mnie do tyłu i do góry po idealnej powierzchni diamentowego szkła.

Toli jak zwykle mnie ratuje.

– A teraz znowu w dół – mamrocze. Jego uścisk na mojej ręce jest miazdzący.

Wren przelityka ślinę, gdy spuszcza wzrok. Jej oczy robią się szerokie.

– Tym razem nieco dalej.

Wiem, trzydzieści metrów w dół klifu i kolejne sześćdziesiąt po spadzistej skale, żebyśmy przedostali się nad brzeg rzeki. „W cień mostu”, powiedział ojciec.

W ogrodzie rebelianci próbują wyzwolić się z sieci. Czuję, jak się w niej szamoczą, a metal próbuje rozpaść się na kawałki. To pochłania moją koncentrację. „Wolfram – wyrzucam sobie w duchu. – Muszę w nim poćwiczyć”.

– Skaczemy – mówię wszystkim.

Za moimi plecami wolfram obraca się w pył. To wytrzymały, ciężki metal, ale kruchy. Jeśli nie panuje nad nim Żeleźca, prędzej się złamie, niż zegnije.

Dom Samos nie będzie już robił żadnej z tych rzeczy.

Nie damy się złamać ani nie będziemy już przed nikim zginać się wpół.

\*

Łodzie bezszelestnie przecinają wodę. Mamy dobry czas. Przeszkadza nam jedynie zanieczyszczenie z Szarego Miasta. Czuję jego smród w swoich włosach i w całym ciele, nawet kiedy przebijamy się przez drugi pierścień drzew granicznych. Wren wyczuwa mój dyskomfort i kładzie mi dłoń na nagim nadgarstku. Jej uzdrawiający dotyk oczyszcza moje płuca i odgania zmęczenie. Pchanie stali poprzez wodę po jakimś czasie robi się męczące.

Matka wychyla się za burzę i zanurza dłoń w nurcie Capital. Pod powierzchnię podpływa kilka sumów, ich wąsy splatają się z jej palcami. Nie przeszkadzają jej ich obślizgłe brzuchy, ale ja aż się wzdrygam z obrzydzenia. Nie wydaje się przejmować tym, co mówią jej ryby, co znaczy, że nie wyczuwają, by ktoś nas śledził. Jej sokół, który leci nad naszymi głowami, także pełni straż. Kiedy słońce zajdzie, matka zastąpi go nietoperzami. Tak jak się spodziewałam, nie ma ani jednego draśnięcia, podobnie jak ojciec, który stoi na dziobie pierwszej łodzi i wyznacza kurs. Jest czarną sylwetką na tle niebieskiej rzeki i zielonych wzgórz. Jego obecność uspokaja mnie bardziej niż cisza w dolinie.

Przez wiele kilometrów nikt nic nie mówi. Nawet kuzyni, na których nonsensowną paplaninę zawsze można liczyć. Są zajęci pozbywaniem się mundurów straży. Na wodzie za nami dryfują symbole Norty, a błyszczące jak klejnoty medale toną w mętnych otchłaniach. Zasłużone za przelaną krew Samosów oznaki naszego przywiązania i lojalności. Teraz znikają w odmętach rzeki i odchodzą w przeszłość.

Nie jesteśmy już Nortanami.

– A więc postanowione – mruczę.

Toli prostuje się za moimi plecami. Jego ranna ręka wciąż jest zabandażowana. Wren nie będzie ryzykować odbudowywania dłoni na rzece.

– Mieliliśmy w ogóle jakieś wątpliwości?

– A mieliśmy jakiś wybór? – Matka ogląda się przez ramię. Porusza się ze zwinną gracją kota i pręży w swojej jaskrawozielonej sukni. Motyle zniknęły. – Mogliśmy kontrolować słabego króla, ale nie da się kontrolować szaleńca. Kiedy tylko Iral zdecydował się mu otwarcie sprzeciwić, decyzja została podjęta za nas. A wybierając lakelandzką księżniczkę – tu matka przewraca oczami – Maven przeciął ostatnią łączącą nas więź.

Prawie prychem jej w twarz. Nikt nie podejmuje decyzji za mojego ojca. Ale nie jestem na tyle głupia, by śmiać się z matki.

– Czy w takim razie będziemy mieć wsparcie innych domów? Wiem, że ojciec prowadził negocjacje. – Pozostawiając swoje dzieci same na łasce coraz bardziej niestabilnego dworu Mavena. Kolejne słowa, których nigdy nie ośmieliłabym się powiedzieć rodzicom.

Ale matka i tak je wyczuwa.

– Dobrze się spisałaś – szczebiocze, gładząc dłonią moje włosy. Przeciąga kilka srebrnych pasem przez mokre palce. – I ty, Ptolemejuszu. Mimo chaosu panującego w Corvium i rebelii domów nikt nie wątpił w waszą lojalność. Zyskaliście dla nas czas, a to cenny nabytek.

Koncentruję się na stali i wodzie, ignorując zimny dotyk matki.

– Mam nadzieję, że było warto.

Maven stawiał jak dotąd czoła wielu rebeliom. Bez domu -Samos, naszych

zasobów, ziem, żołnierzy, jakie miałyby szanse na zwycięstwo? Tylko że wtedy nie miał Lakelandii. Nie wiem, co może się teraz wydarzyć. To uczucie mi się nie podoba. Zawsze polegałam na tworzeniu planów i cierpliwości. Niepewna przyszłość mnie przeraża.

Na zachodzie słońce tonie w czerwieni na tle wzgórz. Jest czerwone jak włosy Elane.

„Ona czeka – znów sobie powtarzam. – Jest bezpieczna”.

Jej siostra nie miała tyle szczęścia. Mariella umarła okropną śmiercią, pozbawiona swojego wnętrza przez kipiący ze złości głos Merandusa. Unikałam go, jak tylko mogłam, czując ulgę, że nic nie wiem o planach ojca.

Dostrzegłam w Mare srogość jego kary. Po przesłuchaniu kulila się przed nim jak skopany pies. To była moja wina. Zmusiłam Mavena. Gdybym się nie wmieszała, być może Szeptacz nie miałby w tym swojego udziału – ale wtedy Maven trzymałby się z dala od Mare. Nie byłby nią taki zaślepiony. W zamian zrobił to, na co liczyłam, i trzymał ją bliżej siebie. Miałam nadzieję, że się wzajemnie pograżą. To byłoby takie proste. Zatopić dwóch wrogów jedną kotwicą. Ale ona nie dawała się złamać. Dziewczyna, którą pamiętam, ukrywająca się jako przerażona służka, wierząca w każde kłamstwo, podporządkowałaby się Mavenowi wiele miesięcy wcześniej. Przywdziała jednak inną maskę. Tańczyła na jego sznurkach, siedziała przy jego boku i wegetowała, pozbawiona wolności i mocy. I mimo to zachowała swoją dumę, swój ogień, swoją złość. Zawsze tliła się w jej oczach.

Dlatego ją szanuję. Chociaż tyle mi odebrała. Nieustannie przypominała mi, kim powinnam być. Księżniczką. Królową. Urodziłam się dziesięć miesięcy po Tyberiaszu. Stworzono mnie po to, bym za niego wyszła.

Moje najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa to węże matki syczące mi do ucha, przekazujące jej szept i obietnice. „Zrodziłaś się z kłów i stali. Jaka jest twoja rola, jeśli nie rządzić?” Każda lekcja w szkole lub na arenie miała mnie do tego przygotowywać. „Bądź najlepsza, najsilniejsza, najmądrzejsza, najbardziej niebezpieczna i najbardziej przebiegła. Najbardziej godna”. Więc dokładnie taka byłam.

Królowie nie słyną ze swojej dobroci czy współczucia. Królewska Próba nie ma za zadanie stworzyć szczęśliwych małżeństw, tylko silne dzieci. Z Calem mogłam mieć jedno i drugie. Nie pozbawiłby mnie mojej własnej wybranki ani nie próbował kontrolować. Jego oczy były delikatne i troskliwe. Przewyższał moje wszelkie oczekiwania. A ja zasłużyłam na niego każdą przelaną kroplą krwi, swoim potem i łzami bólu i frustracji. Tym, że poświęciłam swoje serce.

W noc przed Królewską Próba śniłam o tym, jak by to było. O moim tronie. Moich dzieciach. O tym, jak nikomu nie podlegam, nawet ojcu. Tyberiasz byłby moim przyjacielem, a Elane moją kochanką. Wyszłaby, tak jak planowano, za

Toliego, tym samym zapewniając nam, że nigdy byśmy się ze sobą nie rozstały.

Ale wtedy w naszym życiu pojawiła się Mare i zdmuchnęła to marzenie jak piasek.

Był taki czas, gdy sądziłam, że następca tronu zrobi coś nie do pomyślenia. Odrąci mnie dla zaginionej przed laty Tytaniusz o dziwnych nawykach i jeszcze dziwniejszej zdolności. Ale ona była jedynie śmiercionośnym pionkiem, strąciła z planszy mojego króla. Ścieżki przeznaczenia są bardzo kręte. Zastanawiam się, czy ten Nowy jasnowidz wiedział o dzisiejszym dniu. Czy siedzi gdzieś i śmieje się z tego, co widzi? Żałuję, że nie dorwałam go przynajmniej raz. Nie znoszę niewiedzy.

Na brzegach przed nami wyłaniają się idealnie przystryżone trawniki. Żdźbła traw połyskują na złoto i czerwono, co daje posiadłościom wzdłuż rzeki uroczą poświatę. Nasz pałac jest już niedaleko, niespełna dwa kilometry stąd. Skręcamy na zachód, w stronę prawdziwego domu.

Matka nie odpowiedziała na moje pytanie.

– Więc ojciec dał radę przekonać inne domy? – powracam do tematu.

Przymruża oczy, a całe jej ciało się napina. Zwija się niczym wąż.

– Dom Laris był po naszej stronie już wcześniej.

O tym wiedziałam. Wietrzycy z domu Laris rządzą Rowami i kontrolują znaczną część Nortańskich Sił Powietrznych. Prawdę mówiąc, rządzą tak, jak sobie życzymy. To marionetki, które zgodzą się na wszystko, byle zachować nasze kopalnie żelaza.

„Elane. Dom Haven. Jeśli nie są z nami...”

Oblizuję usta, które nagle zrobiły się suche. Zaciskam dłoń w pięść. Łódź pode mną zaczyna rzeźić.

– Kto jeszcze?

– Iralowie nie zgodzili się na warunki, podobnie jak ponad połowa Havenów. – Matka robi się spięta. Krzyżuje ramiona na piersi, jak gdyby ktoś ją obraził. – Nie martw się, Elane nie jest jedną z nich. Przestań miażdżyć łódź, nie mam zamiaru przebyć ostatniego odcinka wpływ.

Toli delikatnie trąca mnie w ramię. Oddycham głęboko i zdaję sobie sprawę, że ścisnęłam stal odrobinę za mocno. Falujący stop znów się wygładza, wracając do odpowiedniego kształtu.

– Przepraszam – odpowiadam szybko. – Jestem tylko... zdezorientowana. Sądziłam, że już ustalono warunki. Rowy się zbuntują. Iral ściąga na naszą stronę dom Lerolan i Delphie. Od kraju odłączy się cały stan.

Matka patrzy mi przez ramię na ojca, który kieruje łódź do brzegu. Robię to samo, co on. Nasz dom wystaje zza drzew, wciąż widoczny w świetle zachodzącego słońca.

– Doszło do pewnych sporów w związku z tytułami.



– Tytułami? – pryham. – Co za głupota. O co tu się spierać?

Stał uderza o kamień i dobija do niskiego muru oporowego, który biegnie wzdłuż rzeki. Staram się utrzymać stabilność łodzi pod prąd. Wren pomaga Toliemu wysiąść i staje na bujnym dywanie trawy. Matka się im przygląda, przez moment zatrzymując wzrok na jego ręce pozbawionej dłoni. Za nimi wysiadają następni.

Nagle obie znajdujemy się w cieniu. Ojciec staje za plecami matki. Lekki wiatr podrywa jego pelerynę, bawiąc się marszczeniami czarnego jak przepaść jedwabiu i srebrnych nici. Pod spodem znajduje się zbroja z zabarwionego na niebiesko filigranowego chromu.

– „Nie będę klękał przed kolejnym zachłannym królem” – szepcze. Głos ojca zawsze jest miękki jak aksamit, ale niebezpieczny jak dzikie zwierzę. – Tak powiedział Salin Iral.

Matka przyjmuje jego dłoń i wysiada z łodzi, która nie rusza się, przytrzymywana moją mocą.

„Kolejny król”.

– Ojciec...?

Słowa cichną mi na ustach.

– Krewni z żelaza! – krzyczy ojciec, nie odrywając oczu od moich.

Za nami nasi krewni z domu Samos klękają na jedno kolano. Ptolemeusz stoi jednak prosto i patrzy na to, co się dzieje, tak samo zaskoczony jak ja. Krewniacy z jednego domu nie klękają przed sobą. Nie w taki sposób.

Odpowiadają jednym, chóralnym głosem:

– Królu ze stali!

Ojciec szybko wyciąga rękę i łapie mnie za nadgarstek, zanim moje zaskoczenie unicestwi łódź, w której stoję.

Jego szept jest niemal zbyt niski, bym mogła go dosłyszeć:

– Za królestwo Rowów.

## Rozdział 20

### Mare

Teleporter w zielonym mundurze pewnie ląduje na mocnych nogach. Minęło wiele czasu, odkąd świat się wokół mnie zacieśnił i rozmazał. Ostatnim razem przeniósł mnie Shade. Już samo trwające ułamek sekundy wspomnienie jest dla mnie przykre. A jeśli dodać do tego ranę oraz przyprawiający o mdłości napływ bólu, to nic dziwnego, że padam na dłonie i kolana. Przed oczami latają mi plamy, które mnożą się i niemal mnie pochłaniają. Jedyne siłą woli udaje mi się powstrzymać od utraty przytomności i zwymiotowania po całym... nie wiem właściwie, gdzie się znajduję.

Zanim zdołam zobaczyć coś więcej niż metal pod swoimi palcami, ktoś porywa mnie w miazdzący uścisk. Wtulam się w niego tak mocno, jak tylko potrafię.

– Cal – szepczę mu do ucha i muskam wargami jego skórę. Pachnie dymem i krwią. Żarem i potem. Moja głowa idealnie wpasowuje się w zagłębienie pomiędzy jego szyją a ramieniem.

Trzęsie się w moich objęciach. Nawet jego oddech drży. Myśli to samo co ja. „To chyba sen”.

Powoli odrywa się ode mnie i ujmuję moją twarz w dłonie. Szuka moich oczu i błądzi wzrokiem po każdym centymetrze mojego ciała. Robię to samo, próbując się doszukać jakiejś zwodniczej sztuczki, kłamstwa, zdrady. Może Maven ma kogoś, kto potrafi zmieniać wygląd jak Babcia. Może to kolejna halucynacja wywołana przez Merandusa. Mogę się obudzić w pociągu Mavena, zobaczyć jego lodowate oczy i ostry jak brzytwa uśmiech Evangeline. Cały ślub, moja ucieczka i bitwa – to wszystko okazałoby się jakimś przerażającym żartem. Ale Cal wydaje się prawdziwy.

Jest bladejszy, niż zapamiętałam, a jego włosy są przystrzyżone prawie do skóry. Kręciłyby się jak u Mavena, gdyby tylko mogły. Policzki pokrywa mu lekki zarost, wraz z kilkoma niegroźnymi zadrażnieniami i ranami wzdłuż wydatnych linii szczęki. Jest szczuplejszy, a jego mięśnie wydają się twardsze pod moimi dłońmi. Tylko oczy są takie same. Mają kolor brązu, rdzawego złota, jak żelazo rozgrzane do czerwoności.

Ja też wyglądam inaczej. Jestem szkieletem, cieniem. Cal gładzi w palcach pozbawione życia pasmo moich włosów, patrząc, jak ich brązowy kolor przechodzi w kruchą szarość. I wtedy dotyka blizn. Na mojej szyi, kręgosłupie. Kończy na znamieniu pod zniszczoną suknią. Jego palce są zaskakująco delikatne, biorąc pod

uwagę, że jeszcze niedawno próbowaliśmy się wzajemnie rozerwać na strzępy. Traktuje mnie, jakbym była ze szkła, jak delikatny przedmiot, który w każdej chwili może się roztrzaskać na kawałki.

– To ja – mówię do niego, szepcząc słowa, które oboje musimy usłyszeć. – Wróciłam.

„Wróciłam”.

– Czy to ty, Cal? – Mówię jak dziecko.

Kiwa głową, ani na moment nie spuszczając ze mnie oka.

– To ja.

Wykonuję ten ruch, bo on tego nie robi, czym zaskakuję nas oboje. Moje usta z zapalczywością przyciskają się do jego i przyciągam Cala do siebie. Otula mnie swoim żarem jak ciepłym kocem. Staram się, aby moje iskry nie zrobiły tego samego. Mimo to włosy na karku stają mu dęba, reagując na przeskakujące w powietrzu napięcie. Żadne z nas nie zamyka oczu. To nadal może być sen.

On pierwszy wyrywa się z osłupienia i podnosi mnie. Kilkanaście twarzy udaje, że nas nie widzi, siląc się na grzeczność. Nie dbam o to. Niech sobie patrzą. Nawet nie czerwienię się ze wstydu. Musiałam robić przed tłumem dużo gorsze rzeczy.

Jesteśmy w odrzutowcu. Długi kadłub, tępy ryk silników i chmury, które przesuwają się za oknami, są na to dowodem. Nie wspominając już o rozkosznym pomruku elektryczności pulsującym przez kable ciągnące się wzdłuż każdego centymetra maszyny. Wyciągam rękę i kładę ją na chłodnym metalu zakrzywionej ściany odrzutowca. To byłoby łatwe spić rytmiczny puls energii, przyciągnąć ją do siebie. Łatwe i głupie. Choć bardzo pragnę nasycić się tym uczuciem, kiepsko by się to dla nas skończyło.

Cal ani na moment nie wypuszcza mnie z rąk. Odwraca się za siebie i woła do grupy kilkunastu osób na siedzeniach.

– Najpierw uzdrawiamy ją, Reese!

– Robi się.

Mój uśmiech znika w chwili, kiedy swoje ręce kładzie na mnie nieznajomy mężczyzna. Jego palce zamykają się na moim nadgarstku. Jego uścisk wydaje się niewłaściwy i ciężki. Jak kamień. Jak kajdany. Bez chwili namysłu odpycham go i odskakuję jak oparzona. Przerazenie tłamsi mi wnętrzności, a z koniuszków palców wystrzelają iskry. Przed oczami przelatują twarze, sprawiając, że prawie nic nie widzę. Maven, Samson, Arvenowie i ich krzywdzące dłonie, ciężkie spojrzenia. Światło nad moją głową zaczyna migotać.

Rudowłosy Uzdrowiciel odsuwa się z jękiem, gdy między nami staje Cal.

– Mare, on uzdrowi twoje rany. To Nowy, jeden z nas.

Opiera jedną dłoń o ścianę odrzutowca, przy mojej twarzy, jakby mnie osłaniał. Stara się mnie poskromić. Nagle porządnych rozmiarów samolot wydaje

się dla mnie za mały, a powietrze zatechłe i duszne. Nie mam już na sobie kajdan, ale nie zapomniałam ich ciężaru. Nadal czuję je na nadgarstkach i kostkach.

Światło znów migocze. Przełykam ciężko ślinę i mocno zaciskam powieki, próbując odzyskać orientację. Kontrolę. Ale moje serce dalej wściekle bije, tętno uderza jak grzmot. Przez zaciśnięte zęby wciągam w płuca powietrze, starając się uspokoić. „Jesteś bezpieczna. Jesteś z Calem i z Gwardią. Jesteś bezpieczna”.

Cal znów ujmuje moją twarz i błagalnym głosem mówi:

– Otwórz oczy i spójrz na mnie.

Wszyscy pozostali milczą.

– Mare, nikt tutaj nie zrobi ci krzywdy. Już po wszystkim. Spójrz na mnie! – Słyszę rozpacz w jego głosie. Wie równie dobrze jak ja, co stanie się z samolotem, jeśli całkowicie stracę nad sobą kontrolę.

Odrzutowiec nachyla się pod moimi stopami. Pilot obniża kurs na wypadek, gdyby doszło do najgorszego. Zaciskając zęby, zmuszam się do otwarcia oczu.

„Spójrz na mnie”.

Maven też kiedyś wypowiedział te słowa. W zatoce Harbor. Kiedy nadajnik o mały włos nie rozerwał mnie na kawałki. Słyszę Mavena w głosie Cala, widzę go w twarzy Cala. „Nie, wyrwałam ci się. Uciekłam”. Ale Maven jest wszędzie.

Cal wzdycha, rozdrażniony i pełen niepokoju.

– Cameron.

Na dźwięk tego imienia jeszcze szerzej otwieram oczy i obiema pięściami uderzam Cala w pierś. Zatacza się do tyłu zaskoczony moją siłą. Na jego policzkach pojawia się srebrny rumieniec. Ściąga brwi w wyrazie dezorientacji.

Za jego plecami Cameron trzyma jedną rękę na swoim siedzeniu, stabilnie kołysząc się wraz z ruchem maszyny. Sprawia wrażenie silnej, gdy stoi tak w mundurze bojowym z gęstej tkaniny, ze świeżo zaplecionymi warkoczami ciasno przypiętymi na głowie. Przeszywa mnie jej brązowe spojrzenie.

– Tylko nie to. – Błaganie łatwo mi przychodzi. – Wszystko, tylko nie to. Proszę. Ja nie mogę... nie mogę tego więcej poczuć.

Przytłaczająca cisza. Powolna śmierć. Spędziłam sześć miesięcy pod tym ciężarem, a teraz, kiedy znów czuję się sobą, mogę nie przetrwać kolejnej chwili pod naporem ciszy. Oddech wolności między jednym więzieniem a drugim to jedynie kolejna tortura.

Cameron trzyma dłonie spuszczone. Jej długie, ciemne palce się nie poruszają. Czekają na znak do działania. Ją także zmieniły te miesiące. Ogień nie zniknął, ale teraz ma kierunek, skupienie. Cel.

– W porządku – odpowiada. Krzyżuje ręce na piersi i chowa swoje śmiercionośne dłonie. Niemal padam z poczucia ulgi. – Dobrze cię widzieć, Mare.

Serce nadal mi łomocze – wystarczająco mocno, by pozbawić mnie tchu, ale światła przestają mrugać. Opuszczam głowę w poczuciu ulgi.

– Dziękuję.

Stojący przy moim boku Cal spogląda na mnie ponuro. Widzę, że drga mu policzek. Nie wiem, o czym myśli. Mogę jedynie zgadywać. Spędziłam pół roku z potworami i nie zapomniałam, jak to jest samej być potworem.

Powoli siadam na wolnym fotelu i kładę dłonie na kolanach. Następnie splecam razem palce. Po chwili siadam na dłoniach. Nie wiem, która pozycja wygląda najmniej groźnie. Wściekła na samą siebie wpatruję się w metal pomiędzy palcami swoich stóp. Nagle robię się bardzo świadoma wojskowej kurtki i poszarpanej sukienki, rozerwanej niemal na każdym szwie, oraz tego, jak jest tu zimno.

Uzdrowiciel zauważa, że drzę, i szybko otula mi ramiona kocem. Jego ruchy są spokojne i całkowicie profesjonalne. Kiedy pochwytuje moje spojrzenie, uśmiecha się do mnie z lekka.

– To się bardzo często zdarza – mamrocze.

Wyduszam z siebie mało wiarygodny rechot.

– Pokaż mi ten bok, dobrze?

Kiedy przekręcam się, by odsłonić długą, choć płytką ranę wzdłuż żeber, Cal zajmuje miejsce obok mnie. Także się do mnie uśmiecha.

– Przepraszam – wypowiada bezgłośnie.

– Przepraszam – odpowiadam w ten sam sposób.

Mimo że nie mam tak naprawdę za co przeproszać. Przynajmniej raz. Przeszłam potworne rzeczy i robiłam potworne rzeczy, aby przeżyć. W ten sposób jest łatwiej, przynajmniej teraz.

Nie wiem, dlaczego udaję, że śpię. Podczas gdy Uzdrowiciel wykonuje swoją robotę, opadają mi powieki i pozostają tak na całe godziny. Od tak dawna marzyłam o tej chwili, że aż trudno mi sobie z tym poradzić. Jedyne, co mogę zrobić, to oprzeć się na swoim miejscu i spokojnie oddychać. Czuję się jak bomba. Żadnych gwałtownych ruchów. Cal mnie nie zostawia, jego nogi stykają się z moimi. Słyszę, jak co jakiś czas się porusza, ale nie rozmawia z innymi. Podobnie jak Cameron. Poświęcają mi całą swoją uwagę.

Część mnie chce rozmawiać. Zapytać ich o Kilorna. Farley. Co się stało wcześniej, co się dzieje teraz. Gdzie my w ogóle lecimy. Ale nie mogę zdobyć się na to, by słowa opuściły moją głowę. Energii wystarcza mi tylko na to, by czuć ulgę. Chłodną, kojącą ulgę. Cal żyje, Cameron żyje, ja żyję.

Pozostali rozmawiają ze sobą po cichu. Robią to z szacunku albo po prostu nie chcą mnie obudzić i zaryzykować kolejnego spotkania z nieprzewidywalną błyskawicą.

Od pewnego czasu podsłuchiwanie to moja druga natura. Wyłapuję kilka słów, wystarczająco dużo, aby stworzyć sobie niewyraźny obraz tego, co się dzieje. Szkarłatna Gwardia, taktyczny sukces, Montfort. Nad tym ostatnim muszę się nieco

dłużej zastanowić. Ledwie pamiętam Nowych bliźniaków, emisariuszy z innego, odległego kraju. Ich twarze zlewają się w mojej pamięci. Ale zdecydowanie pamiętam ich ofertę. Schronienie dla Nowych, pod warunkiem że będę im towarzyszyć. Wtedy mnie to zaniepokoiło i niepokoi mnie także i teraz. Jeśli zawarli przymierze ze Szkarłatną Gwardią, to jaka była tego cena? Czuję, jak zaczynam się tym martwić. Montfort w jakimś celu mnie potrzebuje, przynajmniej tyle jest dla mnie jasne. I najwyraźniej Montfort w pewnym stopniu przyczynił się do mojego uwolnienia.

W mojej głowie muskam elektryczną energię odrzutowca, pozwalając, by połączyła się z ładunkiem we mnie. Coś mi mówi, że walka jeszcze się nie zakończyła.

\*

Jest już po zachodzie słońca, kiedy maszyna gładko ląduje na ziemi. Podskakuję złąkniona, gdy osiadamy na twardym gruncie, na co Cal reaguje z kocią zwinnością i kładzie mi dłoń na nadgarstku. Cofam ją, czując nagły przyływ adrenaliny.

– Przepraszam – bełkocze. – Ja...

Choć czuję, jak przewraca mi się w żołądku, udaje mi się uspokoić. Zaciskam dłoń na jego nadgarstku, przejeżdżając palcem po stali bransolety krzeszącej iskry.

– On trzymał mnie w łańcuchach. Dniem i nocą zakutą w kajdany z Cichego Kamienia – szepczę. Zaciskam uścisk, dając mu nieco doznać tego, co nadal tak dobrze pamiętam. – Wciąż nie mogę przestać o nich myśleć.

Cal marszczy brwi nad ciemniejszymi oczami. Doskonale znam ten ból, ale nie znajduję w sobie siły, by szukać go w Calu. Spuszczam wzrok i przejeżdżam palcem po jego gorącej skórze. Przypomina mi to, że on tu naprawdę jest, że ja tu jestem. Bez względu na to, co się stanie, muszę o tym pamiętać.

Poprawia się na siedzeniu, poruszając ze swoją śmiertelnością gracją, aż znów trzymam go za rękę. Nasze palce przeplatają się i zaciskają.

– Chciałbym móc coś zrobić, by pomóc ci zapomnieć – mówi.

– To w niczym nie pomoże.

– Wiem. Ale mimo wszystko.

Cameron obserwuje nas z miejsca po drugiej stronie przejścia. Założyła jedną nogę na drugą i rytmicznie kołysze stopą.

– Niesamowite – mówi.

Próbuję się nie zjeżyć. Moja relacja z Cameron, choć krótka, nie była łatwa. Z perspektywy czasu myślę, że to była moja wina. Jedna z wielu pomyłek, które rozpaczliwie chcę naprawić.

– Co?

Dziewczyna uśmiecha się od ucha do ucha, a gdy odrzutowiec zwalnia, rozpina pas i wstaje.

– Nadal nie zapytałaś, dokąd lecimy.

– Wszędzie będzie mi lepiej niż tam, gdzie byłam. – Rzucam Calowi podejrzliwe spojrzenie i cofam dłoń, żeby rozpiąć swój pas. – Zresztą wiedziałam, że ktoś mi w końcu wyjaśni.

Cal wzrusza ramionami i wstaje z miejsca.

– Czekałem na właściwy moment. Nie chciałem przegrzać ci mózgu tymi wszystkimi informacjami.

Po raz pierwszy od bardzo dawna szczerze się śmieję.

– Naprawdę, nie mogłeś tego gorzej ująć.

Uśmiecha się równie szeroko jak ja.

– Ale to na ciebie działa.

– Zaraz się porzygam – mamrocze pod nosem Cameron.

Kiedy w końcu mogę wstać, podchodzę do niej nieśmiało. Zauważa moją niepewność i wsuwa ręce do kieszeni. To nie w stylu Cameron opuszczać gardę, ale robi to dla mnie. Nie widziałam jej w walce i byłabym głupia, gdybym nie zdała sobie sprawy z tego, jaki jest prawdziwy cel jej obecności. Była w odrzutowcu, żeby mieć na mnie oko, w razie konieczności miała posłużyć jak kubek wody przy ognisku, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

Powoli ją obejmuję i przytulam do siebie. Mówię sobie, że nie mogę się wzdrygnąć, kiedy poczuję jej skórę. „Ona to może kontrolować – powtarzam w myślach. – Nie pozwoli, żeby dotknęła cię jej cisza”.

– Dzięki za wsparcie – mówię zupełnie serio.

Cameron dynamicznie potakuje, ocierając się przy tym brodą o moją głowę. Wyższa być nie mogła? Albo ona nadal rośnie, albo ja zaczęłam się kurczyć. Szanse są wyrównane.

– A teraz powiedz mi, gdzie jesteśmy – dodaję, przerywając uścisk. – I co mnie, do cholery, ominęło.

Skinieniem głowy wskazuje na tył samolotu. Jak w starej Panterze do tej maszyny wchodzi się rampą, która teraz obniża się powoli z pneumatycznym sykiem. Uzdrowiciel Reese wyprowadza wszystkich na zewnątrz, a my ruszamy kilka kroków za nimi. Robię się spięta, bo nie wiem, co czeka mnie na zewnątrz.

– Mamy szczęście – mówi Cameron. – Zwiedzimy sobie Piedmont.

– Piedmont? – Zerkam na Cala, nie potrafiąc ukryć swojego zaskoczenia ani zmieszania.

Wzrusza ramionami. Po jego twarzy przebiega cień zakłopotania.

– O niczym nie wiedziałem, dopóki nie podjęto decyzji. Niewiele nam powiedzieli.

– Nigdy nie mówią. – Tak właśnie działa Gwardia. W ten sposób

zabezpiecza się przed Srebrnymi takimi jak Samson czy Elara. Ludzie wiedzą dokładnie tyle, ile powinni, i nic więcej. Potrzeba dużo wiary lub głupoty, by wypełniać takie enigmatyczne rozkazy.

Schodzę po rampie i każdy krok wydaje mi się lżejszy niż poprzedni. Bez ciężkich kajdan czuję się tak, jakbym mogła latać. Pozostali gwardziści idą z przodu przed nami i dołączają do tłumu innych żołnierzy.

– To oddział Szkarłatnej Gwardii w Piedmoncie, prawda? I to na oko całkiem duży oddział.

– O czym ty mówisz? – mruczy mi do ucha Cal. Cameron rzuca nam obojgu spojrzenie przez ramię, równie zmieszana. Patrzę to na jedno, to na drugie, zastanawiając się, jak to ubrać w słowa. Postanawiam mówić prawdę.

– Dlatego jesteśmy w Piedmoncie. Gwardia działała tutaj tak samo jak w Norcie i Lakelandii. – Słyszę w głowie echa słów piedmonckich książąt, Darejusza i Aleksandreta.

Cal przez chwilę patrzy mi w oczy, zanim znów spojrzy na Cameron.

– Jesteś blisko z Farley. Słyszałaś coś o tym?

Cameron stuka palcem w wargę.

– Nic nie wspominała. Wątpię, żeby wiedziała coś na ten temat. Albo żeby dostała pozwolenie, by mi powiedzieć.

Tony ich głosów się zmieniają. Robią się ostrzejsze, poważne. Nie lubią się. Rozumiem powody Cameron. A Cala? Wychowywał się jako księżę. Nawet Szkarłatna Gwardia nie zmyje z niego nawyków rozpuszczonego dzieciaka.

– Czy moja rodzina tutaj jest? – Też robię się poważniejsza. – Wiecie przynajmniej tyle?

– Oczywiście – odpowiada Cal. Nie jest dobrym kłamcą. Nie widzę w nim teraz kłamstwa. – Zapewniono mnie o tym. Przybyli z Trialu wraz z resztą załogi pułkownika.

– Świetnie. Chcę się z nimi zobaczyć, kiedy to tylko będzie możliwe.

Powietrze w Piedmoncie jest gorące, duszne i lepkie. Jak w środku najbardziej parnego lata, mimo że mamy dopiero wiosnę. Nigdy się tak szybko nie pociłam. Nawet wiatr jest ciepły i nie przynosi wytchnienia, kiedy przetacza się po płaskim, rozgrzanym betonie. Lądowisko oświetlają reflektory o takiej mocy, że ich blask prawie przyćmiewa gwiazdy. W oddali widzę kolejne odrzutowce. Niektóre mają kolor leśnej zieleni, są takie same jak te, które widziałam na placu Cezara. Maszyny przypominające Panterę oraz większe transportery. „Montfort – dociera do mnie, kiedy w końcu łączę elementy układanki. – Biały trójkąt na skrzydłach to ich znak”. Widziałam go już wcześniej, jeszcze na Klinie, na paletach sprzętu i na mundurach bliźniaków. Tu i ówdzie pomiędzy maszynami Montfortu znajdują się ciemnoniebieskie oraz biało--żółte odrzutowce, o pasiastych skrzydłach. Pierwsze są z Lakelandii, drugie z samego Piedmontu. Wszystko wokół



nas jest doskonale zorganizowane i oceniając po hangarach i zabudowaniach, na niczym nie oszczędzano.

Nie ma wątpliwości, że znajdujemy się na terenie bazy wojskowej, i to nie takiej, do jakiej przywykła Szkarłatna Gwardia.

Cal i Cameron mają równie zszokowane miny jak ja.

– Spędziłam sześć miesięcy w więzieniu, a wiem o waszej operacji więcej niż wy razem wzięci? – pryham.

Cal jest zmieszany. Jest generałem, Srebrnym. Urodził się jako książę. Ciężko znosi własną dezorientację i bezradność.

– Wystarczyło ledwie kilka godzin, żebyś znów zrobiła się nadęta. To chyba nowy rekord. – Obrusza się Cameron.

Ma rację i to boli. Biegnę za nią, Cal przy mnie.

– Ja tylko... przepraszam. Myślałam, że to będzie prostsze.

Dłoń Cala u dołu moich pleców emanuje ciepłem i koi moje mięśnie.

– Co wiesz, czego my nie wiemy? – pyta Cal boleśnie wręcz delikatnym głosem. Cześć mnie chce, żeby się z tego otrząsnął. Nie jestem lalką – ani Mavena, ani nikogo innego – znów nad wszystkim panuję. Nie potrzeba się ze mną cackać. Ale reszta mnie delectuje się jego czułością i troską. To co najmniej o niebo lepsze od wszystkiego, czego doświadczyłam w ostatnich miesiącach.

Nie zatrzymuję się, ale mówię cichym tonem.

– W dniu, w którym dom Iral i inni próbowali zabić Mavena, król zorganizował ucztę dla dwóch książąt z Piedmontu. Darejusza i Aleksandreta. Wcześniej mnie przesłuchiwali i wypytywali o Szkarłatną Gwardię oraz jej działania w tym kraju. I mówili coś o księciu i księżniczce. – Wyteżam pamięć. – Charlotte i Michaelu. Zaginęli.

Twarz Cala pochmurnieje.

– Słyszeliśmy o tym, że książęta pojechali do Archeonu. Aleksandret potem zginął. W zamachu.

W zaskoczeniu mrugam powiekami.

– Ale skąd...

– Staraliśmy się monitorować, co się z tobą dzieje, na ile to było możliwe – wyjaśnia. – Te informacje były w raportach.

„Raporty”. Słowo tłucze mi się po głowie.

– Czy to dlatego Babcia znalazła się na dworze? Żeby mieć na mnie oko?

– Babcia to była moja wina – wypluwa z siebie Cal. Spuszcza wzrok. – Nikogo innego.

Cameron robi obok niego krzywą minę.

– Dokładnie.

– Panno Barrow!

Ten głos nie jest dla mnie zaskoczeniem. Tam, gdzie jest Szkarłatna

Gwardia, jest i pułkownik Farley. Wygląda niemal tak samo jak zawsze: zatroskany, burkliwy i nieokrzesany, krótko przystrzyżone, jasnopopielate włosy, twarz przeorana przedwczesnymi zmarszczkami i jedno oko przysłonięte na stałe warstwą szkarłatnej krwi. Jedyne, co się zmieniło, to to, że przybyło mu siwizny, ma spalony słońcem nos i więcej piegów na odsłoniętych ramionach. Lakelandczyk nie przywykł do ostrego słońca Piedmontu, a jest tu wystarczająco długo, by je odczuć.

Towarzyszą mu jego lakelandzcy żołnierze odziani w czerwono-niebieskie mundury, ustawieni po obu jego stronach. Maszerują za nimi następni, ubrani w zieleń. Rozpoznaję w oddali Rasha i Tahira, którzy idą równym krokiem. Farley z nimi nie ma. Nie widzę jej na płycie lądowiska, jak wysiada z którejś z maszyn. To nie w jej stylu unikać walki – chyba że w ogóle nie dotarła do Norty. Przełykam tę otrzeźwiająca myśl i zwracam się do jej ojca.

– Pułkowniku. – Pochylam głowę na przywitanie.

Zaskakuje mnie, wyciągając w moim kierunku stwardniałą dłoń.

– Dobrze cię widzieć w jednym kawałku – mówi.

– Na tyle w jednym kawałku, na ile można się spodziewać.

Ta odpowiedź nieco zbija go z tropu. Odchrząkuje, przerzucając spojrzenia między naszą trójką. Ryzykowne położenie dla kogoś, kto otwarcie boi się tego, kim jesteśmy.

– Pójdę się teraz zobaczyć z moją rodziną, pułkowniku.

Nie ma powodu pytać o pozwolenie. Chcę go obejść, ale jego ręka zatrzymuje mnie w miejscu. Tym razem zwalczam w sobie chęć, by się wzdrygnąć. Nikt więcej nie zobaczy już mojego strachu. Nie teraz. Spoglądam mu więc w oczy i daję czas, by uświadomił sobie, co robi.

– To nie moja decyzja – mówi pułkownik. Unosi brew, jakby prosił mnie, bym go wysłuchała. Po chwili kiwa głową. Zza jego ramienia Rash i Tahir witają się ze mną skinieniem.

– Panno Barrow...

– Otrzymałaliśmy instrukcje...

– ... aby odprowadzić panią na...

– ... zdanie raportu.

Bliźniaki mrugają do mnie synchronicznie, kończąc tym samym swoją irytującą, tandemową przemowę. Podobnie jak pułkownik spływają potem, przez co świecą się ich identyczne, czarne brody i ochrowe twarze.

Zamiast im obu przyłożyć, tak jakbym chciała, robię krok do tyłu. „Raport”. Na myśl o tym, że będę musiała opowiedzieć o wszystkim, co przeszłam, jakiemuś gwardziście, mam ochotę krzyknąć albo uciec – albo jedno i drugie.

Cal staje między nami, przynajmniej po to, by zamortyzować wszelkie ciosy, jakie mam ochotę im wymierzyć.

– Naprawdę każecie jej to teraz robić? – Jego pełen niedowierzania głos podszyty jest groźbą. – To może poczekać.

Pułkownik z irytacją wypuszcza powietrze z płuc.

– Może się to wydawać bezduszne. – Tu rzuca ostre spojrzenie bliźniętom z Montfortu. – Ale posiadasz istotne informacje na temat naszych wrogów. Takie mamy rozkazy, Barrow. – Jego głos łagodnieje. – Chciałbym, żeby były inne.

Delikatnie odsuwam sobie Cala z drogi.

– Idę. Zobaczyć. Się. Z rodziną. Teraz! – Krzyczę, mówiąc na przemian to do jednego, to do drugiego z nieznośnych bliźniąt. Robią tylko smutne miny.

– Co za impertynencja – mruczy Rash.

– Straszna impertynencja – odpowiada mu Tahir.

Cameron udaje, że kaszle, choć tak naprawdę próbuje ukryć śmiech.

– Nie drażnijcie jej – ostrzega. – Bo jak uderzy piorun, to będę udawać, że nic nie widziałam.

– Rozkazy mogą poczekać – dodaje Cal, starając się zastosować to, czego nauczył się podczas szkoleń, by robić wrażenie władcze, nawet jeśli niewiele jest tu w stanie zdziałać. Szkarłatna Gwardia widzi w nim swoją broń, nic innego. Wiem, bo kiedyś postrzegalam go w ten sam sposób.

Bliźniaki ani drgną. Rash nie kryje swojego wzburzenia i napusza się jak ptak.

– Podejrzewam, że masz mnóstwo powodów, żeby doprowadzić do upadku króla Mavena.

– Podejrzewam, że znasz najlepszy sposób na to, aby go pokonać – dorzuca Tahir.

Nie mylą się. Widziałam najgłębsze rany Mavena i jego najciemniejsze oblicza. Wiem, gdzie go ugodzić, żeby najbardziej krwawił. Ale w tej chwili, kiedy mam wszystkich na wyciągnięcie ręki, ledwie jestem w stanie logicznie myśleć. Teraz, gdyby ktoś przykuł przede mną Mavena do ziemi, nie zatrzymałabym się nawet, żeby kopnąć go w zęby.

– Nie obchodzi mnie, kto was trzyma na smyczy. – Zwinnie omijam ich obu. – Ale macie mu powiedzieć, żeby poczekał.

Bracia wymieniają spojrzenia. Porozumiewają się ze sobą myślami, debatują. Odeszłabym, gdybym wiedziała, gdzie pójść, ale jestem zdana na innych.

Moje myśli wybiegają już do przodu – do mamy, taty, Gisy, Tramy’ego i Bree. Wyobrażam ich sobie w kolejnych barakach, ściśniętych w pokoju jakiejś noclegowni, mniejszym niż nasz dom na palach. Cuchnie tam kiepskimi potrawami mamy. -Wózek ojca, ścinki Gisy. Aż zaczyna mnie boleć serce.

– Sama ich znajdę – syczę, zamierzając zostawić bliźniaków na dobre.

Ale Rash i Tahir kłaniają mi się i rozstępują.

– Skoro tak...

- Zdanie raportu odbędzie się z samego rana.
- Pułkownik, proszę ją odeskortować do...
- Oczywiście – ostro odpowiada pułkownik, przerywając im obu. Jestem mu bardzo wdzięczna za jego szybką odpowiedź. – Za mną, Mare.

\*

Baza w Piedmoncie jest dużo większa niż Klin, sądząc po rozmiarze lądowiska. W ciemności trudno powiedzieć, ale przypomina mi bardziej Fort Patriot, główną siedzibę wojsk Norty w zatoce Harbor. Hangary są większe, odrzutowców kilkadziesiąt. Nie musimy iść, ludzie pułkownika wiozą nas otwartym łazikiem. Podobnie jak odrzutowce, wnętrze pojazdu zdobią żółte i białe pasy. Klin był wyborem dość oczywistym. Szkarłatnej Gwardii łatwo było przejąć porzuconą bazę leżącą gdzieś na uboczu. Ale to miejsce to zupełnie co innego.

– Gdzie jest Kilorn? – mamroczę po cichu, szturchając siedzącego koło mnie Cala.

– Chyba z twoją rodziną. Dzieli swój czas między nich a Nowych.

Bo nie ma własnej rodziny.

Jeszcze bardziej obniżam głos, żeby nie urazić przypadkiem pułkownika.

– A Farley?

Cameron wychyla się zza Cala, jej oczy są dziwnie życzliwe.

– Jest w szpitalu, ale nie martw się. Nie poleciała do Archeonu, nie jest ranna. Wkrótce ją zobaczysz. – Szybko mruga powiekami i ostrożnie dobiera słowa. – Będziecie miały... o czym rozmawiać.

– To dobrze.

Ciepłe powietrze oblepia mnie swoimi klejącymi mackami i płącze mi włosy. Ledwie jestem w stanie usiedzieć na miejscu z ekscytacji i podenerwowania. Tuż przed moim pojmaniem zginął Shade – z mojego powodu. Nie miałabym nikomu za złe, w tym Farley, gdyby mnie za to nienawidzili. Czas nie zawsze leczy rany. Niekiedy jedynie je pogłębia.

Cal trzyma mi dłoń na nodze, przypominając mi tym samym, że tu jest. Siedząc obok mnie, rozgląda się na boki i rejestruje każdy zakręt ciężarówki. Powinam robić to samo. Teren bazy Piedmontu to niezajomy teren. Nie potrafię jednak zrobić wiele więcej, jak przygryźć wargę i liczyć na to, że wszystko będzie dobrze. Moje nerwy buzują, i to nie od elektrycznej energii. Kiedy skręcamy w prawo, w siatkę uliczek, wzdłuż których ciągną się szeregowce z czerwonej cegły, mam wrażenie, że zaraz wybuchnę.

– Kwatery oficerów – mruczy Cal pod nosem. – To królewska baza. Finansowana przez rząd. W Piedmoncie jest tylko kilka baz tych rozmiarów.

Jego ton zdradza mi, że ma te same wątpliwości co ja. „Więc jak to się stało, że się tu znaleźliśmy?”

Zatrzymujemy się przed jedynym domem, w którym palą się wszystkie światła. Bez zastanowienia wyskakuję z naczepy, prawie potykając się o swoją poszarpaną suknię. Patrzę tylko na wąską ścieżkę przed sobą. Żwir i stopnie z płaskiego kamienia. Ruch za zasłoniętymi oknami. Słyszę jedynie bicie własnego serca i skrzypienie otwieranych drzwi.

Pierwsza dobiega do mnie mama, prześcigając obu moich braci. Nasze zderzenie prawie pozbawia mnie tchu, ale jej uścisk, który następuje po chwili, kończy dzieła. Nie przeszkadza mi to. Mogłaby mi połamać wszystkie kości, a nadal nie miałabym nic przeciw.

Bree i Tramy prawie niosą nas po stopniach do środka szeregowego domu. Krzyczą coś, podczas gdy mama szepcze mi do ucha. Niczego nie słyszę. Zalewa mnie fala szczęścia i radości. Nigdy w życiu nie doświadczyłam niczego podobnego.

Czuję dywan pod kolanami i mama klęka ze mną na środku dużego holu. Całuje mnie po twarzy, tak szybko zmieniając policzki, że boję się, czy nie będę mieć po tym sińców. Gisa wtula się w nas obie, widzę kątem oka płomienną poświatę jej kasztanowych włosów. Podobnie jak pułkownikowi przybyło jej nieco piegów, brązowych plamek na złotej skórze. Przyciągam ją do siebie. Kiedyś była mniejsza.

Tramy uśmiecha się nad nami szeroko, prezentując ciemną, dobrze utrzymaną brodę. Już jako nastolatek próbował sobie taką wyhodować. Nigdy jednak nie udało mu się osiągnąć więcej niż plackowaty zarost. Bree bardzo się z niego naśmiewał. Teraz już tego nie robi. Przytula się do moich pleców, obejmując swoimi ramionami zarówno mnie, jak i mamę. Ma mokre policzki. Nagle zdaję sobie sprawę, że ja też.

– Gdzie jest...? – pytam.

Na szczęście nie zdążam popaść w panikę. Gdy w końcu go widzę, zastanawiam się, czy nie mam zwidów.

Opiera się ciężko o ramię Kilorna i laskę. Ostatnie miesiące dobrze mu służyły. Nabrał pełniejszych kształtów dzięki regularnym posiłkom. Idzie powoli z sąsiedniego pokoju. „Idzie”. Jego krok jest sztywny, nienaturalny, nieznamy. Mój ojciec od lat nie miał obu nóg. I dwóch pracujących płuc. Nasłuchuję, kiedy podchodzi bliżej. Nie słyszę rżenia. Nie słyszę klikającej maszyny, która pomagała mu oddychać. Nie słyszę skrzypienia starego wózka. Nie wiem, co myśleć ani co powiedzieć. Zapomniałam, jaki jest wysoki.

Uzdrowiciele Ciała. To pewnie zasługa Sary. W głębi serca dziękuję jej po tysiącokroć. Podnoszę się na nogi, ciasno opatulając się kurtką. Są na niej ślady po kulach. Tata mierzy je wzrokiem, nadal ma w sobie pierwiastek żołnierza.

– Możesz mnie przytulić. Nie przewrócę się – mówi.

„Kłamca”. Tata prawie się potyka, kiedy obejmuję go w pasie, ale Kilorn

opanowuje sytuację. Po raz pierwszy, odkąd byłam małą dziewczynką, przytulamy się w ten sposób.

Mama odgarnia mi włosy z twarzy i kładzie swoją głowę przy mojej. Trzymają mnie między sobą, osłoniętą i bezpieczną. I na moment zapominam. Nie ma Mavena. Nie ma kajdan, nie ma znamienia, nie ma blizn. Nie ma wojny, buntu.

Nie ma Shade'a.

Nie tylko mnie brakowało w tej rodzinie. I nic tego nie zmieni.

Nie ma go tu i nigdy już nie będzie. Mój brat jest sam na porzuconej wyspie.

Nie pozwolę, by kolejny Barrow podzielił jego los.

## Rozdział 21

### Mare

Woda w kąpeli jest brązowoczerwona. Brud i krew. Mama spuszcza ją dwa razy, ale nadal znajduje w moich włosach kolejne zlepki. Jak dobrze, że Uzdrowiciel w samolocie zajął się moimi świeżymi ranami, bo mogę się cieszyć ciepłą wodą z pianą bez dodatkowego bólu. Gisa przysiadła na stołeczku przy wannie. Jej kręgosłup jest prosty jak struna, doskonalila tę pozę od lat. Albo zrobiła się ładniejsza, albo w ciągu pół roku zdążyłam zapomnieć jej twarz. Prosty nos, pełne usta i błyszczące, ciemne oczy. Takie same jak mamy. I jak moje. Wszyscy w naszej rodzinie mają podobne oczy z wyjątkiem Shade'a. Tylko on miał tęczęwki koloru miodu lub złota. Po mamie ojca. Te oczy odeszły na zawsze.

Odwracam myśli od swojego brata i patrzę na dłoń Gisy. Tę, która ucierpiała przez moją głupotę.

Skóra jest teraz gładka, kości zostały prawidłowo nastawione. Nie ma śladu po jej pogruchotanej dłoni, roztrzaskanej rękojeścią pistoletu strażnika.

– To dzięki Sarze – tłumaczy Gisa, napinając palce.

– Dobrze się spisała – odpowiadam. – Z tatą też.

– To jej zajęło cały tydzień. Sprawienie, by wszystko odrosło od uda w dół. Tata nadal się przyzwyczaja. Ale nie bolało go tak jak mnie. – Znów napina palce i uśmiecha się szeroko. – Wiesz, że musiała mi złamać te dwa? – Porusza palcem wskazującym i środkowym. – Użyła do tego młotka. Bolało jak skurczysyn.

– Giso Barrow, twój język jest oburzający. – Lekko ochlapuję jej stopy wodą. Znów przeklina, odsuwając stopy.

– Możesz zgłosić pretensje do Szkarłatnej Gwardii. Wychodzi na to, że cały czas przeklinają i proszą o kolejne flagi. – „Brzmi znajomo”. Żeby nie pozostać mi dłużną, Gisa sięga dłonią do wanny i ochlapuje mnie wodą.

Mama cmoka na nasze wygłupy. Stara się robić wrażenie poważnej, ale nie dajemy się na to nabrać.

– Dzieciaki, dajcie już spokój.

Rozkłada w dłoniach miękkie, białe ręczniki i podaje mi go. Choć chciałabym spędzić kolejną godzinę na moczeniu się w wannie, bardziej pragnę wrócić na dół.

Wychodzę z kąpeli w akompaniamencie chlupoczącej wody i owijam się ręcznikiem. Uśmiech Gisy nieco blednie. Moje blizny są teraz w pełni widoczne, perłowe smugi białego ciała na tle ciemniejszej skóry. Nawet mama odwraca oczy i daje mi chwilę, żebym lepiej owinęła się ręcznikiem i zasłoniła znamię na obojczyku.

Zamiast skupiać się na ich zawstydzonych twarzach, rozglądam się po łazience. Nie jest tak ładna jak ta, którą miałam w Archeonie, ale brak Cichego Kamienia wynagradza mi z nawiązką wszelkie różnice. Wygląda na to, że mieszkający tu wcześniej oficer miał bardzo krzykliwy gust. Ściany są jaskrawopomarańczowe z białymi obwódkami, które pasują do porcelany łazienkowej: umywalki na nóżce, głębokiej wanny i prysznicza ukrytego za zasłoną w limonkowym kolorze. Moje odbicie gapi się na mnie z lustra nad umywalką. Wyglądam jak zmokły szczur, choć bardzo czysty. Gdy stoi przy mnie mama, wyraźniej widzę nasze podobieństwo. Jest drobna tak jak ja, obie mamy skórę o złotym odcieniu. Choć jej jest bardziej zmęczona i pomarszczona, minione lata zostawiły na niej swój ślad.

Gisa prowadzi mnie z łazienki na korytarz. Mama idzie za mną i osusza mi włosy kolejnym miękkim ręcznikiem. Wprowadzają mnie do pokoju w kolorze pudrowego błękitu, w którym stoją dwa wygodne łóżka. Jest mały, ale w zupełności mi wystarcza. Wolałabym brudną podłogę od najbardziej wystawnej z komnat w pałacu Mavena. Mama szybko pomaga mi włożyć bawełnianą piżamę, nie wspominając o skarpetkach i miękkim szalu.

– Mamo, ugotuję się – sprzeciwiam się żartobliwie, odwijając szal z szyi.

Zabiera go ode mnie z uśmiechem, po czym całuje mnie w oba policzki.

– Chcę tylko, żeby było ci wygodnie.

– Możesz mi wierzyć, jest – odpowiadam, ściskając jej ramię.

W rogu zauważam moją przyozdobioną klejnotami suknię ze ślubu, z której teraz pozostały niemal same strzępy. Gisa podąża za moim wzrokiem i się rumieni.

– Pomyślałam, że co nieco z niej zachowam – przyznaje z niemal zażenowaną miną. – To są rubiny. Nie wyrzucę rubinów.

Wychodzi na to, że moja siostra ma więcej moich złodziejskich instynktów, niż mi się zdawało.

I najwyraźniej moja mama też.

Odzywa się, zanim zrobię choć jeden krok w stronę drzwi sypialni.

– Jeśli sądzisz, że pozwolę ci siedzieć do rana i rozmawiać o wojnie, to się mylisz. – Aby podkreślić swoją stanowczość, krzyżuje ręce na piersi i staje mi na drodze. Moja mama jest niska tak jak ja, ale całe życie ciężko pracowała. Zdecydowanie nie należy do słabych. Widziałam, jak daje sobie radę z moimi trzema braćmi, i doskonale wiem, że jeśli będzie trzeba, siłą położy mnie do łóżka.

– Mamo, muszę powiedzieć kilka rzeczy...

– O ósmej rano składasz raport. Wtedy wszystko powiesz.

– Chcę też wiedzieć, co się wydarzyło...

– Gwardia przejęła władzę w Corvium. Pracują nad Piedmontem. Nikt na dole nie wie niczego więcej. – Strzela słowami jak z karabinu maszynowego, jednocześnie zaganiając mnie w stronę łóżka.



Patrę na Gisę, szukając pomocy, ale ona wycofuje się z uniesionymi rękami.

– Nie rozmawiałam z Kilornem.

– Zrozumie.

– A Cal...

– Nic mu nie będzie, jak sobie posiedzi z twoim ojcem i braćmi. Skoro nie bał się szturmować stolicy, to ich też się nie przestraszy.

Z uśmiezkiem wyobrażam sobie, jak siedzi wciśnięty pomiędzy Bree i Tramy'ego.

– Zresztą ryzykował życiem, żebyś wróciła do domu – dodaje, puszczając do mnie oko. – Nie zrobią mu krzywdy, a przynajmniej nie dzisiaj. A teraz wchodź do łóżka i zamykaj oczy, bo inaczej sama ci je zamknę.

Światło syczy w żarówkach, kable w pokoju wiją się jak elektryczne węże. Ale są niczym w porównaniu z siłą głosu mojej matki. Robię, co mi każe, i wchodzę pod kołdrę najbliższego łóżka. Ku mojemu zaskoczeniu mama kładzie się razem ze mną i mocno mnie przytula.

Po raz tysięczny, odkąd wróciłam, całuje mnie w policzek.

– Nigdzie się nie wybierasz.

W głębi serca wiem, że to nieprawda.

Jeszcze nie wygraliśmy tej wojny.

Ale przynajmniej w ten wieczór mogę udawać, że mama ma rację.

\*

Ptaki w Piedmoncie robią straszny jazgot. Tak głośno ćwierkają i szczebioczą za oknami, że wyobrażam sobie, iż wśród drzew siedzą ich całe chmary. To jedyne wytłumaczenie tego hałasu. Ale ma to też swoją dobrą stronę: w Archeonie nigdy nie słyszałam ptaków. Nawet zanim otworzę oczy, wiem, że wczorajszy dzień to nie był sen. Wiem, gdzie i w jakich okolicznościach się budzę.

Mama od zawsze lubiła wstawać. Gisy też już nie ma, ale nie jestem sama. Kiedy uchylam drzwi sypialni, widzę tyczkowatego chłopaka siedzącego na szczycie schodów.

Kilorn z uśmiechem zrywa się na nogi i szeroko rozpościera ramiona. Bardzo prawdopodobne, że się rozkleję od tych uścisków.

– Co tak długo? – mówi. Nawet pół roku więzienia i tortur nie gwarantuje mi u niego taryfy ulgowej. Z prędkością światła powracamy do starych nawyków.

Szturcham go w żebra.

– Jakbyś pomógł, byłoby szybciej.

– Akcje militarne i ataki taktyczne nie są moją specjalnością.

– To ty masz jakąś specjalność?

– Poza graniem ludziom na nerwach? – Śmieje się i sprowadza mnie po

schodach. Słyszę brzęczenie garnków i podążam za zapachem smażonego bekonu. W świetle dnia szeregowiec sprawia przyjazne wrażenie, ale zdaje się nie pasować do bazy wojskowej. Ściany w maślanym odcieniu żółci i pąsowe dywany czynią przedpokój przytulnym, choć dziwnie brakuje w nim dekoracji. Tu i ówdzie w ścianach znajdują się dziurki po gwoździach. Usunięto może dwanaście obrazów. Kolejne pomieszczenia, które mijamy, salon i domowe biuro, również są ubogo wyposażone. Albo oficer, który tu mieszkał, zabrał wszystko ze sobą, albo zrobił to za niego ktoś inny.

„Przestań – ganię się w duchu. Zasłużyłam na to, by nie musieć myśleć o zdradach i oszustwach choć przez jeden przeklęty dzień. – Jesteś bezpieczna, jesteś bezpieczna, już po wszystkim”. Powtarzam te słowa w swojej głowie.

Przed wejściem do kuchni Kilorn obejmuje mnie ramieniem. Nachyla się do mnie, aż nie mogę uniknąć jego oczu. Są tak zielone, jak zapamiętałam. Przymrużają się w trosce.

– Nic ci nie jest?

Zwykle pokiwałabym głową i zbyła insynuację uśmiechem. Robiłam to dotąd już tyle razy. Odpychałam od siebie najbliższych mi ludzi, myśląc, że mogę cierpieć sama. Więcej tak nie postąpię. Stałam się przez to pełna nienawiści, potworna. Ale słowa, które próbuję z siebie wyrzucić, nie chcą nadejść. Nie są dla Kilorna. Nie zrozumiałby.

– Przydałoby mi się słowo, które jednocześnie oznacza „tak” i „nie” – szepczę, spuszczać wzrok.

Kilorn kładzie mi dłoń na ramieniu, ale nie pozostawia jej tam długo. Wie, jakie wyznaczyłam nam granice. Nie będzie próbował ich przekroczyć.

– Kiedy będziesz chciała pogadać, możesz na mnie liczyć. – Nie „jeśli”. „Kiedy”. – Do tego czasu będę cię męczył.

Odpowiadam niepewnym uśmiechem.

– Dobrze. – W korytarzu niesie się skwierczenie smażonego tłuszczu. – Mam nadzieję, że Bree wszystkiego nie zjadł.

Trzeba przyznać, że mój brat zdecydowanie próbuje. Podczas gdy Tramy pomaga mamie gotować, Bree sterczy jej za plecami i wyjada kawałki bekonu prosto z rozgrzanego tłuszczu. Mama odgania go ścierką, a Tramy z zadowoleniem uśmiecha się nad pełną jajecznicy patelnią. Obaj są dorośli, ale zachowują się jak dzieci. Dokładnie tak, jak ich zapamiętałam. Gisa siedzi przy kuchennym stole i obserwuje wszystko kątem oka. Robi, co w jej mocy, żeby zachować opanowanie. Stuka palcami o drewniany blat stołu.

Tata trzyma się z boku i opiera o szafki, prostując przed sobą nową nogę. Zauważa mnie pierwszy i posyła mi nieznaczny, porozumiewawczy uśmiech. Mimo że scena w kuchni wydaje się radosna, nastrój taty podszyty jest smutkiem.

Czuje, że kogoś tu brakuje. Kogoś, kto już nigdy nie wróci.

Przełykam gulę w gardle i odpycham od siebie ducha Shade'a.

Zauważam też, że nie ma z nami Cala. Nie sędzę jednak, żeby to długo potrwało. Pewnie odsypia albo planuje kolejny etap... tego, co się teraz dzieje.

– Inni ludzie też chcą jeść – ganię Bree, gdy przechodzę obok niego. Szybko wrywam mu z ręki kawałek bekonu. Sześć miesięcy nie wpłynęło na mój refleks. Uśmiecham się do niego i siadam koło Gisy, która teraz układa swoje długie włosy w gładki kok.

Bree stroi do mnie minę, kiedy siada przy stole z talerzem pełnym posmarowanych masłem grzanek. Nie jadł tak dobrze ani w wojsku, ani na Klinie. Tak jak pozostali chce jak najlepiej wykorzystać tutejsze porządne wyżywienie.

– Właśnie Tramy, zostaw coś dla innych.

– Ty masz już dość – odpowiada Tramy, szczypiąc Bree w policzek. Kończy się na małej bijatyce. „Dzieci – myślę znowu. – I żołnierze”.

Zostali wcieleni do wojska i nie dali się zabić. Może to kwestia szczęścia, ale obaj są silni. Sprytni podczas walki, nawet jeśli w domu nie grzeszą rozumem. Pod ich lekkimi uśmiechami i chłopięcym zachowaniem kryją się wojownicy. Cieszę się, że jak na razie nie muszę widzieć ich drugiej strony.

Mama mnie pierwszej nakłada jedzenie. Nikt się temu nie sprzeciwia, nawet Bree. Zjadam jajecznicę na bekonie i popijam aromatyczną, gorącą kawą ze śmietanką i cukrem. To posiłek godny Srebrnego arystokraty i nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

– Mamo, skąd to mamy? – pytam pomiędzy kolejnymi kęsami jajecznicy. Gisa marszczy nos na widok obracającego się w moich ustach jedzenia.

– Z codziennej dostawy dla całej ulicy – odpowiada mama, przerzucając na plecy warkocz siwo--brązowych włosów. – W tym szeregu mieszkają sami oficerowie Gwardii, wysocy stopniem funkcjonariusze i ważne osoby. Wraz z rodzinami.

– „Ważne osoby”, czyli... – Próbuję czytać pomiędzy wierszami. – Nowi?

Odpowiada mi Kilorn.

– Tak, jeśli mają stopień oficera. Ale Nowi rekruci mieszkają w koszarach wraz z resztą żołnierzy. Uznano, że tak będzie najlepiej. Mniej podziałów, mniej strachu. Nigdy nie będziemy mieć porządnej armii, jeśli żołnierze będą się bać reszty swojej kompanii.

Moje brwi mimowolnie wędrują w górę w geście zaskoczenia.

– Mówiłem ci, że mam swoją specjalność – szepcze i puszcza do mnie oko.

Moja mama cała promienieje i stawia przed nim talerz z jedzeniem. Z czułością mierzwi mu włosy, przez co jego płowe loki stają dęba. Kilorn niezręcznie próbuje je przygładzić.

– Kilorn stara się poprawić relacje pomiędzy Nowymi a resztą Szkarłatnej Gwardii – mówi z dumą. Chłopak próbuje zasłonić dłonią rumieniec, który

wywołały te pochwały.

– Warren, jeśli nie masz zamiaru tego jeść...

Tata reaguje najszybciej z nas wszystkich i smaga laską wyciągniętą dłoń Tramy'ego.

– Zachowuj się, synku – burczy na niego, po czym podkrada mi bekon z talerza. – Ale dobre.

– Najlepsze śniadanie, jakie jadłam – przytakuje Gisa. Z gracją, ale ochoczo je jajecznicę posypaną serem. – Montfort zna się na jedzeniu.

– Piedmont – poprawia ją tata. – Jedzenie i zaopatrzenie są z Piedmontu.

W lot pochwytyuję tę informację i krzywię się, że instynktownie robię takie rzeczy. Tak przywykłam do analizowania wszystkiego, co słyszę, że robię to bez zastanowienia nawet w stosunku do własnej rodziny. „Jesteś bezpieczna, jesteś bezpieczna, już po wszystkim”. Słowa ponownie rozbrzmiewają w mojej głowie. Ich rytm nieco mnie uspokaja.

Tata nadal nie chce usiąść.

– Jak ci się podoba nowa noga? – pytam.

Drapie się po głowie i wierci w miejscu.

– Raczej nie będę jej reklamować – mówi z rzadkim u niego uśmiechem. – Trzeba się do niej przyzwyczaić. Uzdrowicielka Ciała często mi pomaga.

– To dobrze. Wspaniale.

Nigdy nie wstydziłam się kalectwa taty. Przynajmniej żył i był wolny od ponownego poboru. Tylu innych ojców, w tym Kilorna, straciło życie w bezsensownej wojnie, podczas gdy mój przeżył. Brak nogi sprawił, że zrobił się cierpki, nic go nie cieszyło, znenawidził swój wózek. Grymas gościł na jego twarzy częściej niż uśmiech, stał się zgorzkniałym odludkiem. Ale żył. Powiedział mi kiedyś, że to okrutne wzbudzać nadzieję tam, gdzie jej być nie powinno. Nie miał nadziei, że jeszcze kiedykolwiek będzie chodził, że będzie człowiekiem, jakim był wcześniej. Teraz stanowi dowód na coś zupełnie odwrotnego – na to, że nadzieja, choćby najmniejsza, choćby na coś całkowicie niemożliwego, może się spełnić.

W więzieniu Mavena popadłam w rozpacz. Marniałam. Odliczałam dni do końca i marzyłam o tym, by wreszcie nastąpił. Nieważne jaki. Ale miałam nadzieję, że coś się wydarzy. Głupią, pozbawioną logiki nadzieję. Czasem to był pojedynczy płomyczek, czasem wielki ogień. To też wydawało się niemożliwe. Tak samo jak droga przede mną, przez wojnę i rewolucję. W ciągu najbliższych dni wszyscy możemy umrzeć. Wszyscy możemy zostać zdradzeni. Albo... możemy wygrać.

Nie wiem nawet, jak to jest i na co dokładnie mieć nadzieję. Wiem tylko, że muszę tę nadzieję zachować przy życiu. To jedyna tarcza, którą mogę się osłonić przed wewnętrzną ciemnością.

Rozglądam się wokół stołu. Kiedyś narzekałam na to, że moja rodzina mnie nie zna, nie rozumie tego, kim się stałam. Miałam się za odsuniętą na bok, samotną, odizolowaną.

Nie mogłam się bardziej mylić. Teraz jestem mądrzejsza. Wiem, kim jestem. Jestem Mare Barrow. Nie Mareeną, nie dziewczyną od błyskawic. Mare.

\*

Rodzice proponują, że pójdą ze mną na zdanie raportu. Gisa robi to samo. Odmawiam. To spotkanie o charakterze wojskowym, poważne i istotne dla sprawy. Będzie mi łatwiej o wszystkim szczegółowo opowiedzieć, jeśli mama nie będzie trzymać mnie za rękę. Mogę zgrywać silną przed pułkownikiem i jego oficerami, ale nie przed nią. Przy mamie łatwo opuszczam gardę. W kręgu rodziny prościej przyjąć i wybaczyć komuś słabość. Ale nie jeśli na szali leży wojna i ludzkie życie.

Zegar w kuchni wybija ósmą rano i w tej samej chwili przed domem zatrzymuje się łązik. Po cichu wstaję od stołu. Tylko Kilorn odprowadza mnie do drzwi, ale nie idzie ze mną. Wie, że nie będzie brał w tym udziału.

– To co będziesz dziś robił? – pytam, przekreślając mosiężną gałkę w drzwiach.

Wzrusza ramionami.

– W Trialu miałem codzienny harmonogram zajęć. Trochę treningów, spotkania z Nowymi, lekcje z Adą. Dobrze mi to robiło i gdy przyjechałem tu z twoimi rodzicami, pomyślałem, że nie będę tego zmieniał.

– Harmonogram – pryham, wychodząc na słońce. – Mówisz jak Srebrna dama.

– No wiesz, kiedy się jest tak przystojnym jak ja... – wzdycha.

Mimo wczesnej pory jest już bardzo gorąco. Słońce pali nas od wschodu, ściągam więc kurtkę, którą wcisnęła mi mama. Wzdłuż ulicy rosną liściaste drzewa, co sprawia, że baza wojskowa przypomina jakąś bogatą dzielnicę. Większość szeregowców wygląda na niezamieszkane, ma zamknięte okiennice. Na dole schodów czeka na mnie mój transport. Kierowca zsuwa niżej okulary przeciwsłoneczne i mierzy mnie znad nich wzrokiem. Powinnam się była domyślić. Cal dał mi dużo czasu sam na sam z rodziną, ale nie mógł zbyt długo trzymać się na uboczu.

– Cześć, Kilorn! – woła, machając do niego na powitanie. Kilorn bez oporu odwzajemnia gest i uśmiecha się. Sześć miesięcy wystarczyło, by wzajemna rywalizacja zniknęła.

– Znajdę cię później – mówię mu. – Porównamy notatki.

Kilorn kiwa głową.

– Jasne.

Choć Cal przyciąga mnie do siebie jak światło morskiej latarni, idę do łązika

powoli. W oddali słycać ryk silników odrzutowców. Każdy krok przybliża mnie do odtworzenia historii sześciu miesięcy mojej niewoli. Gdybym uciekła do domu, nikt by mi się chyba nie dziwił. Ale w ten sposób tylko odwlekałabym w czasie to, co nieuniknione.

Cal mnie obserwuje, jego twarz w świetle dnia wydaje się ponura. Wyciąga dłoń i pomaga mi wsiąść na przednie siedzenie, jakbym była jakąś inwalidką. Silnik zaczyna warczeć, a jego elektryczne serce o czymś mi przypomina. Może i się boję, ale nie jestem słaba.

Cal macha do Kilorna po raz ostatni, dodaje gazu i rusza ulicą. Wiatr porusza jego niedbale przystrzyżonymi włosami, odsłaniając nierówne miejsca.

Gładzę dłonią tył jego głowy.

– Sam się obciąłeś?

Rumieni się na srebrno.

– Próbowałem. – Jedną dłonią trzyma kierownicę, a drugą bierze mnie za rękę. – Dasz sobie dziś radę?

– Jakoś przeżyję. Podejrzewam, że ty masz najwięcej do powiedzenia. Ja tylko wypełnię luki. – Drzewa rzedną po obu stronach drogi, w miejscu, gdzie ulica oficerskiego osiedla krzyżuje się z większą aleją. Po lewej stronie znajduje się lądowisko. Skręcamy w prawo i łazik gładkim łukiem przejeżdża po bruku. – I miejmy nadzieję, że ktoś w końcu zacznie mnie wtajemniczać w to, co się tu dzieje.

– W przypadku tych ludzi trzeba żądać odpowiedzi, zamiast na nie czekać.

– A żądałeś, Wasza Wysokość?

Wydaje z siebie niski, gardłowy rechot.

– Oni pewnie tak myślą.

Dotarcie do celu zajmuje pięć minut i Cal bardzo się stara opowiedzieć mi po drodze o wszystkim, co się wydarzyło. Niedaleko Trialu, blisko lakelandzkiej granicy znajdowało się centrum dowodzenia. Wszystkich żołnierzy pułkownika ewakuowano na północ, spodziewając się napaści na wyspę. Spędzili długie miesiące pod ziemią, w bunkrach, w których panowała lodowata temperatura, podczas gdy Farley i pułkownik wymieniali informacje z Dowództwem i przygotowywali się na następny cel. Corvium. W głosie Cala pobrzmiwają emocje, kiedy opisuje oblężenie. Sam prowadził atak na mury, a potem zdobywał miasto- fortecę przecznica po przecznicy. Całkiem możliwe, że znał żołnierzy, przeciw którym walczył. Możliwe, że zabił swoich przyjaciół. Nie rozdrapuję żadnej z tych ran. Koniec końców przejęli miasto i pozbyli się ostatnich Srebrnych oficerów, dając im do wyboru kapitulację lub śmierć.

– Większość przetrzymujemy jako więźniów, za niektórych rodziny zapłaciły okup. A niektórzy wybrali śmierć – mówi słabnącym głosem.

– Tak mi przykro – odpowiadam cicho i szczerze. Ogarnia mnie współczucie

nie tylko dlatego, że Cal cierpi, ale dlatego, że świat nie jest czarno--biały. Zdążyłam się już o tym przekonać. – Czy Julian będzie obecny przy zdawaniu raportu?

Cal wzdycha, wdzięczny, że zmieniliśmy temat.

– Nie wiem. Dziś rano powiedział, że Montfortczycy byli bardzo uczynni w interesujących go kwestiach: dali mu dostęp do archiwów bazy i laboratorium. Cały czas chce kontynuować badania nad Nowymi.

Nie ma lepszej nagrody dla Juliana Jacosa. Czas i książki.

– Ale na pewno nie tak łatwo dopuszczą Pieśniarza do swojego wodza – dodaje Cal po namyśle.

– To całkiem zrozumiałe – odpowiadam. Choć nasze umiejętności mają niszczycielską moc, zdolności manipulacji Juliana mogą być równie śmiertelne w skutkach. – Od jak dawna Montfort jest w to wszystko zamieszany?

– Tego też nie wiem – mówi z oczywistą irytacją. – Ale po tym, co zaszło w Corvium, bardzo się zaangażowali. Zwłaszcza że Maven zawarł przymierze z Lakelandią, żeby pozyskać sprzymierzeńców przeciwko buntownikom – tłumaczy. – Montfort i Gwardia zrobili to samo. Zamiast broni i pożywienia Montfort zaczął przysyłać żołnierzy. Czerwonych, Nowych. Mieli już gotowy plan, jak wyrwać cię z Archeonu. Wzięlibyśmy ich w kleszcze. My z Trialu, Montfort z Piedmontu. Nie ma co, są świetnie zorganizowani. Ale potrzebowali odpowiedniego momentu.

– Chyba nie mogli wybrać lepszego – kpię. Odpycham od siebie wspomnienia salwy z karabinów i rozlewu krwi. – I to wszystko dla mnie. Niezbyt to mądre.

Uścisk Cala na mojej dłoni robi się silniejszy. Wychowano go na idealnego Srebrnego żołnierza. Pamiętam jego podręczniki, książki na temat taktyki wojskowej. Było w nich napisane: „Zwycięstwo za wszelką cenę”. Cal kiedyś w to wierzył. Tak jak ja wierzyłam, że nic na świecie nie jest w stanie sprawić, bym wróciła do Mavena.

– Albo mieli jeszcze jeden cel w Archeonie, albo Montfort naprawdę cię potrzebuje – mamrocze Cal, parkując łazik.

Zatrzymujemy się przed kolejnym budynkiem z cegły, okrążonym gankiem, który z przodu ozdabiają kolumny. Znów przypomina mi się Fort Patriot, jego bramy ozdobione w niepokojący brąz. Srebrni lubią piękne rzeczy i to nie jest wyjątek. Po kolumnach pną się latorośle kwitnące fioletowymi kaskadami wisterii i wonnego kapryfolium. Pod pnączami przechodzą żołnierze, którzy wolą trzymać się w cieniu. Zauważam Szkarłatną Gwardię w niepasujących do siebie ubraniach, z czerwonymi chustami, Lakelandczyków ubranych na niebiesko oraz mrowie montfordzkiej zieleni. Czuję gniesienie w żołądku.

Pułkownik wychodzi nam naprzeciw i na szczęście jest sam.

Zaczyna mówić, zanim jeszcze zdążę wysiąść z łazika.

– Będziecie mieli spotkanie ze mną, dwoma generałami z Montfortu i oficerem z Dowództwa.

Cal i ja szeroko otwieramy oczy z zaskoczenia.

– Z Dowództwa? – powtarzam.

– Tak. – Pułkownik błyska zdrowym okiem. Odwraca się na pięcie i rusza do przodu, a my próbujemy za nim nadążyć. – Powiedzmy, że maszyna działa.

Z irytacją przewracam oczami.

– Pułkowniku, powiedz nam wprost, co masz na myśli.

– Sam pewnie tego nie wie – odpowiada znajomy głos.

Farley wychodzi z cienia jednej z kolumn, ręce ma skrzyżowane wysoko na piersi. Otwieram szeroko usta ze zdumienia. Jest w nedorzecznie wręcz zaawansowanej ciąży. Jej brzuch napręża tkaninę zmodyfikowanego munduru, który składa się teraz z luźnej sukienki i workowatych spodni. Nie zdziwiłabym się, gdyby zaczęła rodzić w ciągu kolejnych trzydziestu sekund.

– Ale... – to jedyne, co jestem w stanie powiedzieć.

Farley ma niemal rozbawioną minę.

– Wytęż umysł, Barrow.

Dziewięć miesięcy. Shade. Jej reakcja, gdy lecieliśmy transportowcem, kiedy przekazałam jej wiadomość od Jona. „Odpowiedź brzmi »tak«”.

Nie wiedziałam, co to wtedy oznaczało, ale ona tak. Miała swoje podejrzania. I dowiedziała się, że będzie mieć dziecko z moim bratem, niespełna godzinę po tym, jak został zamordowany. Każde z tych odkryć jest dla mnie jak cios w brzuch. Tak samo radosne jak rozpaczliwie smutne. Shade będzie mieć dziecko, którego nigdy nie zobaczy.

– Nie wierzę, że nikt nie wpadł na pomysł, by ci powiedzieć – ciągnie Farley, sztyletując wzrokiem Cala, który niezręcznie przestępuje z nogi na nogę. – Bo chyba mieliście na to czas.

Jestem tak zaszokowana, że potrafię jedynie przytaknąć. Nie tylko Cal, ale moja mama, reszta rodziny mogli mnie uprzedzić.

– Wszyscy o tym wiedzieli?

– Teraz nie ma już nad czym dyskutować. – Farley odpycha się od kolumny i idzie naprzód. Nawet w Palach większość kobiet na tym etapie ciąży kładzie się do łóżka, ale nie ona. Trzyma na biodrze kaburę z bronią w formie ostrzeżenia. Ciężarna Farley to nadal niebezpieczna Farley. Może nawet bardziej. – Mam przecucie, że chcesz się z tym uporać tak szybko, jak to możliwe.

Kiedy odwraca się do nas plecami, żeby zaprowadzić nas do środka, uderzam Cala w zębra. Na wszelki wypadek dwa razy.

Zaciska zęby, starając się znieść cios.

– Przepraszam – burczy.



Budynek, który stanowi pewnie siedzibę dowództwa bazy, wygląda w środku jak posiadłość. Po obu stronach holu głównego wiją się schody prowadzące na galerię, wzdłuż której ciągnie się szereg okien. Na suficie znajdują się sztukaterie, które pomalowane są tak, by imitowały wisterię na zewnątrz. Na podłodze leży drewniany parkiet z mahoni, wiśni i dębu, ułożony w misterne wzory. Ale podobnie jak w szeregowcach, wszystko, co łatwo było zdemontować, zniknęło. Na ścianach widać opustoszałe miejsca po ramach, a we wnękach przeznaczonych na rzeźby stoją strażnicy. Strażnicy z Montfortu.

Ich mundury wyglądają na porządniejsze niż najlepsze ubrania Szkarłatnej Gwardii i Lakelandczyków pułkownika. Bardziej przypominają uniformy Srebrnych oficerów. Są produkowane masowo, solidne i z odznakami, insygniami i białym trójkątem naszytym na rękawy.

Cal przygląda się wszystkiemu równie bacznie jak ja. Trąca mnie w bok i pokazuje na schody. Na galerii stoi przynajmniej sześciu obserwujących nas żołnierzy. Siwowłosi, wydają się mieć za sobą niejedną walkę i są tak obwieszani medalami, że mogliby zatopić statek. Generałowie.

– I kamery – szepczę do niego. Kiedy idziemy przez hol, skupiam się na każdej z nich i analizuję jej elektryczny ładunek.

Mimo pustych ścian i skromnych dekoracji korytarze budynku sprawiają, że po plecach przechodzi mi dreszcz. Powtarzam sobie w duchu, że osoba, która idzie obok mnie, to nie jeden z Arvenów. A to nie jest Pałac Białego Ognia. To, że posiadam swoją zdolność, jest tego dowodem. Nikt mnie nie więzi. Bardzo chciałabym przestać się tak bać. Na tym etapie to moja druga natura.

Sala konferencyjna przypomina mi salę posiedzeń Mavena. Znajdują się tam długi stół z polerowanego drewna i krzesła w pięknych obiciach. Dzięki światłu dostającemu się do środka przez szereg okien z widokiem na kolejny ogród jest tu bardzo jasno. Tu również ściany są puste, z wyjątkiem namalowanego na jednej z nich godła. Żółte i białe pasy z fioletową gwiazdą w środku. Piedmont.

Pojawiamy się jako pierwsi. Spodziewam się, że pułkownik zajmie miejsce u szczytu stołu, on jednak wybiera krzesło po prawej stronie. Zajmujemy miejsca wokół niego, twarzą do pustej strony stołu, którą zostawiamy dla dowódców z Montfortu.

Pułkownik ma zmieszana minę. Obserwuje, jak Farley siada przy stole, jego zdrowe oko jest chłodne jak stal i nieruchome.

– Nie masz zezwolenia na uczestnictwo w tej naradzie, pani kapitan.

Cal i ja wymieniamy spojrzenia i unosimy brwi. Farley i pułkownik często się spierają. Przynajmniej to się nie zmieniło.

– Nie został pan poinformowany? – odpowiada, wyciągając z kieszeni złożoną kartkę. – Bardzo mi przykro. – Zwinnym ruchem podsuwa karteczkę pułkownikowi.

Pułkownik pospiesznie ją rozkłada i śledzi wzrokiem pismo. Nie jest długie, ale on przez chwilę się w nie wpatruje, jakby nie wierząc własnym oczom. Ostatecznie rozprostowuje kartkę na stole.

– To nie może być prawda.

– Dowództwo chce mieć przy stole swojego reprezentanta. – Farley uśmiecha się szeroko i rozpościera dłonie. – No to jestem.

– Dowództwo popełniło błąd.

– Teraz to ja jestem Dowództwem. Nie ma żadnego błędu.

Dowództwo kieruje Szkarłatną Gwardią, to centrum bardzo tajemniczego kręgu. Słyszałam tylko pogłoski o ich istnieniu, ale wystarczająco dużo, by wiedzieć, że kontrolują całą rozległą, skomplikowaną operację. Jeśli Farley stała się jedną z nich, czy oznacza to, że Gwardia naprawdę wyszła z cienia, czy może zależało im tylko na wojowniczej pani kapitan?

– Diano, nie możesz...

Farley cała się jeży, policzki jej czerwienieją.

– Bo jestem w ciąży? Zapewniam cię, mogę robić dwie rzeczy naraz. – Gdyby nie zadziwiające podobieństwo w wyglądzie i charakterze, łatwo byłoby zapomnieć, że gwardzistka jest córką pułkownika. – Będziesz się upierał, Willis?

Pułkownik ściska kartkę w pięści, jego knykcie robią się białe jak kość. Ale kręci głową.

– To świetnie. I teraz jestem generałem. Zalecam stosowny szacunek.

Riposta grzęźnie w gardle pułkownika, który wygląda przez to, jakby się dusił. Z zadowolonym uśmieszkiem Farley zabiera mu kartkę z zezwoleniem i chowa ją do kieszeni. Zauważa, że Cal obserwuje ją z takim samym zmieszaniem jak ja.

– Nie jesteś teraz jedynym oficerem wyższego stopnia, Calore.

– Na to wychodzi. Moje gratulacje – dodaje, rzucając jej nieznaczny uśmiech.

Farley nie była na to przygotowana. Po otwartej wrogości, z którą zaatakował ją ojciec, nie spodziewała się oznak wsparcia, a już w szczególności od zazdrosnego Srebrnego księcia.

Generałowie Montfortu wchodzą innymi drzwiami, elegancy w swoich zielonych mundurach. Jedną z tych osób widziałam na galerii. Jej siwe włosy są równo przycięte, oczy mają rozmyty, brązowy kolor i są otoczone długimi rzęsami. Kobieta szybko mruga. Druga ciemnowłosa generał o brązowej skórze wygląda na około czterdzieści lat i sylwetką przypomina woła. Kiwa do mnie głową, jakby witała się z kimś znajomym.

– Znam cię – mówię, próbując skojarzyć jej twarz. – Skąd ja cię znam?

Nie odpowiada, tylko patrzy przez ramię na jeszcze jedną osobę, siwego mężczyznę w zwykłym ubraniu. Ledwie go zauważam, zdekoncentrowana przez

jego towarzyszkę. Ale nawet bez kolorów swojego domu, ubrany w proste szarości zamiast zwyczajowego spłowiałego złota, Juliana trudno przeoczyć. Czuję ogarniające mnie na widok dawnego nauczyciela ciepło. Julian lekko pochyla głowę i na powitanie rzuca mi delikatny uśmiech. Wygląda lepiej niż kiedykolwiek, nawet kiedy poznałam go w pałacu letnim. Był wtedy zmęczony, wyczerpany dworskimi intrygami i udręczony wspomnieniami o zmarłej siostrze, cierpieniem niemej Sary Skonos oraz własnymi wątpliwościami. Choć jego włosy są teraz bardziej siwe niż brązowe, a zmarszczki głębsze, wydaje się pełen energii, ożywiony, beztroski. Szczęśliwy. Dzięki Szkarłatnej Gwardii odzyskał cel w życiu. I założę się, że dzięki Sarze też.

Jego obecność uspokaja Cala jeszcze bardziej niż mnie. Rozluźnia się przy moim boku i delikatnie kiwa głową swojemu wujkowi na powitanie. Oboje rozumiemy, jaki komunikat pragnie nam przekazać Montfort. Nie zieją nienawiścią wobec Srebrnych i się ich nie boją.

Gdy Julian siada po naszej stronie stołu, drzwi zamyka za sobą ostatni mężczyzna. Mimo że ma ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, bez munduru wydaje się mały. Ubrany jest po cywilnemu. Prosta, biała koszula, spodnie, buty. Żadnej widocznej broni. Ma czerwoną krew – poznaję to po różowawym odcieniu jego piaskowej cery. Nie wiem, czy jest Nowy czy Czerwony. Wszystko w jego wyglądzie celowo jest neutralne, mile przeciętne i skromne. Jest jak biała kartka – z natury lub z przeznaczenia. Nic nie wskazuje na to, kim jest i jaką odgrywa rolę.

Ale Farley wie. Wstaje, na co on macha tylko ręką.

– To zbyteczne, pani generał – mówi. Przypomina mi Juliana. Mają te same dzikie oczy, ale to jedyna jego wyróżniająca się cecha. Są kształtne i rzucają spojrzenia na prawo i lewo, obserwując każdy szczegół. – To zaszczyt w końcu was wszystkich poznać – dodaje, kłaniając się każdemu z nas. – Pułkownik, panno Barrow, Wasza Wysokość.

Cał zaciska dłonie, gdy słyszy ten tytuł. Nikt go już tak nie nazywa. Nie ludzie, którzy mówią tak szczerze.

– A kim pan właściwie jest? – pyta pułkownik.

– Oczywiście – odpowiada mężczyzna. – Przepraszam, że nie mogłem przybyć wcześniej. Nazywam się Dane Davidson. Jestem premierem Wolnej Republiki Montfortu.

Palce Cala znów się trzęsą.

– Dziękuję wszystkim za przybycie. Już od jakiegoś czasu pragnąłem tego spotkania – ciągnie Davidson. – I wydaje mi się, że wspólnie jesteśmy w stanie osiągnąć wspaniałe rzeczy.

Ten człowiek jest przywódcą całego kraju. To on złożył mi propozycję, on chciał, abym do niego dołączyła. Czy zrobił to wszystko, by postawić na swoim?

Podobnie jak twarz montforckiej pani generał, jego nazwisko wydaje mi się znajome.

– To generał Torkins – przedstawia kobiety Davidson. – I generał Salida.

„Salida”. To nazwisko nic mi nie mówi, ale teraz jestem pewna, że wcześniej już ją widziałam.

Korpulentna kobieta zauważa moje zmieszanie.

– Już się wcześniej spotkałyśmy, panno Barrow. Zaprezentowałam się królowi Mavenowi, kiedy werbował Ardentów, to znaczy Nowych. Być może pamiętasz. – W następnej chwili przejeżdża dłonią przez stół. Nie po jego blacie, ale przez blat. Pionowo... Jakby gruby kawał drewna był powietrzem. Lub jakby ona była powietrzem.

Wtedy sobie przypominam. Pokazała swoje umiejętności i Maven przyjął ją pod „opiekę” wraz z innymi Nowymi. Jedna z nich, w strachu, wydała Babcie przed całym dworem.

Wpatruję się w nią uporczywie.

– Byłaś tam w dniu, w którym Babcia... Nowa, która potrafiła zmieniać twarz... zginęła.

Salida wygląda na szczerze zasmuconą.

– Gdybym tylko wiedziała. Gdybym tylko mogła coś zrobić, to naprawdę bym zrobiła. Ale Montfort i Szkarłatna Gwardia nie komunikowały się ze sobą otwarcie. Nie znaleźliśmy wszystkich waszych działań, a wy naszych.

– Ale z tym już koniec. – Davidson stoi nad stołem i opiera się pięściami o blat. – Owszem, Szkarłatna Gwardia potrzebuje dyskrecji, jednak obawiam się, że teraz tajemnice przynosiłyby już więcej szkody niż pożytku. Operujemy na zbyt wielu polach, żeby nie wchodzić sobie w drogę.

Farley wierci się na swoim miejscu. Albo chce się nie zgodzić, albo ma niewygodne krzesło. Ale trzyma język za zębami i pozwala Davidsonowi mówić dalej.

– Ze względu na wzajemne zaufanie, uznałem, że będzie najlepiej dla panny Barrow, by opowiedziała o swoim uwięzieniu wszystkim zainteresowanym stronom. A potem odpowiem na wszelkie pytania, które wam się nasuną na temat mojej osoby, mojego kraju i tego, co przed nami.

Julian opowiadał, że są dowody na istnienie władców, którzy objęli stanowisko poprzez głosy wyborców, a nie urodzenie. Zasłużyli sobie na koronę dzięki swoim licznym zaletom – sile, inteligencji, kilku pustym obietnicom i groźbom. Davidson rządzi tak zwaną Wolną Republiką i jego poddani wybrali go na swojego przywódcę. Na jakiej podstawie – trudno mi jeszcze powiedzieć. Mówi w sposób świadczący o pewności siebie i bez wątpienia jest bardzo mądry. Nie wspominając, że to rodzaj męczyzny, który z wiekiem robi się coraz atrakcyjniejszy. Bez problemu dostrzegam, dlaczego ludzie mogli chcieć, by im

przywodził.

– Jesteśmy gotowi, panno Barrow.

Ku mojemu zaskoczeniu pierwszą osobą, która ściska moją dłoń, nie jest Cal, tylko Farley. Posyła mi krzepiący uśmiech.

Zaczynam od początku. To jedyne miejsce, które przychodzi mi do głowy.

Głos mi się łamie, kiedy ze szczegółami opowiadam o tym, jak zmuszono mnie do wspomniania Shade'a. Farley spuszcza wzrok. Jej ból jest równie głęboki jak mój. dzielnie brnę dalej do narastającej obsesji Mavena, młodocianego króla, który zamieniał kłamstwa w broń, wykorzystując moją twarz i swoje słowa, by obrócić jak największą liczbę Nowych przeciwko Szkarłatnej Gwardii. I jak przez cały ten czas coraz bardziej oczywiste stawało się, że popada w obłąd.

– Mówi, że królowa zostawiła dziury – tłumaczę im. – Bawiła się jego umysłem i niektóre fragmenty zabierała, inne przestawiała nie na swoje miejsce, zupełnie mącąc mu w głowie. On wie, że się myli, ale jednocześnie wierzy, że jest na właściwej drodze i nie ma zamiaru z niej zawracać.

Czuję falujący strumień ciepła. Przy moim boku Cal nieruchomym wzrokiem wypala dziury w stole. Staram się ostrożnie dobierać słowa.

„Jego matka odebrała mu miłość do ciebie, Cal. On cię kochał. Wie, że tak było. Tylko że tego już w nim nie ma i nigdy nie wróci”. Ale to nie są słowa przeznaczone dla uszu Davidsona, pułkownika, ani nawet Farley.

Ludzie z Montfortu wydają się najbardziej zainteresowani delegacją z Piedmontu. Koncentrują się na samą wzmiankę o Darejuszu i Aleksandrecie, relacjonując więc krok po kroku ich wizytę. Przesłuchanie, sposób bycia, ich ubiór. Kiedy wspominam o Michaelu i Charlotcie, zaginionych książętach, Davidson ściąga usta.

Gdy tak opowiadam o swoich przejściach, opanowuje mnie pewne odrętwienie. Dystansuję się od słów. Mój głos jest jak szum. Bunt domów. Ucieczka Jona. Zamach na Mavena. Widok srebrnej krwi tryskającej mu z szyi. Kolejne przesłuchanie, moje i dziewczyny z domu Haven. To wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, jaki Maven jest wstrząśnięty tym, że siostra Elane poprzysięgła wierność innemu królowi. Calowi. To spowodowało, że z dworu wydalono wiele osób, wśród nich możliwych sprzymierzeńców.

– Próbowałam oddzielić go od domu Samos. Wiedziałam, że to jego najsilniejszy sprzymierzeniec z tych, którzy mu pozostali, zaczęłam nim więc manipulować, polegając na jego słabości do mnie. Powiedziałam mu, że jeśli ożeni się z Evangeline, to ona mnie zabije. – Kiedy opowiadam o nich głośno, elementy układanki składają się w całość. Uderza mnie fala gorąca, gdy dociera do mnie, że mogłam w ten sposób doprowadzić do zawarcia śmiertelnościanego przymierza. – Myślę, że to go przekonało, by poszukać sobie narzeczonej w Lakelandii...

Julian wchodzi mi w słowo.

– Volvo Samos i tak szukał powodu, aby oddzielić się od Mavena. Zerwanie zaręczyn to był jedynie gwóźdź do trumny. I spodziewam się, że negocjacje z Lakelandią trwały dużo dłużej, niż ci się wydaje, Mare. – Rzuca mi nieznacznym uśmiechem. Nawet jeśli kłamie, czuję się dzięki temu dużo lepiej.

Szybko przytaczam swoje wspomnienia z podróży pokoronacyjnej, parady, która miała posłużyć jako zasłona dymna jego negocjacji z Lakelandczykami. Zniesienie Środków Bezpieczeństwa, koniec wojny z Lakelandią i jego małżeństwo z Iris. Ostrożne ruchy, by zyskać przychylność społeczeństwa, zebrać pochwały za położenie kresu wojnie i zniszczeniom.

– Srebrna arystokracja zjechała na dwór przed ślubem i przez większość tego czasu Maven trzymał mnie w odosobnieniu. Potem odbył się ślub. Przymierze z Lakelandią zostało przypieczętowane. No a później nastąpiła burza, wasza burza. Maven i Iris zbiegli do pociągu ewakuacyjnego, ale nas rozdzielono.

To się zdarzyło zaledwie wczoraj. Mimo to mam wrażenie, że opowiadam jakiś sen. Adrenalina rozmywa wspomnienia o bitwie, ograniczając je do koloru, bólu i strachu.

– Moi nadzorcy zaciągnęli mnie z powrotem do pałacu.

Milknę, wahając się. Sama nie mogę uwierzyć w to, co zrobiła Evangeline.

– Mare? – podpytuje Cal. Jego głos i dotyk jego dłoni są bardzo delikatne. Tak jak pozostali jest po prostu ciekawy.

Łatwiej mi spojrzeć w oczy jemu niż innym. Tylko on zrozumie, jak dziwna była moja ucieczka.

– Rozdzieliła nas Evangeline Samos. Zabiła Arvenów, którzy mnie pilnowali, i... i uwolniła mnie. Ściągnęła mi kajdany. Nadal nie wiem dlaczego.

Wokół stołu zalega cisza. Moja największa rywalka, dziewczyna, która groziła mi śmiercią, dziewczyna, która zamiast serca ma lodowatą stal, sprawiła, że się tu znalazłam. Julian nie próbuje ukrywać swojego zaskoczenia, jego cienkie brwi -niemal znikają w linii włosów. Ale Cal nie wydaje się tym w ogóle zaskoczony. Bierze tylko głęboki wdech, jego pierś unosi się i pęcznieje. Czy to oznaka... dumy?

Nie mam siły zgadywać. Ani opisywać tego, w jaki sposób zginął Samson Merandus, po tym jak bawił się Calem i mną, aż oboje spaliliśmy go żywcem.

– Znacie resztę – kończę wyczerpana. Czuję się, jakbym opowiadała całe lata.

Premier Davidson wstaje i przeciąga się. Spodziewam się, że zada mi więcej pytań, ale on jedynie otwiera szafkę i nalewa mi szklanek wody. Nie dotykam jej. Jestem w nieznanym miejscu, rządzone przez nieznanymi ludźmi. Pozostało mi bardzo niewiele zaufania i nie będę go marnować na kogoś, kogo ledwie znam.

– Nasza kolej? – pyta Cal. Nachyla się nad stołem, gotowy, żeby przeprowadzić swoje własne przesłuchanie.

Davidson nieznacznie kiwa do niego głową, jego usta zaciśnięte są w wąską linię, co nadaje twarzy wyraz neutralności.

– Oczywiście. Pewnie zastanawiasz się, co robimy w Piedmoncie, i to na dodatek na terenie królewskiej bazy.

Ponieważ nikt go nie powstrzymuje, Davidson mówi dalej.

– Jak wiecie, Szkarłatna Gwardia wywodzi się z Lakelandii i w minionym roku przedostała się do Norty. Pułkownik Farley i generał Farley odegrali tu kluczową rolę i jestem im bardzo wdzięczny za ich starania. – Każdemu z nich dziękuję skinieniem głowy. – Na rozkaz waszego Dowództwa inni agenci podjęli podobne działania w Piedmoncie. Infiltracja, kontrola, przewrót. Właściwie to właśnie tu agenci Montfortu po raz pierwszy zetknęli się z agentami Szkarłatnej Gwardii, która jeszcze w zeszłym roku wydawała się nam fikcją. Ale Szkarłatna Gwardia była bardzo rzeczywista i miała podobny cel do naszego. Podobnie jak twoi rodacy pragniemy obalić opresyjną władzę Srebrnych i poszerzyć naszą demokratyczną republikę.

– Wygląda na to, że już to uczyniliście. – Farley pokazuje na pokój.

Cał przymruża oczy.

– To znaczy?

– Skupiliśmy nasze działania na Piedmoncie z powodu jego niepewnej struktury. Książęta i księżniczki rządzą na swoich ziemiach w stanie niestabilnego pokoju, pod władaniem wysokiego księcia wyznaczonego spośród nich. Niektórzy kontrolują ogromne obszary, inni miasto albo jedynie kilka hektarów ziem uprawnych. Władza jest płynna i stale się zmienia. Obecnie wysokim księciem, najsilniejszym Srebrnym w Piedmoncie, jest książę Bracken z Niziny Brzeżnej, posiadający najwięcej ziem i zasobów. – Davidson gładzi palcami pieczęć na ścianie. Wodzi palcem po krawędziach fioletowej gwiazdy. – To najwspanialsza z trzech fortec wojskowych w jego władaniu. Została przeznaczona na nasz użytek.

Cał ze świstem wciąga powietrze przez nos.

– Pracujesz z Brackeniem?

– To on pracuje dla nas – Davidson odpowiada z dumą.

W głowie mam mętlik. Srebrny z rodziny książęcej działa w imieniu kraju, który chce go wszystkiego pozbawić? Przez moment brzmi to całkowicie nedorzecznie. Ale wtedy przypominam sobie dokładnie, kto przy mnie siedzi.

– Książęta złożyli Mavenowi wizytę w imieniu Brackena. Przesłuchali mnie na jego życzenie. – Przymrużam oczy, patrząc na premiera. – Kazał pan im to zrobić?

Pani generał Torkins wierci się na swoim miejscu i odchrząkuje.

– Darejusz i Aleksandret byli wiernymi sprzymierzeńcami Brackena. Nie mieliśmy pojęcia o ich kontaktach z księciem Mavenem, dopóki jeden z nich nie zginął podczas próby zamachu.

– Dzięki tobie, wiemy dlaczego – dodaje Salida.  
– A ten, który przeżył? Darejusz. Działa przeciw wam...  
Davidson powoli mruga powiekami, jego oczy są bez wyrazu, nieczytelne.  
– Działał. Działał przeciw nam.  
– Aha – mamroczę, zastanawiając się nad tym, w jaki sposób stracił życie.  
– A pozostali? – dopytuje pułkownik. – Michael i Charlotta. Księżę i księżniczka, którzy zaginęli.

– To dzieci Brackena – mówi Julian przez zaciśnięte gardło.  
Mam ohydne przeczucie.  
– Pojmałeś jego dzieci? Aby zmusić go do współpracy?  
– Chłopak i dziewczyna w zamian za kontrolę nad wybrzeżem Piedmontu? Za wszystkie te zasoby? – Prycha Torkins, a jej białe włosy burzą się, gdy trzęsie głową. – Łatwa wymiana. Pomyślcie o wszystkich ludziach, którzy by zginęli, gdybyśmy walczyli o każdy kilometr. W zamian Montfort i Szkarłatna Gwardia dokonali prawdziwego postępu.

Serce mi się zaciska na myśl o dwojgu dzieciach, Srebrnych czy nie, które trzymano w zamknięciu, by zmusić ojca do uległości. Davidson wyczytuje te uczucia z mojej twarzy.

– Dobrze się o nie troszczyliśmy. Dbaliśmy o nie.  
Lampy nad nami migoczą jak trzepoczące skrzydła motyla.  
– Cela to nadal cela, nieważne jak ją urządzisz – syczę.  
Ale on pozostaje niewzruszony.  
– A wojna to wojna, Mare Barrow, bez względu na to, jakie się ma intencje. Kręcę głową.  
– No to szkoda. Tu oszczędzamy żołnierzy, ale potem marnujemy ich życia, żeby ratować jedną osobę? To też była łatwa transakcja? Ich życie za moje?

– Pani generał Salido, jakie są ostatnie statystyki? – pyta -premier.  
Kobieta recytuje z pamięci:  
– Ze stu dwóch zrekrutowanych Ardentów, którzy dołączyli do nortańskiej armii w ciągu ostatnich kilku miesięcy, sześćdziesięciu uczestniczyło jako specjalna straż podczas ślubu. Wszystkich sześćdziesięciu uratowano i wczoraj wieczorem spisano ich raporty.

– W dużej mierze dzięki staraniom generał Salidy, która brała udział w akcji razem z nimi. – Davidson zaciska dłoń na jej umięśnionym ramieniu. – Łącznie z tobą ocaliliśmy przed twoim królem sześćdziesięciu jeden Ardentów. Każdy z nich otrzyma jedzenie oraz wybór pomiędzy przesiedleniem lub służbą. Dodatkowo zdołaliśmy splądrować sporą część Skarbnicy. Wojny nie są tanie. Daleko nie zajedziemy na okupach za bezwartościowych czy słabych więźniów. – Na moment milknie. – Czy satysfakcjonuje cię taka odpowiedź?

Ułga miesza się z dreszczem przerażenia, który zdaje się nigdy mnie nie



opuszczać. W ataku na Archeon nie chodziło tylko o mnie. Nie uwolniono mnie od jednego dyktatora tylko po to, by przejął mnie następny. Żadne z nas nie wie, co może zrobić Davidson, ale przynajmniej nie jest Mavenem. Jego krew jest czerwona.

– Obawiam się, że mam jeszcze jedno pytanie. – Davidson nie odpuszcza. – Uważasz, że król Norty jest w tobie zakochany?

W Pałacu Białego Ognia stłukłam mnóstwo szklanek. Teraz ogrania mnie chęć, by roztrzaskać kolejną.

– Nie wiem. – Kłamstwo. Przychodzi mi bez trudu.

Davidson nie daje się łatwo przekonać. W jego rozbieganych oczach pobłyskują iskierki rozbawienia. Kiedy łapią światło, wydają się złote, potem brązowe, po chwili znów złote. Mienia się jak słońce wśród kołyszących się na polu zbóż.

– Możesz zgadywać. W końcu swoje widziałaś.

Wściekłość pali mnie od środka jak ogień.

– To, co Maven uznaje za miłość, wcale nią nie jest. – Odsuwam kołnierzyk bluzki i pokazuję bliznę. „M” jest widoczne jak na dłoni. Wszyscy wlepiają wzrok w moją skórę, przypatrując się wzniesionym krawędziom perłowej tkanki blizny i wypalonego ciała. Wzrok Davidsona śledzi linie ognia i wyczuwam w jego wzroku dotyk Mavena. – Wystarczy – sapię i puszczam kołnierzyk bluzki.

Premier kiwa głową.

– W porządku. Poproszę cię jeszcze...

– Nie, chodziło mi o to, że mam już dość tego wszystkiego. Potrzebuję... czasu. – Dysząc niespokojnie, odsuwam krzesło od stołu. Nogi zgrzytają o podłogę, dźwięk niesie się echem w nagłej ciszy. Nikt mnie nie zatrzymuje. Wszyscy tylko patrzą na mnie wzrokiem pełnym współczucia. Przynajmniej raz jestem z tego zadowolona. Ich żal pozwoli mi stąd wyjść.

Po moim krześle odsuwa się kolejne. Nie muszę się oglądać, żeby wiedzieć, że to Cal.

Podobnie jak w odrzutowcu czuję, jak świat zaczyna się wokół mnie kurczyć i mnie dusić, po czym rozszerzać się i przytłaczać swoim ogromem. Korytarze, które tak bardzo przypominają mi Pałac Białego Ognia, zdają się ciągnąć bez końca. Nade mną pulsuje światło. Zapadam się w to uczucie, licząc na to, że mnie uspokoi. „Jesteś bezpieczna. Jesteś bezpieczna. Już po wszystkim”. W głowie wirują mi setki myśli, a moje stopy poruszają się wbrew mej woli. Po schodach w dół, przez kolejne drzwi i do ogrodu, gdzie dusi mnie intensywny zapach kwiatów. Bezchmurne niebo nad głową jest dla mnie udręką. Chcę, żeby lało. Chcę być zmyta deszczem do czysta.

Cal kładzie mi dłonie na karku. Blizny bolą mnie pod ich dotykiem. Ciepło Cala rozlewa się po moich mięśniach, próbując ukoić ból. Przyciskam oczy

grzbietami dłoni. Trochę to pomaga. W ciemności niczego nie widzę, nie widzę Mavena, jego pałacu ani tamtego okropnego, zamkniętego pokoju.

„Jesteś bezpieczna. Jesteś bezpieczna. Już po wszystkim”.

To byłoby takie proste pozostać w ciemności, utonąć. Powoli opuszczam dłonie i zmuszam się, by spojrzeć na słońce. Wymaga to więcej wysiłku, niż wydawało mi się możliwe. Nie zgadzam się być więźniem Mavena ani sekundy dłużej. Nie będę w taki sposób żyć.

– Zawieźć cię do domu? – pyta cicho Cal. Jego palce wykonują koliste ruchy w miejscu pomiędzy moją szyją a ramionami. – Możemy się przejść, ochłoniesz przez chwilę.

– Nie poświęcę mu już swojego czasu. – Odwracam się w złości i unoszę podbródek, zmuszając się, by spojrzeć Calowi w oczy. Nie rusza się, cierpliwy i spokojny. Jest gotowy dopasowywać się do moich emocji, pozwala mi wyznaczyć rytm. Po tak długim czasie spędzonym na łasce innych dobrze wiedzieć, że ktoś daje mi samej decydować. – Nie chcę tam jeszcze wracać.

– W porządku.

– Nie chcę tu być.

– Ja też nie.

– Nie chcę rozmawiać ani o Mawenie, ani o polityce, ani o wojnie.

Mój głos niesie się echem wśród liści. Brzmie jak dziecko, ale Cal tylko kiwa głową. Przynajmniej raz on także wydaje się jak dziecko, z poszarpaną fryzurą i w prostym ubraniu. Bez munduru, bez wojskowego rynsztunku. Tylko cienka koszulka, spodnie, buty i jego bransolety. W innym życiu może wyglądałby normalnie. Wpatruję się w niego, czekając, aż jego rysy zamienią się w rysy Mavena. Ale tak się nie dzieje. Zdaję sobie sprawę, że tak do końca nie jest też Cal. Ma więcej zmartwień, niż wydawało mi się możliwe. Jego też dotknęło ostatnie sześć miesięcy.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

Ramiona mu opadają, jakby lekko popuścił stalowe napięcie. Mruga. Cal nie jest typem, którego można wziąć z zaskoczenia. Zastanawiam się, czy komuś przyszło do głowy zadać mu to pytanie po tym, gdy mnie zabrano.

Po długim milczeniu wzdycha głęboko.

– Może kiedyś będę. Mam taką nadzieję.

– Ja też.

Tym ogrodem zajmowali się kiedyś Strażnicy Zieleni, jego liczne rabaty wiją się pośród przerośniętych pozostałości niegdyś skomplikowanego projektu. Teraz kontrolę przejmuje natura i różne kwiaty i kolory zaczynają w siebie wrastać. Mieszać się, rozkładać, umierać, kwitnąć, jak chcą.

– Przypomnijcie mi, żebym w dogodniejszym momencie pobrał od was obojga nieco krwi.

Śmieję się w głos na tę niezdarną prośbę Juliana. Kręci się na skraju ogrodu i narzuca się nam, choć bez złych intencji. Nie żeby mi to przeszkadzało. Uśmiecham i szybko przechodzę przez ogród, żeby go przytulić. Z radością odwzajemnia mój gest.

– Tylko ty jesteś w stanie mówić takie rzeczy, żeby nie brzmiały dziwnie – oznajmiam, gdy się od niego odsuwam. Cał chichocze, potwierdzając moje słowa. – Ale pewnie. Nie krępuj się. Jestem ci zresztą coś winna.

Julian przechyla głowę, nie do końca rozumiejąc.

– Tak?

– Znalazłam w Pałacu Białego Ognia kilka twoich książek. – Nie kłamię, ale ostrożnie dobieram słowa. Nie ma potrzeby jeszcze bardziej ranić Cala moimi wyznaniem. Nie musi wiedzieć, że Maven dał mi te książki, nie będę go już karmić fałszywą nadzieją co do jego brata. – Pomogły mi... zabić czas.

Wspomnienie o moim uwięzieniu znów chmurzy czoło Cala, ale Julian nie pozwala nam zbyt długo tkwić w bólu.

– W takim razie rozumiesz, co mam zamiar zrobić – mówi szybko. Uśmiech nie dociera do jego ciemniejących oczu. – Prawda, Mare?

– „Nie wybrani przez boga, tylko przez niego przekłęci” – mówię pod nosem, przypominając sobie słowa, które zapisał w zapomnianej książce. – Masz zamiar się dowiedzieć, skąd się wzięliśmy i dlaczego.

Julian krzyżuje ręce na piersiach.

– Będę się bardzo starał.

## Rozdział 22

### Mare

Każdy dzień zaczyna się tak samo. Nie mogę wytrzymać w swojej sypialni. Świergot ptaków budzi mnie wczesnym rankiem. I dobrze. Później robi się za gorąco na bieganie. Baza Piedmontu stanowi całkiem niezłą trasę. Jest dobrze chroniona, granic pilnują żołnierze, tutejsi i z Montfortu. Ci pierwsi są oczywiście co do jednego Czerwoni. Davidson wie, że Bracken, księżę marionetka, prawdopodobnie po cichu coś knuje, i nie pozwoli żadnym Srebrnym przekroczyć bram jednostki. Właściwie to nie widziałam tu żadnych Srebrnych, pomijając tych, których znam. Jedynymi osobami ze zdolnościami są Nowi lub Ardenci, w zależności od tego, z kim się rozmawia. Jeśli Davidson, tak jak twierdzi, ma w swojej Wolnej Republice Srebrnych, służących na równi z Czerwonymi, to żadnego jeszcze nie widziałam.

Mocno zasznurowuję buty. Nad ulicami unosi się niska mgła i otula ceglane budynki, które ustawione w równych, wysokich rzędach wzdłuż drogi przypominają ściany kanionu. Otwieram frontowe drzwi i uśmiecham się, kiedy moją skórę owiewa chłodne powietrze. Pachnie deszczem i burzą.

Na najniższym stopniu schodów przed domem, z nogami wyciągniętymi na wąskim chodniku, siedzi Cal. Choć wiedziałam, że tu będzie, na jego widok moje serce nieco przyspiesza. Cal głośno ziewa na powitanie i tak szeroko otwiera usta, że szczęka prawie wyskakuje mu z zawiasów.

– Nie przesadzaj – droczę się z nim. – Przecież żaden żołnierz już nie śpi o tej porze.

– To wcale nie znaczy, że nie wolałbym leżeć teraz w łóżku. – Wstaje, udając, że dzieje mu się straszna krzywda i brakuje tylko, żeby pokazał mi język.

– No to wracaj do tej swojej klatki w koszarach. Choć lepiej byś się wyspał, gdybyś zamieszkał w Szeregowcach Oficerskich. Albo przestał ze mną biegać. – Wzruszam ramionami i przebiegle się uśmiecham.

Odwzajemniając mój uśmiech, Cal chwyta mnie za rąbek koszulki i przyciąga do siebie.

– Nie obrażaj mojej klatki w koszarach – mówi pod nosem, zanim pocałuje mnie w usta. Potem w szczękę. W policzek. Każdy jego dotyk jest jak mały wybuch płomieni pod moją skórą.

Wcale nie chcę, ale odpycham go od siebie.

– Są spore szanse, że mój ojciec strzeli do ciebie z okna, jeśli będziesz robić takie rzeczy przed jego domem.

– Jasne, już. – Cal szybko się opanowuje i błednie. Gdybym nie wiedziała, jaka jest prawda, mogłabym pomyśleć, że naprawdę boi się mojego ojca. Ta myśl jest komiczna. Srebrny książę, generał, który potrafi wzniecić ogień pstryknięciem palców, miałby się bać kulejącego Czerwonego staruszka? – Zaczniemy się rozciągać.

Wykonujemy ćwiczenia. Cal z większą determinacją niż ja. Upomina mnie delikatnie i dopatruje się błędu w każdym moim ruchu.

– Za duży rozkrok. Przestań się bujać. Spokojnie, nie spiesz się.

Ale ja jestem niecierpliwa, spragniona biegu. W końcu odpuszcza. Skinieniem głowy daje mi znak, że możemy ruszać.

Na początku tempo nie jest wymagające. Dla moich stóp, ożywionych każdym krokiem, to jak taniec. To jest właśnie wolność. Świeże powietrze, ptaki, mgła muskająca nas swoimi wilgotnymi palcami. Równy, miarowy oddech i stopniowo wzrastający puls. Kiedy bieglśmy tu po raz pierwszy, musiałam się zatrzymać, bo nie mogłam opanować łez szczęścia. Cal utrzymuje dobre tempo i pilnuje, bym nie puściła się sprintem do czasu, aż moje płuca bardziej się rozgrzeją. Pierwsze półtora kilometra mija gładko i docieramy do okalającego bazę muru. Zbudowany jest w połowie z kamienia, w połowie z siatki i zakończony drutem kolczastym. Po drugiej stronie patroluje go kilku żołnierzy z Montfortu. Witają każde z nas osobnym skinieniem. Po dwóch tygodniach zdążyli się przyzwyczać, że codziennie tędy biegamy. Nieco dalej grupa żołnierzy odbywa swój zwyczajowy trening biegowy, ale nie dołączamy do nich. Ustawieni w szeregi przechodzą musztrę przy okrzykach sierżanta. To nie dla mnie. Cal jest wystarczająco wymagający. I na szczęście Davidson nie kazał mi wybierać pomiędzy przesiedleniem lub służbą. Właściwie to nie widziałam go od zdawania raportu, mimo że mieszka teraz z nami na terenie bazy.

Kolejne trzy kilometry są trudniejsze. Cal narzuca szybsze tempo. Dzisiejszego dnia, mimo wczesnej pory, jest już dość parno, a nad naszymi głowami zbierają się deszczowe chmury. Kiedy mgła znika, zaczynam się obficie pocić, a na wargach zbiera mi się sól. Nie przerywając biegu, ocieram twarz brzegiem koszulki. Cal też czuje ten upał. Ściąga z siebie koszulkę i zatyka ją za pas ciasnych spodenek do biegania. W pierwszym odruchu chcę go ostrzec przed poparzeniem słonecznym. W drugim – zatrzymać i trochę pogapić się na wyraźnie zarysowane mięśnie na jego nagim brzuchu. Skupiam się jednak na drodze przed sobą i wysilam przez kolejny kilometr. I kolejny. I kolejny. Czuję blisko siebie jego oddech i nagle zaczyna mnie to strasznie dekoncentrować.

Okrażamy właśnie niewielki las, który oddziela koszary i Szeregowce Oficerskie od lądowiska, kiedy rozlega się grzmot. Burza jest kilka dobrych kilometrów za nami. Cal wyciąga dłoń, żebym zwolniła. Odwraca się do mnie gwałtownie i ściska za ramiona, jednocześnie pochylając się, by spojrzeć mi

w oczy.

– Co się dzieje? – pyta zatroskany. Gładzi mnie dłonią po karku, aby ukoić czerwone, pulsujące od wysiłku blizny. – Uspokój się.

– To nie ja. – Z uśmiechem patrzę w stronę ciemniejących burzowych chmur. – To tylko pogoda. Czasem, kiedy robi się za gorąco i za wilgotno, może dojść do...

– Okej. Dzięki za wyjaśnienie – przerywa mi z rozbawieniem.

– Zepsuje nam to dobrą przebieżkę – cmokam, biorąc go za rękę. Uśmiecha się do mnie krzywo, ale tak szeroko, że wokół oczu zbierają mu się zmarszczki. Kiedy burza nieco się przybliży, czuję jej pulsujące elektrycznością serce. Moje tętno się uspokaja i zrównuje razem z nią, ale odpycham od siebie uwodzicielski pomruk pioruna. Nie dam się rozszaleć burzy, która jest już tak blisko.

Nie mam kontroli nad deszczem, który spada na nas jak wodna kurtyna tak niespodziewanie, że oboje wydajemy z siebie pisk. Nasze przesiąknięte potem ubrania nie były suche, teraz jednak ociekają wodą. Nagłe zimno zaskakuje nas oboje, zwłaszcza Cala.

Jego naga skóra zaczyna parować i wokół torsu wytwarza mu się cienka warstwa szarej mgły. Krople deszczu wydają syk, gdy na niego padają, wygotowując się w ciągu sekund. Kiedy Cal się uspokaja, proces ustaje, ale on nadal pulsuje ciepłem. Bez zastanowienia przytulam się do niego, czując, jak po plecach przebiegają mi dreszcze.

– Powinniśmy wracać – mruczy wprost w czubek mojej głowy. Czuję, jak jego głos rozlega się echem w jego piersi. Moja dłoń płasko spoczywa tam, gdzie bije jego serce. Pod moim dotykiem zaczyna szybciej łomotać, w wyraźnym kontraście do spokojnego wyrazu jego twarzy.

Coś powstrzymuje mnie od przyznania mu racji. Szarpnięcie gdzieś głęboko w środku, w miejscu, którego nie umiem nazwać.

– Powinniśmy? – szepczę, spodziewając się, że deszcz zagłuszy moje słowa. Jego ramiona zacieśniają się wokół mnie. Nic mu nie umknęło.

Drzewka w lesie są młode. Ich liście i gałęzie nie rozpostarły się jeszcze na tyle, by ochronić nas przed zachmurzonym niebem. Odgradzają nas za to od ulicy. Najpierw w błocie ląduje moja koszulka. Po chwili dorzucam tam jego koszulkę, żeby wyrównać rachunki. Spadają na nas wielkie krople deszczu, każda z nich to zimna niespodzianka, uderzająca mnie w nos, plecy i ramiona, którymi oplatam jego szyję. Jego dłonie walczą ze sobą na moich plecach – cudownie ciepły kontrast w stosunku do zimnej wody. Palce śledzą długość mojego kręgosłupa, muskając każdy krąg. Robię to samo i liczę jego żebra. Cal drży, i to nie przez deszcz, kiedy przejeżdżam paznokciami po jego bokach. Odpowiada zębami. Lekko gryząc moją żuchwę, dociera ustami do ucha. Na chwilę zamykam oczy i mogę tylko czuć. Każde doznanie jest jak petarda, uderzenie pioruna, eksplozja.

Grzmoty są coraz bliżej. Jak gdyby coś je do nas przyciągało.

Splatam moje palce z jego i przyciągam go bliżej. Bliżej. Bliżej. Jeszcze bliżej. Smakuje solą i dymem. Bliżej. Mam wrażenie, że wciąż jest za daleko.

– Robiłeś to już kiedyś? – Powinnam się bać, ale trzęsę się jedynie z zimna.

Przechyla głowę do tyłu i prawie wydaję z siebie jęk na znak protestu.

– Nie – szepcze, odwracając wzrok. Z ciemnych rzęs skapują mu krople deszczu. Zaciska usta, jak gdyby się wstydził.

To w stylu Cala czuć zażenowanie z powodu czegoś takiego jak to. Lubi wiedzieć, gdzie prowadzi ścieżka, znać odpowiedź, zanim padnie pytanie. Powstrzymuję się od śmiechu.

To inny rodzaj walki. Nie można się do niej przeskolić. Zamiast zakładać na siebie zbroje, zrzucamy resztę ubrań.

Po sześciu miesiącach spędzonych u boku jego brata, gdzie użyczałam całej swojej osoby niesłusznej sprawie, nie obawiam się oddać swojego ciała komuś, kogo kocham. Nawet w błocie. Nad nami uderza piorun, podobnie jak pod moimi powiekami. Każdy nerw iskrzy życiem. Muszę się mocno skoncentrować, by Cal nie poczuł tego w niewłaściwy sposób.

Jego pierś czerwieni się pod moimi dłońmi i unosi zuchwałym żarem. Jego skóra w kontraście z moją wydaje się jeszcze bledsza. Z pomocą zębów odpina bransolety do krzesania iskrzy i rzuca je w zarośla.

– Na szczęście deszcz nas ochłodzi – mruczy.

Czuję wręcz odwrotnie. Mam ochotę płonąć.

\*

Nie chcę wrócić do domu cała w błocie, a że u Cala nie ma warunków, nie mogę się umyć w koszarach, no chyba że planuję prysznic w towarzystwie tuzina żołnierzy. Książę wyciąga mi liście spomiędzy włosów, kiedy idziemy w stronę szpitala wojskowego, który porasta trujący bluszcz.

– Wyglądasz jak kobieta krzak – mówi Cal, z niemal szaleńczym uśmiechem.

– Właśnie to powinien powiedzieć chłopak do dziewczyny w takim momencie.

Cal prawie wybucha śmiechem.

– Skąd niby to wiesz?

– Bo... o rany. – Robię zwód i skręcam do drzwi.

O tej porze szpital jest niemal całkiem pusty. Jedynie kilkoro pielęgniarek i lekarzy dogląda nielicznych pacjentów. Za sprawą Uzdrawicieli Ciała stali się niemal zupełnie niepotrzebni i przydają się tylko przy przedłużających się chorobach i niezwykle skomplikowanych urazach. Idziemy korytarzami pod ostrym światłem jarzeniówek w swobodnej ciszy. Policzki nadal mnie pieką,

a umysł walczy z samym sobą. Instynkt każe mi wepchnąć Cala do najbliższego pokoju i zamknąć za nami drzwi na klucz. Rozsądek podpowiada, że nie mogę tego zrobić.

Myślałam, że będzie inaczej. Myślałam, że będę się inaczej czuć. Dotyk Cala nie wymazał dotyku Mavena. Moje wspomnienia nadal są obecne i bolą tak samo jak wczoraj. I choć bardzo się staram, nie zapomniałam o przepaści, jaka nas dzieli. Żadna miłość nie jest w stanie wymazać jego wad, tak jak nic nie jest w stanie wymazać moich.

Zza rogu wyłania się pielęgniarka, która niesie naręczce poszewek. Zatrzymuje się na nasz widok i prawie upuszcza wszystko na wyłożoną kafelkami posadzkę.

– No proszę! – mówi. – Ale jesteś szybka, panno Barrow!

Mój rumieniec tylko się wzmaga, a Cal szybko maskuje śmiech atakiem kaszlu.

– Słucham?

Uśmiecha się szeroko.

– Właśnie posłaliśmy do twojego domu kogoś z wiadomością.

– Co?

– Chodź ze mną, skarbie, zaprowadzę cię do niej. – Pielęgniarka kiwa na mnie ręką i przekłada sobie poszewki na biodro. Cal i ja wymieniamy zdezorientowane spojrzenia. Książę wzrusza ramionami i idzie za nią, dziwnie bez troski. Jego wyuczona przez wojsko ostrożność gdzieś się ulotniła.

Pielęgniarka szczebiocze z podekscytowaniem, kiedy za nią idziemy. Ma piedmoncki akcent, przez który słowa wydają się przeciągłe i miększe.

– To nie powinno długo potrwać. Szybko robi postępy. To żołnierka do szpiku kości. Nie chce marnować ani chwili.

Na końcu korytarza znajduje się większy oddział. Panuje w nim większy ruch niż w pozostałej części szpitala. Szerokie okna wychodzą na kolejny ogród, który teraz jest zaciemniony i wysmagany deszczem. Piedmont ma zdecydowanie słabość do kwiatów. Po obu stronach oddziału znajdują się drzwi prowadzące do pustych pokoi i pustych łóżek. Tylko do jednego co chwilę chodzą pielęgniarki. Wartę przy drzwiach trzyma strażnik Szkarłatnej Gwardii, choć nie wydaje się szczególnie czujny. Wciąż jest dość wcześnie i mężczyzna powoli mruga powiekami, kołysany w półśnie cichą pracą oddziału.

Sara Skonos wydaje się przytomna za nich dwoje. Zanim zdołam się do niej odezwać, podnosi głowę i spogląda na mnie oczami szarymi jak burzowe chmury na zewnątrz.

Julian miał rację. Ma piękny głos.

– Dzień dobry. – Po raz pierwszy słyszę, jak mówi.

Nie znamy się zbyt dobrze, ale i tak daję się jej przytulić. Jej dłonie



przejeżdżają po moich nagich ramionach, posyłają iskry ulgi do przepracowanych mięśni. Kiedy Srebrna się ode mnie odrywa, wyciąga mi z włosów kolejny listek, po czym jak gdyby nigdy nic strzepuje mi błoto z ramion. W jej oczach pojawia się błysk, gdy widzi błotne zacieki na rękach i nogach Cala. W sterylnej atmosferze szpitala, z jego wypolerowanymi na błysk podłogami i bardzo jasnym oświetleniem, pasujemy tu jak dwa niezbyt czyste woły do karety.

Usta Sary unoszą się w nieznacznym uśmiešku.

– Mam nadzieję, że poranna przebieżka się udała.

Cal odchrząkuje i cały się rumieni. Wyciera rękę o spodenki, ale tylko jeszcze bardziej rozchlapuje wszędzie błoto.

– Tak.

– W każdym z tych pokoi znajduje się łazienka z prysznicem. Mogę wam też zorganizować ubrania na zmianę. – Sara pokazuje skinieniem głowy na jedne z drzwi. – Jeśli chcecie.

Księżę spuszcza głowę, żeby ukryć swój rumieniec, który robi się coraz intensywniejszy. Człapie ze spuszczoną głową w stronę jednego z pokoi, zostawiając za sobą ślady mokrych butów.

Zostaję z Sarą, pozwalając, by umył się pierwszy. Choć kobieta znów może mówić, bo – jak się domyślam – inny Uzdrowiciel Ciała odtworzył jej język, niewiele się odzywa. Ma bardziej wymowne sposoby komunikowania.

Znów dotyka mojej ręki i delikatnie popycha mnie ku otwartym drzwiom. Kiedy Cala nie ma w pobliżu, jestem w stanie myśleć nieco jaśniej. Zaczynam łączyć fakty. Czuję, jak coś zaciska mi się w piersi, w równej mierze ze smutku co podekscytowania. Chciałabym, żeby Shade tu był.

Farley siedzi na łóżku, twarz ma czerwoną i spuchniętą, a na skroni połyskuje jej smużka potu. Grzmoty na zewnątrz umilkły, pozostawiając po sobie nieustający deszcz, który spływa po szybach. Farley prychnęła śmiechem na mój widok, po czym krzywi się. Sara podbiega do niej i przykładając jej do policzków swoje kojące dłonie. Kolejna pielęgniarka stoi pod ścianą i czeka, aż będzie się mogła na coś przydać.

– Biegłaś tu czy szłaś kanałami? – pyta Farley, nie zważając na gesty Sary.

Wchodzę głębiej do pokoju, uważając, żeby niczego nie pobrudzić.

– Złapała mnie burza.

– Jasne. – Wydaje się kompletnie nieprzekonana. – Czy ja widziałam Cala?

Nagle mój rumieniec robi się równie intensywny jak jej.

– Tak.

– Jasne – powtarza przeciągle.

Omiata mnie wzrokiem, jak gdyby potrafiła odczytać z mojej skóry, co się wydarzyło przez ostatnie pół godziny. Zwalczam w sobie chęć, by zlustrować się wzrokiem w poszukiwaniu podejrzanych odcisków dłoni. Po chwili Farley

przywołuje pielęgniarkę skinieniem dłoni. Kobieta nachyla się do niej i słucha, jak Farley szepcze jej coś do ucha, za szybko i za cicho, bym mogła zrozumieć. Pielęgniarka kiwa głową, po czym wychodzi, by wykonać to, co zleciła jej pani generał. Mijając mnie, rzuca mi powściągliwy uśmiech.

– Możesz podejść bliżej. Przecież nie wybuchnę. – Zerka na Sarę. – A przynajmniej nie teraz.

Uzdrowicielka Ciała posyła jej wyćwiczony, życzliwy uśmiech.

– To już nie potrwa długo.

Robię kilka niepewnych kroków do przodu i siadam na tyle blisko, że mogłabym wziąć Farley za rękę, gdybym chciała. Przy jej łóżku stoi kilka maszyn, które migają lampkami i cicho pulsują. Wciągają mnie w swój hipnotyzujący, regularny rytm. Wzmaga się we mnie bolesna tęsknota za Shade'em. Już wkrótce powitamy na świecie jego część, ale on sam już nigdy nie wróci. Nawet pod postacią dziecka z jego oczami, jego nazwiskiem, jego uśmiechem. Dziecka, którego nigdy nie będzie mu dane kochać.

– Zastanawiam się nad Madeline.

Jej głos wrywa mnie z zamyślenia.

– Co?

Farley skubie białą narzutę na łóżku.

– Tak miała na imię moja siostra.

– Aha.

W zeszłym roku znalazłam w gabinecie pułkownika zdjęcie jej rodziny. Zrobiono je lata temu, ale łatwo było rozpoznać Farley i jej ojca obok równie jasnowłosej matki oraz siostry. Wszyscy wyglądali podobnie. Szerokie ramiona, wysportowana sylwetka, niebieskie, stalowe spojrzenie. Siostra Farley była najmniejsza z nich wszystkich, jej buzia wyrastała z dziecięcych rysów.

– Albo Clara. Po mojej matce.

Jeśli chce mówić, to chętnie jej wysłucham. Ale nie będę wypytywać. Siedzę więc cicho i pozwalam jej nadać tok tej rozmowie.

– Zginęły kilka lat temu. W Lakelandii, w domu. Szkarłatna Gwardia nie była wtedy taka ostrożna i pewnego razu schwytano jednego z naszych agentów, który wiedział zbyt wiele. – Od czasu do czasu po jej twarzy przebiega cień bólu, powodowany wspomnieniami i jej obecnym stanem. – Nasza wioska była niewielka, zapomniana, nieważna. Idealne miejsce na to, by mogła się w niej rozwinąć organizacja taka jak Gwardia. Do czasu aż pewien człowiek zdradził podczas tortur jej nazwę. Król Lakelandii ukarał nas osobiście.

W mojej głowie pojawia się jego wspomnienie. Niewielki mężczyzna, spokojny i złowieszczy jak gładka tafla wody. -Orrec Cygnet.

– Nie było nas z ojcem w domu, kiedy podniósł brzegi rzeki Hud, tym samym cofając do koryta wodę z zatoki, żeby zalać naszą wioskę i zetrzeć ją

z powierzchni swojego królestwa.

– Utopiły się – dopowiadam za nią.

W jej głosie ani przez moment nie pobrzmiwają emocje.

– Czerwoni w całym kraju byli rozjuszeni zatopieniem Nortlandii. Mój ojciec opowiedział naszą historię mieszkańcom niezliczonych wiosek nad jeziorami w całym kraju i tak rozwinęła się Gwardia. – Dotąd pozbawiona wyrazu mina Farley zamienia się w grymas. – „Przynajmniej nie umarły na darmo – mówił. – Obyśmy i my mieli tyle szczęścia”.

– Lepiej mieć w życiu jakiś cel – przyznaję jej rację. Ta nauka nie przyszła mi łatwo.

– Właśnie. Dokładnie... – milknie, ale bez mrugnięcia okiem bierze mnie za rękę. – Wracasz do zdrowia?

– Powoli.

– Nic w tym złego.

– W domu zwykle jest ktoś z rodziny. Julian wpada z wizytą, o ile coś nie zatrzyma go w laboratorium jednostki. Kilorn też zawsze kręci się w pobliżu. Ojca odwiedzają pielęgniarki, pomagają mu ćwiczyć nogę. Tak przy okazji robi wspaniałe postępy – dodaję, spoglądając na Sarę, która cicho siedzi w kącie. Uśmiecha się na to z zadowoleniem. – Dobrze mu idzie ukrywanie tego, co czuje, ale widzę po nim, że jest szczęśliwy. Na tyle, na ile może.

– Nie pytałam o twoją rodzinę, tylko o ciebie. – Farley stuka palcem o wewnętrzną stronę mojego nadgarstka. Choć nie chcę, wzdrygam się, przypominając sobie ciężar swoich kajdan. – Jeden jedyny raz daję ci pozwolenie, by trochę się nad sobą poużalać, dziewczyno od błyskawic.

Wzdycham.

– Nie mogę ... nie mogę przebywać w zamkniętych pomieszczeniach. Po prostu nie potrafię... – Powoli uwalniam dłoń z jej uścisku. – Nie lubię mieć niczego na nadgarstkach. Za bardzo przypomina mi to kajdany, które założył mi Maven. I niczego nie biorę takim, jakie jest. Wszędzie węszę zdradę, nikomu nie ufam.

Jej oczy pochmurnieją.

– To nie taki znów zły odruch.

– Wiem – mruczę.

– A Cal?

– Co Cal?

– Kiedy widziałam was ostatnio, zanim... zanim to wszystko się wydarzyło, o mały włos nie rozszarpaliście się na kawałki. – „Tuż przy ciele Shade’a”. – Rozumiem, że się dogadaliście.

Pamiętam tamtą chwilę. Nie rozmawialiśmy o niej. Moja ulga – nasza ulga – wywołana moim uwolnieniem odsunęła wszystko na bok, w zapomnienie. Ale gdy

Farley wymawia te słowa, czuję, jak otwiera się dawna rana. Próbuję to zracjonalizować.

– Nadal tu jest, pomógł Gwardii napaść na Archeon, przewodził odbiciu Corvium. Chciałam, aby wybrał którąś ze stron, i najwyraźniej to zrobił.

Słyszę w swoich uszach słowa pochodzące gdzieś z odmetów pamięci. „Wybierz mnie. Wybierz świt”.

– Wybrał mnie.

– Trochę mu to zajęło.

Nie mogę się z tym nie zgodzić. Ale przynajmniej teraz nie może już zawrócić. Cał stanowi część Szkarłatnej Gwardii. Maven postarał się, by wiedziało o tym całe państwo.

– Muszę się umyć. Gdyby moi bracia zobaczyli mnie w takim stanie...

– Jasne. – Farley, oparta o stertę poduszek, zaczyna się mościć, próbując przyjąć wygodniejszą pozycję. – Kiedy wrócisz, możesz już mieć bratanicę albo bratanka.

To słodko--gorzka perspektywa. Ze względu na nią wyduszam z siebie uśmiech.

– Ciekawe, czy dziecko będzie... przypominać Shade'a. – To jasne, co mam na myśli. Nie chodzi mi o wygląd, tylko o umiejętności. Czy ich dziecko będzie Nowe jak on i ja? Czy to tak w ogóle działa?

Farley jedynie wzrusza ramionami, rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Jeszcze się nie teleportowało z mojego brzucha, więc trudno powiedzieć.

W drzwiach pojawia się pielęgniarka Farley z płytkim kubeczkiem w dłoni. Cofam się, żeby ją przepuścić, ale podchodzi do mnie, nie do rodzącej.

– Generał kazała mi ci to dać – mówi, podsuwając mi kubeczek. Znajduje się w niej pojedyncza pastylka. Biała i niewyróżniająca się.

– Twój wybór – odzywa się Farley. Obejmuje dłońmi brzuch i patrzy na mnie poważnym wzrokiem. – Pomyślałam, że powinnaś mieć przynajmniej to.

Nie waham się. Z łatwością przełykam pastylkę.

\*

Nieco później rodzi mi się bratanica. Mama nie pozwala nikomu innemu trzymać Clary na rękach. Twierdzi, że widzi w noworodku Shade'a, mimo że to właściwie niemożliwe. Dziewczynka bardziej przypomina pomarszczonego pomidora niż któregokolwiek z moich braci.

Przed oddziałem w wielkim podekscytowaniu zbiera się reszta rodziny Barrowów. Cał poszedł na trening w koszarach. Nie chciał przeszkadzać w prywatnych rodzinnych sprawach. Chciał dać mi przestrzeń.

Kilorn siedzi razem ze mną, ściśnięty na małym krzeselku pod oknami. Z każdą sekundą deszcz robi się coraz słabszy.

- Dobra pogoda na ryby – mówi, wpatrując się w szare niebo.
- Tylko nie zaczynaj rozmawiać ze mną o pogodzie.
- Jaka wrażliwa.
- Twoje dni są policzone, Warren.
- Na tym etapie to się chyba tyczy każdego z nas – odpowiada na mój żart z uśmiechem.

W ustach kogoś innego te słowa zabrzmiałyby złowieszczo, ale zbyt dobrze znam Kilorna, by tak pomyśleć. Trącam go w ramię.

– Jak idą treningi?

– Montfort ma kilkudziesięciu Nowych żołnierzy i wszyscy są przeszkoleni. Niektóre umiejętności się powtarzają, na przykład Darmiana, Harricka, Farrah i kilku innych, i znacznie się poprawiają dzięki pracy z bardziej doświadczonymi żołnierzami. Ćwiczę z Adą i innymi, kiedy Cal nie może. Potrzebują mieć kogoś znajomego w pobliżu.

– Czyli nie ma czasu na ryby, co?

Kilorn rechocze i nachyla się do przodu, żeby oprzeć łokcie na kolanach.

– Właściwie nie. Zabawne. Kiedyś nienawidziłem wstawać rano do pracy na rzece. Nienawidziłem poparzeń od słońca, otarć od lin, wbitych w dłonie haczyków i rybich bebechów na swoich ubraniach. – Obgryza paznokieć. – A teraz za tym tęsknię.

Ja też tęsknię za tamtym chłopakiem.

– Przez ten smród trudno się było z tobą przyjaźnić.

– Pewnie dlatego zostaliśmy kumplami. Nikt nie był w stanie ścierpieć mojego smrodu i twojego paskudnego charakterku.

Uśmiecham się i odchylam głowę, by oprzeć ją o szybę. Miarowo spływają po niej wielkie krople. Liczę je po cichu. To łatwiejsze niż myśleć o tym, co dzieje się wokół mnie i co jeszcze mnie czeka.

„Czterdzieści jeden, czterdzieści dwa...”

– Nie wiedziałem, że potrafisz tak długo usiedzieć w bezruchu.

Kilorn przygląda mi się z troską. Też jest złodziejem i ma złodziejskie instynkty. Niczego nie osiągnę, okłamując go. Jedyne odepchnę go dalej od siebie. A tego bym teraz nie zniosła.

– Nie wiem, co robić – szepczę. – Nawet w Pałacu Białego Ognia, kiedy byłam tam więziona, próbowałam uciec, knułam coś, szpiegowałam, starałam się przetrwać. Ale teraz... nie wiem. Nie jestem pewna, czy długo tak potrafię.

– Nie musisz. Nikt nie miałby do ciebie pretensji, gdybyś zostawiła to wszystko w diabły i nigdy nie wróciła.

Nadal wpatruję się w krople deszczu. Gdzieś w dołku czuję, jak robi mi się niedobrze.

– Wiem. – Poczucie winy przeżera mnie na wylot. – Ale nawet gdybym

mogła stąd teraz zniknąć i zabrać ze sobą wszystkich, na których mi zależy, i tak bym tego nie zrobiła.

Jest we mnie za dużo złości. Za dużo nienawiści.

Kilorn kiwa głową na znak, że mnie rozumie.

– Ale nie chcesz też walczyć.

– Nie chcę się stać... – Nie potrafię na głos dokończyć tego zdania.

„Nie chcę się stać potworem. Skorupą, w której drzemią tylko duchy. Jak Maven”.

– Nie staniesz się. Nie pozwolę na to. A co dopiero Gisa.

Mimo że nie chcę, wymuszam z siebie śmiech.

– Racja.

– Nie jesteś w tym sama. Podczas pracy z Nowymi poznałem ich największe lęki. – Też opiera głowę o szybę. – Powinnaś z nimi porozmawiać.

– Powinam – mówię niewyraźnie i naprawdę tak sędzę. W mojej piersi zakwita niemrawe uczucie ulgi. Te słowa stanowią dla mnie prawdziwe pocieszenie.

– W końcu się przekonasz, czego chcesz – dodaje dla zachęty.

Woda wiruje w wannie, gotuje się, wypuszczając wielkie, spienione bąble. Błady chłopak spogląda na mnie, jego oczy są wielkie, szyja naga. W rzeczywistości stałam w miejscu. Byłam słaba, głupia i przestraszona. Ale w moich marzeniach zaciskam mu dłonie na szyi. Osuwa się we wrzącą wodę aż po czubek głowy. Nie wypływa na powierzchnię. Więcej mnie nie prześladowuje.

– Chcę go zabić.

Oczy Kilorna się przymrużają, mięsień policzka drga w nerwowym tiku.

– W takim razie musisz trenować i wygrać.

Powoli kiwam głową.

Pułkownik przyszedł na oddział, ale trzyma się na uboczu. Nieruchomo wpatruje się w swoje stopy. Nie idzie zobaczyć się z córką ani wnuczką.

Ale też nie wychodzi.

## Rozdział 23

### Evangeline

Czuję jej śmiech na mojej szyi, jej dotyk, muśnięcie warg i zimną stal. Moja korona spoczywa niepewnie na jej rudych lokach, pomiędzy którymi pobłyskują diamenty. Swoją umiejętnością sprawia, że klejnoty migoczą jak rozświetlone gwiazdy.

Niechętnie się podnoszę i wstaję z łóżka, pozostawiając za sobą jedwabną pościel i Elane. Wydaje z siebie nagły jęk, kiedy rozsuwam zasłony i wpuszczam do środka trochę słońca. Za jednym machnięciem jej dłoni okno ciemnieje, aż światło zostaje przytłumione zgodnie z jej upodobaniem.

W półcieniu wkładam na siebie czarną bieliznę oraz parę sznurowanych sandałów. Dzisiejszy dzień jest wyjątkowy i nie spieszę się, żeby uformować w mojej szafie strój z metalowych płyt. Tytan i pociemniała stal falują na moich kończynach. Czerń i srebro odbijają światło, tworząc kombinację wspaniałych kolorów. Nie potrzebuję pokojówki, żeby skończyć się szykować, nie wspominając o tym, że nie chcę, by ktoś kręcił mi się po pokoju. Robię to sama i dopasowuję mieniącą się, ciemnogranatową szminkę do ciemnej jak węgiel kredki do oczu, ozdobionej wykonanymi na zamówienie kryształkami. Elane przez cały ten czas ucina sobie drzemkę, aż ściągam koronę z jej głowy. Idealnie na mnie pasuje.

– Moja – mówię do niej, nachylając się, by jeszcze raz ją pocałować. Uśmiecha się leniwie, z wargami dociśniętymi do moich. – Nie zapomnij, że masz być dziś obecna.

Żartobliwie się przede mną skłania.

– Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość.

Ten tytuł jest tak słodki, że mam ochotę zlizać jej te słowa z warg. Ale powstrzymuję się, bo nie chcę zepsuć sobie makijażu. Nie odwracam się też, żeby nie stracić resztek samokontroli, które jeszcze mi pozostały.

Dom, zwany przez nas Granią, należy do mojej rodziny od pokoleń i ciągnie się wzdłuż górnej krawędzi jednej z wielu szczelin, od których pochodzi nazwa naszego regionu. Jest ze stali i szkła, i to bez wątplenia moja ulubiona rodzinna posiadłość. Moje prywatne komnaty wychodzą na wschód, w stronę świtu. Lubię wstawać wraz ze słońcem, choć Elane tego nie znosi. Korytarze łączące mój pokój z głównymi komnatami posiadłości zostały zaprojektowane dla Żeleźców – to zbudowane ze stali pasaży o otwartych bocznych ścianach. Niektóre biegną po ziemi, ale wiele z nich prowadzi nad zielonymi czubkami drzew, ostrymi skałami i źródłami, w które obfitują nasze ziemie. Gdybyśmy kiedykolwiek zostali

zaatakowani, nasz najeźdźca miałby duży problem ze sforsowaniem tej konstrukcji.

Mimo wypielęgnowanego lasu i najlepszej ziemi w Rowach przylatuje tu niewiele ptaków. Nie są takie głupie. Jako dzieci Ptolemeusz i ja robiliśmy z nich sobie cele do ćwiczeń. Reszta była zdana na łaskę mojej matki.

Ponad trzysta lat temu, zanim do władzy doszli królowie z rodu Calore, Rowy nie istniały, podobnie zresztą jak Norta. Tym skrawkiem ziemi rządził wojskowy dygnitarz z rodu Samos, mój bezpośredni przodek. To my mamy w sobie krew zdobywców i szczęście znów się do nas uśmiecha. Maven nie jest już jedynym królem w Norcie.

Tutejsi służący doskonale potrafią nie wchodzić nam w drogę i pojawiają się jedynie wtedy, gdy są potrzebni lub zostaną wezwani. W ostatnich tygodniach wydają się wręcz za dobrzy w swojej pracy. Nietrudno zgadnąć dlaczego. Wielu Czerwonych ucieka do miast w poszukiwaniu bezpieczeństwa, zanim rozpocznie się wojna domowa, albo żeby dołączyć do rebelii Szkarłatnej Gwardii. Ojciec mówi, że sama Gwardia zaszyła się w Piedmoncie, marionetkowym kraju znajdującym się w rękach przywódców Montfortu i Gwardii. Utrzymuje pewne kanały wymiany informacji z Montfortem i Gwardią, choć bardzo niechętnie. Ale jak na razie wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem, czyniąc z nas tymczasowych sprzymierzeńców w kwestiach związanych z Mavenem.

Toli czeka na galerii, szerokim, otwartym korytarzu, który ciągnie się wzdłuż głównego budynku. Z okien da się spojrzeć w każdym kierunku, w najdalsze zakątki Rowów. W bezchmurny dzień można nawet zobaczyć Pitarus na zachodzie. Dziś jednak chmury wiszą nisko, a dolinę rzeki zraszają letnie deszcze. Na wschodzie, wzdłuż niewiarygodnie wysokich zboczy, ciągną się rzeki i doliny zakończone turkusowymi górami. Region Rowów jest, moim zdaniem, najpiękniejszym zakątkiem Norty, a ja rzadko się myślę. I należy do mnie. Do mojej rodziny. Dom Samos rządzi tym kawałkiem kraju.

Mój brat w każdym calu wygląda jak następca tronu Rowów. Zamiast zbroi ma na sobie nowy mundur. Strój w srebrnoszarym kolorze, który zastąpił czerń, z połyskującymi guzikami z onyksu i stali oraz czarną jak smoła szarfą biegnącą od ramienia do biodra. Nie ma jeszcze medali, a przynajmniej nie takich, które mógłby założyć. Te, które posiada, zdobył w służbie innemu królowi. Jego srebrne włosy są mokre, gładko zaczesane do tyłu. Niedawno brał prysznic. Trzyma blisko siebie swoją odtworzoną dłoń, jakby starał się ją chronić. Wren poświęciła prawie cały dzień, aby prawidłowo ją odbudować, a mimo to potrzebowała pomocy od dwojga swoich krewnych.

– Gdzie jest moja żona? – pyta Toli, oglądając się na otwarty korytarz za nami.

– Niedługo przyjdzie. Straszny z niej leń. – Toli ożenił się z Elane tydzień temu. Nie wiem, czy widział ją od nocy poślubnej, ale kompletnie mu to nie



przeszkadza. Oboje zgodzili się na ten układ.

Bierze mnie pod rękę zdrową dłonią.

– Nie wszyscy potrafią funkcjonować, śpiąc tak mało jak ty.

– A ty? Słyszałam, że cała ta praca nad dłonią doprowadziła do kilku późnych sesji z panną Wren – odpowiadam, chytrze na niego spoglądając. – Czy może mam błędne informacje?

Toli uśmiecha się zawstydzony.

– Czy to w ogóle możliwe?

– Nie tutaj.

W Grani niczego nie da się ukryć. W szczególności przed matką. Wszędzie ma swoich szpiegów – w myszach, kotach i z rzadka zaglądających tu wróblach. Do galerii wlewa się światło i rzuca cienie na liczne rzeźby z płynnego metalu. Kiedy przechodzimy obok, Ptolemeusz obraca w powietrzu swoją zregenerowaną dłoń i rzeźby przekręcają się wraz z nią, tworząc nowe, jeszcze bardziej złożone formy.

– Nie zajmuj się głupstwami, Toli. Jeśli ambasadorowie przyjadą przed nami, ojciec nadzieje nasze głowy na bramę wjazdową – łajam go. Wybucham śmiechem, słysząc tę starą, żartobliwą groźbę. Żadne z nas nigdy czegoś takiego nie widziało. Ojciec zabił wiele osób, ale nigdy w tak prymitywny sposób i tak blisko domu. „Nie przelewaj krwi we własnym ogrodzie”, zwykł mawiać.

Schodzimy z galerii zewnętrznymi pasażami, żeby móc nacieszyć się wiosenną pogodą. Widać je z większości komnat pałacu przez krystaliczne szyby okien lub otwarte drzwi, którymi do środka wpada wiosenny wietrzyk.

W pobliżu jednego z salonów stoją w szeregu strażnicy i pochylają przed nami głowy, okazując księciu i księżniczce należny szacunek. Uśmiecham się na ten gest, ale ich widok mnie niepokoi.

Strażnicy Samosów nadzorują brutalną operację: tworzenie Cichego Kamienia. Nawet Ptolemeusz blednie, kiedy koło nich przechodzimy. Zapach krwi na moment dławi nas oboje, wypełniając powietrze ostrą wonią żelaza. W salonie siedzi dwóch Arvenów przykutyh do swoich miejsc kajdanami. Żaden z nich nie jest tutaj z własnej woli. Ich dom jest sprzymierzony z Mavenem, ale potrzebujemy Cichego Kamienia, stąd ich obecność. Wren kręci się wokół nich i monitoruje postępy. Obojgu z nich podcięto żyły i ich krew swobodnie spływa do wielkich wiader. Kiedy Arvenowie osiągną swój limit, Wren ich uleczy i pobudzi u nich produkcję krwi, aby można było zacząć wszystko od nowa. W międzyczasie ich krew zostanie zmieszana z cementem i utwardzona w śmiertelne bryły kamienia, który potrafi tłumić umiejętności. Nie wiem, w jakim celu ma powstać, ale ojciec ma zapewne jakiś plan. Może chce zbudować takie więzienie, jakie Maven wznosił dla Srebrnych i Nowych.

Nasza największa sala audiencyjna, zwana trafnie Komnatą Zachodzącego

Słońca, znajduje się na zachodnim zboczu. Wydaje mi się, że obecnie to także nasza sala tronowa. Kiedy się do niej zbliżamy, mijamy po drodze dworzan należących do naprędce stworzonej przez mojego ojca arystokracji, której z każdym krokiem jest coraz więcej. Większość to krewni z domu Samos, których status podniósł się wraz z ogłoszeniem przez nas niepodległości. Kilku członków bliższej rodziny – rodzeństwo ojca oraz ich dzieci – zyskuje tytuły książęce, reszta jednak pozostaje lordami i damami, jak zawsze zadowolona z tego, że czerpie korzyści z nazwiska mojego ojca i jego ambicji.

Jaskrawe kolory wyróżniają się pośród zwyczajowej czerni i srebra, co nadaje wagi dzisiejszemu zgromadzeniu. Ambasadorowie z innych jawnie zbuntowanych domów przyjechali prowadzić pertraktacje z królem Rowów. Złożyć mu hołd. Dom Iral będzie pewnie dyskutował. Spróbuje się targować. Jedwabieści uważają, że dzięki swoim sekretom mogą kupić koronę, ale tu jedyną walutą jest władza. Siła jedyną monetą. A oni oddali je, wkraczając na nasze terytorium.

Przybył także dom Haven, Cieniści pławiący się w świetle słońca, podczas gdy ubrani na żółto Wietrzycy z domu Laris trzymają się blisko siebie. Ci drudzy już zawarli przymierze z ojcem i wnoszą ze sobą potęgę sił powietrznych, które przejęły kontrolę nad większością baz lotniczych. Bardziej przejmuję się domem Haven. Elane nie mówi tego na głos, ale tęskni za rodziną. Niektórzy ślubowali lojalność Samosom, ale nie wszyscy, w tym nie jej ojciec. Rozłam w jej własnym domu sprawia jej przykrość. Prawdę mówiąc, to chyba dlatego tu ze mną nie przyszła. Nie zniosłaby widoku swojej podzielonej rodziny. Chciałabym móc sprawić, by ze względu na nią złożyli nam hołd.

W porannym świetle Komnata Zachodzącego Słońca wygląda imponująco, z gładką posadzką z rzeźbionego kamienia i widokami roztaczającymi się na dolinę. Rzeka Allegiant wiję się niczym niebieska wstążka po zielonym jedwabiu, leniwie wyginając się w tę i w tę aż po zasnuty deszczem horyzont.

Koalicja jeszcze nie przyjechała, co daje Toliemu i mnie nieco czasu, by zająć swoje miejsca na tronach. On po prawej stronie ojca, ja po lewej matki. Wszystkie nasze trony zostały wykonane z najwyższej jakości stali wypolerowanej tak, że lśnią jak lustra. Są zimne w dotyku i powtarzam sobie, że nie mogę się wzdrygnąć, gdy siadę na jednym z nich. Na moją skórę i tak występuje gęsia skórka, głównie z niecierpliwości. Jestem księżniczką, Evangeline z Rowów, z rodziny królewskiej Samos. Myślałam, że moim przeznaczeniem jest być czyjąś królową, podwładną innej korony. Tak jest dużo lepiej. Powinniśmy byli zrobić to już dawno. Niemal żałuję lat swojego życia, które zmarnowałam, próbując zostać czyjąś żoną.

Ojciec wkracza do komnaty otoczony chmarą doradców, z głową przechyloną na bok, by lepiej ich słyszeć. Z natury nie jest zbyt rozmowny. Swoje myśli zachowuje dla siebie, ale potrafi świetnie słuchać i bierze pod uwagę

wszystkie czynniki, zanim podejmie decyzję. W przeciwieństwie do Mavena, nierozsądnego króla, który podążał tylko za swoim zwichrowanym kompasem.

Matka idzie za nimi sama, ubrana w zwyczajową zieleń, bez dam dworu ani doradców. Większość ludzi szeroko się przed nią rozstępuje. Pewnie dlatego, że w krok za nią idzie dziewięćdziesięciokilowa czarna pantera. Kocica zrównuje z nią krok i odstępuje od jej boku dopiero wówczas, kiedy dochodzą do tronu. Wtedy mnie obchodzi i trąca moją kostkę swoją wielką głową. Z przyzwyczajenia siedzę nieruchomo. Matka ma ogromną wprawę w kontrolowaniu zwierząt, nie jest to jednak umiejętność doskonała. Wiele razy byłam świadkiem, jak jej zwierzęta zatapiają zęby w służących, czy to z jej polecenia czy też nie. Pantera raz jeszcze kręci głową, po czym wraca do swojej pani i zajmuje miejsce po jej lewej stronie, między nami dwiema. Matka kładzie jej na głowie swoją dłoń ozdobioną szmaragdami i gładzi jej jedwabiste, czarne futro. Ogromny kot powoli mruga wielkimi, żółtymi oczami.

Spotykam się z matką wzrokiem i unoszę brew.

– Niezłe wejście.

– Miałam do wyboru panterę albo pytona – odpowiada. Na jej koronie pobłyskują szmaragdy kunsztownie osadzone w srebrze. Jej włosy opadają jak gruba, czarna peleryna, idealnie prosta i gładka. – Ale nie mogłam znaleźć sukni, która pasowałaby do węża. – Pokazuje na szyfonową kreację w kolorze jadeitu. Wątpię, żeby taki był właśnie powód, ale nie mówię tego głośno. Jej intrygi już wkrótce wyjdą na jaw. Choć jest bardzo bystra, nie ma talentu do podstępów. Woli stosować otwarte groźby. W tym sensie stanowią z ojcem dobraną parę. Jego knowania zajmują lata i on zawsze działa pod osłoną cienia.

Jednak jak na razie ojciec stoi w pełnym słońcu. Jego doradcy odstępują, gdy odprawia ich skinieniem ręki, po czym zasiada na tronie. To poruszający widok. Podobnie jak Ptolemeusz ma na sobie szaty wykonane z bogato zdobionej srebrnej tkaniny, w miejsce dawnej czerni. Czuję, że pod strojem znajduje się zbroja. Chrom. Wykonana jest z niego również prosta obręcz okalająca mu skronie. Ojciec nie lubi klejnotów. Na niewiele mu się zdają.

– Krewni z żelaza – mówi cicho do zebranych w Komnacie Zachodzącego Słońca, rozglądając się po twarzach gromadnie przybyłych członków rodu.

– Królu ze stali! – odpowiadają gromkim krzykiem, podnosząc pięści w powietrze. Siła ich odpowiedzi niesie mi się echem w piersi.

W Norcie, w sali tronowej w Pałacu Białego Ognia albo w Summerton, ktoś zawsze anonsował nadejście króla. Podobnie jak w kwestii klejnotów ojciec nie dba o takie zbędne demonstracje. Wszyscy tu zebrani znają jego imię. Powtarzanie go byłoby jedynie oznaką słabości, pragnieniem poklasku. Ojciec nie wykazuje takich skłonności.

– Zaczynać – mówi. Na ten znak otwierają się ciężkie, żelazne drzwi po

przeciwnej stronie komnaty.

Ambasadorowie są nieliczni, ale stoją wysoko w hierarchii, przewodzą swoim domom. Lord Salin z Irali zdaje się mieć na sobie wszystkie klejnoty, których brak mojemu ojcu. Jego szeroki kołnierz pełen rubinów i szafirów ciągnie się od ramienia do ramienia. Reszta jego szat posiada podobny czerwono--niebieski wzór, a tkanina kłębi się u jego kostek. Ktoś inny mógłby się w takim ubraniu łatwo potknąć, ale nie Jedwabisty Iral. Porusza się z niebezpieczną gracją, oczy ma surowe i ciemne. Robi, co w jego mocy, by nie wypaść gorzej niż jego poprzedniczka Ara Iral. Jego obstawę także stanowią Jedwabisci, ubrani z podobną ekstrawagancją. To piękny ród: ich skóra ma kolor zimnego brązu, włosy są czarne. Nie ma z nimi Soni. Na dworze miałam ją za swoją przyjaciółkę, jak wszystkich pozostałych. Nie tęsknię za nią, więc chyba lepiej, że jej tu nie ma.

Salin przymruża oczy na widok pantery matki, która teraz mruczy pod dotykiem jej dłoni. „No tak”. Jego matka, zamordowana władczyni Irali, była w młodości zwana Panterą. „Brawo za subtelność, mamó”.

Następnie z drgającego powietrza wyłania się kilku Cienistych, o zdecydowanie mniej wrogich twarzach. Zauważam także, iż na tyłach komnaty pojawia się Elane. Jej twarz jednak wciąż jest w cieniu, ukrywa swój ból przed zebrany w komnacie tłumem. Chciałabym móc posadzić ją przy sobie. Ale mimo że moja rodzina idzie mi na rękę w kwestii Elane, nigdy do tego nie dojdzie. Pewnego dnia zasiądzie tu wraz z Tolim. Nie ze mną.

Lord Jerald, ojciec Elane, przewodzi delegacji z domu Haven. Podobnie jak ona ma jasnorude włosy i rumianą twarz. Wygląda młodo jak na swój wiek, co wynika częściowo z jego naturalnej umiejętności, by manipulować światłem. Jeśli wie, że jego córka znajduje się w głębi sali, to tego nie okazuje.

– Wasza Królewska Mość. – Salin Iral nachyla głowę tylko na tyle, by nie posadzono go o brak kultury.

Ojciec się nie kłania. Przerzuca jedynie wzrok z jednego ambasadora na drugiego.

– Wielmożni panowie, wielmożne panie. Witajcie w królestwie Rowów.

– Dziękujemy za twą gościnność – odpowiada Jerald.

Jestem niemal w stanie usłyszeć, jak ojciec zgrzyta zębami. Nie znosi marnować czasu, a takie uprzejmości są dla niego czystym marnotrawstwem.

– Przebyliście tak długą drogę. Mam nadzieję, że po to, by dotrzymać danego słowa.

– Przyrzekliśmy cię wspierać, byś odsunął od władzy Mavena – odpowiada Salin. – Ale nie w czymś takim.

Ojciec wzdycha.

– Odsunąłem Mavena od władzy w Rowach, a dzięki waszej lojalności może się to rozprzestrzenić.

– Z tobą jako królem. Jeden dyktator za drugiego. – Z tłumu wyrywa się czyjś pomruk. Siedzimy jednak cicho, podczas gdy Salin wygłasza swoje bzdury.

Matka nachyla się do przodu.

– To nie w porządku porównywać mojego męża do tego zepsutego księcia, który nie ma prawa zasiadać na tronie swojego ojca.

– Nie będę beczynn timer patrzył, jak wyciągasz ręce po koronę, która ci się nie należy – przeciwstawia się Salin.

Matka cmoka.

– Mówisz o koronie, po którą sam chciałbyś wyciągnąć ręce? Jaka szkoda, że zamordowano Panterę. Ona przynajmniej wzięłaby to pod uwagę. – Dalej gładzi błyszczącą sierść drapieżcy przy swoim boku. Dziki kot warczy gardłowo i szczyrzy kły.

– Fakty jednak pozostają takie – wtrąca się ojciec – że choć Maven się miota, zdołał zgromadzić armię i zasoby, które znacznie przewyższają nasze. Zwłaszcza teraz, kiedy połączył siły z Lakelandią. Ale razem zdołamy się obronić. Uderzyć z siłą. Poczekać, aż chaos rebelii rozprzestrzeni się na dalszą część królestwa. Poczekać, aż Szkarłatna Gwardia...

– Szkarłatna Gwardia. – Jerald spluwa na naszą piękną podłogę. Jego twarz pokrywa szary rumieniec. – Masz chyba na myśli Montfort. Prawdziwą siłę za tymi przeklętymi terrorystami. Kolejne królestwo.

– Formalnie rzecz biorąc... – zaczyna Toli, ale Jerald mówi dalej, jakby go nie słyszał.

– Zaczynam nabierać przekonania, że nie obchodzi cię Norta, a jedynie twój tytuł i korona. Obrona własnego terytorium, podczas gdy nasz naród pożrą większe bestie – warczy. Stojąca w tłumie Elane wzdryga się i zaciska powieki. Nikt nie odzywa się do mojego ojca w taki sposób.

Pantera znów warczy, wyrażając tym narastającą złość matki. Ojciec zaś siedzi rozparty na swoim tronie i przygląda się, jak w Komnacie Zachodzącego Słońca gęstnieje atmosfera.

Po przeciągłej, niepewnej chwili Jerald pada na kolano.

– Proszę wybaczyć, Wasza Królewska Mość. Źle się wyraziłem. Nie miałem zamiaru... – milknie pod ciężarem królewskiego spojrzenia, a słowa zamierają mu na mięsistych ustach.

– Szkarłatna Gwardia nigdy nie przejmie tutaj władzy. Bez względu na to, jacy wspierają ich radykałowie. – Stanowczo mówi ojciec. – Czerwoni są od nas gorsi, nie dorównują nam. Wynika to z biologii. Sama natura wie, że jesteśmy ich panami. Z jakiego innego powodu jesteśmy Srebrni? W jakim celu jesteśmy ich bogami, jeśli nie po to, by nimi władać?

Krewni z domu Samos wznoszą okrzyki.

– Król ze stali! – znów niesie się echem przez komnatę.

– Jeśli Nowi chcą zniżyć się do poziomu robactwa, proszę bardzo. Jeśli chcą odwrócić się plecami od naszego sposobu życia, proszę bardzo. Ale kiedy wrócą, by walczyć przeciw nam, by walczyć przeciw naturze, zabijemy ich.

Wiwaty się wzmagają, rozprzestrzeniając od naszego domu po dom Laris. Nawet kilka osób z delegacji klaszcze lub kiwa głowami. Wątpię, żeby kiedykolwiek słyszeli, by Volvo Samos tyle mówił – oszczędzał głos i słowa na chwile, które się liczą. Ta zdecydowanie do nich należy.

Jedynie Salin pozostaje w bezruchu. Jego ciemne oczy obrysowane czarną kredką ostro wyróżniają się na jego twarzy.

– Czy to dlatego twoja córka puściła wolno terrorystkę? Dlatego zabiła w tym celu czworo Srebrnych ze Szlachetnych Domów?

– Czworo Arvenów wiernych Mavenowi – odpowiadam ostro. Lord Iral spogląda na mnie i czuję, jakby przeszywał mnie prąd, aż niemal wstaję z miejsca. To pierwsze słowa, które wypowiadam jako księżniczka, głosem, który jest w pełni mój. – Czworo żołnierzy, którzy odebrali by wam wszystko na jedno pstryknięcie palców swojego króla. Opłakujesz ich, wielmożny panie?

Salin krzywi się z obrzydzeniem.

– Opłakuję stratę cennego zakładnika, nic więcej. I szczerze kwestionuję twoją decyzję, księżniczko.

„Usłyszę w twoim głosie jeszcze jedną kroplę drwiny, a oderżnę ci język”.

– To była moja decyzja – mówi ojciec niewzruszonym tonem. – Słusznie zauważyłeś, że Mare Barrow była cennym zakładnikiem. Odebraliśmy ją Mavenowi. – „I wypuściliśmy ją na placu niczym zwierzę z klatki”. Zastanawiam się, ilu żołnierzy Mavena zabiła tamtego dnia. Miejmy nadzieję, że przynajmniej tyłu, by wypełnić plan ojca i zamaskować ślady naszej ucieczki.

– I teraz przepadła bez wieści! – naciska Salin. Z każdą minutą popada w coraz większą złość.

Ojciec nie okazuje tym żadnego zainteresowania i stwierdza coś oczywistego:

– To jasne, że przebywa w Piedmoncie. I zapewniam cię, Barrow była dużo bardziej niebezpieczna pod władzą Mavena, niż kiedykolwiek będzie w ich rękach. Powinniśmy się martwić tym, jak wyeliminować Mavena, a nie radykałów skazanych na porażkę.

Salin błednie.

– Porażkę? Przejęli Corvium. Kontrolują znaczną część Piedmontu, wykorzystując Srebrnego księcia jako marionetkę. Jeśli to jest porażka...

– Próbują uczynić równym coś, co z zasady równym nie jest. – Głos matki jest bez emocji, a słowa brzmią prawdziwie. – To głupota, niemożliwe do wykonania równanie. I zakończy się rozlewem krwi. Ale się zakończy. Piedmont się zbuntuje. Norta stłamsi Czerwonych diabłów. Życie będzie toczyć się dalej.

Matka zdaje się w ten sposób kłaść kres wszelkim dyskusjom. Podobnie jak ojciec z zadowoleniem opiera się wygodnie na tronie. Przynajmniej raz nie towarzyszy jej znajomy syk węży. Ma tylko wielką panterę, która mruczy pod jej dotykiem.

Ojciec kuje żelazo, póki gorące.

– Naszym celem jest Maven. Lakelandia. Rozdzielenie króla od jego nowego sprzymierzeńca uczyni go słabym, śmiertelnie słabym. Czy wesprzecie nas w staraniach, by uwolnić nasz kraj od tej trucizny?

Salin i Jerald powoli wymieniają spojrzenia, spotykając się wzrokiem w dzielącej ich pustej przestrzeni. Czują krążącą w moich żyłach adrenalinę. Klękają przed ojcem. Muszą klęknąć.

– Czy wesprzecie dom Samos, dom Laris, dom Lerolan...

Przerywa mu jakiś głos. Głos kobiety. Niesie się echem... znikąd.

– Masz zamiar mówić w moim imieniu?

Jerald porusza nadgarstkami, a jego palce kreślą koła w powietrzu. Wszyscy zebrani w komnacie, w tym ja, wydają z siebie jęk zaskoczenia, kiedy nie wiadomo skąd pomiędzy ambasadorami Iral i Haven pojawia się trzecia osoba. Za nią wyłaniają się jej dworzanie, kilkanaście osób w czerwono--pomarańczowych szatach, barwach zachodzącego słońca. Eksplozji.

Matka aż podskakuje z wrażenia, bo chyba po raz pierwszy od wielu, wielu lat coś ją zaskoczyło. Moja adrenalina przemienia się w szpikulce lodu i mrozi mi krew w żyłach.

Przywódczyni domu Lerolan wykonuje śmiały krok do przodu. Ma surową urodę. Jej siwe włosy są upięte w gładki kok, oczy płoną jak rozżarzony brąz. Ta starsza kobieta nie wie, czym jest strach.

– Nie poprę króla z domu Samos, skoro nadal żyje następca z domu Calore.

– Wiedziałałam, że czuję dym – mruczy pod nosem moja matka, cofając dłoń z głowy pantery. Zwierzę natychmiast wzmaga czujność i staje na wszystkich czterech łapach, pokazując pazury.

Kobieta jedynie wzrusza ramionami ze złośliwym uśmieszkiem na ustach.

– Łatwo ci tak mówić, Larentio, skoro już mnie widzisz. – Stuka palcami o swój bok. Bacznie się jej przyglądam. Jest Niwecznikiem i potrafi rozerwać na strzępy dotykiem. Jeśli podejdzie wystarczająco blisko, będzie mogła sprawić, że eksplodują mi serce i mózg.

– Jestem królową...

– Ja również. – Uśmiech Anabel Lerolan rozciąga się od ucha do ucha. Choć jej ubrania są wykwintne, nie ma na sobie widocznej biżuterii ani korony. Żadnego metalu. Zaciskam dłoń w pięści. – Nie odwrócimy się od mojego wnuka. Tron Norty należy do Tyberiasza Siódmego. Nasza korona jest z płomieni, nie ze stali.

Złość ojca zbiera się jak grzmot i uderza jak błyskawica. Wstaje z tronu,

zaciskając pięść. Metalowe wzmocnienia w komnacie zaczynają się poruszać, szcękając pod naporem jego wściekłości.

– Zawarliśmy układ, Anabel! – warczy. – Ta mała Barrow w zamian za twoje poparcie.

Ale ona tylko mruga powiekami.

Słyszę syk mojego brata, mimo że siedzimy daleko od siebie:

– Zapomniałaś już, z jakiego powodu Corvium znalazło się w rękach Gwardii? Nie widziałaś, jak twój wnuk walczy w Archeonie z ludźmi własnej krwi? Królestwo nie może się teraz za nim opowiedzieć.

Anabel nawet nie mrugnie okiem. Jej pomarszczona twarz nie zmienia wyrazu, pozostaje łaskawa i cierpliwa. Wygląda w każdym calu jak życzliwa, starsza dama, ale emanuje z niej dzika srogość. Czeka, aż mój brat powie coś jeszcze, lecz gdy tego nie robi, przechyla głowę.

– Dziękuję, książę Ptolemejuszu, że przynajmniej nie powtarzasz oburzających oszczerstw na temat morderstwa mojego syna i wygnania wnuka. Oba spowodowała Elara Merandus, a wieść o nich rozniosła się po kraju poprzez najgorszą propagandę, jaką kiedykolwiek widziałam. Owszem, Tyberiasz dopuścił się strasznych rzeczy, aby przeżyć. Ale jeśli chciał przeżyć, musiał. Po tym, jak wszyscy się od niego odwróciliśmy, porzuciliśmy go, mimo że jego własny brat próbował zabić go na arenie jak zwykłego przestępcę. W ramach przeprosin możemy przynajmniej oddać należącą do niego koronę.

Przedstawiciele domu Iral i Haven stoją za jej plecami, wysoko unosząc głowy. Napięcie wisi w powietrzu. Wszyscy je czują. Jesteśmy Srebrni, rodzimy się dla siły i władzy. Trenujemy, aby walczyć, zabijać. W sercu każdego człowieka słyszymy tykanie zegara, który odlicza czas do rozlewu krwi. Szukam wzrokiem Elane, nasze oczy spotykają się na chwilę. Dziewczyna zaciska usta w ponurą linię.

– Królestwo Rowów jest moje – warczy ojciec niczym jedna z bestii matki. Ten ryk przeszywa mnie dreszczem aż po kości i natychmiast czuję się jak dziecko.

Na królowej nie wywiera to podobnego wrażenia. Od prostych, stalowych pasm jej włosów zebranych u nasady karku odbija się światło.

– To je sobie zatrzymaj – odpowiada, wzruszając ramionami. – Tak jak mówiłeś, zawarliśmy układ.

I tak po prostu narastający zamęt, który niemal owładnął zebranymi, znika. Kilku kuzynów, a także wielmożny Jerald, wyraźnie oddycha z ulgą.

Anabel szeroko rozpościera ręce.

– Jesteś królem Rowów i życzę ci wielu lat rządów pełnych sukcesów. Ale to mój wnuk jest prawowitym królem Norty. I nie pogardzi żadnym sprzymierzeńcem, aby odzyskać swoje królestwo.

Nawet ojciec nie przewidział takiego obrotu zdarzeń. Anabel Lerolan od lat nie bywała na dworze w Archeonie, preferując Delphie, siedzibę swojego domu.



Nie znosiła Elary Merandus i jej towarzystwa. Albo się jej bała. Podejrzewam, że teraz, skoro królowa Szeptaczy nie żyje, może powrócić królowa Niweczników. I robi niezłe wejście.

W duchu powtarzam sobie, że nie mogę panikować. Bez względu na to, jakie to dla ojca zaskoczenie, musi pamiętać, że to nie jest kapitulacja. Zatrzymamy Rowy. Zatrzymamy nasz dom i nasze korony. Minęło dopiero kilka tygodni. Nie jestem za tym, byśmy oddali to, co sobie wywalczyliśmy. Na co zasługuję.

– Ciekawy jestem, jak masz zamiar oddać władzę królowi, który nie chce zasiąść na tronie – ojciec zastanawia się na głos. Składa dłonie w piramidę i patrzy zza nich na Anabel. – Twój wnuk jest w Piedmoncie...

– Mój wnuk działa w Szkarłatnej Gwardii wbrew swojej woli, a organizację tę kontroluje Wolna Republika Montfortu. Przekonasz się, że ich przywódca, który nazywa siebie premierem, to całkiem rozsądny człowiek – dodaje lekkim tonem, jakby rozmawiała o pogodzie.

Wszystko przewraca mi się w żołądku i zaczyna mnie mdlić. Jakiś zakorzeniony we mnie instynkt krzyczy, abym ją zabiła, zanim zaczniesz mówić dalej.

Ojciec unosi brew.

– Nawiązałaś z nim kontakt?

Królowa z domu Lerolan uśmiecha się powściągliwie.

– Na tyle, by rozpocząć negocjacje. Ale ostatnimi czasy częściej rozmawiam ze swoim wnukiem. To zdolny chłopak, doskonale zna się na mechanice. Skontaktował się ze mną w akcie desperacji, prosząc tylko o jedno. Dzięki tobie zdołałam mu pomóc.

„Mare”.

Ojciec przymruża oczy.

– Czy w takim razie wie o twoich planach?

– Pozna je w stosownym czasie.

– A Montfort?

– Chętnie zawrze przymierze z królem. Przyłączy się do wojny, jeśli jej celem będzie przywrócenie na tron Tyberiasza Siódmego.

– Tak jak to zrobili w Piedmoncie? – Skoro nikt inny nie ma zamiaru wytknąć jej głupstwa, to ja to zrobię. – Książę -Bracken tańczy, jak mu się zagra, jest pod pełną kontrolą. Zgodnie z tym, co napisano w raportach, pojmano jego dzieci. Z równą chęcią pozwolisz, by twój syn stał się marionetką Montfortu?

Przyszłam tu, pragnąc zobaczyć, jak inni chylą przed nami czoła. Ale siedząc przed uśmiechniętą Anabel, czuję się naga.

– Tak jak bardzo elokwentnie stwierdziła twoja matka, chcąc uczynić równym to, co z gruntu równe nie jest. Ich zwycięstwo jest niemożliwe. Nie da się obalić Srebrnych.

Nawet pantera siedzi cicho, śledząc tę wymianę wzrokiem. Powoli macha ogonem. Wpatruję się w jej ciemne jak nocne niebo futro. Otchłań, dokładnie taką jak ta, na której skraju stoimy. Moje serce wybija udręczony rytm, pompując we mnie strach i adrenalinę. Nie wiem, w którą stronę skłoni się ojciec. Nie wiem, gdzie prowadzi ta droga. Na tę myśl po plecach przebiega mi dreszcz.

– Oczywiście – dodaje Anabel – królestwo Norty i królestwo Rowów połączyłoby silne przymierze. I małżeństwo.

Czuję, jak podłoga osuwa mi się spod nóg. Potrzebuję każdego grama woli i dumy, jakie w sobie mam, aby pozostać na swoim zimnym i bezwzględny tronie. „Jesteś ze stali – powtarzam sobie po cichu. – Stal się nie łamie ani nie gnije”. Ale już czuję, jak się nachylam, poddaję woli ojca. Przehandluje mnie w okamgnieniu, jeśli tylko zagwarantuje sobie w ten sposób zachowanie korony. Królestwo Rowów, królestwo Norty – Volvo Samos weźmie wszystko, co tylko zdoła wyrwać. Jeśli to drugie jest poza jego zasięgiem, zrobi co się da, aby utrzymać to pierwsze. Nawet jeśli oznacza to złamanie obietnicy. Sprzedanie mnie kolejny już raz. Czuję, jak cierpnie mi skóra. Myślałam, że mamy to już za sobą. Jestem teraz księżniczką, a mój ojciec królem. Nie muszę już za nikogo wychodzić dla korony. Koronę mam we krwi, w sobie.

„Nie, to nieprawda. Nadal potrzebujesz ojca. Potrzebujesz jego nazwiska. Nigdy nie będziesz zależeć tylko od siebie”.

Czuję w uszach pulsującą krew, ryk huraganu. Nie jestem w stanie spojrzeć Elane w oczy. Obiecałam jej. Wyszła za mojego brata po to, aby nikt nas nigdy nie rozdzielił. Wypełniła swoją obietnicę, ale teraz? Odeślą mnie do Archeonu. Ona pozostanie w Rowach z Tolim jako jego żona, a pewnego dnia jego królowa. Chce mi się krzyczeć. Chcę rozerwać na kawałki ten piekielny tron i rozszarpać wszystkich tu obecnych. Siebie też. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę tak żyć.

Nigdy nie miałam tyle wolności, co przez ostatnich kilka tygodni, i nie chcę się jej wyrzec. Nie mogę znów stać się narzędziem służącym do spełnienia cudzych ambicji.

Wciągam powietrze przez nos, starając się zapanować nad wściekłością. Nie wierzę w żadnych bogów, ale po cichu się modłę.

„Powiedz »nie«. Powiedz »nie«. Powiedz »nie«. Proszę, ojcze, powiedz »nie«”.

Na szczęście, nikt na mnie nie patrzy. Nikt nie widzi, jak powoli rozpadam się na kawałki. Patrzą tylko na mojego ojca i czekają na jego decyzje. Próbuje się zdystansować. Odepchnąć od siebie swój ból. Łatwo to zrobić podczas treningów i w walce. Ale teraz to prawie niemożliwe.

„Oczywiście – śmieje się smutny głos w mojej głowie. – Zawsze zmierzałaś do tego miejsca, nieważne, co byś zrobiła”. Jestem stworzona, by poślubić następcę tronu z rodu Calore. Stworzona fizycznie i psychicznie. Skonstruowana. Jak zamek

albo grobowiec. Moje życie nigdy do mnie nie należało i nigdy nie będzie należeć.

Słowa ojca przebijają mi serce jak gwoździe, raz za razem dźgają je krwawym smutkiem.

– Za królestwo Norty. I królestwo Rowów.

## Rozdział 24

Cameron

Morrey potrzebuje więcej czasu niż inni zakładnicy.

Niektórzy uwierzyli po kilku minutach. Inni wytrzymali całe dni, uparcie trzymając się kłamstw, którymi ich karmiono. „Szkarłatna Gwardia to terroryści, Szkarłatna Gwardia to zło. Szkarłatna Gwardia uprzykrzy ci życie. Król Maven uwolnił cię od wojny i dalej będzie cię chronił”. Propaganda utkana z półprawd i niedopowiedzeń. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego tylu ludzi dało się na nią nabrać. Maven wykorzystał głód drzemiący w Czerwonych, którzy nie wiedzieli, jak to jest, gdy ktoś tobą manipuluje. Zobaczyli, jak Srebrny obiecuje, że w przeciwieństwie do swoich przodków będzie słuchał głosu ludzi, których wcześniej ignorowano. Łatwo się wkupić w czyjeś łaski, wzbudzając takie nadzieje.

A Szkarłatna Gwardia to nie tacy znów niewinni bohaterowie. Mają swoje wady, walczą z wyzyskiem, używając przemocy. Dzieci Legionu Sztyletu pozostają ostrożne. To tylko grupa nastolatków przerzucanych z jednego okopu do następnego. Nie dziwię się, że zachowują czujność.

Morreya wciąż nie opuszczają wątpliwości. Przeze mnie. Przez to, jaka jestem. Maven oskarżył Gwardię o mordowanie ludzi takich jak ja. Bez względu na to, jak bardzo stara się mój brat, nie potrafi wymazać z pamięci tych słów.

Miski z owsianką są tak gorące, że nie da się ich dotknąć. Szykuję się na tradycyjne pytania. Lubimy jeść śniadanie na zewnątrz, siedząc na trawie, pod otwartym niebem, patrząc na rozciągające się przed nami pola do ćwiczeń. Po piętnastu latach w naszym slumsie każdy powiew świeżego powietrza jest jak cud. Siedzę po turecku ubrana w znoszony i sprany kombinezon.

– Czemu nie odejdziesz? – pyta Morrey, od razu przechodząc do sedna. Miesza owsiankę trzy razy w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. – Nie złożyłaś Gwardii przysięgi. Nie musisz tu być.

– Po co to robisz? – Uderzam swoją łyżką w jego łyżkę. Głupie pytanie, ale łatwy unik. Nigdy nie wiem, jak mu odpowiedzieć, i wkurza mnie to, że przez niego się nad tym wszystkim zastanawiam.

Morrey wzrusza wąskimi ramionami.

– Lubię rutynę – mruczy pod nosem. – W domu... sama wiesz, w domu było okropnie, ale... – Znów miesza, drapiąc metalem o metal. – Pamiętasz harmonogram i gwizdki?

– Pamiętam. – Wciąż słyszę je w snach. – Tęsknisz za tym?

Prycha.

– Jasne, że nie. Ja tylko... Nie wiem, co się wydarzy. Nie rozumiem tego. To... to straszne.

Nabieram na łyżkę trochę owsianki. Jest gęsta i smaczna. Morrey dał mi swoją rację cukru i przez chwilę skupiam się na słodkim smaku, żeby nie myśleć o niewygodnych sprawach.

– Chyba wszyscy się tak czujemy. Pewnie dlatego nigdzie nie odeszłam.

Morrey odwraca się, by na mnie spojrzeć, i przymruża oczy z powodu jasnego, przedpołudniowego słońca. Promienie oświetlają jego twarz, wyraźnie pokazując, jak się zmienił. Dzięki regularnym posiłkom trochę się zaokrąglił. Widać też, że czyste powietrze mu służy. Od jakiegoś czasu nie słyszę już szorstkiego kaszlu, którym kiedyś co rusz się zanosił.

Jedna rzecz się jednak nie zmieniła. Wciąż ma tatuaż taki sam jak mój. Czarny tusz na szyi niczym wypalone znamię. Nasze litery i cyfry są niemal identyczne.

„NM--DMNSMP--188908”, głosi napis na jego skórze. „Nowe Miasto, Dział Montażu i Napraw, Sektor Małych Przedsiębiorstw”. Ja mam numer 188907. Urodziłam się pierwsza. Swędzi mnie szyja na wspomnienie dnia, w którym wykonano nam te znaki i trwale połączono z przypisaną nam pracą.

– Nie wiem, gdzie się podziać – mówię po raz pierwszy, choć myślę o tym codziennie, odkąd uciekłam z Corros. – Nie możemy wrócić do domu.

– Raczej nie – mamrocze. – Ale co my tu zrobimy? Masz zamiar zostać i pozwolić tym ludziom...

– Już ci mówiłam. Oni wcale nie chcą zabić Nowych. To kłamstwo. Kłamstwo wymyślone przez Mavena...

– Nie o tym mówię. Dobra, Szkarłatna Gwardia cię nie zabije, ale nadal naraża cię na niebezpieczeństwo. Każdą chwilę, której nie spędzasz ze mną, przeznaczasz na przygotowania do walki, do zabijania. A w Corvium zobaczyłem... kiedy nas wyprowadzałaś...

„Nie mów, co zrobiłam”. Sama wystarczająco dobrze pamiętam, jak zabiłam dwóch Srebrnych. Szybciej niż kogokolwiek wcześniej. Z oczu i ust lała im się krew, ich organy po kolei umierały – to moja cisza zabijała w nich wszystko, co żywe. Czulałam to wtedy i dalej to czuję. Wspomnienie śmierci pulsuje po całym moim ciele.

– Wiem, że możesz pomóc. – Morrey odkłada owsiankę i bierze mnie za rękę. W fabrykach to ja zwykle tak robiłam. Teraz nasze role się odwróciły. – Nie chcę, żeby zrobili sobie z ciebie broń. Jesteś moją siostrą, Cameron. Zrobiłaś wszystko, aby mnie uratować. Pozwól mi zrobić to samo.

Prycham i kładę się na miękkiej trawie, stawiając miskę obok siebie.

Morrey daje mi czas na zastanowienie i odwraca wzrok w stronę horyzontu.

Pokazuje ciemną dłoń na pola przed nami.

– Rany, jak tu zielono. Myślisz, że reszta świata też tak wygląda?

– Nie wiem.

– Moglibyśmy się przekonać. – Jego głos jest tak cichy, że udaję, że go nie słyszę, i na chwilę zapada przyjemna cisza. Patrzę, jak wiosenny wiatr przegania chmury po niebie, a Morrey je łapczywie, nie marnując ani chwili. – Albo moglibyśmy wrócić do domu, po mamę i tatę...

– Nie ma szans. – Wpatruję się w błękit, jakiego w życiu nie widzieliśmy w tej piekielnej norze, w której się urodziliśmy.

– Mnie ocaliłaś.

– I prawie przy tym zginęliśmy. Mieliśmy większe szanse, a i tak ledwie się nam upiekło. – Powoli wypuszczam powietrze z płuc. – Teraz nic nie możemy dla nich zrobić. Myślałam, że może gdy... na razie pozostaje nam tylko mieć nadzieję.

Robi pełną żalu, kwaśną minę. Ale kiwa głową.

– I nie dać się zabić. Być sobą. Słyszysz mnie, Cam? – Bierze mnie za rękę. – Nie pozwól, żeby to cię zmieniło.

Ma rację. Mimo to, że jestem zła, mimo że czuję tyle nienawiści do wszystkiego, co zagraża mojej rodzinie... czy karmienie tej wściekłości jest warte swojej ceny?

– To co powinnam zrobić? – W końcu zbieram się na odwagę, by zapytać.

– Nie wiem, jak to jest posiadać twoją umiejętność. Masz przyjaciół, którzy wiedzą. – Jego oczy migoczą, kiedy milknie i patrzy na mnie znacząco. – Bo masz jakichś przyjaciół, co? – Uśmiecha się do mnie złośliwie znad brzegu miski. W odwecie uderzam go w ramię.

Najpierw moje myśli wędrują do Farley, ale ona nadal jest w szpitalu i przyzwyczajają się do bycia mamą, a zresztą nie ma umiejętności. Nie wie, jak to jest kontrolować taką zabójczą siłę.

– Boję się, Morrey. Kiedy się wkurzysz, to tylko krzyczysz i płaczesz. Ale ja i to, co potrafię zrobić... – Wyciągam dłoń do nieba i widzę swoje palce na tle chmur. – Boję się tego.

– Może to dobrze.

– To znaczy?

– Pamiętasz, jak w fabrykach wykorzystuje się dzieci? Żeby naprawiały wielkie koła zębate i głęboko osadzone kable? – Morrey otwiera szerzej swoje ciemne oczy, próbując pomóc mi zrozumieć.

Powracają wspomnienia. Szczęk żelaza, zgrzyt i chrzęst nieustannie pracującej maszynierii na terenie niekończących się fabryk. Prawie czuję zapach smaru, a w dłoniach ciężar klucza płaskiego. Poczulałam ogromną ulgę, kiedy Morrey i ja zrobiliśmy się za duzi, żeby pracować jako pająki – tak nadzorcy nazywali małe dzieci z naszego oddziału. Na tyle małe, by mogły się wcisnąć tam,

gdzie dorośli nie potrafili, i zbyt młode, żeby się bać, że coś je zmiażdży.

– Czasem strach może być czymś dobrym, Cam – ciągnie. – Nie pozwala ci zapomnieć. A strach, który w sobie nosisz, szacunek wobec swojej zabójczej mocy, to według mnie też umiejętność.

Moja owsianka zdążyła już wystygnąć, ale napycham nią sobie usta, żebym nie musiała mówić. Paćka klei mi się do zębów i przez chwilę nie czuję nic oprócz słodkiego smaku.

– Warkocze ci się potargały – mruczy pod nosem Morrey. Powraca do kolejnego starego i znajomego nawyku. Nasi rodzice zaczęli pracę wcześniej niż my, więc gdy wstawaliśmy o świcie, musieliśmy sobie nawzajem pomagać, by się wyszykować. Morrey od dawna wie, jak poprawić mi włosy, i potrafi je w okamgnieniu rozczesać. Dobrze jest znowu mieć go przy sobie i czuję napływ emocji, kiedy splata moje czarne loki w dwa warkocze.

Nie naciska na to, żebym podjęła decyzję, ale rozmowa wystarczy, żeby łeb wychyliły pytania, które sama sobie zadawałam: „Kim chcę być? Jakiego wyboru dokonam?”.

W oddali, na brzegu pól ćwiczebnych zauważam dwie znajome postaci. Jedna jest wysoka, druga niska i obie biegną po obrzeżach bazy. Robią tak codziennie, podobnie jak prawie wszyscy z nas. Mimo że Cal ma dużo dłuższe nogi, Mare bez problemu dotrzymuje mu kroku. Kiedy podbiegają bliżej, widzę, że się uśmiechają. Nie rozumiem wielu rzeczy w dziewczynie od błyskawic i radość podczas biegania jest jedną z nich.

– Dzięki, Morrey – mówię, wstając na nogi, kiedy kończy jeść.

Mój brat nie wstaje razem ze mną. Podąża za linią mojego wzroku i zatrzymuje się na Mare. Nie robi się spięty na jej widok, ale na widok Cala tak. Szybko zaczyna zbierać miski i pochyla głowę, aby ukryć grymas. Rodzina Cole’ów nie żywi zbyt wiele szacunku do księcia Norty.

Mare kiwa do nas głową na powitanie, kiedy podbiega bliżej.

Książę stara się ukryć irytację, gdy Mare zwalnia tempo i rusza w naszą stronę. Nie wychodzi mu to najlepiej, ale wita nas grzecznym skinieniem głowy.

– Dzień dobry – mówi Mare, przestępując z nogi na nogę i próbując złapać oddech. Jej cera się poprawiła: na brązową skórę powrócił ciepły, złoty odcień. – Cześć, Cameron, cześć, Morrey – dodaje, spoglądając na każde z nas z kocią zwinnością. W głowie zawsze ma gonitwę myśli i spodziewa się kolejnego ataku. Jednak po tym, co przeszła, to dla mnie całkiem zrozumiałe.

Musi wyczuwać moje wahanie, bo tylko stoi i czeka, aż coś powiem. Prawie tracę pewność siebie, ale Morrey trąca mnie w nogę. „Chwyć byka za rogi – mówię sobie. – Może cię nawet zrozumie”.

– Możemy się razem przejść?

Przed swoim uwięzieniem Mare pewnie by na mnie fuknęła, kazała iść

trenować i zbyła jak natrętną muchę. Ledwie mnie tolerowała. Teraz kiwa głową. Pojedynczym gestem odprawia Cala, jak nie ośmieliłby się nikt inny.

Więzienie ją zmieniło, tak jak nas wszystkich.

– Jasne – odpowiada.

\*

Mam wrażenie, że mówię całymi godzinami i wyrzucam z siebie wszystko, co do tej pory trzymałam w środku. Strach, złość, obrzydzenie, które czuję za każdym razem, kiedy myślę o tym, co potrafię zrobić i co zrobiłam. Jak kiedyś mnie to ekscytowało. Jak moja moc dawała mi poczucie, że jestem niepokonana, niezniszczalna – a teraz pozostał mi tylko wstyd. Czuję się, jakbym dźgała się nożem w brzuch, aż wypadną mi z niego wnętrzności. Opowiadając o tym wszystkim, unikam jej spojrzenia i wpatruję się w swoje stopy. Im dłużej spacerujemy, tym więcej żołnierzy zbiera się na trawniku. Nowych i Czerwonych, którzy przechodzą poranne ćwiczenia. W swoich mundurach – zielonych kombinezonach dostarczonych nam przez Montfort – trudno powiedzieć, kto jest kim. Wszyscy wyglądamy tak samo, jednolicie.

– Chcę chronić swojego brata. Przekonuje mnie, że powinniśmy stąd odejść, wyjechać... – Urywam w pół zdania.

Mare odpowiada silnym głosem:

– Moja siostra powtarza to samo. Dzień w dzień. Chce przyjąć ofertę Davidsona. Przenieść się stąd. Zostawić walkę innym. – Oczy ciemnieją jej z emocji. Rozgląda się wokoło, po polu pełnym zielonych mundurów. Nie wiem, czy jest tego świadoma czy nie, ale obserwuje żołnierzy jak maszyna, interpretując ryzyko i zagrożenia. – Powiedziała, że nasza rodzina dała już z siebie wystarczająco dużo.

– I co masz zamiar zrobić?

– Nie mogę się teraz wycofać. – Przygryza wargę. Już to przemyślała. – Jest we mnie za dużo złości. Jeśli nie znajdę sposobu na to, jak się jej pozbyć, to może mnie truć do końca życia. Ale pewnie nie to chcesz usłyszeć. – W ustach innej osoby mogłoby to brzmieć jak oskarżenie. Od Cala, od Farley. Od Mare sprzed pół roku. Ale jej słowa brzmią delikatniej.

– Duszenie tego w sobie zje mnie żywcem – przyznaję. – Podążanie tą drogą i korzystanie z mojej umiejętności, by zabijać... zrobi ze mnie potwora.

„Potwór”. Mare przeszywa dreszcz, kiedy wypowiadam to słowo, i pogrąża się w swoich myślach. Spotkała w swoim życiu niejednego potwora. Odwraca wzrok i żeby zająć ręce, bawi się swoimi włosami, które kręcą się od potu i wilgoci.

– To nie sztuka stworzyć potwora, zwłaszcza z ludzi takich jak my – mówi cicho, po czym szybko zmienia temat. – Nie walczyłaś w Archeonie. A jeśli



walczyłaś, to cię nie widziałam.

– Nie, byłam tam tylko po to, żeby... – „W razie potrzeby przyprzeć cię do muru”. Wtedy wydawało mi się, że to dobry plan. Ale teraz, kiedy wiem, co przeszła, czuję się okropnie.

Mare nie naciska.

– To pomysł Kilorna, jeszcze z Trialu – mówię. – Dobrze mu idzie integrowanie Nowych z Czerwonymi. Wiedział, że chcę się trochę wycofać. Więc pojechałam, ale nie żeby walczyć albo zabijać. No chyba że to by było absolutnie konieczne.

– I chcesz dalej tak postępować. – To nie jest pytanie.

Powoli kiwam głową. Nie powinnam się tym czuć zażenowana.

– Uważam, że tak jest lepiej. Bronić, nie niszczyć. – Czuję, jak napinają mi się palce. Nie chodzi o to, że nienawidzę mojej umiejętności. Ja po prostu nienawidzę tego, co ona potrafi.

Mare rzuca mi uśmiech.

– Nie jestem twoim dowódcą. Nie mogę ci mówić, co masz robić albo jak walczyć. Ale uważam, że to dobry pomysł. I jeśli ktokolwiek będzie ci próbował wmówić, że jest inaczej, odeślij go do mnie.

Uśmiecham się. Mam wrażenie, że pozbyłam się wielkiego ciężaru.

– Dzięki.

– I tak przy okazji, przepraszam – dodaje, podchodząc do mnie bliżej. – To przeze mnie się tu znalazłaś. Wiem, co ci zrobiłam, gdy zmusiłam cię, byś do nas dołączyła. Myliłam się i przepraszam cię za to.

– Masz absolutną rację. To był twój błąd. Ale koniec końców dostałam to, czego chciałam.

– Morreya – wzdycha. – Cieszę się, że udało ci się go odzyskać. – Jej uśmiech nie znika, ale zdecydowanie blednie na wspomnienie o braciach.

Na pagórku przed nami czeka Morrey, którego sylwetka jest teraz cieniem na tle budynków bazy. Cała nie ma. I dobrze.

Mimo że jest z nami od miesięcy, księżę nie wie, co ze sobą zrobić, kiedy nie ma jakiegoś celu, kiepsko się z nim rozmawia i zawsze jest podenerwowany, jeśli nie ma do przemyślenia planu działania. Część mnie wciąż sądzi, że jesteśmy dla niego jedynie pionkami – kartami, które można wyciągnąć z talii i rzucić na stół, jeśli tak dyktuje strategia. Przypominam sobie jednak, że on kocha Mare. „Kocha dziewczynę, w której płynie czerwona krew”.

To musi o czymś świadczyć.

Zanim wrócimy do mojego brata, czuję, jak w gardle wzbiera mi ostatni lęk.

– Czy ja was porzucam? Wszystkich Nowych?

Moją umiejętnością jest cicha śmierć. Jestem bronią, czy mi się to podoba czy nie. Można mnie wykorzystać. Mogę okazać się przydatna. Czy to, że chcę się

odsunąć, to przejaw egoizmu?

Odnoszę wrażenie, że Mare wielokrotnie zadawała sobie to pytanie. Ale jej odpowiedź odnosi się do mnie i tylko do mnie.

– Oczywiście, że nie – mówi. – Wciąż tu jesteś. Przynajmniej możemy się martwić o jednego potwora mniej. Jednego ducha mniej.

## Rozdział 25

### Mare

Mimo że na Polanie zmagalam się ze zmęczeniem i złamanym sercem, mam do tego miejsca pewien sentyment. Przynajmniej raz dużo lepiej zapamiętałam to, co dobre, od tego, co złe. Dni, kiedy wracaliśmy z żywymi Nowymi, uratowanymi od wyroku śmierci. Czuliśmy, że robimy postępy. Każda twarz była dla mnie dowodem, że nie jestem sama – i że mogę ratować ludzi równie łatwo, jak ich zabijam. Bywały takie dni, kiedy to się wydawało proste. Słuszne. Od tamtej pory cały czas próbuję na nowo odnaleźć to uczucie.

Baza w Piedmoncie ma swoje własne obiekty szkoleniowe, zarówno zamknięte, jak i na świeżym powietrzu. Niektóre wyposażono dla Srebrnych, a reszta przeznaczona jest dla Czerwonych żołnierzy, aby nauczyli się walki w polu. Pułkownik i jego ludzie, których oddziały liczą tysiące i wciąż rosną, zajmują strzelnicę. Nowi tacy jak Ada, których umiejętności są mniej niszczycielskie, trenują razem z nimi, aby doskonalić celność i umiejętności walki wręcz. Kilorn kursuje pomiędzy ich oddziałami a Nowymi trenującymi na terenie Srebrnych. Nie należy do żadnej z grup, a mimo to jego obecność na wielu działa kojąco. Pomocnik rybaka nie stanowi zagrożenia, wręcz przeciwnie – to przyjazna, znajoma twarz. I nie boi się Nowych jak wielu „prawdziwych” Czerwonych żołnierzy. Nie, Kilorn widział mnie w akcji zbyt wiele razy, aby przestraszyć się umiejętności Nowych.

Idziemy razem wokół budynku, który wielkością przypomina hangar lotniczy. Nie ma tu jednak pasa startowego.

– To sala gimnastyczna Srebrnych – mówi, pokazując na budowlę. – Są tam najróżniejsze rzeczy. Ciężary, tor przeszkód, arena...

– Rozumiem. – Nauczyłam się swoich umiejętności w podobnym miejscu, otoczona patrzącymi na mnie z ukosa Srebrnymi, którzy zabiliby mnie, gdyby zobaczyli choćby kroplę mojej krwi. Przynajmniej nie muszę się już tym przejmować. – Pewnie nie powinnam trenować w miejscach, w których są dach i żarówki.

Kilorn prycha.

– Pewnie nie.

Jedne z drzwi sali otwierają się z impetem i wychodzi z nich jakaś postać z ręcznikiem przewieszonym przez szyję. Cał ociera pot z twarzy, nadal ma srebrny rumieniec po wysiłku. Pewnie podnosił ciężary.

Przymruża oczy i w kilka kroków pokonuje dzielącą nas odległość. Wciąż

dyszając, wyciąga rękę do Kilorna, który ściska ją z uśmiechem.

– Cześć, Kilorn – mówi Cal, pochylając głowę. – Orowadzasz ją?

– Ta...

– Nie, dzisiaj zacznie ćwiczyć z innymi – Kilorn wcina mi się w słowo, a ja opieram się pokusie, żeby przyłożyć mu łokciem w brzuch.

– Co?

Cal pochmurnieje. Bierze głęboki wdech.

– Myślałem, że dasz sobie trochę więcej czasu.

Kilorn zaskoczył mnie w szpitalu, ale ma rację. Nie mogę dłużej siedzieć beczynnie. Mam wrażenie, że jestem bezużyteczna. I zaczynam się robić niespokojna, bo czuję energię, która wrze mi pod skórą. Nie jestem Cameron. Nie mam w sobie tyle siły, by się wycofać. Kiedy wchodzę teraz do jakiegoś pomieszczenia, z żarówek tryskają iskry. Potrzebuję jakiegoś ujścia.

– Minęło parę dni. Wszystko sobie przemyślałam. – Opieram dłonie na biodrach i szykuję się na jego nieunikniony sprzeciw. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, Cal przyjmuje swoją zwyczajową pozę pod tytułem „awantura z Mare”. Ręce skrzyżowane na piersi, ściągnięte brwi, mocne nogi w lekkim rozkroku. Ponieważ mam słońce za plecami, musi przymrużyć oczy, a po treningu mocno cuchnie potem.

Kilorn, ten wstrętny tchórz, cofa się o kilka kroków.

– To ja może wrócę, jak sobie pogadacie. – RzUCA nam przez ramię ten swój okropny, zadowolony z siebie uśmieszek i zostawia mnie samą na polu walki.

– Czekaj chwilę! – wołam za jego oddalającą się sylwetką. Ale on jedynie macha do mnie i znika za rogiem sali gimnastycznej. – Niezłe wsparcie. Nie, żeby mi było potrzebne – dodaję szybko – bo to moja decyzja i chodzi tylko o trening. Nic mi nie będzie.

– Po pierwsze, martwię się o ludzi, którzy znajdują się w strefie wybuchu. A po drugie... – Bierze mnie za rękę i przyciąga bliżej. Marszczę nos i zapieram się piętami. Ale to na nic. I tak sunę po chodniku.

– Jesteś cały spocony.

Uśmiecha się szeroko i obejmuje mnie w pasie.

– Wiem.

Jego zapach nie odrzuca mnie, choć powinien.

– Więc nie masz zamiaru się ze mną o to kłócić?

– Tak jak powiedziałaś. To twoja decyzja.

– I dobrze. Bo nie mam siły na dwie awantury jeszcze przed południem.

Cal lekko mnie od siebie odsuwa, żeby lepiej widzieć moją twarz. Gładzi kciukami linie mojego podbródka.

– Gisa?

– Gisa – wzdycham z irytacją, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. Odkąd

pozbyłam się Cichego Kamienia, mój stan zdrowia znacznie się poprawił, łącznie z tym, że paznokcie i włosy znów zaczęły mi rosnać w normalnym tempie. Nadal są jednak siwe na końcach. To nigdy nie zniknie. – Cały czas truje o przesiedleniu. Żebyśmy wyjechali do Montfortu i nie oglądali się za siebie.

– Niech zgadnę: powiedziałaś jej, że droga wolna, co?

Robię się cała purpurowa.

– Wymknęło mi się! Czasem... najpierw powiem, zanim pomyślę.

Cał wybuchła śmiechem.

– Naprawdę? Ty?

– A wtedy oczywiście po jej stronie stanęła mama, natomiast tata zaczął się bawić w negocjatora. Jest tak, jakby... – Oddech mi przyspiesza. – Jakby nic się nie zmieniło. Równie dobrze moglibyśmy być w kuchni w Palach. Może nie powinno mnie to tyle obchodzić. Biorąc pod uwagę wszystko, co się stało. – Mimo zażenowania podnoszę wzrok, żeby spojrzeć na Cala. Czuję się potwornie, narzekając przy nim na swoją rodzinę. Ale mnie zapytał. I wszystko jakoś się ze mnie wylało. Ale on przygląda mi się tylko, jakbym była polem bitwy. – Nie powinienesz zawracać sobie tym głowy. To nic takiego.

Mocniej ściska mnie za rękę, zanim jeszcze zdołam pomyśleć o tym, żeby się od niego odsunąć. Zna moje sposoby ucieczki.

– Właściwie to pomyślałem o żołnierzach, z którymi trenowałem. Zwłaszcza na froncie. Widziałem, jak wracają fizycznie zdrowi, ale mimo to coś im dolega. Nie mogą spać albo jeść. Czasem od razu przenoszą się w przeszłość, do wspomnień o bitwie, jeśli uruchomi je jakiś dźwięk, zapach albo inny czynnik.

Przełykam ślinę i rozedrganymi palcami masuję się po nadgarstkach. Zaciskam je, przypominając sobie kajdany. Dotyk sprawia, że robi mi się niedobrze.

– Brzmi znajomo.

– Wiesz, co na to pomaga?

Pewnie, że nie wiem, bo inaczej już bym to zrobiła. Kręcę głową.

– Normalny tryb życia. Codzienna rutyna. Rozmowy. Wiem, że nie przepadasz za tym ostatnim – dodaje z powolnym, ironicznym uśmiechem. – Ale twoja rodzina chce, żebyś była bezpieczna. Przeszli przez piekło, kiedy... kiedy cię nie było. – Nadal nie jest w stanie wymyślić odpowiedniego słowa na to, co się ze mną stało. „Pojmanie” albo „uwięzienie” nie do końca to oddają. – A teraz, skoro wróciłaś, robią, co mogą. Chronią cię. Nie dziewczynę od błyskawic, nie Marenę Tytaniusz, ale ciebie, Mare Barrow. Dziewczynę, którą znają i którą zapamiętali. To wszystko.

– Racja. – Powoli kiwam głową. – Dzięki.

– A skoro już mowa o rozmowach.

– Daj spokój. Teraz?

Otwiera rozciągnięte w uśmiechu usta i zaczyna się śmiać, a ja czuję, jak napinają mu się mięśnie brzucha.

– Niech będzie. Po treningu.

– Powinieneś iść pod prysznic.

– Żartujesz sobie? Nie odstąpię cię na krok. Chcesz trenować? To w takim razie będziesz trenować porządnie. – Lekko popycha mnie u nasady pleców, przez co potykam się do przodu. – Idziemy.

Księżę biegnie tyłem, dopóki go nie dogonię. Mijamy bieżnię, tor przeszkód, szerokie pole krótko przyciętej trawy, kilka pokrytych ziemią okrągłych pól sparringowych oraz długą na czterysta metrów strzelnicę. Po torze przeszkód i bieżni biega kilku Nowych, a kolejni trenują samotnie na porośniętym trawą polu. Nie rozpoznaję ich, ale umiejętności, które widzę, są wystarczająco znajome. Nowy przypominający Wodniaka tworzy kolumny czystej wody, które upuszcza na trawę, gdzie powstają rozprzestrzeniające się kałuże błota. Teleporterka z łatwością przemieszcza się po polu. Pojawia się i znika na różnych sprzętach do ćwiczeń na całym polu, śmiejąc się z tych, którzy mają z tym większy problem. Za każdym razem, kiedy przeskakuje, czuję ucisk w żołądku i myślę o Shadzie.

Najbardziej niepokoją mnie pola sparringowe. Nie walczyłam z nikim dla samego treningu, dla sportu, odkąd wiele miesięcy temu zmierzyłam się z Evangeline. Nie chciałabym czegoś takiego powtarzać. Ale pewnie będę musiała.

Głos Cala wytrąca mnie z zamyślenia.

– Trening siłowy zorganizuję ci od jutra, a dziś możemy się zająć celami i teorią.

„Cele” rozumiem.

– Teorią?

Przystajemy przy krawędzi długiej strzelnicy i patrzymy na zanikającą w oddali mgłę.

– Zaczęłaś szkolenia jakieś dziesięć lat za późno. Zanim nasze zdolności osiągną taką formę, żeby użyć ich w walce, spędzamy sporo czasu, ucząc się o ich mocnych stronach i ich brakach oraz o tym, jak ich używać.

– Na przykład, że Wodniacy biją Płomiennych, woda gasi ogień.

– W pewnym sensie. To akurat proste. Tylko co, jeśli należysz do Płomiennych? – Kręcę głową w odpowiedzi, na co on się uśmiecha. – Widzisz? Nie takie proste. Wiele rzeczy trzeba zapamiętać i zrozumieć. Wiele trzeba sprawdzić. Ale ty w lot się wszystkiego nauczysz.

Zapomniałam, jak świetnie Cal sprawdza się w takich zadaniach. Czuje się jak ryba w wodzie, jest rozluźniony, uśmiechnięty od ucha do ucha. W tym jest właśnie dobry, rozumie to, w tym się specjalizuje. To dla niego jedyna pewna rzecz w świecie, który wydaje się kompletnie bez sensu.

– Mogę jednak zrezygnować z tych treningów? – Cal tylko się śmieje

i odchyła głowę do tyłu. Po karku spływa mu kropelka potu.

– Jesteś na mnie skazana, Barrow. Uderz w pierwszy cel. – Pokazuje mi ręką granitową bryłę niespełna dziesięć metrów przede mną, z namalowaną na przodzie tarczą. – Jedna błyskawica. W sam środek.

Uśmiechając się ironicznie, robię to, o co poprosił. Przy takiej odległości nie mogę spudłować. Powietrze przecina pojedynczy, fioletowo--biały grom i trafia w dziesiątkę. Z niosącym się trzaskiem piorun pozostawia czarny ślad w samym środku tarczy.

Zanim zdołam poczuć się z siebie dumna, Cał całym ciałem szturcha mnie w bok. Złapana z zaskoczenia prawie padam na ziemię.

– Hej!

Ale on robi krok w bok i pokazuje na kolejną tarczę.

– Następny cel. Dwadzieścia metrów.

– W porządku – pryham i spoglądam na drugą bryłę. Podnoszę rękę, obieram cel i... Cał znów mnie szturcha. Tym razem moje stopy reagują dużo szybciej, ale niewystarczająco i błyskawica z impetem bucha w ziemię.

– To jest twój profesjonalny trening?

– Robiłem takie rzeczy, kiedy ktoś dodatkowo strzelał mi przy głowie ślepakami. Chcesz spróbować? – pyta. Szybko kręcę głową. – To traf. Do. Celu.

Zwykle coś takiego bardzo by mnie zirytowało, ale jego uśmiech się rozszerza, a ja się rumienię.

„To trening – tłumaczę sobie. – Opanuj się”.

Tym razem, kiedy próbuje mnie popchnąć, przesuwam się o krok, strzelam i trafiam w cel z granitu. Kolejny kuksaniec, kolejny strzał. Cał zmienia taktykę, celując w moje nogi, a nawet posyłając mi kulę ognia przed oczami. Za pierwszym razem, kiedy to robi, upadam z takim impetem, że na koniec spluwam ziemią.

– Traf do celu. – Te słowa stają się jego mantrą, po której zwykle wykrzykuje odległość mierzącą od dziesięciu do czterdziestu pięciu metrów. Wskazuje cele zupełnie losowo, jednocześnie zmuszając mnie, żebym ani na moment nie traciła czujności. To dużo trudniejsze niż bieganie, a z każdą godziną słońce pali coraz bardziej bezlitośnie.

– Twoim celem jest Zwinny. Co robisz? – pyta.

Zaciskam zęby i dyszę.

– Rozszczepiam piorun, żeby go trafić, gdy zrobi unik...

– Nie tłumacz, tylko rób.

Stękam, po czym poziomo zamachując ręką, posyłam strumień prądu w stronę celu. Iskry są słabsze, mniej skoncentrowane, ale wystarczyłyby, aby spowolnić Zwinnego. Cał kiwa głową – to jedyna oznaka, że dobrze się spisałam. Ale i bez tego czuję się z siebie zadowolona.

– Dwadzieścia pięć metrów. Zawodziciel.

Zasłaniałam dłońmi uszy, patrzę na cel, przymrużając oczy, i wypuszczam z siebie grom bez użycia palców. Piorun wydobywa się z mojego ciała niczym łuk tęczy. Nie trafia do celu, ale pryska energią na boki, posyłając iskry we wszystkie kierunki.

– Pięć metrów. Uciszcz.

Na samą myśl o Arvenie zalewa mnie fala paniki. Próbuję się skoncentrować. Sięgam po pistolet, którego nie mam przy sobie, i udaję, że strzelam do celu.

– Trach.

Cał cicho prycha.

– To się nie liczy, ale niech będzie. Żeleźca, pięć metrów.

Tych znam jak własną kieszeń. Z całą siłą, jaką zdołam w sobie zebrać, wystrzeliwuję błyskawicę w stronę celu. Rozłamuje się na pół i rozsuwa idealnie w środku.

– Teoria? – rozlega się za nami czyjś delikatny głos.

Byłam tak skupiona na strzelnicy, że nie zauważyłam Juliana i Kilorna, którzy zaczęli się nam przyglądać. Mój dawny nauczyciel rzuca mi nieznaczący uśmiech, jak zwykle trzymając dłonie złożone na plecach. Nigdy nie widziałam go w tak niezobowiązującym stroju – długiej, bawełnianej koszulce i szortach odsłaniających jego chude jak patyki nogi. Cał powinien mu zorganizować jakiś trening siłowy.

– Teoria – potwierdza Cał. – Ledwie, ledwie. – Przywołuje mnie skinieniem ręki, dając chwilę wytchnienia. Natychmiast siadam na ziemi i prostuję nogi. Mimo ciągłych uników, to błyskawica męczy mnie najbardziej. Bez adrenaliny podczas walki czy zagrożenia, które wisi mi nad głową, moja kondycja jest znacznie słabsza. Nie wspominając już o tym, że nie ćwiczyłam od około pół roku. Kilorn stawia przy mnie oszronioną butelkę z wodą.

– Pomyślałem, że będziesz mieć ochotę – mówi, puszczając do mnie oko.

Uśmiecham się do niego.

– Dzięki – sapię, po czym upijam kilka zimnych łyków. – Co tu robisz, Julianie?

– Idę do archiwów. Ale postanowiłem sprawdzić, o co tyle hałasu. – Pokazuje przez ramię na grupkę kilkunastu osób, które gapią się na nas z obrzeży strzelnicy. A właściwie gapią się na mnie. – Wygląda na to, że masz niezłą publiczność.

Zaciskam zęby. „Świetnie”.

Cał przesuwa się nieco, żeby mnie zasłonić.

– Przepraszam, nie chciałem cię zdekoncentrować.

– Nie szkodzi – odpowiadam, stając na nogi, które wcale nie mają na to ochoty.



– No to do zobaczenia później – mówi Julian, zerkając na mnie, a potem na Cala.

– Możemy pójść razem z tobą... – odpowiadam szybko.

Ale on wcina mi się w słowo, uśmiecha znacząco i skinieniem głowy pokazuje na tłum gapiów.

– Wydaje mi się, że musisz się poznać z kilkoma osobami. Kilornie?

– Oczywiście – odpowiada Kilorn. Mam ochotę przywalić mu na tyle mocno, żeby przestał się tak głupio uśmiechać, co on doskonale po mnie widzi. – Idź przodem, Mare.

– Niech ci będzie – wyduszam przez zaciśnięte zęby.

Walcząc ze swoim naturalnym instynktem, by unikać uwagi, robię kilka kroków w stronę Nowych. I jeszcze kilka. I jeszcze. Aż w końcu do nich docieram w obstawie Cala i Kilorna. Na Polanie nie chciałam zawierać żadnych przyjaźni. Z przyjaciółmi trudniej jest się zegnać. To się nie zmieniło, ale widzę, co Kilorn i Julian próbują osiągnąć. Nie mogę już dłużej odcinać się od innych. Próbuję uśmiechnąć się zwycięsko do otaczających mnie ludzi.

– Cześć. Jestem Mare. – Brzmi to równie głupio, jak się -czuję.

Jedna z Nowych, Teleporterka, wita mnie skinieniem głowy. Ubrana jest w montfordzki mundur w kolorze leśnej zieleni, ma długie kończyny i krótko przycięte, brązowe włosy.

– Tak, wiemy. Jestem Arezzo – mówi, wyciągając do mnie dłoń. – Teleportowałam cię i Cala z Archeonu.

Nic dziwnego, że jej nie poznałam. Czas tuż po mojej ucieczce to w mojej pamięci rozmyta plama strachu, adrenaliny i obezwładniającej ulgi.

– Tak, rzeczywiście. Bardzo ci dziękuję. – Mrugam powiekami, próbując ją dobrze zapamiętać.

Pozostali są równie przyjaźni i otwarci oraz tak samo zadowoleni jak ja, że mogą poznać kolejną Nową. Wszyscy w tej grupie urodzili się w Montforcie albo zostali tam zwerbowani i mają na sobie zielone mundury z białymi trójkątami na piersi i insygniami na rękawach. Niektóre łatwo rozszyfrować – dwie falujące linie oznaczają Wodniaków, trzy strzałki – Zwinnych. Nikt nie ma odznaczeń ani medali. Trudno powiedzieć, kto tu jest oficerem. Wszyscy jednak przeszli szkolenia wojskowe, a może nawet wychowali się w wojsku. Podają mi swoje imiona, mocno ściskają dłoń. Większość zna Cala i kłania się mu w oficjalny sposób. Z Kilornem witają się jak ze starym kumplem.

– Gdzie jest Ella? – Kilorn pyta czarnoskórego mężczyznę o elektryzująco zielonych włosach. Widać, że są farbowane. Na imię mu Rafe. – Wysłałem jej wiadomość, żeby przyszła poznać Mare. Tytonowi też.

– Ostatnio widziałem ich, jak trenowali na szczycie Burzowego Wzgórza. Gdzie, tak przy okazji – rzuca mi niemal przepaszające spojrzenie – powinni

ćwiczyć Elektrykoni.

– Elektrykoni? To znaczy kto? – pytam, natychmiast tego żałując.

– Ty.

Wzdycham z zawstyżeniem.

– No tak. Domyśliłam się, kiedy zadałam ci pytanie.

Rafe puszcza iskrę, która snuje mu się między palcami. Czuję ją, ale nie tak jak własną błyskawicę. Zielone smugi napięcia są wyłącznie na jego rozkazy.

– To dziwne słowo, ale my też jesteśmy dziwni, prawda?

Gapię się na niego i niemal zapiera mi dech z podekscytowania.

– Jesteś taki... jak ja?

Kiwa głową, wskazując na pioruny na swoim rękawie.

– Nie tylko ja.

\*

Burzowe Wzgórze jest dokładnie takie, jak można się spodziewać po nazwie. To delikatne wzniesienie znajdujące się pośrodku innego pola na samym końcu bazy, tak daleko od lądowiska, jak to tylko możliwe. Mniejsze szanse, że zbłąkany piorun trafi w któryś z odrzutowców. Odnoszę wrażenie, że ten pagórek to nowy dodatek do poligonu, sądząc po ziemi, która osuwa mi się spod stóp, kiedy docieramy na szczyt. Trawa też wydaje się nowa – to pewnie robota Strażnika Zieleni albo jego Nowego odpowiednika. Jest bujniejsza niż na polach ćwiczebnych. Za to sam szczyt wygląda jak pobojuwisko: spalona, ubita ziemia poprzecinana jest szczelinami, a w powietrzu unosi się zapach odległej burzy. Podczas gdy nad resztą bazy rozpościera się czyste, niebieskie niebo, Burzowe Wzgórze przysłania czarna chmura. Czoło burzy ciągnie się w górę na tysiąc metrów niczym kolumna czarnego dymu. Nigdy w życiu nie widziałam niczego tak kontrolowanego i opanowanego.

Pod chmurą tkwi niebieskowłosa kobieta z Archeonu. Dłonie trzyma wyciągnięte do góry, w stronę pioruna. Plecami do niej stoi wyprostowany mężczyzna o bujnych włosach, białych jak morska piana. W swoim zielonym mundurze wygląda szczupło i smukło. Oboje mają na rękawach znaki pioruna.

Nad dłońmi kobiety tańczą niebieskie błyskawice, małe niczym robaczki.

Prowadzi nas Rafe, a Cal trzyma się blisko mnie. Mimo że miał do czynienia z niejednym piorunem, ciemna chmura wzbudza u niego niepokój. Co chwilę zerka w górę, jak gdyby spodziewał się, że eksploduje. W oddali pojawia się słaby, niebieski przebłysk, który rozświetla chmurę od środka. Wraz z nim rozlega się grzmot, niski i wibrujący niczym mruczenie kota. Jego dźwięk niesie mi się po kościach.

– Ella, Tyton! – woła Cal. Macha do nich ręką.

Odwracają się na dźwięk swoich imion i błysk w chmurach gwałtownie

ustaje. Kobieta opuszcza dłonie, na co piorun rozplywa się na naszych oczach. Podbiega do nas energicznymi susami, mężczyzna natomiast podchodzi ze stoickim spokojem.

– Zastanawiałam się, kiedy w końcu się poznamy – niebieskowłosa mówi wysokim i lekko chropawym głosem, który pasuje do jej drobnej sylwetki. Nie czekając na żaden sygnał z mojej strony, ściska mi dłoń i całuje w oba policzki. Jej dotyk przeszywa mnie prądem i przeskakują na mnie jej iskry. Nie sprawia mi to bólu, tylko raczej oprzytomnia. – Jestem Ella, a ty oczywiście jesteś Mare. A ten wysoki przystojniak to Tyton.

Mężczyzna, o którym mowa, jest wysoki, ma śniadą cerę obsypaną piegami i kości szczęki ostrzejsze niż krawędzie klifu. Ruchem głowy odrzuca na bok swoje białe włosy, pozwalając, aby opadły mu na lewe oko. Mruga do mnie prawym. Po kolorze włosów spodziewam się kogoś starego, ale ten chłopak nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Cześć. – To jedyne, co mówi. Jego głos jest głęboki i wyraża pewność siebie.

– Cześć. – Kiwam do niego głową, czując się przytłoczona zarówno ich obecnością, jak i moim własnym skrępowaniem. – Przepraszam, jestem jak porażona.

Tyton przewraca oczami, ale Ella wybuchła śmiechem. Pół sekundy później rozumiem, o co chodzi, i kulę się z zażenowania.

Stojący przy mnie Cal zaczyna rechotać.

– Kiepski dowcip, Mare. – Szturcha mnie w ramię tak dyskretnie, jak może, i czuję emanujące od niego ciepło. Niewielkie pocieszenie w piedmonckim upale.

– Nie przejmuj się – szybko mówi Ella, przejmując pałeczkę. – Spotkanie z nowym Ardentem jest zawsze oszałamiające, nie wspominając już o takim, który ma tę samą umiejętność co ty. Prawda, chłopaki? – Szturcha Tytona w pierś, ale on, choć poirytowany, ledwie reaguje. Rafe jedynie kiwa głową. Mam wrażenie, że to Ella jest tu od gadania, a biorąc pod uwagę niebieską burzę, jaką wywołała w Archeonie, również od walczenia. – Obaj jesteście utrapieniem – mamrocze Ella, kręcąc głową. – Ale teraz mam ciebie, prawda Mare?

Jej entuzjazm i szczery uśmiech trochę mnie niepokoją. Jeśli ktoś jest aż tak miły, zwykle ma coś do ukrycia. Przełykam swoje podejrzenia i uśmiecham się do niej, licząc, że nie zauważy moich obaw.

– Dzięki, że ją do nas przyprowadziłeś – mówi do Cala nieco innym tonem. Radosny, niebieskowłosy dobry duszek prostuje się i odzywa poważniejszym głosem, na moich oczach przeistaczając się w żołnierza. – Możemy dalej sami poprowadzić jej szkolenie.

Cal prychnął śmiechem w odpowiedzi.

– Sami? Wy tak na poważnie?

– A ty? – odpala, przymrużając wzrok. – Widziałam ten twój „trening”. Małe wybuchy na poligonie nie wystarczą, żeby zwiększyć jej umiejętności do maksimum. No chyba że jednak wiesz, jak wywabić z niej burzę.

Po tym, jak Cal wykrzywia usta, wnioskuje, że ma ochotę powiedzieć coś bardzo niestosownego. Łapię go za nadgarstek, by go powstrzymać.

– Wojskowe wykształcenie Cala...

– Nada się do szkoleń kondycyjnych – wcina się Ella. – I jest doskonale przy przygotowaniu do walki ze Srebrnymi w tradycyjny sposób. Ale twoje umiejętności wykraczają poza jego rozumienie. Są rzeczy, których cię nie nauczy, rzeczy, które albo poznasz sama, co nie będzie takie proste, albo dużo łatwiej... z nami.

Jej tok myślenia jest przekonujący, choć wzbudza mój niepokój. „Są rzeczy, których Cal mnie nie nauczy, których nie rozumie”. Pamiętam, jak próbowałam szkolić Cameron – nie znałam jej zdolności w taki sposób, jak znałam swoją. Czułam się, jakbym mówiła do niej w innym języku. Mogłyśmy się porozumieć, choć nie do końca.

– To się poprzyglądam – mówi Cal zdecydowanym tonem. – Można?

Ella uśmiecha się szeroko, jej pogodny nastrój powraca.

– Jasne, ale radziłabym stanąć z boku i mieć oczy szeroko otwarte. Piorun to narwana żrebica. Nieważne, jak mocno ściągasz lejce, zawsze spróbuje wierzgać.

Cal spogląda na mnie po raz ostatni z ledwie zauważalnym uśmiechem wsparcia, zanim oddali się na skraj wzgórza, daleko za pierścień wyznaczający strefę uderzeń błyskawic. W końcu siada na trawie, opiera się na rękach i wlepia we mnie wzrok.

– Miły jest. Jak na księcia – mówi Ella.

– I na Srebrnego – dołącza się Rafe.

Patrzę na niego, nie do końca rozumiejąc.

– W Montforcie nie ma miłych Srebrnych?

– Nie wiem. Nigdy tam nie byłem – odpowiada. – Urodziłem się w Piedmoncie, na Florydianach. – Kreśli palcami archipelag bagnistych wysepek. – Montfort zrekrutował mnie kilka miesięcy temu i oto jestem.

– A wy? – spoglądam na Ellę i Tytona.

Dziewczyna odpowiada pierwsza:

– Z Prerii. Z Pustynnych Wzgórz. To kraj rzezimieszków, więc moja rodzina ciągle przenosiła się z miejsca na miejsce. W końcu zawędrowaliśmy na północ, w góry. Montfort przyjął nas do siebie około dziesięciu lat temu. Tam spotkałam Tytona.

– Ja urodziłem się w Montforcie – mówi, jakby to cokolwiek tłumaczyło. Nie jest szczególnie rozmowny, pewnie dlatego że Ella mówi za nich wszystkich. Prowadzi mnie na środek miejsca, które można nazwać jedynie strefą wybuchu, aż

znajduję się dokładnie pod rozplywającą się burzową chmurą.

– Zobaczmy, z czym mamy do czynienia – rzuca Ella, ustawiając mnie w odpowiednim miejscu. Wiatr porusza jej włosami, zawiewając jaskrawoniebieskie pasma na jedno ramię. Pozostali dwaj zajmują miejsca przy mnie, aż wspólnie tworzymy kwadrat.

– Zaczynij od małej mocy...

– Dlaczego? Mogę...

Tyton podnosi wzrok.

– Ella chce sprawdzić, jaką masz kontrolę.

Dziewczyna kiwa głową.

Biorę głęboki wdech. Choć jestem bardzo podekscytowana tym, że mam przy sobie innych Elektrykonów, czuję się też trochę jak dziecko trzymane pod kloszem. Składając dłonie, przywołuję piorun i pozwalam fioletowym i białym iskrom przeskakiwać po moich dłoniach.

– Fioletowe iskry? – mówi Rafe z uśmiechem. – Nieźle.

Z ironicznym uśmieszkiem spoglądam po kolei na ich głowy w nienaturalnych kolorach. Zielone, niebieskie, białe.

– Musicie wiedzieć, że nie mam zamiaru farbować włosów.

\*

Lato uderza w Piedmont morderczym skwarem i Cal jest jedyną osobą, która daje radę to znieść. Dysząc z wysiłku i gorąca, walę go w żebra, aż się odsunie. Robi to powoli, leniwie, niemal odpływając w sen. Ale odsuwa się za daleko i spada z wąskiej pryczy na twardą podłogę. Natychmiast się budzi. Podrywa się do przodu, zupełnie goły, a jego czarne włosy sterczą mu na głowie we wszystkie strony.

– Aua – mówi, masując się po czaszce.

Niezbyt mi go szkoda.

– Gdybyś się nie upierał, żeby spać w szafie na szczotki, która udaje pokój, nie miałbyś takiego problemu. – Nawet sufit pochlapany gipsem wygląda przygnębiająco. A jedno otwarte okno nie daje żadnej ulgi od upału, zwłaszcza w środku dnia. Nie chcę nawet myśleć o tym, jakie cienkie są tutejsze ściany. Tyle dobrze, że nie śpi na piętrowych łóżkach z innymi żołnierzami.

– Lubię koszary – burkliwie odpowiada Cal, wciąż siedząc na podłodze. Szuka dłońią szortów. Następnie zapina bransolety na nadgarstkach. Zatrzaski wyglądają na skomplikowane, ale nie sprawiają mu problemu. – I nie dzielę pokoju z siostrą.

Wciągam koszulkę przez głowę. Nasza przerwa w ciągu dnia skończy się za kilka minut i niedługo muszę się pojawić na Burzowym Wzgórzu.

– Masz rację. Mój mały problem ze spaniem samej nie ma tu znaczenia. –

Oczywiście mówiąc „mały problem”, mam na myśli prześladowającą mnie traumę, z której nie mogę się wyzwolić. Śnią mi się potworne koszmary, jeśli jestem sama w pokoju.

Cal zamiera w połowie wkładania koszulki. Bierze wdech i krzywi się.

– Nie to miałem na myśli.

Teraz to ja zaczynam burczeć. Zajmuję się pościelą Cala. Wojskowa tkanina wyprana zbyt wiele razy powoli się przeciera.

– Wiem.

Materac się przegina, a sprężyny skrzypią, kiedy Cal nachyla się w moją stronę. Muska wargami czubek mojej głowy.

– Śniło ci się ostatnio coś strasznego?

– Nie – odpowiadam tak szybko, że podejrzliwie podnosi brew. Ale taka jest prawda. – Pod warunkiem, że jest ze mną Gisa. Twierdzi, że w nocy ani pisnę. Za to ona... zapomniałam, ile hałasu może zrobić taka mała osóbką. – Śmieję się pod nosem i zbieram na odwagę, żeby spojrzeć Calowi w oczy. – A tobie?

Na Polanie spaliśmy obok siebie. Przez większość nocy wiercił się i mamrotał coś przez sen. Czasem płakał.

Widzę, jak napina mięśnie twarzy.

– Tylko parę razy. Może dwa na tydzień, które potem pamiętam.

– A co ci się śni?

– Głównie ojciec. I ty. Jakie to było uczucie z tobą walczyć, jak patrzę na siebie, kiedy próbuję cię zabić i nie jestem w stanie zrobić niczego, aby to powstrzymać. – Napina dłonie na to wspomnienie. – I Maven. Kiedy był mały i miał sześć czy siedem lat.

Dźwięk tego imienia nadal działa na mnie jak kwas, mimo że minęło tyle czasu, odkąd go ostatnio widziałam. Od tamtej pory nadał kilka transmisji i wygłosił parę orędzi, ale nie chcę ich oglądać. Moje wspomnienia z nim związane wystarczająco mnie terroryzują. Cal jest tego świadomy i z szacunku wobec mnie w ogóle nie wspomina o swoim bracie. Aż do tej pory. „Sama zapytałaś”, ganię siebie w myślach. Zaciskam zęby, głównie po to, żeby nie zaczęły się ze mnie wylewać wszystkie te słowa, których dotąd mu nie powiedziałam. To byłoby dla niego zbyt bolesne. Świadomość tego, jakim potworem stał się jego brat, w niczym Calowi nie pomoże.

Mówi dalej, ze wzrokiem pogrążonym we wspomnieniach.

– Kiedyś bał się ciemności, aż pewnego dnia po prostu mu przeszło. W moich snach bawi się w moim pokoju, jakby się po nim przechadzał. Rozgląda się po moich książkach. A w krok za nim chodzi ciemność. Próbuję mu o tym powiedzieć. Próbuję go ostrzec. Nie obchodzi go to. Nie przeszkadza mu. A ja nie mogę tego powstrzymać. Aż mrok połyka go w całości. – Cal powoli przejeżdża dłonią po twarzy. – Nie muszę być Szeptaczem, żeby wiedzieć, co to oznacza.

– Elara nie żyje – mamroczę i przysuwam się do niego. Jakby to było jakiegokolwiek pocieszenie.

– Ale on mimo to cię pojmał. Mimo to dopuścił się strasznych rzeczy. – Cal wpatruje się w podłogę, nie potrafiąc zmusić się do tego, by na mnie spojrzeć. – Nie mogę zrozumieć dlaczego.

Mogłabym siedzieć cicho. Albo odwrócić czymś jego uwagę. Ale słowa wzbierają mi w gardle. On zasługuje na to, żeby znać prawdę. Niechętnie biorę go za rękę.

– On pamięta, że kochał ciebie i ojca. Ale powiedział mi, że matka odebrała mu tę miłość. Wycięła ją jak złośliwego guza. Próbowwała to samo zrobić z uczuciami do mnie, a wcześniej Thomasa, ale się jej nie udało. Niektórych rodzajów miłości... – Wzdycham. – Powiedział, że trudniej się ich pozbyć. Myślę, że próba, by tego dokonać, jeszcze bardziej go skrzywiła. Sprawiała, że Maven nie był w stanie pozwolić mi odejść. To, co czuł do nas obojga, toczyło go jak choroba, przez którą zrodziło się coś jeszcze gorszego. W twoim przypadku nienawiść. W moim obsesja. I żadne z nas nie mogło nic zrobić, żeby to zmienić. Nie sądzę, by nawet Elara była w stanie odkręcić to, co -uczyniła.

Jego jedyną odpowiedzią jest milczenie. Cal pozwala mojemu wyznaniu zawisnąć w powietrzu. Serce pęka mi ze współczucia dla wygnanego księcia. Daję mu to, czego moim zdaniem potrzebuje. Swoją dłoń, obecność i cierpliwość. Po bardzo długim milczeniu w końcu otwiera oczy.

– Z tego, co wiem, wśród Nowych nie ma Szeptaczy – mówi. – A przynajmniej nie wśród tych, których znalazłem albo o których mi mówiono, a naprawdę dużo się naszukałem.

Tego się nie spodziewałam. Mrugam powiekami zdezorientowana.

– Nowi są silniejsi od Srebrnych. A Elara była tylko Srebrna. Jeśli ktoś może... może go naprawić, to czy nie warto spróbować?

– Nie wiem – tylko tyle potrafię z siebie wydusić. Już na sam ten pomysł robi mi się słabo i mam mieszane uczucia. Jeśli Mavena można w jakiś sposób uzdrowić, to czy to wystarczy, by oczyścić jego imię? Z pewnością nie zmieni to tego, co zrobił. Nie tylko mnie, ale też Calowi, jego ojcu i setkom innych osób. – Naprawdę nie wiem.

Ale to daje Calowi nadzieję. Widzę małe światełko w głębi jego oczu. Wzdycham i gładzę go po włosach. Ktoś musi zająć się jego fryzurą – ktoś z pewnością ręką niż jego własna.

– Skoro Evangeline potrafiła się zmienić, to może każdy potrafi.

W jego piersi pobrzmiwa niski rechot.

– Evangeline jest akurat taka sama jak zawsze. Wypuszczenie cię było dla niej zwyczajnie korzystniejsze niż pozostawienie cię mojemu bratu.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem, kto kazał jej to zrobić.

– Co? – pytam ostro.

Cal z westchnieniem wstaje i przechodzi przez pokój. Na przeciwległej ścianie znajdują się tylko szafki, w większości puste. Nie ma zbyt wielu rzeczy, pomijając ubrania i kilka elementów taktycznego umundurowania. Ku mojemu zaskoczeniu Cal zaczyna chodzić tam i z powrotem. Zaciskam zęby ze złości.

– Gwardia zablokowała każdą moją próbę, żeby cię odzyskać – mówi, gwałtownie przy tym gestykułując. – Żadnych wiadomości, żadnego wsparcia przy infiltracji. Żadnych szpiegów. Nie miałem zamiaru marznąć na kość w bazie i czekać, aż ktoś mi powie, co mam robić. Więc skontaktowałem się z kimś, komu ufam.

To wyznanie jest dla mnie jak cios w brzuch.

– Z Evangeline?

– Nie – odpowiada z jękiem zaskoczenia. – Z Bababel, moją babcią, matką ojca...

„Anabel Lerolan. Królowa matka”.

– Mówisz na nią... Bababel?

Rumieni się na srebrno, a ja czuję motyle w brzuchu.

– Siła nawyku – mruczy. – Tak czy inaczej, babcia nie przyjeżdżała na dwór, dopóki panowała na nim Elara, ale pomyślałem, że teraz może się tam wybierać. Wiedziała, jaka była Elara, i dobrze mnie zna. Poznałaby się na jej kłamstwie. Zrozumiałaby rolę Mavena w śmierci mojego ojca.

Porozumiewanie się z wrogiem. Nie ma szans, żeby wiedziała o tym Farley albo pułkownik. Czy Cal jest księciem Norty czy nie, oboje by go zastrzelili, gdyby o tym usłyszeli.

– Byłem zdesperowany. I patrząc z perspektywy czasu, bardzo, bardzo głupi – dodaje. – Ale się udało. Obiecała cię uwolnić, kiedy nadarzy się okazja. I tą okazją okazał się ślub. Pewnie udzieliła wsparcia Volvo Samosowi, aby upewnić się, że zdołasz zbiec, i było warto. Jesteś tu teraz dzięki niej.

Powoli wypowiadam słowa. Muszę to wszystko ogarnąć.

– Więc dałeś jej znać, że szykuje się napaść na Archeon?

Cal w ułamku sekundy pokonuje dzielącą nas odległość i klęka, aby wziąć mnie za obie ręce. Jego palce są gorące jak ogień, ale powstrzymuję się od cofnięcia dłoni.

– Tak. Jest bardziej skłonna porozumiewać się z Montfortem, niż przypuszczałem.

– Ona się z nim i porozumiała?

Cal mruga powiekami.

– Nadal to robi.

Przez moment mam ochotę przeklinać kolory wszystkich domów.



– Ale jak? Jak to możliwe?

– Zakładam, że nie chodzi ci o to, jak działają radia i nadajniki. – Uśmiecha się. Nie bawi mnie ten żart. – Montfort jest najwyraźniej otwarty na nawiązanie współpracy ze Srebrnymi, byleby tylko osiągnąć swoje cele. To... – szuka odpowiedniego słowa – partnerstwo o wspólnych korzyściach. Chcą tego samego.

Niemal prychem z niedowierzaniem. Rodzina królewska Srebrnych współpracuje z Montfortem... i Gwardią? To brzmi absurdalnie.

– A czego takiego chcą?

– Pozbawić Mavena tronu.

Mimo letniego upału i bliskości ciała Cala po plecach przechodzi mi chłodny dreszcz. Nie panuję nad łzami, które napływają mi do oczu.

– Ale nadal pragną tronu.

– Nie...

– Srebrnego króla z Montfortu, który będzie nas kontrolował. A to nadal Srebrny król. Czerwoni znów skończą w błocie.

– Obiecuję ci, że to nie tak.

– Niech żyje król Tyberiasz Siódmy – szepczę. Cal się wzdryga. – Kiedy domy się zbuntowały, Maven wszystkich przesłuchał. I wszyscy umarli, wypowiadając te słowa.

Jego twarz zasnuwa smutek.

– Nigdy o to nie prosiłem – mówi cicho. – Nigdy tego nie chciałem.

Młody człowiek, który przede mną klęczy, urodził się, by przyjąć koronę. Chęci nie mają nic wspólnego z jego wychowaniem. Zmiażdżono w nim brutalnie wszelkie chęci, gdy był jeszcze w młodym wieku, i zastąpiono je obowiązkami, tym, co jego przekłety ojciec wpoił mu jako powinności króla.

– To czego chcesz? – Kiedy Kilorn zadał mi to samo pytanie, pomogło mi się ono skoncentrować, odnaleźć cel, jasną ścieżkę w ciemności. – Czego chcesz, Cal?

Odpowiada szybko, z rozpalonym spojrzeniem.

– Ciebie. – Jego palce zaciskają się na moich, są gorące, ale ich temperatura się nie zmienia. Powstrzymuje się, ile tylko może. – Kocham cię i pragnę bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Nie mamy w zwyczaju rozmawiać o miłości. Mamy ją w sercach, w głowach, ale o niej nie mówimy. To się wydaje takie ostateczne – to deklaracja, od której nie ma prostego odwrotu. Jestem złodziejką. Zawsze szukam wyjścia. I byłam czyimś więźniem. Nienawidzę zamkniętych drzwi. Ale jego oczy są tak blisko i jest w nich tyle żarliwości. I to właśnie czuję. Mimo że te słowa mnie przerażają, taka jest prawda. Zresztą obiecałam, że zacznę mówić prawdę.

– Też cię kocham – szepczę i nachylam się, aby nasze czoła się zetknęły. Czuję, jak jego rzęsy trzepoczą tuż przy mojej skórze. – Obiecay mi. Obiecay mi, że

nie odejdiesz. Obiecaj mi, że tam nie wrócisz. Obiecaj, że nie zniweczysz wszystkiego, za co umarł mój brat.

Moją twarz muska jego niskie westchnienie.

– Obiecuję.

– Pamiętasz, jak sobie powiedzieliśmy, że nie możemy się wzajemnie dekoncentrować?

– Tak. – Rozpalonym palcem przejeżdża po moich kolczykach i dotyka każdego po kolei.

– Zrób wyjątek.

## Rozdział 26

### Mare

Kontynuuję szkolenia dwutorowo, przez co jestem skrajnie wyczerpana. Tak jest najlepiej. W ten sposób łatwo zasypiam i nie mam czasu na zmartwienia. Za każdym razem, kiedy dopada mnie powątpiewanie – z powodu Cala, Piedmontu albo tego, co będzie dalej – czuję zbyt wielkie zmęczenie, by nad tym wszystkim rozmyślać. Rano biegam i odbywam trening siłowy z Calem, podczas którego wykorzystuję efekty dźwignia Cichego Kamienia. W porównaniu z jego ciężarem nic nie sprawia mi już fizycznej trudności. Między kolejnymi okrążeniami Cal przemyca mi też nieco teorii, choć zapewniam go, że Ella jej nie zaniedbuje. Ale on jedynie wzrusza ramionami i mówi dalej. Nie wspominam o tym, że jej treningi są bardziej brutalne, przygotowują do zabijania. Cala wychowywano do walki, ale zawsze z Uzdrowicielem Ciała przy boku. Ich wersje sparringu bardzo się różnią: Ella skupia się na całkowitym unicestwieniu. Cal koncentruje się na obronie. Jego niechęć do zabijania Srebrnych, jeśli nie jest to absolutnie konieczne, staje się szczególnie widoczna w trakcie godzin, które spędzam z Elektrykonami.

Ella to rozrabiaka. Jej burze zbierają się z oszałamiającą prędkością, potrafi znikąd ściągnąć czarne chmury na bezchmurne niebo i nasycić ich energią bezlitosną kanonadę gromów. Pamiętam, jak w Archeonie w jednej dłoni trzymała pistolet, a drugą władała błyskawicą. Tylko dzięki szybkiej reakcji Iris Cygnet nie zamieniła Mavena w kupkę dymiącego popiołu. Nie wydaje mi się, by mój piorun mógł być kiedyś równie niszczycielski jak jej – nie bez lat szkoleń – ale lekcje Elli mają dla mnie nieocenioną wartość. Uczę się, że burzowy piorun ma większą siłę niż inne, że jest gorętszy niż powierzchnia słońca, a jego siła potrafi rozsadzić nawet diamentowe szkło. Jeśli zdobędę się na błyskawicę silną jak u Elli, wysysa ze mnie tyle energii, że ledwie trzymam się na nogach, ale dla niej to zwykła zabawa i trening strzelania do celu. Pewnego razu zmusiła mnie do przebiegnięcia przez istne pole minowe tylko po to, żeby sprawdzić moją pracę stóp.

Sieć błyskawic jest mi bardziej znajoma. Rafe używa wyładowań energii i iskier, które tryskają mu z rąk i nóg w formie zielonej siatki, by chronić swoje ciało. Potrafi przywoływać pioruny, ale woli bardziej dokładne metody i walczy ze sporą precyzją. Jego błyskawica przybiera różne kształty. Najlepiej wychodzi mu tarcza, osłona z energii elektrycznej, którą potrafi zatrzymać kulę, oraz bat, którym jest w stanie przeciąć kamień i kość. To drugie stanowi zjawiskowy widok: strumień elektryczności o poszarpanych krawędziach poruszający się jak śmiercionośna lina, która przepala wszystko, co stanie jej na drodze. Czuję jej moc

za każdym razem, gdy ćwiczę z Rafe'em. Nie rani mnie tak mocno, jakby mógł, ale każdy piorun, nad którym nie potrafię zapanować, ma na mnie głęboki wpływ. Zwykle na koniec dnia włosy stoją mi dęba, a kiedy później Cal mnie całuje, prąd razi go przynajmniej raz.

Cichy Tyton z nikim nie trenuje w parze. Nie powiedział, jaka jest jego specjalność, ale Ella nazywa to błyskawicą pulsacyjną. Jego kontrola nad elektrycznością jest zadziwiająca. Jego czyste, białe iskry są małe, ale skumulowane i drzemie w nich siła pioruna. Są jak pocisk przewodzący prąd.

– Pokazałbym ci piorun mózgowy – mówi do mnie pewnego dnia – ale wątpię, żeby ktoś zgłosił się na ochotnika do demonstracji.

Mijamy pola sparringowe i zaczynamy długą drogę z bazy na Burzowe Wzgórze. Jestem z nimi już od jakiegoś czasu, więc Tyton wypowiada do mnie więcej niż kilka słów. Ale mimo to nadal zaskakuje mnie jego powolny, rozważny głos.

– Co to jest piorun mózgowy? – pytam z zaciekawieniem.

– To, co słyszysz.

– Bardzo pomocne – parska Ella, idąc obok. Zaplata w warkocze swoje jaskrawe włosy, by nie opadały jej na twarz. Nie farbowała ich od kilku tygodni, czego dowodem są ciemne blond odrosty. – Chodzi mu o to, że ludzkie ciało działa dzięki impulsom elektrycznym. Bardzo drobnym i niesamowicie szybkim. Trudnym do wykrycia i niemal niemożliwym do opanowania. Przeważnie koncentrują się w mózgu i najłatwiej je tam przyłapać.

Robię wielkie oczy, kiedy patrzę na Tytona. Ale on idzie dalej, białe włosy przysłaniają mu jedno oko, dłonie ma wciśnięte w kieszenie. Jak gdyby nigdy nic. Jakby to, co powiedziała Ella, wcale nie było przerażające.

– Potrafisz kontrolować czyjś mózg? – Zimny strach przeszywa mnie jak ostrze noża.

– Nie tak, jak myślisz.

– A skąd wiesz...

– Bo jesteś bardzo przewidywalna, Mare. Nie czytam w myślach, ale wiem, że sześć miesięcy spędzonych na łasce Szeptacza w każdym zaszczepiłoby chorobliwą podejrzliwość. – Unosi dłoń z pełnym irytacji westchnieniem. Po palcach zaczyna przebiegać mu iskra jaśniejsza i bardziej oślepiająca niż słońce. Jego jeden dotyk mógłby zabić kogoś na miejscu. – Ella próbuje powiedzieć, że jednym spojrzeniem potrafię zrobić z kogoś warzywo. Wpłynąć na przepływ elektryczności w jego ciele. Wywołać u niego atak drgawkowy, jeśli okażę miłosierdzie. -Zabić go na miejscu, jeśli nie.

Spoglądam z powrotem na Ellę i Rafe'a, mrugając powiekami z niedowierzaniem.

– Wy też tak umiecie?

Oboje prychnają.

– Żadne z nas nie posiada wystarczającej kontroli – wyjaśnia Ella.

– Tyton potrafi zabić kogoś tak dyskretnie, że nikt wokoło się nie zorientuje – tłumaczy Rafe. – Moglibyśmy na przykład jeść obiad w kantynie i premier na drugim końcu sali nagle dostaje ataku. Umiera. Tyton nawet nie mrugnie okiem i dalej je. Oczywiście – dodaje, klepiąc Tytona po plecach – nie żebyśmy spodziewali się po tobie takich numerów.

Tyton ledwie na to reaguje.

– Pocieszające.

Co za potworny – i przydatny – sposób wykorzystania swojej umiejętności.

Słyszymy okrzyki frustracji dobiegające z okrągłych pól sparringowych. Kiedy się odwracam, widzę parę zmagających się ze sobą Nowych. Starcie nadzoruje Kilorn, który macha do nas ręką.

– Przyłączysz się dzisiaj? – pyta, pokazując na koła gołej ziemi, wyznaczające obszar do walki. – Trochę minęło, odkąd widziałem dziewczynę od błyskawic w akcji.

O dziwo mam na to ochotę. Sparringi z Ellą czy Rafe'em są ekscytujące, ale w zwalczaniu błyskawicy błyskawicą nie ma nic ekscytującego. Po co ćwiczyć coś, czego jeszcze długo nie napotkamy w prawdziwej walce?

Ella odpowiada za mnie.

– Trenujemy na Burzowym Wzgórzu i już jesteśmy spóźnieni.

Kilorn unosi brew. Chce usłyszeć odpowiedź ode mnie, nie od niej.

– W sumie nie miałabym nic przeciwko. Powinniśmy mierzyć się z tym, co Maven ma w swoim arsenale. – Staram się, żeby ton mojego głosu brzmiał dyplomatycznie. Lubię Ellę, lubię Rafe'a. Lubię nawet Tytona, choć niewiele o nim wiem. Ale też mam swój głos. I myślę, że walcząc jedynie ze sobą, nie zrobimy wielkich postępów. – Chętnie się dzisiaj z kimś zmierzę.

Ella otwiera usta, żeby wszcząć dyskusję, ale to Tyton odzywa się pierwszy.

– Dobra – mówi. – Z kim?

Z tym, który najbardziej przypomina Mavena.

\*

– Jestem w tym dużo lepszy niż on.

Cał rozciąga rękę nad głową, jego biceps napina cienką bawełnę koszulki. Uśmiecha się, zauważając, że go obserwuję. Spoglądam na niego spode łba i krzyżuję ręce na piersi. Jeszcze się nie zgodził na moją prośbę, ale nie powiedział też nie. A fakt, że skrócił swój własny trening, żeby przyjść na obszar sparringowy, jest wystarczająco wymowny.

– To świetnie. Będzie mi z nim łatwiej walczyć. – Uważam na to, co mówię. „Walczyć”, nie „zabić”. Od kiedy Cał wspomniał, że szuka kogoś, kto byłby

w stanie „naprawić” jego brata, muszę zachowywać ostrożność. Choć bardzo chcę zabić Mavena za to, co mi zrobił, nie mogę mówić o tym głośno. – Po treningu z tobą, walka z nim to będzie łatwizna.

Cal szura stopami po ziemi. Sprawdza teren.

– Już ze sobą walczyliśmy.

– Pod wpływem Szeptacza. Ktoś inny pociągał za sznurki. To nie to samo.

Na skraju pola zbiera się tłumek obserwujących. Kiedy Cal i ja stajemy naprzeciw siebie, wieść szybko się roznosi. Wydaje mi się, że Kilorn zaczął przyjmować zakłady, bo chodzi pomiędzy kilkunastoma zebranymi Nowymi z szemranym uśmiechem na ustach. Jednym z gapiów jest Reese, Uzdrowiciel, którego zaatakowałam w odrzutowcu, po tym jak mnie uratowano. Czeką na uboczu, jak mieli w zwyczaju Uzdrowiciele Ciała, kiedy trenowałam ze Srebrnymi. Gotowy naprawić wszystko, co sobie połamiemy.

Stukam palcami o ramiona. Po cichu wzywam błyskawicę, która wzrasta na moje polecenie, i czuję, jak nad nami zbierają się chmury.

– Będiesz marnować mój czas, próbując sobie wymyślić jakąś strategię, czy możemy zacząć?

Puszcza do mnie oko i nie przerywa rozciągania.

– Prawie skończyłem.

– Niech ci będzie. – Nachylam się i oprószam dłonie ziemią, aby pozbyć się potu. Cal mnie tego nauczył. Uśmiecha się szeroko i robi to samo. Następnie, ku zaskoczeniu i uciesze przynajmniej kilku osób, ściąga swoją czystą koszulkę i odrzuca ją na bok.

Dzięki lepszemu jedzeniu i ciężkim treningom oboje zrobiliśmy się bardziej umięśnieni, ale tam, gdzie ja mam smukłe, miękkie kształty, u niego są same ostre krawędzie i mocno zarysowane linie. Wiele razy widziałam go nago, ale i tak stoję w miejscu, czując, jak czerwienię się od policzków aż po koniuszki palców u stóp. Z trudem przełykam ślinę. Kątem oka widzę, jak Ella i Rafe z zainteresowaniem mierzą Cala wzrokiem.

– Próbujesz mnie zdekoncentrować? – mówię z udawanym lekceważeniem, ignorując żar, który czuję na twarzy.

Cal przechyla głowę na bok, udając niewiniątko. Przykłada nawet dłonie do piersi i wydusza z siebie teatralne westchnienie, jakby mówił: „Kto, ja?”.

– Spaliłabyś mi koszulkę. To zwykła przezorność. Ale – dodaje, zaczynając obchodzić okrągłe pole – dobry żołnierz wykorzysta każdą szansę, by zyskać przewagę.

Niebo nade mną dalej ciemnieje. Teraz wyraźnie słyszę, jak Kilorn przyjmuje zakłady.

– Wydaje ci się, że masz przewagę? Niezły z ciebie cwaniak. – Poruszam się tak samo jak on, ale w przeciwną stronę. Moje stopy poruszają się instynktownie.

Ufam im. Czuję znajome uderzenie adrenaliny, które pamiętam z Palów, areny, każdej bitwy, w jakiej brałam udział. Pomaga mi zapanować nad nerwami.

Słyszę w głowie głos Cala, nawet kiedy przyjmuje aż nazbyt dobrze znaną mi pozę. „Płomienny. Dziesięć metrów”. Opuszczam dłonie do boków i ruszam palcami, a po skórze przeskakują mi fioletowo--białe iskry. Po przeciwnej stronie koła Cal ruchem nadgarstków sprawia, że z moich dłoni bucha palący żar.

Z piskiem odskakuję do tyłu i widzę, że moje iskry zmieniły się w płomień. Odebrał mi je. Z wybuchem energii staram się przywrócić w nich błyskawicę. Zaczynają falować, próbując z powrotem przerodzić się w płomień, ale utrzymuję koncentrację, tak aby iskry po raz drugi nie wymknęły mi się spod kontroli.

– Pierwszy cios dla Calore’a! – wrzeszczy Kilorn z obrzeży okręgu. Z tłumu, który cały czas się powiększa, dobiega nas mieszanka jęków i owacji. Kilorn klaszcze i tupie nogami. Przypomina mi to arenę i Pale, kiedy krzyczał do Srebrnych. – Nie daj się, Mare!

Zdaję sobie sprawę, że to dobra nauka. Cal nie musiał zaczynać naszej potyczki zagrywką, na którą nie byłam przygotowana. Mógł się powstrzymać. Począć i wykorzystać ją zniemacka, by zyskać nade mną przewagę. W zamian wykonał ten ruch jako pierwszy. Chce mi dać fory.

„Jego pierwszy błąd”.

Cal kiwa na mnie ręką, dając znać, że bym kontynuowała. Próbuje mi dokuczyć. Najlepszy jest w obronie. Chce, że bym go zaatakowała. Niech mu będzie.

Na krawędzi okręgu Ella ostrzega zebranych.

– Na waszym miejscu bym się trochę cofnęła.

Z mojej zaciśniętej pięści wystrzela piorun. Leci z osłepiającą siłą i trafia w sam środek naszego pola. Nie wbija się jednak w podłoże i ziemia nie pęka pod jego wpływem, jak powinna. W zamian stosuję kombinację burzy i siatki. Fioletowo--biały piorun przelatuje jak raca przez pole walki na wysokości kolan. Cal podnosi jedną rękę, aby osłonić oczy przed jasnym błyskiem, a drugą wprawia iskry w drżenie i zamienia je w buchający, niebieski płomień. Zaczynam biec i wyskakuję spomiędzy światła błyskawicy, na które on nie może patrzeć. Z okrzykiem na ustach rzucam się ślizgiem w jego stronę i podcinam mu nogi. Cal pada na ziemię i cały drga rażony prądem, podczas gdy ja stoję prosto.

Twarz omiata mi palący żar, ale odpycham go tarczą elektryczności. Po chwili mnie też coś zwala z nóg. Z impetem uderzam twarzą o grunt i czuję w ustach smak ziemi. Za ramię chwyta mnie czyjaś ręka – ręka, która parzy – na co zamachuję się, wystawiając łokieć, którym trafiam go w szczękę. To też parzy. Całe jego ciało płonie. Na czerwono, pomarańczowo, żółto i niebiesko. Pulsują od niego fale rozedrganego powietrza, które sprawiają, że świat wydaje się kołysać i falować.

Wciąż na kolanach chwytam w garść tyle piasku, ile tylko zdołam, i ciskam go Calowi w twarz. Cal wzdryga się, a piach przygasza ogień, co daje mi czas poderwać się na nogi. Z kolejnym zamachnięciem ramion, formuję z pioruna bat, który trzaska iskrami i syczy w powietrzu. Cal robi unik przed każdym ciosem, skacząc i turlając się po ziemi z lekkością tancerza. Z mojego strumienia prądu odrywają się kule ognia, nad którymi nie mam pełnej kontroli. Cal ściąga je i tworzy własny bat, otaczając nas pierścieniem ognia. Fiolet i czerwień ścierają się, strzelają iskrami, aż twarda ziemia pod nami zaczyna się kłębić niczym morze w trakcie sztormu, a niebo spowija czerń, z której rzęsiście spadają gromy.

Cal skacze wystarczająco blisko mnie, żeby mnie trafić. Czuję siłę pierwszej fali jego żaru, kiedy pod nią padam, a nozdrza wypełnia mi swąd palonych włosów. Ruszam z odwetem i trafiam go łokciem w nerkę. Stęka z bólu, ale nie pozostaje dłużny i posyła mi po plecach swoje rozpalone palce. Na ciele pojawiają mi się świeże bąble i zagryzam wargi, żeby nie zacząć krzyczeć. Cal przerwałby walkę, gdyby wiedział, jak bardzo to boli. A naprawdę boli. Ból pnie mi się po plecach, kolana odmawiają posłuszeństwa. Wymachuję rękami, aby powstrzymać się przed upadkiem, i błyskawica pomaga mi poderwać się na nogi. Próbuję przetrzymać palący ból, bo muszę wiedzieć, jakie to uczucie. Kiedy nadejdzie pora, Maven z pewnością potraktuje mnie gorzej.

Raz jeszcze rzucam sieć, aby Cal mnie nie dopadł. Po jego nodze biegnie silny piorun, prosto w mięśnie, nerwy i kości. W głowie pojawia mi się obraz szkieletu księcia. Nieco ograniczam siłę ciosu, żeby nie zrobić mu poważnej krzywdy. Drży i pada na bok. Podbiegam do niego bez zastanowienia i zaczynam mu rozpinąć bransolety, które nakładał przy mnie wiele razy. Przewraca oczami i próbuje mnie odepchnąć. Bransolety zlatują mu z nadgarstków, odbijając fioletowy blask moich iskier.

Czuję ramię obejmujące mnie w talii, które przewraca mnie na plecy. Ziemia pode mną jest jak jęczor rozgrzanego do białości ognia. Tym razem tracę nad sobą kontrolę i zaczynam krzyczeć. Z rąk tryskają mi iskry, które odsadzają Cala w tył, gdzie książę próbuje po chwili podnieść się do góry.

Walcząc ze łzami, odpycham się od ziemi. Kilka metrów dalej Cal robi to samo. Jego naelektryzowane włosy sterczą we wszystkie strony. Oboje jesteśmy ranni i zbyt dumni, aby przestać. Stajemy na nogach, chwiejąc się jak para staruszków. Pozbawiony swoich bransolet Cal posługuje się trawą płonąca na obrzeżach okręgu i formuje płomień z ich żaru. Rusza na mnie z prędkością rakiety, na co ja wypuszczam kolejną błyskawicę.

Żywioty się zderzają, tworząc rozedrganą, niebieską ścianę, która syczy, wchłaniając moc obu uderzeń. Po chwili znika jak wytarta do czysta szyba.

– Może następnym razem powinniście trenować na strzelnicy! – woła Davidson. Dziś, ubrany w zwykły zielony mundur, premier nie wyróżnia się



spośród innych stojących wokół okrągłego pola. Przynajmniej kiedyś było okrągłe. Teraz ziemia i trawa to spalone pobojowisko, pole bitwy rozszarpane przez nasze umiejętności.

Siadam na ziemi z sykiem, w duchu ciesząc się, że jest już po wszystkim. Już sam oddech sprawia, że bolą mnie plecy. Muszę nachylić się do przodu na kolana i zaciskam pięści, próbując przetrzymać ból.

Cal robi krok w moją stronę, po czym też pada na ziemię i wspiera się na łokciach. Ciężko dyszy, jego pierś faluje z wysiłku. Nie ma nawet siły, żeby się do mnie uśmiechnąć. Od stóp do głów zlany jest potem.

– I najlepiej bez publiczności. – Kiedy dym się rozrzedza, widzę, że od gapiów oddziela nas kolejna niebieska ściana, która znika na uniesienie dłoni Davidsona. Premier rzuca nam powściągliwy, mdły uśmiech i pokazuje palcem na symbol na swoim rękawie. Biały sześciokąt. – Tarcza czasem się przydaje.

– I to jak! – woła Kilorn, biegnąc w moją stronę. Przykuca przy mnie i jednocześnie woła przez ramię Reesa.

Ale rudy Uzdrowiciel Ciała zatrzymuje się kilka metrów przede mną. Nie jest taki chętny do pracy.

– Wiesz, że nie tak to działa.

– Przestań, Reese – syczy Kilorn i zaciska zęby z irytacją. – Ona ma poparzone całe plecy i ledwie może chodzić.

Cal patrzy na mnie, nadal dysząc. Na twarzy ma wyraz troski i żalu, ale także bólu. Cierpię i on też. Księżę bardzo się stara sprawiać wrażenie silnego i próbuje usiąść prosto. Ale tylko syczy i niemal od razu pada na plecy.

Reese nie ustępuje łatwo.

– Sparring ma swoje konsekwencje. Nie jesteśmy Srebrni. Musimy wiedzieć, co nasze zdolności mogą wyrządzić przeciwnikowi. – Jego słowa brzmią jak przećwiczona formułka. Gdybym tak bardzo nie cierpiała, zgodziłabym się z nim. Pamiętam areny, na których Srebrni walczyli dla sportu, o nic się nie bojąc. Pamiętam, jak sama ćwiczyłam w Palatium Słońca. Uzdrowiciel Ciała zawsze czekał obok, gotowy zaradzić najmniejszemu zadrażnieniu. Srebrni nie przejmują się, że mogą kogoś skrzywdzić, bo efekt nie jest trwały. Reese spogląda na nas oboje i wytyka nas palcem, jakby udzielał nagany. – Nie widzę zagrożenia życia. Spędzą tak całą dobę. Taki jest protokół, Warren.

– Zwykle bym się z tym zgodził – wtrąca się Davidson. Pewnym krokiem podchodzi do Uzdrowiciela i przeszywa go pustym spojrzeniem. – Ale niestety potrzebuję tych dwoje w dobrej kondycji, i to zaraz. Zajmij się tym.

– Ale...

– Zajmij się tym.

Czuję piasek między palcami, niewielką ulgę, kiedy zaciskam dłonie na ziemi. Jeśli to oznacza koniec tej udręki, to wysłucham, czego chce premier,

i zrobię to z uśmiechem.

\*

Mój wojskowy kombinezon gryzie i pachnie jak środek do dezynfekcji. Mogłabym na to ponarzekać, ale nie mam teraz czasu o tym myśleć. Nie po ostatnim raporcie agentów Davidsona. Nawet premier wygląda niepewnie i chodzi tam i z powrotem wzdłuż długiego stołu, za którym zasiadają doradcy wojskowi, w tym Cal i ja. Davidson podpira brodę zaciśniętą dłonią i wpatruje się w podłogę nieprzeniknionym wzrokiem.

Farley obserwuje go przez długą chwilę, zanim spuści wzrok na misterne pismo Ady. Nowa agentka wywiadu jest teraz oficerem i blisko współpracuje z Farley oraz Szkarłatną Gwardią. Nie byłabym zdziwiona, gdyby mała Clara także została oficerem. Przysypia przy piersi matki, ciasno owinięta chustą. Jej główkę spowija ciemnobrązowy puch. Naprawdę przypomina Shade'a.

– Obecnie w garnizonie w Corvium przebywa pięciuset żołnierzy Szkarłatnej Gwardii i pięciuset Nowych z Montfortu – Farley wyczytuje z notatek Ady. – Zgodnie z raportem wojska Mavena liczone są w tysiącach i tworzą je sami Srebrni. Mają swoją bazę w Fort Patriot w zatoce Harbor i na obrzeżach Detraonu w Lakelandii. Nie dysponujemy dokładnymi danymi na temat liczebności i umiejętności żołnierzy.

Widzę, jak trzęsą mi się dłonie, więc szybko zabieram je ze stołu i wciskam pod uda. W głowie robię listę osób, które mogłyby pomagać Mawenowi odbić miasto twierdzą. Jeśli można wierzyć babci Cala, nie ma po swojej stronie Samosów, podobnie jak domów Laris, Iral i Haven oraz Lerolan. Choć wolałabym pozostać w cieniu, zmuszam się, aby coś powiedzieć.

– Ma duże poparcie w domach Rhambos i Welle. Siłaczy i Strażników Zieleni. Wśród Arvenów też. Będą w stanie zneutralizować każdy atak Nowych. – Nie wymaga to dodatkowych wyjaśnień. Przekonałam się na własnej skórze, do czego zdolni są Arvenowie. – Co do Lakelandczyków, to nie znam nikogo z wyjątkiem Wodniaków z Rodziny Królewskiej.

Pułkownik nachyla się w moją stronę, opierając się rękami o stół.

– Za to ja tak. Walczą zawiście i są wytrzymali. A ich lojalność wobec króla jest nie do podważenia. Jeśli udzieli poparcia temu przekle... – Zatrzymuje się w pół słowa i zerka na Cala siedzącego kilka miejsc dalej, który mimo to nie reaguje. – Jeśli udzieli poparcia Mawenowi, to oni bez wahania zrobią to samo. Wodniacy są oczywiście najniebezpieczniejsi z nich, dalej są Siłacze, Mroźni i Wietrzycy. Twardoskórzy wojownicy to też paskudna banda.

Wzdrygam się, kiedy wymienia kolejne nazwy.

Davidson odwraca się na pięcie do Tahira. Bez swojego brata Nowy wygląda, jakby czegoś mu brakowało, i pochyla się dziwnie, jak gdyby próbował

zrównoważyć jego nieobecność.

– Mamy jakieś nowe wiadomości co do czasu? – premier pyta go szorstkim głosem. – „W ciągu tygodnia” to zbyt nieprecyzyjne określenie.

Przymrużając oczy, Tahir koncentruje się na czymś, co znajduje się daleko poza salą. Na miejscu, gdzie pewnie przebywa jego brat. Podobnie jak w przypadku wielu agentów lokalizacja Rasha jest ściśle tajna, ale mogą się domyślić. Salida znalazła się kiedyś w armii Mavena złożonej ze zwerbowanych Nowych. Rash jest jej doskonałym zastępcą i pewnie pracuje gdzieś na dworze jako Czerwony służący. Świetny pomysł. Dzięki swojej więzi z Tahirem potrafi transmitować informacje równie szybko jak radio, nie pozostawiając za sobą żadnych dowodów, bez obaw o to, że ktoś przechwyci sygnał.

– Nadal potwierdza datę – mówi powoli. – Szepcze się o ... – Nowy nieruchomieje i otwiera szeroko usta ze zdziwienia. – Atak nastąpi w ciągu doby. Z obu stron granicy.

Przygryzam wargi do krwi. Jak to możliwe, że wszystko dzieje się tak szybko? Bez ostrzeżenia?

Cał myśli podobnie.

– Sądziłem, że monitorujecie ruchy wojsk. Armie nie zbierają się z dnia na dzień. – Emanuje od niego niski prąd ciepła, który pali mnie w prawy bok.

– Wiemy, że większość sił stacjonuje w Lakelandii. Świeżo poślubiona małżonka Mavena i jej sprzymierzeńcy sprawiają nam trudności – tłumaczy Farley. – Nie mamy tam porównywalnych zasobów, skoro większość Gwardii przebywa tu, na miejscu. Nie jesteśmy w stanie monitorować trzech oddzielnych krajów.

– Ale jesteście pewni, że to Corvium? Na sto procent? – Cał traci cierpliwość.

Ada z wahaniem kiwa głową.

– Dane wywiadu potwierdzają, że tak.

– Maven lubi zasadzki. – Nienawidzę wypowiadać jego imienia. – To może być fortel, żeby napaść na nas poza bazą, złapać podczas przerzucania sił. – Pamiętam huk naszego odrzutowca, który rozrywano na pół w trakcie lotu. – Albo pozorowany atak. My pojedziemy do Corvium, on zaatakuje Nizinę Brzezną. Usunie nam grunt spod nóg.

– I dlatego właśnie poczekamy. – Davidson ze zdecydowaniem zaciska pięść. – Niech wykonają pierwszy krok, żebyśmy mogli odpowiedzieć. Jeśli się wstrzymają, będziemy wiedzieć, że to była sztuczka.

Pułkownik robi się tak czerwony jak jego oko.

– A jeśli to zwyczajna ofensywa?

– Jak tylko poznamy zamiary wroga, będziemy działać -szybko...

– A ilu z moich żołnierzy umrze podczas tego szybkiego działania?

– Tylu, ilu moich – warkliwie odpowiada Davidson. – Nie tylko twoi ludzie poniosą koszty.

– Moi ludzie...?

– Dość tego! – Farley krzyczy na nich obu, na tyle głośno, aby obudzić Clare. Niemowlę ma najlepszy charakter ze wszystkich ludzi, jakich znam, i w odpowiedzi na przerwaną drzemkę jedynie mruga ciężkimi powiekami. – Jeśli nie jesteśmy w stanie zdobyć więcej informacji, to czekanie jest naszą jedyną opcją. Popelniliśmy zbyt wiele błędów, zbyt wcześnie rzucając się do działania.

„Zbyt wiele razy, by zliczyć”.

– Przyznaję, to poświęcenie. – Premier ma równie poważną minę, co jego generałowie, którzy przyjmują wiadomość ze stoickimi, kamiennymi twarzami. Gdyby istniał jakikolwiek inny sposób, podjąłby się go. Ale żadne z nas takiego nie widzi. Nawet Cal, który cały czas milczy. – Ale to niewielkie poświęcenie w skali całej operacji. Centymetry z kilometrów.

Pułkownik bełkocze coś w złości i uderza pięścią w stół konferencyjny. Szklany dzbanek z wodą lekko się chybcze i Davidson odruchowo łapie go, by się nie przewrócił.

– Calore, będziesz mi potrzebny przy koordynacji sił.

„Ze swoją babcią. Srebrnymi. Ludźmi, którzy patrzyli na mnie zakutą w kajdany i nie kiwnęli palcem, aż stało się to im na rękę. Ludźmi, którzy nadal sądzą, że moja rodzina powinna być ich niewolnikami. – Gryzę się w język. – Ludźmi, z którymi musimy wygrać”.

Cal pochyla głowę.

– Królestwo Rowów poprzysięgło nam poparcie. Będziemy mieli żołnierzy z domów Samos, Iral, Laris i Lerolan.

– Królestwo Rowów – mamrocze pod nosem, prawie spluwając. Koniec końców Evangeline otrzymała swoją koronę.

– Co ty na to, Barrow?

Podnoszę głowę i widzę, jak Davidson uporczywie wpatruje się we mnie swoim beznamiętnym spojrzeniem. Nie da się z niego nic odczytać.

– Czy na ciebie też możemy liczyć?

Na moment przed oczami staje mi moja rodzina. Powinnam czuć wstyd, że złość, która pali mnie gdzieś w brzuchu i z tyłu głowy, liczy się bardziej niż oni. Mama i tata mnie zabijają, jeśli znów opuszczą dom. Ale jestem gotowa włączyć się do wojny, żeby znaleźć choć namiastkę pokoju.

– Tak.

## Rozdział 27

### Mare

To nie jest ani pułapka, ani sztuczka.

Gisa budzi mnie po północy, jej brązowe oczy są wielkie ze zmartwienia. Przy obiedzie powiedziałam rodzinie, co się stanie. Tak jak się spodziewałam, nie byli zbyt szczęśliwi z powodu mojej decyzji. Mama wierciła mi dziurę w brzuchu, ile tylko mogła. Rozpaczała nad Shade'em, z którego śmiercią jeszcze się nie pogodziła, i nad moim uwięzieniem. Powiedziała mi, jaka ze mnie egoistka. Znowu ich opuszczam.

Później jej nagany przeistoczyły się w szeptane do ucha przeprosiny i pochwały tego, jaka jestem odważna. Zbyt odważna, uparta i droga jej sercu, by mogła mnie puścić.

Tata zwyczajnie zamknął się w sobie, tak mocno zaciskając dłoń na lasce, że aż zbieleły mu knykcie. Jesteśmy z ojcem tacy sami. Dokonujemy wyborów i dotrzymujemy słowa, nawet jeśli wybór nie był słuszny.

Przynajmniej Bree i Tramy mnie zrozumieli. Nie zostali wezwani do tej misji. To wystarczające pocieszenie.

– Cał czeka na dole – szepcze Gisa, kładąc mi dłonie na ramionach. – Musicie ruszać.

Gdy siadam na łóżku, na którym spałam w mundurze, jeszcze raz przytulam do siebie siostrę.

– Za często nas zostawiasz – mruczy, próbując przybrać żartobliwy ton głosu, mimo płaczu, który dławi jej gardło. – Tylko tym razem wróc.

Kiwam głową, ale niczego nie obiecuję.

Kilorn czeka na nas w korytarzu. Ma rozmyty wzrok i ubrany jest w piżamę. On także nie jedzie. Corvium jest poza jego zasięgiem. Kolejne gorzkie pocieszenie. Choć wcześniej tyle narzekałam na to, że muszę brać go ze sobą i martwić się o pomocnika rybaka, który nie zna się na niczym prócz węzłów, strasznie za nim tęsknię. Zwłaszcza że moje skargi nie miały nic wspólnego z prawdą. Chronił mnie i pomagał mi więcej niż ja jemu.

Otwieram usta, aby mu to wszystko powiedzieć, ale on ucisza mnie szybkim pocałunkiem w policzek.

– Jeśli spróbujesz się ze mną żegnać, zrzucę cię ze schodów.

– Niech ci będzie – wyduszam z siebie. Czuję jednak ucisk w piersi i gdy schodzą na parter, z każdym krokiem trudniej mi oddychać.

Wszyscy stoją na dole z minami ponurymi, jakby czekali na pluton

egzekucyjny. Mama ma czerwone i napuchnięte oczy, podobnie jak Bree. On pierwszy przytula mnie do siebie, lekko mnie podnosząc. Mój brat olbrzym pozwala, by wymknął mu się tylko jeden szloch, który tłumi, wtulając się w zagięcie mojej szyi. Tramy bardziej nad sobą panuje. Farley także stoi w korytarzu. Tuli do siebie Clare i buja ją w objęciach. Malutka zostanie pod opieką mojej mamy.

Wszystko się rozmazuje, choć bardzo pragnę zapamiętać każdą sekundę. Czas mija zdecydowanie zbyt szybko. Kręci mi się w głowie i zanim zdołam się zorientować, jestem za drzwiami, schodzę po schodach i wsiadam do wojskowego auta. Czy tata uściśnął Calowi dłoń, czy sobie to wyobraziłam? Czy ja nadal śpię? Czy ja śnię? Światła bazy wyglądają w ciemności jak spadające gwiazdy. Reflektory auta przecinają cienie i oświetlają nam drogę na lądowisko. Już z oddali słyszę huk silników i świst odrzutowców, które startują w niebo.

Większość z nich to samoloty transportowe zaprojektowane do przewożenia dużych oddziałów żołnierzy z miejsca na miejsce. Lądują pionowo, nie potrzebują pasów startowych i można nimi polecieć prosto do Corvium. Dopada mnie potworne *déjà--vu*, kiedy wsiadamy do naszego. Gdy ostatnim razem to robiłam, spędziłam sześć miesięcy jako więzień i wróciłam do domu jako cień samej siebie.

Cal wyczuwa mój niepokój. Sam zapina mi pasy w odrzutowcu. Jego palce zwinnie się poruszają, podczas gdy ja patrzę na metalowe kraty pod swoimi stopami.

– To się nie zdarzy po raz drugi – mówi na tyle cicho, że tylko ja go słyszę. – Teraz jest zupełnie inaczej.

Ujmuję w dłonie jego twarz, sprawiając, że przestaje mówić i spogląda na mnie.

– Dlaczego więc czuję się tak samo?

Oczy w kolorze brązu wpatrują się w moje. Szukają odpowiedzi, ale żadnej nie znajdują. Zamiast tego Cal mnie całuje, jakby to miało cokolwiek rozwiązać. Jego usta palą w kontakcie z moimi. Pocałunek trwa dłużej, niż powinien, zwłaszcza że otacza nas mnóstwo ludzi, nikt jednak nie zwraca na nas uwagi.

Kiedy się ode mnie odrywa, wkłada mi coś do ręki.

– Nie zapomnij o tym, kim jesteś – szepcze.

Nie muszę patrzeć w dół, by wiedzieć, że to kolczyk, maleńki kamyk osadzony w metalu. Coś, czym się ze mną żegna, czym mówi mi, że bym na siebie uważała, bym miała po nim pamiątkę, jeśli zostaniemy rozdzieleni. Kolejna tradycja z mojego dawnego życia. Zaciskam kolczyk w dłoni, niemal pozwalając sztyftowi przekłuć mi skórę. Dopiero kiedy Cal siada naprzeciw mnie, ośmielam się spojrzeć na to, co trzymam w dłoni.

Czerwony. Oczywiście. Czerwony jak krew, czerwony jak ogień. Czerwony jak złość, która od środka pożera nas oboje.

Nie mogę go teraz przebić przez ucho, chowam go w kieszeni, uważając, aby go nie zgubić. Niedługo dołączy do reszty.

Farley porusza się z determinacją i zajmuje miejsce przy montfordzkich pilotach. Cameron podąża w krok za nią i uśmiecha się do nas nieznacznie, kiedy siada na swoim fotelu. Ubrana jest w oficjalny mundur podobnie jak Farley, choć mundur wysokiej rangi pani oficer nieco się różni. Nie jest zielony, lecz ciemnoczerwony z białym „D” na ramieniu. „Dowództwo”. Znow ogoliła głowę przed walką, pozbywając się blond włosów, tak jak miała kiedyś w zwyczaju. Wygląda groźnie, co dodatkowo podkreślają blizna na twarzy i niebieskie oczy, którymi mogłaby przebić każdą zbroję. Pasuje jej to. Rozumiem, dlaczego Shade ją pokochał.

Ma ważniejszy powód, by przestać walczyć, niż którekolwiek z nas. Ale mimo to nie ustaje. Czuję, jak spływa na mnie część jej determinacji. Jeśli ona jest w stanie to zrobić, to ja też.

Davidson jako ostatni wsiada na pokład samolotu transportowego, dopełniając czterdziestoosobowy oddział. Wchodzi za grupą Grawitronów, których symbol wygląda jak dwie pionowe linie. Nadal ma na sobie ten sam sfatygowany mundur, a jego zwykle gładko zaczesane włosy wyglądają niechlujnie. Wątpię, żeby spał. Dzięki temu lubię go odrobinę bardziej.

Kiwa do nas głową, kiedy przechodzi obok i siada na przodzie wraz z Farley. Niemal jednocześnie pochylają przed sobą głowy.

Odkąd zaczęłam ćwiczyć z Elektrykonami, dużo lepiej wyczuwam energię elektryczną. Czuję moc odrzutowca po najcieńszy kabelek. Każdą iskrę, każdy puls. Ella, Rafe i Tryton oczywiście lecą z nami, ale nikt nie ośmieliłby się umieścić nas w jednym transportowcu. Gdyby miało zdarzyć się najgorsze, to przynajmniej nie umrzemy razem.

Cal wierci się na swoim miejscu. Czuję jego nerwową energię. Ja postępuję odwrotnie. Próbuję wprowadzić się w stan kompletnego odrętwienia, ignorować w sobie wściekłą, wygłodniałą furję, która prosi, by spuścić ją ze smyczy. Nie widziałam Mavena od czasu mojej ucieczki i przypominam sobie jego twarz z tamtego czasu. Jak krzyczy do mnie przez tłum i próbuje się odwrócić. Nie chciał puścić mnie wolno. Ale gdy tylko moje dłonie znajdują się na jego szyi – wtedy to ja nie puszczę. Nie boję się. Na drodze stoi mi jedynie bitwa.

– Moja babcia weźmie ze sobą tylu ludzi, ilu tylko zdoła – mówi Cal. – Davidson już to wie, ale tobie chyba nikt o tym nie mówił.

– Aha.

– Ma wsparcie domu Lerolan i innych zbuntowanych rodów. Samosów też.

– Księżniczki Evangeline – mruczę, wciąż śmiejąc się na tę myśl. Cal prycha razem ze mną.

– Przynajmniej teraz ma własną koronę i nie musi się już starać, żeby ukraść

czyjaś – mówi.

– Bylibyście teraz małżeństwem. Gdyby... – To „gdyby” oznacza tyle rzeczy.

Cal kiwa głową.

– Do tego czasu zdążyłbym już w tym małżeństwie kompletnie zwariować. Byłaby z niej dobra królowa, ale nie dla mnie. – Bierze mnie za rękę, ale nie spogląda w moją stronę. – I byłaby okropną żoną.

Nie mam teraz siły głębiej się nad tym zastanawiać, ale czuję, jak robi mi się ciepłej w środku.

Odrzutowiec szarpie w przód i przechodzi na najwyższe obroty. Szum śmigieł i silników zagłusza wszelkie rozmowy. Z kolejnym szarpnięciem podrywamy się do lotu i wznosimy w gorącą, letnią noc. Zamykam na moment oczy i próbuję sobie wyobrazić, co nas czeka. Znam Corvium ze zdjęć i programów. Ściany z czarnego granitu, złote i żelazne wzmocnienia. Spiralna forteca, która kiedyś była ostatnim przystankiem dla żołnierzy zmierzających do Duszni. W innym życiu pewnie bym przez nią przeszła. A teraz, po raz drugi w tym roku, znajduje się pod oblężeniem. Wojska Mavena wyruszyły w drogę kilka godzin temu i wylądowały w kontrolowanej przez niego Rokaście, by stamtąd dalej udać się pieszo. Niedługo dotrą do bram. Przed nami.

„Centymetry z kilometrów”, powiedział Davidson.

Mam nadzieję, że się nie myli.

\*

Cameron rzuca mi na kolana swoje karty. Cztery królowe puszczają do mnie oko.

– Cztery damy, Barrow – prycha śmiechem. – I co teraz. Zagrasz o swoje buty?

Uśmiecham się szeroko i kładę swoje karty na kupce, pozbywając się bezużytecznych czerwonych numerów oraz jednego czarnego waleta.

– Nie pasowałyby na ciebie – odpowiadam. – Nie mam stóp jak czółna.

Cameron głośno rechocze, odrzucając głowę do tyłu i przebierając nogami w powietrzu. Jej stopy są naprawdę długie i smukłe. Biorąc pod uwagę zasoby wojska, mam nadzieję, że dziewczyna już więcej nie urośnie.

– Gramy jeszcze raz – oznajmia i wyciąga rękę po karty. – Zakładam się o tydzień robienia prania.

Cal, który rozciąga się obok nas, przestaje na chwilę i parska śmiechem.

– Myślisz, że Mare robi pranie?

– A Wasza Wysokość robi? – odgryzam się z szerokim uśmiechem. Udaje, że mnie nie słyszy.

Te swobodne przekomarzenia mają nas zarówno uspokoić, jak i odwrócić



naszą uwagę. Moje myśli nie krążą bez przerwy wokół nieuniknionej bitwy, kiedy Cameron ogrywa mnie, jakby grała z dzieckiem. Oczywiście nauczyła się tego w fabrykach. Ledwie rozumiem, jak w ogóle gra się w tę grę, ale dzięki niej łatwiej mi się skupić na tu i teraz.

Transportowiec lekko się chybcze, gdy wpada w turbulencje. Po wielu godzinach lotu nie robi to na mnie wrażenia, nie przerywam więc tasowania kart. Kolejna turbulencja jest gwałtowniejsza, ale też nie stanowi powodu do paniki. Przy trzeciej karty wypadają mi z rąk i lecą w powietrze. Z impetem padam na swoje miejsce i zaczynam szukać rękami pasa. Cameron robi to samo, a Cal, kiedy tylko zapnie swój, spogląda w stronę kabiny. Podążam za jego wzrokiem i widzę, że obaj piloci robią, co w ich mocy, aby odrzutowiec nie stracił wysokości.

Bardziej niepokoi mnie widok za oknem. Powinno już świtać, ale niebo przed nami jest czarne.

– Burze i Burzowcy – dyszy Cal. – Musimy przelecieć nad nimi.

Ledwie zdoła wypowiedzieć te słowa, już czuję, jak samolot wzbija się w górę. Głęboko w chmurach rozbłyska piorun. Prawdziwy piorun, zrodzony w czole burzy, a nie z umiejętności Nowego. Czuję jego pulsowanie jak odległy rytm serca.

Zaciskam dłonie na swoich pasach.

– Nie możemy lądować w takich warunkach.

– W ogóle nie możemy lądować – odburkuje Cal.

– Może jestem w stanie coś zrobić, żeby powstrzymać błyskawice...

– Tam na dole nie czekają na nas tylko błyskawice! – krzyczy, przebijając się ponad ryk wzbijającego się w niebo samolotu. W naszą stronę obraca się kilka osób. Jedną z nich jest Davidson. – Wietrzycy i Burzowcy strącają nas z kursu, kiedy tylko przebijemy się przez chmury. Będą próbować sprawić, żebyśmy się rozbili.

Cal przebiega wzrokiem po załodze, jakby sprawdzał listę obecności. Myśli tak intensywnie, że uszami prawie bucha mu para. Moja wiara w niego jest silniejsza niż strach.

– Jaki masz plan?

Odrzutowcem znów szarpie wstrząs, przez co wszyscy podskakujemy na swoich miejscach. Ale Cal nie traci koncentracji.

– Potrzebuję Grawitronów i ciebie – dodaje, pokazując na Cameron.

Dziewczyna rzuca mu intensywne spojrzenie i kiwa głową.

– Chyba wiem, co masz zamiar zrobić.

– Skontaktuj się z innymi odrzutowcami. Będzie nam potrzebny Teleporter, musimy też wiedzieć, gdzie jest reszta Grawitronów. Muszą się rozdzielić.

Davidson kiwa brodą na potwierdzenie.

– Robić, co każe.

Czuję, jak wszystko wywraca mi się w żołądku, kiedy myślę, co to wszystko

może oznaczać. Wnętrze odrzutowca nagle kipi aktywnością, jakby obudziło się do życia. Żołnierze sprawdzają broń i zapinają mundury bojowe, z minami pełnymi determinacji. Najwięcej widać jej po Calu.

Wstaje z miejsca i podtrzymuje się rękami, aby zachować równowagę.

– Lećcie bezpośrednio nad Corvium. Gdzie jest ten Teleporter?

Nagle przed nami pojawia się Arezzo, która z impetem pada na kolano.

– Nie lubię tego – cedzi.

– Niestety ty i inni Teleporterzy będziecie dziś w ciągłym ruchu – odpowiada Cal. – Dasz radę przeskakiwać pomiędzy odrzutowcami?

– Jasne – odpowiada, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– To dobrze. Po tym, jak znajdziemy się na dole, przeniesiesz Cameron do następnego odrzutowca.

„Na dole”.

– Cal – prawie skamle. Mogę zrobić wiele rzeczy, ale to?

Arezzo strzela z palców i wcina mi się w słowo.

– Przyjęłam rozkaz.

– Grawitroni, użyjcie kabli. Sześć osób na jednego. Sprawdźcie mocowania.

Grawitroni zrywają się na nogi i wyciągają cienkie linki ze specjalnych otworów w swoich mundurach bojowych. Każdy z nich ma mnóstwo sprzączek, dzięki którym mogą przetransportować ze sobą kilka osób, stosując swoją umiejętność manipulowania grawitacją. Na Polanie zwerbowałam mężczyznę imieniem Gareth. Dzięki podobnej zdolności potrafił latać albo przeskakiwać na dalekie odległości.

Ale nie wyskakiwać z odrzutowców.

Nagle robi mi się bardzo niedobrze, a na czoło występują kropelki potu.

– Cal? – powtarzam wyższym tonem.

Ignoruje mnie.

– Cam, twoim zadaniem będzie chronić odrzutowiec. Wytworzysz tyle ciszy, ile tylko jesteś w stanie. Wyobraź sobie kulę. Dzięki temu utrzymamy się w środku burzy na odpowiedniej wysokości.

– Cal? – skamle. Czy tylko ja myślę, że to samobójstwo? Czy jestem tu jedyną osobą w pełni rozumu? Nawet Farley wydaje się skonsternowana i ściąga usta w ponurą linię, kiedy przypina się do jednego z Grawitronów. Wyczuwa moje spojrzenie i podnosi wzrok. Jej twarz przez moment drga, oddając zaledwie gram odczuwanego przeze mnie przerażenia. Po chwili puszcza do mnie oko. Z ruchu jej warg odczytuję dwa słowa: „Za Shade’a”.

Cal podciąga mnie na nogi albo ignorując mój strach, albo go nie zauważając. Osobiście przypina mnie do najwyższego Grawitrona, tyczkowatej kobiety. Przypina się obok mnie i obejmuje swoim ciężkim ramieniem, aby przyprzeć mnie do Nowej. W całym odrzutowcu wszyscy robią to samo.

- Jaką mamy pozycję?! – Cal krzyczy nad moją głową do pilotów.
- Pięć sekund od centrum – brzmi odpowiedź.
- Plan przekazany?
- Tak jest! Jesteśmy idealnie nad Corvium!

Cal zaciska zęby.

- Arezzo?

Dziewczyna saltuje.

- Gotowa.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w całym tym zamieszaniu zwymiotuję na biedną Grawitronkę.

- Spokojnie – Cal sapie mi do ucha. – Musisz wytrzymać. Nic ci nie będzie.

Zamknij oczy.

Nie trzeba mnie do tego namawiać. Zaczynam się wiercić, potupuję nogą, czuję przechodzące mnie dreszcze. Jestem kłębkim nerwów, które potrzebują ujścia.

– To nie jest szaleństwo – szepcze Cal. – Ludzie robią takie rzeczy. Żołnierze trenują do takich akcji.

Obejmuję go mocniej, z taką siłą, że mogłabym zrobić mu krzywdę.

- Ty też?

Ale on tylko przełyka ślinę.

- Możesz zaczynać, Cam. Piloci, rozpocząć zrzut.

Fala ciszy uderza mnie jak młot. Jej moc nie sprawia mi bólu, ale wywołane nią wspomnienie powoduje, że miękną mi kolana. Mocno zaciskam zęby, żeby nie zacząć krzyczeć, a za powiekami widzę gwiazdy. Naturalne ciepło Cala działa jak kotwica, choć niezbyt pewna. Coś do mnie mówi, ale nie słyszę co. Jego głos nie przebija się przez odczucie powolnej, duszącej ciemności i jeszcze gorszej śmierci. Serce bije mi trzy razy szybciej i wali w piersi tak mocno, że boję się, czy nie eksploduje. Aż trudno uwierzyć, ale naprawdę chcę teraz wyskoczyć z samolotu. Wszystko, byle uciec od ciszy Cameron. Wszystko, bylebym tylko przestała pamiętać.

Ledwie czuję, jak samolot obniża lot albo kołysze się pośród burzy. Cameron miarowo wydycha powietrze przez nos, starając się utrzymać spokojny oddech. Jeśli reszta samolotu boleśnie odczuwa jej umiejętność, to tego nie okazuje. Obniżamy kurs w ciszy. A może moje ciało sprzeciwia się temu, by jeszcze coś czuć.

Kiedy przemieszczamy się na tył samolotu, do zapadni, dociera do mnie, że nie ma już odwrotu. W odrzutowcu dudni od uderzeń wiatru, którego Cameron nie potrafi poskromić. Krzyczy coś, ale jej słowa zagłusza pulsowanie krwi w moich uszach.

Wtedy pod moimi stopami otwiera się świat i spadamy.

Kiedy dom Samos rozerwał na strzępy odrzutowiec, którym leciałam, mieli przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby zamknąć nas w metalowej klatce. Teraz wiatr, lodowaty deszcz i wirująca ciemność szarpią nami na boki. Nikt przy zdrowych zmysłach nie spodziewałby się, że wyskoczymy z samolotu jakieś tysiąc metrów nad ziemią i to w dodatku w środku burzy, więc sam nasz impet wystarczy, byśmy spadli prosto do celu. Wiatr wyje jak lamentująca kobieta i przesywa mnie do szpiku kości. Przynajmniej nie czuję już naporu ciszy Cameron. Żyły błyskawicznie szalejące wśród chmur wołają do mnie, jak gdyby żegnały się, zanim zostanie ze mnie mokra plama.

Wszyscy krzyczą, gdy spadamy. Nawet Cal.

Nie przestaję wrzeszczeć nawet wtedy, kiedy zaczynamy zwalniać jakieś piętnaście metrów nad dachami Corvium, fortecą w kształcie sześciokąta, utworzonego przez budynki i mury. Mam zdarte gardło, kiedy łagodnie lądujemy na gładkim bruku, śliskim od deszczówki, której napadało prawie pięć centymetrów.

Nasi Nowi pospiesznie odpinają wszystkich od linek i upadam na ziemię, nie przejmując się przenikliwie zimną kałużą, w której ląduję. Cal skacze na nogi.

Leżę tak przez chwilę i o niczym nie myślę. Wpatruję się tylko w niebo, z którego właśnie spadłam – i jakoś przeżyłam. Wtedy Cal łapie mnie za rękę i podrywa do góry, przywracając mi kontakt z rzeczywistością.

– Pozostali będą tu lądować, więc musimy się ruszyć. – Popycha mnie przed sobą, a ja potykam się, biegnąc przez chlupoczącą wodę. – Grawitroni, Arezzo pojawi się tu z kolejną grupą, żeby teleportować was z powrotem na górę. Zachowajcie czujność.

– Tak jest! – odkrzykują, szykując się na następną rundę. Na tę myśl prawie robi mi się niedobrze.

Farley naprawdę źle się czuje. Zwraca śniadanie w bocznej alejce. Zapomniałam, że nienawidzi latać, nie wspominając już o teleportacji. Zrzut był chyba najgorszym scenariuszem z możliwych.

Idę do niej i biorę ją pod ramię, żeby mogła stanąć prosto.

– Dobrze się czujesz?

– W porządku – odpowiada. – Maluję tylko ściany na nowy kolor.

Spoglądam na niebo, z którego wciąż leje rześisty deszcz. Jest zaskakująco zimny jak na tę porę roku, nawet na południu.

– Do roboty. Nie ma ich jeszcze na murach, ale wkrótce będą.

Nad Calem unosi się lekka para, więc zasuwa kamizelkę aż po szyję, aby uchronić się przed wodą.

– Mroźni! – woła. – Mam przecucie, że zostaniemy zasypani śniegiem.

– Mamy iść do bram?

– Nie. Są obstawione Cichym Kamieniem. Srebrni nie są w stanie ich

staranować. Będą musieli przejść górą. – Pokazuje grupie z naszego transportowca, żebyśmy szli za nim. – Musimy ustawić się na obwarowaniach i odeprzeć wszelki atak z zewnątrz. Burza to jedynie pierwsza fala ataku. Ma nas zablokować i ograniczyć nam pole widzenia. Zaślepić, aż znajdziemy się w potrzasku.

Trudno nadażyć za jego krokiem, zwłaszcza w tym deszczu, ale i tak trzymam się jego boku. Buty mi przemakają i nie mija wiele czasu, zanim zupełnie stracę czucie w palcach. Cal patrzy przed siebie, jak gdyby same jego oczy były w stanie rozpalić cały świat. Mam wrażenie, że tego chce. To by wiele ułatwiło.

Raz jeszcze musi walczyć na śmierć i życie z ludźmi, których uczono go chronić. Biorę go za rękę, bo nie ma takich słów, które mogłabym mu teraz powiedzieć. Zaciska w dłoni moje palce, ale równie szybko je puszcza.

– Oddziały twojej babci nie dostaną się tu w ten sam sposób. – Gdy wypowiadam te słowa, z nieba spadają Grawitroni z kolejnymi żołnierzami. Wszyscy krzyczą, ale bezpiecznie lądują na ziemi. Skręcamy za rogiem, przemieszczając się pomiędzy pierścieniami murów obronnych, i zostawiamy ich za sobą. – Jak mamy się połączyć?

– Nadchodzą z Rowów. To na południowym zachodzie. Najlepiej byłoby, gdybyśmy zdołali powstrzymać siły Mavena do czasu, aż dotrą na tyły. Wzielibyśmy Mavena w kleszcze.

Przełykam ślinę. Bardzo duża część naszego planu zależy od Srebrnych. Mam na tyle rozumu, żeby nie wierzyć w takie rzeczy. Dom Samos może się zwyczajnie nie pojawić i pozwolić, żebyśmy wszyscy zostali schwytani albo zabici. Wtedy nie musieliby się bezpośrednio mierzyć z Mavem. Cal nie jest głupi. Jest tego wszystkiego świadomy. I wie, że Corvium i garnizon mają zbyt dużą wartość, aby pozwolić sobie na taką stratę. To nasza flaga, nasza rebelia, nasza obietnica. Mierzmy się z mocą Mavena Calore i jego bezwzględny wojskiem.

Nowi ustawiają się na murach. Dołączają do nich Czerwoni żołnierze z bronią i amunicją. Nie strzelają, tylko wpatrują się w dal. Jeden z nich, wysoki i chudy jak patyk, w mundurze takim jak Farley i z „D” na ramieniu, występuje z szeregu. Podaje dłoń pani generał i pochyla głowę.

– Generał Farley – mówi na powitanie.

Farley pochyla brodę.

– Generale Townsend. – Następnie wita się skinieniem z kolejną wysokim stopniem panią oficer w zieleni, dowodzącą pewnie Nowymi z Montfortu. Niska, krępa kobieta o śniadej cerze i z długim, białym warkoczem owiniętym wokół głowy odwzajemnia gest. – Generał Akkadi. Jak przedstawia się sytuacja? – Farley pyta ich oboje.

Podchodzi do nich kolejna żołnierka w czerwieni zamiast zieleni. Ufarbowała włosy na szkarłatny kolor, ale mimo to ją rozpoznaje.

– Dobrze cię widzieć, Lory – mówi Farley oficjalnym tonem. Też

przywitałabym się z Nową, gdybym miała czas. Po cichu cieszę się, że widzę kolejną rekrutkę z Polany, która nie tylko wciąż żyje, ale także świetnie sobie radzi. Jej czerwone włosy są krótko przycięte jak u Farley. Lory jest zaangażowana w walkę całym sercem.

Kłania się nam wszystkim, zanim przeczuci rękę za obwarowania o metalowych okuciach. Jej zdolność to niesamowicie wyczulone zmysły, które pozwalają jej widzieć dużo dalej niż nam.

– Ich siły znajdują się na zachodzie, tyłem do Duszni. Mają Burzowców i Mroźnych otoczonych pierwszym pierścieniem chmur. Nie będziecie w stanie ich dostrzec.

Cal wychyla się do przodu i przymrużając powieki, wpatruje się w gęste czarne chmury i siekący deszcz. Nie widzi jednak dalej niż na odległość czterystu metrów.

– Użyliście snajperów?

– Próbowaliśmy – generał Townsend odpowiada z westchnieniem.

Akkadi potwierdza.

– Strata amunicji. Wiatr spycha kule.

– Więc są też z nimi Wietrzycy. – Cal zaciska zęby. – Potrafią takie rzeczy.

Przekaz jest jasny. Wietrzycy z Norty, z domu Laris, zbuntowali się przeciw Mavenowi. Ta siła pochodzi więc od Lakelandczyków. Ktoś inny być może przegapiłby przebłysk uśmiechu u Cala i to, jak delikatnie rozluźnia ramiona, ale nie ja. I wiem, jaki jest tego powód. Został wychowany do tego, by walczyć z Lakelandczykami. Walka z takim wrogiem nie złamie mu serca.

– Potrzebujemy Elli. Jest najlepsza, jeśli chodzi o burzowe pioruny. – Pokazuję w górę na wieże wyglądające na tę część muru. – Jeśli znajdzie się wystarczająco wysoko, zwróci burzę przeciw nim. Nie będzie nad nią panować, ale pozyska jej -energię.

– Dobrze. Do dzieła – mówi Cal ostrym tonem. Widziałam go w walce, podczas bitwy, ale nigdy w podobnej sytuacji. Staje się zupełnie innym człowiekiem. Jest w pełni skoncentrowany, prawie jakby był maszyną, nie okazuje ani odrobiny delikatności czy słabości. Jedyne obecne w nim teraz ciepło to pożar, który ma na celu niszczyć. Zwyciężyć. – Kiedy Grawitroni skończą zrzuty, rozmieść ich tutaj w równych odległościach. Lakelandczycy będą szturmować mury. Utrudnijmy im poruszanie się. Kogo masz jeszcze do dyspozycji, generał Akkadi?

– Dobrą mieszankę defensywy z ofensywą – odpowiada. – Wystarczającą liczbę Bombardierów, żeby zamienić drogę do Duszni w pole minowe. – Z pełnym dumy uśmiechem wskazuje na stojących w pobliżu Nowych, którzy noszą na rękawach symbol przypominający rozbłysk słońca. Bombardierzy. Są lepsi niż Niwecznicy: potrafią wywołać eksplozję już samym spojrzeniem, nie tylko

dotykami.

– Dobry plan – mówi Cal. – Trzymaj swoich Nowych w gotowości. Uderz, gdy uznasz za stosowne.

Jeśli Townsend nie lubi, kiedy mu się mówi, co ma robić, a w dodatku tą osobą jest Srebrny, to tego nie okazuje. Podobnie jak my czuje w powietrzu pulsowanie śmierci. Nie ma czasu na polityczne gry.

– A moi żołnierze? Mam na murach tysiąc Czerwonych.

– Niech tam zostaną. Kule przydadzą się tak samo jak umiejętności, czasem nawet bardziej. Ale oszczędzajcie amunicję. Celujcie tylko w tych, którzy precyzyjnie się przez pierwszą linię obrony. Oni chcą nas nadwyreżyc, ale się nie damy. – Spogląda na mnie. – Zgadza się?

Uśmiecham się i mrugam powiekami pośród zalewającego mnie deszczu.

– Tak jest.

\*

Na początku zastanawiam się, czy Lakelandczycy tak wolno się poruszają, czy są tacy głupi. Zajmuje to prawie godzinę, ale dzięki Cameron, Grawitronom i Teleporterom udaje nam się ściągnąć do Corvium załogi ze wszystkich odrzutowców. Około tysiąca wyszkolonych i śmiertelnie niebezpiecznych żołnierzy. Niepewność, jak twierdzi Cal, działa na naszą korzyść. Srebrni nadal nie wiedzą, jak walczyć z ludźmi takimi jak my. Nie wiedzą, do czego naprawdę jesteśmy zdolni. Sądzę, że to dlatego Cal daje Akkadi wolną rękę. Nie zna jej oddziałów na tyle dobrze, żeby najlepiej nimi dowodzić. Ale zna Czerwonych. Pozostawia to w moich ustach gorzki posmak, który próbuję przełknąć. Staram się nie zastanawiać, ilu Czerwonych poświęcił w bezsensownej wojnie chłopak, którego kocham.

Burza nadal się przetacza. Z kłębiących się chmur nieustannie leje deszcz. Jeśli wróg próbuje nas zalać, to zajmie mu to dużo czasu. Większość wody spływa do otworów kanalizacyjnych, choć w położonych najniżej uliczkach stoi nawet piętnaście centymetrów mętnej deszczówki. Cal jest tym zaniepokojony. Cały czas ociera twarz albo odgarnia włosy, a jego skóra delikatnie paruje na chłodzie.

Farley nie udaje dzielnej wojowniczkę. Naciągnęła kurtkę na głowę już jakiś czas temu i wygląda niczym bordowy duch. Mam wrażenie, że nie rusza się przez całe dwadzieścia minut, głowę wspiera na skrzyżowanych ramionach i wpatruje się w roztaczający krajobraz. Jak reszta z nas czeka na atak, który może nastąpić w każdej chwili. Jestem kłębką nerwów, a szalejąca mi we krwi adrenalina pozbawia mnie sił niemal tak samo jak Cichy Kamień.

Podskakuję złąkniona, kiedy słyszę głos Farley.

– Lory, myślisz o tym, co ja?

Przycupnięta wyżej Lory także naciągnęła kurtkę na głowę. Nie odwraca się,

by nie rozpraszać swoich zmysłów.

– Mam nadzieję, że się mylę.

– O co chodzi? – pytam, patrząc to na jedną, to na drugą. Ten ruch powoduje, że za kołnierz dostaje mi się świeża deszczówka, i zaczynam się trząść. Widząc to, Cal staje bliżej za moimi plecami i dzieli się ze mną swoim ciepłem.

Farley powoli się obraca, próbując nie dać się przemoczyć.

– Burza się przemieszcza. Jest coraz bliżej. Z każdą minutą o kilka metrów i robi się coraz szybsza.

– Cholera – szepcze Cal za moimi plecami i natychmiast rusza do działania, zabierając ze sobą swoje ciepło. – Grawitroni w pełnej gotowości! Na mój znak zacieśnicie uścisk na polu grawitacyjnym – „Zacieśnicie”. Nigdy nie widziałam, żeby Grawitron używał swojej umiejętności, aby wzmacniać grawitację, tylko żeby ją poluźnić. – Ściągniecie to, co nadciąga.

Na moich oczach burza nabiera prędkości. Dalej kłębi się i wije, ale z każdym obrotem jest coraz bliżej, a z chmur leje jak z cebra. Głęboko w jej kłębach błyska piorun, jest blady i pozbawiony koloru. Przymrużam oczy i przez chwilę rozbłyska na fioletowo, rozczapierzając się z siłą i gniewem. Tylko że nie mam jeszcze w co uderzyć. Błyskawica, nieważne jak silna, jest bezużyteczna bez jakiegoś celu.

– Wojska maszerują za burzą, są coraz bliżej! – woła Lory, potwierdzając nasze najgorsze obawy. – Nadchodzą.



## Rozdział 28

### Mare

Wszędzie słyhać wycie wiatru. Chłosta mury i obwarowania, zdmuchując ludzi z obranych pozycji. Deszcz zamarza na kamiennym bruku, przez co musimy uważać na każdy krok. Pierwsza ofiara spada z muru. Czerwony żołnierz, jeden z ludzi Townsenda. Wiatr wydyma mu kurtkę i przeciąga go po śliskim chodniku. Chłopak krzyczy, kiedy leci z krawędzi dziesięć metrów w dół – zanim wystrzeli w górę dzięki koncentracji Grawitrona. Z impetem spada z powrotem na mur w akompaniamencie przyprawiającego o mdłości trzasku. Grawitron nie miał wystarczającej kontroli. Ale żołnierz żyje. Jest ranny, ale żyje.

– Wszyscy w gotowości! – Niesie się po zastępach żołnierzy w zielonych i czerwonych mundurach. Kiedy wiatr znów zaczyna dać, zapieramy się. Przykucam za lodowatym metalem jednego z obwarowań, gdzie przeczekuję najgorsze. W przeciwieństwie do zwykłej pogody atak Wietrzyców jest nieprzewidywalny. Wiatr rozdziela się i zakrzywia jak szpony. A przez cały ten czas otaczająca nas burza przybiera na intensywności.

Cameron wciska się obok mnie. Patrzę na nią zaskoczona. Powinna znajdować się na tyłach z Uzdrowicielami i tworzyć ostatnią linię obrony przed atakiem. Jeśli ktokolwiek jest w stanie obronić ich przed Srebrnymi, dać im czas i przestrzeń, aby uleczyli rany naszych żołnierzy, to właśnie ona. Dziewczyna drży i szczęka zębami z zimna. W ciemności i chłodzie wydaje się mniejsza i młodsza. Zastanawiam się, czy skończyła choć szesnaście lat.

– Wszystko w porządku, dziewczyno od błyskawic? – mówi z lekką trudnością. Po twarzy ścieka jej woda.

– W porządku – mruczę w odpowiedzi. – Co tutaj robisz?

– Chciałam popatrzeć – kłamie. Jest tutaj, bo wierzy, że powinna. „Czy ja was porzucam?”, pytała wcześniej. Znów widzę w jej oczach tę wątpliwość. Moja odpowiedź się nie zmieniła. Jeśli Cameron nie chce mordować, to nikt nie powinien jej zmuszać.

Kręcę głową.

– Ochroniaj Uzdrowicieli, Cameron. Wracaj do nich. Są bezbronni, a jeśli oni zginą...

Cameron przygryza wargę.

– To my też.

Wpatrujemy się w siebie i próbujemy być silne. Próbuujemy znaleźć tę siłę w sobie nawzajem. Tak jak ja, Cameron jest przemoczona do suchej nitki. Jej

ciemne rzęsy są pozlepiane wodą i za każdym razem, kiedy mruga, wygląda, jakby płakała. Obie mrużymy oczy, kiedy na twarze spadają nam grube krople deszczu i spływają po policzkach. Aż nagle krople zaczynają płynąć w przeciwnym kierunku, do góry. Oczy Cameron robią się równie wielkie jak moje i obie rozglądamy się z przerażeniem.

– Wodniacy atakują! – wykrzykuje ostrzeżenie.

Nad nami migocze deszcz i tańczy w powietrzu, łącząc się w coraz większe i większe krople. A kałuże, centymetry wody na ulicach i w zaułkach zmieniają się w rzeki.

– Przygotować się! – krzyczy ktoś. Tym razem zamiast wiatru uderza nas lodowata woda, która pieni się na biało jak fala, gdy zalewa i opływa mury oraz budynki. Woda uderza mnie z impetem i wałę w mur, aż kręci mi się w głowie. Kilka osób spada w kłęby burzy. Ich ciała szybko znikają w otchłani podobnie jak ich krzyki. Grawitroni ratują paru z nich, ale nie wszystkich.

Cameron na czworakach próbuje dostać się z powrotem do schodów. Używa swojej umiejętności, aby stworzyć wokół siebie kokon bezpieczeństwa, i zbiega na swoją pozycję, daleko za drugim murem.

Cal ślizga się obok mnie, prawie tracąc równowagę. W oszołomieniu łapię go i przyciągam do siebie. Jeśli spadnie z muru, to wiem, że rzucę się za nim. Patrzy z przerażeniem, jak woda młóci naszych ludzi niczym morskie fale podczas sztormu. Czuje się bezużyteczny. Jego płomień na nic się tu nie przyda. Ogień nie zapłonie. Z moją błyskawicą jest podobnie. Wystarczyłaby jedna iskra, a poraziłabym prądem naszych ludzi. Nie podejmę takiego ryzyka.

Akkadi i Davidson nie mają podobnych ograniczeń. Podczas gdy premier rozpościera na skraju muru jaskrawą niebieską tarczę, chroniąc pozostałych przed upadkiem, Akkadi wykrzykuje rozkazy do swoich oddziałów Nowych, których nie słyszę przez rozbijające się fale.

Woda zaczyna się marszczyć i drzeć, nagle zmagając się sama ze sobą. My też mamy Wodniaków.

Ale nie Burzowców. Nie posiadamy Nowych, którzy potrafiliby przejąć kontrolę nad huraganem wokół nas. Jego ciemność, tak nieprzenikniona, jakby był środek nocy, coraz bardziej nas osacza. Będziemy musieli walczyć na oślep. A prawdziwa walka jeszcze się nawet nie rozpoczęła. Nadal nie widziałam ani jednego z żołnierzy Mavena, ani z armii Lakelandczyków. Ani jednej czerwonej lub niebieskiej flagi. Ale nadciągają. Bez wątpienia nadciągają.

Zaciskam zęby.

– Wstawaj.

Książę jest ociążały, spowalniany przez swój strach. Przykładając mu dłoń do karku, leciutko porażam go prądem. Łagodnie, tak jak nauczył mnie Tyton. Cal zrywa się na nogi nagle ożywny i przytomny.

– Dzięki – mówi cicho. Jednym spojrzeniem ocenia sytuację. – Temperatura spada.

– Genialnie – syczę w odpowiedzi. Każda część mojego ciała zdaje się zamrożona na kość.

Nad nami szaleje woda, rozdziela się i przyjmuje nowe kształty. Chce opaść na dół, chce się rozprościć. Część strumienia oddziela się od reszty i przeskakuje nad tarczą Davidsona, zmierzając ku burzy niczym przedziwny ptak. Po chwili reszta spada na ziemię i znów jesteśmy mokrzy od stóp do głów. Ale i tak rozlegają się wiwaty. Nasi Nowi Wodniacy, choć mniej liczni i wzięci z zaskoczenia, nie oddali pola i wygrali swoją pierwszą potyczkę.

Cal nie włącza się w świętowanie. Zamiast tego pociera o siebie nadgarstki i krzesze słaby płomień, który krztusi się pośród opadów. Aż nagle deszcz zamienia się w śnieżną burzę. W całkowitej ciemności śnieg błyszczy na czerwono, odbijając słabe światła Corvium i płomienie Cala.

Czuję, jak włosy na głowie zaczynają mi zamarzać, więc potrząsam kucykiem. Odrywają się z niego lodowe kolce i lecą na wszystkie strony.

Z burzy wydobywa się ryk, inny niż odgłosy wiatru. Tworzy go wiele głosów. Kilkanaście, setka, tysiąc. Ciemna jak noc zamieć napiera coraz mocniej. Cal na moment przymyka oczy i głośno wzdycha.

– Przygotować się do ataku! – mówi ochryplym głosem.

Pierwszy lodowy most przebija obwarowanie około pół metra ode mnie, na co odskakuję z jękiem. Kolejna kładka rozłupuje kamień sześć metrów dalej i sunąc niczym położony poziomo brzeszczot, kaleczy żołnierzy poszarpanymi krawędziami. Arezzo i inni Teleporterzy zrywają się do działania, zbierają rannych i przeskakują prosto do naszych Uzdrowicieli. Lakelandzcy żołnierze, którzy w ciemności wyglądają jak potwory, zeskakują z mostów – biegli po lodzie w tym samym czasie, kiedy ten się budował. Są od razu gotowi do ataku.

Widziałam wcześniej Srebrnych w boju. Ich taktyką jest chaos.

Teraz jest jeszcze gorzej.

Cal rzuca się do przodu, wysoko wystrzelivując z siebie salwy płomieni. Lód jest gruby i nie da się go tak łatwo stopić, więc za pomocą ognia odrąbuje kawałek z najbliższego mostu jak drwal piłą łańcuchową. Traci przez to siły. Wymierzam cios pierwszemu Lakelandczykowi, aby zbliżyć się do Cala, a moje iskry posyłają mężczyznę w zbroi w ciemną przepaść za murem. Zaraz za nim spada następny, a po mojej skórze pełzają fioletowo--białe żyłki syczącej błyskawicy. Wystrzały zagłuszają wszelkie rozkazy. Skupiam się na sobie i na Calu. Na naszym przetrwaniu. Farley trzyma się blisko nas, mierząc z pistoletu. Tak jak Cal osłania mnie plecami, przez co pozostaje mi krycie nas od ataków z boku. Nawet nie mrugnie okiem, bezlitośnie ostrzelivując najbliższy most. Skupia się na nim, nie na wojownikach, którzy wyłaniają się z zamieci. Kładka

pęka na kawałki pod napastnikami i znika w ciemności.

Odgłosy grzmotów są coraz bliżej. Niebiesko--białe błyskawice rozbłyskują w chmurach i spadają wokół Corvium. Ella przypuszcza ze szczytu wieży śmiertelny atak, który trafia w pola tuż za murami. Ofiarą jej gniewu pada jeden z mostów, który pęka na pół – jednak w lot się odbudowuje z woli Mroźnego, który ukrywa się gdzieś w pobliżu. Bombardierzy robią to samo i rozsadzają przy użyciu swoich zdolności szkliste kawały lodu. Ale te zaraz powracają nad kolejną częścią muru. Gdzieś po mojej lewej stronie strzela zielona błyskawica, którą Rafe wymierza w biegnącą ku nam hordę Lakelandczyków. Jego cios natrafia na wodną tarczę, która pochłania strumień prądu, nie spowalniając szarzy. Woda nie powstrzymuje jednak pocisków. Farley zaciekle ich ostrzeliwuje i kilku Srebrnych pada na miejscu. Ich ciała osuwają się w ciemność.

Spoglądam na najbliższy most żołnierzy. Zamiast na lodzie skupiam się na wybiegających z ciemności postaciach. Ich niebieskie zbroje są grube, pokryte łuską, a hełmy sprawiają, że nie wyglądają jak ludzie. Dzięki temu łatwiej ich zabijać. Pchają się do przodu i szturmują mury. Wiją się niczym wąż z pozbawionych twarzy potworów. Z mojej przykurczonej dłoni eksploduje fioletowa błyskawica i przebija im serca, przeskakując z jednej zbroi na drugą. Metal rozgrzewa się do czerwoności i wielu w agonii spada z mostu. Zastępują ich kolejni, którzy wyłaniają się z burzy. To strefa nieustannego zagrożenia, wir śmierci. Na policzkach zamarzają mi łzy, gdy próbuję zliczyć, ilu ludzi rozszarpuję na kawałki.

Nagle pod moimi stopami pęka ściana muru otaczającego miasto. Następujący dalej cios sprawia, że drzę aż po kości. Po nim przychodzi kolejny i kolejny. Szpara się poszerza. Szybko wybieram jedną ze stron wyrwy i przeskakuję do Cala, zanim pęknięcie mnie pochłonie. Poprzez szczelinę pną się korzenie grube jak moja ręka, które rosną jak oszalałe. Rozrywają kamień niczym gigantyczne palce i posyłają po murze pajęczyny pęknięć, co wygląda, jakby w kamień trafił piorun. Mur załamuje się pod własnym ciężarem.

Strażnicy Zieleni.

– Wybiją dziurę w murze – szepcze Cal. – Rozwałą go i zaatakują dołem.

Zaciskam dłoń w pięść.

– Co z tym zrobimy? – Ale Cal wpatruje się we mnie pustym wzrokiem zupełnie bezradny. – Musi być coś, co jesteśmy w stanie zrobić!

– To wszystko przez burzę. Jeśli będziemy mogli się jej pozbyć i zyskać widoczność, wykorzystamy nasze umiejętności... – Mówiąc, posyła strumień ognia na korzenie, które coraz bardziej się do nas zbliżają. Zajmują się płomieniami na całej długości i po chwili zamieniają w popiół. Ale szybko odrastają. – Potrzebni nam Wietrzy. Muszą rozgonić chmury.

– Dom Laris. Czyli odpieramy atak, aż tutaj dotrą?

– Tak. I miejmy nadzieję, że to wystarczy.

– Dobra. A jeśli chodzi o to... – Skinieniem głowy pokazuję na szczelinę, która poszerza się z każdą sekundą. Wkrótce wyskoczy z niej cała Srebrna armia. – Sprawmy im wybuchowe powitanie.

Cal kiwa głową na znak, że załapał.

– Bombardierzy! – wrzeszczy, przebijając się przez świst wiatru i śniegu. – Zejdźcie na dół i bądźcie w gotowości! – Pokazuje palcem na ulicę biegnącą po wewnętrznej stronie miejskiego muru. To tam w pierwszej kolejności przedostaną się Lakelandczycy.

Rozkazy wykonuje kilkunastu Bombardierów, którzy opuszczają swoje pozycje, aby pilnować ulicy. Moje stopy poruszają się, jakby miały własną wolę, i ruszają za nimi. Cal chwytą mnie za nadgarstek, a ja prawie wywijam orła.

– Nie mówiłem, że ty też – warczy. – Ty zostajesz tutaj.

Próbuję wykręcić się z jego uścisku. Jest zbyt gwałtowny, ciężki jak kajdany. Nawet w zarzewiu walki czuję, jak przenoszę się w czasie do miesiący, kiedy byłam więźniem w pałacu.

– Cal, pomogę Bombardierom odeprzeć atak. Dam radę. – Jego oczy w kolorze brązu migoczą w ciemności jak czerwone płomienie dwóch płonących świec. – Jeśli sforsują mur, znajdziesz się w pułapce. A wtedy burza stanie się najmniejszym z naszych zmartwień.

Jego decyzja jest szybka – i głupia.

– Dobra, idę z tobą.

– Ale oni cię potrzebują. – Kładę mu dłoń na piersi i odpycham od siebie. – Farley, Townsend, Akkadi, żołnierze potrzebują generałów na linii frontu. I ciebie też.

Gdyby nie bitwa, Cal by ze mną dyskutował. Teraz gładzi moją dłoń. Nie ma na to czasu. Zwłaszcza kiedy mam rację.

– Nic mi nie będzie – mówię mu i biegnę na dół, ślizgając się na zamrzniętych kamieniach. Burza pochłania jego odpowiedź. Poświęcam tylko moment, by martwić się o niego i zastanawiać, czy jeszcze kiedyś się zobaczymy. Z kolejną chwilą myśli te znikają. To nie czas na nie. Nie mogę się dekoncentrować. Muszę myśleć o tym, by nie dać się zabić.

Podnoszę nogi i zjeżdżam po zamrzniętych schodach, a zamrznięte balustrady wyślizgują mi się z przykurczonych dłoni. Na ulicy, gdzie tak nie wieje, powietrze jest dużo cieplejsze i nie ma kałuż. Albo zamrzły, albo wodę wykorzystano do ataku na obrońców muru Corvium.

Bombardierzy stoją przed szczeliną w murze i rozstawiają się szerzej z każdą sekundą. W górze na obwarowaniach szczelina jest szeroka na przynajmniej metr, ale tutaj ma zaledwie kilkanaście centymetrów – i wciąż się poszerza. Kamień pod moimi stopami znów zaczyna drżeć, jak w wyniku eksplozji albo wstrząsów

sejsmicznych. Ciężko przełykam ślinę i wyobrażam sobie Siłaczkę po drugiej stronie muru, która okłada pięściami fundamenty konstrukcji.

– Wstrzymujcie się z atakiem – mówię Bombardierom. Patrzą na mnie, czekając na rozkazy, mimo że nie jestem od nich wyższa rangą. – Żadnych wybuchów, dopóki nie zyskamy całkowitej pewności, że przebili się na drugą stronę. Nie będziemy im pomagać.

– Przytrzymam intruzów tarczą, ile się tylko da – odzywa się głos za moimi plecami.

Odwracam się na pięcie i widzę Davidsona z twarzą ochlapaną srebrną krwią, która powoli robi się czarna. Wygląda blado pod strużkami krwi, jakby był nimi zaskoczony.

– Premierze – mówię cicho, pochylając głowę. Odpowiada po długiej chwili. Jest oszołomiony walką. Na polu bitwy wygląda to inaczej niż na poligonie.

Kieruję strumień prądu na naszych przeciwników. Używając korzeni jako mapy, posyłam błyskawicę po tkankach rośliny, która wije się po pnączach aż do swojego źródła. Nie widzę Strażnika Zieleni po drugiej stronie, ale go czuję. Choć moja błyskawica jest przytępiona przez gęstwinę korzeni, przesywa jego ciało. Poprzez szczeliny w kamieniu niesie się odległy krzyk, który w jakiś sposób przebija się ponad odgłosy panującego wokół nas zamętu.

Strażnik Zieleni nie jest jedynym Srebrnym, który potrafi poradzić sobie z kamieniem. Jego miejsce zajmuje kolejny, a sądząc po tym, jak kamień drży i trzeszczy, jest to Siłacz. Cios po ciosie posyła odłamki kamieni i pył poprzez poszerzającą się szczelinę.

Davidson stoi po mojej lewej stronie z lekko rozdziawionymi ustami. Jest oniemiały z wrażenia.

– Pierwsza bitwa? – mruczę, kiedy w kamień trafia kolejny gromki cios.

– Ależ skąd – odpowiada ku mojemu zaskoczeniu. – Też byłem kiedyś żołnierzem. Mówiono mi, że znajdowałem się na twojej liście.

„Dane Davidson”. To nazwisko coś mi mówi, trzepocze gdzieś w mojej pamięci jak motyl delikatnie ocierający się skrzydłami o kraty kościanej klatki. Przypominam je sobie powoli, z wielkim mozolem, jakbym próbowała iść przez błoto.

– Lista Juliana.

Kiwa głową.

– Mądry człowiek z tego Jacosa. Potrafi połączyć ze sobą elementy, których inni nawet nie dostrzegają. Tak, byłem jednym z nortańskich Czerwonych, na których egzekucji miał dokonać własny legion. Za zbrodnie krwi, nie ciała. Kiedy uciekłem, oficerowie i tak odnotowali mnie jako martwego. Żeby nie musieli się tłumaczyć, że pozwolili zbiec kolejnemu kryminaliście. – Oblizuje spękane od zimna usta. – Uciekłem do Montfortu, po drodze zabierając ze sobą innych.

Następny trzask. Otwór przed nami się poszerza, a ja odzyskuję czucie w palcach stóp. Poruszam nimi w butach, szykując się do walki.

– Brzmi znajomo.

Głos Davidsona nabiera mocy i tempa, gdy opowiada dalej. Jakby sobie przypominał, o co walczyliśmy.

– Montfort był w ruinie. Tysiące Srebrnych walczyło między sobą o swoje korony, każda góra była oddzielnym królestwem, kraj był kompletnie podzielony. Tylko Czerwoni byli zjednoczeni. A Ardenci stali w cieniu, czekając, aż ktoś wykorzysta ich moce. Dziel i rządź, panno Barrow. To jedyny sposób, aby ich pokonać.

Królestwo Norty, królestwo Rowów, Piedmont, Lakelandia. Srebrni skaczą sobie do gardeł, użerają ze sobą o coraz nędzniejsze skrawki, podczas gdy my czekamy, aby zgarnąć dużo więcej. Choć Davidson wydaje się tym wszystkim przytłoczony, niemal czuję stal w jego kościach. Być może jest geniuszem. Na pewno jest niebezpieczny.

Do rzeczywistości przywołuje mnie powiew śniegu. Głowę powinno mi zaprzętać tylko to, co dzieje się tu i teraz. „Przetrwanie. Zwycięstwo”.

Nagle przez rozsypujący się mur przebija zabarwiona na niebiesko energia, która pulsuje poprzez szeroką na pół metra szczelinę. Wyciągnięciem dłoni Davidson tworzy ochronną tarczę. Z jego brody skapuje kropla krwi, która paruje na zimnie.

Osoba po drugiej stronie bezlitośnie okłada pięściami drżącą tarczę. Dołącza do niej kolejny Siłacz i zaczyna pracować nad poszerzeniem wyrwy w kamieniu. Tarcza rozciąga się.

– Przygotujcie się – mówi Davidson. – Kiedy rozdzielę tarczę na pół, walcie w środek ile sił.

Słuchamy rozkazu i szykujemy się do ataku.

– Trzy.

Spomiędzy moich palców wysnuwa się sieć fioletowych iskier, które tworzą pulsującą kulę niszczycielskiego światła.

– Dwa.

Bombardierzy klękają, formując szyk niczym oddział snajperów. Zamiast pistoletów mają tylko palce i oczy.

– Jeden.

Niebieska tarcza na moment mruga, dzieli się na pół i dociska dwóch Siłaczy do muru z obrzydliwym trzaskiem kości. Strzelamy poprzez przerwę w tarczy, moja błyskawica płonie. Rozjaśnia ciemność, która ciągnie się w głąb, ukazując kilkunastu wojowników gotowych ruszyć na czoło szczeliny. Wielu pada na kolana, staje w płomieniach i splywa krwią, kiedy Bombardierzy rozsadzają im wnętrzności. Zanim którykolwiek z nich zdoła się pozbierać, Davidson łączy tarczę

w całość, powstrzymując grad kul zmierzający w naszą stronę.

Wygląda na zaskoczonego naszym sukcesem.

Na murze nad nami na tle czarnej burzy kotłuje się ogniowa kula, pochodnia pośród mroku tej nienaturalnej nocy. Ogień Cala rozprzestrzenia się i uderza w cel węzłem płomieni. Czerwony żar zamienia niebo w szkarłatne piekło.

Jedynie zaciskam pięść i pokazuję na Davidsona.

– Jeszcze raz – mówię mu.

\*

To wręcz niemożliwe stwierdzić, ile czasu upłynęło. Bez słońca trudno oszacować, ile czasu spędziliśmy, próbując powstrzymać wszelkie próby przedarcia się do środka. Mimo że wciąż odpieramy ataki, działania wroga kawałek po kawałku poszerzają przesmyk. „Centymetry z kilometrów”, powtarzam sobie w duchu. Fala żołnierzy atakująca mur na górze nie zdobyła obwarowań. Cały czas powstają nowe lodowe mosty, a my cały czas je niszczymy. Na ulicy leżą kilka trupów, których do życia nie wskrzesi nawet dotyk Uzdrowiciela. Między jednym atakiem a drugim zaciągamy ciała do bocznych uliczek, by nie leżały na widoku. Każdej pozbawionej życia twarzy przyglądam się, wstrzymując oddech. Nie Cal, nie Farley. Jediną znaną mi osobą jest Townsend, -któremu złamano kark. Spodziewam się napływu poczucia winy lub współczucia, ale niczego nie czuję. Zdaję sobie jedynie sprawę, że Siłacze znajdują się także na górze i rozdierają naszych ludzi na kawałki.

Tarcza Davidsona rozciąga się nad szczeliną, która teraz ma przynajmniej trzy metry, i wygląda jak ziewająca kamienna paszcza. W jej rozwarciu leżą ciała. Trupy powalone piorunem, z których unosi się dym, albo brutalnie rozdarte na kawałki bezlitosnym spojrzeniem Bombardiera. Mimo rozedrganego niebieskiego pola, widzę, jak w ciemności gromadzą się cienie, które czekają, by znów zaatakować naszą blokadę. Ze zdolnością Davidsona mierzą się strumienie wody i lodu. Po przesmyku niesie się wycie Zawodźciciela i nawet jego echo jest bolesne dla naszych uszu. Davidson się krzywi. Teraz krew na jego twarzy przecinają krople potu, które skapują mu z czoła, nosa i policzków. Jemu kończą się siły, a nam czas.

– Niech ktoś ściągnie mi tu Rafe’a! – krzyczę. – I Tytona.

Biegacz natychmiast zrywa się na nogi i skacze po stopniach w górę, aby ich odnaleźć. Patrząc na mur, szukając znajomej sylwetki.

Cal działa w szaleńczym tempie z dokładnością maszyny. Krok, obrót, atak. Krok, obrót, atak. Tak jak ja znajduje w głowie puste miejsce, w którym jedyną myślą jest walka. Przy każdej przerwie od napierających na nich wrogów reorganizuje ustawienie żołnierzy i wydaje Czerwonym polecenia, jak mają strzelać, albo współpracuje z Akkadi i Lory, by eliminować cele w ciemnościach.



Nie jestem w stanie stwierdzić, ilu z nich nie żyje.

Z murów spada kolejne ciało, które koziołkuje w drodze na ziemię. Łapię je za rękę i zaciągam na bok, zanim zdam sobie sprawę, że jego zbroja to wcale nie zbroja, tylko poparzone kawałki kamiennego ciała, które tlą się od gniewnego żaru księcia płomieni. Odskakuję zaskoczona, jakbym się oparzyła. Twardoskóry. Ubrania na jego martwym ciele są niebieskie i szare. Dom Macanthos. Norta. To jeden z ludzi Mavena.

Przełykam ślinę, wiedząc, co to oznacza. Siły Norty dotarły do murów. Nie walczyliśmy już z Lakelandczykami. W mojej piersi wzbiera ryk wściekłości i prawie chciałabym sama wybiec poprzez szczelinę w murze. Przedrzeć się na drugą stronę. Wytropić go. Zabić go pomiędzy jego armią i moją.

Wtedy trup zaciska na mnie łapska.

Wykręca mi rękę i mój nadgarstek łamie się z gwałtownym chrzęstem. Wydaję z siebie przenikliwy jęk, czując nagły, koszmarny ból, który rozchodzi mi się po ramieniu.

Błyskawica wyrywa się ze mnie niczym krzyk. Obsypuje jego ciało fioletowymi iskrami i oblewa zabójczym, migającym światłem. Jednak albo jego kamienny tułów jest zbyt gruby, albo wola życia zbyt mocna. Twardoskóry nie puszcza. Jego silne jak obcęgi palce sięgają teraz mojej szyi. Na jego plecach błyskają eksplozje wywołane przez Bombardierów. Kawałki kamienia odpryskują od niego niczym martwa skóra i Srebrny zaczyna wściekle ryczeć. Ból sprawia jednak, że jego uścisk robi się jeszcze mocniejszy. Popelniam błąd i próbuję zedrzyć z siebie jego dłonie, które teraz zaciskają mi się już na gardle. Kamieniste ciało przecina mi skórę, a pomiędzy palców wypływa krew – czerwona i gorąca w kontakcie z zimnym powietrzem.

Mam plamki przed oczami i wypuszczam kolejną błyskawicę, głos mojej agonii. Siła uderzenia odrywa go ode mnie i rzuca nim o ścianę budynku. Srebrny wbija się w mur głową, jego ciało wisi na ulicy. Bombardierzy dobijają go eksplozjami, które kierują w odsłoniętą skórę na plecach.

Davidson trzęsie się na nogach, nadal utrzymując słabnącą tarczę. Wszystko widział, ale gdyby próbował coś zrobić, wpuściłby do twierdzy naszych wrogów. Kącik jego ust lekko drży, jak gdyby chciał przeprosić za to, że podjął słuszną decyzję.

– Ile jeszcze dasz radę wytrzymać? – pytam, ciężko sapiąc. Sплюwam krwią na bruk.

Zaciska zęby.

– Chwilę.

„Niewiele mi to mówi”, odszczekuję w myślach.

– Minutę? Dwie?

– Jedną – udaje mu się wydusić.

– Jedna wystarczy.

Patrzę, jak jaskrawoniebieski kolor tarczy traci intensywność wraz z ubytkiem siły Davidsona. Im bardziej tarcza robi się przezroczysta, tym wyraźniej widać postaci po drugiej stronie. Niebieska zbroja i czarne mundury z czerwonymi elementami. Lakelandia i Norta. Żadnej korony, żadnego króla, jedynie oddziały szturmowe, których zadaniem jest nas zmiażdżyć. Maven nie postawi stopy w Corvium, chyba że miasto stanie się jego. Jego brat będzie aż do śmierci walczył na murach, ale król Norty nie jest na tyle głupi, by ryzykować swoje życie w walce. Wie, że na polu bitwy nie wypadłby najlepiej, swoje mocne strony prędzej wykorzysta za linią frontu, zasiadając na tronie.

Rafe i Tyton podchodzą do nas z przeciwległych stron, gdzie bronili swoich odcinków muru. Podczas gdy Rafe wygląda nienagannie, a jego zielone włosy wciąż są gładko zaczesane na tył głowy, Tyton jest umazany krwią srebrnego koloru. Elektrykon nie jest ranny. Jego oczy błyszczą dziwnego rodzaju złością i odzwierciedlają czerwoną lunę ognia, który płonie na murach nad naszymi głowami.

Zauważam Darmiana wraz z innymi Taranami, ludźmi obdarzonymi niewrażliwym na ból ciałem. Niosą groźnie wyglądające topory, których krawędzie wydają się ostre jak brzytwy. Dobre do walki z Siłaczami. W kontaktowej walce to nasza najlepsza broń.

– Formować szyk – mówi Tyton z właściwą sobie oszczędnością.

Idę ustawić się za plecami Davidsona. Trzęsą mu się ręce, kiedy przyjmujemy pozycje, ale próbuje wytrzymać najdłużej jak się da. Rafe staje z mojej lewej strony, Tyton z prawej. Zerkam to na jednego, to na drugiego, zastanawiając się, czy powinnam coś powiedzieć. Czuję statyczną elektryczność, która od nich emanuje, znajomą, choć nietypową. To ich energia, nie moja.

Na niebie wciąż szaleje niebieski piorun. Ella dostarcza nam energii, a my wysysamy ją jak pijawki.

– Trzy – mówi Davidson.

Zieleń po lewej, biel po prawej. Kątem oka widzę oba kolory, a każda iskra jest jak cichy puls.

– Dwa.

Wciągam w płuca jeszcze jeden oddech. Boli mnie gardło posiniaczone przez Twardoskórego. Ale nadal oddycham.

– Jeden.

Tarcza po raz kolejny opada, odsłaniając nas na atak nadciągającej burzy.

– WYŁOM! – niesie się po obwarowaniach, kiedy siły przenoszą uwagę na szczelinę w ścianie. Srebrna armia napiera w naszą stronę z ogłuszającym wrzaskiem. Zielone i fioletowe pioruny wstrząsają polem walki i dosięgają pierwszą falę żołnierzy. Tyton porusza się, jakby rzucał lotkami, a drobne igły jego

błyskawic eksplodują z oślepiającym blaskiem, wysadzając Srebrnych w powietrze. Wielu dostaje ataku drgawek. Tyton nie ma litości.

Bombardierzy ruszają na naszą komendę i trzymają się blisko, kiedy podchodzimy do szczeliny. Aby działać, potrzebują jedynie czystej linii strzału, a ich atak w równym stopniu niszczy kamień co ciało i ziemię. Wraz ze śniegiem opada ziemia, a powietrze smakuje jak popiół. Czy tak właśnie wygląda wojna? Czy tak walczy się w Duszni? Tyton ruchem ręki odsuwa mnie na bok. Wyprzedza nas Darmian i inni Tarani, którzy tworzą coś na kształt ludzkiej tarczy. Ich topory wirują we wszystkie strony, krew tryska na boki, aż mury pokrywają lustrzane bryzgi płynnego srebra.

Nie. Przypominam sobie Dusznię. Okopy. Ciągące się po horyzont pola, które powstały przez trwający dziesięciolecia rozlew krwi. Każda ze stron знаła przeciwnika. Tamta wojna była straszna, ale o określonych zasadach. Tu trwa absolutny koszmar.

Lakelandczycy i Nortańczycy wlewają się do szczeliny. Każdy popychany przez kobietę lub mężczyznę za swoimi plecami. Podobnie jak na mostach, z impetem wdzierają się do strefy starcia. Tłum porusza się niczym ocean – jedna fala wciąga nas do tyłu, zanim kolejna zostanie popchnięta do przodu. Mamy przewagę, ale niewielką. W ściany uderzają następni Siłacze, licząc, że poszerzą przesmyk. Psychicy rzucają w nas gruzem, w ten sposób ścierając na proch jednego z Bombardierów, podczas gdy drugi zastyga z ustami rozwartymi w niemym krzyku.

Tyton porusza się zwinnymi ruchami, a z obu jego dłoni wystrzelują białe błyskawice. Rzucam na ziemię sieć i rozlewam kałużę energii elektrycznej pod ciężkie stopy nadciągającej armii. Ciała piętczą się i tworzą w szczelinie coś na kształt drugiego muru. Jednak Psychicy je usuwają i posyłają prosto w czarną burzę.

Czuję smak krwi, ale za to ledwie odczuwam ból złamanego nadgarstka. Wisi luźno przy moim boku, a dzięki buzującej we mnie adrenalinie nie czuję strzaskanej kości.

Ulica i ziemia pod moimi stopami zamieniają się w strumień i spływają czerwienią oraz srebrem. Błotnisty grunt pochłania niejedno życie. Kiedy jeden z Nowych upada, wskakuje na niego Wodniak i zalewa mu nos i gardło. Topi się na moich oczach. Następne ciało leży na boku, a z jego gałek ocznych wystają korzenie. Jedyne, o czym myślę, to piorun. Nie pamiętam, jak się nazywam, jaki mam cel i o co walczę – liczy się tylko kolejny oddech. Kolejna sekunda, którą uda mi się przeżyć.

Psychik rozdziela mnie i Rafe'a, jego odrzucając do tyłu, a mnie w przeciwnym kierunku. Lecę do przodu, nad armią, która wlewa się do środka przez korytarz w murze. Na drugą stronę. Na mordercze pola Corvium.

Ląduję z impetem i koziołkuję przez kilka metrów, aż nagle coś mnie zatrzymuje, na wpół zanurzoną w lodowatym błocie. Przez tarczę adrenaliny przebija się do mnie szpikulec bólu, przypominając mi o zmasakrowanej kości nadgarstka i być może kilku innych. Kiedy próbuję usiąść prosto, burzowy wiatr szamocze mi ubrania, a odłamki lodu atakują oczy i policzki. Mimo że wiatr wciąż wyje, nie jest już tak ciemno. Nie czarno, lecz szaro. Zamieć o zmierzchu raczej niż o północy. Wyteżam wzrok i rozglądam się na boki, zbyt wysmagana wiatrem, żeby móc się podnieść.

Otwarte pola zielonej trawy, które kiedyś znajdowały się na zboczach Traktu Żelaznego, są teraz zamazniętą tundrą, a każde źdźbło jest jak lodowa brzytwa. Trudno stąd dostrzec, gdzie znajduje się Corvium. Nie mogliśmy nic zobaczyć poprzez czarną jak smoła burzę, ale nasi wrogowie zmagali się z tym samym problemem. Słaba widoczność hamuje ich tak samo jak nas. Dostrzegam kilka batalionów ściśniętych ze sobą cieni, zarysy sylwetek odznaczają się na tle burzy. Niektórzy próbują budować lodowe mosty, ale większość biegnie teraz w stronę szczeliny. Reszta czeka za moimi plecami, są jak smuga na skraju oka cyklonu. Rezerwy mogą liczyć setki, może tysiące. Na wietrze łopoczą niebieskie i czerwone flagi, które ledwie jestem w stanie odróżnić w panującym półmroku. „Ugrzęzłam między młotem a kowadłem”, wzdycham do siebie. I na dodatek leżę w błocie otoczona zwłokami żołnierzy i rannymi, którzy mogą się poruszać. Jedyne pocieszenie w tym, że większość skupiona jest na sobie, na swoich brakujących kończynach i rozprutych brzuchach, a nie na Czerwonej, która nagle znalazła się pośród nich.

Wokół mnie biegają lakelandzcy żołnierze i szykują się na najgorsze. Oni jednak maszerują dalej, w stronę gromowych chmur i reszty armii zmierzającej ku zniszczeniu.

– Biegnijcie do Uzdrowicieli! – jeden z nich krzyczy na tyły, nawet się nie odwracając. Spoglądam na siebie i widzę, że jestem pokryta srebrną krwią. Odrobinę też czerwoną, ale głównie srebrną.

Szybko zasmarowuję błotem swoje krwawiące rany oraz zielone elementy munduru. Czuję przeszywający mnie ból i syczę przez zęby. Znow spoglądam na chmury i obserwuję, jak pulsuje w nich piorun. Niebieski u szczytu, zielony u podstawy, tam gdzie zaczyna się szczelina. Tam, gdzie muszę wrócić.

Błoto lepi mi się do nóg i prawie zamarza na moim ciele, tworząc skorupę. Trzymam złamany nadgarstek przy piersi, odpycham się jedną ręką i próbuję wyzwolić. Wstaję przy głośnym chlupocie zassanego błota i biegnę ile sił, ciężko przy tym dysząc. Każdy oddech boli.

Pokonuję dziesięć metrów i prawie dostaję się na tyły Srebrnej armii, gdy dociera do mnie, że to się nie uda. Stoją zbyt gęsto, żeby nawet ktoś taki jak ja mógł się przez nich przecisnąć. A gdybym spróbowała, pewnie by mnie

powstrzymali. Mam rozpoznawalną twarz, nawet umorusaną błotem. Nie mogę ryzykować. Lodowy most także nie wchodzi w grę. Może się pode mną załamać albo któryś z Czerwonych żołnierzy mnie zastrzeli, kiedy będę próbować przedostać się na drugą stronę. Żadna z opcji nie kończy się dla mnie dobrze. Ale stanie tutaj też nie jest bezpieczne. Wojska Mavena przypuszczą kolejny atak i nadeślą kolejną falę oddziałów. Nie widzę ani drogi do przodu, ani do tyłu. Przez jedną, przerażającą, pustą chwilę gapię się w ciemność Corvium. W burzy pobłyskuje błyskawica, słabsza niż wcześniej. Wygląda jak huragan, na którego szczycie znajduje się czoło burzy, z warstwami zamieci śnieżnej i nieokiełznanym wiatrem. Pośród tego wszystkiego czuję się maleńka, jak pojedyncza gwiazda na niebie brutalnych konstelacji.

Jak jesteśmy w stanie to pokonać?

Pierwszy huk odrzutowca powala mnie na kolana i zakrywam głowę zdrową dłonią. Łoskot wibruje mi w piersi, a elektryczna siła bije mocno jak serce. Nisko nad ziemią pojawia się kilkanaście kolejnych. Ich silniki rozdmuchują śnieg i popiół, wisząc pomiędzy dwiema częściami wojsk.

Na obrzeżach burzy pojawia się jeszcze więcej odrzutowców, które krążą wokół niej. Chmury unoszą się wraz z maszynami, jak gdyby przyciągane przez skrzydła magnetyczną siłą. Po chwili słyszę kolejny ryk. Wiatr, silniejszy niż za pierwszym razem, dmie z siłą tysiąca huraganów. Bezlitośnie rozgania burzę. Chmury przerzedzają się na tyle, że można dostrzec pomiędzy nimi wieże Corvium, gdzie błyska niebieski piorun. Wiatr podąża za odrzutowcami i zbiera się pod świeżo malowanymi skrzydłami.

Malowanymi na jaskrawą żółć.

„Dom Laris”.

Moje usta rozszerzają się w uśmiechu. Przyjechali. Anabel Lerolan dotrzymała słowa.

Rozglądam się za innymi domami, ale gdzieś przy mnie zaczyna skrzeczeć sokół, a jego ciemnogramatowe skrzydła trzepoczą w powietrzu. Widzę połyskujące, ostre jak noże szpony i w panice zakrywam twarz, aby osłonić się przed atakiem. Ale on tylko zaciekle skrzeczy, po czym odfruva i sunie nad polem bitwy w stronę... o nie.

Nadciągają kolejne wojska Mavena. Bataliony, legiony. Czarne, niebieskie, czerwone zbroje. Jego przedzielona na pół armia zmiażdży mnie w kleszczach.

Ale nie bez walki.

Daję z siebie wszystko. Wokół mnie strzelają fioletowe błyskawice. Odstrasza żołnierzy, sprawiam, że zastanawiają się nad każdym kolejnym krokiem. Wiedzą, do czego jestem zdolna. Widzieli, co potrafi zrobić dziewczyna od błyskawic. Przystają, ale tylko na chwilę. To wystarcza, bym poderwała się na nogi i stanęła prosto. Im mniejszy cel, tym większa szansa na przetrwanie.

Zaciskam sprawną dłoń, gotowa zrównać wszystkich z ziemią.

Wielu Srebrnych, którzy atakują szczelinę, odwraca się w moją stronę. Chwilowa dekoncentracja staje się ich zgubą. Przeszywa ich zielona i biała błyskawica, torując drogę czerwonemu płomieniowi, który zmierza w moim kierunku.

Biegnie do mnie kilku Zwinnych, wpadając na sieć błyskawic. Niektórzy śmigają w tył, ale inni padają na ziemię, nie potrafiąc wyprzedzić iskier. Z nieba uderzają gromy, trzymając na dystans najgorszy atak i tworząc wokół mnie ochronny krąg. Z zewnątrz wygląda to jak klatka ze strumieni prądu, którą sama sobie stworzyłam. I to ja ją kontroluję.

Ciekawe, który król byłby w stanie mnie teraz uwięzić.

Liczę na to, że moja błyskawica przyciągnie go tak jak ómę przyciąga płomień świecy. Rozglądam się po nadciągającej w moją stronę hordzie Mavena. Szukam czerwonej peleryny, korony z żelaznych płomieni. Białej twarzy w morzu innych, błękitnych oczu o spojrzeniu tak przenikliwym, że mogłoby przeszywać góry.

Ale widzę tylko, jak znad sąsiedniej przełęczy nadciągają odrzutowce domu Laris, które przelatują coraz niżej nad obydwoma armiami. Okrążają mnie i gdy przelatują z hukiem, żołnierze muszą zakrywać uszy. Z tyłu większych samolotów wyskakuje kilkanaście osób, wykonując salto, po czym ląduje na ziemi z prędkością, która z większości ludzi zrobiłaby miazgę. Ale one tylko rozpościerają ramiona i zatrzymują się, wzbijając kurz, popiół i śnieg. I żelazo. Mnóstwo żelaza.

Evangeline i jej rodzina – w tym brat i ojciec – odwracają się w stronę nadciągającej armii. Wokół nich pokrzykuje sokół, który unosi się na srogim wietrze. Evangeline zerka przez ramię i odszukuje mnie wzrokiem.

– Nie przyzwyczajaj się! – krzyczy.

Uderza mnie fala zmęczenia, bo o dziwo czuję się bezpieczna.

Ochronia mnie Evangeline Samos.

Kątem oka po obu stronach widzę buchający ogień. Otacza mnie i prawie oślepia. Potykam się do tyłu i wpadam na ścianę mięśni w szturmowym mundurze. Cał delikatnie chwyta mnie za złamany nadgarstek.

Przynajmniej raz taki uścisk nie kojarzy mi się z kajdanami.

## Rozdział 29

### Evangeline

Drzwi rządowej wieży Corvium są z litego dębu, ale zawiasy i klamki z metalu. Z łatwością, niczym w pokłonie, otwierają się przed królewskim domem Samos. Wchodzimy na salę obrad dystyngowanym krokiem, pod spojrzeniami naszych pochopnie wybranych sojuszników. Montfort i Szkarłatna Gwardia siedzą po lewej stronie ubrani w proste, zielone mundury, zaś nasi Srebrni po prawej w różnorodnych kolorach domów. Przywódcy obu stron, premier Davidson i królowa Anabel, patrzą w ciszy, jak wchodzimy do środka. Anabel ma teraz na głowie koronę, czym zaznacza, że jest królową, mimo że jej król już od dawna nie żyje. To obręcz z młotkowanego, różowego złota ozdobiona drobnymi, czarnymi klejnotami. Skromna, ale i tak się wyróżnia. Anabel stuka swoimi śmiercionośnymi palcami o blat stołu, ochoczo prezentując ślubny pierścionek. Ognście czerwony klejnot również oprawiony w różowe złoto. Królowa wygląda jak drapieznik, podobnie jak Davidson – nie mruga powiekami, nie daje się zdekoncentrować. Książę Tyberiasz i Mare Barrow są nieobecni, a przynajmniej ich tu nie widzę. Zastanawiam się, czy rozdzielią się, by każde stanęło po swojej stronie, z ludźmi swojego koloru.

Okna wieży wyglądają na pola, nad którymi nadal czuć zapach tłęcego się popiołu i które po zachodniej stronie duszą się błotem, pogrążone w klęsce żywiołowej niezwiązanej z żadną porą roku. Nawet na tej wysokości wszystko pachnie krwią. Zdawało mi się, że całe godziny szorowałam dłonie centymetr po centymetrze, a mimo to nadal nie mogę się pozbyć zapachu krwi. Nie chce odejść, jakby był duchem, trudniej o nim zapomnieć niż o twarzach ludzi, których zabiłam na polu walki. Wszystko jest przesiąknięte metaliczną cierpkością.

Mimo rozciągającego się stąd widoku, wszystkie pary oczu skupione są na przywódcy naszej rodziny, który robi dużo większe wrażenie. Ojciec nie ma na sobie czarnych szat, jedynie połyskującą jak lustro zbroję z chromu, ciasno przylegającą do jego smukłej sylwetki. Król a zarazem wojownik w każdym calu. Matka także wygląda imponująco. Jej korona z zielonych klejnotów pasuje do szmaragdowego węża boa, który otula jej szyję i ramiona niczym szal. Dusiciel pełza powoli po ciele matki, a jego łuski odbijają lunę popołudniowego słońca. Ptolemeusz wygląda podobnie do ojca, choć zbroja osłaniająca jego szeroki tors, wąską talię i smukłe nogi jest czarna jak ropa. Moja stanowi mieszankę obu – mam na sobie przylegające do skóry warstwy chromu i czarnej stali. Nie jest to zbroja, którą nosiłam na polu walki, ale taka, której zdecydowanie teraz potrzebuję.

Straszna i groźna, oddająca każdy gram dumy i siły Samosów.

Pod oknami ustawiono cztery krzesła tronowe, na których siadamy równocześnie, prezentując zjednoczony front. To bez znaczenia, że w środku chce mi się krzyżeć.

Czuję się jak zdrajca, bo pozwoliłam minąć całym dniom i tygodniom, nie podnosząc głosu sprzeciwu. Nie odezwałam się ani słowem na temat tego, jak bardzo przeraża mnie plan ojca. Nie chcę być królową Norty. Nie chcę do nikogo należeć. Ale to, czego chcę, nie ma znaczenia. Nic nie zagrozi poczynaniom mojego ojca. Królowi Volvo się nie odmawia. Nie zrobi tego nawet jego własna córka, krew z jego krwi, kość z kości. Jego własność.

Kiedy siadam na swoim miejscu, w piersi wzbiera mi nader znajomy ból. Staram się zachować opanowanie, być cicha i posłuszna. Lojalna wobec swojej krwi. Tylko o tym muszę pamiętać.

Nie rozmawiałam z ojcem od tygodni. Na jego polecenia odpowiadam skinieniem głowy. Nie potrafię zdobyć się na słowa. Boję się, że jeśli otworzę usta, mój temperament weźmie górę. To był pomysł Toliego, żeby nic nie mówić. „Daj temu czas, Eve. Daj temu czas”. Ale czas na co? Nie mam pojęcia. Ojciec nie zmienia zdania. A królowa Anabel posunie się do wszystkiego, aby jej wnuk znów zasiadł na tronie. Mój brat jest równie rozczarowany jak ja. Wszystko, co dotąd zrobiliśmy – jego ślub z Elane, zdrada Mavena, królewskie ambicje ojca – miały służyć temu, abyśmy mogli zostać razem. Na darmo. On będzie rządził Rowami poślubiony dziewczynie, którą kocham, podczas gdy ja zostanę odesłana do Norty jak skrzynia amunicji, kolejny podarek dla króla.

Jestem wdzięczna za to, że Mare Barrow postanawia zaszczyścić zebranych swoją obecnością, z księciem Tyberiaszem, który idzie za nią krok w krok. Zapomniałam, jakim zbitym psem stał się w jej obecności. Patrzy na nią wielkimi oczami, skamłając o uwagę. Jego zmysł wojenny skupia się na niej zamiast na zadaniu, które go czeka. Ich ciała wciąż wibrują od adrenaliny, nic zresztą dziwnego. Walka była brutalna. Barrow nadal ma krew na swoim mundurze.

Oboje idą środkowym przejściem, które rozdziela salę na pół. Jeśli zdają sobie sprawę, jak ogromne znaczenie ma to, co za chwilę zrobią, to tego nie okazują. Na ich widok większość rozmów zamienia się w szept lub całkowicie milknie, bo zebrani chcą zobaczyć, po której stronie siadą.

Mare przechodzi szybko przed przednim rzędem zielonych mundurów i opiera się o przeciwległą ścianę. Z dala od zainteresowania.

Książę, prawowity król Norty, nie idzie za nią. Podchodzi do swojej babci i wyciąga rękę, aby ją objąć. Anabel jest dużo drobniejsza niż on – w jego obecności wygląda jak zwykła staruszka. Ale z łatwością go obejmuje. Mają te same oczy, które płoną jak rozżarzony brąz. Anabel szeroko się do niego uśmiecha.

Tyberiasz przez chwilę przytrzymuje ją w ramionach, przytulając ostatnią



członkinię swojej rodziny. Miejsce koło jego babci jest wolne, ale on go nie zajmuje. Dołącza do Mare pod ścianą. Krzyżuje ręce na szerokim torsie i wlepia w mego ojca uporczywe spojrzenie. Zastanawiam się, czy wie, co Anabel zaplanowała dla nas obojga.

Nikt nie zajmuje miejsca, którego nie zajął. Nikt nie ośmiela się usiąść na krześle prawowitego króla Norty. Nagle po głowie niosą mi się słowa: „Moja ukochana narzeczona”. Dokuczają mi bardziej niż węże matki.

W tym momencie ojciec pociąga za sprzączkę pasa u spodni Salina Irala. Podnosi Jedwabistego z jego miejsca, po czym dźwiga nad stołem i rzuca na dębową podłogę. Nikt się nie sprzeciwia ani nie wydaje z siebie żadnego dźwięku.

– Podobno jesteście myśliwymi.

Głos ojca jest jak niskie dudnienie.

Iral nie umył się jeszcze po bitwie, czego dowodem jest pot oblepiający jego czarne włosy. A może jest tylko przerażony? Wcale się nie dziwię.

– Wasza Królewska Mość...

– Zapewniałeś mnie, że Maven nie ucieknie. Wydaje mi się, że twoje słowa brzmiały dokładnie tak: „żaden wąż nie prześliznie się między palcami Jedwabistego”. – Ojciec nie raczy spojrzeć na tego nic niewartego wielmożę, hańbę dla swojego domu i nazwiska. Matka patrzy na nich obu zarówno swoimi oczami, jak i ślepiami zielonego węża. Zwierzę wyczuwa, że się na nie gapię, i wysuwa w moją stronę różowy, rozdwojony język.

Pozostali obserwują upokorzenie Salina. Czerwoni wyglądają na brudniejszych niż on, niektórzy wciąż oblepieni są błotem i sini z zimna. Przynajmniej nie są pijani. Przywódca domu Laris chwije się na swoim krześle, ukradkowo popijając z flaszki, która jest zdecydowanie za duża, by raczyć się z niej w kulturalnym towarzystwie. Ani ojciec, ani matka, ani nikt inny nie będzie mu jednak szczędził alkoholu. Laris i jego dom wyśmienicie wypełnili swoje zadanie, włączając do akcji odrzutowce i rozganiając piekielną burzę, która o mały włos nie zasypała Corvium śniegiem po czubek ostatniej wieży. Dowiedli, ile są warci.

Podobnie jak Nowi. Choć ich nazwa brzmi nieco śmiesznie, odpierali atak przez długie godziny. Bez ich krwi i poświęcenia Corvium byłoby już w rękach Mavena. A tak Maven po raz drugi poniósł klęskę. Został pokonany dwa razy. Najpierw przez zwykłą hałastkę, a teraz przez prawdziwą armię i prawdziwego króla. Czuję ucisk w żołądku. Mimo że wygraliśmy, zwycięstwo wydaje mi się porażką.

Mare podejrzliwie przygląda się całej wymianie, a jej ciało tężeje jak wykręcany kabel. Patrzy to na Salina, to na mego ojca, zanim przejdzie do Toliego. Przeszywa mnie dreszcz strachu o brata, choć obiecała mi, że go nie zabije. Na placu Cezara dała upust wściekłości, o jaką jej nie podejrzewałam.

A podczas bitwy o Corvium walczyła do upadłego, nawet kiedy osaczyła ją armia Srebrnych. Jej błyskawica jest dużo bardziej śmiertelna, niż zapamiętałam. Jeśli zechciałyby teraz zamordować Toliego, to wątpię, by ktokolwiek mógł ją powstrzymać. Ukarać – owszem, ale nie powstrzymać.

Mam przeczucie, że nie będzie szczególnie zadowolona z planu Anabel. Każda Srebrna kobieta zakochana w królu zadowoliliby się statusem kochanki związanej z władcą, nawet jeśli nie poprzez małżeństwo. Nie sądzę jednak, żeby Czerwoni myśleli w ten sposób. Nie mają pojęcia, jak istotne są więzi pomiędzy domami i jak ogromne znaczenie mają potomkowie o silnej linii krwi. Sądzą, że do wypowiedzenia małżeńskiej przysięgi potrzebna jest miłość. Podejrzewam, że to małe pocieszenie w ich życiu. Bez władzy, siły, nie mają czego bronić i jakiego dziedzictwa podtrzymać. Ich życia nie mają znaczenia, ale przynajmniej należą tylko do nich.

Tak jak moje – przez kilka krótkich, naiwnych tygodni.

Na polu walki powiedziałam Mare Barrow, aby się nie przyzwyczajała, że za każdym razem uratuję ją z opresji. Co za ironia. Teraz to ja mam nadzieję, że ona uratuje mnie z pozłacanego więzienia i małżeńskiej klatki. Mam nadzieję, że jej burza zniszczy ten sojusz, zanim zdąży się utrwalić.

– ... szykuje się do ucieczki i ataku jednocześnie. Na pozycjach byli Zwinni, transportery, odrzutowce. Ani razu nie zobaczyliśmy Mavena. – Salin nadal się tłumaczy, unosząc dłonie nad głowę. Ojciec mu na to pozwala. Zawsze daje ludziom na tyle sznura, by sami mogli zawiązać sobie pętlę na szyi. – Widzieliśmy króla Lakelandii. Osobiście dowodził swoimi oddziałami.

Spojrzenie ojca przebiega nagły błysk, ale po chwili jego oczy ciemnieją – jedyny znak odczuwanego dyskomfortu.

– I?

– I teraz leży w grobie razem z nimi. – Salin podnosi wzrok na swojego stalowego króla, niczym dziecko szukające aprobaty. Drży aż po koniuszki palców. Myślę o Iris, nowej pani Archeonu, królowej, która zasiada na zatrutym tronie. Pozostała teraz bez ojca, rozdzielona na zawsze z jedyną rodziną, która przybyła z nią na południe. Jak do tej pory była niezłomna, ale ten cios ogromnie ją osłabi. Gdyby nie fakt, że jest moim wrogiem, może nawet zrobiłoby mi się jej żal.

Ojciec powoli wstaje z tronu. Wygląda na zadumanego.

– Kto zabił króla Lakelandii?

Pętla się zaciska.

Salin uśmiecha się z zadowoleniem.

– Ja.

Sznur napina się jak mięśnie twarzy ojca. W okamgnieniu zaciśnięciem pięści żelazny król wykręca guziki munduru Salina i tworzy z nich cienką, metalową przędzę, która owija się wokół jego szyi, podciągając go do góry,

zmuszając, by wstał. Nici wciąż się unoszą, aż palce stóp Salina ledwie szurają po podłodze, szukając punktu oparcia.

Za stołem przywódca Montfortu rozsiada się wygodniej na swoim krześle. Jasnowłosa kobieta o surowym wyglądzie, która zajęła miejsce obok niego, wykrzywia w grymasie pokrytą bliznami twarz. Pamiętam ją z napaści na Summerton, gdy o mało nie zginął mój brat. Cał sam ją torturował, a teraz najwyraźniej są sprzymierzeńcami. Ona należy do dowództwa Szkarłatnej Gwardii i jeśli się nie mylę, jest jedną z najbliższych sojuszniczek Mare.

– Twoje rozkazy... – wyducha z siebie Salin. Chwyta się żelaznych nici wokół szyi, które wrzynają mu się w skórę. Robi się szary na twarzy, kiedy pod jego ciałem zaczyna się zbierać krew.

– Rozkazałem zabić Mavena Calore albo zapobiec jego ucieczce. Nie zrobiłeś ani tego, ani tego.

– Ja...

– Zabiłeś króla suwerennego kraju. Sprzymierzeńca Norty, który nie miał w walce innego interesu jak tylko chronić nową lakelandzką królową. Ale teraz? – Ojciec prychnął i używając swojej zdolności, przyciąga Salina bliżej. – Dałeś im doskonały powód, aby nas wszystkich zatopić. Panująca królowa Lakelandii nie puści tego płazem. – Uderza Salina w twarz ze słyszalnym trzaskiem. Cios ma go upokorzyć, nie zaboлеć. Działa doskonale. – Cofam ci wszystkie tytuły i obowiązki. Dom Iral rozdysonuje je wedle własnego uznania. Zabrać mi z oczu tego śmiecia.

Krewni Salina szybko wywlekają go z sali obrad, zanim wykopie sobie głębszy dołek. Kiedy żelazne linki puszcza, Salin zanosi się kaszlem i chyba płaczem. Jego łkania niosą się echem po korytarzu, ale nikną wraz z zamknięciem drzwi. Co za żaloszny człowiek. Cieszę się jednak, że nie zabił Mavena. Gdyby ten smarkacz umarł już dziś, nie byłoby żadnych przeszkód pomiędzy Calem a tronem. Calem a mną. W ten sposób istnieje przynajmniej jeszcze jakiś cień szansy.

– Czy ktoś ma do powiedzenia coś, co może się nam przydać? – Ojciec spokojnie siada z powrotem na tronie i przejeżdża palcem po grzbiecie węża matki. Oczy zwierzęcia zamykają się w wyrazie przyjemności. Obrzydliwość.

Jerald Haven wygląda, jakby chciał zniknąć. Wpatruje się w swoje złożone dłonie, próbując uniknąć uwagi ojca, by ten nie upokorzył go w następnej kolejności. Na szczęście ratuje go groźna przywódczyni Szkarłatnej Gwardii. Wstaje, szurając krzesłem po podłodze.

– Nasi agenci wywiadu wskazują, że w kwestiach bezpieczeństwa Maven Calore polega teraz na Dalekowzrocznych. Są w stanie przewidzieć najbliższą przyszłość...

Matka cmoka ze zniecierpliwieniem.

– Wiemy, kim są Dalekowzroczni, Czerwona.

– I kto by pomyślał – bez zawahania odpowiada przywódczyni.

Gdyby nie ojciec i nasza niestabilna pozycja, podejrzewam, że matka wepchnęłaby swojego szmaragdowego węża do gardła Czerwonej. Ale ona jedynie ściąga usta.

– Proszę panować nad swoimi ludźmi, premierze, bo zrobię to za pana.

– Należę do Generalnego Dowództwa Szkarłatnej Gwardii, Srebrna – odpowiada jej ostro Czerwona kobieta. Zauważam, jak Mare uśmiecha się zarozumiale za jej plecami. – Jeśli chcesz, żebyśmy udzielili wam pomocy, musisz okazać odrobinę szacunku.

– Oczywiście – łaskawie odpowiada matka. Jej klejnoty połyskują, kiedy pochyla głowę. – Okażę szacunek, jeśli będzie się należał.

Dowódczyni nadal patrzy na matkę bykiem, widać, jak kotłuje się w niej gniew. Z obrzydzeniem mierzy wzrokiem koronę matki.

Coś przychodzi mi do głowy i szybko klaszczę w dłonie. Znajomy odgłos. Wezwanie. Po cichu do sali obrad wchodzi Czerwona służąca domu Samos z kieliszkiem wina w ręce. Wie, co ma robić, i spieszy do mnie z napojem. Powolnymi, przesadzonymi ruchami biorę od niej puchar. Przez cały czas nie przerywam kontaktu wzrokowego z Czerwoną generał i upijam pierwszy łyk. Stukam palcami o grawerowane szkło, aby ukryć swoje zdenerwowanie. W najgorszym wypadku rozzłoszczę ojca. W najlepszym...

Upuszczam kielich na podłogę. Sama się wzdrygam, słysząc dźwięk tłuczonego szkła i wiedząc, co stanie się dalej. Ojciec stara się nie reagować, ale zaciska usta. „Mogłeś się spodziewać, że nie poddam się bez walki”.

Służąca bez zawahania klęka na posadzce i zbiera odłamki szkła nagimi dłońmi. Impulsywna Czerwona z równym brakiem zawahania przeskakuje nad stołem, wywołując wzburzenie na sali. Srebrni podobnie jak Czerwoni zrywają się na nogi, i -nawet Mare odrywa się od ściany i staje na drodze przyjaciółce.

Czerwona generał góruje nad nią wzrostem, ale Barrow nie daje się zdominować.

– Jak możemy się na to godzić?! – krzyczy na mnie gwardzistka, pokazując na służącą na podłodze. Cierpki posmak krwi zwiększa się dziesięciokrotnie, kiedy Czerwona rani się w dłonie. – Jak?

Wszyscy na sali zdają się zadawać sobie to samo pytanie. Co bardziej gwałtowni przedstawiciele każdej ze stron zaczynają coś krzyczeć. Jesteśmy Srebrnymi domami szlachetnej krwi o długim rodowodzie, sprzymierzonymi z rebeliantami, przestępcami, sługami i złodziejami. Czy posiadają umiejętności czy nie, żyją zupełnie inaczej niż my. Nasze cele nie są takie same. Sala obrad jest jak beczka prochu. Jeśli będę mieć szczęście – wybuchnie. Rozsadzi na strzępy wszelkie groźby małżeństwa. Zniszczy klatkę, do której jestem zaciągana siłą.

Jasnowłosa generał patrzy na mnie pogardliwie przez ramię Mare, jej oczy są jak dwa niebieskie sztylety. Gdyby całe to pomieszczenie i moje własne ubrania nie

ociekają metalem, może bym się nawet przestraszyła. Również wlepiam w nią uporczywe spojrzenie, starając się wyglądać w każdym calu jak Srebrna księżniczka, której uczyła się nienawidzić. Służąca u moich stóp kończy sprzątanie i odchodzi. Jej dłonie są do krwi pokłute odłamkami szkła. Muszę później posłać do niej Wren, by coś na to poradziła.

– Kiepskie przedstawienie – szepcze mi do ucha matka. Poklepuje mnie po ramieniu, a wąż, który pełźnie jej po dłoni, wije się po mojej skórze. Jego ciało jest lepkie i chłodne.

Zaciskam zęby z obrzydzenia.

– Jak możemy się na to godzić?

Zamieszanie przerywa głos księcia. Wielu zebranych milknie z wrażenia, w tym patrząca na mnie nienawistnie Czerwona generał. Mare nie bez trudności odprowadza ją na jej miejsce. Reszta odwraca się w stronę wygnanego księcia, który staje prosto przed zebranymi. Ostatnie miesiące miały dobry wpływ na Tyberiasza Calore. Toczenie wojen mu służy. Wydaje się pełen energii, mimo że na murach obronnych mierzył się ze śmiercią. Jego babcia pozwala sobie na nieznaczną uśmiech. Czuję w piersi niepokój. Nie podoba mi się ta mina. Zaciskam dłonie na podłokietnikach tronu i wbijam paznokcie w drewno zamiast w ciało.

– Każdy na tej sali wie, że osiągnęliśmy punkt przełomowy. – Szuka wzrokiem Mare. Jest źródłem jego siły. Gdybym była sentymentalna, może by mnie to wzruszyło. W zamian myślę o Elane, która została w Grani. Ptolemeusz potrzebuje dziedzica i żadne z nas nie chciało, by wzięła udział w walce. Mimo to wolałabym, aby siedziała przy mnie. Nie musiałabym przechodzić przez tę mękę sama.

Cała uczono, jak rządzić krajem, i wygłaszanie publicznych przemówień nie jest mu obce. Mimo to nie jest tak utalentowany jak jego brat i potyka się przynajmniej kilka razy, kiedy idzie po posadzce. Niestety nikt nie zdaje się zwracać na to uwagi.

– Czerwoni przez lata żyli jako niewolnicy i nie mogli nic poradzić na swój los. Czy w piszczącym od biedy mieście, czy w jednym z naszych pałaców, czy w błocie w rybackim miasteczku. – Po policzkach Mare rozchodzi się rumieniec. – Kiedyś myślałem tak, jak mnie uczono. Taki jest porządek rzeczy. Czerwoni są od nas gorsi. Ich pozycja nigdy się nie zmienia, nie bez rozlewu krwi. Nie bez wielkiego poświęcenia. Kiedyś wydawało mi się, że to za wysoka cena. Ale się myliłem. Ci z was, którzy się ze mną nie zgadzają – tu przeszywa mnie wzrokiem, aż przechodzą mnie dreszcze – którzy uważają się za lepszych, którzy mają się za bogów, są w błędzie. I to nie dlatego, że istnieją tacy ludzie jak dziewczyna od błyskawic. Nie dlatego, że nagle potrzeba nam sprzymierzeńców, aby pokonać mojego brata. Tylko dlatego, że to zwyczajny błąd. Urodziłem się jako książę. Lepiej niż którykolwiek z was wiem, czym są przywileje. Wychowywałem się

otoczony służbą czekającą na każde moje skinienie i wpojono mi, że ich krew ze względu na swój kolor jest warta mniej niż moja. „Czerwoni są głupi, Czerwoni to szczury, Czerwoni nie są w stanie zapanować nad swoim życiem, ich przeznaczeniem jest służyć”. Wszyscy słyszeliśmy takie słowa. Ale to kłamstwa. Wygodne kłamstwa, które uspokajają nam sumienie, tłumią nasz wstyd, a ich życie przeistaczają w piekło.

Przystaje przy swojej babce. Góruje nad nią sylwetką.

– Nie można tego dłużej tolerować. To zwyczajnie niedopuszczalne. Różnica nie jest powodem do podziału.

Biedny, naiwny Calore. Jego babcia kiwa głową z aprobatą, ale pamiętam, co powiedziała w moim własnym domu. Chce, aby jej wnuk zasiadł na tronie, chce, aby powrócił stary porządek.

– Premierze – mówi Tyberiasz, wskazując gestem na przywódcę Montfortu.

Mężczyzna odchrząkuje i wstaje z miejsca. Jest ponadprzeciętnie wysoki, ale wąły. Ma urodę śniętej ryby i równie puste spojrzenie.

– Królu Volvo, dziękujemy ci za pomoc w obronie Corvium. Jednak tu i teraz, przed oczami naszego dowództwa i twoimi ludźmi, chciałbym poznać twoje zdanie na temat słów księcia Tyberiasza.

– Premierze, jeśli masz pytanie, to je zadaj – burczy ojciec.

Wyraz twarzy mężczyzny jest trudny do rozszyfrowania. Odnoszę wrażenie, że ma tyle samo sekretów i ambicji, co reszta z nas. Mogłabym go zmanipulować.

– Czerwoni i Srebrni, Wasza Królewska Mość. Który kolor przeważy w tej rebelii?

Ojciec robi wydech i w jego bladym policzku drży jeden z mięśni. Gładzi dłonią swoją szpiczastą brodę.

– Oba, premierze. To nasza wspólna wojna. Daję ci na to słowo i przyrzekam na głowy moich dzieci.

„Wielkie dzięki, ojcze. Czerwona generał chętnie nas ich pozbawi przy pierwszej nadarzającej się okazji”.

– Książę Tyberiasz powiedział prawdę. – Ojciec kłamie jak z nut. – Nasz świat uległ zmianie. Musimy się zmienić razem z nim. Wrogowie to nietypowi sprzymierzeńcy, ale jakkolwiek by na to spojrzeć, jesteśmy sprzymierzeńcami.

Znów wyczuwam zaciskającą się pętlę. Zacieśnia się na mojej szyi i o mały włos nie zawisnę w niej nad przepaścią. Czy będę mieć podobne wrażenie przez resztę swojego życia? Chcę być silna. Po to trenowałam i po to cierpiałam. Wydawało mi się, że tego właśnie chcę. Ale wolność smakowała zbyt słodko. Wystarczyło, że raz nią odetchnęłam, i nie mogę jej już odpuścić. „Tak mi przykro, Elane. Tak mi przykro”.

– Czy masz inne pytania dotyczące warunków, premierze? – naciska ojciec. – Czy możemy kontynuować roztaczanie planów obalenia tyrana?

– A o jakich warunkach mowa? – Głos Mare brzmi inaczej i nic w tym dziwnego. Kiedy ostatnio ją widziałam, była stłamszoną dziewczyną w kajdanach. Ale teraz jej błyskawica wróciła ze zdwojoną siłą. Zerka to na ojca, to na premiera, licząc na odpowiedź.

Ojciec niemal z radością udziela jej odpowiedzi, a ja wstrzymuję oddech. „Uratuj mnie, Mare Barrow. Daj upust burzy, którą masz w sobie. Oczaruj księcia, jak tylko ty potrafisz”.

– Królestwo Rowów pozostanie suwerenne po tym, jak Maven zostanie pozbawiony tronu. Królowie ze stali będą rządzić przez całe pokolenia. Czerwoni zaś uzyskają pewne prawa. Nie mam zamiaru prowadzić niewolniczego państwa na wzór Norty.

Mare nie wygląda na przekonaną, ale trzyma język za zębami.

– Oczywiście Norty będzie potrzebowała swojego króla.

Mare robi wielkie oczy. Zalewa ją fala przerażenia i natychmiast obraca się do Cala, czekając na wyjaśnienie. Ale on jest równie zaskoczony, jak ona wściekła. Dziewczyna od błyskawic jest przewidywalna niczym fabuła bajki dla dzieci.

Anabel wstaje ze swojego miejsca i przyjmuje dystyngowaną pozę. Jej pomarszczona twarz promienieje, kiedy spogląda na Cala i gładzi go dłonią po policzku. Jest zbyt zaszokowany, by zareagować na jej dotyk.

– Mój wnuk jest prawowitym królem Norty i tron należy do niego.

– Premierze – szepcze Mare, patrząc teraz na przywódcę Montfortu. Prawie go błaga. Po jego masce przemyka cień smutku.

– Montfort zobowiązuje się poprzeć przejście władzy przez Ca... – Powstrzymuje się i odwraca wzrok od Mare Barrow. – Króla Tyberiasza.

W powietrzu zaczyna drgać prąd ciepłego powietrza. Księżę jest wściekły, i to ponad miarę. A najgorsze jest jeszcze przed nim, przed nami wszystkimi. Przy odrobinie szczęścia spali całą tę wieżę na popiół.

– Scementujemy przymierze Rowów i prawowitego króla w zwyczajowy sposób – mówi matka, zadając mi ostateczny cios. Czerpie z tego przyjemność. Wszelkimi siłami powstrzymuję łzy, które cisną mi się do oczu.

Nikomu nie umyka, co sugeruje matka. Cal wydaje z siebie pewnego rodzaju zduszony skowyt, jęk, który nie przystoi księciu, a co dopiero królowi.

– Nawet po wszystkich przejściach, które mamy za sobą, wskazanie Królewskiej Próby wciąż pozostaje aktualne. – Matka gładzi dłonią moją dłoń, muskając palcami miejsce, gdzie znajdzie się obrączka.

Nagle wysoka sala wydaje mi się duszna, a zapach krwi tępi mi zmysły. To jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, i daję się porwać temu wrażeniu, przytłoczyć posmakowi żelaza. Zaciskam szczękę, próbując nie wypuścić z ust słów, które pragną zostać wypowiedziane. „Ja już tego nie chcę. Pozwólcie mi wrócić do Rowów”. Każde słowo to zdrada wobec mojego domu, mojej rodziny,

mojej krwi. Szczękam zębami, kość zgrzyta o kość. Dla mojego serca to zamknięta klatka.

Czuję się uwięziona w swoim własnym wnętrzu.

„Kaź mu wybierać, Mare. Kaź mu mnie odrzucić”.

Mare ciężko oddycha, jej pierś gwałtownie unosi się i opada. Podobnie jak ja ma w sobie wiele słów, które chce wykrzyczeć. Mam nadzieję, że widzi, jak bardzo pragnę się temu wszystkiemu sprzeciwić.

– Widzę, że nikomu nie przyszło na myśl mnie o to zapytać – syczy księżę, odpychając babkę na bok. Jego oczy płoną. Do perfekcji opanował sztukę piorunowania wzrokiem wielu ludzi naraz. – Chcecie zrobić ze mnie króla bez mojej zgody?

Anabel nie boi się płomienia i jeszcze raz ujmuje twarz wnuka.

– Nie chcemy z ciebie nikogo zrobić. My zwyczajnie pomagamy ci stać się tym, kim jesteś. Twój ojciec umarł za tę koronę, a ty chcesz nią wzgardzić? Dla kogo? Porzucić swój kraj? W imię czego?

Nie umie na to odpowiedzieć. „Powiedz »nie«. Powiedz »nie«. Powiedz »nie«”.

Ale zapuszczono przynętę. Widzę pokusę. Władza uwodzi i zaślepią nas wszystkich. Cał nie jest na nią odporny. Jeśli już, jest na nią szczególnie podatny. Przez całe życie patrzył na tron, przygotowywał się na dzień, w którym na nim zasiądzie. Z własnego doświadczenia wiem, że niełatwo o czymś takim zapomnieć. I wiem też, że niewiele rzeczy smakuje bardziej słodko niż korona. Znów myślę o Elane. Czy on myśli o Mare?

– Muszę się przejść – szepcze.

Oczywiście Mare wychodzi za nim, jej śladem podążają drżące iskry.

Odruchowo prawie każe sobie przynieść kolejny kieliszek wina. W ostatniej chwili jednak rezygnuje. Nie ma tu Mare, która powstrzymałaby panią generała, jeśli jeszcze raz straci nad sobą panowanie, a jeśli wypiję więcej alkoholu, zrobi mi się jeszcze bardziej niedobrze, niż jest.

– Niech żyje król Tyberiasz Siódmy – mówi Anabel.

Obecni na sali obrad powtarzają jej słowa echem. Ja wypowiadam je bezgłośnie. Czuję się, jakbym wypila truciznę.



## Epilog

Cal ze złością uderza bransoletą o bransoletę, tak by z nadgarstków tryskały mu iskry. Żadna z nich nie przeradza się w płomień. Są chłodne i słabe w porównaniu z moimi. Bezużyteczne. Daremne. Kręconymi schodami wychodzę za nim na balkon. Nie wiem, czy roztacza się z niego piękny widok. Nie dostrzegam niczego prócz twarzy Cala. Wszystko we mnie dygocze.

Nadzieja i strach toczą we mnie wyrównaną walkę. Widzę również, jak pobłyskują w oczach Cala. W odcieniach brązu szaleje burza, dwa rodzaje ognia.

– Obiecałeś mi – szepczę, próbując rozedrzeć go na strzępy, nie wykonując ani jednego ruchu.

Cal ze zdenerwowania chodzi z miejsca w miejsce, aż w końcu opiera się o balustradę balkonu. Otwiera i zamyka usta, szukając odpowiednich słów. Szukając wytłumaczenia. „Nie jest Mavenem. Nie jest kłamcą – nieustannie powtarzam sobie w duchu. – On nie chce ci tego robić”. Ale czy to go powstrzyma?

– Nie sądziłem... jaka logicznie myśląca osoba chciałaby mnie na tronie po tym wszystkim, co zrobiłem? Czy w ogóle przypuszczałaś, że ktoś pozwoli mi się zbliżyć do tronu? – mówi. – Zabijałem Srebrnych, Mare, moich własnych ludzi. – Pociera twarz rozpalonymi dłońmi, jakby nie mógł się z tego otrząsnąć.

– Czerwonych też zabijałeś. Przed chwilą mówiłeś, że nie ma różnicy.

– Różnica nie jest powodem do podziału.

Prycham, słysząc te słowa.

– Pięknie przemawiasz o równości, ale jednocześnie pozwalasz temu draniowi Samosowi siedzieć i ogłaszać istnienie królestwa dokładnie takiego samego jak to, które chcemy obalić. Nie kłam i nie mów, że nie wiedziałeś o jego warunkach, o jego nowym królestwie... – Głos mi słabnie, zanim zdołam wymówić resztę. I sprawić, by te słowa stały się prawdą.

– Wiesz, że nie miałem pojęcia.

– Ani trochę? – Unoszę brew. – Babcia nie szepnęła ci ani słowa. Ani przez moment o tym nie marzyłeś?

Ciężko przełyka ślinę, nie potrafiąc zaprzeczyć swoim najgłębszym pragnieniom. Więc nawet nie próbuje.

– Nie jesteśmy w stanie nic zrobić, aby powstrzymać Samosów. Jeszcze nie...

Uderzam go w twarz. Jego twarz porusza się wraz z siłą uderzenia i pozostaje w tej pozycji, spoglądając na horyzont, którego ja nie chcę widzieć.

Głos mi się łamie.

– Nie mówię o domu Samos.

– Nie wiedziałem – zapewnia mnie. Jego słowa brzmią cicho na pełnym popiołu wietrze. Niestety mu wierzę. Trudniej mi przez to nadal się na niego złościć, a bez złości pozostaje mi tylko strach i smutek. – Naprawdę nie wiedziałem.

Łzy wyżerają mi na policzkach słone ślady i nienawidzę się za to, że płaczę. Patrzyłam, jak umierają niezliczone tłumy ludzi i wielu z nich sama zabiłam. Jak mogę ronić nad nim łzy? Nad tym jednym człowiekiem, który stoi przede mną żywy?

Mój głos się zacina.

– Czy to ten moment, w którym proszę cię, żebyś mnie wybrał?

Bo musi wybrać. Wystarczy, że powie „nie”. Albo „tak”. Od jednego słowa zależą losy nas obojga.

„Wybierz mnie. Wybierz świt”. Wcześniej tego nie zrobił. Teraz musi.

Cała się trzęsąc, ujmuję jego twarz w swoje dłonie i obracam ją tak, by na mnie spoznał. Kiedy nie może tego zrobić, kiedy jego oczy w kolorze brązu błędzą po moich ustach, ramieniu albo odsłoniętej bliźnie, coś we mnie pęka.

– Nie muszę się z nią żenić – mamrocze. – Można to przenegocjować.

– Nie, nie można. Wiesz, że nie można. – Śmieję się chłodno na ten absurdalny wybieg.

Jego oczy pochmurnieją.

– Wiesz zresztą, że dla nas... dla Srebrnych małżeństwo nic nie znaczy. Nie ma wpływu na to, co czujemy i do kogo.

– Naprawdę uważasz, że to przez małżeństwo jestem zła? – Kotłuje się we mnie gorąca, dzika wściekłość, której nie da się zignorować. – Naprawdę sądzisz, że moją ambicją jest być twoją czy czyjąkolwiek królową?

Jego ciepłe palce drżą w dotyku z moimi. Ich uścisk się zacieśnia, kiedy zaczynam cofać dłoni.

– Pomyśl o tym, co mogę zrobić. Jakim królem mogę być.

– A dlaczego w ogóle ktoś musi być królem? – pytam powoli, cedząc każde słowo.

Nie ma na to odpowiedzi.

Kiedy byłam więziona w pałacu, dowiedziałam się, że to matka stworzyła potwora, jakim jest Maven. Nic nie jest w stanie zmienić ani jego, ani tego, co zrobił. Ale Cal też jest czyimś dziełem. Każdego z nas stworzył ktoś inny i każdy z nas ma stalową nić, której nikt i nic nie jest w stanie przeciąć.

Sądziłam, że Cal potrafi się oprzeć pokusie władzy. Jak strasznie się myliłam.

Urodził się, aby zostać królem. Do tego został stworzony. Wpojono mu, by tego pragnął.

– Tyberiaszu. – Nigdy wcześniej nie wypowiadałam jego prawdziwego

imienia. Nie pasuje mu. Nie pasuje nam. Ale nim właśnie jest. – Wybierz mnie.

Gładzi dłońmi moje dłonie i rozkłada palce, by pasowały do moich. Zamykam oczy. Daję sobie długą sekundę, by zapamiętać, jakie to uczucie. Jak wtedy w Piedmoncie, kiedy zastał nas deszcz, chcę płonąć. Chcę płonąć.

– Mare – szepcze. – Wybierz mnie.

„Wybierz koronę. Wybierz kolejną królewską klatkę. Wybierz zdradę wszystkiego, o co walczyłaś”.

Znajduję swoją stalową nić. Cienką, ale nie do zerwania.

– Kocham cię i niczego na świecie nie pragnę bardziej niż ciebie. – Jego słowa w moich ustach brzmią pusto. – Niczego na świecie.

Powoli otwieram oczy. Cał znajduje w sobie siłę, aby w nie spojrzeć.

– Pomyśl o tym, co moglibyśmy razem osiągnąć – mamrocze, próbując mnie do siebie przyciągnąć. Ale moje stopy nie ruszają się z miejsca. – Wiesz, ile dla mnie znaczysz. Bez ciebie nie mam nikogo. Jestem sam. Niczego nie mam. Nie zostawiaj mnie samego.

Mój oddech robi się urywany.

Całuję go za to, co mogłoby się zdarzyć, co może się zdarzyć, co się zdarzy – po raz ostatni. Jego usta wydają mi się dziwnie zimne, oboje zamieniamy się w bryły lodu.

– Nie jesteś sam – mówię, głęboko zaglądając mu w oczy. – Masz swoją koronę.

Sądziłam, że wiem, jakie to uczucie mieć złamane serce. Sądziłam, że to właśnie zrobił mi Maven, kiedy wstał, pozostawiając mnie na kolanach. Kiedy powiedział mi, że wszystko, co o nim myślałam, to kłamstwo. Ale wtedy wydawało mi się, że go kocham.

Teraz wiem, że nie miałam pojęcia, czym jest miłość. Ani jakie to uczucie mieć nawet odrobinę pęknięte serce.

To stać przed człowiekiem, który jest całym twoim światem, i dowiedzieć się, że nie wystarczasz. Że cię nie wybiera. Jesteś cieniem osoby, która jest twoim słońcem.

– Proszę cię, Mare. – Błaga jak zrozpaczone dziecko. – Jak, twoim zdaniem, miało się to wszystko zakończyć? Co, twoim zdaniem, miało się wydarzyć dalej? – Czuję jego ciepło, nawet gdy każda część mnie robi się lodowata. – Nie musisz tego robić.

Ale robię.

Odwracam się, głucha na jego protesty. Ale on nie próbuje mnie powstrzymać. Pozwala mi odejść.

Krew zagłusza wszystko prócz krzyku w mojej głowie. Okropnych pomysłów, pełnych nienawiści słów, zbolących i skrzywionych niczym ptaki bez skrzydeł. Idą dalej chwiejnym krokiem, każde następne gorsze od poprzedniego.

„Nie wybrani przez boga, tylko przez niego przekleci”. Tacy właśnie wszyscy jesteśmy.

To cud, że nie spadam z krętych schodów wieży – cud, że wychodzę na zewnątrz, nie padając po drodze na ziemię. Słońce na niebie jest nienawistnie jaskrawe, stanowiąc ostry kontrast z mroczną otchłanią w moim sercu. Wciskam dłoń głęboko w kieszeń munduru i ledwie wyczuwam, jak coś lekko mnie kłuje. W okamgnieniu uświadamiam sobie co to – kolczyk. Ten, który dostałam od Cala. Prawie zaczynam się śmiać, gdy o tym wszystkim myślę. Kolejna złamana obietnica. Kolejna zdrada Calore’a.

Czuję w sercu palącą potrzebę, by zacząć biec. Chcę do Kilorna, chcę do Gisy. Chcę, żeby nagle pojawił się tu Shade i powiedział mi, że to tylko sen. Wyobrażam ich sobie tutaj, ich słowa pocieszenia i otwarte ramiona.

Zagłusza je inny głos. Pali mnie od środka.

„Cal doskonale wypełnia rozkazy, ale nie potrafi podejmować decyzji”.

Wzdycham, wspominając słowa Mavena. Cal w końcu podjął decyzję. I gdzieś w głębi duszy nie jestem zaskoczona. Książę jest taki jak zawsze. Ma dobre zamiary, ale nie potrafi działać w zgodzie z nimi. Nie chce naprawdę się zmienić. Ma w sercu koronę, a serca zmienić się nie da.

Farley znajduje mnie w zaułku, jak wpatruję się w ścianę pustymi oczami, w których dawno obeschły łzy. Chyba pierwszy raz nie jest pewna, co zrobić, jej śmiałość gdzieś zniknęła. Podchodzi do mnie powoli i czule kładzie mi dłoń na ramieniu.

– On dowiedział się w tym samym momencie co ty – mówi cicho. – Przysięgam.

Osoba, którą kochała, nie żyje, odebrana jej przez kogoś innego. Mój ukochany sam postanowił mnie zostawić. Zamiast wybrać mnie, wybrał wszystko to, czego nienawidzę. Zastanawiam się, co bardziej boli.

Zanim się w nią wtulę i pozwolę, by zaczęła mnie pocieszać, zauważam, że w pobliżu stoi ktoś jeszcze.

– Ja wiedziałem – oznajmia premier Davidson. Jego słowa brzmią jak przeprosiny. Na początku czuję kolejny napływ złości, ale to nie jego wina. Cal nie musiał się na to godzić. Nie musiał ze mnie rezygnować.

Nie musiał z taką ochotą skakać w doskonale zastawione na siebie sidła.

– Dziel i rządź – szepczę, przypominając sobie jego własne słowa. Otumaniająca mnie rozpacz słabnie na tyle, że coś sobie uświadamiam. Montfort i Szkarłatna Gwardia nigdy nie poprą Srebrnego króla, a przynajmniej nie naprawdę. Nie bez ukrytych pobudek.

Davidson kiwa głową.

– To jedyny sposób, aby ich pokonać.

Samos, Calore, Cygnet. Rowy, Norta, Lakelandia. Wszystkich napędza

chciwość, wszyscy są w stanie zwrócić się przeciw sobie, by zdobyć zhańbioną koronę. To wszystko element montfordzkiego planu. Wciągamy powietrze w płuca i próbuję jakoś się pozbierać. Próbuję zapomnieć Cala, Mavena, skupić się na drodze przed sobą. Nie wiem, dokąd prowadzi.

Gdzieś w oddali, głęboko we mnie odzywa się błyskawica.

Pozwolimy im, by się nawzajem powybijali.

## Podziękowania

Dziękuję zastępom ludzi, dzięki którym te książki powstały i nadal powstają. Dziękuję mojej redaktorce Kristen i całej redakcji, zespołowi z HarperTeen i HarperCollins, Ginie, Elizabeth Ward i Elizabeth Lynch, Margot, najlepszej projektantce okładek na świecie, Sarah Kaufman oraz zespołowi działu graficznego. Dziękuję wydawcom i agentom z zagranicy, ekipie studia Universal, Sarze, Elizabeth, Jayowi, Gennifer i oczywiście prawdziwie niezrównanej agencji New Leaf Literary. Dziękuję Suzie, na którą zawsze można liczyć. Pouya, Kathleen, Mia, Jo, Jackie, Jaida, Hilary, Chris, Danielle i Sara pomagali mi się skupić i podrzucili wiele świetnych uwag na temat *Królewskiej klatki*. New Leaf nigdy nie stoi w miejscu. I raz jeszcze dziękuję Suzie, bo nigdy Ci się nie wywdzięczę.

Dziękuję również moim wspaniałym przyjaciółom i rodzinie. Dziękuję moim rodzicom Lou i Heather, od których to wszystko się zaczęło i którzy stanowią napędzającą mnie siłę. Dziękuję mojemu bratu Andy'emu, który jest teraz lepszym dorosłym niż ja. Dziękuję dziadkom, ciociom i wujkom oraz kuzynom, szczególnie Kim i Michelle, które są mi bliskie jak siostry. Dziękuję przyjaciółom z dawnego domu: Natalie, Alex, Katerinie, Kim, Lauren i wielu innym. Dziękuję także przyjaciółom z nowego domu. Są to: Bayan, Angela, Erin, Jenn, Ginger, Jordan, czyli właściwie większość Culver City oraz wszyscy, którzy siadają w niedzielę w bujanych fotelach w kościele zielonoświątkowym. Dziękuję moim kumpelom, z którymi dzielę piętrowe łóżka w Slytherinie, Jen i Morgan oraz brakującej współlokatorce Tori, która zawsze ma u nas zaklepaną kanapę.

W tym akapicie będę się nieco chwalić, ale w ostatnim roku poznałam wielu pisarzy i znalazłam wśród nich prawdziwych przyjaciół, i dużo się nauczyłam. Mamy dziwną pracę, której nie mogłabym wykonywać bez Was. Nie mogę Was tu pominąć. Najpierw dziękuję Emmie Theriault. Zapamiętajcie to nazwisko. Wsparcie, którego udzieliła mi przez lata, jest nieocenione. Kolejnym osobom dziękuję w przypadkowej kolejności. Są to: Adam Silvera, Renee Ahdieh, Leigh Bardugo, Jenny Han, Veronica Roth, Soman Chainani, Brendan Reichs, Dhonielle Clayton, Maurene Goo, Sarah Enni, Kara Thomas, Danielle -Paige oraz cała rodzina YALL i matka wojowniczką Margie Stohl. Dziękuję Sabie Tahir, pierwszej osobie z branży, z którą się zaprzyjaźniłam i która wciąż jest dla mnie jak pochodnia pośród zapadającej nocy. Wyrazy miłości i uznania kieruję także do Susan Dennard, która jest nie tylko wyjątkową osobą, ale także wybitnie utalentowaną pisarką i niezrównanym źródłem wiedzy o naszym zawodzie. I oczywiście dziękuję Alex Bracken, która znosi moje przydługie i za częste SMS--y, posiada równie rozległą wiedzę na temat *Gwiezdnych wojen* co historii

Stanów Zjednoczonych, ma najśladszego pieska miniaturkę na świecie i jest wierną, uroczą, zdeterminowaną i inteligentną przyjaciółką, która tak przy okazji jest też niesamowitą pisarką. Chyba skończyły mi się komplementy.

Jestem wyjątkową szczęściarą, bo mam swoich czytelników, i z całkowicie oczywistych powodów do każdego z Was kieruję najgłębsze wyrazy wdzięczności. Powtarzając za JKR: historia nie istnieje, dopóki ktoś nie zechce jej posłuchać. Dziękuję, że mnie słuchacie. Dziękuję całej społeczności YA. Jesteście jasnością pośród ciemnych fal 2016 roku.

Poprzednim razem dziękowałam pizzy i tu nic się nie zmieniło. Dziękuję parkom narodowym i Służbie Parków Narodowych (National Parks Service), które dbają i chronią naturalne piękno mojego ukochanego kraju. Wszystkiego najlepszego z okazji setnych urodzin. Aby dowiedzieć się więcej, zgłosić się jako wolontariusz lub udzielić wsparcia finansowego, odwiedź [www.nps.gov/getinvolved](http://www.nps.gov/getinvolved). Musimy chronić skarby natury, aby przetrwały dla przyszłych pokoleń.

Dziękuję Hillary Rodham Clinton, Berniemu Sandersowi, -Elizabeth Warren, prezydentowi Barackowi Obamie, pierwszej damie Michelle Obamie oraz tym wszystkim, którzy ciężko pracują, by chronić prawa kobiet, mniejszości, Amerykanów wyznania muzułmańskiego, uchodźców i społeczności LGBTQ+. Dziękuję Mittowi Romneyowi za nieustające sprzeciwianie się demagogii oraz pełnienie patriotycznych obowiązków wobec Stanów Zjednoczonych. Dziękuję Johnowi McCainowi za jego nieustającą walkę przeciw okrucieństwu oraz za lata służby i ochronę wojskowych rodzin. Dziękuję Charliemu Bakerowi, gubernatorowi stanu Massachusetts, za wspieranie rozsądnej reformy prawa dotyczącego posiadania broni, praw kobiet i małżeństw jedнопłciowych. I na wypadek gdyby któraś z tych osób dokonała zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, zaznaczam, że te podziękowania napisano w listopadzie 2016 roku.

Dziękuję rodzinie Khanów i wszystkim rodzinom w naszym kraju należącym do Gold Star Families for Peace. Dziękuję wszystkim wojskowym, weteranom i rodzinom wojskowych w służbie Stanom Zjednoczonym, którzy wykazują poświęcenie, jakiego nikt z nas nie jest w stanie sobie wyobrazić. I dziękuję wszystkim osobom związanym z oświatą. To Wasze dłonie kształtują przyszłość.

Dziękuję Szkotom, którzy zagłosowali przeciw podziałom i strachowi. Dziękuję władzom Kalifornii, które bronią swoich wyborców. Dziękuję Lin--Manuelowi Mirandzie i obsadzie musicalu *Hamilton*, którzy przez ostatni rok poprzez swoje występy prawdziwie służyli naszemu krajowi. Jesteście nie do zdarcia.

Dziękuję wszystkim u władzy, którzy publicznie sprzeciwiają się niesprawiedliwości, tyranii i nienawiści w Stanach Zjednoczonych oraz na całym świecie. Dziękuję wszystkim, którzy słuchają, obserwują i mają oczy szeroko

otwarte.